

VICTORIA HOLT

CÓRIKA
OSZUSTWA



Victoria Holt
CÓRKA OSZUSTWA

LONDYN

Desiree

Często rozmyślałam o tym, że moje życie mogłoby ułożyć się zupełnie inaczej, gdyby w tak dramatyczny sposób nie wkroczyła w nie Lisa Fennell. Jeśliby pewni ludzie nie znaleźli się jednocześnie w tym samym miejscu, mogliby nigdy nie poznać się, a ich życie potoczyłoby się w całkiem inny sposób.

Nie wierzę, by w całym Londynie, a może nawet w całej Anglii, dało się znaleźć drugi taki dom, jak nasz. Czułam się bardzo szczęśliwa, że należę do naszej małej rodziny, w której prym wiodła beztroska, żywiołowa, niepowtarzalna i bez reszty godna uwielbienia Desiree.

W czasach, które wspominam, pozycja społeczna uważana była przez wszystkie sfery za rzecz najwyższej wagi i wśród służby przestrzegano etykiety równie skrupulatnie jak w wyższych kręgach towarzyskich. Nie przestrzegała jej tylko Desiree. Carrie, pomoc kuchenną, traktowała tak samo jak gospodynię - panią Crimp. Nie zawsze spotykało się to z aprobatą tejże pani Crimp, ale Desiree zupełnie nie zwracała na to uwagi.

- Jak się masz, Carrie kochanie? - pytała, natknąwszy się gdzieś w domu na Carrie. Dla Desiree każdy był „drogi” albo „kochany”.

Carrie nie posiadała się z radości.

- Dobrze, panno Daisy Ray - odpowiadała. - A pani?

- Możliwie, możliwie - odpowiadała z uśmiechem Desiree i jeśli nawet pochwyciła krytyczne spojrzenie pani Crimp, udawała, że tego nie zauważa.

Wszyscy w domu kochali Desiree - z wyjątkiem dwóch guwernantek, które zamieszkały u nas, kiedy skończyłam pięć lat, i miały zadbać o moje podstawowe wykształcenie. Jedna odeszła po kilku miesiącach, gdyż trwające do późnej nocy zamieszanie w domu zakłócało jej nocny wypoczynek; druga zaś opuściła nas, aby uczyć córkę lorda, co bardziej odpowiadało jej aspiracjom.

Zazwyczaj jednak ludzie, kiedy już pogodzili się z faktem, że nasz dom nie przypomina żadnego innego, poddawali się urokowi Desiree - Martha Gee, z pewnego rodzaju szorstką czułością; pani Crimp z różnymi „och” i „ach”, z zaciskaniem ust i mrużeniem: „No, ciekawe, co jeszcze się może zdarzyć?”; pokojówka Jenny z najwyższą skwapliwością, bo w skrytości ducha marzyła, by stać się drugą Desiree; Carrie z autentycznym zachwytem, ponieważ nigdy dotąd nikt poza Desiree nie dał jej poczucia własnej ważności; woźnica Thomas zaś był szczerze oddany i głęboko przekonany, że ktoś tak sławny jak Desiree może zachowywać się nieco dziwnie, jeśli tylko ma na to ochotę.

Dla mnie natomiast Desiree była całym światem.

Przypominam sobie pewne zdarzenie, mogłam mieć wtedy około czterech lat. Późną nocą przebudziły mnie odgłosy śmiechu, dobiegające z dołu. Usiadłam w łóżku i nasłuchiwałam. Drzwi łączące moją sypialnię z pokojem niani były otwarte; podczołgałam się tam i zobaczyłam, że niania smacznie śpi.

Włożyłam szlafroczek i kapcie, po czym zesłam na dół. Śmiech dobiegał z salonu, stanęłam więc za drzwiami i słuchałam. Po chwili nacisnęłam klamkę i zajrzałam do środka.

Desiree siedziała na sofie, ubrana w powłóczystą, jedwabną suknię koloru lawendy; złote włosy miała wysoko upięte i związane przepaską z czarnego aksamitu, w której połyskiwały kamienie. Za każdym razem, kiedy na nią patrzyłam, uderzała mnie jej uroda.

Przypominała bohaterki z moich ukochanych bajek. Na ogół jednak wyobrażałam ją sobie jako Kopciuszka, kiedy był na balu i znalazł

swego księcia - tylko że Desiree miała ich kilku.

Dwaj mężczyźni siedzieli po obu jej stronach, a trzeci pochylał

się nad nią ze śmiechem. Ich czarne ubrania i białe koszule ładnie kontrastowały z lawendowym jedwabiem. Kiedy weszłam, wszyscy zamilkli i spojrzeli na mnie. Wyglądało to jak żywy obraz.

- Czy to jest przyjęcie? - zapytałam, sugerując, że chciałabym się przyłączyć.

Desiree wyciągnęła ręce i znalazłam się w jej słodko pachnących objęciach.

Przedstawiła mnie towarzystwu; dopiero wówczas uświadomiłam sobie, że oprócz niej i trzech mężczyzn w pokoju byli jeszcze inni.

- Oto mój skarb - powiedziała. - Na imię ma Noelle, ponieważ urodziła się w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia i jest najwspanialszym prezentem, jaki kiedykolwiek dostałam.

Już wcześniej często mówiła mi:

- Urodziłaś się w święta, nazwałam cię więc Noelle, bo to oznacza urodziny... urodziny w Boże Narodzenie. - Dodawała też, że spotkał mnie szczególny zaszczyt, bo mam wspólne urodziny z Jezusem.

Wtedy jednak głównie interesowało mnie przyjęcie i to, że mogę wziąć w nim udział.

Pamiętam, że siedziałam u Desiree na kolanach, a ona, udając powagę, przedstawiała mi niektórych gości.

- Oto Charlie Claverham, monsieur Robert Bouchere... a to Dolly.

To byli ci trzej, którzy siedzieli obok niej, kiedy weszłam do salonu. Przyglądałam im się uważnie, szczególnie owemu Dolly'emu, ponieważ jego imię wydawało mi się dość dziwne dla mężczyzny. Z

postury był trochę kanciasty, miał jasne, rudawe wąsy i otaczał go specyficzny, mocny zapach. Później, kiedy nabrałam w tych sprawach doświadczenia, wiedziałam już, że jest to pomieszana woń drogich cygar i whisky. Dowiedziałam się też, że to Donald Dollington, menedżer teatralny, w kręgach artystycznych pieszczotliwie nazywany Dollym.

Wszyscy się mną zajmowali, pytali o różne rzeczy, a moje odpowiedzi zdawały się ich bawić, dzięki czemu czułam się tam cudownie. W końcu zasnęłam i tylko niejasno zdawałam sobie sprawę, że Desiree odnosi mnie z powrotem do łóżka. Pamiętam swe rozczarowanie, gdy obudziwszy się nazajutrz, odkryłam, że przyjęcie już się skończyło.

Nasz dom znajdował się przy Drury Lane, w pobliżu teatru, co miało istotne znaczenie. Kiedy byłam jeszcze całkiem małą, wydawał

mi się olbrzymi i fascynujący; schody prowadziły tu do piwnicy, a z parteru aż na czwarte piętro. Z okien dzieciennego pokoju zawsze można było zobaczyć coś ciekawego, chociaż Desiree kazała zainstalować w nich kraty, żebym przypadkiem nie wypadła.

Handlarze sprzedawali rozmaite towary, rozkładali je na wózkach lub na tacach, które nosili przed sobą zawieszane na szyi. Oferowali gorące paszteciki i bułeczki, owoce, kwiaty, lawendę, szpilki i wstążki. Karety i powozy zawoziły ludzi do teatrów i odwoziły ich z powrotem. Uwielbiałam się temu przyglądać.

Kiedy miałam sześć lat, zamieszkała u nas panna Matylda Grey, żeby mnie uczyć. Było to wkrótce po tym, jak dwie poprzednie guwernantki odeszły w poszukiwaniu bardziej odpowiedniego dla siebie zajęcia. Na początku musiała być nieco oszołomiona i być może poszłaby w ślady swych poprzedniczek, gdyby nie to, że Matylda pragnęła zostać aktorką.

- Nie taką, jak twoja matka - zaznaczała. - Prawdziwą aktorką, a nie taką, która tylko śpiewa i tańczy w błahych komedijkach.

Uważnie przyjrzałam się Matyldzie Grey. Budową zupełnie nie przypominała tancerki. Moja matka była raczej wysoka i smukła, ona zaś miała figurę jak klepsydra. Była niska i przysadzista, a śpiewając, nieco fałszowała, ale przecież lady Makbet nie musiała śpiewać ani tańczyć. Jej ambicje, mimo że rozmijały się z możliwościami, sprawiły jednak, że trzymała się posady, która zbliżała ją chociaż trochę do świata teatru.

Po pewnym czasie przyzwyczała się do nas i jak mi się wydaje, z przyjemnością uczestniczyła w życiu naszego domu.

Najważniejszą osobą była Martha Gee, która pełniła funkcję garderobianej mojej matki, ale poza tym czuła się odpowiedzialna i za nią, i za nas wszystkich. Była to potężna kobieta o bystrych, ciemnych oczach, przed którymi niewiele mogło się ukryć, włosy miała starannie zaczesane do tyłu i ściągnięte w duży kok, ubierała się zawsze na czarno. Lubiła przypominać nam, że urodziła się w Londynie i jest prawdziwym dzieckiem londyńskiej ulicy. Była sprytna i przebiegła i, jak mówiła, „nic nikomu nie zawdzięcza, daje zaś z siebie, ile może... a nawet trochę więcej”.

Poznała moją mamę dawno temu, kiedy Desiree śpiewała jeszcze w chórze, a chyba nikt tak jak Martha Gee nie potrafił wyłowić prawdziwego talentu. Postanowiła wtedy wziąć ją pod swoje skrzydła i wskazać jej właściwą drogę. Martha miała około czterdziestki, wiedziała już co nieco o życiu i umiała dawać sobie w nim radę.

Często opowiadała nam, że jest związana z teatrem i zna wszystkie sztuczki, z którymi można się tam spotkać; na co trzeba uważać, a z czego należy czerpać pełnymi garściami. Podporządkowała sobie zarówno moją mamę, jak i nas wszystkich, byliśmy jednak przekonani, że to dla naszego dobra i że Martha wie wszystko najlepiej. Traktowała moją mamę, jakby była niesfornym dzieckiem.

Mama lubiła to jednak i często powtarzała: „Cóż ja bym zrobiła bez Marthy”.

Drugą osobą, bez której Desiree nie mogła się obejść, był Dolly.

Bywał on u nas częstym gościem.

Moje dzieciństwo było więc zupełnie nadzwyczajne. Zawsze działo się coś ciekawego i nigdy mnie od tego nie odsuwano. Żał mi było dzieci, które widywałam w parku, jak grzecznie spacerowały w towarzystwie swoich niań. Żyły zupełnie inaczej niż ja; wychowywano je zgodnie z zasadą, że dzieci powinno się widzieć, a nie słyszeć. Ja należałam do najbardziej niezwyklej rodziny, jaką można było sobie wyobrazić. Moją matką była sławna Desiree, ludzie przyglądali jej się, gdziekolwiek poszłyśmy. Niektórzy podchodzili, żeby powiedzieć, jak bardzo podobała im się w jakiejś sztuce, inni podawali jej programy teatralne z prośbą o autograf. Zawsze uśmiechała się miło i gawędziła z nimi przez chwilę, co napełniało ich podziwem i zachwytem, ja zaś stałam przy niej i uśmiechałam się z dumą, bo wydawało mi się, że jej chwała spływa i na mnie.

Starałam się jeszcze nie spać, kiedy wracała do domu. Jeśli była tylko sama z Martha, schodziłam do nich na dół. Siedziały w kuchni i jadły kanapki, popijając piwem lub gorącym mlekiem. Zaśmiewały się, przypominając sobie jakąś wpadkę na scenie albo starszego jegomościa, który „płonął z podziwu dla waszej wysokości!”, jak mawiała Martha.

Matylda Grey niechętnie patrzyła na to, że im towarzyszyłam, lecz wzruszała ramionami i nie protestowała; taka reakcja była dla niej jednym z kamieni milowych na drodze do stania się lady Makbet.

Czasami mama nie wracała do późna i wtedy wiedziałam, że nie ma sensu na nią czekać. Jadła wówczas kolację z Charliem Claverhamem albo z monsieur Robertem Bouchere, czy też z jakimś innym wielbicielem. Byłam wtedy rozczarowana, oznaczało to bowiem, że następnego dnia będzie długo spała i przed wyjściem do teatru będzie miała dla mnie niewiele czasu.

Dolly bywał u nas często i wtedy odbywały się długie narady.

Wiecznie sprzeczał się z mamą, czym na początku byłam przestraszona, lecz później zrozumiałam, że nie są to wcale poważne kłótnie.

Obrzucali się nawzajem wyzwiskami, które mogłyby szokować, ale ja byłam już do tego przyzwyczajona. Czasami Dolly opuszczał

salon, trzaskając drzwiami.

Zwykle siedziałyśmy wtedy w kuchni i słuchałyśmy, co się dzieje. Trudno byłoby ich nie słyszeć, gdybyśmy nawet nie chciały -

ale my oczywiście płonęliśmy z ciekawości.

- Tym razem źle to wygląda - mawiała pani Crimp. - Ale on tu wróci, wspomnicie moje słowa.

Oczywiście miała rację. Zawsze wracał. Następowало pojednanie i znów dom rozbrzmiewał czystym, mocnym głosem mojej matki, gdy uczyła się piosenek do nowej komedii muzycznej, którą dla niej wynalazł. Wizyty powtarzały się często, coraz więcej było piosenek do zaśpiewania, przy okazji wybuchały dalsze sprzeczki, ale nie było w tym nic groźnego. Potem zaczynały się próby, którym towarzyszyły kolejne spory, a w końcu nadchodziła próba generalna i premiera.

Pani Crimp uwielbiała to. Do wielu spraw miała stosunek krytyczny, ale do jej największych przyjemności należało krytykowanie każdego, kto nie chciał się jej podporządkować. Weźmy na przykład imię mojej matki.

- Desiree! - oznajmiła kiedyś pani Crimp szyderczo. - Toż to imię sen spędza z powiek!

Na co Jenny odparła, że według niej są tacy - i to nie jeden -

którym to imię zupełnie w łóżku nie przeszkadza.

- Wypraszam sobie takie gadanie u mnie w kuchni - oświadczyła surowo pani Crimp. - A szczególnie ... - tu znacząco kiwnęła głową w moją stronę.

Wiedziałam oczywiście, o co im chodzi. Wcale mi to nie przeszkadzało. Wszystko, co robiła moja matka, wydawało mi się doskonałe; to przecież nie jej wina, że tylu mężczyzn się w niej kocha.

Pani Crimp miała szczególny stosunek do imion. Wymawiała je tak, jak w jej pojęciu należało je wymawiać. Moją matkę nazywała więc „Daisy Ray”, a Roberta Bouchere, eleganckiego Francuza i naszego częstego gościa - „mesje Rabuś”. Co do mnie, to imię mamy wydawało mi się bardzo intrygujące. Kiedyś zapytałam ją, skąd się wzięło jej imię, i wszystko mi wyjaśniła.

- Desiree to moje sceniczne imię - powiedziała. - Nie otrzymałam go w kościele ani nic w tym rodzaju, sama je sobie nadałam. Mamy przecież prawo sami sobie wybrać imię, a jeżeli nasze własne nam się nie podoba, to przecież możemy je zmienić. Zgodzisz się ze mną, malutka?

Kiwnęłam głową energicznie, bo zawsze przyznawałam jej rację.

- Cóż, kiedyś i tak byś się dowiedziała... przecież we wszystkim bierzesz udział... więc posłuchaj, kochanie, opowiem ci, jak do tego doszło.

Leżałyśmy na jej łóżku. Ona miała na sobie bladoniebieski szlafroczek, a ja moje codzienne ubranie; było już wpół do jedenastej rano. Od kilku godzin byłam na nogach, ona jednak jeszcze nie wstała. To właśnie o tej porze najlepiej mi się z nią rozmawiało, może dlatego, że nie była jeszcze w pełni przebudzona.

- Jak się naprawdę nazywałaś? - zapytałam.

- A potrafisz utrzymać to w tajemnicy?

- O tak - zapewniłam ją skwapliwie. - Uwielbiam tajemnice.

- No więc nazywałam się Daisy (Daisy (ang.) - stokrotka (przyp.

tłum.)). Jeśli chodzi o Daisy, to pani Crimp trafiła w dziesiątkę. Ale do mnie to imię nie pasowało, kochanie. No powiedz, czy przypominam stokrotkę?

- Dlaczego nie? To ładny kwiatek.

- Daisy Tremaston - skrzywiła się, marszcząc nos.

- Według mnie brzmi to całkiem ładnie, a gdyby wiadomo było, że to o ciebie chodzi, brzmiałoby jeszcze lepiej.

Pocałowała mnie w czubek nosa.

- Bardzo miłe jest to, co mówisz, kochanie, zwłaszcza że rzeczywiście tak myślisz. Ja jednak uważałam, że jako aktorka potrzebuję innego imienia... takiego, które zostawałoby ludziom w pamięci. To ważne. Liczy się opakowanie, zawsze o tym pamiętaj.

Nawet prawdziwy aktorski geniusz, ktoś wspaniały, może mieć trudności z przebicciem się, jeżeli nie będzie odpowiednio promowany. Mówię ci, kochanie, w moim zawodzie liczy się wszystko, talent, wytrwałość, a czasem nawet poparcie odpowiednich osób.

- I opakowanie? - przypomniałam jej.

- No właśnie - zaśmiała się z uznaniem.

To był jej kolejny dar: dawała swemu rozmówcy poczucie, że nawet jego najzwyklejsza uwaga jest czymś szczególnym.

- Desiree. Coś w tym jest, prawda, kochanie? To znaczy

„Upragniona”. Słyszac to, od razu się myśli: Proszę bardzo, ta dama jest wyjątkowa. Wystarczy powiedzieć, że jesteś „upragniona”, a gotowi są w to uwierzyć; gdy masz przy tym odrobinę talentu, już prawie tak jest; jeżeli przy tym masz jeszcze trochę szczęścia, rzeczywiście to osiągasz. Zostałam więc Desiree na scenie i w życiu też. Oczywiście trzeba umieć temu sprostać. Inaczej mogą być kłopoty!

- Więc już nie jesteś Daisy.

- To odeszło z wczorajszym dniem. Tak zresztą brzmiał tytuł

jednej z moich pierwszych piosenek. Nieźle, co?

Zacząła śpiewać. Uwielbiałam słuchać, jak śpiewa.

Kiedy skończyła piosenkę o wspomnieniach, które odeszły z wczorajszym dniem, skierowałam rozmowę na to, co mnie interesowało.

- Czy to Dolly pomógł ci wymyślić Desiree?

- Dolly? Ale skąd! Jemu się to nie podobało. Uważał, że to nie jest w dość dobrym tonie. To cały Dolly. Nie zawsze się z nim zgadzam, chociaż muszę przyznać, że ma dobre oko i potrafi dostrzec talent. Ale nie. To było jeszcze przed Dollym, w czasie, kiedy mocno borykałam się z życiem. To dłuższa opowieść.

Ułożyłam się wygodniej i nadstawiłam uszu, ale nic już nie usłyszałam. Coś się z nią działo dziwnego, kiedy zaczynała mówić o przeszłości. Miałam wrażenie, jakby w jej umyśle opuszczały się jakieś zasłony. Wiedziałam, że dzieciństwo spędziła na wsi, w Kornwalii.

- Opowiedz mi o Kornwalii - poprosiłam.

Czekałam z zapartym tchem, bo zwykle, gdy poruszałam ten temat, kierowała rozmowę na inne tory.

- Ach, to nie było dla mnie - powiedziała sennym głosem. - Już kiedy byłam mała, marzyłam, żeby przyjechać do Londynu. Lubiłam, jak ktoś zatrzymywał się przejazdem w gospodzie. Była to zapadła dziura, ale od czasu do czasu zdarzało się, że przyjeżdżał tam ktoś z wielkiego miasta. Na przykład, pewien człowiek z Londynu, z którym rozmawiałam o teatrze. Wiedziałam, że nadejdzie wreszcie dzień, kiedy pojedę do Londynu. Moje miejsce było na scenie.

Zamilkła i bałam się, że zacznie teraz mówić o czymś innym.

- Tam była taka zatechła atmosfera - wyrzekła powoli. - Czułam, że to mnie... przytłacza. Wszystkie te niedzielne niasiadówki, wiesz, o co mi chodzi.

- Wiem, wiem.

- Zbyt wiele starych rozplotkowanych kobiet... ale i mężczyzn też. Nie mieli nic innego do roboty, tylko we wszystkim dopatrywali się grzechu. To była ich jedyna rozrywka. Nie uwierzyłabyś, ile grzechów potrafili wytropić w tej małej wiosce przy wrzosowiskach.

- Pięknie musiało być na tych wrzosowiskach.

- Ponuro, a gdybyś jeszcze usłyszała te wyjące wichry. I takie pustkowie... żadnych ludzi dookoła. Nim skończyłam sześć lat, już miałam tego dość. A później, kiedy już wiedziałam, czego chcę, nic nie mogło mnie tam zatrzymać. Nienawidziłam tej wioski i jej stłoczonych, ponurych domów. Modlitwy rano, w południe i wieczorem, a w każdą niedzielę dwa razy do kościoła. Lubiłam tylko śpiewanie, szczególnie kolędy: „Leży w żłobie”, „Aniołowie heroldowie”. Odkryłam, że mam dobry głos. Dziadek mówił, że muszę uważać, bo jestem próżna. Miałam cały czas pamiętać, że wszystkie dary pochodzą od Boga. Są one pokusą dla naszej pychy -

w dniu Sądu Ostatecznego okaże się, czy umieliśmy się temu oprzeć.

Posiadanie pewnych zdolności to żaden zaszczyt.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam o jej dziadku i chciałam dowiedzieć się czegoś więcej.

- Mieszkał z tobą?

- On powiedziałby raczej, że to ja mieszkałam z nim. Opiekował

się mną po śmierci mojej matki.

- Twój ojciec też zmarł? - zapytałam jakby mimochodem. Z

rosnącym zakłopotaniem czekałam, co odpowie. Czułam, że kwestię ojców należy poruszać z dużą ostrożnością. O swoim własnym nie udało mi się dowiedzieć niczego, poza tym że był

wspaniałym człowiekiem, kimś, z kogo mogę być dumna.

- Ach, gdzieś się zawieruszył - odparła lekko. - Szkoda, że nie widziałaś naszej chatki: okienka takie, że ledwie wpuszczały trochę światła, ściany z gliny wymieszanej ze słomą. Dwie izdebki na dole, dwie na górze. I wszystkie chałupy w całej wiosce takie same. Masz szczęście Noelle, że mieszkasz w domu takim, jak ten, w samym sercu Londynu. Ileż ja bym za to oddała, kiedy byłam w twoim wieku!

- Ale później to zdobyłaś.

- No tak. Rzeczywiście zdobyłam. I do tego, mój aniołku, mam ciebie.

- To lepsze niż chatka dziadka.

- Och tak. Mówię ci, kochanie, musiałam się stamtąd wyrwać.

Gdybyś to zobaczyła, zrozumiałabyś dlaczego.

Zabrzmiało to tak, jakby tłumaczyła się sama przed sobą.

- Chodziłam często na wrzosowisko. Leżało tam wiele starych gładów, podobno prehistorycznych. Tańczyłam wokół nich i śpiewałam na cały głos, cudownie to brzmiało i wtedy czułam się naprawdę wolna. W szkole zresztą też lubiłam śpiew, ale tam śpiewaliśmy tylko hymny i kolędy. Podchwytываłam jednak i inne piosenki: „Przyjedź na jarmark”, „Wczesnym rankiem” i „Barbara Allen”. Jak tylko usłyszałam jakąś nową piosenkę, od razu musiałam ją zaśpiewać. A jak lubiłam tańczyć! Z tym trzeba było bardzo uważać. Śpiewanie, zwłaszcza psalmów i kolęd, było tolerowane, ale w tańcu dopatrywano się już czegoś złego, chyba że były to tańce ludowe. Czasem w miasteczku tańczyło się dawne tańce kornwalijskie, to należy do tradycji i nie można było powiedzieć, że to grzech; potrafiłam wówczas przetańczyć tam cały dzień. Ale najbardziej lubiłam pisać na wrzosowiskach, szczególnie wokół

głazów. W świetle słońca wyglądały one jak młode dziewczęta i opowiadano, że były to dziewczyny zaklęte w kamień. Ktoś w rodzaju mojego dziadka musiał to wymyślić. Może odbywał się tam sabat?
W

tamtych czasach takie rzeczy się zdarzały. Tak, tańczyłam, odkąd sięgnę pamięcią. Ludzie nazywali mnie chochlikiem.

- Co to znaczy?

- Chochliki to takie małe ludziki. W tamtych stronach płatają wiele rozmaitych psikusów. Takie duszki... ale niezbyt dobre.

Doprowadzają ludzi do szału, każą im robić różne dziwne rzeczy.

Dlatego nazywa się je chochlikami. Raz wybrałam się do lasu odwiedzić starą wiedźmę. Tamtejsi ludzie są bardzo przesądni, wierzą w takie rzeczy, o jakich w Londynie nikt nawet nie słyszał. Wypatrują białych zajęcy, które oczywiście zwiastują jakieś nieszczęście, i gnomów w kopalniach, które diabelskimi sztuczkami ostrzegają grzeszników, że może ich spotkać coś strasznego.

- To brzmi niesamowicie. Chciałabym to zobaczyć.

- Pewne miejsca wydają się niesamowite, kiedy się o nich opowiada, ale mieszkać tam trudno. Ja miałam tylko jedno wyjście, musiałam się stamtąd wyrwać.

- Opowiedz mi o tej czarownicy, która mieszkała w lesie.

- Pochodziła z rodziny Pillarów. Członkowie tego rodu mają szczególny dar, ponieważ jeden z ich przodków pomógł wyrzuconej na brzeg syrenie powrócić do morza. Od tego czasu wszyscy Pillarowie obdarzeni są zdolnością przewidywania przyszłości. W

Kornwalii zresztą żyją jeszcze inni ludzie, którzy znają się na czarnej magii, na przykład każdy siódmy syn siódmego syna albo tak zwane stópki, czyli ci, którzy urodzili się stopami do przodu. Zdolności wszystkich tych ludzi są podobno przekazywane z pokolenia na pokolenie. Czarowników więc nie brakuje.

- To bardzo ciekawe. Skwitowała to wzruszeniem ramion.

- Moja Pillar przepowiedziała mi wspaniałą przyszłość. Miałam sama wybrać jedną z dwóch dróg, które się przede mną otwierały.

Ach, do dziś mam ją przed oczami i słyszę jej słowa: „Otworzą się przed tobą dwie drogi, miła. Wybierz jedną, a osiągniesz majątek i sławę. Wybierz drugą, a twoje życie będzie ciche i spokojne... wtedy jednak nigdy nie zaznasz spokoju ducha i będziesz sobie wmawiać, że tak właśnie należało postąpić”.

- Więc wybrałaś drogę prowadzącą do sławy i majątku. To naprawdę cudowne! Jaka mądra musiała być ta Pillar, że wszystko przewidziała.

- Cóż, kochanie, nie było to aż takie trudne. Cały czas przecież śpiewałam i tańczyłam, a tam wszyscy wiedzą, co kto robi. Nic się nie ukryje, a ja pewnie jeszcze opowiadałam wszem i wobec: „Pojadę do Londynu. Będę występować w teatrze”. Takie wieści szybko się rozchodzą. No, ale gdy ona mi to przepowiedziała, byłam już tego pewna.

- Co powiedział dziadek, kiedy wyjechałaś? Roześmiała się.

- Nie było mnie tam, to nie wiem. Mogę sobie tylko wyobrazić.

Stwierdził pewnie, że moja ucieczka to sprawka szatana, który już rozdmuchuje ogień, żeby szczególnie gorąco powitać mnie w piekle.

- Ale ty się nie boisz, prawda?

- Kto, ja? - wybuchnęła śmiechem. - Wcale w to nie wierz! Ja myślę, że jesteśmy tu po to, żeby się cieszyć. To my pójdziemy do nieba, rozumiesz, a nie ci, którzy tylko zatruwają innym życie.

- Jak dotarłaś do Londynu?

- Pracowałam po drodze, przeważnie w zajazdach. Zarobiłam trochę pieniędzy i jechałam dalej. Potem pracowałam w kawiarni, niedaleko stąd. Ludzie przychodzili tam po teatrze. Jeden z nich, stały gość, zainteresował się mną. Powiedziałam mu, że chciałabym występować na scenie, a on obiecał, że zobaczy, co się da zrobić.

Kiedy miałam wolne, spacerowałam, oglądałam teatry, czytałam nazwiska na plakatach i mówiłam sobie w duchu: „Kiedyś będą tu pisać o mnie”.

- No i tak się stało.

- Tak, ale nie od razu. Ten człowiek przedstawił mnie agentowi, który bez specjalnego entuzjazmu zgodził się ze mną spotkać, traktując to jako przysługę dla przyjaciela. Zaśpiewałam dla niego i chociaż udawał, że nie robi to na nim wrażenia, zauważyłam, że mu się podobało. Potem spojrzał na moje nogi, a ja wykonałam parę tańców. Przyniosło to taki skutek, że otrzymałam miejsce w tylnym rzędzie chóru. Dobrze to pamiętam, „Kapryśna Marysia”. Okropne przedstawienie, ale zawsze jakiś początek. Kazano mi brać lekcje tańca, więc brałam. Wszystko to nic wielkiego, ale od czegoś trzeba zacząć.

- To wtedy poznałaś Marthę.

- To był dobry dzień. Powiedziała: „Stać cię na dużo więcej”. Ja myślałam dokładnie tak samo. Nie podobało im się, jak się nazywam, zbyt trudno było wymówić - Daisy Tremaston. Agent zaproponował, żeby zmienić to na Daisy Ray. Dlatego zawsze chce mi się śmiać, kiedy pani Crimp i dziewczęta tak mnie nazywają. Posłuchaj, to już prawie to - Daisy Ray. Brzmi całkiem nieźle, jakby samo spływało z języka. Ale czy to łatwo zapamiętać? I wtedy mnie olśniło. Daisy Ray... Desiree. Właśnie tak. W moim zawodzie imię dużo znaczy.

Zostałam więc Desiree.

- I wybrałaś drogę prowadzącą do sławy i majątku.

- Ojej! Co ty robisz, dlaczego mnie zagadujesz? Już dawno powinnam wstać! Dolly będzie tu lada chwila.

Poczułam skruchę. Rozmowa dobiegła końca, ale dowiedziałam się czegoś nowego. Wiedziałam jednak, że zasłona opadnie, jeśli będę zbyt ciekawa. A najbardziej interesowało mnie to, co dotyczyło mojego ojca.

Miałam szesnaście lat i byłam dość dojrzała jak na swój wiek.

Zdążyłam się już wiele dowiedzieć o życiu teatralnym i trochę o świecie. Drzwi w naszym domu prawie się nie zamykały, ciągle ktoś przychodził albo wychodził. Rozmowy ciągnęły się bezustannie i przysłuchiwałam im się, jeśli tylko byłam w domu. Charlie Claverham i Robert Bouchere byli u nas stałymi gośćmi. Obydwaj mieli domy w Londynie, prócz tego Charlie miał posiadłość w hrabstwie Kent, a Robert we Francji. Przyjeżdżali do Londynu w interesach i obydwaj byli oddani mojej matce. Desiree miała jeszcze innych wielbicieli, którzy pojawiali się i znikali, ci dwaj jednak byli zawsze.

Nadszedł dzień, kiedy Dolly wpadł do nas w tym znanym mi już, szczególnym stanie ducha, zwiastującym, że znalazł coś, co według niego miało być wspaniałą rolą dla Desiree. Często zdarzało się, że to, co on uważał za wspaniałe, według niej było najzwyklejszą bzdurą; wtedy należało się przygotować na kłopoty.

Właśnie nadszedł taki dzień.

Siedziałam na schodach koło salonu i nasłuchiwałam. Zresztą wcale nie musiałam się wysilać. Ich podniesione głosy słyhać było prawie w całym domu.

- Te pieśni są okropne! - krzyczała mama. - Wstydziłabym się to śpiewać!

- Są piękne i spodobają się twojej publiczności.

- W takim razie nisko oceniasz moją publiczność.

- Wiem o twojej publiczności akurat tyle, ile trzeba.

- I według ciebie zasługuje ona wyłącznie na bzdury i tandetę.

- To już sama wymyśliłaś.

- Jeśli tak nisko mnie cenisz, to sądzę, że doszliśmy do punktu, w którym nasze drogi się rozchodzą.

- Uważam, że jesteś dobrą aktorką komedii muzycznej i wiele takich jak ty napytało sobie biedy, kiedy stwierdziły, że przerastają swoją publiczność.

- Dolly, nienawidzę cię.

- Desiree, uwielbiam cię, ale jesteś idiotką i mogę ci to powiedzieć. Do tej pory tkwiłabyś w tylnym rzędzie chóru, gdybym się tobą nie zaopiekował. No a teraz bądź grzeczna i zerknij jeszcze raz na „Maud”.

- Nie cierpię „Maud”, a te pieśni są żenujące.

- Ty i zażenowanie! Chyba jeszcze nigdy w życiu nie byłaś zażenowana! Przecież „Maud” to wielka opera w porównaniu z „Idź w ślady wodza!”

- Nie zgadzam się.

- I tytuł jest dobry: „Hrabina Maud”. To im się spodoba.

Wszyscy będą chcieli zobaczyć „Hrabinę”.

- Nienawidzę tego, nienawidzę, nienawidzę.

- W takim razie tylko jedno mi pozostaje, zaangażuję do tej roli Lottie Langdon. Zzieleniejesz z zazdrości, jak zobaczysz, co ona potrafi z tego zrobić.

- Lottie Langdon!

- A czemu nie? Świetnie by się nadawała.

- Głos jej drży w wyższych rejestrach.

- Niektórzy to właśnie lubią. I zachwyci ich fabuła. Historia małej sprzedawczyni, która okaże się córką lorda Jakiegoś tam.

Właśnie takie rzeczy oni lubią. No, to idę... zobaczyć się z Lottie.

Zapadło milczenie.

- W porządku - odezwał się wreszcie Dolly. - Dam ci jeszcze czas do jutra rana, a potem zażądam jasnej odpowiedzi. Tak albo nie.

Wyszedł z salonu. Przyglądałam się, jak odchodzi, po czym wróciłam do swojego pokoju. Byłam pewna, że już wkrótce mama rzuci się w wir prób do „Hrabiny Maud”.

Miałam rację. Dolly składał częste wizyty w naszym domu.

George Garland, pianista stale współpracujący z mamą, cały czas był

pod ręką, a wszyscy domownicy nucili melodie z „Hrabiny Maud”.

Dolly codziennie pojawiał się z jakimiś nowymi pomysłami, które usiłował przeforsować; Martha uganiała się w poszukiwaniu wykrojów i kupowała wszystkie potrzebne rzeczy. Był to stan dobrze

nam wszystkim znany, uspokajaliśmy się dopiero, kiedy milkiły nieodłącznie związane z tym okresem swary, a obawy dotyczące przedstawienia okazywały się bezpodstawne.

Premiera była już coraz bliżej i mama żyła w stanie ciągłego napięcia. Twierdziła, że zawsze była niespokojna o „Hrabinę Maud”, nie miała przekonania do tych piosenek i spodziewała się, że w pierwszej scenie ubrana będzie na niebiesko, nie zaś na różowo. Jest pewna, że kolor jej sukni kłócić się będzie ze strojami chóru, poza tym ma lekką chrypkę. A jeśli w dniu premiery rozboli ją gardło?

- Wyobrażasz sobie wszystkie możliwe nieszczęścia, które mogą ci się przytrafić - powiedziałam jej.
- Zawsze tak myślisz i jakoś nigdy nic takiego się nie zdarzyło. Publiczność będzie tobą zachwycona, a

„Hrabina Maud” przyniesie ci wielki sukces.

- Dzięki, kochanie. Pocieszasz mnie. Tylko że coś mi się akurat przypomniało. Prawdopodobnie nie będę mogła iść z Charliem na kolację dziś wieczorem.

- Jest w Londynie?

- Będzie, dzisiaj miał przyjechać. Po południu mam próbę, a ciągle nie jestem zadowolona z tańca z Garnetem w ostatniej scenie, kiedy on śpiewa „Kochałbym cię, nawet gdybyś wciąż była małą handlarczką”.

- Co ci się w tym nie podoba?

- Myślę, że on powinien podejść do mnie z drugiej strony... a ja muszę jeszcze przećwiczyć zakończenie, żeby przypadkiem nie spadło mi boa z piór, kiedy tak szybko się okręcam. Chodzi o to, że muszę dać znać Charliemu. Czy mogłabyś zanieść mu ode mnie liścik, kochanie?

- Oczywiście. A gdzie go znajdę?

Zadziwiło mnie nagle, że mimo bliskiej przyjaźni, jaka łączyła nas z Charliem, dotąd nie znałam jego londyńskiego adresu. Kiedy przyjeżdżał do Londynu, ciągle nas odwiedzał. Czasem można było nawet pomyśleć, że u nas mieszka. Możliwe, że mama go odwiedzała, ale ja nigdy. To samo odnosiło się do Roberta Bouchere... chociaż on, oczywiście, naprawdę mieszkał we Francji.

W każdym razie, obu tych mężczyzn otaczała jakaś mglista tajemnica. Przychodzili i odchodzili. Często zastanawiałam się, co robią, kiedy nie są u nas.

Teraz jednak nadarzała się okazja, by zobaczyć londyńskie mieszkanie Charliego, skwapliwie więc z tego skorzystałam.

Odnalazłam jego dom, znajdował się niedaleko Hyde Parku. Był

to mały, typowy osiemnastowieczny budynek z charakterystycznym wejściem i świetlikiem udającym pajęczynę nad drzwiami.

Zadzwoiłam i otworzyła mi schludnie ubrana pokojówka.

Wyjaśniłam, że chciałabym zobaczyć się z panem Claverhamem.

- Czy chodzi o pana Charlesa Claverhama, czy o pana Rodericka, panienko?

- Ach, o pana Charlesa, tak.

Wprowadziła mnie do salonu, umeblowanego stosownie do stylu całego domu. Ciężkie, aksamitne zasłony w oknie harmonizowały z delikatną zielenią dywanu i nie mogłam powstrzymać się przed porównaniem tej prostej elegancji ze znacznie mniej finezyjnym, współczesnym wystrojem naszego domu.

Pokojówka już się nie pojawiła, ale do pokoju wkroczył wysoki, szczupły młodzieniec, o ciemnych włosach i przyjaznym spojrzeniu brązowych oczu.

- Chciała pani widzieć się z moim ojcem, ale niestety nie ma go teraz, wróci dopiero po południu. Może mógłbym w czymś pomóc?

- Mam dla niego list, czy mógłby mu go pan przekazać?

- Ależ oczywiście.

- To od mojej matki, wie pan, Desiree.

- Desiree. Czy chodzi o tę aktorkę?

Wydało mi się dość dziwne, że Charlie, będąc jednym z najbliższych przyjaciół mej matki, nawet słówkiem nie wspominał o niej swemu synowi.

- Tak - odpowiedziałam, podając mu list.

- Oddam mu to, jak tylko przyjdzie - zapewnił. - A może pani usiądzie?

Zawsze miałam dociekliwą naturę, a ponieważ otaczała mnie jakaś tajemnica, podejrzewałam, że i inni mają swe sekrety. Chciałam dowiedzieć się jak najwięcej o nowo poznanych ludziach, teraz zaś czułam się szczególnie zadowolona. Skwapliwie skorzystałam więc z zaproszenia.

- Dziwne, że nigdy jeszcze się nie spotkaliśmy - odezwałam się. -

Moja mama i pański ojciec są przecież bliskimi przyjaciółmi.

Pamiętam pańskiego ojca jeszcze z czasów, kiedy byłam zupełnie mała.

- Cóż, ja dość rzadko bywam w Londynie. Właśnie skończyłem uniwersytet i przypuszczam, że teraz będę przebywał głównie na wsi.

- Słyszałam o waszej wiejskiej posiadłości, to w hrabstwie Kent, prawda?

- Tak, nie myli się pani. Czy zna pani Kent?

- Wiem tylko, że znajduje się w dolnym rogu mapy... dokładnie na samym skraju.

Roześmiał się.

- W takim razie nie za bardzo zna pani Kent. To trochę więcej niż brązowa plama na mapie.

- No to nie znam.

- A powinna pani. To wyjątkowo ciekawe hrabstwo. Zresztą przypuszczam, że każde miejsce jest ciekawe, kiedy zaczyna się je poznawać.

- I podobnie jest z ludźmi.

Uśmiechnął się do mnie. Widziałam, że bardzo chce mnie zatrzymać i szuka w myśli tematu, który by mnie zainteresował. Ja zresztą wcale nie chciałam jeszcze odchodzić.

- My cały czas mieszkamy w Londynie - powiedziałam. - To ze względu na pracę mojej mamy. Albo przygotowuje się do jakiejś sztuki, albo właśnie gra. Ma masę prób i tego rodzaju zajęć. Zdarzają jej się też okresy odpoczynku, tak się mówi, kiedy się czeka na nową rolę.

- To na pewno bardzo ciekawe.

- Fascynujące. Nasz dom jest zawsze pełen ludzi, mama ma mnóstwo przyjaciół.

- Nie wątpię.

- Niedługo będzie premiera. Teraz właśnie mama coraz bardziej denerwuje się, jak to wyjdzie.

- Rozumiem, że się niepokoi.

- I to jak. Dziś po południu będzie zajęta i nie wie, jak długo to potrwa. Dlatego musiała odwołać... Skinął głową.

- Cóż, dzięki temu mam przyjemność panią poznać.

- Ojciec musiał panu wiele o niej opowiadać. Interesuje się każdą jej sztuką, bywa na wszystkich premierach.

Zrobił zdziwioną minę, a ja ciągnęłam dalej:

- Więc po wyjeździe z Londynu będzie pan mieszkał aa wsi?

- Tak, muszę pomóc w prowadzeniu majątku.

- Majątku? A cóż to znaczy?
- Mamy dość dużo ziemi... gospodarstwa, pola i tak dalej. Trzeba się tym zajmować, to już od stuleci nasza tradycja rodzinna.
- Ach, rozumiem.
- Zajmował się tym mój dziadek i mój ojciec, i ja też będę.
- Ma pan jakieś rodzeństwo?
- Nie, jestem jedynakiem, więc jak pani widzi, tylko mnie to przypada w udziale.
- Ale przypuszczam, że pan to lubi?
- Oczywiście. Kocham naszą posiadłość. To jest mój dom, a jeszcze teraz te odkrycia... to naprawdę niezwykle.
- Jakie odkrycia?
- Mój ojciec nic wam na ten temat nie mówił?
- Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek wspominał o swej wiejskiej posiadłości. Może rozmawia o tym z moją mamą.
- Z pewnością opowiadał jej, co tam znaleziono.
- Nic nie słyszałam. Czy to tajemnica? Jeśli tak, to nie będę pytać.
- To żadna tajemnica, nawet pisały o tym gazety. Rzecz naprawdę niezwykła. Tysiąc lat temu morze sięgało niemal do naszych obecnych gruntów. Na przestrzeni setek lat ustąpiło nieco i teraz dzieli nas od morza około półtorej mili; to jest powolny proces, rozumie pani. Najciekawsze w tym wszystkim jest, że Rzymianie wykorzystywali to miejsce jako swego rodzaju port przeładunkowy, no i oczywiście wokół niego znajdowała się osada. Przypadkiem, podczas orania pola nad rzeką, odkopano jedną z ówczesnych willi, to fantastyczne odkrycie.
- Zabytki z czasów rzymskich.
- No właśnie. Mieszkamy na terenach, które kiedyś należały do Rzymian, to przecież ogólnie wiadomo. Najpierw wylądowali w Kent.

Znam takie miejsce w Deal... to tylko kilka mil od nas. Stoi tam tablica z napisem: „Tu w 55 roku p.n.e wylądował Juliusz Cezar”.

- To strasznie ciekawe!
- Będąc tam, można wyobrazić sobie wszystkich tych Rzymian wychodzących na brzeg ku zdumieniu

dawnych Brytyjczyków, którzy obserwowali ich z zarośli. Biedacy! Ale w rezultacie na dobre im to wyszło; Rzymianie zrobili dla Anglii wiele dobrego. Może sobie pani wyobrazić, jacy byliśmy przejęci, kiedy okazało się, że przebywali także na terenie naszej posiadłości!

- To dla pana bardzo ważne, prawda?

- Oczywiście, szczególnie, że trochę studiowałem archeologię, właściwie raczej jako hobby. Był czas, kiedy chciałem uczynić z tego swój zawód, ale wiedziałem, że muszę zająć się czymś innym.

Noblesse oblige i tak dalej.

- Ale wolałby pan być archeologiem?

- Kiedyś tak mi się zdawało, ale potem zrozumiałem, że wiąże się to także z rozczarowaniami. Człowiek marzy, że dokona cudownych odkryć... a tymczasem kopie i kopie i nie może tracić nadziei. Spotyka go jeden sukces, a tysiąc rozczarowań. Pojechałem kiedyś ze studentami na wykopaliska. Znaleźliśmy kilka kawałków ceramiki i mieliśmy nadzieję, że przed setkami lat należały one do jakiegoś rzymskiego czy saksońskiego gospodarstwa, okazało się jednak, że to jakaś gospodyni wyrzuciła te skorupy parę miesięcy temu!

- Cóż, tak w życiu bywa - roześmiałam się.

- Ma pani słuszość. Cały czas jednak mówię tylko o sobie, pomyśli pani, że zupełnie brak mi ogłady towarzyskiej.

- Ależ nie, jeśli druga strona jest zainteresowana tym, co pan mówi, a ja jestem bardzo ciekawa. Proszę jeszcze opowiedzieć o swoim domu.

- Jest stary.

- Tak się spodziewałam... skoro od stuleci całe pokolenia Claverhamów wypełniają swój obowiązek wobec majątku.

- Czasami myślę, że rodziny zdominowane są przez swe domy.

- A szczególnie pewni członkowie tych rodzin, którzy woleliby trochę pogrzebać w przeszłości, niż wypełniać ów rodzinny obowiązek?

- Widzę, że będę musiał uważać na to, co mówię. Ma pani zbyt dobrą pamięć.

To, co powiedział, bardzo mnie ucieszyło, sugerowało bowiem, że po naszym pierwszym spotkaniu nastąpią dalsze.

- To musi być cudowne, kiedy można prześledzić losy swej rodziny tyle pokoleń wstecz - powiedziała, pomna na fakt, że znajomość mojej własnej genealogii ogranicza się tylko do osoby mej matki.

- Pewne części domu są rzeczywiście bardzo stare, jeszcze saksońskie, ale podczas rozmaitych remontów na przestrzeni lat zatraciły pierwotny styl i charakter.

- Czy tam straszy?

- Cóż, z takimi starymi rezydencjami zawsze związane są jakieś legendy, więc i do nas zdążyło się przywiązać parę duchów.

- Chciałabym to zobaczyć.

- Musi pani do nas przyjechać. Chciałbym pani pokazać nasze rzymskie wykopaliska.

- Nigdy nie byliśmy... - zaczęłam.

- Nie. To dziwne. Goście bywają u nas często, moja matka lubi życie towarzyskie.

To mnie zaskoczyło, nigdy nie przyszło mi na myśl, że istnieje jakaś pani Claverham. Zapytałam więc:

- Pani Claverham rzadko przyjeżdża do Londynu, prawda?

- Jeśli idzie o ścisłość, znana jest raczej jako lady Constance. Jej ojciec był lordem, a ona zatrzymała rodowy tytuł.

- Lady Constance Claverham - wymamrotałam.

- No właśnie. Rzeczywiście nie przepada ona za Londynem.

Przyjeżdża od czasu do czasu... kiedy chce kupić coś do ubrania czy jakieś inne rzeczy.

- Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek była u nas.

Wiedziałabym przecież o tym, prawie zawsze jestem w domu.

Zauważyłam, że według niego w całej tej sytuacji kryje się coś dziwnego, a nawet tajemniczego.

- U nas ciągle jest ruch, tyle ludzi przychodzi i wychodzi -

ciągnęłam dalej. - Szczególnie wtedy, kiedy zbliża się premiera nowego przedstawienia.

- To nadzwyczajne mieć taką sławną matkę.

- Tak, to prawda. A przy tym jest ona najcudowniejszą osobą, jaką znam. Wszyscy ją kochają.

Opowiedziałam mu, jak to jest, kiedy trwają przygotowania do nowej sztuki. Wspomniałam o śpiewaniu i o próbach, bo mama często wzywała swych partnerów do domu, żeby przećwiczyć niektóre sceny.

- Kiedy gra jakąś rolę, to w pewnym sensie wciela się w nią, a my wszyscy musimy się z tym pogodzić. W tej chwili jest hrabiną Maud.

- A jaka jest hrabina Maud?

- To młoda sprzedawczyni ze sklepu, która tak naprawdę jest hrabiną i jeśli tylko chce coś powiedzieć, to zaraz wychodzi jej z tego piosenka.

- Więc to musical? - roześmiał się.

- W musicalu mama czuje się najlepiej. Lubi to, co robi, i to najbardziej ją cieszy. W tańcu i w śpiewie potrafi osiągnąć perfekcję.

Chciałabym, żeby już zaczęła grać „Maud”. Przed premierą zawsze jest w stanie napięcia, chociaż i ona, i my wszyscy wiemy, że będzie wspaniała. Później wszystko się uspokaja, a po pewnym czasie zaczyna być tym trochę znudzona. Wreszcie sztuka schodzi z afisza i wszystko zaczyna się od początku. Lubię okresy odpoczynku, wtedy więcej czasu spędzamy razem i świetnie się bawimy, aż znowu robi się niespokojna i wtedy pojawia się Dolly z nową sztuką.

- Dolly?

- Donald Dollington. Musiał pan o nim słyszeć.

- Ten aktor?

- Tak, aktor i producent. Wydaje mi się, że coraz częściej zajmuje się wystawianiem sztuk niż aktorstwem.

Zegar na kominku zaczął bić.

- Jestem tu już prawie godzinę - powiedziałam - a przyszłam tylko oddać list.

- Było niezwykle przyjemnie.

- Muszę już iść, w domu będą się martwić, co się ze mną stało.

Ujął moją dłoń i trzymał ją przez chwilę.

- Miło mi było panią poznać. Cieszę się, że przyszła pani z tym listem.

- Spodziewam się, że skoro jest pan w Londynie, ojciec przyprowadzi pana do nas.

- Bardzo bym chciał.

- Musi pan przyjść na premierę „Hrabiny Maud*.”

- Przyjdę.

- A więc do zobaczenia.

- Odprowadzę panią do domu.

- Ach, to niedaleko stąd.

- Mimo to odprowadzę panią.

Nalegał, a ponieważ jego towarzystwo sprawiało mi przyjemność, nie protestowałam.

Gdy doszliśmy na miejsce, zaprosiłam go, aby wszedł do środka.

- Bardzo chciałbym poznać pani matkę, wydaje się być cudowną osobą - odparł.

- Bo jest - zapewniłam go.

Weszliśmy do holu, z salonu dobiegały jakieś głosy.

- Jest w domu i chyba ma gościa - domyśliłam się. Mama usłyszała już, że wróciłam.

- Czy to ty, kochanie? - zawołała. - Chodź zobaczyć, kto do nas przyszedł.

- Czy ja...? - zaczął nieśmiało Roderick Claverham.

- Oczywiście. U nas zawsze ktoś jest. Otworzyłam drzwi do salonu.

- Okazuje się, że niepotrzebnie cię wysłałam - zwróciła się do mnie mama.

Koło niej na sofie siedział Charlie. Wpatrywał się w mojego towarzysza i natychmiast zauważyłam, że jest bardzo zakłopotany.

- Właśnie opowiadałam Charliemu, że napisałam do niego liścik, a ty poszłaś go odnieść - powiedziała mama.

Uśmiechnęła się do Rodericka, oczekując prezentacji.

- Desiree, to mój syn Roderick.

Wstała, podając mu rękę i z uśmiechem powiedziała, że cieszy się, iż może go poznać.

Widziałam jednak, że sytuacja jest niezręczna i że to za moją sprawą Charlie spotkał się u nas ze swym synem.

Mama świetnie potrafiła wybrnąć z trudnych sytuacji. Miałam wrażenie, że wszyscy odgrywamy jakąś scenę w przedstawieniu.

Rozmowa była raczej wymuszona, a Charliemu zupełnie odebrało głos.

- Jak to miło pana poznać - mówiła mama. - Czy na długo jest pan w Londynie? Pogodę mamy teraz śliczną. Co do mnie to bardzo lubię wiosnę, a pan?

Wyglądało na to, że ta sytuacja nawet ją bawi, i z łatwością podjęła rolę, jaką przypadło jej odegrać.

- Słyszałam o wspaniałych odkryciach na terenie waszej posiadłości - zagadnęłam Charliego.

- Ach tak, tak - podchwycił. - To rzeczywiście bardzo ciekawe.

Mama też musiała już o tym słyszeć. Powiedziała, że to naprawdę nadzwyczajne i że na pewno są z tego dumni, i jak cudownie jest odnaleźć coś, co przez tyle czasu ukryte było w ziemi. Potem zaproponowała Roderickowi kieliszek sherry, on jednak podziękował, mówiąc, że musi już iść i że miło mu było nas poznać.

- Śmiać mi się chce, kiedy pomyślę, że pisałam liścik do pańskiego ojca, a w tym czasie on był już w drodze do nas -

powiedziała mama.

Niedługo potem Charlie z synem wyszli. Kiedy zostałyśmy same, mama ułożyła się na sofie i uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Ach Boże, Boże, co myśmy narobiły? - jęknęła.

- O co tu w ogóle chodzi? - zapytałam.

- Módlmy się, żeby nic na ten temat nie doszło do uszu groźnej lady Constance.

- Dopiero dziś rano dowiedziałam się, że to jego żona. Nigdy nie sądziłam, że Charlie może mieć żonę.

- Większość mężczyzn ma... gdzieś tam poukrywane.

- A lady Constance ukryta jest w tym wspaniałym starym dworze, wśród rzymskich zabytków.

- Podejrzewam, że ona sama przypomina jakąś starą rzymską matronę.

- A jakie one były?

- Ach, to takie kobiety, które wszystko wiedzą, wszystko umieją, nigdy nie robią żadnego fałszywego kroku, posłuszne są wszelkim obowiązującym normom i oczekują, że każdy będzie postępował tak samo... i najczęściej potrafią zwykłym ludziom skutecznie zatruć życie.

- Charlie na pewno ci o niej opowiadał.

- Wiedziałam o istnieniu jakiejś lady Constance i niewiele poza tym. Ale chłopak jest sympatyczny, pewnie dlatego, że bardziej podobny do Charliego.

- Charlie jest jednym z twoich najlepszych przyjaciół i prawie nic ci nie opowiadał o swojej żonie!

Spojrzała na mnie i wybuchnęła śmiechem.

- Cóż, ta kwestia jest dość delikatna. Lady Constance nigdy nie zgodziłaby się na przyjaźń swego męża z jakąś trzpiotowatą aktorką, prawda? Dlatego też nigdy o mnie nie słyszała, a my też nie rozmawiamy o niej!

- Ale jeśli Charlie tak często jeździ do Londynu...

- W interesach, kochanie. Wielu mężczyzn prowadzi interesy, które zmuszają ich do częstych wyjazdów z domu. Ja po prostu jestem częścią interesów Charliego.

- To znaczy, że miałyby coś przeciwko jego wizytom u nas?

- Spokojnie można by się o to założyć.

- No a teraz jej syn się o tym dowiedział.

- Czułam, że nie powinnam była cię posyłać z tym listem.

Zrozumiałam to, jak już wyszłaś. Miałam nadzieję, że go po prostu doręczysz.

- Tak zamierzałam zrobić, ale pokojówka wprowadziła mnie do salonu. Myślałam, że przyjdzie tam Charlie, ale pojawił się Roderick.

Obawiam się, że to moja wina.

- Oczywiście, że nie. Jeśli w ogóle czyjaś, to moja, że cię tam wysłałam. No, chodź do mnie. Przestańmy się już tym martwić.

Charlie nie jest dzieckiem, Roderick też nie. On to zrozumie.

- Co zrozumie?

- No... potrafi zachować dyskrecję. To bystry młody człowiek, spodobał mi się.

- Mnie też się spodobał - przyznałam.

- Można się było spodziewać, że Charlie ma miłego syna, sam też jest miły. Szkoda, że musiał się związać z tą mozną i wyniosłą lady Constance. Zresztą może właśnie dlatego...

- Dlatego co?

- Dlatego przyjeżdża tutaj, kochanie. A zresztą, to tylko burza w szklance wody. O nic się nie martw. Roderick nie piśnie ani słówka, a Charlie niebawem otrząśnie się z szoku, jakim było to chwilowe spotkanie jego dwóch światów. I znów wszystko będzie tak, jak przedtem.

Zaczynałam to rozumieć i zastanawiałam się, czy rzeczywiście będzie tak, jak przedtem.

Zarówno wizyta Rodericka Claverhama, jak i jej ewentualne skutki niebawem poszły w niepamięć, gdyż premiera „Hrabiny Maud”

była już tuż - tuż. W domu panował zamęt. Wszystkich ogarnął

gorączkowy niepokój, w ostatniej chwili zdecydowano się jeszcze na zmianę tego lub owego. Desiree żywiłowo odmawiała, Dolly namiętnie ją przekonywał, Martha donośnym głosem przywoływała wszystkich do porządku. Tak, nie było to nic nowego.

I wreszcie premiera. Dzień, który ją bezpośrednio poprzedzał, pełen był szczególnego napięcia, mama chciała być sama, po czym niespodziewanie wezwała nas do siebie. Martwiła się; może należałoby coś zmienić w zakończeniu pierwszego aktu? Czy na tym etapie można jeszcze wprowadzić jakieś poprawki? Oczywiście jest już za późno. Och, co za głupota z jej strony, że nie pomyślała o tym wcześniej. Czy suknia, którą ma na sobie w pierwszym akcie, nie jest za obcisła albo za luźna, zbyt wiele odsłania, a może w ogóle jest zwykłą szmatą? To będzie koniec jej kariery. Kto w ogóle będzie jeszcze chciał ją oglądać po fiasku, jakie niewątpliwie teraz nastąpi?

Przecież to idiotyczna sztuka. Czy kto słyszał kiedykolwiek o hrabinie stojącej za ladą w sklepie tekstylnym?

- W tym rzecz, że nikt o czymś takim nie słyszał! - wykrzyknęła Martha. - To dobra sztuka, a dzięki tobie stanie się wielka. O ile oczywiście, zdołasz opanować swoje humory.

Dolly przechadzał się dookoła, od czasu do czasu przybierając dramatyczne pozy; przykładął dłoń do czoła, wzywał Boga na świadka swej udręki i błagał, by oszczędził mu dalszej pracy z tą kobietą.

- Boże Wszechmogący! - wołał. - Czemu nie pozwoliłeś mi zaangażować Lottie Langdon?

- No właśnie, Boże, dlaczego? - podjęła mama. - Rola tej głupiej hrabiny Maud świetnie by się dla niej nadawała.

Wtedy Dolly przyjął swą kolejną dramatyczną pozę i z rezygnacją godną Poncjusza Piłata wykrzyknął:

- Umywam ręce od całej tej sprawy! - Po czym ze stosownym gestem odwrócił się w stronę drzwi.

Oczywiście nie mówił tego poważnie, ale mama podjęła grę i błagała go teraz:

- Nie odchodź... Zrobię wszystko, co zechcesz... niech to będzie nawet Maud.

No i tak to szło. Dawniej mogłabym się obawiać, że grozi nam kompletna kłapa, ale teraz wiedziałam już, że są prawdziwymi profesjonalistami i nic takiego im się nie przydarzy. Tego, co mówili, nie należało traktować serio, oni po prostu nie chcieli kusić losu.

Zdążyłam się nauczyć, że ludzie teatru to najbardziej przesądne istoty na ziemi. Nigdy nie zapeszali,

mówiąc zawczasu: „To będzie wielki sukces”. Wtedy bowiem przewrotny los z pewnością pomieszałby im szyki. Zuchwałością było przypisywanie sobie jakiegokolwiek zasługi.

Kiedy więc mówili, że czeka ich kłapa, los znowu szydził: „Właśnie, że nie. Spotka was sukces”.

I wreszcie przyszła chwila, kiedy razem z Charliem i Robertem Bouchere siedziałam w łoży i spoglądałam w dół na scenę. Kurtyna uniosła się, a naszym oczom ukazało się wnętrze sklepu z tekstyliami.

Girlsy śpiewały i tańczyły, a kiedy w pewnej chwili rozbiegły się, ukazała się Desiree, która stała za ladą. Wyglądała urzekająco w sukni, która nie była ani za obcisła, ani za luźna, ani zbyt wiele nie odsłaniała, i zupełnie nie była zwykłą szmatą.

Publiczność zareagowała głośnym aplauzem, który zawsze towarzyszył jej pojawieniu się na scenie, i już po chwili Desiree śpiewała „Czym mogę pani służyć?”, a potem zaczęła tańczyć.

Podczas przerwy do łoży przyszedł Dolly. Powiedział, że widownia sprawia wrażenie zadowolonej i sztuce na pewno nie grozi fiasko. Desiree podbiła publiczność, gdy tylko pojawiła się na scenie.

- A więc już nie żałujesz, że nie zaangażowałaś Lottie Langdon?

- nie mogłam się powstrzymać.

Rzucił mi tylko kpiące spojrzenie, które miało zapewne oznaczać:

- Powinnaś już wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Odszedł, a my zasiedliśmy, by obejrzeć ostatni akt.

Zanim pogasły światła, zauważyłam, że ktoś siedzący na dole w krzesłach stara się przyciągnąć moją uwagę. Był to Roderick Claverham. Uniosłam dłoń i uśmiechnęłam się radośnie, chcąc dać mu znać, że go dostrzegłam. Odwzajemnił uśmiech. Spojrzałam na Charliego. Rozprawiał właśnie z Robertem Bouchere na temat przedstawienia i najwyraźniej nie zauważył swojego syna. Nie powiedziałam mu, że Roderick jest w teatrze, miałam już nauczkę.

Ciekawa byłam, czy Roderick też to rozumiał.

Potem kurtyna uniosła się, a my podziwialiśmy Desiree w scenie końcowej, kiedy pan młody o arystokratycznym pochodzeniu oświadczał: „Kochałbym cię, nawet gdybyś wciąż była małą handlareczką”, a Desiree odpowiadała mu, demonstrując najwyższe tony swego głosu.

Przedstawienie skończyło się. Publiczność szalała z zachwyty.

Desiree znowu pokazała się na scenie, wprowadzona przez mężczyznę, który kochałby ją, nawet gdyby wciąż była małą handlareczką. Pocałował ją w rękę, a potem także w policzek, co u widzów wywołało kolejny wybuch entuzjazmu. Wniesiono kwiaty, a Desiree zwróciła się do publiczności:

- Moi drodzy, moi drodzy... jesteście dla mnie zbyt mili.

Naprawdę nie zasługuję na to!

- Ależ tak. Ależ tak - odpowiedziała jej publiczność. Uniosła dłoń, jakby chcąc powstrzymać komplementy, i oświadczyła, że granie dla takiej publiczności to dla niej największa przyjemność.

- Wiedziałam, że pokochacie Maud, byłam o tym przekonana od pierwszej chwili, kiedy ją poznałam.

W tym momencie niczym echo powróciły do mnie jej słowa: „Co za głupia istota, dlaczego muszę grać taką idiotkę?”

To należało do gry, a gra stanowiła sens jej życia.

Publiczność tłoczyła się już do wyjścia. W tłumie jeszcze raz udało mi się dojrzeć Rodericka. Obejrzał się i uśmiechnął się do mnie.

Spojrzałam w stronę Charliego, teraz też nie zauważył swojego syna.

Razem z Charliem i Robertem poszłam do garderoby Desiree.

Martha szybko pomogła Desiree się przebrać, a potem wszyscy pili szampana.

Desiree pocałowała Dolly'ego i powiedziała:

- No to udało mi się.

- Byłaś wspaniała, kochanie - odparł Dolly. - Mówiłem ci przecież, że tak będzie, prawda?

- Wyraźnie czułam, jak bardzo widzom się to podoba.

- To ty im się podobałaś.

- Moi najmilsi!

- Wiesz, że jesteś cudowna.

- Dzięki, kochany. Powtórz to jeszcze raz. Uwielbiam tego słuchać. A oto i Noelle. Jak podobała ci się twoja mama, dziecino?

- Byłaś naprawdę znakomita.

- Bóg zapłać, moja słodka.

- Czy Noelle jest dość duża, żeby pić champagne? - zapytał

Robert z zabawnym francuskim akcentem.

- Dziś wieczorem tak - odparła mama. - No, kochani. Wypijmy za powodzenie tego przedstawienia... żebyśmy jednak nie grali go zbyt długo. Nie sędzę, abym była w stanie wytrzymać Maud przez dłuższy czas, wystarczy jednak, by odniosła sukces i by grać do końca przy pełnej widowni. A gdy przyjdzie pora, to niechby nam dała spokój.

Wypiliśmy za „Maud” i po mniej więcej półtorej godziny zaczęliśmy zbierać się do domu. Thomas czekał na nas z powozem.

Przed rozstaniem wymieniano jeszcze dalsze pocałunki, mama odbierała kolejne gratulacje, aż w końcu tylko we trzy znalazłyśmy się w powozie, mama, Martha i ja. Na ulicach nie było wielkiego ruchu, tłumy już się rozeszły.

- Na pewno jesteś zmordowana - zwróciłam się do mamy.

- Och tak, kochanie. Będę spała jutro aż do popołudnia.

- Ze świadomością, że „Maud” odniosła wielki sukces. Bo odniosła, prawda? - zapytałam.

- Oczywiście, wiedziałam, że tak będzie, kochanie - odparła mama.

Martha spojrzała na mnie i uniosła brwi.

- Cóż, przed samym przedstawieniem człowiek zawsze się denerwuje - mama próbowała się bronić.

- To naturalne, gdyby tak nie było, to i na scenie wyszłoby drętwo. Tak już w życiu jest, kochanie.

Kiedy dojeżdżaliśmy do domu, spostrzegłam jakąś dziewczynę.

Stała przy latarni, więc widziałam jej twarz. Wyglądała na przygnębioną i zastanawiało mnie, co mogła tu robić o tak późnej porze.

- Ciągłe tłucze mi się po głowie: „Ach, jestem tak zmęczona” i

„Czym mogę pani służyć?” - mówiła mama.

Thomas właśnie zeskoczył z kozła i otworzył przed nią drzwiczki powozu. Desiree wysiadła. Zauważyłam, że dziewczyna podeszła o krok bliżej, wciąż miała w twarzy wyraz napięcia. Zanim zdążyłam wysiąść, zaczęła się szybko oddalać.

- Widziałaś tę dziewczynę? - zapytałam.

- Jaką dziewczynę?

- Tę, która tu stała. Sprawiała wrażenie, jakby cię obserwowała.

- Pewnie chciała z bliska zobaczyć hrabinę Maud - wtrąciła Martha.

- Może, ale wydawała mi się jakaś dziwna.

- Jeszcze jedna wielbicielka teatru - skwitowała Martha. -

Niewątpliwie myśli, że będzie drugą Desiree. Większość z nich tak uważa.

- Chodźmy - powiedziała mama. - Nie wiem, jak wy, ale ja już prawie śpię.

Wiedziałam, że wcale nie będzie nam łatwo zasnąć. Zawsze tak bywało po premierze... Obecność Rodericka w teatrze sprawiła, że na nowo zaczęłam rozmyślać o Charliem, lady Constance i o związku łączącym Charliego z moją mamą; no a potem ta dziewczyna na ulicy.

Dlaczego zrobiła na mnie takie wrażenie? Ludzie często przystawali, żeby móc chociaż spojrzeć na moją matkę... Czekali na nią przed teatrem, a czasem nawet przed domem, bo prasa ujawniła, gdzie mieszka Desiree. Tak, Martha miała rację, ta dziewczyna musiała być wielbicielką teatru... chciała zobaczyć Desiree z bliska.

Nie było powodu do niepokoju. Premierę mieliśmy już za sobą.

Teraz przedstawienia biec będą zwykłym trybem i więcej czasu będę mogła spędzać z mamą...

Wypadek

Przedstawienia „Hrabiny Maud” szły w najlepsze, Desiree odniosła kolejny sukces. Był czwartek, trzy tygodnie po premierze; w teatrze grali poranek. Mama pojechała do teatru, a ja chciałam iść na zakupy i po przedstawieniu miałam po nią wstąpić. Thomas miał

odwieźć nas potem powozem do domu. Często tak bywało. Dzięki temu mogliśmy spędzić razem trochę czasu przed wieczornym przedstawieniem.

Gdy wyszłam z domu, zobaczyłam nadchodzącego ulicą Rodericka Claverhama.

- Witaj - odezwał się i przez moment staliśmy, uśmiechając się do siebie.

- A więc jesteś wciąż w Londynie - zagadnęłam pierwsza, zwracając się do niego już mniej oficjalnie niż poprzednio.

- Byłem w domu i wróciłem z powrotem.

- No i jak tam wykopaliska?

- Nic nowego na razie nie odkryli, to nie zdarza się tak często.

Miałem nadzieję, że cię spotkam. Byłem tu już parę razy i ciągle cię wypatrywałem. Dzisiaj miałem szczęście.

Zrobiło mi się przyjemnie, że szukał okazji, by mnie spotkać.

- Miałeś zamiar nas odwiedzić?

- Wydawało mi się, że w obecnym stanie rzeczy mogłoby to nie być mile widziane.

- Może masz rację.

- Podczas gdy przypadkowe spotkanie...

- To już, oczywiście, całkiem co innego.

- Gdzieś się wybierasz?

- Tylko na zakupy.

- Czy mogę ci towarzyszyć?

- Znudzi cię to.

- Na pewno nie.

- Właściwie te zakupy to nic szczególnie ważnego. Potem miałam tylko wstąpić do teatru i wrócić z mamą do domu.

- Może mógłbym cię odprowadzić.

- Przedstawienie skończy się dopiero za dwie godziny.

- Świetnie, więc możemy się trochę przejść. Pokazałabyś mi tę część Londynu. A może wstąpimy gdzieś na herbatę? Czy taki plan nie wydaje ci się nudny?

- Wręcz przeciwnie.

- No to idziemy?

- Ciebie szczególnie interesuje przeszłość, ale tu chyba nie ma nic tak starego, jak twoje rzymskie zabytki - mówiłam po drodze. -

Moja guwernantka jest bardzo przywiązana do tych okolic, jako że to dzielnica związana z teatrem.

- Pewnie dlatego też u was pracuje.

- Oczywiście chodzi i o moją mamę, ale prawdę mówiąc, Matyllda raczej lekceważy jej osiągnięcia. Niektórzy tak się zachowują, kiedy wydaje im się, że ktoś osiągnął szczyty, które są poniżej ich własnych ambicji. Tylko że oni nie robią nawet kroku, aby to osiągnąć. Wiesz, Matty uważa, że jest wielką aktorką, a praca guwernantki to dla niej tylko strata czasu.

- Sądzę, że powinna być bardzo dumna, że ma taką uczennicę.

- Nieźle się rozumiemy, ale tak naprawdę, interesuje ją tylko aktorstwo. Podejrzewam, że w głębi serca ona sama czuje, że to nie dla niej. Czy nie wydaje ci się jednak, że ludzie lubią żyć marzeniami?

- Bardzo możliwe.

- To całkiem łatwe. Matty może żyć we własnym świecie; wyobraża sobie chwile, kiedy jest na scenie i wspaniale gra lady Makbet, słucha owacji publiczności, dostaje bukiety kwiatów, a w porannych gazetach czyta o swoim talencie. Nie musi, tak jak moja mama, przeżywać tej całej nerwowej szarpaniny, niepewności i widma zbliżającej się premiery.

- Sądziłem, że twoja mama jest całkowicie pewna swego powodzenia.

- Odnosi sukcesy właśnie dlatego, że nie jest ich pewna... jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Ona mówi, że takie napięcie jest konieczne, żeby zagrać naprawdę dobrze. W każdym razie mogę ci powiedzieć, że nie jest łatwo być sławną aktorką i moim zdaniem marzenia Matty są znacznie przyjemniejsze niż rzeczywistość. Ona uwielbia wszystko, co ma związek z teatrem, ta okolica wprawia ją w sentymentalny nastrój, bardzo lubi tu ze mną spacerować.

- Ja też.

- Często rozmawiamy o dawnych czasach. Matty opowiadała mi o purytanach w epoce Cromwella, którzy zamykali teatry, uważając je za miejsca grzeszne. Matty jest tym szczerze oburzona. Swoją drogą, to musiało być niezwykle, kiedy teatry z powrotem zaczęły grać.

- Zgadzam się z Matty. Żywię głęboką niechęć do świętoszków, których cieszy pozbawianie innych ludzi przyjemności pod pretekstem, że to tylko dla ich dobra. Oni zaś pełni są samouwielbienia i przekonani o swej rzekomej cnocie.

- Ja myślę tak samo. Dobrze jednak, że przywrócono teatry.

Matty bardzo się interesuje dramaturgią okresu Restauracji. Dlatego też szczególnie dokładnie się tym zajmujemy i nawet się z tego cieszę.

Ona mówi, że dobrze mi to robi.

- Wygląda na to, że przy tobie ona też się uczy.

- Oczywiście. Chodziłyśmy po bibliotekach i znajdowałyśmy tam najprzeróżniejsze informacje. Na pewno zrozumiesz, jakie to zajmujące, ty masz przecież swoje rzymskie zabytki.

- Rzeczywiście to rozumiem. Kiedy idziesz tymi ulicami, wyobrażasz sobie, jak wyglądały dawno temu.

- Tak... jak chodzili po nich mężczyźni we wspaniałych perukach i kapeluszach z piórami... no i że była tu oczywiście Nell Gwynn, która sprzedawała pomarańcze na Drury Lane, a potem została aktorką, i cudowny król Karol. To wszystko takie romantyczne.

- A ty nie chcesz pójść w ślady matki i razem z nią występować na scenie?

- Zbyt wysoko cenię jej talent, by wyobrażać sobie, że mogłam go odziedziczyć. Moja mama ma piękny głos, a ja nie umiem śpiewać.

Jest też wspaniałą tancerką.

- I w odróżnieniu od Matty, nie wzdycha do ról klasycznych.

- „Hrabina Maud” i podobne role zupełnie jej wystarczają.

- Jest w nich świetna.

- Widziałam cię na przedstawieniu.

- Ja też cię widziałem.

- Nie zaczekałeś, wyszedłeś zaraz po przedstawieniu.

- Nie byłem pewien, jak się zachować. Lepiej nie podejmować żadnych działań, kiedy nie wiadomo, które jest właściwe.

- Rozumiem. Aha, to jest Vere Street. Odkryliśmy ciekawą historię na temat teatru, który kiedyś tu się mieścił. Założyli go Killigrew i Davenant, dwaj znani ludzie związani z teatrem. Tak im zależało, żeby teatry znowu zaczęły grać, że ten otworzyli już w kilka miesięcy po Restauracji. Matty twierdzi, że musieli być fantastyczni.

To oni dali kobietom prawo występowania na scenie. Przedtem role kobiece grali chłopcy. Wyobrażasz sobie coś takiego? Przez całe stulecia kobiety były bardzo źle traktowane. Chyba nadszedł już czas, żeby coś z tym zrobić. Zgodzisz się ze mną?

- Obawiam się, że gdybym tylko ośmielił się nie zgodzić, straciłbym całą twą sympatię, więc natychmiast przyznaję ci rację.

Roześmiałam się.

- Wcale nie chcę, żebyś zgadzał się ze mną tylko z tej przyczyny.

- Zapomnij o tym, co powiedziałem. To była głupia uwaga, zupełnie nie na miejscu w poważnej rozmowie. Tak, zgadzam się i jestem pewien, że jeśli tacy ludzie jak ty się tym zajmą, w krótkim czasie sytuacja zostanie uzdrowiona.

- Historia, którą ci chciałam opowiedzieć, dotyczy uwiedzionej kobiety. Była to jedna z pierwszych kobiet występujących na scenie.

Grała w teatrze przy Vere Street i była Roxa - ną w sztuce „Oblężenie Rodos”. Na przedstawieniu był lord Aubrey de Vere z Oxfordu, który zapalał do niej namiętnością. Ale de Vere nie mógł ożenić się z aktorką, a ona nie chciała mu ulec, jeśli jej nie poślubi. Ten łajdak sprowadził wówczas kogoś, kto udawał duchownego i niby to udzielił

im ślubu. Oszustwo wyszło na jaw, kiedy już było za późno.

- Myślę, że nie była pierwszą, którą to spotkało.

- Matty uwielbia gromadzić opowieści o aktorach. Mogłaby ci opowiedzieć o zuchwałości Colly Cibber albo o cnotcie Anne Bracegirdle.

- Opowiedz mi o tej cnotliwej.

- Była aktorką, która zmarła w połowie osiemnastego wieku, a wygląda na to, że była to epoka, kiedy żyło wielu ciekawych ludzi.

Jak na aktorkę, wyznawała surowe zasady moralne. Pomagała biednym. Ona przypomina mi trochę moją mamę. Mama dostaje setki listów z różnymi prośbami, przed teatrem zawsze ktoś na nią czeka z jakąś budzącą współczucie opowieścią.

- Twoja mama jest śliczna. Ma w twarzy taką łagodność...

delikatność. Jest piękna, ale prócz urody ma w sobie jakieś wewnętrzne piękno. Myślę, że ktoś, kto ma taką twarz, musi być naprawdę dobrym człowiekiem.

- Jak miło, że to mówisz. Muszę jej to powtórzyć, będzie rozbawiona. Ona wcale nie uważa się za dobrą, sądzi, że jest grzesznicą. Ale masz rację, jest naprawdę dobra. Często myślę, że to szczęście być jej córką.

Uścisnął mi ramię i zamilkliśmy na chwilę, po czym zapytał:

- A co się stało z Roxaną?

- Odkryliśmy, że niejaki Aubrey de Vere twierdził, że jest lordem Oxford. Jego matką była aktorka, z którą lord wziął kiedyś fałszywy ślub.

- To na pewno chodziło o nią, chyba że on uczynił stały proceder z tych fałszywych ślubów.

- Całkiem możliwe. I to jest właśnie najbardziej denerwujące w tych wszystkich historiach. Nigdy nie wiadomo, co w końcu z tego wynikło.

- Trzeba sobie wyobrazić. Co do mnie to mam nadzieję, że Roxana została wielką aktorką, a lorda de Vere los pokarał.

- Matty odkryła, że był on znany z rozwiązłości, lecz dowcipny i lubiany u dworu, przypuszczam więc, że występki uchodziły mu bezkarnie.

- Co za wstyd! Patrz, tu jest herbaciarnia. Wstąpimy na chwilę?

Potem możemy pójść do teatru i akurat zdążymy na koniec przedstawienia.

- Bardzo chętnie.

Herbaciarnia była mała i zaciszna; znaleźliśmy sobie stolik w kąci.

Nalewałam herbatę, a on opowiadał mi o wakacjach, które chciałby spędzić w Egipcie.

- Marzenie archeologa - powiedział. - Dolina Królów! Piramidy!

Tyle śladów starożytności, tylko sobie wyobraź.

- Właśnie usiłuję. To musi być cudowne przeżycie, kiedy się wejdzie do któregoś z tych królewskich grobowców... choć w pewnym sensie i przerażające.

- Właśnie. Myślę, że rabusie, którzy się tam zapuszczali, wykazywali nie lada odwagę. Kiedy przypomnieć sobie wszystkie mity i legendy towarzyszące tym miejscom, zdumiewające jest, czego ludzie nie zrobią dla zysku.

- Ależ to będzie dla ciebie ciekawe!

- Tobie też by się tam podobało.

- Z pewnością.

Spojrzał na mnie z uwagą, po czym powoli zamieszał herbatę i zamyślił się.

Po chwili odezwał się:

- Mój ojciec i twoja matka są od lat wielkimi przyjaciółmi, prawda?

- Och, tak. Mama często powtarza, że polega na nim bardziej niż na kimkolwiek innym. Robert Bouchere też jest jej wieloletnim przyjacielem, ale myślę, że twój ojciec jest dla niej ważniejszy.

W zamyśleniu skinął głową.

- Opowiedz mi o swoim domu - poprosiłam.

- Nazywa się dwór Levenson. Levenson był jednym z naszych przodków, ale jego nazwisko zaginęło, kiedy córka będąca dziedziczką majątku wyszła za mąż za Claverhama.

- A twoja matka?

- Ona oczywiście należy do Claverhamów tylko przez małżeństwo. Jej krewni mają posiadłości na północy. To bardzo stary ród, którego korzenie sięgają wiele stuleci wstecz. Claverhamowie mogą się równać z takimi rodami, jak Neville czy Percy, którzy bronili naszych północnych granic przed Szkotami. Mają portrety wojowników walczących w Wojnie Róż, a i tych, co jeszcze wcześniej walczyli ze Szkotami i Piktami. Mój ojciec, jak wiesz, jest bardzo łagodnym i miłym człowiekiem, wszyscy bardzo go tam u nas lubią. Matka natomiast budzi powszechny lęk i respekt, ale myślę, że to jej odpowiada. Sprawia wrażenie, jakby była świadoma, że wychodząc za ojca, popełniła megalomanię, co zapewne z punktu widzenia jej sfer jest zgodne z prawdą. W rzeczywistości jednak bardzo jest przywiązana i do ojca, i do mnie.

- Świetnie ją sobie wyobrażam, to dosyć groźna dama.

- Chciałaby dla nas tego, co najlepsze. Niestety problem polega na tym, że nie zawsze jesteśmy zgodni, co kto uważa za najlepsze, i to prowadzi do konfliktów. Gdyby tylko zdołała wyzbyć się tego przekonania, że ma trochę błękitniejszą krew niż mój ojciec; gdyby zrozumiała, że inni mają prawo robić to, co chcą, a nie to, co ona uważa dla nich za najlepsze... wtedy byłaby cudowną osobą.

- Widzę, że też ją lubisz, przecież w końcu jej błękitniejsza krew miesza się w twoich żyłach z tą mniej szlachetną krwią twojego ojca.

- Cóż, rozumiem ją. Jest naprawdę wspaniałą osobą, a w dodatku bardzo często ma rację.

Miałam poczucie, że wiele już wiem o lady Constance i o dworze Levenson. Jak bardzo chciałam to

wszystko zobaczyć!

To jednak było niemożliwe. Jednego byłam pewna: lady Constance nigdy nie zaakceptuje przyjaźni swego męża z aktorką, nawet najślawniejszą. Po tym spotkaniu nie należało więc spodziewać się niczego więcej niż po jakiegokolwiek innej przygodnej znajomości.

Nie mogliśmy bez końca tkwić przy stoliku, mimo iż Roderick sprawiał wrażenie, jakby nie miał nic przeciwko temu.

Spojrzałam na zegarek i powiedziałam, że przedstawienie już się kończy.

Opuściliśmy herbaciarnię i przeszliśmy kawałek drogi, jaki dzielił

nas od teatru. Zanim rozstaliśmy się przed wejściem, Roderick ujął

moją rękę i obdarzył mnie żarliwym spojrzeniem.

- Musimy spotkać się znowu - powiedział, a mnie było bardzo przyjemnie. - Jeszcze tyle powinienem się dowiedzieć o świecie teatru.

- A ja chciałabym usłyszeć więcej na temat rzymskich zabytków.

- Więc umówmy się, dobrze? - Tak.

- Kiedy będzie następny poranek?

- W sobotę.

- To może wtedy.

- Bardzo chętnie.

Serce we mnie śpiewało, kiedy wchodziłam do garderoby.

W garderobie zastałam Marthę.

- Niezbyt dobra widownia - powiedziała. - Nigdy nie lubiłam poranków, wieczorne przedstawienia to zupełnie co innego. I nie wszystkie

miejsca

zostały

wyprzedane.

Desiree

będzie

niezadowolona. Nienawidzi grać przed na wpół zapełnioną widownią.

- Widownia była do połowy pusta?

- No, nie, ale nie było kompletu. Na pewno to zauważyła, ma dobre oko i lepszy kontakt z publicznością niż większość aktorów.

Wbrew przewidywaniom Marthy mama była w dobrym nastroju.

- Jeffry poślizgnął się, kiedy obejmował mnie w piosence:

„Kochałbym cię, nawet gdybyś wciąż była małą handlarczką”.

Szarpnął mnie i urwał mi z tyłu guzik od sukienki, Martho.

- Co za niezgrabiasz z tego Jeffry'ego - stwierdziła Martha. -

Wyobrażam sobie, jak to głupio wyglądało.

- Wcale nie. Uwielbiają go... te jego złote włosy i zawadiacki wąsik. Połowa publiczności jest w nim zakochana. Co znaczy jedno małe potknięcie? To czyni go tylko bardziej ludzkim. Przychodzą go oglądać tak samo, jak mnie.

- Nonsens. To ty jesteś głównym atutem tego przedstawienia i nie wolno ci o tym zapominać. Nie po to urobiłam sobie ręce po łokcie, żebyś miała znaleźć się w cieniu Jeffry'ego Collinsa.

- Jeffry uważa, że to on przyciąga publiczność.

- No to niech sobie uważa, nikt poza nim tak nie sądzi. A co z tym guzikiem? Ach, do wieczora bez trudu da się to zreperować.

- Do wieczora. Tak, wieczorem znowu wszystko od początku.

Nie cierpię poranków.

- Noelle już przyszła i wróci z nami do domu.

- Jak to miło, kochanie. Udało ci się przedpołudnie?

- O tak... bardzo.

- Tak się cieszę, że przyszłaś.

- Lepiej się już zbierajmy - powiedziała Martha. - Pamiętajcie, że wieczorem jest przedstawienie.

- Nie przypominaj mi - westchnęła mama.

Przy wyjściu dla aktorów stały ze dwie osoby, które chciały jeszcze raz spojrzeć na Desiree.

Uśmiechnęła się i zamieniła parę słów ze swymi wielbicielami.

Thomas pomógł jej wsiąść do powozu, a ja i Martha usadowiliśmy się obok niej. Pomachała wesoło ludziom zgromadzonym na ulicy, a gdy ruszyliśmy z miejsca, oparła się i przymknęła oczy.

- Kupiłaś coś ładnego? - zapytała.

- Nie... nic nie kupiłam.

Już miałam jej opowiedzieć o spotkaniu z Roderickiem Claverhamem, ale się powstrzymałam. Nie byłam pewna, co sądziła o tym, że przyprowadziłam go do domu. Wtedy obróciła całą sprawę w żart, ale miałam wrażenie, że sytuacja ta była dla niej kłopotliwa.

Żyła, nie przejmując się ogólnie przyjętymi normami, i tak wiele potrafiła dać z siebie innym. Była wierna własnym wyborom i robiła, co chciała. Często przypominałam sobie, jak mówiła:

- Co w tym złego, jeśli tylko nie sprawia się nikomu bólu? Jak długo lady Claverham nie wiedziała o tej szczególnej przyjaźni, jaka łączyła jej męża ze sławną aktorką, komu to mogło przeszkadzać? Moralistom pewnie tak, ale Desiree nigdy do nich nie należała.

- Żyj i pozwól żyć innym - powtarzała. - Oto moje motto. Kiedy jednak oba światy Charliego, ten jawny i ten ukryty, otarły się o siebie, należało być może trochę się zastanowić.

Nie było to dla mnie jasne, nic więc nie powiedziałam o spotkaniu z Roderickiem.

Słuchałam, jak mam opowiada o przedstawieniu; na ten temat gotowa była mówić zawsze. W końcu skręciliśmy w naszą ulicę i koń jak zwykle zastrzygł uszami, co nas bardzo bawiło; pewnie by nawet przeszedł w galop, gdyby go Thomas nie powstrzymał.

- Kochany, wie, że już jest w domu - powiedziała mama. - Czyż to nie urocze?

Właśnie się zatrzymywaliśmy, kiedy się to zdarzyło. Dziewczyna musiała wbiec prosto pod konia. Nie wiem dokładnie, co się stało.

Wydaje mi się, że Thomas skręcił gwałtownie, żeby ją ominąć, a w moment później dziewczyna leżała jak długa na ulicy.

Thomas ostro zatrzymał konia i zeskoczył. Mama, Martha i ja poszliśmy w jego ślady.

- Mój Boże! - wykrzyknęła mama. - Ona jest ranna.

- Wpadła Chyżemu wprost pod kopyta - powiedział Thomas.

Podniósł dziewczynę.

- Czy jest poważnie ranna? - zapytała matka niespokojnie.

- Nie wiem, proszę pani. Ale nie wydaje mi się.

- Wnieś ją lepiej do domu, a potem wezwiemy doktora -

zadecydowała mama.

Thomas wniósł młodą kobietę do środka i ułożył ją na łóżku w jednym z dwóch wolnych pokoi. Zaraz nadbiegła pani Crimp i Carrie.

- Co się stało? Wypadek? Na Boga jedyne! Chyba świat się kończy - lamentowała pani Crimp.

- Pani Crimp, trzeba wezwać doktora - zwróciła się do niej mama. - Thomas, musisz po niego pojechać. Weź powóz i przywieź

doktora Greena. Biedna dziewczyna, jest taka blada.

- Wygląda tak, że palcem by ją tknąć i już się przewróci, wcale nie trzeba konia i powozu - zauważyła pani Crimp.

- Biedna dziewczyna - powtórzyła Desiree.

Przyłożyła dłoń do czoła dziewczyny i odgarnęła jej włosy z twarzy.

- Taka młoda - dodała.

- Myślę, że coś gorącego do picia dobrze jej zrobi - podsunęłam.

- I trzeba dobrze posłodzić.

Dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała na Desiree. Dostrzegłam w jej wzroku wyraz, który dobrze już znałam. Poczułam dumę, że nawet w takiej chwili jest przepelniona podziwem dla mojej mamy.

I wtedy ją rozpoznałam; to była ta sama dziewczyna, którą widziałam przed naszym domem, kiedy wracałyśmy z teatru po premierze.

Więc... przyszła tu zobaczyć Desiree. Z pewnością była jedną z tych fanatycznych wielbicielek teatru, które darzyły sławną aktorkę uwielbieniem i marzyły o tym, żeby zostać kimś takim, jak ona.

- Wydaje mi się, że to jedna z twoich wielbicielek... już ją kiedyś widziałam - powiedziałam do Desiree. - Stała przed domem... czekała, żeby na ciebie spojrzeć.

Nawet w takim momencie przejaw czyjegoś uznania sprawiał jej przyjemność.

Przyniesiono gorącą herbatę i mama podała dziewczynie filiżankę.

- No, już lepiej - powiedziała. - Doktor niedługo przyjedzie i zobaczy, czy to coś poważnego.

Dziewczyna uniosła się nieco, ale mama łagodnie ją powstrzymała.

- Nie wstawaj. Musisz odpocząć, przeżyłaś wielki wstrząs.

- Już... już dobrze - wyszeptała dziewczyna.

- Nie, wcale nie... przynajmniej nie na tyle, żebyś mogła już pójść. Zostaniesz tu, dopóki ci nie powiemy, że możesz odejść. Czy chciałabyś może kogoś zawiadomić... Może ktoś się o ciebie niepokoi?

Potrząsnęła głową i odparła cicho, a ton jej głosu mówił więcej niż słowa:

- Nie... nie mam nikogo.

Usta jej drżały i w oczach mamy dostrzegłam wyraz głębokiego współczucia.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- Lisa Fennell.

- Cóż, Liso, zostaniesz tu przynajmniej na jedną noc - rzekła mama. - A na razie poczekajmy na doktora.

- Nie wydaje mi się, żeby doznała jakichś poważniejszych obrażeń - powiedziała Martha. - To tylko szok, nic poza tym. A pani ma wieczorem przedstawienie i wiadomo, jaki jest pośpiech w te wszystkie dni, kiedy są poranki. Należałoby w ogóle skończyć z porankami, gdyby mnie kto pytał.

- Ale nikt cię o to nie pyta, Martho. Sama dobrze wiesz, że liczy się każdy grosik, który uda nam się wycisnąć z publiczności, jeśli mamy grać to dalej.

- Myślę, że dalibyśmy sobie radę i bez poranków - nie ustępowała Martha.

- Pomyśl o ludziach, którzy mają tylko pół dnia wolnego w tygodniu.

- Ja myślę o nas, złotko.

- Naszym obowiązkiem w życiu jest myśleć o innych...

szczególnie w teatrze.

- Dostyc trudno byłoby mi to zauważyć.

Dziewczyna leżąc na łóżku chłonęła chciwie każde słowo.

Doszłam do wniosku, że nic poważnego jej się nie stało. Doktor także to potwierdził.

- Ma tylko kilka sińców - powiedział nam, gdy ją zbadał. - Jest oczywiście w szoku, ale za dzień czy dwa powinna dojść do siebie.

- Chcę zatrzymać ją tu na noc - powiedziała mama.

- To dobry pomysł. A jej rodzina?

- Wygląda na to, że nie ma żadnej rodziny.

- W takim razie rzeczywiście najlepiej będzie, jeśli zostanie tutaj.

Dam jej jakiś łagodny środek uspokajający, dzięki któremu będzie dobrze spała, dopilnujcie tylko, żeby go wzięła, kiedy będzie już gotowa do snu. Potem zostawcie ją w spokoju.

- A teraz musimy się już szykować, żeby nie sprawić zawodu publiczności - stwierdziła Martha. - Przychodzą, żeby zobaczyć madame Desiree, a nie jej dublerkę Janet Dare.

- Biedna Janet, też chciałaby mieć szansę pokazać, co umie -

powiedziała mama.

- Cóż, wszyscy dobrze wiemy, co umie i że to trochę za mało.

Kiedy mama pojechała do teatru, poszłam do pokoju dziewczyny i stanęłam przy jej łóżku.

- Jesteście dla mnie tacy mili - odezwała się.

- Chociaż tyle możemy zrobić. A jak doszło do tego wypadku?

- To była moja wina, nie uważałam. Taka byłam przejęta; nie zauważyłam, że powóz jeszcze się na dobre nie zatrzymał. Bardzo podziwiam Desiree, już trzy razy widziałam „Hrabinię Maud” ...

oczywiście z galerii; na lepsze miejsce nie mogę sobie pozwolić.

Doprowadza mnie do szafu, kiedy przede mną siedzi ktoś duży i gruby i wszystko zasłania. Ale ona jest cudowna.

- Wiele osób tak sądzi.

- Wiem. Jest jedną z najlepszych, prawda? A ty jesteś jej córką.

Ale masz szczęście!

- Opowiedz mi o sobie. Czym się zajmujesz?

- W tej chwili niczym.

- Chcesz być aktorką? - podsunęłam.

- Zgadłaś.

- Tyle jest aktorek. Wiesz, ludzie oglądają moją mamę na scenie i wydaje im się, że to takie wspaniałe życie. A tak naprawdę, to przede wszystkim niezwykle ciężka praca. Rozumiesz, to wcale

nie jest takie łatwe.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Nie jestem taka, jak tamci ludzie.

Zawsze chciałam występować.

Popatrzyłam na nią ze smutkiem.

- Umiem grać, śpiewać i tańczyć - zapewniła żarliwie. - Mówię ci, naprawdę to umiem.

- Masz w tym jakieś doświadczenie?

- Występowałam już na scenie, śpiewałam i tańczyłam.

- Gdzie?

- W przedstawieniach amatorskich. Byłam pierwszą aktorką w naszym zespole.

- To nie to samo - powiedziałam łagodnie. - Dla profesjonalistów to się tak bardzo nie liczy. Ile masz lat? Przepraszam, nie powinnam się tak dopytywać. Zachowuję się, jakbym była agentem teatralnym.

- Chcę, żebyś tak się zachowywała. Widzę, że dzięki swojej matce masę wiesz na ten temat. Mam dopiero siedemnaście lat. Ale czuję, że nie mogę już dłużej czekać.

- Od jak dawna jesteś w Londynie?

- Już trzy miesiące. - I co robisz?

- Próbuję znaleźć agenta.

- Bez powodzenia?

- Nie byli mną zainteresowani. Wszystko się rozbija o mój brak doświadczenia. Nawet nie miałam okazji zademonstrować im swoich umiejętności.

- Skąd pochodzisz?

- Z miejscowości, która nazywa się Waddington, to mała wioska.

Prócz tych, którzy tam mieszkają, nikt o niej nie słyszał. To niedaleko Hereford. Tam, oczywiście, nie miałam żadnych perspektyw; mogłam najwyżej śpiewać w kościelnym chórze i być główną atrakcją tamtejszych koncertów.

- Rozumiem.

- I kiedy zobaczyłam twoją matkę w „Hrabinie Maud”, zapragnęłam być taka jak ona. Jest cudowna. Widownia ją uwielbia i ani na moment nie spuszcza z niej oczu.

- Więc wyjechałaś z tej miejscowości pod Hereford. A co na to twoja rodzina?

- Nie mam już żadnej rodziny... ani domu. Ojciec dzierżawił

niewielkie gospodarstwo, gdzie mieszkaliśmy w miarę spokojnie, póki nie umarł. Matka zmarła, jak miałam pięć lat, więc mało już ją pamiętam. Zajmowałam się domem i pomagałam trochę przy gospodarstwie.

- Rozumiem. A przy tym cały czas chciałaś być aktorką. Czy twój ojciec o tym wiedział?

- O tak, ale on myślał, że tylko tak sobie marzę. Był ze mnie bardzo dumny, kiedy śpiewałam na koncertach. Siedział wtedy w pierwszym rzędzie i nie spuszczał ze mnie wzroku. Rozumiał mnie, ale był typem człowieka, który poddaje się, gdy uzna, że coś jest nieosiągalne. Ja jestem inna, staram się to zrealizować.

- Tylko w ten sposób można do czegoś dojść. Mojej mamie też nie przyszło to łatwo.

- Tak przypuszczałam. Bez wysiłku nie osiągnęłaby takiej perfekcji. Po śmierci ojca postanowiłam spróbować szczęścia. Nigdy bym sobie nie darowała, gdybym tego nie zrobiła. Ojciec miał wylew; pielęgnowałam go, ale po sześciu tygodniach zmarł. Wtedy wszystko sprzedałam i przyjechałam do Londynu.

- Więc jesteś tu już trzy miesiące i wciąż znajdujesz się w tym samym punkcie, co na początku.

- Tylko znacznie uboższa.

- Obawiam się, że taki los jak twój bywa udziałem wielu osób.

Mnóstwo ludzi ma ambicje, lecz tylko nielicznym się udaje.

- Wiem, ale ja chcę spróbować. W jaki sposób wybiła się twoja matka? Wywalczyła to sobie. I ja mam zamiar zrobić to samo.

- Wiem, co czujesz, ale teraz powinnaś odpocząć. Weź to lekarstwo, które zostawił ci doktor, i śpij. Tylko najpierw może byś coś zjadła... Tak, myślę, że dobrze ci to zrobi. Potem pewnie będziesz już śpiąca.

- Jesteś taka dobra.

Zostawiłam ją i poszłam do kuchni. Musiałam tam dokładnie opowiedzieć wszystko, co zaszło, a moje słuchaczki chłonęły chciwie każde słowo.

- Panna Daisy Ray jest taka dobra, ona się bardzo przejęła, że jej powóz potrafił tę biedną dziewczynę - powiedziała pani Crimp.

- Może pani być zupełnie spokojna, że zrobi wszystko, co może, żeby jej pomóc - odparłam. - A teraz, czy mogłaby pani kazać zanieść jej na górę coś do jedzenia?

- Udko kurczaka czy coś w tym rodzaju? A może trochę zupy?

- Właśnie coś takiego, pani Crimp.

- Zaraz się tym zajmę, bądź spokojna.

- Ja jej zaniosę - zaofiarowała się Jane.

Wróciłam do Lisy Fennell i powiedziałam jej, że wkrótce dostanie coś do jedzenia. Po chwili przysłała Jane z tacą. Przyglądała się Lisie z ciekawością i miała ochotę na pogawędkę. Łączyło je obie coś wspólnego: i jedna, i druga pragnęła sławy, jaką cieszyła się Desiree.

- Wszyscy tu są tacy mili - powiedziała Lisa Fennell.

- To dzięki miss Daisy Ray - oświadczyła Jane. - Ona zawsze taka jest.

Jane wyszła, a Lisa Fennell zjadła wszystko z apetytem; obawiałam się, że może dostała za mało. Wyobraziłam sobie, że oszczędza każdy grosz - byłam pewna, że jej się nie przelewa. Na pewno cały czas zastanawiała się, na jak długo starczy jej pieniędzy, i miotła się między nadzieją a rozpaczą. Nieszczęsna dziewczyna!

Podaliśmy jej lekarstwo.

- Od tego poczujesz się senna - rzekłam. - Doktor mówił, że najbardziej potrzeba ci właśnie snu. Rano już będziesz czuła się lepiej.

Posiedziałam z nią jeszcze chwilę, była coraz bardziej senna i po kilku minutach już spała. Wtedy po cichutku wymknęłam się z pokoju.

Czekałam, aż mama przyjedzie z teatru, żeby opowiedzieć jej o Lisie Fennell.

Po powrocie zwykle pół godziny spędzała w salonie; mówiła, że musi ochłonać po przedstawieniu. Często wysyłała wtedy Marthę do kuchni po coś do picia, szklankę gorącego mleka albo piwo - zależy, na co miała akurat ochotę. Twierdziła, że pomaga jej to się odprężyć.

Po jej nastroju zawsze mogłam rozpoznać, jak udało się przedstawienie. Tym razem widać było, że wszystko poszło dobrze.

- No i co z tą dziewczyną? - zapytała. - Zapomniałam, jak ona się nazywa.

- Lisa Fennell. Już śpi. Zjadła porządną kolację, a potem dałam jej środek uspokajający i zaraz usnęła. Zaglądałam do niej z godzinę temu, ale spała. Niedługo wydobrzeje.

- Mam nadzieję, że nie ma żadnych poważniejszych obrażeń.

- Oczywiście, że nie - zachnęła się Martha.

- Nigdy nie wiadomo z całą pewnością. Nie zawsze wszystko można od razu stwierdzić. Coś może wyjść na jaw dopiero za jakiś czas, a to był przecież nasz powóz.

- Sama pod niego wbiegła.

- Dzięki Bogu, że już się zatrzymywaliśmy.

- Rozmawiałam z nią, ona chce zostać aktorką - poinformowałam mamę.

Martha cmoknęła i wzniosła oczy w górę.

- Biedna dziewczyna - powiedziała mama. - Czy już gdzieś występowała?

- W przedstawieniach amatorskich - odparłam.

- Boże zachowaj! - mruknęła Martha. - I już jej się wydaje, że jest drugą Desiree.

- Niezupełnie... ona uważa, że Desiree jest cudowna. Chciałaby tylko także móc spróbować swych sił na scenie. Powtórzyłam im to, co mi opowiedziała.

- Najlepsze, co może zrobić, to spakować manatki i wracać tam, skąd przyszła - orzekła Martha. - Niech znajdzie sobie jakiegoś gospodarza na męża i niech doi krowy.

- Skąd wiesz? Może ona ma talent - oburzyła się mama. - W

każdym razie musi jej bardzo zależeć, skoro przyjechała do Londynu.

- To, że komuś na czymś zależy, wcale jeszcze nie znaczy, że ma talent, o czym powinna pani wiedzieć.

- Jest to jeden z czynników koniecznych, by osiągnąć sukces.

- Jak chleb bez drożdży, który nigdy nie wyrośnie.

- Odkąd to jesteś taką specjalistką w sprawach kuchennych?

- Dość długo mam już do czynienia z teatrem, żeby znać się na sprawach teatru, i wiem, że na każdego, kto zrobił karierę, przypada dziesięć tysięcy takich, którzy usiłują pójść w jego ślady.

- Niektórym z nas się to udaje. Czemu tej dziewczynie miałyby się nie udać? Sądzę, że powinna mieć przynajmniej jakąś szansę. Coś już przecież robiła u siebie na wsi.

- Wiejska publiczność to nie publiczność londyńska.

- Oczywiście, że nie. Ale uważam, że nie należy rezygnować z dziewczyny, zanim da jej się szansę pokazać, co umie.

- Będzie więc pani chciała stworzyć jej taką szansę, prawda? Tak jak było ze wszystkimi innymi,

którym chciała pani pomóc. Ładnie się potem odwzięcały, co? Niektóre miały czelność obwiniąć panią, bo sądziły, że sukces będzie im podany na talerzu, a gdy się tak nie stało, uważały, że pani utrudnia im robienie kariery. Mówiły, że im pani zazdrości. Niech nas Bóg broni od dalszych takich bzdur.

- Uważam, że każdy powinien mieć szansę - upierała się mama.

- Przyjechała do Londynu - wtrąciłam się. - Wierzy w siebie, a słyszałam, jak mówiłyście kiedyś, że to ma duże znaczenie, jeśli chce się osiągnąć cel.

- Można by chociaż sprawdzić, co ona umie - powiedziała mama.

- Zanim podejmie się pani swego samarytańskiego dzieła, proszę nie zapominać, że ma pani sześć przedstawień tygodniowo, a do tego dwa poranki.

- Pamiętam o tym, ale uważam, że każdemu trzeba dać szansę -

odparła z ziewnięciem. - Dzisiaj było dobre przedstawienie. Tyle razy wywoływali nas przed kurtynę, myślałam, że nie wyjdziemy stamtąd aż do rana. Lubię taką owację na stojąco. Wygląda na to, że „Maud”

będzie grana jeszcze przez dłuższy czas.

- Wygląda też na to, że już czas spać - zauważyła Martha szorstko.

- Wiem - zgodziła się mama. - Rano nigdy nie mogę wstać.

Myślałam o tym, jaka jest dobra i miła. Naprawdę zależało jej na tej dziewczynie. Mimo sukcesu, jaki odniosła w dzisiejszym przedstawieniu, myślała przede wszystkim o niej i byłam pewna, że zrobi wszystko, żeby jej pomóc.

Najwyższą cnotą, pomyślałam, jest współczucie dla innych. W

porywie serca podeszłam i pocałowałam ją.

Lisa Fennell przebywała u nas już od ponad tygodnia. Mama słuchała jej śpiewu, dziewczyna miała całkiem dobry głos; wystarczyłoby kilka lekcji, aby go odpowiednio ustawić. Tańczyła też nieźle. Ustalono, że skorzysta z pomocy nauczyciela śpiewu, znajomego Desiree.

Desiree odnosiła się do tych planów z żywiołowym entuzjazmem.

Według Marthy miała naturę samarytanki i niańczyła swoje kulawe kaczęta, wykazując przy tym dużą dozę naiwności. Upierała się, że skoro to jej powóz brał udział w wypadku, miała teraz pełne prawo, a nawet obowiązek zająć się trochę dziewczyną będącą w okropnym położeniu. Lisa borykała się z losem, nie miała środków do życia i mama uznała za zupełnie naturalne, że powinna wziąć ją pod swoje skrzydła.

Lisa miała więc na razie zostać u nas, dopóki nie będzie odpowiednio „urządzona”.

Jej nieliczne rzeczy zostały zabrane z poprzedniego mieszkania i gdy je dostarczono do nas, obydwie z mamą wstrząśnięte byłyśmy ich ubóstwem. Podzielałam uczucia mamy wobec Lisy i tak jak ona chciałam jej pomóc. Strasznie nam było żal tej dziewczyny.

Po trzech lekcjach u nauczyciela śpiewu mama powiedziała do mnie i do Marthy:

- Sądzę, że Dolly spokojnie mógłby dać jej miejsce w chórze, wcale nie ma za dużo dziewcząt.

- Nie ma za dużo chórzystek?! Co też pani opowiada! -

wykrzyknęła Martha.

- W tym numerze, gdzie kładą sobie nawzajem dłonie na ramionach i wymachują wysoko nogami, powinny być bliżej siebie.

Zdarza się, że trudno im się nawzajem dosięgnąć i to psuje efekt.

- Nonsens, to jeden z najlepszych tańców - oburzyła się Martha.

- Mógłby być lepszy, nie sądzisz, Noelle?

Nie zauważyłam, żeby dziewczęta miały w tym tańcu jakiegokolwiek trudności, ale musiałam poprzeć zdanie mamy.

- Tak - powiedziałam. - Z jeszcze jedną dziewczyną byłoby lepiej.

- Porozmawiam z Dollym - zdecydowała mama.

- Będzie wściekły - zareplikowała Martha.

Byłam obecna przy jej rozmowie z Dollym. Powiedziała wtedy:

- Nie chcę, żeby Martha tu była, stanęłaby po jego stronie. Ale ty zostań, Noelle. Ciebie darzy szczególną sympatią, a poza tym ma pewien respekt dla twego wieku. Przy tobie może nie będzie tak kłął i poskromi trochę swoją wściekłość.

No więc zostałam.

- Dolly - zaczęła mama. - Wydaje mi się, że w chórze jest trochę za mało dziewcząt.

- Co? - wrzasnął Dolly.

- Tak mi się wydaje.

- Różne rzeczy mogą ci się wydawać.

- Chodzi o tę dziewczynę - ciągnęła dalej. - Jest naprawdę dobra.

Byłoby to dla niej wspaniałe na początek i pamiętaj, że to mój powóz ją potrącił. Pomyślałam, że gdyby udało się ją wcisnąć do chóru, byłoby to ładne posunięcie z mojej strony, a zarazem akurat to, czego jej trzeba.

- Moja praca w tej branży nie polega na wciskaniu kogoś do chóru tylko dlatego, że wlaź twojemu koniowi pod kopyta.

- Dolly, posłuchaj, to jest biedna dziewczyna.

- Nie będę słuchał, jeśli dalej chcesz mówić o wciskaniu jakiejś twojej protegowanej do mojego chóru.

- Do twojego chóru! A kto zrobił z tej sztuki to, czym teraz jest?

Ja.

- Z niewielką pomocą moją i paru innych osób. Aktorzy i aktorki zawsze mają zawyżone poczucie własnej ważności.

- Dolly, nie jesteś taki głupi, jak chciałbyś mi wmówić. Jedna dziewczyna więcej w chórze w niczym nam nie zaszkodzi, dobrze o tym wiesz.

- Nie - powiedział zdecydowanie Dolly.

- Dolly, proszę cię.

- Jestem tego w pełni świadom. Ciągłe masz różne zwariowane pomysły i chcesz pomagać ludziom, którzy przychodzą i opowiadają ci jakieś żalosalne bajeczki. To cała ty. Zdarza się to zresztą nie pierwszy raz. Przyjmijmy tę dziewczynę, a za chwilę tysiąc następnych ustawi ci się pod drzwiami. Całe ich tłumy będą ci się pchały pod koła. Dziewczęta z chóru wypełnią scenę, dla głównych aktorów zabraknie już miejsca.

- Dolly, proszę cię tylko o tę jedną.

- Posłuchaj. Mam już po uszy twojej dobroczynności. Uprawiaj ją sobie, jeżeli musisz, ale mnie do tego nie mieszaj.

- Dolly, czasami cię nienawidzę. Jesteś taki małostkowy. Nie widzisz, że robisz mi przykrość? Przez ciebie gorzej dziś będę grała.

Dolly przybrał teatralną pozę, przyciskając dłoń do czoła i marszcząc twarz w udawanej rozpacz.

- Co za nieznośne cierpienie. Boże Wszechmogący, za co mnie tak karzesz? Czymże zawiniłem, że muszę znosić kaprysy tej kobiety?

Jak wytrzymam tę mękę? Zawzięła się, aby mnie zrujnować, ukartowała moją klęskę. Chce zniszczyć sztukę, której poświęciłem wszystko, co posiadam. Chce zapełnić mi scenę setkami głupawych, wdzięczących się chórzystek.

- Zamknij się - przerwała mu mama. - Kto tu mówił o jakichś setkach? Powtarzam ci, że chodzi tylko o jedną. Twoja ruina będzie tylko twoją zasługą, panie Dollington. Przez ciebie jestem już chora...

zbyt chora, żeby móc dzisiaj występować. Będziesz musiał skorzystać z pomocy Janet Dare. Ciekawe, jak spodoba się to publiczności. Jej nie będzie przeszkadzało, jeśli wystąpi na tle rozpaczliwie małego chóru, bo pan Dollington, któremu się zdaje, że jest alfą i omegą, żałuje paru pensów na to przedstawienie. Co tam, że inni zaharowują się na śmierć, żeby to w ogóle szło. Chodź, Noelle, chciałabym, żebyś zrobiła kompres z wody kolońskiej. Czuję, że za chwilę pęknie mi głowa.

Wzięła mnie za rękę i skierowała się do drzwi.

- W porządku - powiedział Dolly. - Nic nie obiecuję, ale mogę zobaczyć tę dziewczynę.

Mama rozpromieniła się w uśmiechu. Ból głowy natychmiast się ulotnił.

- Dolly, kochanie - zwróciła się do niego czule. - Wiedziałam, że się zgodzisz.

Skutek był taki, że Lisa Fennell zaśpiewała dla Dolly'ego, a George Garland, pianista Desiree, akompaniował jej na fortepianie.

Byłam przy tym razem z Marthą, ponieważ mama stwierdziła, że lepiej się gra przy publiczności.

Lisa śpiewała „Czym mogę pani służyć?“, bardzo dobrze naśladowując Desiree.

Dolly odchrząknął, po czym kazał jej wykonać jakiś taniec, co natychmiast zrobiła.

Odchrząknął znowu, ale nie śpieszył się z wydaniem werdyktu.

- Chce zachować twarz, ale wszystko wypadło dobrze. Niech mu będzie - szepnęła do mnie mama.

Nieco później Dolly przesłał nam wiadomość, że Lisa Fennell może podjąć pracę w chórze od najbliższego poniedziałku. Chciał, żeby przedtem poćwiczyła taniec.

Lisa była wniebowzięta.

- Nie mogę w to uwierzyć, naprawdę nie mogę - powtarzała. -

Tylko pomyśleć, że biorę udział w przedstawieniu razem z wielką Desiree.

Nie mniej uszczęśliwiona była moja matka, która mówiła:

- Wiedziałam, że nam się uda. Byłam przekonana, że gra jest warta świeczki. Tak to już jest.

- No a gdyby nie ten wypadek, w którym o mało nie zginęłam...

- Takie jest życie, kochanie - przerwała jej mama. - Czasem zdarza się coś okropnego, ale potem przynosi korzyści.

Lisa została włączona do chóru i jasne było, że uwielbia moją mamę.

- Naśladuje twój głos... - mówiłam. - I chodzi takim samym krokiem, jak ty, lekko się kołysząc. Jesteś dla niej wzorem... i bożyszczem.

- Kocha teatr i koniec. Patrzy na mnie i uczy się.

- Jest ci taka wdzięczna. To ty dałaś jej szansę.

- Cóż, nikt już teraz nie powie, że brak jej doświadczenia.

Któregoś dnia Lisa powiedziała do mnie:

- Rozglądałam się za mieszkaniem, chciałabym znaleźć coś blisko teatru. Wszystko jest tak okropnie drogie. Mam jednak nadzieję, że jakoś dam sobie radę. Twoja matka jest nadzwyczajna, nie mogę jednak nadużywać jej uprzejmości.

Powtórzyłam mamie to, co mi powiedziała.

- Przypuszczam, że chce być niezależna. Każdy chce mieć jakiś własny kąt. Dolly to kawał sknery, mówi, że nie będzie płacił

dziewczętom z chóru Bóg wie jakich honorariów. Jeśli im się nie podoba, mogą sobie szukać miejsca gdzie indziej.

- Wspomniała coś, że mieszkania są drogie.

- Nam ona wcale nie przeszkadza, prawda?

- Nie sędzę. Jest spokojna i chętna do pomocy, miło się odnosi do wszystkich.

- Wiesz, wybadaj ją. Powiedz jej, że jeśli chce, może tutaj zostać.

Jest wolny pokój na samej górze... gdyby miała jakieś skrupuły. Nikt go nie używa i tam byłaby u siebie.

Ujrzałam radość w jej twarzy, kiedy jej to powiedziałam.

- Nie chodzi tylko o to, że nie bardzo stać mnie na wynajęcie mieszkania, ale być tutaj... w pobliżu twojej matki... w samym sercu wydarzeń...

- Mama mówiła, że tam możesz czuć się jak u siebie.

- Nie wiem, jak mam dziękować. Nikt jeszcze nie był dla mnie tak dobry. Desiree jest aniołem.

- Jest wspaniałą osobą. Przypuszczam, że wielu ludzi podziela ten pogląd.

Kiedy dziękowała Desiree, ta powiedziała jej:

- Możesz mi się odwdzięczyć, jeśli będziesz chciała. Nie chcę, żebyś mi płaciła. Powiadam ci kochanie, jest to dla mnie nie mniejsza przyjemność niż dla ciebie, kiedy widzę, jak robisz coś, do czego jesteś stworzona. Wybijesz się, a ja pierwsza złożę ci gratulacje.

- A gdyby nie pani, nic z tego by się nie zdarzyło.

- Ach, różnie bywa, kochanie.

I tak życie potoczyło się swoim trybem. Rzadko widywałam Lisę Fennell, miałam wrażenie, że nie chce nam przeszkadzać. Miała na poddaszu duży pokój o ukośnym suficie i wyglądała na całkiem zadowoloną ze swego mieszkania. Lubiła śpiewać piosenki z

„Hrabiny Maud” i często wtedy miałam wrażenie, że to śpiewa Desiree.

Minęły już trzy miesiące od premiery „Hrabiny Maud”, a tłumy publiczności wciąż napływały, by zobaczyć przedstawienie. Byli tacy, którzy przychodzili kilkakrotnie, co oznaczało niewątpliwy sukces.

Lisa wracała zwykle z teatru razem z moją mamą i z Martha, z czego Martha, jak sądzę, nie była szczególnie zadowolona. Była bardzo zaborcza wobec Desiree i na pewno czuła się obrażona, że mama okazuje tyle zainteresowania Lisie.

Lisa zdawała sobie z tego sprawę i bardzo się starała, żeby nikomu nie sprawić przykrości. Odnosiłam wrażenie, że Lisa usiłuje postępować dyplomatycznie, żeby przypadkiem kogoś sobie nie zrazić.

Wspomniałam o tym mamie, a ona powiedziała:

- Tak, to możliwe. Biedaczka, tak jej zależy na tej pracy. Nie chce się nikomu narazić. Bardzo dobrze ją rozumiem, postarajmy się trochę ułatwić jej życie.

Niedługo potem wydarzyło się coś ważnego. Janet Dare miała wypadek. Pewnego popołudnia, kiedy robiła zakupy na Regent Street, poślizgnęła się na chodniku i złamała nogę w dwóch miejscach.

Wyglądało na to, że przez dłuższy czas nie będzie mogła pracować.

Janet należała do chóru, a także w razie potrzeby pełniła funkcję dublerki, teraz więc skład chóru miał być znowu taki, jak przed przyjściem Lisy. To nie stanowiło jeszcze wielkiego problemu, ale dublerka, mimo że na szczęście rzadko potrzebna, była nieodzowna.

Z oczu Lisy od razu wyczytałam, o czym marzy.

Najpierw zagadnęła na ten temat moją mamę.

- Znam piosenki, znam tańce... i oglądałam wszystkie pani przedstawienia.

- Wiem o tym - odparła mama. - Nadawałabyś się na dublerkę, ale nie odpowiadam za to, co zdecyduje Dolly. Jeśli zaproponuję cię, on z pewnością zgłosi jakieś zastrzeżenia.

- Ale przecież ja to wszystko tak dobrze umiem. Ćwiczyłam...

odbyłam próby...

- Wiem, kochanie. Jesteś do tego najlepsza. Zdam się na mnie, zobaczymy, co uda mi się zdziałać.

Dolly zareagował tym razem zaskakująco przychylnie.

Podejrzewam, że zdążył już zauważyć zalety Lisy jako ewentualnej dublerki i uznał ją za najlepszą kandydatkę. Cały czas naśladowała moją mamę i znała wszystkie jej piosenki.

Nie zgłosił żadnych zastrzeżeń i sprawa została załatwiona.

Lisa Fennell oprócz tego, że występowała w chórze, miała odtąd być też dublerką Desiree.

Dublerka

Parę razy zdarzyło mi się spotkać Rodericka Claverhama, choć nigdy nie były to spotkania zaplanowane. Zawsze przypadało to w dni porannych przedstawień w teatrze.

Wychodziłam z domu niedługo po wyjściu mamy, a on czekał na mnie na ulicy. Wiązało się to z pewnym niepokojem, nigdy bowiem nie miałam pewności, czy go tam zastanę.

A jednak podświadomie czułam, że przyjdzie.

Wydaje mi się, że obojgu nam to odpowiadało, gdyż mieliśmy poczucie, że ze względu na stosunki, w jakich pozostawali nasi rodzice, powinniśmy utrzymywać nasze spotkania w tajemnicy.

Mimo to, sprawiały mi one wielką przyjemność. Spacerowaliśmy, wstępowaliśmy na herbatę do naszej małej herbaciarni, potem zaś Roderick odprowadzał mnie do teatru, gdzie wstępowałam po mamę, a potem razem z Marthą i Lisą powozem wracałyśmy do domu.

Czasami szliśmy wzdłuż Piccadilly do Green Parku; tam siadaliśmy na ławce i przyglądaliśmy się przechodniom.

Dowiedziałam się sporo na temat jego domu, mogłam więc już stworzyć sobie dość wiarygodny obraz. Opowiadał mi też o różnych ciekawych ludziach, którzy odwiedzali Levenson, odkąd odkryto tam rzymskie zabytki. A ja, oczywiście, opowiadałam mu o sobie.

Zdawałam sobie sprawę, że to okres przejściowy. Nie mogliśmy przecież długo spotykać się w ten sposób, jakby ukradkiem. Dotąd nic nie wspomniałam mamie o naszej znajomości i nie czułam się z tym dobrze, jako że zawsze byłam z nią zupełnie szczerą. Domyślałam się, że i on nie mówił o tym ojcu.

Nie myliłam się, sądząc, że nie uda nam się długo utrzymać takiej sytuacji. Chciałam, żeby Roderick przychodził do nas i widywał się z moją mamą; on chciał, żebym odwiedziła go w Kent. Ja także bardzo tego pragnęłam; płonęłam z ciekawości, jak wygląda lady Constance; interesowało mnie to chyba nawet bardziej niż wykopaliska z czasów rzymskich.

Był wtorek i po południu mama wybierała się do krawcowej w sprawie jakichś nowych strojów do przedstawienia. Uważała, że potrzebne są jej jaśniejsze suknie.

Powiedziałam Roderickowi, że tego dnia będę wolna, a on natychmiast oświadczył, że musimy się spotkać.

Poszliśmy do Green Parku i gdy siedzieliśmy na ławce, on nagle zapytał:

- No i co my zrobimy, Noelle?

- Co zrobimy?

- To znaczy, jak długo będziemy się spotykać w ten sposób? Nie mówiłaś nic matce, prawda? Ja też nie mówiłem ojcu, że się spotykamy. Dziwnie to wygląda. Dlaczego tak ma być?

- Chyba oboje mamy poczucie, że byłoby to dla nich dość kłopotliwe.

- Tak. Dla mojego ojca na pewno.

- Myślę, że moją mamę dość trudno wprawić w zakłopotanie, uważałyby nasze spotkania za coś całkiem normalnego, sama nie wiem, dlaczego nic jej nie powiedziałam.

- A jednak utrzymujemy to w tajemnicy, co jest absurdalne. To, co ich łączy, to nie nasza sprawa.

- Chodzi tylko o to, że twoja mama nic nie wie... o przyjaźni, jaka łączy twojego ojca z moją mamą, i gdyby się dowiedziała, na pewno by tego nie pochwałała.

- Co do tego nie mam wątpliwości i mój ojciec z pewnością nie życzyłby sobie, żeby się dowiedziała.

- I dlatego ty i ja związani jesteśmy tajemnicą.

- Chciałbym móc otwarcie odwiedzać cię w domu, chciałbym też, żebyś ty przyjechała do Levenson. Przecież, poza wszystkim, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Ja też.

- No, jeśli oboje mamy nadzieję, to z pewnością tak jest. Więc co z tym zrobimy, Noelle?

- Naprawdę nie wiem.

- Widzisz, ty i ja... no...

- Ojej, Noelle!

Tego nie oczekiwałam. Poczułam, że się rumienię. Zbliżała się do nas Lisa Fennell; pełne zaciekawienia, błyszczące oczy utkwiała w Rodericku.

- Pozwól, że ci przedstawię - powiedziałam. - To pan Roderick Claverham, syn pana Charliego Claverhama.

- Ach, miło mi pana poznać.

- A to panna Lisa Fennell. Występuje w „Hrabinie Maud”.

- Chciałam odetchnąć trochę świeżym powietrzem i odpocząć przed wieczornym przedstawieniem - powiedziała Lisa. - Czy mogę przesiąść się do was? Piękny dziś dzień, prawda? Uwielbiam londyńskie parki.

- Proszę, niech pani usiądzie - zaprosił ją Roderick. Zajęła miejsce po jego drugiej stronie.

- W domu nigdy pana chyba nie widziałam - zauważyła Lisa.

- Nie - odparł Roderick. - Byłem tam tylko raz, już jakiś czas temu.

- To było chyba jeszcze, zanim u nas zamieszkałaś, Liso -
powiedziałam.

- Czy Noelle opowiadała panu, jak do tego doszło?

- Tak, wspominała mi o tym.

- Czyż to nie cudowna historia? Zupełnie jak w bajce; o mało wtedy nie zginęłam.

- Powóz nie jechał szybko - zauważyłam.

- Od tego wszystko się zaczęło. Desiree jest dla mnie taka dobra.

To najcudowniejsza osoba na świecie - głos drżał jej lekko.

- Tak, słyszałem, że jest bardzo miła.

- Czy mieszka pan w Londynie?

- Na stałe mieszkam na wsi, ale mamy też niewielki dom w Londynie. Ojciec korzysta z niego, kiedy przyjeżdża do Londynu w interesach. To duża wygoda.

- Z pewnością. Ja uwielbiam Londyn. Miasto stare... a zarazem tak nowoczesne. Cóż za połączenie!
Nie uważa pan, że to fascynujące?

Roderick przytaknął.

- Pan Claverham też ma u siebie coś bardzo starego -

powiedziałam Lisie. - Na terenie jego majątku odkryto pozostałości osady rzymskiej.

- Jak wspaniale! - wykrzyknęła Lisa. - Proszę mi o tym opowiedzieć - zwróciła się do Rodericka.

Słuchałam, myśląc jednocześnie o tym, co mówił Roderick w chwili, gdy Lisa przerwała nam rozmowę. Wydawało mi się, że to było coś ważnego. Co za szkoda, że akurat w tym momencie musiała nadejść.

Słuchała, jak opowiadał, zachęcała go, by mówił dalej - zupełnie nie czując, że przeszkodziła nam w rozmowie. Roderick był zbyt uprzejmy, żeby to okazać, ale z pewnością podzielał moje rozczarowanie.

W końcu powiedziałam:

- No, ja muszę już wracać.

- Ja też - zawtórowała Lisa. - Nie miałam pojęcia, że już jest tak późno.

- Wracajmy więc - rzekłam.

We trójkę doszliśmy do domu; tu Roderick pożegnał się i odszedł.

- Cóż za czarujący młody człowiek! - zachwycała się Lisa, a oczy błyszczały jej z przejęcia. - Aż dziw, że Charlie ma takiego syna i gdzieś go ukrywa!

Mama wróciła niedługo po nas. Odbyła bardzo udane spotkanie z krawcową i chciała mi o tym opowiedzieć. W pierwszym akcie, zamiast błękitnej sukni miała nosić fiołkową, w ostatnim zaś czerwoną.

- Te kolory dużo bardziej rzucają się w oczy. A poza tym, będzie to pewna odmiana, która wszystkim dobrze zrobi. Zaczynamy rdzewieć. Co ty na to? Odwiedziłam też Janet Dare. Biedactwo!

Prawie wychodzi ze skóry, tak tęskni za teatrem. Gdyby to od niej zależało, niedługo wróciłaby do pracy.

Pomyślałam, że powinnam powiedzieć mamie, że spotkałam Rodericka. Lisa może wspomnieć, że go widziała, a wtedy dziwnie będzie wyglądać, że ja nic o tym nie mówiłam.

Kiedy zostałyśmy same, powiedziałam, starając się, żeby zabrzmiało to zupełnie naturalnie:

- Ale, ale, czy przypominasz sobie może Rodericka Claverhama... syna Charliego? Był raz u nas.

- Tak, oczywiście. To bardzo miły młody człowiek!

- Widziałam się z nim parę razy. Spotkaliśmy się przypadkiem.

- Naprawdę? To ciekawe.

- Prawdę mówiąc, widziałam się z nim nawet dzisiaj. Lisa też z nami była.

- Ach, Lisa. Właśnie o niej myślałam - kiedy byłam u Janet Dare.

Lisie tak zależy na tej pracy w chórze... i na roli dublerki.

- Jest ci bezgranicznie wdzięczna. Przecież ty jej to załatwiłaś, prawda?

- Nic bym nie zdziałała, gdyby nie miała talentu.

- Stara się być dokładnie taka, jak ty.

- Chciałaby zagrać hrabinę Maud, to dlatego. Nie daj Boże, zajdzie kiedyś taka potrzeba. Mina jej trochę zrzednie, jak wróci Janet.

Biedactwo tak bardzo chce być dublerką.

Uznałam, że nie muszę mieć żadnych skrupułów, jeśli chodzi o spotkania z Roderickiem. Mama nie wykazała szczególnego zainteresowania ani też nie zdradzała najmniejszego zaniepokojenia, jak mogłoby to wpłynąć na jej kontakty z Charliem.

Kilka dni później Jane przyszła do mnie do pokoju, mówiąc, że mama chce mnie widzieć i że mam do niej natychmiast przyjść.

- Czy coś się stało, Jane? - zapytała zaniepokojona.

- Coś jej dolega, panno Noelle.

Popędziłam do pokoju mamy i gdy ją zobaczyłam, ogarnęło mnie przerażenie. Wyglądała zupełnie jak nie ona.

- Taka jestem chora - poskarżyła się. - To może ta ryba, którą jadłam na kolację; ale zaczęło się zaraz po lunchu. Niedobrze mi i głowa mnie boli.

- Może się połóżysz?

- Już leżałam. Najgorsze, że dziś wieczorem chyba nie będę mogła grać.

- Jeśli tak się będziesz czuła, to na pewno nie będziesz mogła.

Chyba trzeba wezwać doktora Greena.

- Och nie, nie potrzeba. Po prostu strułam się czymś, niedługo mi przejdzie. Może raczej idź do Dolly'ego i przekaż mu wiadomość, chociaż... no, na wypadek, gdyby zaszła konieczność... może nie będzie trzeba... ale muszę go uprzedzić.

- Thomas zaraz do niego pojedzie - powiedziałam.

Za pół godziny Dolly, bardzo rozgorączkowany, był już u nas.

- Co się stało? Coś zjadłaś? O Boże Wszechmogący, w czym zawiniłem, że mnie tak karzesz?

- Skończyłbyś z tym dramatyzowaniem, Dolly. Nie ma na to czasu. Jeśli wieczorem nie będę mogła wystąpić, nie będzie innego wyjścia... i już teraz powinniśmy się tym zająć... na wypadek, gdyby było trzeba... oczywiście, może nie zajdzie taka konieczność, ale musimy być przygotowani. Lisa będzie musiała mnie zastąpić.

- Ta amatorka?

- Nie jest amatorką, tak się akurat składa, że jest całkiem dobra.

Sam tak powiedziałeś, chociaż nie wiem, czy nie łatwiej by było wycisnąć wodę z kamienia, niż zmusić cię, żebyś to przyznał.

- Mówisz tak, jakby to była rzecz bez znaczenia. Przyjmij więc do wiadomości, że to jest nieszczęście... katastrofa. Będę musiał

udobruchać wszystkich tych ludzi, którzy zapłacili za to, że zobaczą Desiree, a nie jakąś tam wiejską amatorkę.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że pierwszy raz bierzesz do przedstawienia dublerkę. To drobiazg. Skończ już z tą histerią i przywołaj swój zdrowy rozsądek. Musisz się tym zająć, Dolly.

Oczywiście może się zdarzyć, że będę się już dobrze czuła, mamy jeszcze parę godzin. Ale w tej chwili...

- Czy ona jest w domu? - zapytał Dolly.

- Tak - odpowiedziałam. - Czy mam ją tu sprowadzić?

- Tak, i to szybko.

Poszłam do pokoju Lisy, spojrzała na mnie z oczekiwaniem.

- Mama źle się czuje - zaczęłam. - Ma mdłości i zawroty głowy.

Obawia się, że nie będzie dziś mogła występować. Właśnie przyszedł

Dolly.

Wpatrywała się we mnie, usiłując ukryć swe podniecenie. Ja jednak to dostrzegłam i rozumiałam; to było naturalne.

- Czy... bardzo źle się czuje?

- Nie, to tylko atak woreczka żółciowego. Leży. Kiedy tylko wstaje, kręci jej się w głowie. Nie przypuszczam, żeby wyzdrowiała do wieczora. Masz zaraz zejść na dół. Dolly chodzi w tę i z powrotem, jak lew po klatce, a mama próbuje go jakoś ugłaskać.

- Będzie wściekły.

- No, znasz go przecież.

- Nie wierzy, że dam sobie radę.

- Będzie musiał - odpowiedziałam. - Nie przydzieliliby ci roli dublerki, gdyby nie wierzył, że w razie

konieczności zdołasz się z niej wywiązać.

- Biedna Desiree. Jakież to okropne!

- Nie wydaje mi się, żeby to było coś poważnego. Ona mówi, że pewnie zjadła coś, co jej zaszkodziło. Lepiej się pośpiesz. Im dłużej każesz Dolly'emu czekać, tym bardziej będzie rozdrażniony.

Popędziła na dół, a ja poszłam do siebie. Dla Lisy mogła to być szansa. Zupełnie naturalne, że właśnie ta myśl pokonała w niej wszystkie inne.

Mama poczuła się trochę lepiej, ale nie była w stanie grać tego wieczora. Chciałam z nią zostać, lecz uważała, że powinnam iść do teatru i wspierać Lisę.

- Biedaczka, wiem, przez co musi przejść. Trzeba jej jednak przyznać, że ma mocne nerwy; dziś jej się to przyda.

- Jest tym bardzo przejęta.

- To zupełnie w porządku. W tym zawodzie trzeba dać z siebie wszystko, żeby coś osiągnąć, zapewniam cię. Nie powinna być zbyt pewna siebie, ale nie wydaje mi się, żeby była. Ona strasznie się boi, że może nie poradzić sobie z najwyższymi tonami, a zamiast paść w ramiona ukochanego, padnie jak długa na scenę. Trzeba mieć w sobie jednocześnie pewność i obawę... co wcale nie jest łatwe. Jakże dobrze to znam! Ale to dla niej szansa. Jeśli spisz się dobrze, jej notowania u Dolly'ego bardzo wzrosną; jeżeli nie... może do końca życia występować jako chórzystka. Życzymy jej jak najlepiej. Zna piosenki, zna tańce. Ten nagły skręt pod koniec pierwszego aktu nastrocza pewne niebezpieczeństwo; parę razy sama o mało go nie spartaczyłam.

Pojechałam więc do teatru i drżałam, jak jej to pójdzie.

Kurtyna za chwilę miała się unieść w górę. Z łoża, w której siedziałam razem z Robertem Bouchere, obserwowałam publiczność.

Przez parę minut byliśmy jedynymi osobami obecnymi na sali, które wiedziały, co ma nastąpić.

Dolly wyszedł przed kurtynę i przemówił do publiczności.

- Panie i panowie, z wielkim żalem muszę was poinformować, że ze względu na swą niedyspozycję Desiree nie będzie mogła wystąpić przed państwem dziś wieczorem.

Przez teatr przebiegło głębokie, zbiorowe westchnienie, od rzędów krzeseł aż po galerię. Rozejrzałam się uważnie; ci ludzie zapłacili, by zobaczyć Desiree.

- Tuż przed przybyciem tutaj odwiedziłem Desiree - ciągnął

Dolly. - Była niepokieszona, że musi was rozczarować. Za moim pośrednictwem gorąco prosi o wybaczenie, a jednocześnie liczy na was - na swą drogą publiczność, że dacie państwo szansę Lisie

Fennell, by pokazała, co umie. Desiree wierzy w Lisę bezgranicznie i jestem przekonany, że po dzisiejszym przedstawieniu państwo także będziecie podzielać tę wiarę. Wiem, jak bardzo kochacie Desiree, na pewno więc nie chcielibyście, żeby występowała, kiedy powinna raczej leżeć w łóżku. Przesyła wam wszystkim całusy. Tęskni za wami tak samo, jak wy tęsknicie za nią. Żywi jednak gorącą nadzieję, że dacie Lisie szansę i że się nie zawiedziecie.

Kurtyna poszła w górę. Chór zaczął śpiewać, a Lisa całkiem nieźle naśladowała mamę w „Czym mogę pani służyć?”

To było udane przedstawienie. Obserwowałam ją przez cały czas, zwracając uwagę na szczególnie niebezpieczne momenty, jak ten skręt pod koniec pierwszego aktu. Publiczność biła brawo. Część widzów musiała zdawać sobie sprawę, jaki to wysiłek dla tej biednej dziewczyny, zapomnieli więc o swym rozczarowaniu, że nie oglądają Desiree, i aplauzem starali się dodać debiutantce wiary w siebie.

- Wszystko pójdzie dobrze, prawda? - zwróciłam się do Roberta.

- Jest taka podobna... - odparł. - Jak jej kopia, nie wydaje ci się?

Jakby się oglądało cień prawdziwej Desiree, rozumiesz?

- Wiem, o co ci chodzi - powiedziałam. - Ale publiczność nie jest chyba niezadowolona.

- Och nie, nie. Ale oni pamiętają, że zapłacili za to, żeby zobaczyć Desiree. Szkoda, że to właśnie ją Lisa musi naśladować.

Gdyby chodziło o kogoś - jak tu się wyrazić? - o nie tak silnej indywidualności, byłoby lepiej. To zdolna dziewczyna, ale daleko jej do Desiree.

Wiedziałam, o co mu chodzi. Lisa zbyt niewolniczo starała się naśladować Desiree, całkowicie tracąc przy tym własną osobowość. Gdyby spróbowała być sobą, a nie tylko bladym cieniem Desiree, z pewnością wywarłaby lepsze wrażenie. Tymczasem jednak przypominała sławną aktorkę, lecz pozbawioną jej niepowtarzalnego czaru i niezwyklej charyzmy.

Wracałam do domu powozem, z Marthą i Lisą. Lisa była zmęczona, lecz szczęśliwa.

Po przedstawieniu publiczność nagrodziła ją gromkimi brawami, a ktoś siedzący w krzesłach wykrzyknął: „Dobrze grała!”

- Byli też dziennikarze - powiedziała Lisa. - Ciekawe, co napiszą.

Pomyślałam, że może być zawiedziona; przywiązywała do tego zbyt dużą wagę. W gazecie mogła się ukazać krótka notatka, chodziłoby w niej jednak raczej o fakt niedyspozycji Desiree niż o

„Hrabinę Maud” w wykonaniu Lisy.

Lisa najwyraźniej wierzyła, że jej występ i to, że ktoś krzyknął:

„Dobrze grała!”, wstrząsnie całym światem teatralnym.

Mama już na nas czekała. Wyglądała znacznie lepiej i chciała się wszystkiego dowiedzieć. Jak zareagowała publiczność? Jak Lisa zdołała sobie poradzić w tym trudnym momencie pod koniec pierwszego aktu? Jak zaśpiewała najwyższe partie w „Kochałbym cię, nawet gdybyś wciąż była małą handlarczą”? I czy bez trudności mogła dostosować się w tańcu do pana młodego?

Lisa zapewniła ją, że wszystko poszło lepiej, niż mogła oczekiwać.

- Teraz mogę spać spokojnie - rzekła moja matka. - Kochanie, z pewnością byłaś świetna. A co powiedział Dolly?

- Odchrząknął - odparła Lisa.

- Jakie to było chrząknięcie? Po jego chrząknięciach można rozpoznać, w jakim jest humorze.

- Odchrząknął z ulgą - powiedziałam.

- Chwała Bogu. Musiał być zadowolony, bo inaczej już by tu był.

- Chodźmy spać - powiedziałam. - Lisa jest zmęczona. A ty jesteś chora - dodałam, zwracając się do mamy. - Dobranoc, mamusiu.

- Dobranoc, aniołku.

Pocałowaliśmy się, a Lisa stała, przyglądając się nam. Potem Lisa też podeszła do Desiree i uściskała ją.

- Dziękuję - powiedziała. - Dziękuję, wszystko zawdzięczam pani.

- Dzisiejszy wieczór zawdzięczasz przede wszystkim jakiejś wściekle niedobrej rybie, a nie mnie, kochanie - odparła mama.

Wszystkie się roześmiałyśmy, a moja matka mówiła:

- Bardzo się cieszę, kochanie. Miałaś szansę i odważyłaś się z niej skorzystać; o to właśnie chodzi.

Lisa wyglądała na skruszoną.

- Przykro mi, że spowodowała to pani choroba.

- Och, przestań. Korzystaj z okazji, bądź wdzięczna i nie zastanawiaj się za dużo.

Po tej uwadze rozeszłyśmy się do swoich pokoi.

W gazetach nazajutrz niewiele napisano na ten temat - tylko wzmianka o chorobie Desiree i że zastąpiła ją debiutantka, Lisa Fennell. Nic nie wspomniano o tym, jak grała.

Przyszedł Dolly i z ciekawością czekałam, jakie będzie jego zdanie.

- Technicznie była dobra - powiedział. - Ale oczywiście to nie Desiree.

- Publiczność biła jej brawo - przypomniałam.

- Zawsze klaszczą, kiedy pojawia się ktoś nowy. Widzowie też bywają uczuciowi.

- Więc myślisz, że to tylko o to chodziło. Kiwnął głową, po czym zwrócił się do mojej matki.

- A co do ciebie, pani, to w przyszłości raczej uważaj na to, co jesz. Lepiej, żeby się to nie powtórzyło; widzowie mieliby dość.

„Maud” już po tygodniu zesłaby z afisza.

No i tak kończy się mały triumf Lisy, pomyślałam.

Było to w tydzień po tym, jak Lisa zastępowała mamę w

„Hrabinie Maud”. Siedziałam w parku z Roderickiem i opowiadałam mu o tym.

- Przypuszczam, że w teatrze takie rzeczy zdarzają się dość często - powiedział Roderick.

- Tak, jest to całkiem zwyczajna sprawa. A jednak, kiedy główny aktor nie może wystąpić, powoduje to ogólne zaniepokojenie.

- Ta dziewczyna miała dość odwagi, żeby stanąć przed publicznością, która niewątpliwie wolałaby oglądać kogo innego.

- Lisa była uszczęśliwiona; zrobiła, co tylko mogła, żeby okazać mamie współczucie, jako że naprawdę jej współczuła, ale nie umiała przy tym ukryć swej radości. Zresztą był to przecież tylko atak wreczka żółciowego... pewna niedogodność, która szybko minęła.

Wtedy jednak, możesz sobie wyobrazić, jaki to był dramat. Dolly, to znaczy Donald Dollington, szczególnie się do tego przyczynił.

Wydaje mi się, że tak naprawdę to on lubi kryzysowe sytuacje. Daje mu to okazję, by mógł wykazać się swym talentem dramatycznym.

- I jak udało się przedstawienie?

- Całkiem dobrze. Uważam, że Lisa jest bardzo dzielna, że dała sobie radę. Co prawda moja mama jest kimś wyjątkowym, nie chodzi tylko o to, żeby śpiewać i tańczyć. To osobowość.

- Odniosłem wrażenie, że ta dziewczyna ma miłą osobowość.

- To nie to samo. Szkoda, że Lisa musiała naśladować kogoś tej miary co Desiree.

- Tamtego dnia, kiedy się do nas przyłączyła, rozmawialiśmy.

Pamiętasz?

- Pamiętam.

- O naszej... sytuacji. Co my zrobimy, Noelle?

- Wiesz, będziesz mile widziany u nas w domu. Wspominałam mamie, że się spotykamy, i wydawało mi się, że nie widzi w tym nic nadzwyczajnego.

- To śmieszne. Tylko dlatego, że twoją matkę i mojego ojca łączy pewnego rodzaju sentymalna przyjaźń, my uważamy, że jest coś niewłaściwego w naszych spotkaniach.

- Ale się spotykamy. Może to tylko nasze odczucia i wyobrażamy sobie coś, co naprawdę nie istnieje.

- Mój ojciec był zakłopotany, kiedy pojawiłem się u was w domu. Nigdy potem o tym nie wspominał, co też jest dziwne. Mam wrażenie, że chciałby, aby przyjaźń z twoją matką i jego życie rodzinne pozostały równie od siebie odległe, jak były dotąd.

- To dowodzi, oczywiście, że jest to przyjaźń szczególnego rodzaju.

- A co z twoim ojcem? Pewnie umarł już dawno temu?

- Nie jestem pewna. Mama rzadko o nim mówi, wyraźnie daje do zrozumienia, że nie jest to temat do rozmów. Wiem tylko, że był

podobno wspaniałym człowiekiem, kimś, z kogo mogę być dumna.

- I nie wspomniała nigdy, kiedy i w jakich okolicznościach umarł?

- Nie. Desiree jest na ogół łagodna i pobłażliwa, ale potrafi też być stanowcza, jeśli jej na czymś zależy. O nim najwyraźniej nie chce rozmawiać. Zastanawiam się czasem dlaczego się rozstali. W niej zawsze płonęła nieposkromiona ambicja i pragnienie sukcesu na scenie, może to właśnie było przyczyną. Często przychodzi mi do głowy, że może on żyje i pewnego dnia go zobaczę. Kiwnął głową.

- No i oczywiście ma ona przyjaciół... takich jak mój ojciec.

- Jest też pewien Francuz. Przyjeżdża i odjeżdża, tak jak twój ojciec. Obaj bywają u nas, odkąd pamiętam. Zawsze słyszałam, że są to jej wyjątkowi przyjaciele.

- Jest bez wątpienia niezwykle atrakcyjna, no i żyje w sposób dość niekonwencjonalny.

- O, tak. Nie chce się nagiąć do ogólnie przyjętych norm postępowania. Z pewnością rozumie, że twoja mama i żona Roberta -

bo przypuszczam, że jak większość mężczyzn i on ma żonę - rozumie, że one nie pochwałyby ich przyjaźni z nią. Cóż, według niej lepiej jest, jeśli nie wiedzą. Szanuje ich uczucia i nie chciałyby sprawiać im przykrości. Niczego nie żąda od swoich przyjaciół. Lubi ich...

rozumiesz, taka już jest.

- Wszystko to rozumiem, ale zastanawiam się, w jakim stopniu i nas to dotyczy.

- Nikt przecież nie mówił, że mamy się nie spotykać.

Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Roderick nie wyglądał na zadowolonego, pomyślałam więc, że wskazuje to, w jakim kierunku rozwija się nasza przyjaźń.

Przestaliśmy być już po prostu znajomymi.

Gawędziliśmy jeszcze o innych sprawach, czułam jednak, że w głębi duszy wini on naszych rodziców za sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, i że chciałby to jakoś zmienić.

Wróciwszy do domu, zastałam tam zupełny chaos.

Mama miała znów podobny atak jak poprzednio i leżała.

Dolly już przyszedł i siedział przy niej. Była bardzo blada i załamana.

- Och, jest Noelle - powiedziała. - Dzięki Bogu, że już przyszedł, kochanie. Czuję się lepiej, kiedy jesteś w pobliżu. To taki sam głupi atak jak poprzednio. Znowu coś mi zaszkodziło.

Spojrzałam na nią z przestrawieniem. To niemożliwe. To na pewno coś innego... poważnego. Czułam, że ogarnia mnie okropny niepokój.

Zawsze wydawała się taka młoda i pełna życia.

- Chyba trzeba wezwać doktora - powiedziała Martha.

- Nie, nie! - krzyknęła mama. - To jakaś głupia niestrawność, za dużo zjadłam na lunch. Będę miała nauzkę.

Lisa siedziała jak na szpilkach. Była podniecona i wyglądało, że za wszelką cenę chce zachować spokój.

- Jeśli do jutra mi się nie polepszy, wezwiemy doktora - dodała mama. - Dzisiaj ważne jest przedstawienie.

Dolly, tak jak poprzednio, dał koncert skarg i lamentów.

Złorzeczył Wszechmocnemu i domagał się odpowiedzi, za co ów go tak karze. „Hrabina Maud” była rekordy popularności. Dlaczego wszystkie siły sprzysięgły się, aby to zniszczyć? To Desiree była hrabiną Maud, a oto znowu musiał korzystać z pomocy dublerki. O co chodziło niebiosom? Przecież dopiero co zdarzyło się to samo.

- Może byśmy raczej zajęli się tym, co trzeba - powiedziała Martha. - Pomyślmy, co musimy zrobić.

Wszystko odbyło się tak jak poprzednio. Lisa zastąpiła mamę.

Nie pojechałam do teatru, ale słyszałam, że tym razem grała znacznie lepiej. Nie naśladowała już tak niewolniczo Desiree, ale publiczność reagowała dość chłodno. Czego innego można było oczekiwać?

Przyszli zobaczyć Desiree, a kazano im oglądać Lisę Fennell.

Widziałam ją po przedstawieniu; była bardzo zmęczona i mniej uszczęśliwiona niż za pierwszym razem.

- Umieję to - mówiła prawie ze złością. - Ale brak mi doświadczenia. Gdybym pograła przez tydzień, byłoby już dobrze.

- Dobrze ci idzie. Grasz, mimo że uprzedzili cię o tym prawie w ostatniej chwili i właściwie nie masz doświadczenia jako zawodowa aktorka. To doprawdy zadziwiające. Oni zdają sobie z tego sprawę.

Nie mówią ci o tym, ale wiedzą. Wiesz, jaki jest Dolly, czasem kpi sobie nawet z mojej mamy.

Żał mi było Lisy. Tak bardzo się starała i dobrze dawała sobie radę. Chodziło tylko o to, że nie mogła się równać z Desiree. Wątpię, czy była w Londynie aktorka, która mogłaby tego dokonać.

Nazajutrz, pomimo protestów mamy, wezwaliśmy doktora.

Martha orzekła, że dwa razy w tak krótkim czasie to nie może być przypadek i że trudno sobie wyobrazić, aby mamie zaszkodziło jakieś nieświeże jedzenie. Nikomu innemu przecież nic się nie stało. Lepiej będzie, jeśli zbada ją doktor.

Kiedy przyjechał doktor Green, mama zdążyła już całkowicie dojść do siebie i zaczęła go przeproszać.

- Pańska wizyta jest już właściwie zbędna - oświadczyła. - To oni uparli się, że musi pan przyjść. Chodzi o to, że musiałam zjeść coś, co mi zaszkodziło, miałam trochę bóleści i kręciło mi się w głowie, tak że nie mogłam wczoraj pojechać do teatru.

- I to samo zdarzyło się zaledwie tydzień temu - dodała Martha.

Zauważyłam, że w tym momencie doktor jakby spoważniał. Mnie wyproszono z pokoju, ale Martha została.

Niedługo potem doktor wyszedł, słyszałam, jak Martha z nim rozmawiała, odprowadzając go do drzwi.

Popędziłam do pokoju mamy; spojrzała na mnie z triumfem.

- Mówiłam ci, nic mi nie jest - powiedziała. - Musiałam coś zjeść.

- Jak to? Dwa razy?

- Tak, dwa razy. Wiesz, to się zdarza. No przecież można to zrozumieć.

- Ale... czy jesteś pewna?

- Absolutnie. Jestem zdrowa do szpiku kości.

- Tak, tylko że to nie chodziło o twoje kości.

- Nie, naprawdę nic mi nie jest. To zupełnie normalne, że przy ataku kamicy żółciowej zdarzają się zawroty głowy. Chyba, tak jak królowie i królowe w dawnych czasach, powinnam mieć kogoś, kto przede mną próbowałby każdego jedzenia. Tylko nie wspominaj o tym Dolly'emu, bo zaraz wyznaczy do tej funkcji którąś z chórzystek.

Sprawa wygląda tak, że nie jestem na nic chora, ale będę odtąd musiała bardzo uważać na to, co jem.

Do pokoju weszła Martha; wyglądała, jakby spadł jej kamień z serca.

- Miałam rację - powiedziała mama. - Ale ty mi nie wierzyłaś, prawda?

- Cóż, dziękujmy Bogu, że wszystko jest w porządku. Dolly niedługo tu będzie.

- No, ale będzie wściekły, że z takiego błahego powodu już dwa razy popsułam mu przedstawienie.

- Będzie skakał z radości, że to nic takiego. Boże, ależ mnie pani przestraszyła.

- Zbyt łatwo dajesz się przestraszyć, Martho.

- Wydawało się, że są powody do obaw. Gdyby coś się pani stało...

- Oznaczałoby to prawdopodobnie koniec „Hrabiny Maud”.

- Byłby to koniec nie tylko „Hrabiny Maud”. Nie wiem, co zrobilibyśmy bez pani.

Lisa przyłączyła się do nas w parku. Trafiła tam na nas zupełnie niechcący, jak mówiła. Podejrzywałam, że może szła za mną; najwyraźniej była zainteresowana Roderickiem.

Żał mi jej było, rozumiałam, że potrzebuje towarzystwa. Jej nastroje wahały się pomiędzy euforią a rozpaczą.

Było to w dzień po tym, jak grała Maud. W gazetach ukazała się wzmianka na ten temat.

Kolejne rozczarowanie spotkało wszystkich tych, którzy przybyli, aby podziwiać niezrównaną Desiree. Aktorka już po raz drugi nie mogła wystąpić. Poinformowano nas, że to atak kamicy żółciowej był

przyczyną, dla której musiała zostać w łóżku, zamiast pojawić się na scenie. Jej miejsce zajęła dublerka, panna Lisa Fennell, młoda tancerka występująca zwykle w chórze. Panna Fennell bardzo się starała, dzielnie borykała się z rolą i ogólnie rzecz biorąc, dała sobie radę, gubiąc się tylko w pewnych zawiłościach tańca. Jest to niewątpliwie utalentowana amatorka, lecz do tej roli brak jej odpowiedniego doświadczenia. Przy jej udziale biedna Maud słańia się na nogach. To słaba sztuka i trzeba takiej osobowości jak Desiree, aby ją ożywić. Jeśli jednak ona regularnie opuszczać będzie przedstawienia, „Hrabina Maud” zakończy swój sceniczny żywot przed upływem miesiąca.

To była złośliwa recenzja i nie przysparzała Lisie powodów do radości.

- Nie jest jeszcze taka zła, kochanie, wcale nie jest zła -

pocieszała ją Desiree. - Żebyś tylko zobaczyła, co czasem pisali o mnie, na samym początku! Uznałabyś, że najlepsze, co mogę zrobić, to spakować się i wracać do domu. Oni tacy są, kochanie, ci wszyscy krytycy. Sami tego nie umieją, więc nie podoba im się, że ktoś inny umie. Po prostu nie należy zwracać na nich uwagi. Większość z nich wiele by dała za to, żeby móc występować na scenie. Nie mogą, więc odbijają to sobie na tych, którym się udało. Zawsze to powtarzam i zupełnie się nimi nie przejmuję.

Lisa dała się przekonać. Przy wyjściu dla aktorów ktoś poprosił ją o autograf, co znacznie poprawiło jej humor.

Tak jak poprzednio, prasę bardziej interesowała nieobecność Desiree niż obecność Lisy. Jeden atak kamicy żółciowej przeszedłby bez większego echa, jak coś, co może się przydarzyć każdemu, ale dwa wzbudziły już podejrzenia. Snuto różne domysły. Czy przypadkiem niedyspozycja Desiree nie była związana z nadużywaniem przez nią jej ulubionego napoju?

To sprawiło, że mama i Dolly zakipieli z wściekłości i oburzenia; grozili nawet, że podejmą jakieś kroki przeciwko dziennikarzowi, który mamę obraził. Po jakimś czasie wszystko przycichło.

- Co można na to poradzić? - powiedziała matka. - Niech piszą, co chcą.

Poza tym jednak prasa uznała najwyraźniej, że kwestia, czy dublerka zastąpiła sławną aktorkę w jednym czy też w dwóch przedstawieniach, nie należy do najważniejszych wiadomości i nie warto poświęcać jej więcej uwagi.

Ponieważ wszystko to dopiero co się wydarzyło, nasza rozmowa w parku obracała się wciąż wokół tego tematu.

Roderick słuchał uprzejmie, podczas gdy Lisa opowiadała wszystko od początku.

Biedna Lisa, pomyślałam. Sądziłam, że mówienie o tym przynosi ulgę jej zbolelej duszy. Próbowała opisać uczucie paraliżującego przerażenia, które opanowało ją, gdy kurtyna poszła w górę.

- Znam wszystkie numery... i kroki w tańcu. Uczyłam się ich, będąc w chórze, obserwowałam, kiedy tylko byłam na scenie... a w

„Hrabinie Maud” chór występuje prawie przez cały czas. I mimo to, wciąż zadaję sobie pytania: „Czy dobrze to pamiętam? Jak brzmi następna linijka tekstu?” Kolana mi drżą i jestem pewna, że nie wyduszę z siebie ani słowa.

- Mama zawsze powtarza, że trema jest nieunikniona, jeśli chce się rzeczywiście dobrze zagrać, a ty z pewnością grałaś dobrze, Liso -

wtrącałam.

- Mam nadzieję. Tylko że nikt tego nie zauważył...

- Dolly naprawdę był z ciebie zadowolony; poznałam to po nim.

- Powiedział, że jeśli Desiree będzie miała następne takie ataki, to przedstawienie zrobi klapę.

- Oczywiście, że do tego nie dojdzie, a Desiree nic złego się nie przydarzy. Jeśli raz czy dwa jej nie było, publiczność tym bardziej będzie chciała ją zobaczyć.

- Wybacz, że tyle o tym mówimy - zwróciłam się do Rodericka. -

Ale dla Lisy to bardzo ważne.

- Rozumiem to - odparł, a zwracając się do Lisy, dodał:

- Żałuję, że tam nie byłem.

- Dobrze, że pana nie było. Wolałabym, żeby mnie pan zobaczył, kiedy już nabędę trochę doświadczenia.

- Mam nadzieję, że nie jako „Maud” - wtrąciłam szybko. -

Możesz ją zagrać tylko wtedy, jeśli mama znowu będzie miała atak, a to byłoby wielkie zmartwienie.

- Och, nie pomyślałam o tym, naprawdę nie pomyślałam. Masz rację. Byłam szczerze zmartwiona, kiedy ten atak się powtórzył, ale jak powiedział doktor, musiał to być przypadek. To się zdarza.

- Może mogłaby pani dostać główną rolę w innej sztuce, skoro w tej tak dobrze sobie pani radzi - podsunął Roderick. - Na pewno trudno jest grać, dowiedziawszy się o tym w ostatniej chwili. Każdy to rozumie.

- Na tym polega rola dublerki. Powinam być wdzięczna, że w ogóle mam coś na początek. Tak

trudno jest się wybić, kiedy się nie ma przyjaciół.

- No, pani nie może na to narzekać - powiedział Roderick. Chyba zrozumiała, że zbyt wiele rozmawiamy o jej sprawach, bo powiedziała szybko:

- Proszę nam jeszcze coś opowiedzieć o tych wspaniałych wykopaliskach w pańskiej posiadłości. Jakże chciałabym to zobaczyć!

I tak rozmawialiśmy, ja jednak byłam nieco urażona, bo już po raz drugi zakłóciła mi spotkanie z Roderickiem.

Pojechałam z matką odwiedzić Janet Dare. Mieszkała razem z przyjaciółką w małym domku w Islington. Była zachwycona, że nas widzi.

- Spójrzcie! Chodzę bez kul - powiedziała.

- Cudownie! - wykrzyknęła mama. - Kiedy wracasz?

- Najpierw muszę trochę poćwiczyć. Wie pani, chodzi o taniec.

Jakiś czas to potrwa. Gdyby nie to, wróciłabym nawet za tydzień.

Mam nadzieję, że pan Dollington to rozumie i że w teatrze wszystko w porządku.

- Oczywiście, że rozumie.

- To cudownie z jego strony, że dalej płaci mi pensję. Nie wiem, co bym zrobiła bez tych pieniędzy.

Wiedziałałam, o co jej chodziło; słyszałam, jak mama się z nim o to sprzeczała. Dolly mówił, że spółka teatralnej nie stać na płacenie dziewczynie, która nie pracuje; szczególnie, że trzeba było podnieść pensję Lisie ze względu na to, że występowała jako dublerka.

- Nie bądź taki skąpy, Dolly - mówiła mama. - Z czego ta biedna dziewczyna będzie żyła, jeśli nie będziesz jej płacił pensji?

- Przypuszczam, że da sobie radę tak samo, jak w innych okresach, kiedy nie pracuje - odparł Dolly.

- Ależ jesteś twardy, Dolly.

- Desiree, tu chodzi o interesy. Muszę dbać o to, żeby przedstawienie przynosiło dochody, inaczej wszyscy stracimy pracę.

W końcu doszli do porozumienia. Spółka teatralna miała wypłacać Janet połowę pensji, mama miała dopłacać resztę. Tylko przed Janet trzymano to w tajemnicy, mogłaby bowiem czuć się niezręcznie.

Kusiło mnie, żeby się wygadać, bo zależało mi zawsze, żeby wszyscy wiedzieli, jaka mama jest dobra. Ona znała i rozumiała mnie dobrze, teraz więc rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie.

Janet właśnie mówiła:

- Podobno dopiero za jakieś dwa tygodnie będę mogła zacząć ćwiczyć. Myślę, że nie wrócę do pracy wcześniej niż za miesiąc. Na początku będę miała zeszywniałe nogi.
- Nie przemęczaj się za bardzo. Lisa jest zupełnie dobra.
- Ta nowa! Ależ to dla niej okazja! Już dwa razy grała!
- A wszystko przez moją głupią niestrawność.
- Czytałam o tym w gazetach. Nie udało jej się jednak zabłysnąć od pierwszego razu, prawda? - dodała z nutką złośliwej satysfakcji.
- To tylko takie romantyczne marzenie, naprawdę raczej się nie zdarza.
- A jednak się zdarzało, ale nie Lisie.
- Dopiero od niedawna występuje na scenie, naprawdę całkiem dobrze jej poszło - odezwałam się w obronie Lisy.
- „Całkiem dobrze” oznacza to samo co „niezbyt dobrze”, tylko uprzejmiej powiedziane - stwierdziła Janet. - Jestem pewna, że ja zwróciłabym ich uwagę.
- Widzę, że trochę wam przeszkadzam - zauważyła ze śmiechem mama. - Powinnam częściej miewać takie ataki.
- Ach nie... nie! - wykrzyknęła Janet. - Wcale tak nie myślałam; byłam przerażona, kiedy usłyszałam, co się pani stało.
- W porządku, kochanie, rozumiem. To w pełni naturalne. Jak mówi przysłowie: co jednemu smakuje, to drugiego zatruje. W tym wypadku rzeczywiście mnie zatrulo. Ale odtąd już będę ostrożna. A ty się nie martw, też kiedyś wyrobisz sobie nazwisko. No bo tego ci trzeba, prawda? Naprawdę śmieszne, jak wiele zależy od nazwiska.

Ludzie uważają, że jesteś dobra, jeżeli tak się o tobie mówi; a im więcej się mówi, tym bardziej w to wierzą, przyswajają sobie tę opinię, zanim zdążą to sobie uświadomić.

Kiedy wyszłyśmy, mama powiedziała:

- Biedactwo! To dla niej straszne. Mam nadzieję, że niedługo znowu będzie mogła tańczyć.

Lisę bardzo zainteresowała wiadomość, że byłyśmy z wizytą u Janet Dare.

- Sporo czasu jeszcze upłynie, zanim będzie znowu tańczyć - powiedziała jej.

- To na pewno dla niej okropne, wyobrażam sobie, jak ona się czuje.
- Sądzi, że to potrwa jeszcze miesiąc, ale mama uważa, że raczej sześć tygodni. Gdyby chodziło tylko o śpiewanie, nie byłoby problemu, ale trudno jej będzie tańczyć.
- Roderick Claverham dość rzadko bywa w teatrze, prawda?
- Tak, przyjeżdża do miasta tylko raz na jakiś czas. Zajmuje się rodzinną posiadłością.
- Przypuszczam, że jest ogromna.
- Nigdy tam nie byłam, ale z tego, co mówił, wnioskuję, że tak.
- To na pewno wspaniałe miejsce. Jego ojciec, Charlie, to taki miły człowiek; a matka?
- Nie miałam okazji poznać jego matki. Lisa uśmiechnęła się ukradkiem.
- No tak, przecież obie rodziny chyba się nie spotykają. To znaczy, chciałam powiedzieć, Charlie bywa tu, kiedy jest w Londynie, a że przyjeżdża do Londynu dosyć często... jak na to, że ma posiadłość na wsi...

Lisa Fennell wystarczająco dobrze znała życie, by zrozumieć tę sytuację. Charlie uwielbiał moją mamę w sposób nie budzący wątpliwości. Przypominali małżeństwo, które przeżywszy już fazę pierwszej namiętności, osiągnęło szczęśliwy stan wzajemnego zrozumienia i głębokiego uczucia. Łączyła ich teraz prawdziwa, wierna i bezinteresowna przyjaźń.

Lisa kontynuowała rozmowę na temat Claverhamów i zorientowałam się, że mimo woli opowiadam jej wszystko, co wiem o dworze w Kent i o lady Constance.

Chciwie chłonęła to, co mówiłam.

- A ty jesteś naprawdę bardzo zaprzyjaźniona z Roderickiem Claverhamem - zauważyła.
- Widzieliśmy się parę razy.
- Mimo że on tu nie przychodzi.
- Może przyjdzie, matka powitałaby go z przyjemnością.
- A jednak nie przychodzi, umawia się z tobą poza domem.
- Ach... to samo tak wychodzi, spotykamy się przypadkiem.
- Wiem - Lisa wyglądała na rozbawioną.
- Teraz przyjeżdża do Londynu bardzo często, prawda?
- Przecież inni też tak robią. Lubią wieś, ale od czasu do czasu lubią też się stamtąd wyrwać.

- Przypomina swojego ojca - Lisa uśmiechnęła się do siebie. - Jak długo będzie w Londynie?

- Nie wiem.

- Zdawało mi się, że wspominał o wyjeździe pod koniec tygodnia.

- Ach tak, już pamiętam. Bardzo się nim interesujesz.

- Wszystkimi się interesuję, a on jest bardzo interesujący.

Podobnie jak jego ojciec... Desiree i ty. Zawsze mnie ciekawili ludzie, a ciebie nie?

- Pewnie też.

Czułam jednak, że Roderick Claverham interesuje ją w szczególny sposób.

Pewnego dnia zdarzyło się to znowu. Była mniej więcej trzecia po południu. Mama jak zwykle odpoczywała, nabierając sił przed wieczornym przedstawieniem. Zajrzałam do niej.

Leżała w łóżku i już od pierwszej chwili, gdy weszłam do pokoju, wiedziałam, że coś jest nie w porządku.

- Co ci jest? - zapytałam.

- Znowu zaczynam odczuwać te głupie mdłości.

- Och nie! - wykrzyknęłam, czując, jak ogarnia mnie przerażenie.

- Zaraz mi przejdzie. Jeśli coś takiego raz się zdarzyło, człowiek wyobraża sobie, że to się powtórzy. Teraz to tylko gra wyobraźni.

- W takim razie leż spokojnie i może rzeczywiście ci przejdzie.

- Mam nadzieję, kochanie. Może to tylko nerwy. Ta nieszczęsna hrabina już za długo jest częścią mojego życia.

- Och, były role, które grywałaś znacznie dłużej.

- Ale przychodzi czas, że zaczynam czuć jakiś niepokój i już myślę o czymś nowym; jestem niespokojna z natury. Wszystko będzie w porządku. Po co przyszłaś? Potrzebujesz czegoś ode mnie?

- Nie, nic specjalnego. Chciałam tylko zobaczyć, czy śpisz.

Czujesz się już trochę lepiej?

- Raczej nie, kochanie. Obawiam się, że prawie na pewno jest to znowu ta sama głupia dolegliwość co przedtem.

- Mam posłać po doktora?

- Nie, nie. Powie tylko, że znów coś zjadłam.

- A co zjadłaś?

- Od wczorajszego obiadu naprawdę niewiele; po przedstawieniu wypłam tylko szklanę mleka. Na śniadanie zjadłam tosta z kawą, a na lunch ledwie odrobinę ryby.

- Znowu ryba?

- Często jadam ryby.

- To bardzo dziwne. Martwię się o ciebie.

- Kochanie, tak nie można. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Jestem mocna jak koń.

- A te ataki? Zdarzają ci się coraz częściej.

- Kochanie, chyba nie ma na to rady. Trzeba będzie zawiadomić Dolly'ego.

Teraz naprawdę byłam zmartwiona; zdarzało się to już po raz trzeci w stosunkowo krótkim czasie. Coś trzeba było na to poradzić.

Dolly wpadł w rozpacz. Dwa razy udało mu się opanować sytuację, ale teraz zdarzyło się to znowu. Zaczynało to wyglądać na jakąś prawidłowość.

O piątej po południu mama była już pewna, że nie zdoła tego wieczoru grać w teatrze. Dolly wpadł w panikę. Jak zareaguje tym razem publiczność? Ludzie pomyślą, że nie warto rezerwować biletów, skoro i tak nigdy nie wiadomo, kogo się zobaczy.

Dziennikarze będą mieli używanie; już i tak robili aluzje, że niedyspozycje Desiree wynikają z jej skłonności do alkoholu. Coś takiego mogło aktorce tylko zaszkodzić w oczach publiczności. Kto uwierzy w ataki kamicy żółciowej? To był naprawdę kłopot. Ja też nie wierzyłam w te ataki; strasznie się bałam, że wcale nie są spowodowane czymś, co mama akurat zjadła.

Martha też tak myślała, odwracała oczy i mruzczała coś sama do siebie.

- Jutro zasięgniemy opinii kogoś innego - orzekła. - Dość już tego stetryczalego Greena.

Teraz chodziło przede wszystkim o wieczorne przedstawienie.

Lisa była zdenerwowana. Jak wszystkie aktorki, które znalazły się w podobnej sytuacji, miała nadzieję, że jeden występ przyniesie jej sławę. Dotąd jednak nic takiego się nie stało. Nie byłam pewna, czy przypadkiem te występy nie przynoszą jej więcej szkody niż pożytku.

Ona jednak nie traciła nadziei. To miało być jej trzecie podejście i wiedziałam, że przez cały czas ćwiczyła główną rolę.

Mama poprosiła mnie:

- Idź tam dzisiaj. Myślę, że Lisa będzie się lepiej czuła, wiedząc, że przyszedł ją zobaczyć. Robert jest teraz w Londynie, on cię zabierze.

Zgodziłam się, nie chciałam bowiem, żeby wiedziała, jak bardzo się o nią boję.

Następnego dnia Martha i ja miałyśmy się naradzić i zdecydować, co robić dalej. Chciałyśmy wezwać specjalistę, który spróbowałby ustalić, czy nie jest to coś naprawdę poważnego.

Tuż przed wyjściem Lisy do teatru zamieniłam z nią parę słów.

Była blada i spięta.

- Odważyłam się na coś śmiałego, sama nie wiem, co mnie podkusiło - wyznała mi. - Napisałam do Rodericka Claverhama liścik, w którym zaprosiłam go na dzisiejsze przedstawienie, gdzie zagram główną rolę. Byłam zupełnie zaskoczona.

- Co on sobie pomyśli? - zastanawiała się Lisa. - Pewnie nie przyjdzie.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytałam.

- Po prostu pomyślałam, że trzeba mi na widowni tylu przyjaciół, ilu tylko uda mi się zgromadzić.

- Dasz sobie radę - powiedziałam. - Ciekawe, czy on przyjdzie.

- Mówił, że żałuje, że nie był na moim poprzednim przedstawieniu.

Naprawdę nie bardzo byłam w stanie myśleć o czymś poza tym, co dolega mamie. Chciałam porozmawiać o tym z Martha, Charliego akurat nie było w Londynie. Na pewno by się przejął i pomógłby nam znaleźć odpowiedniego specjalistę. Bo teraz potrzebny był już specjalista. Co do tego Martha nie miała już wątpliwości... i ja też.

Cieszyłam się, że Robert był przy mnie tego wieczoru. Miał

zwyczaj wynajmować lożę na wszystkie przedstawienia, w których grała Desiree. Loża była do naszej dyspozycji, kiedy tylko miałyśmy na to ochotę. Było to bardzo wygodne.

Robert bardzo troszczył się o mamę i czułam, że mogę rozmawiać z nim równie szczerze, jak z Charliem.

- To bardzo niepokojące - powiedział.

Odparłam, że jutro mamy zamiar sprowadzić specjalistę, żeby ją zbadał, bo uważamy, że doktor

Green już nie wystarcza.

- Sądzicie, że to rzeczywiście coś poważnego?

- Cóż, w ciągu dość krótkiego czasu zdarzyło się to już trzykrotnie. Ona nie zrezygnowałaby z wieczornego występu, gdyby nie była naprawdę chora. Nie można dłużej czekać, trzeba znaleźć przyczynę. To musi być jakaś wewnętrzna dolegliwość.

- Zawsze wydaje się taka, jakby to powiedzieć... pełna życia.

- Zdrowa, tryskająca energią! - dorzuciłam. - Miałam zamiar z nią zostać, ale nie chciała nawet o tym słyszeć; powiedziała, że Lisa będzie potrzebowała mojego wsparcia.

- Mnie powiedziała to samo. Kochana Desiree, zawsze myśli o innych.

- Tak. A ja strasznie się o nią martwię. Ujął i uścisnął moją dłoń.

- Coś na to poradzimy - obiecał.

Popatrzyłam na dół. W dziesiątym rzędzie krzeseł dostrzegłam Rodericka. Spojrzał w stronę łoży i pomachał do mnie; więc jednak przyszedł zobaczyć Lisę.

Ciekawa byłam, co będzie dalej. W tym momencie na scenę wyszedł Dolly i wygłosił to, co miał do powiedzenia. Publiczność słuchała w osłupieniu, po czym podniósł się szum.

Dolly wydawał się nieco zbity z tropu, uniósł dłoń do czoła i przybrał wyraz skrajnej rozpacz. Odważnie stawiał czoło publiczności.

- Desiree jest szczerze zmartwiona, lecz ma nadzieję, że jej państwo wybaczą. Wierście mi, gdyby tylko była w stanie wyjść na scenę, z całą pewnością by to zrobiła.

Parę osób wyszło. Z drzeniem serca czekaliśmy, co będzie dalej.

Nastąpiło kilka chwil pełnych niepokoju, po czym na widowni ucichło. Ludzie chcieli obejrzeć przedstawienie i miło spędzić wieczór, więc zostali, mimo że nie było to dokładnie to, czego oczekiwali.

Kurtyna poszła w górę. Chór zaczął śpiewać, a gdy się rozstąpił, na scenie ukazała się Lisa. „Czym mogę pani służyć?” - śpiewała, dając z siebie wszystko i według mnie poszło jej bardzo dobrze.

Modliłam się w duchu, żeby spodobała się publiczności.

Dolly po cichu wszedł do łoży i usiadł, ale przyglądał się raczej widowni niż temu, co działo się na scenie.

Po chwili napięcie opadło. Przedstawienie szło nieźle. Poczułam, że Dolly trochę się uspokoił, nadal jednak obserwował wszystko uważnie i nie tracił czujności.

Wyszedł, kiedy zaczęła się przerwa.

- Nieźle to idzie, prawda? - zagadnął Robert. - Ta dziewczyna...

to nie Desiree... ale jest dobra, nieprawdaż?

- Tak - odpowiedziałam. - Trzeci raz gra tę rolę i za każdym razem jest lepsza.

- Próbuje swoich sił.

Drzwi otworzyły się i do loży zajrzał Roderick.

- Witaj - krzyknęłam. - Widziałam cię tam na dole. Robercie, to jest Roderick Claverham, syn Charliego. Rodericku, to pan Robert Bouchere.

Wymienili uprzejmości.

- To ładnie, że przyszedłeś - powiedziałam. - Lisa się ucieszy.

- Jak się czuje twoja matka?

- Po raz kolejny ma taki okropny atak. Chcemy, żeby zbadał ją specjalista. Tym razem Martha postanowiła to na niej wymóc i ja się z tym zgadzam. Nie ma co dłużej zwlekać. Jak ci się podoba przedstawienie?

- Bardzo. Siedzę dość daleko od sceny, ale było to najlepsze miejsce, jakie udało mi się dostać w ostatniej chwili.

Spojrzałam na Roberta i wyjaśniłam:

- To jest loża pana Bouchere, jest tak miły, że pozwala nam z niej korzystać.

- Koniecznie musi pan zostać z nami - powiedział szybko Robert.

- Stąd dobrze widać całą scenę z wyjątkiem prawego rogu, co jednak zwykle nie ma większego znaczenia.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, będzie mi niezwykle miło.

- Jak długo zostaniesz w Londynie? - zapytałam Rodericka.

- Niestety, przyjechałem na krótko. W domu jest tyle pracy.

- A twój ojciec?

- Jest teraz na wsi. Przypuszczam, że niebawem przyjedzie do Londynu.

Zabrział dzwonek i kurtyna się uniosła. Zauważyłam, z jakim zainteresowaniem Roderick

obserwował Lisę.

- Dobrze jej idzie - powiedziałam. - Bardzo się cieszę. Kiwnął

głową.

Kurtyna opadła po raz ostatni. Lisa przyjmowała brawa z widoczną wdzięcznością. Nie trwały one jednak długo. Gdyby to była Desiree, wywoływano by ją z powrotem na scenę jeszcze wiele razy.

Poszliśmy do garderoby, żeby Lisie pogratulować. Była uszczęśliwiona, lecz zarazem pełna obaw, wydawała się tak krucha i bezbronna. Było mi jej żal i chyba to samo odczuwał Roderick. Ta wielka szansa, na którą tak liczyła, nie spełniła jej oczekiwań i nadziei.

- A może mógłbym teraz zaprosić panią gdzieś na kolację, panią, Noelle oraz pana Bouchere? - zaproponował Roderick.

- Cóż to za miły pomysł! - wykrzyknęła Lisa.

- Dziękuję, proszę mi wybaczyć - odparł Robert, a ja dodałam, że chcę jak najszybciej wracać do domu i zobaczyć, jak się czuje mama.

Lisa posmutniała i Roderick także wyglądał na zawiedzionego.

Robert jednak odezwał się:

- Czemu nie mielibyście pójść oboje? Dobrze pani zrobi, mademoiselle Fennell, jeśli przy kolacji... jak wy to mówicie...

zrelaksuje się pani trochę i uwolni od napięcia. Dziś wieczór przeżyła pani spory stres, prawda? Tak, to dobrze pani zrobi, posiedzieć trochę... porozmawiać... pośmiać się... i zapomnieć. A ja odwiozę Noelle do domu.

- Thomas ma przyjechać powozem po mnie i po Marthę -

powiedziałam.

- W takim razie pojedziemy we trójkę... a tych dwoje niech sobie idzie na kolację.

Roderick popatrzył na Lisę wyczekująco. Przekonywałam samą siebie, że z pewnością chciałby wrócić ze mną do domu i dowiedzieć się, co słyhać z moją matką, Lisa jednak wyglądała tak żałośnie i Robert miał słuszność, mówiąc, że potrzeba jej relaksu. Zaś co do Rodericka, to raz uczyniwszy tę propozycję, nie bardzo mógł ją teraz cofnąć. Tak więc zostało postanowione, że Roderick z Lisą pójdą razem na kolację, podczas gdy my wrócimy do domu.

Kiedy dojechaliśmy, Robert powiedział, że poczeka, bo chce dowiedzieć się o zdrowie mojej mamy, a my z Marthą natychmiast udałyśmy się do jej pokoju.

Martha zastukała do drzwi. Nie słychać było żadnej odpowiedzi.

- Śpi - szepnęła do mnie. - To dobry znak.

Otworzyła drzwi i zajrzała do środka. W świetle księżyca zobaczyłam, że łóżko było puste.

Pośpiesznie weszliśmy do środka i wtedy ją zobaczyliśmy.

Leżała na podłodze i uderzyło mnie to, że głowę miała w bardzo nienaturalnej pozycji. Potem zauważyłam też, że ma krew na twarzy.

Podbiegłam i uklękłam koło niej. Wyglądała tak dziwnie... jak nie ona.

Zawołałam ją zrozpaczona. Nie poruszyła się: nie odpowiedziała; jakaś straszna intuicja mówiła mi, że mama już nigdy się do mnie nie odezwie.

• • •

Kiedy sięgam teraz pamięcią wstecz, tamta noc stanowi dla mnie kłębowisko różnych wrażeń. Pamiętam, że domownicy stłoczyli się w sypialni mamy; był wśród nich także Robert. Wszyscy byli wstrząśnięci i nie potrafili jeszcze w pełni pojąć ogromu nieszczęścia, które nas spotkało.

Przyjechał doktor Green.

- Musiała upaść i przy upadku zranić się w czoło o krawędź

toaletki... a potem doznała dalszych obrażeń - stwierdził.

Zabrali ją do szpitala, ale wiedzieliśmy już, że nic to nie pomoże.

Odeszła od nas. Usiłowałam wyobrazić sobie, jak to będzie bez niej; że już nigdy nie usłyszę jej głosu i śmiechu - zabraknie jej wesołości i beztrudnej radości życia. To wszystko należało już do przeszłości, skończyło się dla nas bezpowrotnie.

Początkowo trudno było się z tym pogodzić, zastanawiałam się, czy kiedykolwiek mi się to uda. Życie już nigdy nie miało być takie, jak przedtem. Po prostu nie umiałam wyobrazić sobie, jak będzie bez niej, nie mogłam nawet znieść tej myśli. Wokół niej ogniskowało się moje życie, i oto w ciągu jednej nocy odeszła. Dlaczego nie zostałam przy niej? Mogłam ją podtrzymać, żeby nie upadła, mogłam ją ocalić.

Nieświadoma niczego siedziałam w teatrze, rozmawiałam z Roderickiem, Lisą i Robertem i wtedy to się zdarzyło. Odeszła na zawsze.

Po północy wróciła Lisa. Była zarumieniona i szczęśliwa, widać było, że miło spędziła wieczór z Roderickiem.

Spojrzała tylko na mnie i od razu zapytała:

- Co się stało? Coś złego?

- Moja mama nie żyje - odpowiedziałam. Wpatrywała się we mnie pobladała.

- Wstała z łóżka - opowiadałam. - Musiało jej się zakręcić w głowie i upadła. Zraniła się... i... to ją zabiło.

- Nie. Ach, nie! - krzyknęła Lisa i zemdląła. Kiedy odzyskała przytomność, powtarzała nadal:

- Nie, to niemożliwe. Ona wyzdrowieje, prawda? Nie mogła umrzeć tylko... dlatego że upadła.

Nie odpowiedziałam, odwróciłam się od niej. Złapała mnie za rękę, a na jej twarzy malowało się cierpienie. Musiała być bardzo przywiązana do mojej mamy. Cóż w tym jednak dziwnego, wszyscy byli do niej przywiązani. W głębi duszy byłam przekonana, że Lisa przejmuje się przede wszystkim własną karierą i myśli głównie o tym, by pokazać światu, na co ją stać. To było naturalne. Teraz jednak pokazała, że Desiree wiele dla niej znaczyła, że głęboko przeżywa to, co się stało. Robiła wrażenie oszołomionej.

Odprowadziłam ją do jej pokoju i poprosiłam panią Crimp, żeby zaniosiła jej coś gorącego do picia. Pani Crimp ucieszyła się, że może być w czymś pomocna.

Wciąż powtarzała:

- Nie mogę w to uwierzyć. Co my bez niej pocniemy? Na to pytanie nie potrafiłam jej odpowiedzieć. Wszyscy domownicy byli jak sparaliżowani. To już nie był ten dom, który znaleźliśmy.

Gazety pełne były wiadomości o Desiree.

Odeszła Desiree, jedna z największych aktorek komedii muzycznej, która zrewolucjonizowała ten gatunek i podniosła jego rangę. Była za młoda, żeby umrzeć.

Odeszła, będąc u szczytu sławy i sił artystycznych. Pozostawiła smutek i żalobę.

Wymieniano

przedstawienia,

w

których

występowała,

przypominano dawne wzmianki prasowe na jej temat.

Dziennikarze nie odstępowali naszego domu. Poprosili o wypowiedź Jane.

- To była miła pani - powiedziała Jane. Pani Crimp stwierdziła:

- Takie kobiety należą do rzadkości. Nigdy już nie będzie drugiej takiej jak ona.

Z Lisą rozmawiali najwięcej, była przecież dublerką Desiree. Lisa powiedziała:

- Zawdzięczam jej wszystko, była dla mnie cudowna. To ona dała mi pierwszą szansę.

Czytałam te artykuły wielokrotnie. Gazety nasiąkły już moimi łzami, wciąż spragniona byłam pochwalnych wypowiedzi na jej cześć... czasem się uśmiechałam na wspomnienie tego, co ona sama mówiła kiedyś o różnych rolach. Po czym znowu ogarniała mnie rozpacz; nie mogłam wyzwolić się od wspomnień, powracały jak fala, zalewały mnie. Jako małe dziecko wchodziłam do pokoju i pytałam:

„Czy to jest przyjęcie?“, a wszyscy śmieli się, nie wiedziałam z czego i byłam trochę przestraszona, póki nie skryłam się w jej ramionach.

Wszyscy ją kochali, nikt jednak bardziej niż ja. Ja byłam jej najbliższa i to mnie dotknęła największa strata.

Charlie był załamany; Robert głęboko nieszczęśliwy; Dolly przybity. Z powodu żałoby po Desiree teatr na tydzień został

zamknięty.

- No a co potem? - pytał Dolly.

Było mało prawdopodobne, aby „Hrabina Maud“ miała iść dalej.

Dolly był tym głęboko zmartwiony, ale przede wszystkim opłakiwał

stratę Desiree, którą kochał, podobnie jak my wszyscy.

Potem dowiedzieliśmy się, że ze względu na to, iż śmierć nastąpiła nagle, przeprowadzone zostanie śledztwo.

Była to dla nas ciężka próba.

Zgromadziliśmy się wszyscy - służba, Martha, Lisa, Charlie, Robert i Dolly. Lisa siedziała obok mnie, zdenerwowana i spięta.

Co do okoliczności śmierci mamy nie było żadnych wątpliwości: upadła, łamiąc sobie kark, a liczne obrażenia, które temu towarzyszyły, spowodowały natychmiastowy zgon. Chodziło jednak o to, co stwierdził doktor Green, że uprzednio matka cierpiała na ataki kamicy żółciowej, które wystąpiły trzykrotnie na przestrzeni dość krótkiego czasu. Nie było tu innego wytłumaczenia prócz tego, że zaszkodziło jej coś, co zjadła. W tej sytuacji wydawało się pożądane podjęcie dochodzenia przez koronera.

Zeznawali dwaj lekarze. W żołądku zmarłej znaleziono ślady trucizny, która jednak była tylko pośrednią przyczyną śmierci.

Trucizna wywołała bóle i zawroty głowy, a to z kolei spowodowało tragiczny w skutkach upadek.

Mówili o *Euphorbia lathyris* i zrozumiałam, dlaczego przeszukiwano ogród. Lekarze wyjaśnili, że chodzi o roślinę popularnie zwaną wilczomleczem... w tym wypadku o jej trującą odmianę *Capparis spinosa*. Roślina ta kwitła, w czasie gdy nastąpił

wypadek, i mogła mieć związek ze śmiercią mamy. Zawierała mleczko o silnych własnościach przeczyszczających i drażniących. U

osoby, która ją spożyła, mogła wywołać zatrucie i biegunkę, a w niektórych wypadkach także zawroty głowy.

Wydawało się oczywiste, że zmarła była ofiarą tej właśnie trucizny, zwłaszcza że krzew *Capparis spinosa* rósł u nas w ogrodzie.

Być może mama nie zdawała sobie sprawy ze szkodliwych właściwości tej rośliny i od czasu do czasu sama niechcący dotykała ziela, po czym następowały u niej kolejne ataki choroby.

Zdumiało mnie to, ponieważ mama nigdy nie przejawiała żadnego zainteresowania ogrodem, szczególnie naszym, który właściwie był tylko małym skrawkiem ziemi za kuchnią. Rosło tam kilka krzaków i widocznie był wśród nich także wilczomlecz.

Wydawało mi się mało prawdopodobne, żeby w ogóle chodziła do ogrodu, a gdyby jej się to zdarzyło, to żeby zwróciła uwagę na rośliny. Zakładano jednak, że w dniach, kiedy występowały u niej ataki, musiała mieć bezpośredni kontakt z trującym ziele.

W ogrodzie stała ławeczka i rzeczywiście, pani Crimp widziała parę razy, jak mama tam siedziała, było to jednak już dość dawno.

Wilczomlecz rósł w pobliżu ławki. Nasuwał się więc prosty wniosek, że w taki czy inny sposób mama poplamiła sobie ręce trującym sokiem, a wkrótce potem dotykała nimi jedzenia.

Niektórzy uznaliby to pewnie za wystarczające wyjaśnienie, ale nie ja, która tak dobrze ją znałam. Zdarza się, że pewni ludzie są bardziej podatni na działanie trucizny niż inni. Przypuszczano, że zmarła mogła do nich należeć. Sama śmierć nie była jednak skutkiem działania trucizny, mama umarła od urazu przy upadku.

Orzeczono więc:

„Śmierć na skutek wypadku”.

Dochodzenie dobiegło końca. Moja mama odeszła na zawsze.

Przedemną rozpościerała się pusta i niewiadoma przyszłość.

I co teraz? - pytałam samą siebie. - Co ja pocznę?

Nie wiedziałam i niewiele mnie to obchodziło. Myślałam tylko o jednym: moja mama odeszła na zawsze.

Minęło kilka dni. Były one szare i pozbawione sensu. Wciąż czułam się na tyle odrętwiała po ciosie, że nie w pełni pojmowałam jeszcze sytuację i dramatyczną zmianę, jaka dokonała się w moim życiu.

Charlie i Robert byli dla mnie cudownym oparciem. Widywałam ich codziennie. Czułam, że obaj starają się udowodnić, że są moimi przyjaciółmi i że się mną opiekują.

Dolly był zupełnie załamany i to nie tylko dlatego, że „Hrabina Maud” musiała zostać zdjęta z afisza, bo bez Desiree nie było sensu grać jej dalej. Także Lisa była poważnie chora. Przebywała u siebie w pokoju i wyglądało na to, że chce być sama.

Zastanawiałam się nad swoją sytuacją finansową. Mama zarabiała sporo pieniędzy. Wydawała jednak dość rozrzutnie, a w życiu nawet najpopularniejszej aktorki zdarzają się okresy mniejszej aktywności zawodowej. Żyła mniej więcej na poziomie swoich zarobków, więc po zapłaceniu długów należało zorientować się, czy zostanie jeszcze jakaś drobna sumka, która rozumnie zainwestowana, przynosiłaby mi pewien dochód, wystarczający chociaż na skromne utrzymanie. Dom należał do mnie, ale nie byłam w stanie zatrzymać służby.

Najpierw pomyślałam o Crimpach. To oni, wraz z Jane i Carrie, stali się częścią mojego życia. Mattie zamierzała odejść, bo jak twierdziła, guwernantka nie będzie mi już potrzebna.

Wtedy Robert zaproponował, że kupi ode mnie dom. Potrzebne mu było mieszkanie w Londynie, bo zmęczyło go już ciągle zatrzymywanie się w hotelach. Chciał, oczywiście, zatrzymać służbę i prosił, bym uważała ten dom za swój, tak długo, jak tylko będzie chciała.

- Tak naprawdę wcale nie chcesz tego domu, Robercie -

powiedziałam. - Kupujesz go tylko dlatego, że wiesz, jak bardzo jesteśmy zmartwieni.

- Nie, nie - upierał się. - Potrzebuję mieszkania. Po co mam czegoś szukać... kiedy jest ten dom? To jest... jej dom. Mam poczucie, że ona by tego chciała. Tyle o tobie mówiła. Prosiła, żebym się tobą zajął... gdyby kiedykolwiek zaszła taka potrzeba. Rozumiesz?

Rozumiałam. On ją kochał i robił to dla niej. Powstało też pytanie, co z Lisą.

- Nie trzeba jej niepokoić, jest taka przygnębiona - zdecydował

Robert. - Tak wiele zawdzięcza Desiree i bardzo po niej rozpacza.

Nie, niech tu zostanie... jeśli tylko będzie chciała. Nie będziemy jej niepokoić.

Pani Crimp stwierdziła, że zawsze uważała mesje Rabusia za porządnego człowieka i że niewątpliwie jest on dżentelmenem, mimo że to cudzoziemiec. Już ona i pan Crimp opiekują się

nim. Oboje nie ukrywali ulgi, że na razie przyszłość mają zabezpieczoną.

No i była też Martha. Rozmawiała już z Lottie Langdon, która zawsze była gotowa przyjąć ją do siebie, a nawet przy paru okazjach próbowała ją podkupić.

- Nie mogłabym tu zostać - powiedziała Martha. - Mam zbyt wiele wspomnień związanych z tym miejscem. Tak długo byliśmy razem, ale ona odeszła i nie ma co oczekiwać, że wróci... bo już nie wróci. Wciąż na nowo muszę sobie o tym przypominać. Gdyby tu teraz była, niech ją Bóg błogosławi, wiem, co by powiedziała:

„Martho, bądź rozsądna. Mnie już tu nie ma, a ty zostałam. Musisz pomyśleć, co dalej. Dobrze nam było razem, ale to już się skończyło.

Świetnie znasz swoją pracę i wiesz, że Lottie Langdon zawsze gotowa była cię przyjąć, wielokrotnie powtarzała, że ty jesteś najlepsza". Tak właśnie by powiedziała. Charlie zaopiekuje się tobą, Noelle. Desiree często powtarzała, że to jej najlepszy przyjaciel i że na nim może polegać najbardziej, mimo że ożenił się z tą starą poczwarą. Robert kupi ten dom przez pamięć dla niej i dzięki temu zawsze będziesz miała dach nad głową. Nie znam nikogo, kto otoczony byłby taką miłością jak ona. I naprawdę była tego godna. Nie mogę tutaj zostać, najlepiej będzie, gdy stąd odejdę... i to szybko. A co do ciebie, Noelle, myślę, że powinnaś postąpić tak samo - wyjechać stąd choćby na pewien czas. Jeśli tylko mogę ci w czymś pomóc... Ale zdaje mi się, że Charlie chciał z tobą porozmawiać.

Miała rację. Jeszcze tego samego dnia Charlie przyszedł do mnie i powiedział:

- Chciałbym pomówić z tobą poważnie, Noelle. Kiedy usiedliśmy razem w salonie, odezwał się:

- Twoja matka i ja byliśmy, jak wiesz, serdecznymi przyjaciółmi.

- Wiem.

- Nasza przyjaźń utrzymała się przez wiele lat. Znałem ją jak nikt inny i bardzo ją kochałem, Noelle.

Kiwnęłam głową.

- Ty, moje drogie dziecko, zawsze byłaś dla niej najważniejsza.

To była cudowna kobieta. Bardzo niezwykła. Nie zawsze zachowywała się zgodnie z ogólnie przyjętymi regułami. Cóż to jednak znaczy wobec jej gorącego, kochającego i czułego serca? - Tu przerwał, zbyt przejęty, aby mówić dalej.

Czekałam w milczeniu, przepełniona bólem tak jak on.

- Prosiła mnie, żebym się tobą zajął - zaczął mówić dalej. -

Powiedziała kiedyś: „Gdyby się zdarzyło, że mnie zabraknie, a Noelle potrzebowałaby opieki, chciałabym, żebyś to ty się nią zajął, Charlie".

Tak właśnie powiedziała. Ale chodzi nie tylko o to, że chcę spełnić jej życzenie. Bardzo cię lubię, Noelle.

- Zawsze byłeś dla mnie wspaniały, Charlie. I ty, i Robert.

- Z tym miejscem wiąże się zbyt wiele wspomnień, Noelle.

Rozmawiałem już na ten temat z Marthą i oboje jesteśmy zdania, że powinnaś stąd wyjechać. To naprawdę konieczne. Wiem, że nigdy jej nie zapomnisz, ale powinnaś przynajmniej spróbować.

- Nic z tego nie wyjdzie. Nigdy jej nie zapomnę.

- Każdy ból, nawet największy, z czasem przycicha. Chciałbym, żebyś przyjechała do Levenson. Chciałbym, żebyś tam zamieszkała...

pod moją opieką.

Wpatrywałam się w niego w najwyższym zdumieniu.

- Przecież... nigdy tam nie byłam... ani ja... ani moja matka. To było... poza dyskusją. Zawsze o tym wiedziałyśmy. Twoja żona nie życzyłaby sobie mojego przyjazdu.

- Ja sobie tego życzę i to jest mój dom. Obiecałem Desiree, że się tobą zaopiekuję, i postanowiłem dotrzymać obietnicy, na niczym w świecie nie zależy mi tak, jak na tym.

- Nie możesz tego zrobić, Charlie. Nasze rodziny nigdy się ze sobą nie stykały.

- Teraz jest inaczej. Chcę cię zabrać do Levenson, zastanów się nad tym. Musisz przyjechać.

Zastanawiałam się nad tym i wydawało mi się to niewiarygodne.

Pojechać tam... po tylu latach. To niemożliwe. Charlie jednak robił

wrażenie zdecydowanego.

Na krótko oddałam się myślom o czymś innym niż śmierć mojej matki. Porzucić dom moich wspomnień... Z nagłą przyjemnością pomyślałam: zobaczę Rodericka. Będę go widywać bardzo często...

zobaczę ich posiadłość i te niezwykle zabytki, które tam odkopano. Po raz pierwszy od chwili, gdy ujrzałam moją matkę leżącą martwą na podłodze sypialni, pomyślałam o czymś innym i zasłona mego żalu i rozpacz uniosła się nieco.

Tego samego dnia Charlie pojechał do domu - chciał, jak sądziłam, przygotować swą rodzinę na mój ewentualny przyjazd. Nie wierzyłam, aby groźna lady Constance zgodziła się, bym kiedykolwiek przekroczyła próg jej domu. Był to jednak także dom Charliego i widziałam już, że on też potrafi postawić na swoim. Był

szczerze oddany mojej matce, a teraz część swych uczuć przelał na mnie. Rozważałam możliwość częstszego widywania Rodericka i czułam, że to właśnie skłania mnie do przyjęcia propozycji, która mogła mnie postawić w wyjątkowo kłopotliwej sytuacji. Należało pomyśleć o przyszłości, powinnam wziąć przykład z Marthy. Ona nie była szczególnie uczuciowa, kierowała się zdrowym rozsądkiem i całkiem słusznie twierdziła, że kiedy sytuacja staje się nie do wytrzymania, im szybciej się człowiek z niej wycofa, tym lepiej.

Miałam zapewniony umiarkowany, lecz stały dochód, a dzięki hojności Roberta także i dach nad głową. Co robiły kobiety będące w moim położeniu? Dysponując skromnymi środkami, a posiadając dość staranne wykształcenie, miały przed sobą tylko dwie drogi: zostawały guwernantkami albo damami do towarzystwa bogatych pań. Nie widziałam siebie w żadnej z tych ról. Guwernantki pochodziły zwykle z bardzo szacownych rodzin - często były to córki pastorów, damy, które stanęły wobec konieczności zarabiania na życie. Córka sławnej aktorki komedii muzycznej raczej by do nich nie pasowała.

A więc... należało rozważyć propozycję Charliego.

Tego przecież życzyła sobie moja matka, a ona zawsze chciała dla mnie tego, co najlepsze. Potrzebowałam czasu do namysłu. Z drugiej strony sprawą zasadniczej wagi było, żebym wyrwała się z tego labiryntu nieszczęścia, w którym się znalazłam.

Charlie wskazywał mi pewne wyjście, przynajmniej na jakiś czas.

Po kilku dniach wrócił.

- Czy możesz być gotowa przed końcem tygodnia? - zapytał. -

Ale...

- Dajmy spokój wszelkim „ale” - powiedział zdecydowanie. -

Jedziesz ze mną.

- Twoja rodzina...

- Moja rodzina oczekuje twojego przyjazdu - odparł, wyraźnie dając mi do zrozumienia, że kwestia została zamknięta.

I tak pojechałam do Levenson.

KENT

Dwór Levenson

Spodziewałam się, że zobaczę przyjemny wiejski dworek, lecz kiedy moim oczom ukazał się dwór Levenson, byłam zupełnie przytłoczona. Podczas gdy powóz przysłany po nas na stację zbliżał

się ku domostwu, zauważyłam, że wieża z obronnymi wykuszami i warowna stróżówka górują nad otoczeniem.

Byłam zbyt oszołomiona, aby dostrzec szczegóły, ale później, kiedy dowiedziałam się nieco o architekturze dworu, zaczęłam zwracać uwagę na artyzm misternie rzeźbionych gzymsów i kwiatonów oraz ślady różnych stylów architektonicznych, jakie pozostawiały po sobie kolejne, dokonywane w różnych wiekach przebudowy.

Obecnie dom ten zdawał się zimny i wyniosły - niczym forteca zdolna obronić się przed każdym przybyszem. Nie była to tylko kamienna budowla, lecz żywy twór. Przez cztery wieki świadek wielu wydarzeń: narodzin i śmierci, spraw komicznych i tragicznych.

Zastanawiałam się, co rozgrywać się tu będzie teraz. Miałam przecież, co najmniej na pewien czas, stać się częścią tego domu. Zadawałam sobie pytanie, co mnie tutaj czeka.

Kiedy wjeżdżaliśmy przez bramę na brukowany dziedziniec, ogarnął mnie lęk. Miałam uczucie, że dom obserwuje mnie i ocenia.

Odniosłam wrażenie, że pogardza mną jako istotą pochodzącą z innego świata, która tu nie należy i której wiedza o życiu pochodzi wyłącznie z gwarynych ulic Londynu i z dość sztucznego teatralnego światka. Nie byłam tu zwyczajnym gościem. Miałam coraz więcej wątpliwości, czy mądrze postąpiłam, przyjeżdżając tutaj.

Kiedy wysiedliśmy z powozu, Charlie opiekuńczym gestem położył mi dłoń na ramieniu. Myślę, że dokładnie zdawał sobie sprawę, jak bardzo się bałam.

- Chodź ze mną - powiedział, starając się mówić wesołym tonem.

Pchnął ciężkie, okute żelazem drzwi i weszliśmy do holu.

W jednej chwili poczułam, jakbym nagle przeniosła się w średniowiecze. Spojrzałam w górę na belkowane sklepienie i na bielone ściany, na których porozwieszane były miecze, pistolety, tarcze i rusznice. W jednym końcu holu skrzyżowane były dwie flagi -

na jednej przedstawiono, jak podejrzewałam, herb rodziny, na drugiej zaś godło Zjednoczonego Królestwa. U stóp schodów, niczym wartownik ustawiona była rycerska zbroja. Kiedy szliśmy po kamiennej posadzce, wokół rozbrzmiewało echo naszych kroków. W

drugim końcu holu znajdowało się wzniesienie, a na nim wielki kominek z otwartym paleniskiem. Przypuszczałam, że tu, wokół

ognia, rodzina gromadziła się po jedzeniu. Posiłki jadano na pewno przy wielkim stole pośrodku ogromnego pomieszczenia.

Okna zdobne były w rodzinne herby, a dwa z nich wypełniały witraże przedstawiające przodków biorących udział w ważnych bitwach. Przytłumione światło padające przez nie nadawało pomieszczeniu atmosferę tajemniczości.

Znów pomyślałam sobie, że nie powinnam była tu przyjeżdżać.

Miałam jakąś absurdalną pewność, że dom mi to mówi. Nie należałam do tego pełnego tradycji miejsca. Chciałam uciec stąd, pobiec prosto na stację i jak najszybciej wrócić do Londynu.

Wtem u szczytu schodów otworzyły się drzwi. Ukazał się w nich Roderick.

- Noelle, jak miło cię widzieć - zawołał i rzucił się w moją stronę. - Byłem taki szczęśliwy, kiedy dowiedziałem się, że przyjechałaś.

Charlie patrzył na nas dobrotliwie i poczułam, że lęk częściowo mnie opuszcza.

- Wygląda na to, że dość dobrze się znacie - zauważył Charlie.

- Parę razy spotkaliśmy się przypadkiem na ulicy - odparłam.

- Byłem zrozpaczony, kiedy dowiedziałem się o śmierci twojej mamy - powiedział Roderick.

- Noelle koniecznie musiała wyjechać - rzekł Charlie.

- Wiele rzeczy cię tu zainteresuje - zwrócił się do mnie Roderick.

- Dom wydaje mi się... naprawdę niezwykły. Jeszcze nigdy nie widziałam takiego domu.

- Drugiego takiego po prostu nie ma, prawda? - odparł ze śmiechem Roderick, spoglądając na swego ojca. - W każdym razie my skłonni jesteśmy tak uważać.

- Jesteśmy dumni z tego domu - dodał Charlie. - Chociaż dla nas nie jest on aż tak niezwykły; mieszkamy tu od urodzenia. Chętnie obserwujemy, jak on działa na innych, zawsze nas to ciekawiło, prawda, Rodericku?

- Niewątpliwie. Ten dom jest swego rodzaju hybrydą, tak to bywa ze starymi siedzibami. Wraz z upływem lat wymagają konserwacji i remontów, widać więc, jak style różnych epok nakładają się w nich na siebie.

- Dzięki czemu stają się jeszcze ciekawsze.

Ponura atmosfera rozpięzchła się i poczułam, że zaczynam być dobrej myśli. Mimo wszystko miałam rację, że zdecydowałam się przyjechać. Tutaj był Roderick ...i Charlie. Pomogą mi... i ochronią, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Wtedy Charlie zagadnął Rodericka:

- Gdzie jest twoja matka?

- Jest w salonie.

Moje poprzednie uczucie ulgi znikło. Domyślałam się, że lady Constance zgodziła się na mój przyjazd tylko dlatego, że musiała.

- Chodźmy więc do niej - powiedział Charlie. Weszliśmy po schodkach do drzwi, w których przedtem pojawił się Roderick.

Minęliśmy kilka pokoi, przechodziliśmy pod łukowatymi sklepieniami, wchodziliśmy i schodziliśmy po różnych schodach, mijaliśmy ściany, na których wisały wspaniałe gobeliny i portrety.

Niewiele z tego do mnie docierało. Wreszcie, jak mi się zdawało po dłuższym czasie, dotarliśmy do salonu.

Charlie otworzył drzwi i weszliśmy do środka. Ledwie zauważałam szczegóły tego wnętrza: ciężkie zasłony w oknach, wyglansowaną do połysku, drewnianą podłogę pokrytą dywanami, gobeliny i adamaszkowe obicie ścian. Tam właśnie, na krześle przypominającym tron, siedziała ta, którą często sobie wyobrażałam i nie sądziłam, że kiedykolwiek poznam ją osobiście: lady Constance.

Podeszliśmy do niej i Charlie powiedział:

- Constance, oto panna Noelle Tremaston. Noelle, oto moja żona.

Nie podniosła się z miejsca. Ujęła lorgnon i obserwowała mnie, co uznałam za gest mający przypomnieć mi o mojej mało znaczącej pozycji. Mimo iż czułam się urażona, stałam przed nią pokornie.

Miała w sobie coś, co wymagało hołdu.

- Dzień dobry, panno Tremaston - odezwała się. - Pokój dla pani jest już przygotowany i pokojówka może panią tam zaprowadzić. Z

pewnością potrzebuje pani odpoczynku po podróży.

- Dzień dobry, lady Constance - odpowiedziałam. - Dziękuję.

Doprawdy, nie była to aż tak długa podróż.

Kiwnęła swoim lorgnon, wskazując na krzesło, czym dała mi do zrozumienia, że mogę usiąść.

- A więc przybywa pani z Londynu - zaczęła.

- Tak, istotnie.

- Ja niezbyt lubię Londyn. Za dużo hałasu... za dużo ludzi, a niektórzy z nich potrafią być szczególnie nieprzyjemni.

- Wiele osób uważa, że jest to wspaniałe miasto, a nieprzyjemnych ludzi spotyka się wszędzie, proszę mamy -

powiedział Roderick.

- Być może - odparła. - Ale w Londynie wszystko jest na większą skalę, co oznacza, że jest ich tam więcej. - Znów zwróciła się do mnie.

- Jak słyszałam, matka pani związana była z teatrem. - W jej głosie dawał się wyczuć pewien niesmak. - Mieszkając na wsi, odczuje pani różnicę, my żyjemy tu bardzo spokojnie.

- Dom wydaje mi się bardzo interesujący - odparłam.

- Miło, że pani to mówi, panno... hmm...

- Dla nas ona jest Noelle - powiedział Charlie z nutą stanowczości w głosie.

- I podobno w państwa posiadłości dokonano jakichś wspaniałych odkryć - mówiłam dalej.

- Noelle chciałyby zobaczyć rzymskie zabytki - dodał Roderick.

- Mhm - mruknęła lady Constance. - Ale na razie chciałyby zobaczyć swój pokój. Rodericku, zadzwoń, proszę.

Roderick wykonał polecenie i po krótkiej chwili pojawiła się pokojówka.

- Zaprowadź pannę... Tremaston do jej pokoju, Gertie - poleciła lady Constance. - I dopilnuj, żeby miała wszystko, czego jej potrzeba.

- Tak, proszę jaśnie pani - odparła Gertie.

Kiedy wychodziłam za Gertie z salonu, Roderick uśmiechnął się do mnie, chcąc dodać mi ducha, Charlie zaś jakby z pewnym lękiem.

Wchodziłyśmy i schodziłyśmy po różnych schodach i mijałyśmy następne pokoje.

- Oto Pokój Czerwony, proszę pani - powiedziała Gertie, kiedy dotarliśmy do celu. - To ma być pani pokój. Proszę zobaczyć, wszystko tu jest czerwone: czerwone dywany, narzuta czerwona, kolor czerwony mają też zasłony.

Zachichotała po tym rymie, który, jak przypuszczałam, powtarzano za każdym razem, gdy w tym pokoju zamieszkać miał

ktoś nowy.

- Jest też Pokój Błękitny i Pokój Biały... ale tamte są rzadziej używane. Na początku będzie się pani tu gubić. To takie domiszcze zbudowane bez ładu i składu, ale przyzwyczai się pani. Bagaże już są przyniesione, więc można się rozpakować, czy mam pomóc? Nie? Gdybym była potrzebna, to proszę zadzwonić.

Tu jest gorąca woda i ręczniki, a za jakieś pół godziny przyjdę i zaprowadzę panienkę na dół. Jaśnie pani nie lubi, żeby się spóźniać.

Kiedy odeszła, usiadłam na łóżku. Było to staroświeckie łoże z baldachimem, które musiało mieć co najmniej sto lat. Dotknęłam czerwonych zasłon i poczułam się jeszcze bardziej nieswojo.

Lady Constance odnosiła się do mnie wrogo. To zupełnie naturalne i mogłam się tego spodziewać. Przypomniały mi się londyńskie ulice; powozy przywożące ludzi do teatru i odwożące ich po przedstawieniu; pomyślałam o mojej mamie, roześmianej, beztroskiej, tryskającej życiem. Nic dziwnego, że Charlie zwrócił na nią uwagę. Miała to wszystko, czego brakowało lady Constance.

Zatęskniłam za nią bardziej niż kiedykolwiek. Czułam się zagubiona w obcym świecie. Jeszcze niedawno przyszłość zdawała mi się rysować jasno i szczęśliwie - i nagle taka całkowita zmiana.

Chciało mi się płakać z bezsilności. Pragnęłam odzyskać kojące poczucie bezpieczeństwa, jakie wiązało się dla mnie z osobą Desiree, czuć z powrotem jej ciepło i serdeczność; tymczasem musiałam stawić czoło lodowatej niechęci lady Constance.

Ale jest tu Roderick, pocieszałam się. On i Charlie chcą, żebym była szczęśliwa. Nie jestem więc sama.

Umyłam się i przebrałam po podróży. Byłam gotowa na kolejne spotkanie z lady Constance.

W pierwszych dniach mojego pobytu w Levenson od czasu do czasu nachodziły mnie myśli, żeby stamtąd uciec. Tylko naleganie Charliego i Rodericka sprawiło, że postanowiłam nie wyjeżdżać tak od razu.

W krótkim czasie zrozumiałam, że lady Constance toleruje moją obecność wyłącznie dlatego, że nie ma innego wyjścia.

Dopiero tutaj poznałam inną twarz Charliego. Zdawało mi się, że jest łagodny i spokojny, ale w Levenson był dziedzicem, kimś równie potężnym jak lady Constance, z kim ona musiała się liczyć. W pełni też zrozumiałam, jak bardzo musiał kochać moją mamę. Widziałam, że bez niej czuł się samotny i zagubiony - podobnie jak ja. Bez słów błagał mnie, żebym nie wyjeżdżała. Zgodnie z jej życzeniem mieliśmy być razem, gdyby przytrafiło jej się coś złego. Tak się stało i Charlie chciał się mną zaopiekować; to, że mógł to dla mnie zrobić, dawało mu choć odrobinę ukojenia.

No i był jeszcze Roderick. Nie przeczę, że jego obecność stanowiła dla mnie pewne pocieszenie. Podobnie jak jego ojciec, tak i on nie miał wątpliwości, że powinnam zostać. Czułam się tak zraniona i samotna, że potrafiłam to docenić. Żyłam w dziwnym, nierzeczywistym świecie, zawieszona pomiędzy szczęśliwym czasem beztroski, który jak kiedyś sądziłam, miał trwać zawsze - a ponurymi bezdrożami życia bez Desiree, które czekały mnie prędzej czy później.

Zdążę jeszcze przemyśleć dokładnie swoją sytuację, powtarzałam sobie. Może dobrze by mi zrobiło, gdybym zajęła się jakąś pracą, być może stanie się to nawet konieczne. Tymczasem musiałam jakoś żyć i radzić sobie ze swym smutkiem, Charlie i Roderick bardzo mi w tym pomagali.

Czasami zdawało mi się, że Desiree przygląda mi się z czułością i nalega, żebym pozostała pod opieką Charliego. Ufała mu, a o mnie zawsze troszczyła się najbardziej. Bez niej czułam się zupełnie zagubiona. Prawie słyszałam, jak mówi:

- Spróbuj się czymś zainteresować, kochanie. Może nadejdzie dzień, kiedy znów się spotkamy. Nigdy nie zajmowałam się szczególnie tymi sprawami, ale czasami trzeba o tym pomyśleć i jeśli wiara może przynieść choć odrobinę ukojenia, to czemu ją odrzucać.

Bądź cierpliwa; musisz żyć dalej. Ja ufam Charliemu, chcę, żeby właśnie on się tobą opiekował.

Roderick uznał, że powinnam nauczyć się jeździć konno.

- Tutaj na wsi to konieczne - powiedział.

Lekcje jazdy okazały się świetnym pomysłem. Roderick był

nauczycielem dobrym i cierpliwym, a dla mnie stanowiły one swego rodzaju rozrywkę. Robiłam tak szybkie postępy, że zdarzały się nawet kilkugodzinne okresy, kiedy zapominałam o matce.

- Za jakiś tydzień będziesz już prawdziwym jeźdźcem, Noelle -

powiedział mi Roderick. - Wtedy wybierzemy się dalej w pola. Wiele tu musisz zobaczyć.

Był tak zachwycony, że choćby ze względu na niego też musiałam okazać swe zadowolenie. Muszę jednak przyznać, że moje zdolności jeździeckie mnie też poprawiały samopoczucie i dobrze było wyrwać się z czarnej rozpacz, choćby na kilka godzin.

Pierwszym, co Roderick chciał mi pokazać, były odkopane rzymskie ruiny.

Teren, na którym leżał majątek Leverson, był raczej płaski. Z

okna swej sypialni widziałam pola rozciągające się prawie do samego morza. Roderick wytłumaczył mi, że w czasie najazdu Rzymian morze musiało sięgać na odległość ćwierć mili od dworu. Teraz dzieliło nas od morza półtorej mili.

Kiedy wybraliśmy się, żeby zobaczyć wykopaliska, aż płonął

entuzjazmem.

- Zawsze chciałem ci to pokazać, pamiętasz? - powiedział.

Pamiętałam, ale to wspomnienie mnie zasmuciło. Spotykaliśmy się wtedy w tajemnicy i pragnęliśmy, żeby nie było takiej potrzeby.

Nasze pragnienie się spełniło, ale za jaką cenę!

Roderick natychmiast zauważył zmianę mojego nastroju i poczuł

się winny.

- Wszystko w porządku - uspokoiłam go. - Chciałam przecież je zobaczyć, tak ciekawie o tym opowiadałeś.

- To jedno z najciekawszych odkryć na terenie całego kraju.

Tutaj statki zaopatrywały się w prowiant, a jakaś bardzo ważna osobistość musiała tego doglądać, w pobliżu znajdowała się willa, gdzie ten ktoś mieszkał. Przyjrzyj się mozaikowym brukom, pięknym czerwieniom i bielom - białe kostki są z kredy, czerwone z piaskowca.

Wszystko to jest bardzo pomysłowe i w pewnym sensie nowoczesne.

Rozpad Imperium Rzymskiego to była tragedia. Gdyby do tego nie doszło, może nie pograżylibyśmy się w mrokach średniowiecza -

roześmiał się. - Wybacz mi, mogę o tym mówić bez końca. Wiesz, to bardzo wciąga.

- Rozumiem i z przyjemnością tego słucham. Czy tam jest jakiś domek?

- Niezupełnie. To królestwo Fiony, jej warsztat i pracownia.

- Fiony?

- Fiony Vance. Poznasz ją, pewnie teraz tam jest, pracuje jak zwykle. Wy tłumaczę ci to. Pytałaś, czy tam jest czyjś domek; w pewnym sensie tak, na pewno kiedyś ktoś tam mieszkał. Potem ten dom stał opuszczony i nikt o niego nie dbał, z wolna niszczał i rozpadał się. Myśleliśmy o tym, żeby go rozebrać - ale wtedy dokonano tego odkrycia i uznaliśmy, że domek stojący akurat w tym miejscu może się przydać. Kiedy rozpoczęto wykopaliska i wykopywano najróżniejsze fragmenty ceramiki... broń... i inne takie rzeczy, trzeba było dalej nad nimi pracować. Wtedy pojawiła się Fiona.

- Co ona właściwie robi?

- Cały czas pracuje, z pełnym poświęceniem. Wiele tych zabytków odkopuje się w stanie niekompletnym. Trzeba je dopiero uzupełniać, składać; jest to coś w rodzaju łamigłówki. Tylko fachowcy potrafią dać sobie z tym radę. Te znaleziska, fragmenty drewna, metalu, ceramiki, wymagają odpowiedniej konserwacji. Nie mając wiedzy fachowej, można by spowodować duże szkody.

- A Fiona ma tę wiedzę?

- Tak. I ciekawe jest, jak ją zdobyła. Ona mieszka u swojej babki, pani Carling, bardzo dziwnej starszej pani. To naprawdę dziwaczka.

Osoby co bardziej zabobonne uważają ją za czarownicę. Starają się nie wchodzić jej w drogę - w obawie, że mogłaby rzucić na nie zły urok. Na pewno słyszałaś o tym. Ona uwielbia Fionę, opiekowała się nią od niemowlęctwa, to znaczy, odkąd zmarli rodzice Fiony. Ich powóz wyrzucił

się i oboje zginęli, Fiona miała wtedy około roku.

Ona jest całkiem inna niż jej babcia, sama się przekonasz.

- Obie wydają się być bardzo ciekawymi osobami.

- Zobaczysz, że wiele spraw cię tu zainteresuje, Noelle.

- I ty, i twój ojciec jesteście dla mnie tacy dobrzy. Usłyszałam, że głos mi drży, a Roderick szybko powiedział:

- Chcemy ci tu wszystko pokazać, pragniemy, żebyś była u nas szczęśliwa. Wiem, jak ci teraz trudno i ciężko, ale na pewno to się zmieni.

- Opowiedz mi jeszcze o Fionie.

- No więc wszystko zaczęło się, kiedy Fiona znalazła w ogrodzie jakieś monety. Zrobiło się wtedy wokół tego dość głośno.

Przypuszczano, że może tu być coś więcej. Czy słyszałaś o sir Harrym Harcourcie? To jeden z naszych czołowych archeologów; ostatnio był

na wyprawie w Egipcie i dokonał tam fantastycznych odkryć.

Musiałaś o nim słyszeć.

- Tak, znam to nazwisko.

- Więc właśnie on osobiście złożył wizytę w ogrodzie pani Carling i Fiona, która miała wtedy około szesnastu lat, zrobiła na nim, jak sędzę, duże wrażenie. Zaproponował jej pracę u siebie. Pani Carling nie chciała jej puścić, ale Fiona całym sercem się tam wrywała. No a poza tym, była to dla niej wspaniała okazja. Połknęła bakcyła archeologii i była przy tym znakomitą pracownicą. Kiedy więc tutaj zaczęło się coś dziać i na światło dzienne wydobywano coraz więcej różnych zabytkowych przedmiotów i skorup, przysłano ją, żeby tego doglądała. Stara pani Carling cieszyła się, że odzyskała wnuczkę, a Fiona też była zadowolona. To miła dziewczyna i nie chciała sprawiać przykrości swojej babce. Mogła więc odtąd zajmować się swą ulubioną pracą, nie odczuwając przy tym wyrzutów sumienia. A warsztat jest tylko o rzut kamieniem od domu pani Carling.

- Z niecierpliwością czekam, żeby poznać Fionę.

- Najpierw chcę ci pokazać nasze największe znalezisko, a potem do niej zajrzemy. Zobacz, to są ruiny tej willi. Uważaj, proszę, teren jest tu nierówny. Weź mnie może pod rękę.

Tak też zrobiłam, a on mocno przygarnął mnie do siebie.

- Musisz uważać na każdy krok. To jest część willi, a ta mozaikowa posadzka należy do najlepiej zachowanych w całej Anglii, na terenach opanowanych kiedyś przez Rzymian. A teraz pokażę ci coś,

co ja uważam za najważniejsze ze wszystkiego.

To dowodzi, jak wysoki był poziom cywilizacji rzymskiej. Idź

ostrożnie. Fiona zastanawia się, czy tego nie ogrodzić.

- Czy dużo ludzi przychodzi to oglądać?

- Od czasu do czasu. Szczególnie kiedy następuje jakieś nowe odkrycie i są o tym wzmianki w prasie. Przede wszystkim chciałbym pokazać ci łaźnię. W czasach, kiedy większa część ludzkości niezbyt przejmowała się czystością, Rzymianie dbali już o higienę. Tę łaźnię odkopano w stanie niemal doskonałym. Są tu trzy baseny: tepidarium

- basen z ciepłą wodą; caldarium - z gorącą; i frigidarium - z zimną, w którym, jak sądzę, zanurzali się na końcu. Zupełnie po spartańsku.

Spójrz, jak tu jest głęboko, tylko nie podchodź za blisko. Wpaść tam to chyba średnia przyjemność. Sir Harry był tym bardzo przejęty. Od czasu do czasu przyjeżdża tu jakaś grupa archeologów, którzy chcieliby dalej prowadzić wykopaliska. Wierz mi, to zupełnie zmieniło życie w Levenson. Zyskaliście sobie pozycję w archeologicznym światku. Więc nie miej mi za złe, jeśli entuzjazm trochę mnie ponosi.

- To naprawdę fascynujące i uwielbiam, kiedy mi o tym opowiadasz.

- Zapewniam cię, że będziesz miała okazję usłyszeć jeszcze wiele, wiele więcej. O, spójrz! To właśnie Fiona. Pewnie usłyszała, że się zbliżamy.

Z domku wynurzyła się dziewczyna. Miała na sobie zielony fartuch roboczy, który doskonale pasował do jej płowych włosów.

Kolor fartucha podkreślał jeszcze zielony kolor jej oczu. Na widok Rodericka twarz jej się rozpromieniła. Potem spojrzała na mnie z ciekawością, którą na próżno usiłowała ukryć.

- Ach Fiono, właśnie o tobie rozmawialiśmy - zaczął Roderick.

- Mój Boże - zawołała Fiona z udawanym przestrawem.

- Oczywiście wysławiałem twe zalety. A to jest panna Noelle Tremaston, która teraz u nas mieszka.

- Dzień dobry - powiedziała. - Słyszałam już o pani przyjeździe.

Wiadomości szybko się tu roznoszą.

Roderick roześmiał się.

- Noelle już wie, kim jesteś: panna Fiona Vance, nasza specjalistka w sprawach archeologicznych.

- To mi pochlebia - odparła Fiona. - Jestem tylko amatorką.

- No, przestań, jesteś zbyt skromna. Żebyś tylko zobaczyła jaką pracę Fiona wykonała przy niektórych z naszych znalezisk. Dzięki jej dokładności i staranności zyskujemy dość wierne wyobrażenie o tym, jakimi ornamentami zdobiono tutejszą ceramikę. Zaprosisz nas do środka, Fiono?

- Miałam nadzieję, że to zaproponujesz.

- Wejźmy więc - powiedział Roderick. - Panna Tremaston chciałaby zobaczyć niektóre z cudów, jakich tu dokonujesz.

Fiona uśmiechnęła się do mnie ciepło.

- Ja tylko poskładałam z kawałków to, co już było - rzekła. -

Kiedy nadeszliście, właśnie miałam zrobić sobie kawę. Napijcie się?

- Z przyjemnością - odpowiedział Roderick w imieniu nas obojga, a ja natychmiast się z nim zgodziłam.

Rzeczywiście był to domek zamieniony w pracownię. Z dwóch pomieszczeń zrobiono jedno większe; poustawiano tu ławki, na nich zaś leżała cała masa przeróżnych skorup i szczątków oraz rozmaite narzędzia. Początkowo ich nie rozpoznawałam, ale Fiona wyjaśniła mi, że to miechy do wydmuchiwania resztek ziemi, metalowe sita, czerpaki, stalowe pręty służące do sondowania gruntu i pędzle różnych rozmiarów. Znajdowały się tu także różnego rodzaju pojemniki, kleje i butelki z jakimiś roztworami. Pośrodku stał piec, a na nim garnek z gorącą wodą.

Do głównego pomieszczenia przylegała wnęka pełniąca funkcję kuchni. Mieścił się w niej stary piec kuchenny i kredens, z którego Fiona wyjęła filiżanki i dzbanek do kawy. Był tu też kran i głęboki zlew.

W pokoju stały cztery krzeselka z wyplatanyimi oparciami, Fiona wskazała je nam, abyśmy usiedli, podczas gdy ona przyrządzała kawę.

Roderick powiedział, że domek nie był jakoś gruntownie przebudowywany. Schody obok dawnej kuchni prowadziły na pięterko, gdzie znajdowały się dwie sypialnie, pozostawione w takim samym stanie jak dawniej.

- Tam Fiona odpoczywa, kiedy jest zmęczona.

- To nieprawda! - odcięła się Fiona. - Nigdy nie jestem zmęczona w ciągu dnia. Przeważnie mam ze sobą drugie śniadanie i robię sobie tu kawę. Czasami tylko idę z tym na górę, żeby uciec od bałaganu i zapachu różnych specyfików, którymi się posługuję.

Wniosła na tacy filiżanki z kawą.

- Czy przyjechałaś do Levenson na długo? - zapytała mnie.

Zawahałam się, a Roderick odpowiedział:

- Staramy się ją namówić, żeby została dłużej.
- I o ile wiem, jesteś z Londynu, prawda? - Tak.
- Obawiam się, że możesz się tu" trochę nudzić.
- Wstydź się, Fiono! - wykrzyknął Roderick. - A to wszystko, co masz tu za progiem? Właśnie pokazywałem Noelle łąźnie.
- Prawda, że wspaniałe? - oczy jej rozblęły.
- Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam - odparłam.
- Mało kto coś takiego widział... i to w takim dobrym stanie.

Prawda, Rodericku?

- Sama widzisz, jacy jesteśmy z tego dumni. Fiono, ty jesteś jeszcze gorsza ode mnie.

Wymienili spojrzenia, a ja zaczęłam się zastanawiać, co ich naprawdę łączy. Roderick niewątpliwie darzył ją sympatią, a ona...

cóż, może nie powinnam wyciągać zbyt pochopnych wniosków, ale wydawało mi się, że i Fiona odwzajemnia to uczucie.

Opowiadała właśnie o wazie, którą akurat składała z kawałków.

- Ta jest naprawdę niezwykła, ale na razie zbyt wielu fragmentów brakuje. To trochę zniechęca.
- Zdobi ją jakiś zupełnie wyjątkowy wzór.
- Tak. I tym bardziej mnie to złości, ale tak bywa przy tej pracy -

wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do mnie, po czym opowiadała dalej: - Czasami znajduje się coś przepięknego, z czego można by zrobić cacko... ale brakuje najważniejszych fragmentów.

- Kawa jest znakomita - powiedziałam.
- Dziękuję. Mam nadzieję, że zajrzysz do mnie, jeśli tylko będziesz w pobliżu.
- Czy nie będę przeszkadzać?
- Nie, skądże znowu.
- Fiona uwielbia opowiadać o tym, co robi, prawda, Fiono?

- Chyba rzeczywiście. Aha, zrobiłam szkic tamtego pucharu... to znaczy, jak według mnie powinien wyglądać, kiedy się go złoży.

Chociaż na razie mamy tylko jeden fragment. Mam ten szkic w domu, wstąp do mnie, jak będziesz przechodził, to ci go pokażę.

- Wstapię - odpowiedział Roderick.

Uderzyło mnie, że podczas gdy ja zastanawiałam się, co łączy Fionę z Roderickiem, ona mogła mieć podobne myśli na mój temat.

Może zadawała sobie pytanie, jak bardzo jestem z nim zaprzyjaźniona; przyglądała mi się badawczo, lecz nie odczuwałam z jej strony wrogości. Traktowała mnie serdecznie, z pełną wdzięku gościnnością.

Przyszło mi do głowy, że na pewno jest w nim zakochana.

Wracając, rozmawialiśmy o tym, co widzieliśmy tego ranka, wciąż jednak zastanawiałam się, jakie uczucia ja sama żywię wobec Rodericka.

Chociaż moja sytuacja była dość niejasna, życie w majątku Levenson coraz bardziej mnie wciągało. Nie dość, że uczucia miałam mieszane, to wahały się one pomiędzy zupełnymi skrajnościami. Dom interesował mnie coraz bardziej. Chwilami zdawało mi się, że mnie przygarnia, kiedy indziej zaś czułam się przezeń odtrącona.

Pewnego razu zgubiłam się. W pierwszych dniach pobytu łatwo tu było zabłądzić; wystarczyło pomylić drzwi, których było tak wiele, i trafiało się w zupełnie dotąd nieznanne rejony domu.

Zdarzyło się to w niespełna tydzień po moim przyjeździe do Levenson. Wyszłam ze swego pokoju i skręciłam w korytarz, który jak mi się zdawało, miał mnie doprowadzić do schodów. Kiedy uświadomiłam sobie swą pomyłkę, usiłowałam zawrócić tą samą drogą; byłam przekonana, że idę w dobrą stronę i że za chwilę znajdę się w holu. Trafiłam jednak do takiej części domu, w której nigdy dotąd nie byłam. Nieoczekiwanie znalazłam się w sali o wielu oknach, na wprost których, na przeciwległej ścianie wisiał cały rząd portretów.

Przez okna, które wychodziły na wschód, wpadało ostre światło. Był

wczesny ranek, a ja szłam właśnie na śniadanie. Panowała głęboka cisza. Kiedy byłam w tym domu sama, często odczuwałam taką właśnie dojmującą ciszę i przyznam, że było to dość nieprzyjemne.

W rogu pokoju stał stół, o który oparta była rama z rozpiętą na niej, nieukończoną tkaniną; w drugim zaś rogu zauważyłam kołowrotek.

Rozejrzałam się dookoła. Domyśliłam się, że doszłam do jednej ze starszych części domu. Usiłowałam pozbyć się znanego mi już uczucia, które dosięgało mnie tu raz po raz - że jestem obserwowana.

Było to coś niesamowitego.

Powinnam była natychmiast zawrócić, ale coś przykuło moją uwagę.

Wisiało ich tu chyba sześć, oprawnych w bogato zdobione ramy portretów, a postacie przedstawione na nich ubrane były w stroje z dawnych epok. Przyglądałam im się w skupieniu; domyślałam się, że muszą to być Levensonowie i Claverhamowie. Zdawało mi się, że niektórzy z nich wpatrują się we mnie i wprawiało mnie to w zakłopotanie. Patrząc, odnosiłam wrażenie, że na ich twarzach odmalowuje się coraz to inny wyraz i że spoglądają na mnie z drwiną, nieufnością i niechęcią.

Odkąd tu przybyłam, zrobiłam się kapryśna. Bowiem pomimo serdecznego przyjęcia, jakiego doznałam ze strony Charliego i Rodericka, w głębi serca czułam, że nie tu jest moje miejsce.

Zastanawiałam się, jaka byłaby moja matka, gdyby wyszła za mąż za Charliego i zamieszkała tutaj. Dom na pewno wyglądałby wtedy inaczej, przy niej przysłaby cała ta sztywna atmosfera. Ona kpiłaby sobie z szacownej przeszłości.

Podeszłam do ramy z nieukończoną tkaniną i od razu poznałam, co to jest - dwór Levenson w całym swym majestacie. Rozpoznałam herb rodzinny wytkany w błękitach, czerwieniach i złocie.

Za sobą usłyszałam szelest i odwróciłam się z poczuciem winy.

To lady Constance cicho weszła do pokoju i stała teraz, przyglądając mi się w milczeniu.

- Interesuje panią moja praca, panno Tremaston?

- Ach tak... jest bardzo piękna.

- Zna się pani trochę na tkactwie?

- Sama nigdy się tym nie zajmowałam.

- To jest ten dom, widzi pani. Dom jest dla mnie czymś bardzo ważnym.

- Wiem, to takie wspaniałe miejsce.

Podeszła do mnie i stanęła bardzo blisko, cały czas przyglądając mi się badawczo.

- Zawsze, odkąd tu przybyłam, jak tylko mogłam, starałam się utrzymać ten dom na poziomie zgodnym z tradycją zapoczątkowaną przez naszych przodków.

- Z pewnością się to pani udało.

- I nie dopuszczę, aby cokolwiek miało ten porządek zakłócić.

- Cóż - rzekłam. - Szkoda byłoby, gdyby tak się stało.

- Czy... hmm... szukała pani czegoś?

- Ach nie... nie. Zabłądziłam.

- Bardzo łatwo tu zabłądzić, jeśli ktoś nie jest przyzwyczajony... -

Głos jej przycichł.

Zauważyłam, że drzę, i poczułam nagłą potrzebę, aby odwrócić się i uciec... uciec z tego domu na dobre.

- Chciałam zejść na śniadanie - powiedziałam niepewnie.

- Ach tak. Proszę więc wrócić tą samą drogą, którą pani przyszła.

Na końcu korytarza są schody, które prowadzą na dół, do holu. Pokój śniadaniowy jest po prawej stronie.

- Teraz już rozumiem, jak powinnam była pójść, dziękuję.

Uciekłam stamtąd z poczuciem ulgi. Każdy jej gest, ton, jakim się do mnie zwracała - wszystko to mówiło mi, że tu nie należę, że mam odejść. Odejść stąd... i to szybko.

Ale jeszcze tego samego dnia, podczas kolejnej lekcji jazdy konnej, poczułam, jak bardzo Roderick cieszy się, że tu jestem, i zapragnęłam zostać.

A jednak już niedługo z powrotem ogarnęły mnie wątpliwości.

Mogłam przecież pojechać do Londynu. Robert przekonywał mnie, że dom jest do mojej dyspozycji, kiedy tylko będę chciała. Szczególnie zależało mu na tym, abym nadal czuła się tam u siebie. Tego chciałyby moja matka. Dla Roberta, podobnie jak dla Charliego, jedynym pocieszeniem, kiedy umarła, było móc wypełnić jej życzenie.

Należało to uznać za okres przejściowy. Na razie musiałam pogodzić się ze swym losem i ze spokojem przyjąć to, co mi zgotował. W czasie lekcji konnej jazdy, które odbywałam z Roderickiem, czułam się bez wątpienia szczęśliwsza niż kiedy indziej.

Łączył nas także entuzjazm dla rzymskich znalezisk, którymi interesowałam się coraz bardziej. Zaprzyjaźniłam się z Fioną i czasami, kiedy Roderick był zajęty, sama odwiedzałam ją w jej pracowni. Fiona pokazywała mi, jak za pomocą miękkiego pędzla czyści się ceramikę. Pomagając jej, wyobrażałam sobie jednocześnie ludzi, którzy kiedyś używali tych naczyń w życiu codziennym.

Odkryłam, jak fascynującą rzeczą jest zanurzać się w przeszłość i próbować ją sobie rekonstruować. Był to także znakomity sposób, aby uciec od teraźniejszości.

Starałam się zapomnieć o lady Constance i rzeczywiście widywałam ją dość rzadko. Przychodziła na obiad, ale pozostałe posiłki często podawano jej do pokoju. Przy stole siedziałam zawsze obok

Charliego, który ze mną rozmawiał i w pewnym sensie chronił

przed dość przejrzystymi atakami lady Constance. Oczywiście nie oznaczało to wcale, że zwracała na mnie szczególną uwagę.

Traktowała mnie ozięble, jak gościa, co do którego ma się nadzieję, że nie zabawi długo; na tym polegała jej strategia. Chyba nikt inny nie zdawał sobie z tego sprawy, dla mnie jednak nie ulegało to wątpliwości.

Zaprzyjaźniłam się z Gertie, pokojówką, do której obowiązków należało dbać, aby niczego mi nie brakowało. Rano i wieczorem przynosiła mi gorącą wodę i sprzątała pokój.

Miała ona lat mniej więcej siedemnaście i służyła w tym domu od czasu, gdy była dwunastoletnią dziewczynką. Polubiła mnie pewnie dlatego, że nie byłam tak sztywna i oficjalna, jak większość gości odwiedzających Levenson. Z przyjemnością z nią rozmawiałam.

Wiedziała, że jestem córką Desiree, i napełniało ją to bezgraniczną czcią.

- Raz widziałam Desiree - opowiadała mi. - Było to parę lat temu... kiedy moja siostra wychodziła za mąż. Nieźle jej się trafiło...

jej narzeczony miał dwa stragany w Paddington, na targu... mięczaki i małże. Robił na tym świetny interes. Kiedy się zaręczyli, zabrał mnie i moją siostrę do teatru, to było coś wspaniałego.

Powiedział wtedy:

„Musicie zobaczyć wielką Desiree, cały Londyn się nią teraz zachwyca!” Poszliśmy na „Cygankę”, grała tam główną rolę.

Zamknęłam oczy. Pamiętałam to dobrze. Jak zwykle były kłótnie na temat kostiumów; Dolly demonstracyjnie wychodził, mama go nie zatrzymywała... potem wracał i oboje zgadzali się na jakieś ustępstwa.

Tęsknota za chwilami, które już nie wrócą, zdawała mi się nie do zniesienia, Gertie jednak o tym nie wiedziała.

- Była taka śliczna - opowiadała dalej. - W uszach miała duże, złote kolczyki. A jak tańczyła z lordem Jamesem dookoła sceny. To było coś pięknego.

- Świetnie to pamiętam - odparłam.

- I teraz jest panienska tutaj, to takie niezwykle. Zdawałam sobie sprawę, że właśnie moje pokrewieństwo z Desiree budzi w niej szczególne zainteresowanie moją osobą i to też w konsekwencji spowodowało, że była wobec mnie znacznie bardziej otwarta i szczerza niż wobec kogokolwiek innego. Powiedziała mi, że lady Constance to

„niezła jędza”.

- Wszystko musi być tak, jak ona chce, a jak nie, to zaraz nas wzywa. Można otrzymać tylko jedno ostrzeżenie, następnym razem wylatuje się ze służby. Zawsze mówi o jakiejś tradycji... tradycji...

- O tradycji - podsunęłam.

- Tak, właśnie tak, panienko. Wszystko w domu musi być w nienagannym porządku... i dokładnie tak samo, jak za dawnych czasów.

- Wyobrażam sobie.

- Potrafi być bardzo surowa dla służby. Była tu kiedyś taka Emmy Gentle.

- Pokojówka? Gertie kiwnęła głową.

- Ta to była szalona. Wolała mężczyzn niż robotę, dokazywała z każdym, kto tylko nosił spodnie i akurat pojawił się w pobliżu. A poza tym ciągle coś tłukła. Czasem udawało się to ukryć... ale nie wtedy, gdy chodziło o tę cenną chińską porcelanę. Dostała jedno ostrzeżenie, potem drugie; ale zdarzyło jej się to po raz trzeci. I koniec. Nie jest łatwo znaleźć nowe miejsce, jeśli nie ma się referencji. Emmy nie mogła nic znaleźć, aż w końcu zeszła na złą drogę.

- Na złą drogę?

- No, tak się to nazywa. Szkoda, że jej panienska nie widziała; wystrojona jak laleczka, nic nie zmyślam. Suknię miała z prawdziwego jedwabiu. Mówiła, że to lepsze niż być niewolnicą lady Constance. Ale to tylko dowodzi, że z jaśnie panią trzeba ostrożnie.

Gertie opowiadała mi też o swoim domu. - Było nas ośmioro... ale tylko dwoje dość dużych, żeby pójść już na służbę. Ja posyłam co nieco do domu, niedużo, ale zawsze jest to jakaś pomoc.

Zrozumiałam z jej opowieści, że podobnie jak większość służby, drży ze strachu przed lady Constance. Historia Emmy Gentle stała się nauczka dla nich wszystkich.

- Jaśnie pani wcale nie jest zadowolona, że panna Vance tak często widuje się z panem Roderickiem.

- Nie jest zadowolona? - zapytałam. - A dlaczego?

- No, chyba się obawia, prawda? Bo prawdę mówiąc, kim jest ta panna Vance? Jej babka to podobno czarownica. Emmy Gentle poszła do niej raz, kiedy napytała sobie biedy, i mówiła potem, że tamta bardzo jej pomogła. Och, panna Fiona to zupełnie co innego. Podobno jest nawet wykształcona, stara pani Carling już o to zadbała.

Chciałaby dać jej wszystko, co najlepsze. No a później pojawił się ten sir Harry Jakiśtam; nauczył ją dużo na temat tych rzymskich staroci i dał jej pracę. Wyjechała stąd, ale wróciła z powrotem. To też jest pani, ale nie taka, jaką lady Constance wymarzyłaby sobie dla pana Rodericka.

- No a... pan Roderick?

- Ja myślę, że on i tak zrobi to, co sam będzie uważał za słuszne.

I on, i pan potrafią postawić na swoim, jeśli tylko im na czymś zależy; chociaż w drobniejszych sprawach często ustępują. Podobni są do siebie. Więc myślę, że kiedy przyjdzie czas, pan Roderick sam wybierze, bez matczynej pomocy; w każdym razie może być wtedy gorąco. Poczekamy, zobaczymy. Ona chciałaby dla niego prawdziwej wielkiej damy, takiej, która byłaby wysoko utytułowana. Przecież ona jest samą lady Constance - i nikt nie ma prawa o tym zapomnieć.

- A jednak, tak jak powiedziałaś, decyzja należeć będzie do pana Rodericka.

- Tak, ale jest jeszcze ta stara pani Carling. Ona też chce postawić na swoim, a mówią, że jest w porozumieniu z tajemnymi siłami...

Milczałam, zastanawiając się, czy to mądrze z mojej strony prowadzić tego rodzaju rozmowy ze służącą, skoro jestem w tym domu gościem. Spróbowałam więc zmienić temat i powiedziałam coś o wykopaliskach rzymskich na terenie należącym do Levenson. Dla Gertie jednak odległa przeszłość nie była ani w części tak interesująca, jak bieżące wydarzenia, które bezpośrednio jej dotyczyły, i tym sposobem nasza rozmowa dobiegła końca. Rozstałyśmy się i Gertie wróciła do swoich zajęć.

Któregoś dnia przyszedłam do pracowni i zamiast Fiony zastałam tam jakąś obcą kobietę. Domyśliłam się od razu, że jest to pani Carling, o której tyle słyszałam.

Z pewnością była to osoba niezwykła - wysoka, o prostej sylwetce i bujnych ciemnych włosach, splecionych w warkocze i upiętych wokół głowy. Z uszu zwisały jej wielkie, kreolskie kolczyki.

Lecz tym, co szczególnie zwróciło moją uwagę, były jej przenikliwe, błyszczące oczy. Odnosiło się wrażenie, że widzi rzeczy, które dla innych pozostają niewidzialne. Kiedy wbiła we mnie wzrok, spieszyłam się, zdawało mi się bowiem, jakby prześwietlała mnie na wskroś, chcąc wydobyć na jaw sprawy, których ja wołałam nie ujawniać.

- Pani Carling, prawda? - zagadnęłam ją. - Wiele o pani słyszałam. Jestem Noelle Tremaston.

- Oczywiście, ja też dużo już o pani słyszałam. Tym bardziej miło mi, że wreszcie możemy się poznać. Jak podobają się pani te strony?

- Bardzo tu ciekawie... szczególnie zainteresowały mnie te wykopaliska.

Kiwnęła głową.

- Fiony teraz nie ma. Ktoś znalazł coś u siebie w ogródku, poszła zobaczyć, czy ma to jakąś wartość archeologiczną. Nie ma pani pojęcia, ile ludzi uważa, że znaleźli coś cennego, odkąd zaczęła się cała ta historia z wykopaliskami!

- Przypuszczam, że to nieuniknione i nigdy nie wiadomo, czy nie trafi się na coś, co rzeczywiście może mieć wartość.

- Proszę, niech pani usiądzie. Może kawy?

- Nie, dziękuję. Dopiero jadłam lunch.

- Może Fiona niedługo wróci. Nie ma jej już z godzinę albo dłużej.

Usiadłam.

- Wciągnęło ją to bez reszty - powiedziała pani Carling.

- Wyobrażam sobie, jakie to absorbujące.

- Hmm - mruknęła. - Ona i Roderick Claverham stanowią parę entuzjastów.

- Wiem.

Spojrzała na mnie niespokojnie.

- No a ty, kochaneczko? Słyszałam, że przeżyła pani wielką stratę.

Milczałam, a ona mówiła dalej:

- Proszę mi wybaczyć, nie powinnam była o tym wspominać. Ale ja... różne rzeczy wiem. Może ktoś pani o mnie opowiadał.

Kiwnęłam głową.

- Fiona bardzo panią polubiła. Może ja mogłabym w czymś pomóc.

- Dziękuję, ale na to, co się stało, nikt już nic nie poradzi. Po prostu... stało się.

- Wiem, kochanie, ale pani jest taka młoda. Gdybym tylko mogła jakoś pomóc... nie wiem, czy pani o tym słyszała, ale jestem obdarzona pewnymi szczególnymi zdolnościami.

Zaczynałam czuć się coraz bardziej niezręcznie, bo mówiąc, cały czas wpatrywała się we mnie badawczo.

- Tak, słyszałam o tym - odparłam.

- Mam własne zmartwienia, więc tym bardziej rozumiem cudze -

ciągnęła. - Straciłam córkę, kiedy miała dwadzieścia dwa lata. Była całym moim życiem. Wtedy wzięłam do siebie Fionę i to mnie pocieszyło. W życiu zawsze znajduje się jakieś pocieszenie, kochanie.

Dobrze jest o tym pamiętać.

- Spróbuję.

- Słyszałam oczywiście o pani matce i wiem, że była nie tylko sławna, była również wspaniałym

człowiekiem. Rozumiem, co to znaczy tak nagle zostać osieroconym. A jednak, nawet z takiego cierpienia wynikać może coś dobrego, pomaga ono bowiem zrozumieć cierpienie innych. Chciałabym, żeby pani o tym wiedziała.

- Dziękuję, jest pani taka dobra.

- Któregoś dnia musi mnie pani odwiedzić. Może jednak mogłabym jakoś pomóc.

- To miło z pani strony.

- Proszę mi przyrzec, że pani przyjdzie.

- Dziękuję. Przyjdę. Ona zaś ciągnęła:

- Powiedziałałam to, co należało powiedzieć i dość. Niech mi pani opowie teraz coś o sobie. Co pani sądzi o tym całym zamieszaniu w związku z wykopaliskami? Claverhamowie są uroczy, prawda? To znaczy senior i junior. Daleko by szukać lepszych dziedziców. To zawsze była wspaniała rodzina, o wielowiekowych tradycjach.

Roderick będzie taki sam jak ojciec. Właśnie takiego pana tu trzeba. Z

pewnością są dla pani bardzo mili.

- Tak.

- A jaśnie pani? - zapytała, rzucając mi przy tym nieco drwiące spojrzenie.

Zamurowało mnie i nie mogłam wydobyć z siebie głosu, a ona wybuchnęła śmiechem.

- W pewnych sprawach lady Constance ma bardzo wygórowane wyobrażenia. Na szczęście pan Claverham to dobry i uprzejmy człowiek, a Roderick wdał się w ojca.

Nagle zmieniła temat. Może uświadomiła sobie, że znając mnie przecież od tak niedawna, pozwoliła sobie na zbytnią szczerość.

Zacząła więc mówić, jak wielkie zmiany spowodowały tu na wsi wykopaliska i jak się cieszy, że Fiona ma pracę, którą tak lubi, i to tuż koło domu. Praca ta jest zarazem pasją, którą jej wnuczka dzieli z Roderickiem. Opowiadała też o niektórych ludziach z wioski i o tym, jak zdołała ich wyleczyć z przeróżnych przypadłości, ponieważ hoduje w ogródku wiele ziół i roślin leczniczych, a dzięki swej szczególnej wiedzy może je z pożytkiem wykorzystać.

- Niektórzy nazywają mnie czarownicą - powiedziała. - Możliwe, że dawno temu spaliliby mnie na stosie; pomyśleć tylko, ile porządnych kobiet spotkał taki los. Są czarownice, które uprawiają białą magię, ich czary są dobre; no i są te drugie. Ja jestem czarownicą od białej magii, jeśli w ogóle można mnie do tego grona zaliczyć.

Staram się pomagać ludziom, pani też chciałabym pomóc.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy usłyszałam stukot końskich kopyt.

Pani Carling wstała i podeszła do okna.

- To Fiona - oznajmiła i rzeczywiście po chwili Fiona weszła do domku.

- Ach, Noelle, jak miło cię widzieć! - zawołała. - A więc poznałaś moją babcię.

- Bardzo dobrze nam się gawędziło - rzekła pani Carling.

- Musiałam pojechać do Jaśminowego Domku - powiedziała Fiona. - Znaleźli tam w ogrodzie jakieś kawałki porcelany. Okazało się, że to resztki starego dzbanka od mleka, które ktoś musiał

wyrzucić parę lat temu. - Zaśmiała się z żalem. - Od czasu do czasu zdarzają się takie rzeczy, ale oczywiście wszystko trzeba sprawdzić.

Nie możemy dopuścić, żeby jakieś znalezisko wymknęło nam się z rąk.

- Oczywiście, że nie - odparłam.

- A więc babcia cię tu zabawiała. Dzięki, babciu. Wyglądało na to, że jest nieco zakłopotana, a poznawszy panią Carling, wcale się temu nie dziwiłam.

- Pewnie chętnie byś się czegoś napiła, Fiono - powiedziała pani Carling.

- Oj, tak, bardzo proszę, babciu.

Kiedy pani Carling poszła zaparzyć kawę, Fiona popatrzyła na mnie pytająco. Wiedziałam, że zastanawia się, co też jej babcia mogła mi naopowiadać.

Powiedziałam jej, że bardzo ciekawie nam się rozmawiało, co przyjęła z wyraźną ulgą.

Właśnie piłyśmy kawę, kiedy pojawił się Roderick.

Powiedział, że był u jednego z dzierżawców, a przejeżdżając tędy, nie mógł przecież nie wstąpić. Chyba sprawiło mu przyjemność, że mnie tu zastał; wiedziałam, że cieszy go moja przyjaźń z Fiona.

Fiona zdała mu relację ze swej wyprawy dla zbadania potłuczonego dzbanka na mleko.

Roderick wybuchnął śmiechem.

- A więc znowu? Na pewno będzie tego jeszcze cała masa,

- Problem polega na tym, że nigdy nie można być pewnym.

- „Przeszukać trzeba wszystko” - zacytował Roderick. - Kto wie?

Może dokonasz wiekopomnego odkrycia? A jak posuwa się sprawa wazy?

- Powoli. Dostaję tyle najprzeróżniejszych skorup, że sama nie wiem, jak je tu wszystkie poupychać.
- Powinnaś mieć dodatkowy pokój we dworze.
- Może kiedyś będę go potrzebować.
- Dlaczego nie? Mamy masę miejsca, musisz tylko powiedzieć, że chcesz.
- Będę o tym pamiętać - obiecała Fiona.
- No, tutaj rzeczywiście jest jej za ciasno - rzekła pani Carling, uśmiechając się ciepło do wnuczki.

Kiedy wychodziłam razem z Roderickiem i mieliśmy już wracać do dworu, pani Carling wzięła mnie za rękę i spojrzała na mnie z powagą.

- Naprawdę zależy mi, żeby pani przyszła - powiedziała.
- Dziękuję, bardzo bym chciała.
- Proszę, niech mi to pani obieca.
- Przyjdę.
- Myślę, że wyjdzie to pani... na korzyść. Pożegnaliśmy się, a kiedy byliśmy już na zewnątrz, Roderick zapytał:
- No i co sądzisz na temat starszej pani?
- To niezwykła osoba.
- Niezwykła! Niektórzy uważają, że jest lekko obłąkana.
- Powiedziała, że dwieście lat temu mogliby ją spalić na stosie jako czarownicę.
- No to ma szczęście, że nie urodziła się wcześniej.
- Chyba bardzo kocha Fionę.
- Co do tego nie ma wątpliwości. Fiona jest przemiłą młodą damą, z pewnością nie wdała się w babcię. Żadne czary - mary jej nie w głowie. Fiona bardzo mocno stoi na ziemi. Jest bardzo dobra dla swojej babci, choć niewątpliwie chwilami musi to być trudne.

Dojechaliśmy do domu. Ja weszłam do środka, a Roderick odprowadził nasze konie do stajni.

Dostałam list od Lisy Fennell. Pisała:

Droga Noelle,

Nie pisałam tak długo, ponieważ byłam chora. Nadal mieszkam w Waszym domu. Monsieur Bouchere powiedział, że mogę tu zostać, jak długo nie znajdę czegoś odpowiedniego. Pani Crimp jest aniołem.

Nie wiem, jakbym sobie bez niej poradziła - no i oczywiście tyle zawdzięczam serdecznej gościnności monsieur Bouchere.

Śmierć Twojej matki stanowiła dla mnie straszny wstrząs, byłam do niej bardzo przywiązana. Jej cudowna wyrozumiałość i pomoc tak wiele dla mnie znaczyły. Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiła. Była najwspanialszą osobą, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się spotkać.

Kiedy umarła tak nagle - w kwiecie wieku i u szczytu sławy -

byłam zupełnie rozbita. Akurat nie czułam się wtedy dobrze i drobne przeziębienie pod wpływem wstrząsu przerodziło się w poważną chorobę.

Nie przestaję o niej myśleć ani też o stracie, jaką wraz z jej odejściem ponieśliśmy my wszyscy. Także teatr bez niej nigdy już nie będzie taki, jak przedtem. Popadłam w depresję, czułam się strasznie.

Pojawiła się w moim życiu jako anioł miłosierdzia - i że tak właśnie musiała odejść. Czułam się w pewnym sensie winna, gdyż to ja zajęłam jej miejsce w teatrze, kiedy się to zdarzyło.

Teraz już jestem zdrowa. Chcę ostro wziąć się do pracy. Mam sporo szczęścia, pan Dollington zaproponował mi rolę w nowym przedstawieniu „Łachmany i strzępy”. Za kilka tygodni będzie premiera, ale nie wiadomo jeszcze, w którym teatrze. Jak się pewnie domyślasz, ćwiczymy jak szaleni. Lottie Langdon gra główną rolę.

Pan Dollington jest bardzo przygnębiony, jakby uszło z niego trochę życia.

A przecież wszyscy musimy żyć dalej, prawda ?

Mam nadzieję, że przyjedziesz zobaczyć to przedstawienie. Może namówiłabyś pana Claverhama, żeby wybrał się z Tobą? Bardzo chciałabym Was znowu zobaczyć.

Łączę serdeczne pozdrowienia. Lisa Fennell

Wróciły... wszystkie rozdzierające serce wspomnienia... Lisa pod końskimi kopytami... przyniesiona do domu. Opieka Desiree...

utarczki z Dollym, żeby dał Lisie miejsce w chórze.

Tak już miało pozostać na zawsze.

Minęło kilka dni i nadal nie byłam bliższa jakiegokolwiek decyzji co do swojej przyszłości. Były momenty, że chciałam pozostać w Levenson, a już za chwilę odczuwałam gwałtowną potrzebę, żeby stąd wyjechać. Główną przyczyną była oczywiście lady Constance. Przy obiedzie często czułam na

sobie jej wzrok. Wprawiało mnie to w zakłopotanie. Kiedyś, gdy rozmawiałam w ogrodzie z Roderickiem, spojrzałam na dom i dostrzegłam cień w jednym z okien. Wiedziałam, że to lady Constance; byłam pewna, że pragnie mojego wyjazdu.

Ilekcio jednak występowałam z taką propozycją, Charlie i Roderick głośno protestowali.

Wkrótce miałam spotkać się z prawnikiem, który zajmował się sprawami mojej matki, a dowiedziawszy się od niego, jak dokładnie przedstawia się sytuacja, musiałam poczynić jakieś plany.

Charlie i Roderick mieli wiele obowiązków związanych z prowadzeniem majątku. Posiadłość była rozległa i zdarzało się, że całymi dniami nie było ich w domu.

Roderick powiedział mi, że kiedy nabiorę wprawy w jeździe konnej, będę mogła mu czasem towarzyszyć, rozejrzeć się lepiej po okolicy i poznać niektórych dzierżawców. Spodziewał się, że sprawi mi to przyjemność.

Mówił to tak, jakbym miała pozostać w Leveson nie wiadomo na jak długo. Ja tymczasem starałam się nie zapominać że zaraz po spotkaniu z prawnikiem będę musiała zdecydować na temat swojej przyszłości i wyjechać stąd. Roderickowi na razie nic o tym nie wspominałam.

Coraz bardziej przyjaźniłam się z Fioną. Interesował ją teatr, miałyśmy więc o czym rozmawiać przy kawie. Przynosiło mi pewne ukojenie, kiedy mogłam rozmawiać o Desiree z kimś, kto jej nie znał.

Opowiadałam o przedstawieniach i o jej pracy. Uśmiechałam się, wspominając premiery, napięcie, które je poprzedzało, i ulgę, kiedy mijały. Mówiłam o ludziach przewijających się przez nasz dom, o dramatach i o sukcesach.

Ona z kolei opowiadała mi o swoim życiu i o tym, jak wiele zawdzięcza swojej babce.

- Czasem - mówiła - boję się, że nigdy nie zdołam jej się odwdzięczyć. Wydała na moją naukę wszystkie oszczędności. Czasem obawiam się, że zajęłam zbyt ważne miejsce w jej życiu i że mogę ją zawieść. Nigdy tego nie mówiła, ale wydaje mi się, że wolałaby, abym nie zajmowała się tym wszystkim. Pamiętam, że kiedyś powiedziała mi: „Dorastasz, Fiono. Chciałabym dla ciebie wszystkiego, co najlepsze. Moja córka, a twoja matka, była całym moim światem i gdyby nie zostawiła ciebie, po jej śmierci nie miałabym już nic”.

Wkrótce potem znalazłam w ogrodzie te monety i wszystko się zmieniło. Babcia czasem mówi, że ona naprowadziła mnie na to miejsce. Podobno miała przeczucie, że są w ogrodzie i kiedy je znajdę, przemienią całkiem moje życie... Uważa, że wskazała mi drogę do przeznaczenia. Rzeczywiście, te monety wzbudziły zainteresowanie sir Harry'ego Harcourta i dał mi wtedy szansę. Wiesz, moja babcia uważa, że ma jakieś szczególne zdolności i oczywiście chce je wykorzystać dla mojego dobra.

- Co przez to rozumie?

- Przypuszczam, że większość rodziców i dziadków uważa, że najważniejsze jest dobre małżeństwo.

Chcą zapewnić swym dzieciom czy wnukom bezpieczny byt, który według nich związany jest z tym, co nazywają właśnie dobrym małżeństwem. Co do mnie, to ta praca zupełnie mi wystarcza do szczęścia. Babcia jednak na pewno by się z tym nie zgodziła. Twoja matka też pewnie chciałaby dla ciebie czegoś w tym rodzaju.

- Przypuszczam, że chciałaby, abym wyszła za mąż, kiedy przyjdzie na to czas. Ale ja marzyłam tylko o tym, żeby zawsze być razem z nią. Wydaje mi się, że i jej było z tym dobrze. A potem nagle wszystko się rozpadło.

- Chodź, pokażę ci tę wazę. Ciekawe, czy kiedykolwiek uda mi się ją złożyć.

Przyglądałam się fragmentom ceramiki, nad którymi pracowała, a Fiona pokazała mi szkice, jak według niej waza powinna wyglądać po rekonstrukcji.

Wspomniałam jej przy okazji, że jej babcia zaprosiła mnie do siebie.

- Tak, słyszałam, że cię zapraszała. Interesują ją ludzie, którzy tu przychodzą, a ty zainteresowałaś ją szczególnie.

- Ze względu na moją matkę - powiedziałam. Wydawało się, że wszystko z nią jest związane i że w każdej chwili na nowo może mnie ogarnąć rozpacz i żaloba. Fiona zrozumiała, co czuję, i zmieniła temat.

Następnego popołudnia wybrałam się z wizytą do pani Carling.

Jej dom znalazłam bez trudu; był duży, otoczony zaroślami. Przez furtkę wchodziło się do ogrodu, a krótka ścieżka prowadziła prosto do drzwi. Było tu bardzo cicho. Przystanęłam na moment, zastanawiając się, czy w ogóle chcę tam wejść. Ta kobieta miała w sobie coś dziwnego i jej natarczywe zainteresowanie moją osobą było dla mnie nieco męczące. Poza tym peszyło mnie to, że wciąż pochylała się w moją stronę i nie spuszczała wzroku z mojej twarzy.

W ogrodzie, pod ścianą domu zauważyłam różne nieznane mi rośliny. Domyśliłam się, że są to zioła. Czyżby z nich właśnie przyrządzała mikstury, którymi raczyła osoby w rodzaju Emmy Gentle i tym sposobem wybawiała je z kłopotów?

Nad drzwiami zwieszały się pnącza, także okna były nimi obrośnięte. Mimo woli pomyślałam o Jasiu i Małgosi w chatce czarownicy.

Ciekawa byłam, czy Roderick był tu kiedykolwiek. Czułam, że lubi Fionę, ale jednocześnie bardzo serdecznie odnosił się do mnie.

Był życzliwy z natury, wszystkim poświęcał uwagę i przychodziło mu to w sposób całkowicie spontaniczny. Miałam poczucie, że nie powinnam uważać, iż jestem dla niego kimś szczególnym tylko dlatego, że jest dla mnie miły.

Stuknęłam brązową kołatką i usłyszałam, jak jej dźwięk odbija się echem w głębi mieszkania. Czekałam pod drzwiami Miło byłoby, gdyby Fiona była akurat w domu, może i Roderick wstąpiłby i

przyłączył się do nas.

Drzwi otworzyły się. Pani Carling powitała mnie z uśmiechem.

Ubrana była w długą, powiewną suknię w deseń przypominający skórę tygrysa. Wyciągnęła do mnie rękę na powitanie, a kreolskie kolczyki zakołysały się w jej uszach.

- Proszę wejść! Proszę wejść! - zawołała. - Tak się cieszę, że zdecydowała się pani mnie odwiedzić. Miałam wrażenie, że się pani waha.

- Ach, nie. Chciałam tu przyjść.

- No to wejdźmy do środka. Jestem pewna, że czeka nas udane popołudnie. Czekałam na to od chwili, gdy się poznałyśmy. Tutaj jest przytulniej niż u Fiony, gdzie wszędzie leżą jakieś skorupy, pędzle i Bóg wie co jeszcze... najrozmaitsze rzeczy, których ludzie używali dawno temu. Powtarzam Fionie, że to jest zakłócanie spokoju zmarłym.

- A może, gdyby o tym wiedzieli, byłiby zadowoleni, że tak się nimi interesujemy - powiedziałam.

- Może, może. Na pewno napije się pani herbaty. Woda już się gotuje.

- Dziękuję.

- Kitty zaraz przyniesie dzbanek i nakryje. To moja mata pokojówka.

Znajdowałyśmy się w pokoju o dwóch małych okienkach, w których szybki oprawne były w ołów. Grube zasłony sprawiały, że w pokoju panował półmrok. Stały tu ciężkie, masywne meble, a na ścianach wisiało kilka obrazków. Jeden z nich przedstawiał

kamienowanie świętego, na drugim zaś namalowana była kobieta przywiązana do pala, miała ręce złożone jak do modlitwy; stała w wodzie i nie ulegało wątpliwości, że fala przyływu ją zatopi.

Przeczytałam tytuł: „Chrześcijańska męczennica”. Zwróciłam też uwagę na obraz przedstawiający czarnego kota z zielonymi oczami.

Zielona farba była jaskrawa, co dawało niesamowite wrażenie.

Zwierzę wyglądało jak żywe.

Poczułam się osaczona i zapragnęłam, żeby pojawiła się Fiona, ale przypuszczałam, że o tej porze jeszcze pracuje.

Pani Carling usiadła naprzeciw mnie.

- Muszę coś pani powiedzieć na temat Kitty. Ona jest trochę upośledzona. Przyszła tu kiedyś, bo chciała, żeby jej pomóc. Słyszała, że lecę ludzi z różnych przypadłości; zainteresowałam się nią.

Naprawdę, ciężkie miała życie. Pomyślałam, że przydałoby jej się trochę opieki. Prawie nie mówiła, tylko jąkała się... ale robi postępy.

Pochodzi z wielodzietnej rodziny. Ojciec pracuje w kopalni, jej bracia też tam znaleźli zajęcie, a siostry poszły na służbę. Kitty nikt nie chciał przyjąć do pracy, wzięłam ją więc do siebie. Wyuczyłam ją, jak mogłam najlepiej, to dobre dziecko, jest mi bardzo wdzięczna.

- To ładnie z pani strony. Uśmiechnęła się do mnie łaskawie.

- Lubię pomagać ludziom. Niektórzy z nas są obdarzeni szczególną mocą i powinni z niej korzystać. Jeśli tego nie robią, mogą zostać jej pozbawieni.

Niebawem Kitty wniosła tacę z herbatą. Była to młoda dziewczyna, mogła mieć jakieś szesnaście lat. W jej zachowaniu widać było niepewność i wyraźną chęć zadowolenia swej chlebobdawczynie.

Pani Carling wskazała jej, gdzie ma postawić tacę. Kitty wykonała polecenie i nieśmiało zerknęła w moją stronę.

Uśmiechnęłam się do niej; odwzajemniła uśmiech i twarz jej się rozjaśniła. Przekonało mnie to nieco do starszej pani, która bez wątpienia wiele pomogła tej biednej dziewczynie.

Pani Carling poklepała Kitty po ramieniu.

- Dobrze z ciebie dziecko - powiedziała, a kiedy ta odeszła, dodała: - Biedactwo. Tak się stara. No proszę, powiedz, czy dobra herbata?

Rozmawialiśmy, pijąc herbatę i pogryzając ciasteczkami.

Zapytałam, jak długo już tu mieszka.

- Sprowadziłam się tu razem z Fioną - odparła. - Było to, kiedy zmarli jej rodzice i wzięłam ją do siebie. Tak więc odtąd, przez wszystkie te lata tu jest nasz dom. Mieszkałam tu sama tylko wtedy, kiedy Fiona wyjechała do szkoły, no i oczywiście, kiedy zabrał ją stąd sir Harry Harcourt. To zrządzenie boskie, że dostała pracę tutaj i wróciła do mnie.

- Musiało być pani smutno, kiedy wyjechała.

- O tak, ale to było dobre dla niej, poza tym i tak wiedziałam, że wróci. Dzięki temu łatwiej mi było znieść rozłąkę.

- To na pewno ciekawe, kiedy wie się takie rzeczy.

- W życiu nic nie jest do końca ustalone, niech pani o tym pamięta. Może nam zagrazać katastrofa, ale są sposoby, aby jej uniknąć.

- Chce pani przez to powiedzieć, że od nas samych zależy, czy dotknie nas tragedia?
- Chcę tylko powiedzieć, że czasami można jej uniknąć.
- A czy to nie jest przeznaczenie?
- Niezupełnie. Coś złego może znaleźć się na naszej drodze... ale jeśli jesteśmy tego świadomi, możemy temu zapobiec.
- To nadzwyczajne!
- To jest właśnie jeden z moich wrodzonych darów. Pani, droga panno Tremaston, jest właśnie w punkcie zwrotnym swego życia. To daje się wyczuć natychmiast.

Wie, że moja matka umarła, i z pewnością słyszała o tym, jak bardzo się kochałyśmy, przeszło mi przez myśl. Domyśla się zapewne, że nie mam zbyt wiele pieniędzy, taki wniosek sam się nasuwa.

- Bardzo możliwe, że byłabym w stanie pani pomóc - mówiła dalej.
- Sądzę, że wszystko stopniowo samo się ułoży.
- Może. Ale ja chcę pani pomóc.
- To bardzo uprzejmie z pani strony.

- Musimy sobie nawzajem pomagać. Jesteśmy odpowiednio wyposażeni przez Boga i nie wolno nam o tym zapominać. Droga panno Tremaston, wiem, że potrzebuje pani pomocy. Właśnie dlatego tak mi zależało, żeby pani mnie odwiedziła. Pani... potrzebuje pomocy bardzo pilnie. Kiedy skończymy herbatę, zaprowadzę panią do mojego sanktuarium. Przyjmowałam tam już wielu ludzi... i myślę, że dobrze na tym wyszli. Jestem przekonana, że tym razem pani się to przyda.

Coś mnie od niej odpychało, lecz i fascynowało zarazem.

Wyczuwałam tu jakiś fałsz, a jednocześnie niemal już wierzyłam w jej niezwykłą moc.

Wstałyśmy od stołu i pani Carling zaprowadziła mnie po schodach na piętro, do pokoju o podobnych, staroświeckich okienkach i ciężkich zasłonach; było tu jednak trochę jaśniej, bo był wyższy.

Pierwsze, co zobaczyłam, to stół przykryty zielonym rypsem i dużą szklaną kulę na drewnianym stojaku.

Pani Carling stała tuż obok mnie.

- Dobrze będzie - zamruczała - jeśli pani tu usiądzie, a ja naprzeciwno.

Usiadłam.

- Proszę mi podać dłoń. Wyciągnęłam do niej rękę nad stołem.

- Ach, czuję już fale, które przeze mnie przechodzą; jesteśmy ze sobą zgrane. Moja droga, wygląda na to, że będę mogła pani pomóc.

Miała ciężki, przerywany oddech. Nie odrywałam wzroku od szklanej kuli.

- Och... Teraz już wiem. Drogie dziecko, to jest blisko, coś pani zagraża. O tak, jest, jest. Nie widzę tego... lecz czuję... jest bardzo blisko... naprawdę bardzo blisko. Jakże się cieszę, że postanowiłam z panią porozmawiać. Tak... tak, to już najwyższy czas.

Obserwowałam ją, kiedy przyłożyła dłonie do kuli i wpatrywała się w nią.

- Niebezpieczeństwo - wyszeptała. - Niebezpieczeństwo.

- Gdzie? - zapytałam. - Skąd?

- Widzę dość niewyraźnie. To takie... mgliste... zagrożenie. Nie...

nie widzę go dokładnie, ale wiem, że jest.

- Chodzi pani o Leverson? Kiwnęła głową.

- Wrogowie... czekają przyczajeni... obserwują. Tak, tak, to ostrzeżenie. Nie ma czasu do stracenia. Musi pani stąd wyjechać.

Wkrótce... będzie za późno.

- Ale co to za niebezpieczeństwo?

- Jest tutaj... wisi nad panią. Widzę czarną chmurę. Niesie ze sobą zło. Nic więcej nie mogę powiedzieć... tylko że jest... blisko.

Zbliża się... coraz bardziej. Już prawie pani dosięga... i jest właśnie tutaj. Tu czeka na panią niebezpieczeństwo. Musi pani stąd wyjechać, bezzwłocznie. Jeszcze jest czas.

Opadła na fotel i oddychała z trudem.

- Nic więcej - zamruczała. - Nic więcej... ale to i tak wystarczy.

Znów pochyliła się w moją stronę i jeszcze raz spojrzała w kulę.

- Już znikło - powiedziała. - Teraz już nic nie widać. Otrzymała pani ostrzeżenie, to wystarczy.

Teraz jej oddech był krótki i przerywany, z trudem łapała powietrze.

- Zawsze tak jest, to bardzo wyczerpujące - wymamrotała.

- Czy to znaczy, że w tym szkle zobaczyła pani, że coś mi grozi?

- zapytałam. - W takim razie musiała pani też widzieć kto...

Potrząsnęła głową przecząco.

- To przekracza naszą możliwość zrozumienia. Widzę tylko znaki, symbole. Wyczuwam niebezpieczeństwo. Niedawno przeżyła pani wielką stratę; jest pani sama... zagubiona. Zauważyłam to od razu, kiedyśmy się poznały. Wiedziałam też, że jest jakieś zagrożenie.

Porusza się pani po grząskim gruncie. To tylko mogę powiedzieć, jak też, że wyjeżdżając stąd, może pani uniknąć niebezpieczeństwa. Ono związane jest tylko z tym miejscem.

- Czy mam wrócić do dworu i powiedzieć tam, że pani poradziła mi wyjechać? - zapytałam.

Uśmiechnęła się.

- Śmieliby się z tego. Lady Constance uważa, że to ona jest panią wszechświata, nie zaś Bóg Wszechmogący. Dla takich jak ona jego wyroki są niezbadane, a jego księga zakryta. Proszę im nie mówić, że była pani u mnie. Niech się pani spakuje i wymyśli jakiś pretekst, jeśli to konieczne, ale proszę im nie powtarzać tego, co usłyszała pani ode mnie. I tak by nie zrozumieli.

Niepewnie podniosłam się z miejsca. Mimo że starałam się być sceptyczna, to spotkanie mną wstrząsnęło. Pokój był ciemny i ponury, a obecność mojej dziwnej gospodyni przekonywała mnie niemal, że mam do czynienia z siłami nadprzyrodzonymi.

Czułam nawet, że decyzja została już za mnie podjęta. W głowie zaświtała mi myśl, że być może to mama wskazuje mi, jak mam postąpić. Gdyby tylko mogła przybyć mi z pomocą, na pewno by to zrobiła.

Potem moje myśli zwróciły się ku lady Constance; wiedziałam, że mnie nienawidzi i chce, żebym wyjechała.

- Widzę, że to panią zmartwiło - zauważyła pani Carling. -

Proszę się nie martwić, moja droga. Otrzymała pani ostrzeżenie.

Spotkałyśmy się nie przypadkiem, lecz w pewnym, określonym celu.

Proszę niezwłocznie wracać do Londynu i już wkrótce zyska pani pewność, co robić dalej. Jedno jest jasne, Leverson to nie jest miejsce dla pani. Tu czyha niebezpieczeństwo.

- Taka jestem niepewna. Gdyby była ze mną moja mama... ale gdyby była, nie miałabym żadnych takich problemów.

- Nie ma sensu zastanawiać się, co by było gdyby, moja droga.

Zycie toczy się dalej. Co ma być, to będzie.

- Więc może i tak nie zdołam uniknąć tego... nieszczęścia, które mnie czeka.

- Zdoła pani, na pewno. Na tym rzecz polega. Dlatego byłam przekonana, że musimy się spotkać. Musiałam wejrzeć w pani przyszłość, o to chodziło. Wyczułam to już w chwili, kiedy pierwszy raz panią zobaczyłam... nie, jeszcze wcześniej - kiedy usłyszałam o pani przyjeździe. Niech pani idzie i pakuje bagaże... niech pani stąd wyjedzie, póki jeszcze jest czas.

- Muszę to przemyśleć - mruknęłam. Uśmiechnęła się do mnie z politowaniem.

- Ma pani swój los we własnych rękach. Tak jak my wszyscy.

Poczułam, że muszę już iść.

- Dziękuję za wszystko, co pani dla mnie zrobiła, pani Carling -

powiedziałam.

- Musiałam, to był mój obowiązek. Odwdzięczy mi się pani najlepiej, jeśli uniknie pani niebezpieczeństwa.

W drodze powrotnej uczucie, że zajrzałam w swoją przyszłość, zaczęło mnie opuszczać. W otwartej przestrzeni wszystko powracało do normalności.

Jak mogłam dać się tak nabrać i choćby na krótko uwierzyć w to całe przedstawienie? Przecież ja bardziej niż ktokolwiek inny powinnam umieć rozpoznać, kiedy ktoś gra wyuczoną rolę. Co prawda w tym domu była jakaś szczególna atmosfera. We dworze spotykałam się z wrogością; może rzeczywiście powinnam wyjechać.

Moja obecność niewątpliwie przeszkadzała lady Constance.

Co do jednego pani Carling miała rację: powinnam opuścić Leverson, chociaż nie z powodu jakiegoś bezpośredniego niebezpieczeństwa. Nabrałam pewności, że pani Carling grała tylko jakąś rolę, tak jak często robiła to moja matka. Wiedza o sprawach, których nie znają inni, daje poczucie mocy. Pani Carling niewątpliwie wmówiła sobie, że ją posiada.

Udałam się prosto do swego pokoju.

Mój problem sam zaczynał się rozwiązywać. Stałam wobec faktów. W pewnych częściach dworu Leverson byłam mile widziana, w innych zaś zdecydowanie byłam intruzem.

Pani Carling miała rację; powinnam wyjechać. A jednak kiedy tego wieczora zobaczyłam Charliego i Rodericka, pojęłam, że nie jestem w stanie podać im żadnej sensownej przyczyny, która uzasadniałaby decyzję mego nagłego wyjazdu.

Żadnej poza tą, że pewna starsza, zapewne niezbyt zrównoważona kobieta w kryształowej kuli

wyczytała moją przyszłość.

Noc spędziłam bezsenno i wstałam z przekonaniem, że muszę znaleźć odpowiednie wytłumaczenie i przedstawić je Charliemu. On z pewnością dostrzeże niechęć, jaką żywi dla mnie lady Constance, i prawdopodobnie ma poczucie winy, że mnie tu przywiózł. Gdybym powiedziała Roderickowi, że zamierzam wyjechać, natychmiast znalazłby wiele rozmaitych powodów przemawiających za czymś wręcz przeciwnym. Charlie zrozumie, jaka jest sytuacja, i chyba będzie się musiał zgodzić, że chociaż jak najgorliwiej chciał wypełnić życzenie mojej matki, to sprowadzenie mnie do swego domu nie okazało się najlepszym pomysłem.

Wstałam rano i jak zwykle podeszłam do okna, żeby popatrzeć na ogród w całej jego krasie, gdyż o tej porze prezentował się on szczególnie pięknie. Przypadek chciał, że pierwszą osobą, którą zobaczyłam, był Charlie; siedział na wyplatanej krześle na trawniku i był sam.

To była właściwa chwila. Pośpiesznie umyłam się i ubrałam.

Miałam nadzieję, że kiedy zejdem na dół, jeszcze go tam zastanę. Na szczęście zdążyłam. Kiedy wyszłam z domu i zbliżyłam się do niego, powitał mnie wesołym uśmiechem.

- Przepiękny poranek - powiedział.

- Charlie, muszę z tobą porozmawiać - oświadczyłam.

- Usiądź - zwrócił się do mnie zaniepokojony. - Czy stało się coś złego?

- Tak, nie mogę być tu dłużej. Muszę wyjechać. Przez chwilę nic nie mówił. Potem zapytał:

- Czy to... chodzi o moją żonę?

- Cóż, tak. Ona mnie tu sobie nie życzy.

- To się zmieni.

- Nie sądzę. A poza tym, nie można żądać od niej zbyt wiele.

Zamyślił się na moment.

- Przyzwyczaj się do tego, że tu jesteś - powiedział w końcu, z nadzieją raczej niż z przekonaniem.

- Nie, Charlie, nie przyzwyczaj się. Zdecydowałam więc, że muszę wyjechać.

- Dokąd? I co będziesz robić?

- Muszę coś postanowić. Ten cios przyszedł zbyt nagle. Była to ostatnia rzecz, jakiej mogłam się spodziewać. Była przecież zdrowa...

i pełna życia... a potem odeszła w taki sposób.

Wziął mnie za rękę i uściśnił. On mnie rozumiał, czuł dokładnie to samo.

- Co mogę zrobić, Charlie? - zapytałam.

- Tu zawsze znajdziesz dom, obiecałem jej to...

- Wiem. Ale ona pierwsza zrozumiałaby, że nie mogę tutaj zostać i im prędzej wyjadę, tym lepiej.

- Do Londynu?

- Najpierw tak. Potem może uda mi się dostać jakąś posiadłość.

- Posiadłość? Jaką posiadłość?

- Guwernantki. Damy do towarzystwa. Tym na ogół zajmują się osoby będące w mojej sytuacji.

- To się dla ciebie nie nadaje, Noelle. Masz w sobie ducha niezależności, tak jak twoja matka.

- Ducha niezależności można mieć, jeśli ma się przy tym odpowiednie środki utrzymania. Wiem z grubsza, jak przedstawia się moja sytuacja. Muszę sobie to rozważyć.

- Moja droga Noelle, nie musisz sobie nad tym łamać głowy.

Chcę przeznaczyć dla ciebie pewien fundusz.

- Dziękuję, Charlie, ale nie mogłabym go przyjąć. Chcę stanąć na własnych nogach. Kiedy prawnicy wszystko szczegółowo wyliczą, będę wiedziała dokładnie, na czym stoję i co mogę z tym zrobić.

Muszę skontaktować się z firmą prawniczą Mason, Mason & Crevitt.

Do tego czasu zatrzymam się w Londynie. Robert nie będzie miał nic przeciwko temu, żebym pomieszkała przez jakiś czas w domu.

- Robert kupił go po to, żebyś zawsze miała dom... tak jak dawniej.

- Nie mogę tego przyjąć tak samo, jak nie mogę przyjąć funduszu, który chcesz dla mnie przeznaczyć. Nie będę przecież bez grosza. W porównaniu z niektórymi ludźmi będę nawet zamożna.

Charlie, muszę wyjechać.

- Obiecałem, że zajmę się tobą, Noelle. Obiecałem to twojej matce, kazała mi przysiąc.

- Tak, wiem, że jej przyrzekłeś, ale ona nie przewidziała związanych z tym trudności. A ja... już się zdecydowałam.

Westchnął ciężko, a potem powiedział:

- Bardzo niedługo wyjadę w interesach za granicę. Może nawet już pojutrze. Nie będzie mnie przez

kilka tygodni. Przymknij mi, że nie wyjedziesz, dopóki nie wrócę.

Niemal słyszałam głos pani Carling: „Proszę wyjechać natychmiast”.

Ale ona była tak oderwana od rzeczywistości. Tutaj, w rześkiej atmosferze poranka, byłam w stanie przekonać samą siebie, że to śmieszne poddawać się bredniom starej kobiety z kryształową kulą.

Trochę to trąciło melodramatem. Byłam pewna, że Charlie by to wyśmiał, gdybym mu powiedziała.

- No więc przyrzekasz? - zapytał z nadzieją w głosie. - I wiesz, co zrobimy, Noelle? Może od razu pojedziemy zobaczyć się z twoim prawnikiem? Razem wybraliibyśmy się do Londynu i mogłabyś zatrzymać się u siebie, w swoim dawnym domu. Wystarczyłoby, gdybyś pobyła tam dzień lub dwa; dowiedziałabyś się, co prawnik ma ci do powiedzenia, i porozmawialibyśmy o tym po moim powrocie.

Co ty na to?

- Tak. To brzmi rozsądnie.

- Nic cię przecież nie popędza. Wciąż jeszcze nie doszłaś do siebie po tym wstrząsie. Zresztą jak i my wszyscy. To stało się zbyt nagle, a ona tak wiele dla nas znaczyła. Nie potrafimy jeszcze chłodno rozumować. Chcę, żebyś wiedziała, że jesteś pod moim dachem; ona sobie tego życzyła. Nie chcę, żebyś była w Londynie... sama.

Umówmy się więc, dobrze? Jedziemy razem do Londynu, ja od razu wyruszę dalej, a ty zostaniesz tam dzień lub dwa, a potem tu wrócisz.

Przyrzekam ci, że kiedy wrócę do Levenson, omówimy to wszystko dokładnie.

- Zgoda - odparłam. - Wydaje się, że to dobry pomysł. Poczułam ulgę. Mimo wrogości lady Constance, ostrzeżenia pani Carling i poczucia, że nie powinnam tutaj być, nie chciałam opuszczać Levenson.

Pożar i deszcz

Przyjechaliśmy do Londynu późnym popołudniem. Byłam bardzo poruszona tym, że wróciłam, a znajome widoki wywoływały we mnie jednocześnie uczucie radości i bólu. Wszystko tu coś mi przypominało. Rozmawiałam z Charliem niewiele, ale rozumieliśmy się dobrze, oboje bowiem byliśmy w podobnym nastroju.

Zatrzymałam się w jego londyńskim domu. Mogłam oczywiście pojechać do naszego dawnego mieszkania, ale czułam, że na razie byłoby to dla mnie zbyt bolesne, a pied - d - terre Charliego było dla mnie miejscem dość neutralnym, bezosobowym i właśnie to mi teraz odpowiadało.

Następnego dnia Charlie wyjechał na kontynent, a ja udałam się do firmy prawniczej Mason, Mason & Crevitt. Dowiedziałam się, że majątek, który zostawiła moja mama, zapewni mi niewielki, lecz stały dochód - wystarczający na skromne utrzymanie - nie było więc żadnej naglącej potrzeby, aby go

pomnażać. Moja sytuacja okazała się praktycznie taka, jak przewidywałam. Gdyby zaistniała jakaś nagła potrzeba, musiałabym coś przedsięwziąć i chyba wolałabym, żeby tak się stało.

Zdecydowałam, że do Levenson jeszcze nie wrócę.

Nie ulegało wątpliwości, że musiałam odwiedzić nasz dawny dom. Przechodziłam obok i powstrzymywałam odruch, by zapukać do drzwi. Wciąż coś mi się przypominało, nawet tu, na ulicy. Mijałam miejsce, w którym Lisa Fennell wpadła pod powóz i tym sposobem pojawiła się w naszym życiu. Widziałam okno przez które kiedyś patrzyłam, czy mama wraca już z teatru.

Wydawało mi się, że nie będę w stanie wejść do środka. Ale następnego dnia tym mocniej pragnęłam tam pójść i nie potrafiłam się już powstrzymać. Kiedy zapukałam do drzwi, otworzyła mi Jane.

Wpatrywała się we mnie przez chwilę, po czym na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Panna Noelle!

- Tak, Jane. To ja.

- Ach, proszę wejść. Zaraz powiem pani Crimp.

- Przechodziłam tędy i... - zaczęłam.

Ale ona już nie słuchała. Pobieгла w głąb holu, a ja podążyłam za nią.

- Pani Crimp! Pani Crimp! Proszę zobaczyć, kto przyszedł! Pani Crimp aż pokraśniała z przejęcia. Podbiegła do mnie i przytuliła.

- Ach, pani Crimp! - zawołałam drżącym głosem.

- No - powiedziała pani Crimp. - Panno Noelle, jak miło panienkę widzieć.

- Przechodziłam tędy wczoraj, ale nie mogłam...

- Wiem, wiem. Niech panienka wejdzie dalej. Och, panno Noelle, od razu wszystko się przypomina.

Wyjęła chusteczkę i otarła sobie oczy. Po czym wyprostowała się i zaproponowała żywo:

- Chodźmy do mojego pokoju. Chcę się dowiedzieć, jak się teraz panience powodzi.

- A co słysząc u pani, pani Crimp?

- No... to już nie to samo. „Jesteśmy dozorcami”, powiedziałam panu Crimpowi. „Na to nam przyszło!” Kiedy tylko wspomnę dawne dobre czasy, to mówię panience, nic tylko usiąść i płakać.

Poczułam, że twarz ściąga mi się z żalu, a pani Crimp ciągnęła:

- Wszyscy ciężko to przeżyliśmy. Cóż, nie ma drugiej takiej pani jak ona. Nie było i nigdy nie będzie. Była jedyna w swoim rodzaju.

Ale to minęło i musimy starać się zapomnieć. Ach, ileż bym dała za to, żeby do nas wróciła! Chodźmy do mojego pokoju, to trochę pogawędzimy. Jane, powiedz Carrie, żeby przyniosła to wino na szczególne okazje i do tego trochę ciasteczek. Są świeżutkie, bo właśnie rano upiekłam całą blachę.

Może jednak nie należało tu przychodzić, to było zbyt bolesne. Z

każdym miejscem w tym domu łączyły się jakieś wspomnienia.

Kiedy siedziałyśmy już w pokoju, pani Crimp zapytała:

- Jak się panience układa z panem Charliem?

- Ach, on ma piękny dom, ale nie jestem pewna, czy powinnam tam mieszkać. Widzi pani, muszę jakoś zaplanować swoją przyszłość.

- Mieliśmy nadzieję, że panienka tu wróci.

- To już nie jest mój dom, pani Crimp.

- No, mesje Rabuś na pewno nie miałby nic przeciwko temu. To taki życzliwy człowiek. Rzadko tu bywa. Dosyć zabawna sytuacja; z jednej strony my oboje - doświadczony lokaj i gospodyni, z drugiej zaś nikogo, komu moglibyśmy usługiwać i prowadzić gospodarstwo.

Dawniej bywało inaczej. Mój Boże, drzwi się tutaj nie zamykały.

Teraz mesje Rabuś zajrzy czasem na krótko i już go nie ma. Zostawia nam wolną rękę, jeśli chodzi o prowadzenie domu. Przypuszczam, że cieszyłby się, gdyby panienka do nas wróciła, panno Noelle. Był tutaj dwa tygodnie temu, chciał się dowiedzieć, czy panienka nie przyjeżdżała. Myślę, że chciałby, żeby panienka tu mieszkała. Ta panna Fennell całkiem się tu rozpanoszyła.

- A jak jej się powodzi?

- Gra w „Łachmanach i strzępach”, podobno nieźle jej idzie... ale ta sztuka nie ma szczególnego powodzenia. No bo bez Desiree to już nie to... Panna Fennell jest z siebie zadowolona. Często słyszymy, jak ćwiczy różne piosenki do przedstawienia. Wciąż powtarza, że wynajmie sobie jakieś mieszkanie, ale myślę, że tu jest jej wygodnie i za darmo, więc się nie śpieszy; zresztą trudno ją o to winić. Nam jest przyjemniej, jak ktoś tu się kręci, przynajmniej wnosi do domu trochę życia. Mesje Rabusiowi to nie przeszkadza, on chyba nawet woli, że jest tu ktoś, kto pamięta, jak tu było dawniej.

- Czy panna Fennell jest teraz w domu?

- Nie, wyszła na trochę. Ucieszy się, jak się dowie, że panienka nas odwiedziła. Mogłaby panienka zatrzymać się tutaj, pokój panienki byłby gotowy w mgnieniu oka. Nic się tu nie zmieniło. Jej pokoje

są nietknięte; mesje Rabuś zakazał ruszać tam cokolwiek. Kiedy tu przyjeżdża, idzie do jej pokoju i siedzi tam przez dłuższy czas.

Naprawdę zaczynam się o niego martwić. Był do niej tak przywiązany.

- Wiem.

- Nie myśli panienka o tym, żeby tu wrócić?

- Na razie nie mam żadnych konkretnych planów.

- Chcielibyśmy, żeby panienka tu była - powiedziała z żalem. -

Właśnie mówiłam któregoś dnia panu Crimpowi: „Gdyby panna Noelle wróciła, to znowu byłoby trochę tak jak dawniej”.

- To, co minęło, już nie wraca, pani Crimp.

- No tak, trzeba się z tym pogodzić. Kiedy myślimy sobie czasem o przeszłości, to naprawdę ogarnia nas przygnębienie, i mnie, i pana Crimpa. Zawsze coś tu się działo... ciągle ktoś wpadał z wizytą, albo pan Charlie, albo pan Rabuś... no a Dolly to już regularnie. No i była przecież Martha Gee. Z niej też był niezły numer.

Wypiłam kieliszek wina i pochwaliłam jej ciasteczka, pamiętałam bowiem, że zawsze była łasa na pochwały.

- Kiedy tak sobie razem siedzimy i rozmawiamy, panno Noelle, to czuję się zupełnie jak dawniej. Musi panienka zamienić też parę słów z Jane i Carrie. Powozu już nie mamy, nie ma takiej potrzeby.

Prowadzimy bardzo skromne gospodarstwo. Mesje Rabuś byłby taki zadowolony, gdyby panienka zechciała wrócić. Wiemy przecież, że kupił ten dom po to, żeby panienka mogła tu mieszkać. A na razie, wygląda to, jakby zrobił to dla tej panny Fennell. Nic w tym złego, ale ona przecież nie jest nawet żadną krewną, prawda? I ja, i pan Crimp wciąż mamy nadzieję, że panienka tu wróci.

Dosłyszałam ton prośby w jej głosie, rzekłam więc:

- Nic nie mogę na razie zdecydować, pani Crimp. Zobaczymy, jak się sprawy potoczą.

- Dobrze panience na wsi, z rodziną pana Charliego, prawda?

- No, wie pani, tam to nie jest mój dom...

- Z nami byłoby panience lepiej. Ach, wiem, chodzi o to, że panience wszystko tu coś przypomina. Mnie też codziennie coś przychodzi na myśl i mówię sobie wtedy: tutaj ona robiła to... a tu znów coś innego. Nie da się od tego uciec. Ale nie chciałabym stąd wyjechać. Wolę zostać na starych śmieciach, mimo że bez niej jest tu całkiem inaczej.

- Wiem, co pani ma na myśli. Cieszę się, że tu jestem... ale z drugiej strony ciężko mi znieść te wszystkie wspomnienia.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, pogrążone w myślach o mojej mamie, a potem podniosłam się, mówiąc, że muszę już iść.

- Proszę tylko zamienić parę słów z Jane i Carrie... i może chciałaby panienka zajrzeć do jej pokoi? Zresztą może lepiej nie.

Może później. Tak jak mówiłam, nic się tam nie zmieniło. Tak kazał

mesje Rabuś. Jak tylko przyjeżdża, to zaraz tam idzie, czasem nawet sypia w jej sypialni. Śmieszny człowiek z tego mesje Rabusia, no ale to cudzoziemiec. Co innego pan Charlie; z nim przynajmniej wiesz, na czym stoisz.

Porozmawiałam chwilę z Jane i Carrie, dzięki czemu przekonałam się, że i one, podobnie jak pani Crimp, z radością mnie widzą.

Jakżeż inaczej niż lady Constance!

Może powinnam wrócić... chociażby na krótko. Czy łatwiej by mi było uporać się ze swoimi problemami tutaj, w domu, który na wskroś przesiąknięty był jej obecnością?

Przemogłam się i zajrzałam do jej pokoi. Wyglądały dokładnie tak, jak je zostawiła. W szafie wisiały jej ubrania, czułam nawet zapach jej perfum. Zdawało mi się, jakby jeszcze tu była... i ociągała się z odejściem.

W tych pokojach bardzo mocno odczuwałam jej bliskość, jakby spoglądała na mnie, dbała o mnie i jakby próbowała wskazać mi właściwą drogę.

Dopiero późnym popołudniem wróciłam do domu Charliego.

Czułam się wyczerpana emocjonalnie, ale nieco podniesiona na duchu.

Nie minęło pół godziny od mego powrotu, gdy pokojówka oznajmiła, że ktoś czeka na mnie w salonie.

Zesłam na dół i zastałam tam Lisę Fennell.

Wyglądała kwitnąco i robiła wrażenie, że dobrze jej się powodzi.

Chwyciła moje dłonie i ucałowała je.

- Powiedziały mi, że przyjechałaś - rzekła.

- Tak się ucieszyłam, że je widzę.

- Żałowałam, że nie było mnie w domu. Jak tylko usłyszałam o twojej wizycie, natychmiast tu przyszłam. Nie mogę zostać dłużej, muszę jechać do teatru, ale musiałam cię przedtem zobaczyć. Jak długo zostaniesz w Londynie?

- Przyjechałam tylko na dzień lub dwa, ale może zostanę dłużej.

- Musisz. Noelle... tak naprawdę, to jak się czujesz?

- W porządku, dziękuję. A ty?

- Też w porządku. Ale to było straszne... nie mogę zapomnieć.

Dobrze, że jesteś u Charliego.

- Teraz wyjechał na parę tygodni.

- No a co z...?

- Roderickiem? Ach, jest oczywiście w Leveson. To wielka posiadłość. I on, i Charlie poświęcają jej masę czasu.

- Nie wątpię. Przypuszczam, że dużo przebywasz z Roderickiem, prawda?

- Tak, uczy mnie jeździć konno. Mówi, że niedługo będę już prawdziwym jeźdźcem.

- To musi być ciekawe. No a Charlie to przecież uroczy człowiek. A jego żona...?

- Lady Constance.

- Przypuszczam, że znalazłyście wspólny język.

- Ona jest raczej sztywna.

Lisa kiwnęła głową, chwytając od razu właściwy sens moich słów.

- Ale powiedz, Liso, co u ciebie? - zagałam szybko.

- Nie mogę narzekać. Cieszę się, że mam pracę.

- Słyszałam, grasz w „Łachmanach i strzępach”. Co to za sztuka?

- Jak zwykle, muzyczno - taneczna.

- No i dobrze ci idzie?

- Nie najgorzej, jestem w pierwszym rzędzie chóru i zgadłabyś?

Dolly wyznaczył mnie na dublerkę Lottie Langdon.

- To nieźle, co?

- Też tak myślę. Nigdy nie przestanę być wdzięczna twojej matce. Zawdzięczam jej wszystko.

- No tak, to ona zmusiła Dolly'ego, żeby cię zaangażował.

- Była cudowna.

Przez chwilę żadna z nas się nie odzywała.

- Musimy spróbować zapomnieć o przeszłości - przerwałam przedłużające się milczenie.

- To nie tak łatwo.

Uśmiechnęła się, usiłując przywołać pogodny nastrój.

- Musisz przyjść na przedstawienie „Łachmanów i strzępów”, skoro już tu jesteś.

- Bardzo chętnie.

- Gramy przy wypełnionej widowni, ale Lottie nie jest...

- Nie. Nikt już taki nie będzie.

- Mogę załatwić ci dobre miejsce na pojutrze. Już Dolly tego dopilnuje.

Zawahałam się. Byłby to pretekst, aby zostać jeszcze parę dni w Londynie, a jedynym powodem, z którego chciałam wracać do Levenson, był Roderick. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że tęsknię za nim bardziej, niż mogłam przypuszczać.

- To będzie dla mnie wielka przyjemność, Liso - powiedziałam szybko. - Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę cię na scenie.

- Ustaliłyśmy więc. Pojutrze wieczorem.

Roderick przyjechał do Londynu. Właśnie dość apatycznie szykowałam się do wyjścia, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - zawołałam. To był Roderick.

Nie potrafiłam ukryć swej radości. Ze śmiechem złapał mnie za rękę.

- Pomyślałem, że zajrzę do ciebie, tak dawno się nie widzieliśmy

- powiedział.

- Trzy dni - odparłam.

- Wydawało mi się, jakby to trwało dużo dłużej. Kiedy wracasz z powrotem?

- Ja... jeszcze nie jestem pewna.

- Sądziłem, że przyjechałaś tu tylko, żeby spotkać się z prawnikiem. To już na pewno załatwiłaś. Przyszło mi do głowy, żeby tu przyjechać i sprawdzić, co cię zatrzymuje.

- Ach, Rodericku, jak to miło z twojej strony!

- Po prostu jestem szczery, tęskniliśmy za tobą.

My? - pomyślałam. - To znaczy kto? Lady Constance?

- Rodericku - powiedziałam. - Musisz zrozumieć, że nie wolno mi nadużywać gościnności twojej rodziny.

- Co za bzdura! Mój ojciec gniewałby się, gdyby coś takiego usłyszał.

- A twoja matka?

- Ach, ona za jakiś czas się przyzwyczai.

Westchnęłam. Nie potrafiłam w to uwierzyć. A jednocześnie było mi przyjemnie, że tak bardzo zależało mu na moim powrocie, iż nie przejmował się humorami matki. Chciałam porozmawiać z nim o mojej sytuacji, ale sprawa była zbyt delikatna, aby mówić o niej tak lekko.

- Jak przebiegło to spotkanie? Mam nadzieję, że z dobrym skutkiem.

- Jest tak, jak przewidywałam. To, co mam, wystarczy, żeby żyć... dość skromnie... tak że mam czas, by zdecydować, co ze sobą zrobię.

Zadumał się i myślałam, że chce coś powiedzieć, ale jakby zmienił zdanie. Po chwili zapytał:

- No i co jeszcze robiłaś?

- Pamiętasz Lisę Fennell?

- Oczywiście. Była dublerką twojej matki.

- No właśnie. Widziałam się z nią. Nadal mieszka w naszym dawnym domu. Robert powiedział, że może tam zostać, dopóki nie znajdzie czegoś innego. Gra teraz w sztuce, która nazywa się

„Łachmany i strzępy”; dziś wieczorem wybieram się to zobaczyć.

- Sama?

- Co to szkodzi, przecież znam ludzi z zespołu. Będzie tam oczywiście Dolly. On mnie odwiezie do domu.

- Uważam, że ktoś powinien ci towarzyszyć. Pójdę z tobą.

- Och, miałbyś ochotę też się wybrać?

- Jeszcze jak. Zaraz pójdę dowiedzieć się o bilety. Od razu poczułam się szczęśliwsza.

- Nie trzeba. Lisa będzie w chórze, mówiła coś o biletach. Muszę tylko dać jej znać, że będzie nas dwoje.

- Wygląda na to, że ciekawie spędzimy wieczór - rzekł Roderick.

Z Roderickiem było cudownie. Zjedliśmy lunch w pobliżu Hyde Parku, a potem poszliśmy na spacer i usiedliśmy na ławce. Cały czas namawiał mnie, żebym następnego dnia wróciła z nim na wieś. Muszę przyznać, że nie trzeba mnie było aż tak bardzo namawiać. Pobyt w Londynie udowodnił mi, że nie ma tu dla mnie nic prócz przejmujących wspomnień, od których nie da się uciec.

Co więcej, zaczynałam dostrzegać swe prawdziwe uczucia wobec Rodericka. Nie przypuszczałam, że po stracie matki mogę jeszcze być tak szczęśliwa, jak teraz w jego towarzystwie. Skłonna byłam nawet sądzić, że tylko on mógł mi wynagrodzić stratę, którą poniosłam.

Tego popołudnia w Hyde Parku moje szczęście było niemal pełne.

Lisa uprzedziła Dolly'ego, że przyjdę na przedstawienie z przyjacielem, więc zarezerwował dla nas dwa miejsca w którymś rzędzie krzeseł. Wiedziałam, że pójście do teatru, gdzie ostatnio występowała moja matka, stanowić będzie dla mnie poważną próbę, starałam się więc na to przygotować.

Kiedy tylko kurtyna się uniosła, rozpoznałam na scenie Lisę.

Przyglądałam jej się uważnie. Była świetna. Śpiewała ze szczególną werwą i tańczyła żywiołowo. Wcale mnie nie dziwiło, że Dolly wybrał ją na dublerkę Lottie Langdon. Sama Lottie była co prawda dobrą profesjonalistką, brakowało jej jednak charyzmy, którą obdarzona była moja matka.

Sztuka okazała się dość trywialna, co można by powiedzieć i o

„Hrabinie Maud”, tylko że tutaj nie było polotu, jaki wносиła na scenę Desiree.

Podczas przerwy przyszedł do nas Dolly. Chciał się dowiedzieć, jak sobie daję radę, i patrzył na mnie z taką tkliwością, że poczułam się szczerze wzruszona.

- Wiesz, że gdybyś tylko czegoś potrzebowała...

- Och, Dolly - odparłam. - Wiem.

- Chcę, żebyś o tym pamiętała. A co sądzicie o przedstawieniu?

Roderick poparł mnie, kiedy mówiłam, że jest wyjątkowo udane.

- Nieźle - stwierdził Dolly. - Żeby tylko... - i smutno westchnął.

- Jak idzie Lisie Fennell? - zapytałam.

- Nieźle - powtórzył. - Zupełnie nieźle. Jest pełna zapału, co od razu widać, a to już połowa sukcesu. Oczywiście to nie Desiree, ale przecież drugiej takiej już nie będzie.

Zamilkliśmy na chwilę, myśląc o Desiree.

- Chciałabym zobaczyć się z Lisą po przedstawieniu -
powiedziałam.

- Zastaniesz ją w jej garderobie, to drugi pokój należący do chóru, znasz przecież drogę.

- Znam bardzo dobrze.

- Długo będziesz w Londynie?

- Nie - odpowiedział za mnie Roderick. - Jutro wracamy.

- Charlie ma się dobrze?

- Tak, wyjechał teraz na kontynent. Wróci dopiero za kilka tygodni.

- Niestety muszę was opuścić. Na pewno za kulisami już się coś dzieje, nigdy nie obędzie się bez problemów. Do zobaczenia niedługo, Noelle. Pamiętaj, że na każde z moich przedstawień zawsze masz zarezerwowane miejsce.

- Dziękuję, Dolly.

Pocałował mnie i odszedł; a kiedy przedstawienie się skończyło, poszliśmy do garderoby chóru zobaczyć się z Lisą. Była zachwycona, że ją odwiedziliśmy.

- Koniecznie musi pani wybrać się z nami na kolację -
zapropozował Roderick.

Twarz jej się rozjaśniła.

- Byłoby wspaniale! Możecie poczekać parę minut, aż się przebiorę?

Czekając na nią, rozmawialiśmy z portierem, który był
uszcześliwiony, że mnie widzi.

- Wydaje się, że to tak dawno, kiedy panienka tu przychodziła -

powiedział do mnie. - Wszystko jest jakieś inne. Desiree była cudowna, dla każdego miała uśmiech i ciepłe słowo. Bez niej to już nie ten teatr.

Pomyślałam, że wszystko i wszyscy łączą się tu dla mnie ze wspomnieniami.

Tego wieczora przy kolacji Lisa była bardzo ożywiona. Przejęta była swoją, dobrze się zapowiadającą karierą.

- Oczywiście na razie jestem tylko w chórze, ale to się zmieni -

tłumaczyła nam. - Sam fakt, że Dolly wybrał mnie na dublerkę Lottie, najlepiej o tym świadczy. Czekam tylko na szansę, by pokazać, co umiem.

Nieodparcie przychodziło mi na myśl, że szansą dla niej była choroba mojej matki... ta drobna niedyspozycja, która w efekcie doprowadziła do jej śmierci.

- Okazja prędzej czy później się nadarzy - powiedział Roderick. -

W życiu chodzi o to, żeby być na to przygotowanym.

- Tak, to prawda. Będę gotowa. Strasznie chciałabym zagrać w czymś lepszym niż „Łachmany i strzepy”.

- Zagra pani - przepowiedział jej Roderick. Uśmiechnęła się do niego.

- A teraz proszę mi opowiedzieć o sobie i o tym cudownym miejscu, gdzie osiedlili się Rzymianie.

- Noelle bardzo się tym interesuje.

- Tak - przyznałam. - To naprawdę fascynujące. Pomagałam tam trochę przy czyszczeniu fragmentów ceramiki i innych drobnych znalezisk.

- Jak wspaniale! Chciałabym to zobaczyć.

- Musi pani nas kiedyś odwiedzić - powiedział Roderick.

Pomyślałam, że ciekawe, jak zareagowałyby lady Constance, gdyby przedstawiono jej tancerkę z chóru, występującą w „Łachmanach i strzepach”. Myśl ta podziałała na mnie przygnębiająco, przypomniła mi bowiem powitanie, którego ja sama zznałam.

Byłam dość milcząca i Roderick, tak wrażliwy na uczucia innych, zrozumiał, że teatr obudził we mnie wiele wspomnień. Było jeszcze za wcześnie, aby tu wracać.

Powinnam skorzystać z okazji i pobyć z dala od Londynu, żeby przeszłość mogła stać się w moim życiu zamkniętym rozdziałem.

Słusznie zrobiłam, zgadzając się wrócić z Roderickiem na wieś...

przynajmniej na jakiś czas.

Lady Constance powitała mnie chłodno, dając mi niedwuznacznie do zrozumienia, że miała nadzieję, iż zostanę w Londynie. Gertie zaś była zachwycona, że wróciłam. To od niej wszystkiego się dowiedziałam.

- Pogoda była niesamowita. Zaczęło padać tego dnia, kiedy panienka wyjechała, i od tego czasu padało prawie cały czas. Rzeka wylała i zrobiło się trochę zamieszania z tymi rzymskimi sprawami.

Trzeba było przerwać te wszystkie... wykopaliska. No a potem Grace poślizgnęła się na schodach i zwichnęła sobie nogę w kostce.

Grace była pokojówką lady Constance. Była starsza niż większość służby i pracowała w dworze Leverson od czasu, gdy miała trzynaście lat.

- Mam nadzieję, że nie stało jej się nic poważnego -
powiedziałam.

- No, musi leżeć. Doktor nie pozwolił jej stawać na tej nodze. Bo lady Constance wezwała doktora. Więc teraz ja sprzątam pokoje jaśnie pani - skrzywiła się.

- I to niezbyt cię cieszy, Gertie?

- Wie panienka, jaka jest jaśnie pani. Taka drobiazgowa.

Wolałabym usługiwać panience.

- Dziękuję, Gertie, mam nadzieję, że Grace wkrótce wyzdrowieje.

- Dla mnie im szybciej, tym lepiej.

Poszłam odwiedzić Fionę. Powitała mnie serdecznie i opowiedziała o powodzi i osiadaniu podmytego przez wodę gruntu.

- To niedaleko od mozaikowych posadzek - mówiła. - Byłam bardzo przejęta, kiedy to się stało. Myślałam, że przy okazji coś nowego się odkryje. Już wkrótce zaczniemy dalsze poszukiwania, ale w tej chwili jest jeszcze zbyt mokro. Jak tylko trochę przeschnie, praca powinna ruszyć od nowa.

- Ciekawe, czy odkryjecie coś nowego.

- Bardzo możliwe. Poczekamy, zobaczymy. A na razie, chodź

zobaczyć ten puchar. Przyjrzyj się, jak misternie jest zdobiony. Z

przyjemnością nad nim pracuję i dobieram brakujące fragmenty.

Oglądałyśmy właśnie ten puchar, kiedy pojawiła się pani Carling.

W jej spojrzeniu dostrzegłam naganę i wiedziałam, że jest zawiedziona, iż nie posłuchałam jej rady, aby opuścić Levenson.

- Panna Tremaston była w Londynie - wyjaśniła Fiona. - Wróciła wczoraj razem z Roderickiem.

- A więc podróżowaliście razem?

- Tak. Roderick przyjechał do Londynu, kiedy tam byłam.

Więc... wróciliśmy razem.

- W Londynie musi być ciekawie... kiedy się stąd przyjeżdża -

zauważyła pani Carling.

- Ach, było bardzo miło. Ale tutaj - zatoczyłam łuk ręką, wskazując okolicę - jest najciekawiej.

Spojrzała na mnie przenikliwie, a Fiona powiedziała:

- Pójdę zaparzyć kawę.

- Ja to zrobię - zaofiarowała się pani Carling. - Ty pokazuj dalej pannie Tremaston te skarby.

Potem piłyśmy razem kawę i cały czas nie opuszczała mnie świadomość, że uwaga pani Carling skupiona jest na mnie.

Domyślałam się, że czuje się dotknięta i trochę rozgniewana, iż nie posłuchałam jej rady.

Był późny ranek. Roderick pojechał już gdzieś z pośrednikiem od handlu nieruchomościami, a ja zastanawiałam się, co mam robić.

Miałam ochotę przejechać się konno, może nad morze, albo drogą przez sąsiednie wioski, ale nie byłam jeszcze dość dobrym jeźdźcem, żeby samotnie wypuszczać się gdzieś dalej.

Miałam nadzieję, że już niedługo będę jeździć zupełnie swobodnie.

Postanowiłam więc odwiedzić Fionę, co stało się już moim zwyczajem. Wydawało mi się, że lubi moje towarzystwo i z przyjemnością opowiada o znaleziskach i o tym, jak nad nimi pracuje.

Schodziłam po schodach prowadzących obok pokoi lady Constance i zauważyłam, że drzwi od jednego z nich są otwarte. Po chwili wyjrzała zza nich Gertie, musiała chyba usłyszeć moje kroki.

- Panienko - wyszeptała. - Muszę panience coś pokazać... właśnie to znalazłam. - Przyłożyła palec do ust i dodała: - Niech panienka wejdzie.

Zawahałam się. To była sypialnia lady Constance, Gertie sprzątała tu, odkąd Grace zachorowała.

- Musi panienska to zobaczyć - ciągnęła Gertie - to panienkę na pewno bardzo zainteresuje.

Wciąż nie miałam odwagi tam wejść.

- Proszę spojrzeć... zaraz paniencie pokażę.

Cofnęła się w głąb pokoju. Ja ciągle stałam w drzwiach.

Widziałam, jak podeszła do toaletki; otworzyła szufladę i wyjęła z niej coś, co przypominało duży brulion. Rozłożyła to na blacie toaletki i konspiracyjnie zerknęła na mnie przez ramię, kiwnięciem głowy zachęcając, abym podeszła bliżej.

Wiem, że powinnam była odmówić, ale wiedziona jakimś odruchem, na palcach weszłam do środka.

Gertie wskazała mi otwarty brulion.

Zbliżyłam się i aż dech mi zaparło, zobaczyłam tam bowiem zdjęcie mojej matki. Pamiętałam je dobrze, było to zdjęcie przedstawiające ją, jak grała w „Słodkiej Lawendzie”. Znałam tę suknię... krynolinę w kolorze lawendy. Na szyi mama miała fioletową, aksamitną szarfę z brylantami z przodu.

Teraz już nie mogłam się powstrzymać. Podeszłam bliżej.

„Desiree, panna Lawenda, króluje na scenie” - przeczytałam. -

„Jej roziskrzona obecność jest w stanie ożywić nawet tę nudną sztukę”.

Poczułam, że łzy napływają mi do oczu, i na moment przestałam się nawet dziwić, dlaczego fotografia mojej matki znajduje się w brulionie należącym niewątpliwie do lady Constance.

- To wszystko jest o niej, panienko, proszę spojrzeć - powiedziała Gertie. Odwróciła stronę. Były tam dalsze zdjęcia mojej mamy... na niektórych była razem z innymi aktorami i aktorkami. „Desiree w

»Kwiecie passiflory«”; „Desiree w »Czerwonych różach maja«”.

Wszystkie wycinki były na jej temat. „Pełna uroku Desiree na nowo ożywiła stare piosenki”. „»Dziewczę z prowincji« słaba rzecz, lecz pokaz gry Desiree”.

Zeszyt pełen był tych wycinków. Ktoś zadał sobie trud, żeby je powycinać i powklejać.

Pochłonęło mnie to bez reszty. Po raz któryś z kolei poniosły mnie wspomnienia.

I nagle zdrętwiałam z przerażenia. Przeszedł mnie dreszcz. Zanim zdążyłam się odwrócić, instynkt już mi podpowiedział, że ktoś nas obserwuje.

W drzwiach stała lady Constance.

Podeszła do nas, a jej wzrok spoczął na brulionie. Odezwała się lodowatym tonem:

- Nie wiedziałam, czemu mam zawdzięczać twoją obecność w moim pokoju.

- Ach - wyjąkałam. - Właśnie tędy przechodziłam... i zatrzymałam się tylko, żeby porozmawiać z Gertie.

Gertie cała się trzęsła. Nerwowym ruchem zamknęła zeszyt i włożyła go z powrotem do szuflady.

- Myślałam, że skończyłaś sprzątać co najmniej dziesięć minut temu - powiedziała lady Constance do Gertie. - Grace nigdy nie zabierało to aż tyle czasu.

Wymamrotałam coś o tym, że muszę już iść. Kiwnęła głową, a ja uciekłam, przepełniona poczuciem winy i wstydu.

Wyszłam z domu, ale nie mogłam się uspokoić. Myśli kłębiły mi się w głowie. Kojący, chłodny wietrzyk owiał mi twarz. Co za okropna sytuacja! Jak mogłam być aż tak głupia? Pozwoliłam sobie grzebać w jej tajemnicach.

Nie miałam wątpliwości, że to ona powycinała te zdjęcia i powklejała wycinki do zeszytu. To ona czytała je, cierpiała i zadręczała się nimi.

Wiedziałam, jak głębokie było uczucie Charliego dla mojej matki i wiedziała to również lady Constance.

Gertie była przerażona. Powiedziała mi, że naprawdę „nawarzyła sobie piwa”. Teraz czekała, kiedy spadną na nią razy.

- Powiedziała niewiele - opowiadała mi. - Ale gdyby spojrzenie mogło zabijać, na miejscu padłabym tam trupem. Teraz wiem, że odtąd nie spuści ze mnie oka, poczeka tylko, kiedy znów noga mi się powinie. Wiem, że się tylko przyczaiła, a w pewnej chwili rzuci się na mnie... i nie wiem, co ja wtedy zrobię, panienko, naprawdę nie wiem.

No bo gdzie ja znajdę pracę? Nietrudno się domyślić, że ona nie da mi referencji, prawda? A tam w domu tyle dzieci... za małych jeszcze, żeby iść na służbę i zarabiać. Sama panienka rozumie.

Rozumiałam i strasznie mi jej było żal.

Współczułam też lady Constance, sądziłam bowiem, że wiem już, co sprawiło, że jest taka, jak jest. Wciąż myślałam o tym, jak musiała się czuć przez te wszystkie lata. Na pewno kochała Charliego, to było widać. Charlie i Roderick byli dla niej wszystkim. I całymi latami była świadkiem uczucia, jakim jej mąż darzył Desiree. Oczywiście, że chciała wiedzieć o swej rywalce jak najwięcej. Założyła specjalny zeszyt na jej temat. To było straszne. Biedna lady Constance! I biedna Gertie!

Trzy dni później nastąpił wypadek z rzeźbionym popiersiem, stojącym na schodach.

Popiersie przedstawiało jednego z Claverhamów w mundurze generalskim. Umieszczone było na rzeźbionym, mahoniowym postumencie na podeście dzielącym drugą i trzecią kondygnację schodów.

Sprzątanie schodów należało do obowiązków Gertie. Słyszałam, jak kiedyś mówiła o popiersiu „ten gość w czapce i z wąsami”. Wąsy wyrzeźbione miał z wielkim kunsztem, a fasonowana czapka i mundur podkreślały jego generalską godność oraz dostojność.

- Przez niego aż skóra cierpnie - mówiła Gertie. - Zawsze mi się wydaje, że obserwuje, czy dokładnie zamiatam wszystkie kąty i że zaraz mnie wyłaja. Wczoraj się zachwiał, ta podstawa nie jest dość mocna, on jest do niej za wielki.

Kiedy wyszłam na schody, Gertie, ze ściereczką do kurzu w ręku, właśnie zabierała się do odkurzenia popiersia.

- Dzień dobry, panienko - powiedziała. - Panienska gdzieś wychodzi?

Potaknęłam.

- Na pewno do tej panny Vance. Lubi panienska te drobiazgi i skorupy, które tam znajdują, prawda?

- Tak, rzeczywiście to lubię.

Uśmiechnęła się do mnie z pewną pobłażliwością. Zbliżyła się do popiersia, ale podchodząc zachwiała się nieco i schwyciła za postument. Rzeźba zakołysała się przez ułamek sekundy, po czym z hałasem rąbnęła na podłogę. Odskokczyłam, bo była bardzo ciężka.

Wpatrywałam się w nią przerażona, a Gertie stała jak sparaliżowana ze strachu.

- Boziu, ratuj mnie! To już koniec - wymamrotała.

W tej samej chwili zauważyłyśmy obie, że czubek generalskiego nosa leży odłupany na dywanie i kawałek jego ucha też. Generał już nigdy nie odzyska swego dawnego wyglądu - pomyślałam dość beztrosko. Moja beztroska ulotniła się natychmiast, gdy spojrzałam na biedną Gertie; na jej twarzy malowało się przerażenie i rezygnacja.

Wstyd mi było, że choć przez moment mogłam uznać tę sytuację za zabawną.

Podjęłam nagłą decyzję.

- Powiem, że to ja zrobiłam, Gertie. Powiem, że przechodziłam obok postumentu. Stał nie dość pewnie, a ja niechcący otarłam się o niego i wtedy się przewrócił.

Nadzieja rozjaśniła twarz Gertie.

- Ach, panienko, nie może panienska tego zrobić! - zawołała.

- Mogę.

- Jaśnie pani będzie bardzo rozgniewana.

- Jakoś to zniosę.

- Ona już i tak nie bardzo panienkę lubi... chyba nie bardziej niż mnie.

- Ale ty straciłabyś pracę. A co do mnie, to nie może mnie już zniechęcić bardziej, a jeśli każe mi stąd wyjechać, to po prostu wyjadę.

Ze mną to zupełnie co innego.

- Pan by się nie zgodził, żeby panienka wyjechała. Ani pan Roderick. Zanadto panienkę lubią. A jaśnie pani musi się z tym liczyć.

- Zdaj się na mnie, Gertie.

- Och, panienka jest cudowna!

- Najlepiej będzie, jak od razu do niej pójde.

Śmiało weszłam po schodach na górę. Gertie patrzyła na mnie z wyrazem uwielbienia w oczach.

Zastukałam do drzwi saloniku lady Constance.

- Dzień dobry - powitała mnie zimno.

- Dzień dobry - odpowiedziałam. - Przykro mi, ale zdarzył się wypadek.

Uniosła brwi.

- Strasznie przepraszam - ciągnęłam. - Kiedy przechodziłam koło popiersia na schodach, musiałam je niechcący dotknąć i spadło z postumentu. Obawiam się, że jest mocno uszkodzone.

- Popiersie. Chodzi ci o generała?

- Tak, to popiersie na podeście.

- Zaraz zobaczę, co się tam stało.

Schodząc za nią po schodach, zauważyłam, że Gertie ucieka pośpiesznie.

Lady Constance ze zgrozą wpatrywała się w rzeźbę.

- Mój Boże - odezwała się. - Ta rzeźba należała do rodziny od lat.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jest mi przykro. Wpatrywała się w odłamany czubek nosa generała.

- To wyjątkowa strata.

Czułam się przygnębiona, ale przez cały czas myślałam o Gertie, którą zdołałam uratować, przynajmniej na razie.

Po tym wydarzeniu wiedziałam, że lady Constance mnie obserwuje.

Wydawało mi się, że nie spuszcza ze mnie wzroku. Mimo że na temat popiersia nie padło więcej ani jedno słowo, nieustannie zaprzętało ono moje myśli. Podejrzywałam, że może cieszy ją moje zmieszanie i że spodziewa się z mojej strony jakiegoś kolejnego występku, który spowoduje, że dalszy mój pobyt tutaj stanie się niemożliwy.

Obiecywałam sobie, że kiedy tylko Charlie wróci, powiem mu, że muszę wyjechać. Przyrzekłam mu jednak, że pozostanę tu do jego przyjazdu i musiałam dotrzymać słowa. Z drugiej strony, jechać teraz znowu do Londynu na parę dni nie miało szczególnego sensu. Prawda była taka, że wcale nie chciałam tam jechać. Nie wiedziałam już, co gorsze: zostać tutaj, pod bezustanną, nieżyczliwą kontrolą lady Constance, czy wrócić do Londynu, gdzie odżyją znów wszystkie wspomnienia.

Byłam pogrążona w rozpacz i jedyny przebłysk nadziei stanowiła myśl, że może dzięki Roderickowi czeka mnie jakaś jaśniejsza przyszłość.

Sama przed sobą przyznałam się, że pozostaję tu ze względu na niego.

Zaczynałam jednak mieć obsesję na punkcie lady Constance.

Nocą dręczyły mnie koszmarne sny, w których się jej bałam. Raz śniło mi się, że podeszła do mego łóżka, podając mi kieliszek wina, o którym wiedziałam, że jest zatrute. Przebudziłam się z krzykiem:

„Nie... nie!”

Za dnia mogłam się tylko z siebie śmiać. Przekonywałam sama siebie: Przeżyłaś wielki wstrząs... dużo większy, niż ci się zdaje. Nie całkiem jesteś sobą. Oczywiście, że lady Constance wolałaby, żeby cię tu nie było. Charlie popełnił błąd, przywożąc cię tutaj, a ty zrozumiałwszy sytuację, powinnaś była dyskretnie się wycofać, nawet jeśli uraziłoby to Charliego. Przyznaj się jednak, że nie chciałaś tego zrobić. A to dlatego, że potrzebowałaś ciepła i poczucia bezpieczeństwa. Charlie zaś, stary przyjaciel twojej matki, jest jedyną osobą, która może ci to zapewnić. Co więcej, był tu Roderick.

Pomimo wszystko jednak powinnaś była wziąć pod uwagę niechęć, a nawet wrogość lady Constance.

Sytuacja była zdecydowanie niezręczna i na dokładkę mgliste ostrzeżenia pani Carling także działały na mnie deprymująco. Kiedy byłam na dworze i oddychałam świeżym powietrzem, myślałam o niej jako o nieszkodliwej starszej pani, której wydaje się, że jest jasnowidzem. Nie było nic złego w tym, że jej słuchałam, i kiedy byliśmy razem, nawet przyznawałam jej rację; a jednak w środku nocy, po jakimś przerażającym śnie, jej postać nabierała znaczenia i mówiłam sobie, że nie powinnam lekceważyć jej przepowiedni na temat groźby, która nade mną zawisła. Nie przestawałam też myśleć o nienawiści, jaką na pewno żywi wobec mnie lady Constance.

Kiedy zdarzało mi się spojrzeć na sprawy spokojniej, mówiłam sobie, że jestem teraz przewrażliwiona, a to, że dotknęła mnie jedna straszna tragedia, wcale nie oznacza, że zaraz

prześladować mnie będą następne. Muszę cierpliwie poczekać na powrót Charliego i dopiero potem poczynić jakieś plany. W międzyczasie powinnam zapomnieć o niechęci lady Constance i o tajemniczych ostrzeżeniach tej starej dziwaczki.

Na wpół podświadomie cały czas nękała mnie też sprawa moich uczuć dla Rodericka. Byłam w nim zakochana i wiedziałam, że i on żywił do mnie szczególne uczucie.

Pewnego ranka Gertie weszła do mojego pokoju bardzo podniecona. Postawiła dzbanek z gorącą wodą i odwróciła się do mnie.

- Ach, panienko - powiedziała. - Tej nocy był pożar. I co panienka o tym myśli? Zapaliło się w tym małym domku, tam gdzie pracuje panna Vance.

Usiadłam na łóżku.

- Jakie to straszne! Czy są duże straty?

- Nie, mało co. Podobno dzięki temu, że padał deszcz. Przez całą noc lało jak z cebra. Musiało zacząć padać zaraz potem, jak wybuchł

ten pożar. Późno w nocy gospodarz o nazwisku Merritt wracał

tamtędy wozem do domu i zauważył dym wydobywający się z domku.

Podniósł alarm. No a potem właśnie zaczął się ten deszcz... ostra ulewa, dzięki której obyło się bez większych strat.

- O mój Boże. Ciekawe, co zrobi teraz panna Vance.

- Podobno nie jest tak źle. A jednak to aż dziwne. Całe szczęście, że nie było nikogo w środku.

Wszyscy rozprawiali o pożarze.

Przy śniadaniu spotkałam Rodericka. Wyjaśnił, że już tam był, bo chciał zobaczyć, jak to wygląda.

- Pożar objął tylko pokoje na górze - powiedział. - Dobrze, że akurat była ta ulewa... no i że Tom Merritt akurat tamtędy przejeżdżał.

Późno wracał do domu razem z żoną. Tego wieczora byli z wizytą u przyjaciela i z powrotem pojechali na skróty, obok wykopalisk. Tom podniósł alarm i dzięki temu szybko udało się opanować sytuację.

- Biedna Fiona.

- Będzie tam dziś rano. Może poszłabyś ze mną? Ja zaraz tam idę.

Chętnie przystałam na jego propozycję. Po drodze Roderick powiedział:

- Jest dość zastanawiające, jak w takim miejscu mógł wybuchnąć pożar.
- Chyba nie sądzisz...?
- Że ktoś to zrobił specjalnie? Wielkie nieba, nie. Dlaczego ktokolwiek mógłby chcieć to zrobić?
- Niektórzy ludzie miewają dziwne pomysły... że zakłóca się tu spokój zmarłym i tak dalej.

Roześmiał się.

- Nie znam nikogo, kto aż tak troszczyłby się o Rzymian.
- No, ale musiała być jakaś przyczyna.
- Czy tej nocy błyskało? Może w domek uderzył piorun.
- Mogło się tak zdarzyć.

Fionę zastaliśmy już na miejscu. Była strasznie zmartwiona.

- Jak to się mogło stać? - zastanawiała się. - Zupełnie nie mogę tego zrozumieć.
- Teraz to już nieważne - powiedział Roderick. - Jakie są szkody?
- W pokojach na górze panuje straszny bałagan. Coś trzeba będzie zrobić z dachem. Na szczęście na dole wszystko jest w porządku.
- Czy znaleźska są absolutnie bez szwanku?
- Wygląda, że tak... nic im się nie stało.
- To już jest wystarczający powód do radości.
- Chodźmy na górę zobaczyć, jak tam wygląda - zaproponował

Roderick.

Weszliśmy po schodach. Łóżka w obydwu pokojach były całkiem mokre. Część sufitu zapadła się i przez otwór widać było niebo.

Roderick orzekł, że to można naprawić jeszcze tego samego dnia... najlepiej, zanim znowu zacznie padać.

- Deszczowi należą się od nas wyrazy wdzięczności.
- Tomowi Merrittowi też.
- To byłby ogromny cios, gdyby cały domek został zniszczony.

Usłyszeliśmy odgłos kroków na schodach, wszyscy więc spojrzeliśmy na drzwi, a gdy otworzyły się, zobaczyliśmy w nich panią Carling.

- Przyszłam zobaczyć zniszczenia - powiedziała. - O mój Boże!

Fiono, nie będziesz mogła tu pracować.

- Na dole wszystko jest w porządku. Nikt by nie poznał, że był tu w ogóle jakiś pożar.

Pani Carling zacisnęła usta.

- Będzie tu potrzebny duży remont - rzekła.

- Zniszczenia nie są tak wielkie, jeśli je dokładnie oszacować -

stwierdził Roderick.

- Ale mimo wszystko...

- Zejdźmy na dół i rzućmy na to okiem.

Poprowadził nas na dół i znaleźliśmy się w pokoju, gdzie zwykle pracowała Fiona.

- No widzisz, nic się tu nie zmieniło - Fiona zwróciła się do babci. - Na szczęście pan Merritt zauważył to w porę. No i deszcz zaczął padać.

- Od lat nie widziałam takiego deszczu - rzekła pani Carling.

- Opatrzność czuwa nad nami - orzekła Fiona. - Gdybyśmy stracili coś z tych rzeczy na dole, dopiero byłaby tragedia.

- Och, czasami i złe na dobre się obraca - powiedziała pani Carling, patrząc przed siebie, jakby spoglądała w przyszłość.

Fiona obrzuciła ją szybkim spojrzeniem.

- Cóż - ciągnęła pani Carling. - Mogłabyś mieć lepsze miejsce do pracy.

- Ale tu jest doskonale! - zawołała Fiona. - Tuż obok wykopalisk.

I wszystko mam pod ręką. Trudno wyobrazić sobie lepsze miejsce.

- Wiesz, że w każdej chwili możemy wygospodarować dla ciebie jakieś pomieszczenie we dworze - powiedział Roderick.

- Widzisz, Fiono! - wykrzyknęła pani Carling. - Na pewno byłoby ci tam bardzo miło.

- Już to kiedyś proponowałem - przypomniał Roderick. -

Przecież, w końcu, to wszystko znajduje się na terenie Leverson.

- Tutaj jest mi doskonale - upierała się Fiona. - A remont dachu nie potrwa długo.

- Dzisiaj z pewnością będzie zreperowany - zapewnił ją Roderick. - Potem, oczywiście, trzeba będzie wszystko stamtąd powynosić. Co by ci się przydało zamiast tamtych rzeczy?

- Oj, naprawdę niewiele. Jakieś krzesło albo dwa... i stół. Może jeszcze coś ze starych rzeczy da się wykorzystać.

- Dobrze, trzeba będzie sprawdzić. Na pewno nie dasz się skusić na przeprowadzkę do dworu?

Pani Carling obserwowała swą wnuczkę w napięciu.

- Byłoby to nadzwyczaj miłe - powiedziała niemal przymilnie.

- Z pewnością, ale ja tutaj czuję się świetnie - odparła stanowczo Fiona.

Pani Carling zacisnęła usta. Przez moment widać było, że z trudem tłumi wściekłość. Musiała być bardzo niezadowolona z Fiony.

Powiedziała, że musi nas już opuścić, i dość gwałtownie wyszła.

- Biedna babcia - powiedziała Fiona. - Zawsze uważała, że nie powinnam tu pracować. Mówi, że ten dom wygląda jak rudera.

- Cóż, moja propozycja jest cały czas aktualna - rzekł Roderick. -

Znalazłbym ci jakiś wygodny pokój.

- Wiem. Ale ty przecież rozumiesz, o co chodzi, prawda? To już nie byłoby to. Chcę zostać tutaj... na miejscu.

- Oczywiście - zgodził się Roderick.

- Kiedy już wszystko się załata, znów będzie znakomicie.

- No to pójdę teraz załatwić, żeby to zreperowali. Trzeba od razu załatać ten dach. Wygląda na to, że niedługo znów będzie padać. To...

naprawdę pilne.

Kiedy odszedł i zostaliśmy same, Fiona powiedziała:

- Ten pomysł, żeby mieć pokój we dworze, zupełnie mnie nie pociąga.

- Nie? A nie byłoby ci tam wygodniej?

- Stanowczo nie. Lady Constance by się to nie podobało. Jeśli idzie o ścisłość, to nie bardzo mnie lubi.

- Mnie też nie.

- Oczywiście, że nie. Nie lubi żadnej młodej kobiety, zaprzyjaźnionej z jej synem, jeśli nie ona mu ją wybrała.

- Rozumiem.

- I ty, i ja zaliczamy się do tej kategorii. Uważa, że mamy jakieś zamiary wobec Rodericka, podczas gdy ona chciałaby zapewnić mu lepszą przyszłość. To dość zabawne. Wszystko by zrobiła, żebym tylko nie widywała się z Roderickiem zbyt często. Trudno sobie wyobrazić, co by to było, gdybym wkroczyła na jej terytorium!

Wystarczy, że w ogóle tutaj jestem. Na pewno wolałaby, żeby nie było tu żadnych odkryć ani wykopalisk.

Trochę dodało mi to ducha. Pocieszała mnie myśl, że ktoś znajduje się w tej samej sytuacji, co ja. Przypuszczałam jednak, że niechęć lady Constance do mnie wynikała raczej z tego, co łączyło Charliego z moją matką; moja przyjaźń z Roderickiem zaczęła ją niepokoić dopiero później.

- I to dlatego nie chcesz mieć pracowni we dworze?

- Gdybym uważała, że moja praca na tym zyska, nie zwracałabym tak bardzo uwagi na kwaśną minę lady Constance. Ale naprawdę uważam, że lepiej mi jest pracować tutaj.

Pomyślałam z ulgą, że praca jest dla niej ważniejsza niż obecność Rodericka, i ta myśl sprawiła mi przyjemność.

Pożar, który wybuchł w tajemniczych okolicznościach, jeszcze przez wiele dni stanowił główny temat rozmów w całej okolicy.

Wysuwano różne hipotezy, szczególnie zaś popularna była wersja, że to jakiś włóczęga dostał się do domku i podpalił go. Ten i ów zadawał

pytanie, dlaczego włóczęga miałby niszczyć miejsce, w którym znalazł schronienie. Odpowiadano, że palił fajkę i w ten sposób zaprószył ogień; uciekł, kiedy pożar zaczął się rozprzestrzeniać.

O wszystkim, co ludzie we wsi mówili, wiedziałam od Gertie.

Panowało ogólne przekonanie - i ona też tak myślała - że panna Vance otrzyma teraz pomieszczenie na pracownię we dworze. Roderick mówił podobno, że powinna się tam przenieść, przynajmniej dopóki zniszczenia w domku nie zostaną naprawione.

- Biedna panna Fiona - współczuła jej Gertie. - Taka miła pani, prawdziwa dama. Nigdy nie zadziera nosa. Podobno ciężkie ma życie z tą swoją starą babką.

- Nigdy się nie skarży...

- Ach, nie. Ona nie powie o swojej babci złego słowa. Ale ta pani Carling to dziwaczka.

- Zdaje mi się, że jest tu dość znana.

- No, tak. Pomaga dziewczynom, jeśli napytają sobie biedy.

Potrafi działać cuda za pomocą tych roślin, które hoduje u siebie w ogrodzie. Podobno też przepowiada przyszłość. Ludzie przychodzą do niej, a ona mówi im, co ich czeka. Radzi im, co mają robić, i uprzedza, co się stanie, jeśli nie posłuchają jej rady.

- A ty w to wierzysz. Masz jakiś dowód?

- Ja nie, ale są tacy, co mają. Ona nie jest całkiem normalna, robi różne dziwne rzeczy. Na przykład chodzi w nocy po domu.

- Skąd wiesz?

Gertie przez chwilę milczała.

- No dobrze, to już panience powiem. Wiem od tej małej Kitty.

- Od jej pokojówki?

- Tak, panienko. Bardzo mi jej żal. Strasznie jest zastraszona, naprawdę. Trochę się z nią zaprzyjaźniłam. Jakiś czas temu szła ze sklepu z ciężką torbą pełną zakupów. Rączka u torby pękła i wszystko się rozsypało. Stała tam i wyglądała, jakby miała za chwilę się rozplakać. Posłuchaj, powiedziałam do niej, to przecież jeszcze nie koniec świata. Pozbierałam jej te rzeczy z powrotem do torby. Potem jakoś przywiązałam tę rączkę, tak że mogła donieść zakupy do domu.

Nie uwierzyłaby panienka - mogło się wydawać, że uratowałam jej życie. Patrzyła na mnie, jakbym była jakimś bóstwem. Trudno takiego stworzenia nie lubić, przypomina bezpieczne zwierzątko. Niczego dobrego w życiu nie zaznała. Rodzina jej nie chciała; traktowali ją strasznie... tylko dlatego, że jest trochę niedorozwinięta. No a później poszła do tej starej pani Carling i służy jej jak niewolnica. Bardzo polubiłam biedną, małą Kitty; pewnie dlatego, że tak mnie wtedy podziwiała.

Roześmiałam się.

- Mądra jesteś i w wielu sprawach masz rację, Gertie.

- Dziękuję, panienko. Rozmawiałam z Kitty i powiedziałam jej, że gdyby tylko miała jakieś kłopoty, zawsze może przyjść do mnie i ja jej pomogę. Szkoda, że jej panienka wtedy nie widziała. Wyraz jej twarzy... poczułam się, jakbym naprawdę była kimś.

- Och, Gertie. Oczywiście, że jesteś kimś.

- Po prostu mam głowę na karku, panienko. Spotykam Kitty od czasu do czasu; zawsze do mnie podbiega i opowiada różne rzeczy.

Wie panienka, samo jej się wymyka. Ona uważa, że panna Fiona tyle znosi, że chyba jest święta. Starsza pani czasem zachowuje się bardzo dziwnie, a panna Fiona musi to jakoś tuszować. Wydaje mi się, że pani Carling robi różne rzeczy, żeby wyglądało, że jej przepowiednie się sprawdzają.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Myślę, że sama popycha trochę pewne sprawy, żeby potoczyły się tak, jak ona by tego chciała.

- Przypuszczam, że jak już ktoś wróży, to zakłada raczej, że wróżba się sprawdzi.

- Można i tak powiedzieć. Szkoda, że panna Fiona nie będzie tutaj pracować. Lepiej by jej było niż w tej starej chatce. Pani Carling była naprawdę rozgniewana, że panna Fiona nie chciała tego pokoju we dworze, kiedy była taka okazja. Ciągle do tego wraca, aż jej wnuczka czasem traci cierpliwość. I w kółko to samo. „Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłam” i tak dalej. Panna Fiona bardzo się tym martwi. Pani Carling mówi, że jeśli nie skorzysta się z danej szansy, to można tego potem gorzko żałować; nic dobrego z tego nie wyniknie.

Od Kitty, oczywiście, niewiele da się wyciągnąć. Sama dopowiadam sobie resztę. W każdym razie nie wydaje mi się, żeby panna Fiona była szczególnie szczęśliwa, kiedy tak się tam dzieje.

W obliczu niebezpieczeństwa

Przez następne parę dni padały ulewne deszcze i Roderick powiedział nam, że w niektórych miejscach już widać tego skutki.

Fakt, iż przez stulecia te tereny wylaniały się z morza, oznaczał, że ziemia była tu miękka i łatwo nasiąkała wodą. W paru miejscach powstało niebezpieczeństwo obsunięcia się gruntu.

- Miewaliśmy te problemy już przedtem - mówił. - To jest skutek takiej pogody. Musimy mieć się na baczności.

- Ale co można na to poradzić? - zapytałam.

- Przede wszystkim trzeba zabronić ludziom tam chodzić, dopóki nie zrobimy umocnień i nie zabezpieczymy tych miejsc. Wykopaliska, które trwają tu, odkąd odkryto ślady Rzymian, oczywiście nie polepszyły sprawy. Kiedy mój ojciec wróci, będziemy musieli o tym porozmawiać. Tymczasem w miejscach szczególnie zagrożonych powiesimy ostrzeżenia.

Rozmawialiśmy o tym tego wieczoru przy kolacji.

- Ojciec powinien już niedługo wrócić - powiedziała lady Constance.

- Tak, wkrótce tu będzie. Szkody powstałe w domku są większe, niż początkowo myśleliśmy. Jestem zdania, że panna Fiona powinna jednak, chociaż na jakiś czas, przenieść się tutaj. Byłoby jej tu

znacznie wygodniej niż tam z robotnikami.

- To jej decyzja - odparła ostro lady Constance. - Przecież proponowałeś jej pokój, prawda?

- Tak.

- A ona tej propozycji nie przyjęła. Osobiście uważam, że to kończy sprawę.

Roderick spojrział na matkę z wyrzutem.

- Wydaje mi się, że nie przeniosła się tu przez ciebie.

- Przeze mnie? A cóż ja mam z tym wspólnego?

- Ty jesteś panią tego domu. Jeśli demonstracyjnie okazujesz, że jej tu sobie nie życzysz, to chyba trudno się dziwić, że nie chciała u nas pracować, prawda?

Napotkałam wzrok lady Constance; najwyraźniej czuła się winna.

Nagle zrobiło mi się jej żal. Odezwałam się więc:

- Wydaje mi się, że panna Vance woli pracować na miejscu, przy wykopaliskach.

- Ona tak mówi, ale jestem pewien, mamo, że gdybyś ty ją zaprosiła, na pewno by się tu przeniosła. Choćby na jakiś czas, dopóki trwa tam remont.

- Czy tego właśnie ode mnie oczekujesz?

- Nie oczekuję, ale cieszyłbym się, gdybyś to zrobiła.

- Nie rozumiem dlaczego. Przecież to, czego ja sobie życzę, nie ma w tej sprawie żadnego znaczenia.

- Oczywiście, że ma. Posłuchaj. Podczas remontu pannie Vance naprawdę będzie trudno pracować w domku. Gdybyś ją zaprosiła, żeby na ten czas się do nas przeniosła, z pewnością by nie odmówiła.

- Przecież już odmówiła.

- Bo sądziła, że jej tu sobie nie życzysz. Poza tym nie spodziewała się, że reperacje spowodują tyle zamieszania. Na pewno jej to przeszkodzi w pracy.

- Dobrze więc. Porozmawiam z nią.

- Naprawdę? - wykrzyknął Roderick z nieukrywaną radością.

- Skoro uważasz, że powinnam to zrobić i że za moją przyczyną ta osoba jest w tarapatkach, to porozmawiam z nią. Pójdę do niej jutro po południu.

Byłam zdumiona, podobnie jak Roderick. Jeśli chodzi o niego, to był wręcz zachwycony. Z

zainteresowaniem obserwowałam, jak lady Constance cieszy się, że syn pochwała jej decyzję. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo go kocha. Roderick i jego ojciec byli jedynymi osobami, które ją w życiu obchodziły. Pomyślałam o brulionie, w którym kolekcjonowała wycinki na temat mojej matki. Wiedziała, że Charlie kocha Desiree i domyślałam się, jak bardzo musiała cierpieć.

Jej niechęć do mnie była całkowicie zrozumiała i Charlie wykazał się brakiem wrażliwości, przywołując mnie tutaj. Była też druga przyczyna, dla której powinnam wyjechać stąd jak najszybciej.

Zrozumiałam, dlaczego lady Constance tak chłodno traktowała Fionę.

W ogóle wiele spraw zaczynałam rozumieć, jeśli chodzi o lady Constance. Zmieniał się też mój stosunek do niej. Potrafiłam jej współczuć, potrafiłam też wybaczyć jej niechęć i urazę, wiedziałam już bowiem, co było ich przyczyną. Ona, która była tak dumna, została dotkliwie upokorzona; ona, która postanowiła być tak silna, by rządzić gospodarstwem i zapewnić wszystko, co najlepsze, swemu mężowi i synowi, okazała się podatna na zranienie.

Następnego dnia Roderick wcześniej wyjechał z domu. Cały ranek padał deszcz i przejaśniło się dopiero po lunchu. Jadłyśmy oddzielnie, w swoich pokojach, z czego byłam zadowolona. Nie chciałam być sama z lady Constance.

Zastanawiałam się, co powie Fionie i jaką uzyska odpowiedź.

Fiona potrafiła być szczerą. Byłam ciekawa, co z tej rozmowy wyniknie, ponieważ jej sytuacja w pewnym sensie przypominała moją.

Miałam zwyczaj odwiedzać Fionę po południu. Dziś bardzo byłam ciekawa wyniku jej spotkania z lady Constance, ale musiałam poczekać ze swoją wizytą.

Widziałam, jak po lunchu lady Constance wyszła z domu.

Wybrała się pieszo, bo od dworu do domku Fiony nie było daleko.

Szła tak energicznie, jakby ruszała do bitwy. Miała ze sobą czarny parasol. Akurat nie padało, ale wyglądało na to, że może lunąć.

Domyślałam się, że spotkanie nie potrwa długo.

Fiona wszystko mi opowie. Godzinę przesiedziałam w oknie, oczekując powrotu lady Constance. Byłam zaskoczona, że tak długo to trwa. Droga do domku mogła jej zająć piętnaście minut i piętnaście minut z powrotem. Minęła już godzina, więc o czym mogły rozmawiać przez resztę tego czasu?

A może przegapiłam moment, kiedy wróciła? To wydawało się mało prawdopodobne. Może poszła jeszcze gdzie indziej. To też było mało prawdopodobne, ale jednak możliwe.

Kiedy minęło następne pół godziny, postanowiłam iść do Fiony.

Lady Constance na pewno już stamtąd wyszła, a gdyby zdarzyło się, że nie, mogłam przecież wymyślić jakiś pretekst i się wycofać.

Ubrałam się do wyjścia, włożyłam wygodne buty i wzięłam ze sobą parasolkę.

Dzień był dość ponury i okolica sprawiała wrażenie opustoszałej.

Wszystko było mokre i w powietrzu czuło się deszcz. Wiatru prawie nie było, a ciemne chmury zawisły nisko na niebie.

Byłam już prawie na miejscu, gdy zaczęło padać. Rozłożyłam parasol i ruszyłam ścieżką prowadzącą do domku.

Wszystko wyglądało teraz inaczej, wszędzie dookoła widać było porozrzucane grudki ziemi. Pomyślałam, że to pewnie na skutek ulewnych deszczów.

Spojrzałam na łaźnie i mozaikową posadzkę. Tutaj nic się nie zmieniło. A potem - niestety za późno - zobaczyłam zięjącą przede mną rozpadlinę. Chciałam się zatrzymać, ale w tym momencie ziemia obsunęła mi się pod nogami. Potknęłam się, wypuściłam parasolkę i zaczęłam spadać... gdzieś w ciemność.

Byłam oszołomiona i dezorientowana, dopiero po paru sekundach pojęłam, co się dzieje. Było to jedno z miejsc, o których mówił Roderick. Ziemia zapadała mi się pod stopami, wpadała mi w oczy. Na moment zacisnęłam mocno powieki. Usiłowałam się czegoś uchwycić, ale wilgotna ziemia wysuwała mi się z rąk.

Upadek nie był gwałtowny, bowiem pod moim ciężarem grunt obsuwał się dość powoli. A potem, nagle, poczułam, że już nie spadam. Otworzyłam oczy. Niewiele było widać, ale nade mną pozostał otwór, przez który wpadłam, i przezeń dostawało się tu trochę światła.

Stałam na czymś twardym. Poczułam pewną ulgę, że spадanie mam już za sobą.

Udało mi się opuścić rękę i dotknąć podłoża, na którym stałam.

Było gładkie i sprawiało wrażenie kamienia. Grudki ziemi wciąż osuwały się z góry i spadały dookoła mnie, na półkę, na której stałam.

Wsluchiwałam się w odgłos, gdy uderzały o podłoże. Był teraz przerywany, a ponieważ otwór nade mną nie został zasypany, poczułam wielką ulgę. Przynajmniej nie zostałam pogrzebana żywcem. Ktoś z pewnością nadejdzie. Tylko kto? Zauważą, że grunt się osunął. Ale jak długo będę musiała tu siedzieć?

Zorientowałam się, że nie zdołam sama się stąd wydostać. Prócz wilgotnej, luźnej ziemi nie było tu czego się chwycić. Wtedy poczułam, że ogarnia mnie przerażenie.

Nagle usłyszałam wołanie:

- Ratunku... ratunku...

- Tak - powiedziałam. - Tak. - Tutaj... tutaj... Rozpoznałam głos lady Constance.

Przydarzyło jej się to samo, co mnie - przeleciało mi przez głowę.

Podobnie jak ja szła odwiedzić Fionę i udała się tą samą ścieżką.

- Lady Constance - wysapałam.

- Noelle. Gdzie.... jesteś tutaj?

- Spadłam...

- To tak, jak ja. Czy możesz się ruszać?

- Ja... ja się boję. Mogłoby...

Nie musiałam dalej tłumaczyć. Lady Constance znajdowała się w tej samej sytuacji, co ja. Na razie byłyśmy bezpieczne... ale skąd miałyśmy wiedzieć, czy jeśli się poruszymy, ziemia nie zacznie się znowu osuwać i nie pogrzebie nas żywcem?

Wzrok przyzwyczaiał mi się już do ciemności. Wydawało mi się, że stoję na czymś w rodzaju kamiennej podłogi. Pokrywała ją rozsypana ziemia. Zobaczyłam jakiś ciemny kształt... który się lekko poruszył. To była lady Constance.

- Czy może pani... powolutku... przesunąć się w tę stronę? -

zapytałam. - Wygląda na to, że znajdujemy się w jakiejś jaskini. Tu przy mnie jest jaśniej, bo tam wyżej pozostał otwór. Boję się poruszyć, ziemia jest całkiem luźna, ale wydaje mi się, że nad sobą mamy jakieś sklepienie.

Powoli zaczęła pełznąć w moją stronę. Usłyszałam odgłos spadającej ziemi. Wstrzymałam oddech. Byłam panicznie przerażona, że ziemia się osunie i nas zasypie.

- Proszę zaczekać... proszę zaczekać - powiedziałam. Zatrzymała się posłusznie, po czym zapadła cisza.

- Proszę spróbować znowu - poleciłam jej. Była już blisko, widziałam ją już wyraźniej. Wyciągnęła dłoń i dotknęła mojej ręki.

Uchwyciłam jej dłoń.

Obie poczułyśmy ulgę i chyba obu nam zrobiło się różniej.

- Co... co możemy teraz zrobić? - wyszeptała.

- Może ktoś nadejdzie i nas wyratuje - powiedziałam. Milczała.

- Czy wszystko z panią w porządku? - zapytałam.

- Boli mnie stopa. Cieszę się, że jesteś ze mną. Nie powinnam się z tego cieszyć, ale... przynajmniej jest nas dwie.

- Rozumiem - odparłam. - Mnie też jest raźniej, że pani tu jest.

Przez chwilę nic nie mówiłyśmy, po czym ona odezwała się:

- Może zbliża się nasz koniec.

- Nie wiem.

- Co to będzie?

- Kiedy Roderick wróci, zorientują się, że nas nie ma. Będą nas szukać. Musimy czekać spokojnie i nie wolno nic tu poruszyć. Kiedy zobaczą, że nas nie ma, przyjdą tu i nas uratują.

- Próbujesz mnie pocieszyć.

- Siebie też.

Roześmiała się, a ja razem z nią. Śmiech ten był niewesoły, ale w naszym położeniu był jakąś formą obrony przed losem.

- To dziwne - zauważyła lady Constance - że właśnie ty i ja jesteśmy tu razem.

- Bardzo dziwne.

- Lepiej, jak się rozmawia, prawda? Ja już czuję się lepiej.

Myślałam, że umrę tu w samotności; byłam strasznie przerażona.

- Zawsze dobrze jest się z kimś podzielić... nawet czymś takim.

- To pomaga. Naprawdę myślisz, że jakoś z tego wybrniemy?

- Nie mam pojęcia, ale mam nadzieję, że ktoś tu przyjdzie.

- Może się zdarzyć, że też tu wpadnie.

- Może zauważą, co się stało. Sprowadzą pomoc.

- Będziemy krzyczeć?

- A czy usłyszą?

- Jeśli my usłyszymy ich, to i oni mogą usłyszeć nas. Tam jest otwór. Widać światło dzienne.

- No to pozostaje nam jakaś nadzieja.

- Rozsądna z ciebie dziewczyna - powiedziała lady Constance. -

Obawiam się, że nie byłam dla ciebie zbyt miła.

- Ach... nic nie szkodzi. Ja to rozumiem.

- To znaczy, jeśli chodzi o Charliego i twoją matkę? - Tak.

Przez chwilę obie milczałyśmy. Wciąż trzymała mnie za rękę, chyba bała się, że stanie się coś, co nas rozdzieli. Na mnie też dobrze działała jej bliskość.

- Porozmawiajmy - zaproponowała. - To dużo lepiej, jak się rozmawia. Wiem, co stało się z tym popiersiem.

- Z popiersiem?

- Z tym na schodach. Wiem, że to Gertie je stłukła, a ty wzięłaś winę na siebie.

- Skąd pani to wie?

- Obserwowałam was z górnego podestu i wszystko widziałam.

Dlaczego to zrobiłaś?

- Gertie była przerażona, że straci pracę. Ona wysyła pieniądze do domu, żeby pomóc rodzinie. Bała się, że wyrzuci ją pani ze służby bez referencji. Więc wydawało mi się, że to jest najprostsze rozwiązanie.

- Rozumiem. To ładnie z twojej strony.

- To nic wielkiego. I tak miałam niedługo wyjechać. Sądziłam, że lepiej będzie, gdy pani pomyśli, że to moja wina.

- Skąd wiedziałaś to wszystko o Gertie?

- Rozmawiamy czasem. Opowiada mi o swojej rodzinie.

- Rozmawiasz tak... ze służbą?

- Widzę, że panią to zdumiewa. Ja byłam wychowana inaczej, w duchu wzajemnej ludzkiej życzliwości, dla której różnice klasowe nie mają specjalnego znaczenia. U nas w domu wszyscy byli po prostu ludźmi, a nie służącymi i pracodawcami.

- Taka była Desiree, prawda?

- Tak, taka właśnie była. Zycziwa dla każdego.

- I ty to po niej odziedziczyłaś.

- Nie. Niestety, Desiree była jedyna w swoim rodzaju. Znowu zapadła cisza. Pomyślałam, że szkoda, że w takiej sytuacji poruszyliśmy temat mojej matki.

Ale lady Constance nadal trzymała mnie za rękę.

Źle było, kiedy milczaliśmy, wtedy bowiem na nowo z przerażeniem uświadamiałyśmy sobie swą rozpaczliwą sytuację.

- Nie miałam pojęcia, że pani wiedziała o tym popiersiu.

- Obserwowałam.

- Mnie?

- Tak, ciebie.

- Wiedziałałam o tym.

- Naprawdę? Nie pokazywałaś tego po sobie. Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że wpadłaś tu razem ze mną. Jestem bardzo samolubna.

- Nie... nie. Ja to rozumiem. Też się cieszę, że pani tu jest.

Roześmiała się i przysunęła się do mnie bliżej.

- To dziwne, prawda? Cały czas musimy rozmawiać. Kiedy rozmawiamy, strach jakby się cofał... mimo że cały czas przy nas jest.

Chyba już tu umrzemy.

- Myślę, że jest duża szansa, że nas uratują.

- Mówisz to, żeby mnie pocieszyć.

- Już pani mówiłam, że przy okazji pocieszam też samą siebie.

- Boisz się śmierci?

- Nigdy dotąd o tym nie myślałam. To tak, jakby człowiek rodził

się z przekonaniem, że będzie żył wiecznie. Nie możemy sobie wyobrazić świata, w którym już nas nie ma.

- To się nazywa egoizm, prawda?

- Pewnie tak.
- Więc nigdy się nie bałaś, aż do teraz?
- Tak, ale teraz się boję. Wiem, że w każdej chwili ziemia może się obsunąć i nas pogrzebać.
- Zostaniemy pogrzebane razem. Czy to cię pociesza? - Tak.
- Mnie też to pociesza. To dziwne, że teraz czerpię otuchę z twojej obecności, podczas gdy tak mnie drażnił twój przyjazd do Levenson.
- Przepraszam. Nie powinnam była tu przyjeżdżać.
- Teraz jestem zadowolona, że przyjechałaś. Wybuchnęłam śmiechem.
- Bo gdybym nie przyjechała, to nie byłabym tu teraz razem z panią.
- Tak... właśnie o to chodzi. - Ona też się roześmiała. - Nie, chodzi jeszcze o coś więcej. Znalazłyśmy się w szczególnym położeniu i dopiero tu, pod ziemią, mamy okazję bliżej się poznać. To pewnie nie byłoby możliwe w zwykłej atmosferze bezpieczeństwa.
- To dlatego, że stoimy wobec możliwości śmierci. To zbliża ludzi do siebie.
- Rozmawiajmy dalej - powiedziała lady Constance.
- Jednocześnie nad słuchuję - odparłam. - Jeśli tylko usłyszymy z góry jakieś głosy, musimy zacząć krzyczeć... żeby dać znać, że tu jesteśmy.
- Dobrze. A czy zdołamy coś tu usłyszeć?
- Nie wiem, ale myślę, że tak.
- Ale rozmawiajmy dalej... cichutko. Nie mogę znieść tej ciszy.
- Czy jest pani wygodnie?
- Dokucza mi ból w stopie.
- Pewnie coś sobie pani nadwreżyła.
- Tak przypuszczam, ale cóż to znaczy, kiedy jest się w obliczu śmierci.
- Proszę tak nie myśleć.
-

Postaram się. Znalazłaś mój zeszyt z wycinkami.

Przeglądałyście go razem z Gertie.

- Przepraszam. Zawołała mnie tam do środka, a kiedy to zobaczyłam... nie mogłam się już powstrzymać.

- No i co sobie pomyślałaś?

- Że to bardzo smutne.

- Dlaczego?

- Bo rozumiałam, co musiała pani czuć przez te wszystkie lata.

- Wiedziałam o wszystkich przedstawieniach, w których grała... i co o niej pisali. Rozumiałam to. Oszalał na jej punkcie.

- Inni ludzie też.

- Musiała być cudowną osobą.

- Dla mnie była najcudowniejszą osobą na świecie.

- Była też dobrą matką, prawda?

- Najlepszą, jaka może być.

- To wydaje się nie do wiary. Taka kobieta! Co ona mogła wiedzieć o wychowywaniu dzieci?

- Umiała kochać.

Znów zapadło milczenie. Domyśliłam się, że cicho płacze.

- Opowiedz mi o niej coś więcej.

Opowiedziałam jej więc. O tym, jak Dolly przychodził do nas ze swoimi pomysłami, jak się kłócili i nawzajem obrażali. O rozmaitych scenach, nagłych zmianach i przedpremierowej gorączce. Kiedy tak siedziałam w ciemnej jamie z lady Constance i opowiadałam jej o mojej matce, wydawało mi się, że to sen. Pomagało mi to jednak, podobnie jak jej, i obie nas przepełniało uczucie wdzięczności dla tej drugiej, za to tylko, że tu jest.

Pomyślałam, że jeśli uda nam się stąd wydostać, zostaniemy przyjaciółkami. Teraz już nie możemy powrócić do naszych dawnych stosunków; zanadto odsłoniłyśmy się przed sobą nawzajem.

Zdumiewające, że w tej koszmarnej sytuacji, w poczuciu, że nie uda nam się ujść z życiem, lady Constance i ja naprawdę zaprzyjaźniłyśmy się ze sobą.

Zerknęłam

na

zegarek;

minęły

już

dwie

godziny.

Nasłuchiwałyśmy jakichś odgłosów z góry, ale panowała cisza. Bałam się nadejścia nocy, bo to by oznaczało, że z nadzieją na ratunek musimy się pożegnać do rana.

Roderick wróci do domu. Na pewno szybko zauważy, że nas nie ma, ani jego matki, ani mnie. Gdzie będzie nas szukał? Czy może akurat trafi tutaj?

- Jak długo już tu jesteśmy? - zapytała lady Constance.

- Minęły już ponad dwie godziny, odkąd się spotkałyśmy.

- A ja byłam tu już wcześniej, wydawało mi się, że bardzo długo.

Wtedy było najgorzej.

- To musiało trwać dłużej niż godzinę. Widziałam, jak pani wychodziła z domu, i wiedziałam, dokąd pani idzie. Musiała pani wpaść tu wkrótce po wyjściu z domu.

- Sama, w tych ciemnościach. To było okropne.

- Dobrze się stało, że wylądowałyśmy na tym kamieniu. Nie wiem, co to jest. Wygląda na jakąś półkę i jest bardzo mocne... a ponad tym jest pusta przestrzeń. Myślę, że to nas ocaliło. Ciekawe, co to może być.

- To lepsze niż siedzieć na miękkiej ziemi, czułybyśmy się o wiele mniej bezpiecznie.

- Właśnie o to chodzi. Miałyśmy szczęście, że spadłyśmy na tę półkę.

- Miejmy nadzieję, że to szczęście nas nie opuści.

Lady Constance musiała cały czas rozmawiać, milczenie było dla niej nie do wytrzymania. Opowiedziała mi o swym dzieciństwie i młodości w szlacheckim rodzinnym gnieździe, gdzie jednak wciąż brakowało pieniędzy. Charlie był niewątpliwie bardzo bogaty. Nie dorównywał jej pozycji towarzyskiej, lecz jej rodzina jakoś się z tym pogodziła. Mógł służyć im pomocą, ustalono więc warunki małżeństwa.

- Ale ja kochałam Charliego - ciągnęła lady Constance. - Był

najmilszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałam. Tak bardzo różnił się od innych. Poślubiłam Charliego, ponieważ tego życzyła sobie moja rodzina, ale przy okazji się w nim zakochałam. I bardziej niż czegokolwiek pragnęłam, żeby i on mnie pokochał. Tak się też stało... do pewnego stopnia. No a później, oczywiście, pojawiła się Desiree.

- Jestem pewna, że martwiłaby się, gdyby wiedziała, że przysporzyła pani cierpienia. Nigdy nie chciała nikogo skrzywdzić.

Życie traktowała bardzo lekko. Miała przyjaciół mężczyzn i to ją cieszyło. Czy pani to rozumie?

- Z trudem. Charlie był moim mężem... a ona nie miała męża.

- Mój ojciec zmarł dawno temu. Nigdy go nie znałam.

- Rozumiem. A potem uznała, że ma prawo przywłaszczać sobie cudzych mężów.

- Nigdy tak o tym nie myślała. I nikogo sobie tak naprawdę nie przywłaszczyła. Oni sami do niej przychodzili. Wszyscy byli ze sobą zaprzyjaźnieni. Zgodnie z jej filozofią, życie było po to, aby się nim cieszyć. Chciała więc się cieszyć i pragnęła też dzielić tę radość ze wszystkimi, którzy ją otaczali.

- Mniejsza o to, że przy okazji łamała komuś serce.

- Ona o tym nie wiedziała. Gdyby wiedziała, odprawiłaby Charliego do pani i kazałaby mu być dobrym mężem.

- Tak się w życiu nie zdarza. A ona na pewno była bardzo piękna.

- Była, ale miała coś więcej niż urodę. Czy nie sprawia pani przykrości... że o niej rozmawiamy?

- Chcę wiedzieć. Teraz zaczynam ją widzieć prawdziwiej niż przedtem. Przyzwyczaiałam się uważać ją za złe bóstwo.

- Bóstwo, ale na pewno nie złe. Nigdy świadomie nie sprawiłaby nikomu bólu. Czasem wydaje mi się, że wierzyła, iż każdy patrzy na życie tak jak ona. Niech pani słucha...

Zamilkłyśmy i nadstawiliśmy uszu.

- Wydawało mi się, że słyszałam jakiś głos - powiedziałam i umilkłam, nadal nasłuchując.

- O... znowu.

- Tutaj... tutaj!

- Krzyczmy - zawołałam. - Tutaj! tutaj! Na dole.

Lady Constance krzyczała razem ze mną. Potem przestałyśmy i zapartym tchem czekałyśmy, czy ktoś nam odpowie.

- Ktoś tam jest - szepnęłam. - Na pewno nas szukają. Objęłyśmy się nawzajem z ulgą. Chyba obydwie byłyśmy bliskie łez.

Siedziałyśmy przytulone do siebie i nasłuchiwałyśmy w napięciu.

Znowu cisza. Poczuliśmy się rozczarowane.

- Zawołajmy jeszcze raz - powiedziałam i krzyknęłam: -

Jesteśmy tutaj! Tutaj na dole!

I wtedy usłyszałam głos. To był głos Rodericka.

- Słyszycie mnie? Słyszycie mnie?

- Tak, tak.

- Nie ruszajcie się. Czekaście. Już idziemy. Na górze ktoś był.

- Noelle... Mamo...

- Jesteśmy tutaj - zawołałam. - Jesteśmy tutaj... razem.

- Dzięki Bogu. Nie ruszajcie się, pod żadnym pozorem. To może być niebezpieczne.

Przez pewien czas, zdawałoby się bardzo długi, nic się nie działo, ale mogło to być nie więcej niż pięć minut. Potem Roderick pojawił

się znowu. Musiał przyprowadzić ze sobą innych, bo słychać było wiele głosów.

- Opuszczamy liny! - krzyknął do nas. - Obwiążcie się nimi w pasie! Wyciągniemy was na górę!

Utkwiłyśmy wzrok w otworze i zobaczyłyśmy opuszczające się liny. Złapałam je. Najpierw pomogłam lady Constance zawiązać ją wokół talii, potem zajęłam się sobą.

- Jesteście gotowe? - zawołał Roderick.

- Pani pierwsza - powiedziałam do lady Constance.

- Pewnie przy wyciąganiu posypie się ziemia.

- Jestem przywiązana do liny, nic mi się nie stanie.

- Noelle, Noelle - to był głos Rodericka.

- Jestem - odpowiedziałam.

- Zaczynamy. Chcemy wyciągnąć was jednocześnie. Obejmijcie się i sprawdźcie, czy liny są mocno związane. Gotowe? Już...

Objęliśmy się i zaczęli nas wciągać. Powoli przemieszczałyśmy się w górę, a ziemia usuwała się i osypywała. Słyszałam, jak kamienie spadają na skalną półkę, którą dopiero co opuściłyśmy. Byłyśmy coraz bliżej powierzchni... aż wreszcie poczułyśmy powiew wiatru i stanęłyśmy na twardym gruncie. Powietrze było niemal odurzające, ale co najcudowniejsze, był tu Roderick. Obie naraz ogarnął nas w uścisku.

- Ale napędziłyście nam stracha - powiedział głosem drżącym z przejęcia.

Pośpiesznie odwiązali nam liny. Lady Constance nie mogła utrzymać się na nogach, więc przeniesiono ją do powozu, który już na nas czekał. Z ubrania sypała mi się ziemia, zachwiałam się i pewnie bym upadła, gdyby Roderick mnie nie podtrzymał. Objął mnie mocno.

- To cudownie... cudownie... że już jesteście bezpieczne -

wyszeptał. - Ach, Noelle... kiedy nie zastałem was w domu...

- Czułam, że nas znajdziesz. Cały czas to czułam. Tylko dzięki temu nie poddałam się rozpacz.

Przez moment nie wypuszczał mnie z objęć i byłam przez tę chwilę tak szczęśliwa jak jeszcze nigdy od czasu, gdy umarła moja matka.

- Kocham cię, Noelle - powiedział. - Już nigdy mnie nie opuścisz.

- Chcę być zawsze z tobą.

Przez chwilę staliśmy blisko siebie. Roderick rzekł:

- Porozmawiamy o tym. Teraz trzeba was przede wszystkim zawieźć do domu i sprawdzić, czy nic wam się nie stało. Najdroższa Noelle, dziękuję Bogu, że was znalazłem.

Wsiadłam do powozu. Lady Constance na wpół leżała z przymkniętymi oczami. Prawie nie można jej było poznać; twarz i ubranie miała brudne, a włosy, zwykle nienagannie uczesane, teraz opadały jej bezładnie. Nagle dotarło do mnie, jak sama musiałam wyglądać w chwili, gdy Roderick mówił mi, że mnie kocha.

Lady Constance otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie. To ciepło i przyjaźń, jakie odczułam z jej strony, gdy byłyśmy w niebezpieczeństwie, trwały nadal.

To doświadczenie było zupełnie niezwykle. Przeżyłam katastrofę, lecz stała się ona dla mnie źródłem szczęścia.

Miałam wrażenie, że śnię i że w każdej chwili ten sen może prysnąć.

Dość mgliście przypominam sobie, co działo się dalej tego wieczoru. Szok, jaki przeżyłam, okazał się większy, niż mi się początkowo wydawało. Zaprowadzono mnie do mojego pokoju, a ja pragnęłam tylko zrzucić z siebie ubranie i wziąć kąpiel. Pozwolono mi to zrobić, zanim przyjedzie doktor.

Zdziwiłam się, widząc, ile ziemi wysypało się jeszcze ze mnie i z mojego ubrania. Miałam ją w kieszeniach płaszcza, w butach...

wszędzie.

Zanurzyłam się w ciepłej wodzie, a moje brudne rzeczy zabrano do prania.

Kiedy przyjechał doktor, leżałam już w łóżku. Orzekł on, że nic sobie nie złamałam, nabawiłam się tylko kilku sińców; a ponieważ przeżyłam poważny wstrząs, powinnam zjeść coś gorącego, potem zaś zażyć środek uspokajający, który mi zostawi. Następnego ranka, jeśli będę czuła się na siłach, mogę wstać z łóżka.

Z zadowoleniem podporządkowałam się zaleceniom doktora. Nie chciałam myśleć o przeżyciu, które miałam za sobą, bo od razu przypominały mi się te przerażające chwile, kiedy tam wpadłam i wydawało mi się, że za chwilę zostanę pogrzebana żywcem. Chciałam być sama, żeby móc rozmyślać o Rodericku i o tym, jak mnie obejmował. Wyraźnie okazywał wtedy, że jest szczęśliwy, iż udało mu się mnie odzyskać. Pragnęłam też od nowa przeżywać w myślach ten moment, kiedy powiedział mi, że mnie kocha. Wspominałam też rozmowę z lady Constance w tych niezwykłych chwilach zwierzeń.

Jak na jedną noc, to było zupełnie dość.

Jeśli chodzi o lady Constance, to doznała ona zwichnięcia nogi w kostce i poważnego szoku; do następnej wizyty doktora miała więc pozostać w łóżku.

Spałam mocno i następnego dnia obudziłam się dużo silniejsza.

Bardzo chciałam zobaczyć Rodericka i lady Constance.

Wyciągnęłam się na łóżku, delektując się tym, że mam czystą pościel i miękkie poduszki.

Rozejrzałam się po pokoju i wyrzałam przez okno. Wszystko wydawało mi się teraz piękne i wyjątkowe, ponieważ wiedziałam, że mało brakowało, abym już nigdy tego nie zobaczyła.

Ależ miałyśmy szczęście, że znaleziono nas tak szybko - bo było to stosunkowo szybko. Mogło się zdarzyć, że jeszcze byśmy tam były.

Aż wzdrygnęłam się na tę myśl.

Zastanawiałam się, czy wstać z łóżka i jak to będzie, kiedy znów zobaczę Rodericka. Po jego wczorajszym wyznaniu dużo się między nami zmieniło. Już wcześniej zdawało mi się, że raz czy dwa miał

zamiar powiedzieć mi, że mnie kocha; a jednak tego nie zrobił, co wzbudziło we mnie pewne wątpliwości. Wczoraj oboje byliśmy pełni emocji i słowa same mu się wymknęły.

Cieszyłam się. Byłam radosna i pełna nadziei na przyszłość, która przedtem jawiła mi się w aurze złych przeczuć. Żeby usłyszeć te słowa, warto było zostać niemal żywcem pogrzebaną.

Drzwi mojego pokoju otworzyły się powoli i weszła Gertie.

Wyglądała na podnieconą i pełną oczekiwania.

- Zajrzałam tylko, żeby sprawdzić, czy panienka się obudziła. I czy czegoś panience nie trzeba. Pomyślałam, że lepiej nie pukać, żeby panienki nie obudzić, gdyby panienka jeszcze spała.

- Dziękuję Gertie. Już się obudziłam.

Podeszła do łóżka, a oczy miała tak szeroko otwarte i patrzyła na mnie tak, jakbym była zupełnie inną osobą niż przedtem.

- Jestem taka szczęśliwa, że panienkę wyratowali.

- Dziękuję, Gertie.

- Właściwie, trochę w tym pomogłam. To było okropne i jeśli pomyśleć, że bym nie mogła... No, panienko, nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że to właśnie ja... Po tym wszystkim, co panienka dla mnie zrobiła, ja też zdołałam się panience przysłużyć.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Gertie?

- No więc to ona, no tak... Kitty. Przyszła... do mnie. Była bardzo zmartwiona. Ona wiedziała, rozumie panienka. Została u nas i już tam nie wróci. Pan Roderick powiedział, że dostanie tu pokój. Tak sobie myślę, że pewnie dadzą jej tu i pracę. A jaśnie pani też już nic nie powie, bo wie, że Kitty i ją ocaliła.

- Zupełnie nie wiem, o co tu chodzi, Gertie.

- No, bo to ona tu przyszła. Była w strasznym stanie. Nie wiedziała, co robić, więc przybiegła do mnie. Opowiadałam panience, żeśmy się polubiły, po tym, jak pomogłam jej z tą torbą i że patrzyła we mnie jak w obrazek. Więc gdy była przerażona, to przybiegła do mnie. Powiedziała mi, że stara pani Carling zdjęła ogłoszenie.

- Jakie ogłoszenie?

- Ostrzegające, żeby nie chodzić tą ścieżką.

- Coś tam wisiało?

- Jak panienka poszła, to już nie było, bo ona to zdjęła. Niezły figiel, nie ma co. Kitty uważa, że

chodziło jej o to, żeby właśnie panienka tam wpadła. Pani Carling wiedziała, że panienka prawie każdego popołudnia odwiedza pannę Vance, przypuszczała więc, że tak będzie i tego dnia. No i stało się tak, jak sobie zaplanowała.

- Gertie, nie mogę w to uwierzyć. Żeby pani Carling zdjęła ostrzeżenie, mając nadzieję, że ja wpadnę w pułapkę!

Gertie z mądrą miną kiwnęła głową.

- W ostatnich tygodniach zupełnie postradała rozum. Straszne z nią były kłopoty. Podłożyła w domku ogień, bo chciała, żeby panna Vance pracowała we dworze.

- Podłożyła ogień w domku!

Gertie wyglądała na dobrze poinformowaną.

- Upatrzyła sobie pana Rodericka dla panny Fiony. Cały czas mruczała coś na ten temat sama do siebie. Kitty słyszała. Chciała więc, żeby jej wnuczka przeniosła się do dworu, a panienka żeby jej nie zawadzała. Myślę, że tak to z grubsza wygląda.

- To nie może być prawda.

- No to po co zdejmowałyby ostrzeżenie? Kitty widziała ją, jak wychodziła z domu tej nocy, gdy wybuchł pożar, i miała ze sobą naftę. A z tym ogłoszeniem to Kitty sama była świadkiem, bo za nią poszła. Widziała też, że panienka tam idzie. Lady Constance nie zauważyła, ale panienkę tak. Nie wiedziała, co ma robić, i w końcu przyszła do mnie. Zupełnie osłupiałam ze zdumienia. Szybko powiedziałam o tym, komu trzeba. Od razu sprowadzili pana Rodericka, a on zwołał mężczyzn z linami. No i was wyciągnęli. Ale Kitty bała się już wrócić do domu po tym wszystkim i dlatego jest tutaj. Została w moim pokoju. Ciągle jej muszę powtarzać, że wszystko jest w porządku i że bardzo dobrze postąpiła, donosząc na starszą panią. Mówię jej też, żeby się nie martwiła, bo wcale nie musi tam wracać. Ja się nią zajmę.

- Ach, Gertie...

Podbiegła do mnie i zarzuciła mi ramiona na szyję. Uściskałyśmy się serdecznie.

- Tak się cieszę, że panienka jest już bezpieczna, że się zapominam. Jest panienka cała i zdrowa, a ja trochę się do tego przyczyniłam. No, a teraz, czy mogę przynieść panience coś do jedzenia? Może kawę... i grzanek?

- Tak, tylko to, Gertie, i trochę gorącej wody. Marzę o tym, żeby już wstać.

- Już biegnę.

Leżałam w łóżku, zdumiona tym, co usłyszałam, i zastanawiałam się, czy to była prawda.

Umyłam się i ubrałam w pośpiechu i zjadłam skromne śniadanie.

Muszę przyznać, że nieco mąciło mi się w głowie, ale był to raczej skutek zbyt wielu wydarzeń, które miały miejsce w tak krótkim czasie, niż jakiejś fizycznej dolegliwości.

Wspomnienia kłębiły mi się w głowie: te sekundy pełne przerażenia, kiedy zaczęłam się zapadać, rozmowa z lady Constance, wyczekiwany ratunek, to co opowiedziała Gertie - ale wszystko przesłaniało wspomnienie chwili, kiedy Roderick wyznał, że mnie kocha.

Bardziej niż czegokolwiek chciałam teraz zobaczyć Rodericka.

Kiedy byłam już gotowa, by zejść na dół, podeszłam do okna i od razu go ujrzałam. Siedział w ogrodzie na wyplatanej krześle i patrzył

w moje okno. Od razu mnie spostrzegł.

- Już schodzę - wykrzyknęłam.

Wybiegłam z pokoju i popędziłam po schodach. Szedł już w moją stronę i chwycił mnie za rękę.

- Noelle, jak się czujesz? Cudownie, że cię widzę! Siedzę tu i czekam, odkąd Gertie powiedziała mi, że masz zamiar wstać.

- Tak bardzo chciałam z tobą porozmawiać.

- Ja też. Dobrze ci się spało?

- Spałam jak kamień po tym lekarstwie, które doktor kazał mi zażyć, a obudziło mnie słońce wpadające do pokoju.

- Ja miałem koszmarne sny, śniło mi się, że nie mogliśmy was wyciągnąć.

- No to zapomnij o nich, jestem tutaj z tobą.

- I zawsze będziesz, Noelle. Usiądźmy i porozmawiajmy.

Kocham cię, Noelle. Już od dawna chciałem ci to powiedzieć, ale myślałem, że może jeszcze nie czas... dopiero niedawno zmarła twoja matka i wiedziałem, że wciąż jeszcze nosisz w sobie żalobę. Bałem się, że nie możesz jeszcze myśleć o niczym innym. Powtarzałem sobie, że muszę jeszcze poczekać, dopóki trochę nie dojdiesz do siebie. Ale wczoraj to jakoś samo wyszło, nie mogłem już się powstrzymać.

- Cieszę się.

- Czy to znaczy, że też mnie kochasz?

Kiwnęłam głową, a on objął mnie i mocno przytulił.

- Nie zależy nam na długim narzeczeństwie, prawda? Mój ojciec będzie zadowolony. Uzna to za

dobry sposób, żeby cię tutaj zatrzymać.

- Nagle stałam się taka szczęśliwa. Nie myślałam, że jeszcze kiedyś mnie to spotka. Wszystko zdawało mi się takie ponure. W

Londynie czułam się strasznie; otaczały mnie same wspomnienia o matce... a ty byłeś daleko. I nagle przyjechałeś, a to, co dotąd trudno mi było znieść, od razu stało się łatwiejsze. Zastanawiałam się, co powinnam zrobić... a teraz mam nadzieję, że będziemy szczęśliwi razem.

- Na pewno będziemy.

- A co z twoją matką? Dowiadywałaś się, jak się dzisiaj czuje?

- Jeszcze śpi. Doznała silnego wstrząsu. Potrzebuje długiego odpoczynku.

- Ona inaczej widzi twoją przyszłość. Roześmiał się.

- Ach, małżeństwo - rzekł. - Cóż, pogodzi się z tym, kiedy zrozumie, że nic tu nie zmieni. Nie myśl o przeszkodach. Żadnych przeszkód nie będzie - a gdyby się pojawiły, szybko zdołamy je przezwyciężyć.

- Przez cały czas o tym myślę.

Delikatnie pocałował mnie we włosy. Jak to możliwe, by tak nagle stać się szczęśliwym? - pytałam samą siebie. Jeszcze wczoraj było inaczej. Dziś jestem już w innym świecie... a wszystko przez to, że o mało nie straciłam życia. Ptaki śpiewają weselej; trawa połyskuje drobnymi kropelkami rannej rosy; kwiaty skrzą się jaskrawszymi kolorami, ożywione niedawnym deszczem; cały świat nagle wypiękniał, tylko dlatego, że jestem szczęśliwa.

Przez chwilę milczeliśmy. Wydawało mi się, że i on, podobnie jak ja, napawa się pięknem otaczającej nas przyrody. Oboje myśleliśmy przy tym o naszej wspólnej przyszłości.

- Dziś rano Gertie opowiedziała mi dziwną historię -

powiedziałam.

- Wiem - odparł Roderick. - O pokojówce Kitty i o pani Carling.

- Więc to prawda?

- O tym, że zdjęła znak z ostrzeżeniem? Chyba tak. Tom Merritt ustawił go tego ranka i jeszcze cztery czy pięć podobnych w miejscach, które uważał za niebezpieczne. Było tam ostrzeżenie, żeby nie chodzić tamtędy.

- Gertie mówiła, że Kitty widziała, jak pani Carling je zdejmuje, ale nie wiedziała, co ma w tej sytuacji zrobić.

- Tak właśnie było. Bez wątpienia znak został zdjęty. Kitty widziała, że to ona zrobiła. Ludzie obserwują i wiedzą, co się dzieje, dlatego i pani Carling, i Kitty wiedziały, że często po południu odwiedzasz Fionę. Kitty zaczęła więc i zauważyła, jak wpadasz do dołu. Nie miała pojęcia, co robić, ale w końcu przybiegła do Gertie.

Bogu dzięki, że wszystko powiedziała. I tak byśmy was znaleźli, ale dzięki niej stało się to znacznie wcześniej.

- Myślisz, że pani Carling naprawdę zabrała ten znak?

- Zrozum, ona jest obłąkana. Już od pewnego czasu przypuszczaliśmy, że tak jest. Fionę bardzo martwiło jej dziwne zachowanie, miała z nią okropne problemy, zresztą to się pogarszało.

Zawsze była dziwaczką, ale teraz to już nie przelewki. Wyobraź sobie, że złapano ją, jak ponownie usiłowała podpalić domek. Jest teraz w szpitalu dla psychicznie chorych. Chwała Bogu, że jej pokojówka miała dość rozumu, żeby przyjść i powiedzieć o wszystkim Gertie.

Dzięki temu mogliśmy bezzwłocznie przybiec wam na ratunek. Wciąż prześladowuje mnie myśl o tym, co mogło się zdarzyć. Tak łatwo mogliście...

- To szczęście, że zatrzymałyśmy się na czymś w rodzaju kamiennej półki - powiedziałam.

- Półki?

- Wydawało mi się, że to coś w rodzaju kamienia. Gdyby nie to, wpadłybyśmy dużo głębiej, ziemia była taka nasiąknięta wodą. Cieszę się, że byłam razem z twoją matką. Chciałabym ją zobaczyć, kiedy tylko już będzie wolno do niej wejść. Myślisz, że to będzie możliwe?

- Ależ oczywiście. Pójdziemy razem i powiemy jej...

- Oj, nie. Nie można tak od razu narażać jej na następny wstrząs.

Rodericku, czy mógłbyś pozostawić tę sprawę mnie... przynajmniej na razie? Może lepiej byłoby, gdybym ja jej to wytłumaczyła.

- Nie sądzisz, że to powinno wyjść ode mnie?

- Tak by się wydawało... ale od wczoraj, kiedy przez tyle czasu byliśmy razem, tam pod ziemią, i nie wiedziałyśmy, czy jeszcze kiedyś ujrzymy światło dzienne, jest inaczej. Takie przeżycia zmieniają ludzi i myślę, że coś takiego stało się z twoją matką...

- Obyś miała rację.

- Może się mylę. Tu, w domu, wszystko wygląda całkiem inaczej niż w wilgotnej, ciemnej jamie, która w każdej chwili może ci się zawalić na głowę.

- Zobacysz, że będzie dobrze. Kiedy matka zobaczy, jak ojciec się z tego ucieszy...

Nie byłam pewna, nie mogłam jednak dopuścić, by cokolwiek przyćmiło teraz moją radość. Chciałam cieszyć się każdą chwilą. Nic nie mogło mi stanąć na drodze do szczęścia.

Nieco później tego ranka przyjechał doktor. Przyszedł do mego pokoju, zbadał mnie i powiedział, że uważa, iż doszłam już do siebie po przeżytym wstrząsie. Sińce niedługo znikną, a chwała Bogu, nie sobie przy upadku nie złamałam. Miałyśmy szczęście, że odnaleziono nas względnie szybko. Poradził mi, abym się nie przemęczała i nie bagatelizowała tego, co mi się zdarzyło. Poza tym miałam zachowywać się normalnie.

Trochę dłużej zabawił u lady Constance. Ona także miała sporo szczęścia i wyszła z tej przygody bez większego szwanku. Ze względu na zwichniętą kostkę musiała, oczywiście, wypoczywać i jeszcze przez pewien czas pozostawać w swoim pokoju. Doktor miał jednak nadzieję, że już wkrótce będzie czuła się stosunkowo dobrze.

Kiedy zapytałam, czy wolno mi będzie ją odwiedzić, odparł, że nic nie stoi na przeszkodzie. Mała pogawędka dobrze jej robi. Nie należy utwierdzać jej w poczuciu, że cierpi na jakąś poważną dolegliwość. Miałam tylko pamiętać, że przeżyła poważny wstrząs, którego skutki wcale nie musiały objawić się natychmiast.

Poszłam więc odwiedzić lady Constance.

Siedziała w łóżku, wsparta na poduszkach, i wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, gdy ją ostatnio widziałam. Włosy miała starannie zaczesane i zwinięte w walek upięty na czubku głowy, ubrana była w bladoniebieski peniuar. Kiedy weszłam do pokoju, miałam poczucie, że moja wczorajsza towarzyszka niedoli pozostała gdzieś daleko, a tu z powrotem zetknęłam się ze znaną mi, groźną i wyniosłą panią domu, przed którą Gertie drżała ze strachu - a trzeba przyznać, że i ja także.

Podeszłam do łóżka. Widziałam, że usiłuje z powrotem wznieść między nami barierę i odzyskać swą pełną pychy wyniosłość, która chroniła ją jak tarcza.

- Jak się miewasz, Noelle? - zapytała chłodno.

- Ja dość dobrze, dziękuję. A pani, lady Constance?

- Chyba jeszcze nie całkiem otrząsnęłam się z szoku, odczuwam też ból w kostce. Poza tym, prócz ogólnego zmęczenia, nic mi chyba nie dolega.

Na moment spotkałyśmy się wzrokiem. Domyśliłam się, że pamięta i żałuje teraz swych wczorajszych zwierzeń. Czy przychodziło jej do głowy, żeby wyprzeć się ich i zapomnieć? Nie, to chyba niemożliwe. Czy można było umniejszyć ich znaczenie i uznać za historyczny bełkot kogoś, kto znalazł się twarzą w twarz ze śmiercią? Lady Constance była kobietą dumną i skoro udało jej się powrócić do swej bezpiecznej codzienności, mogła od nowa zacząć rozpamiętywać poniżenie i zniewagę, jakich doznała w związku z szaloną miłością swego męża do innej kobiety.

- Ależ okropne przeżycie - zaczęła i umilkła na chwilę, zanim skończyła: - mamy za sobą.

- Całe szczęście, kiedy w takiej sytuacji jest się razem -

powiedziałam.

- Tak, to rzeczywiście szczęście.

Spostrzegłam, że łzy spływają jej po policzkach i wiedziałam już, że walka była prawie wygrana. Śmiało podeszłam do łóżka i ujęłam ją za rękę.

- To było naprawdę okropne przeżycie i ciężka próba -

powtórzyłam. - A jednak nie żałuję tego tak do końca.

Milczała. Ciągnęłam więc dalej:

- Mogłyśmy porozmawiać ze sobą... i zrozumieć się nawzajem...

- Wiem - odparła z przejęciem. - Wiem o tym... Zrozumiałam, że to ja powinnam przejąć inicjatywę. Jej

nie pozwalała na to duma.

- Mam nadzieję - rzekłam - że skoro już nawiązałyśmy przyjaźń, nie pozwolimy jej się teraz zmarnować.

Uścisnęła mi dłoń i cicho powiedziała:

- Ja też mam taką nadzieję.

Bariery zostały przełamane. Było znów tak, jakbyśmy z powrotem znalazły się razem w tej ponurej, ciemnej jamie.

Wyjęła spod poduszki chusteczkę i otarła oczy.

- Jestem niemądra - wyszeptała.

- Ach nie... nie.

- Tak, moja droga Noelle. Już na zawsze zapamiętamy to, co razem przeżyliśmy, ale, tak jak mówisz, we wszystkim można odkryć coś dobrego. A to wydarzenie uczyniło nas przyjaciółkami.

- Bałam się, że było to związane tylko z tamtą sytuacją.

- To stało się zbyt mocne, aby się tak po prostu rozwiać. A poza tym wcale nie zdarzyło się całkiem nagle. Zawsze cię podziwiałam...

podobnie jak podziwiałam... ją.

- Zaczniemy więc wszystko od nowa - zaproponowałam. - Reszta należy do przeszłości, ważna jest

teraźniejszość. Ja czuję się teraz szczęśliwsza i pełna nadziei.

Nie domagała się wyjaśnień, bojąc się okazywać swe uczucia, i zapytała tylko:

- Słyszałaś, że to ta szalona kobieta usunęła znak z ostrzeżeniem?

- Tak.

- Zabrali ją. To ona podłożyła ogień w domku. Jakież niebezpieczeństwo groziło nam z jej strony!

- Tak - odpowiedziałam. - Szczęście, że jej pokojówka, Kitty, zauważyła, co ona robi.

- Biedactwo, jest trochę upośledzona.

- Ale wystarczająco świadoma, by opowiedzieć o wszystkim Gertie.

- Rzecz jasna, nie może tam wrócić. Zatrzymamy ją tutaj.

Zastanawiam się, co zrobi teraz Fiona Vance.

- Przypuszczam, że z ulgą myśli o tym, że jej babcia znajduje się wreszcie pod należytą opieką. Wydaje mi się, że w ostatnich czasach przeszła z nią ciężką próbę. A jednak nigdy nawet o tym nie napomknęła ani się nie poskarżyła.

- Myślę, że coś trzeba będzie z tym zrobić. Milczaliśmy przez chwilę, po czym lady Constance rzekła:

- Myślę, że mój mąż już wkrótce będzie tu z powrotem. W tym momencie podjęłam nagłą decyzję.

- Lady Constance - zaczęłam odważnie - jest pewna sprawa, o której chciałabym pani powiedzieć. Nie wiem, jak pani to przyjmie.

Jeśli ja nie powiem pani tego teraz, wkrótce uczyni to Roderick. Ale jeśli ma to panią zmartwić...

- Chyba wiem, co chcesz mi powiedzieć - odparła. - Roderick pragnie cię poślubić. Prawda, że o to chodzi?

Kiwnęłam głową.

- A ty pragniesz poślubić jego - ciągnęła lady Constance. -

Wiedziałam, że na to się zanosi.

- I co pani na to, lady Constance? Wzruszyła ramionami, a ja mówiłam dalej:

- Wiem, że spodziewała się pani, iż Roderick ożeni się z kimś całkiem innym. I chciała pani dla niego jak najlepszej partii...

Przez chwilę nie odpowiadała, a kiedy się odezwała, zabrzmiało to tak, jakby mówiła sama do siebie.

- Nie jestem kobietą szczęśliwą. Całymi latami cierpiałam, podczas gdy mój mąż kochał inną. Ona miała to wszystko, czego ja nie miałam, była taką osobą, z którą mężczyzna może czuć się spokojny... i szczęśliwy. Nie stawiała żadnych wymagań. Teraz zrozumiałam, że ja robiłam to bezustannie... usiłowałam zmusić ludzi, żeby byli inni, niż byli w rzeczywistości... żeby czynili zadość moim wyobrażeniom. Poszukiwałam w życiu niewłaściwych wartości.

Kiedy siedziałyśmy w tej ciemnej jamie, zdałam sobie sprawę z pewnych rzeczy, o których przedtem nie miałam pojęcia. Stało się tak, jakby na przeszłość padło nagle światło, i zaczęłam zadawać sobie pytanie, w jakim stopniu ja sama winna byłam temu wszystkiemu.

Gdybym była inna, kochająca, beztroska, gdybym nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do spraw materialnych, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Uświadomiłam sobie twoją sympatię dla Gertie i twoją miłość dla matki. Zaczęłam dostrzegać, że wydawałam fałszywe sądy i w życiu przywiązywałam wagę do rzeczy, które okazały się wcale nie takie ważne. Zdałam sobie sprawę, jaką głupotą z mojej strony było to, że odnosiłam się do ciebie wrogo, tylko dlatego że jesteś córką swojej matki i że nie masz tak arystokratycznego pochodzenia, jak ja. Noelle, jestem ci winna dozgonną wdzięczność. Będę szczęśliwa, jeśli na zawsze pozostaniemy przyjaciółkami i mam nadzieję, że nigdy już nie opuścisz tego domu.

Nie mogłam się już powstrzymać. Chwyciłam ją w ramiona i przez chwilę trwałyśmy w serdecznym uścisku.

- Tak się cieszę - powiedziałam. - Od śmierci mamy nigdy jeszcze nie czułam się taka szczęśliwa.

SZOK

I ja, i Roderick żyliśmy jakby w stanie łaski. Czułam się cudownie, wiedząc, że zostałam zaakceptowana przez lady Constance.

Ona sama, mimo iż wciąż jeszcze bardzo wycieńczona - wyglądała teraz młodziej i przejawiała żywe zainteresowanie naszymi planami.

Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak ożywionej. Zmiana w niej dokonała się tak nagle, że chwilami obawiałam się powrotu dawnej lady Constance. Zdarzało się to zwłaszcza wtedy, gdy w jej stosunku do służby dostrzegałam ślady dawnej lodowatej wyniosłości; jednak nawet dla służących stała się teraz znacznie łagodniejsza.

Jestem pewna, że wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

Do mnie odnosiła się zawsze ciepło i przyjaźnie. Czasem aż trudno było uwierzyć, że ta zmiana może okazać się trwała, zaczynałam się jednak do tego przyzwyczajać. Byłam pewna, że wystarczy, gdy lady Constance wspomni tylko te pełne emocji chwile, które wspólnie przeżyliśmy... aby zdała sobie sprawę, jakie szczęście może jej dać zrozumienie innych... i samej siebie... wiedza, którą dopiero co odkryła.

Wybrałam się z wizytą do Fiony, tym razem inną drogą, bo ścieżka została zagrodzona i prowadzono tam prace zabezpieczające.

Fiona powitała mnie serdecznie.

- Moja droga Noelle, co za straszna przygoda! Tak się cieszę, że nic ci się nie stało; w pewnym sensie czuję się tu winna. Zauważyłam, że babcia zachowuje się coraz bardziej dziwacznie, ale nie chciałam, żeby ludzie o tym wiedzieli. Myślałam, że zdołam sama dać sobie z nią radę.

- Nie powinnaś tak mówić. Oczywiście, że zrobiłaś, co mogłaś.

Ja nie miałam pojęcia, że ona jest aż tak chora.

- Dręczyły ją obsesje. Powinnam była uważniej ją obserwować.

Nie przyszło mi do głowy, że to ona podłożyła ogień w domku, mimo że pewne rzeczy mogły na to wskazywać...

- Dlaczego to zrobiła?

- Chodź, napijemy się kawy i wtedy porozmawiamy.

- Z przyjemnością. Weszła do kuchenki.

- A jak przebiega ten remont na górze? - zapytałam.

- Powoli wszystko wraca do normy. Jak to dobrze, że przyszłaś.

Dzięki Bogu, że Kitty zauważyła, co się stało.

- Gertie to dobra dziewczyna. To ładnie z jej strony, że zaprzyjaźniła się z Kitty i już przedtem się nią opiekowała.

- Cieszę się, że Kitty jest teraz we dworze, będzie jej tam lepiej.

Wiesz, ona wbiła sobie do głowy, że to babcia ją uratowała. No bo przecież wzięła ją do siebie, kiedy biedaczka była w rozpaczliwej sytuacji. Kitty miała poczucie, że powinna jej wiernie służyć. Pobyć we dworze dobrze jej zrobi.

- I Gertie będzie ją miała na oku. Fiona przyniosła kawę.

- No, teraz możemy porozmawiać - powiedziała. - Chodzi o to, że moja babcia chciała, żebym wyszła za mąż za Rodericka. Stąd też wzięły się te wszystkie problemy.

- Ojej - westchnęłam. Fiona uśmiechnęła się.

- Słyszałam już o was dwojgu, moje gratulacje! Widziałam, oczywiście, że na to się zanosí, ale cudownie, że i lady Constance jest z tego zadowolona.

- Nic się tu nie ukryje!

- Mówiłam ci, że babcia miała rozmaite obsesje i to była jedna z nich. Wydawało jej się, że jeśli domek nie będzie nadawał się do użytku, to będę zmuszona pracować we dworze, a dzięki temu także bliżej Rodericka. No i stąd ten pożar. Poza tym niepokoiła ją twoja osoba, uważała, że stanowisz przeszkodę. Całkiem trafnie spostrzegła, jak się sprawy mają między tobą a Roderickiem.

- Skąd to wiedziała?

- Wiesz, to było raczej oczywiste - Fiona spojrzała na mnie z pobłażliwym uśmiechem.

- Tak rzadko widywała nas razem.

- Myślę, że wystarczyło raz was zobaczyć. Chciała więc się ciebie pozbyć.

- Ostrzegła mnie, że tu zagraża mi niebezpieczeństwo.

- Tak, zależało jej, żebyś stąd wyjechała.

- Teraz rozumiem.

- A potem, kiedy jednak nie wyjechałaś, zaczęła obmyślać inne sposoby.

- Liczyła, że jej się uda. Ktoś inny też mógł wpaść w pułapkę...

no i przede mną zdarzyło się to lady Constance.

- Ona nie rozumowała tak jak normalni ludzie. Chciała skorzystać z okazji, żeby się ciebie pozbyć. No i widzisz, z jej punktu widzenia, plan się powiódł.

- Musiała mieć poważne zaburzenia psychiczne.

- Biedna babcia. Już kiedyś zachowywała się bardzo dziwnie, po śmierci mojej matki. Znalazła się wtedy w szpitalu, ale wyzdrowiała i wzięła mnie do siebie. To, że musiała o mnie dbać, chyba jej pomogło. Zawsze, oczywiście, wierzyła w swoje szczególne zdolności i tajemne moce, ale wówczas nie kolidowało to raczej z normalnym życiem. Otoczyła mnie najczulszą opieką. Dopiero, kiedy podrosłam i zaczęłam interesować się archeologią, zaczęło się to z powrotem. Obsesyjnie rozmyślała nad moją przyszłością. Wymarzyła sobie dla mnie wspaniałe małżeństwo, i to właśnie Roderick miał stać się zdobywcą. Odkryła, że koresponduje z pewnym studentem, którego poznałam, kiedy pracowałam u sir Harry'ego Harcourta. On studiuje archeologię i odkąd się poznaliśmy, utrzymujemy ze sobą kontakt. To jest... naprawdę głęboka przyjaźń.

- Bardzo się cieszę. Trochę się zarumieniła.

- Więc sama widzisz, że moja babcia żyła w świecie swoich własnych wyobrażeń.

- Biedna. Czy ona w ogóle wie, co się stało?

- Nie sędzę. Kiedy ją ostatnio widziałam, mówiła o mojej matce, jakby ona dopiero co umarła. Zrozumiałam, że myślami przebywa w przeszłości.

- Mam nadzieję, że wróci do zdrowia.

- Przypuszczam, że na pewien czas będzie musiała zostać w szpitalu.

- A jak dajesz sobie radę bez Kitty?

- Zupełnie dobrze. Pani Heather sprząta i co wieczór gotuje mi kolację, żebym chociaż raz dziennie miała coś dobrego i ciepłego w żołądku, jak sama mówi. Więc, jak widzisz, powodzi mi się świetnie.

Prawdę mówiąc, z ulgą myślę o tym, że babcia jest teraz pod dobrą opieką.

- To było straszne przeżycie, i dla mnie, i dla lady Constance -

powiedziałam. - W pewnym sensie jednak rozwiązało wiele trudności.

Rozległo się pukanie do drzwi. Fiona otworzyła i zobaczyłyśmy jednego z robotników.

- Coś tam jest, panienko - powiedział. - Wie panienka, tam gdzie ścieżka się zapadła. Jakiś kamień czy coś.

- To na pewno ta półka, na której się zatrzymałyśmy, spadając -

wykrzyknęłam z podnieceniem.

- Kopaliśmy tam trochę, panienko - mówił mężczyzna. - To wygląda na coś rzymskiego.

I tak się zaczęło. Wykopaliska trwały przez parę dni, a na koniec wybuchł wielki entuzjazm. Okazało się bowiem, że kamienna półka, na którą spadłyśmy z lady Constance, to prawdopodobnie część posadzki rzymskiej świątyni.

To, że trafiłyśmy na nią, uchroniło nas przed głębszym upadkiem i ułatwiło akcję ratowniczą. Bardzo możliwe, że to właśnie uratowało nam życie.

Fiona i Roderick byli ogromnie przejęci i podnieceni. Do pewnego stopnia ja też. Dni nabrały teraz nowych kolorów, a ja chodziłam z Roderickiem na teren wykopalisk i wszystkiemu się przyglądałam. Wielu archeologów przyjeżdżało zwabionych nowym odkryciem i prowadziło tu szczegółowe badania. Przypuszczano, że świątynia przylegała do willi, a to mogło prowadzić do dalszych, niezwykle rewelacji. Każdy dzień przynosił nowe znaleziska. W

pobliżu miejsca, które prawdopodobnie było ołtarzem, odkopano fragment posągu. Znalezione też resztki trójzębu i kawałek czegoś, co przypominało delfina. To nowo odkryte stanowisko nazwane zostało Świątynią Neptuna.

W czasie, gdy trwało to całe zamieszanie, powrócił Charlie.

Był zachwycony wiadomością o nowej sensacji archeologicznej w Leverham, a ja czekałam tylko na okazję, żeby podzielić się z nim nowiną o Rodericku i o mnie.

Tamten wieczór na zawsze pozostanie wyryty w mojej pamięci.

Siedzieliśmy przy obiedzie, a głównym tematem rozmowy była Świątynia Neptuna.

- A to oznacza - mówił Roderick - że tutejsze stanowisko archeologiczne może okazać się najciekawsze w całym kraju.

- Bardzo możliwe - zgodził się Charlie. - A jak doszło do tego odkrycia?

- No tak, ty przecież jeszcze nic nie wiesz - powiedziała lady Constance. - Zdarzył się pewien wypadek.

Charlie spojrzał na nas zaniepokojony.

- Wypadek? - powtórzył.

- Teraz już wszystko w porządku - uspokoiła go lady Constance.

- Ale od tego wszystko się zaczęło. Gdybyśmy się nie zapadły, Neptun i jego świątynia mogłyby

nigdy nie ujrzeć światła dziennego naszych czasów.

Pokrótko streściłyśmy Charliemu, co się wydarzyło. Był przerażony.

- Ileż się tu działo podczas mojej nieobecności. Łaska boska, że nic wam się nie stało - powiedział.

- To dzięki świątyni - pouczyłam go. - Bo widzisz, akurat tam wpadłyśmy. Gdyby nie to, pewnie zostałybyśmy żywcem pogrzebane w miękkiej, wilgotnej ziemi.

- No i jest jeszcze inna sprawa - odezwał się Roderick. Mówiąc to, patrzył na mnie i uśmiechał się.

- Tak? - podchwycił Charlie.

- Noelle i ja postanowiliśmy... no, mamy zamiar się pobrać.

Uważnie obserwowałam Charliego. Widziałam, że twarz mu na moment skamieniała, a potem odmalował się na niej wyraz przerażenia. Zdumiało mnie to; spodziewałam się, że będzie zachwycony.

Natychmiast pomyślałam, że martwi się, jak zareaguje na to lady Constance. Chciałam mu powiedzieć, że tym nie potrzebuje się już niepokoić.

Uśmiechnął się, ale uśmiech ten był wymuszony.

- Ach tak - wyrzekł. - Rozumiem.

- Nie chcemy tego opóźnić - wtrąciła lady Constance.

- Wyglądasz... na zadowoloną - zauważył Charlie.

- Bo jestem - odpowiedziała krótko lady Constance. - I to bardzo.

- Taaak, rozumiem - powiedział Charlie.

Uśmiechał się. Więc jednak był zadowolony. Właściwie zresztą, dlaczego miałby nie być?

Było to nazajutrz, około dziesiątej rano. Właśnie szykowałam się do wyjścia, wybieraliśmy się z Roderickiem, żeby po raz pierwszy zwiedzić świątynię.

Do pokoju weszła Gertie i powiedziała:

- Pan Claverham prosi panienkę do swego gabinetu.

- Teraz?

- Tak, panienko. Powiedział, że teraz.

Natychmiast zesłałam na dół. Byłam zaskoczona, zastawszy tam też Rodericka.

- Wejdz, Noelle, i zamknij drzwi - powiedział Charlie. - Mam wam coś do powiedzenia. Obawiam się, że wiadomość ta będzie strasznym szokiem dla was obojga. Czuję się winny. Powinienem był przewidzieć taką możliwość. Przez całą noc zastanawiałem się, jakie rozwiązanie byłoby tu najlepsze i doszedłem do wniosku, że jedyne, co mogę zrobić, to powiedzieć wam prawdę. Musicie to wiedzieć. O

małżeństwie między wami nie może być mowy. Ty, Noelle, jesteś moją córką. Roderick więc jest twoim bratem.

PARYŻ

W La Maison Grise

Siedziałam w pociągu, który wiozł mnie do Londynu. Wciąż jeszcze nie mogłam ochłonąć po tym ciosie. Kiedy Charlie nam powiedział, byliśmy zbyt oszołomieni, aby w pełni mogło to do nas dotrzeć. Wystarczyło te parę słów i wszystkie nasze marzenia się rozprysły; świat nagle usunął nam się spod nóg. Wiedzieliśmy tylko, że nasze życie legło w gruzach. Nie mam pojęcia, jak zdołałam przetrwać następne kilka dni. Rozmawiałam z Charliem, pytałam go, czy jest pewien. Odpowiedział, że tak, wiedział o tym przez cały czas.

On i moja matka nie mieli przed sobą sekretów.

- Nigdy nie powinniście byli się spotkać - rzekł do mnie. - To moja wina. Myślałem, że Roderick ożeni się z Fioną Vance; wydawało się, że łączy ich tyle wspólnych zainteresowań. Twoja matka byłaby niepokieszona, gdyby wiedziała, co się stało. Nigdy nie chciała nikogo skrzywdzić... a już najmniej ciebie, Noelle. Kochała cię bardziej niż kogokolwiek. Zawsze pragnęła dla ciebie wszystkiego, co najlepsze.

Była to sytuacja bez wyjścia. O czym byśmy nie pomyśleli, okazywało się niemożliwe. W końcu zrozumiałam, że jedynym dla mnie rozwiązaniem jest wyjazd z Levenson.

Gdzie miałam jechać? Co miałam robić?

Pozostawał oczywiście mój dawny dom - obecnie należący do Roberta Bouchere. Robert powtarzał mi, że zawsze mam czuć się tam jak u siebie. Mogłam więc pomieszkać w nim przez pewien czas, dopóki na nowo nie nadam swemu życiu jakiegoś sensu, nie zacznę od początku, dopóki nie odbuduję go z ruin.

Charlie powiedział:

- Musisz pozwolić, żebym zadbał o twój los, Noelle. Biorąc pod uwagę nasze pokrewieństwo, jest to rzecz całkowicie właściwa.

Przeznaczę dla ciebie pewien fundusz.

Wcale go nie słuchałam. Myślałam tylko o jednym:

- Zawsze tak chciałam poznać swojego ojca. Ach, Charlie, dlaczego musiałeś być nim ty!

Biedny Charlie był naprawdę głęboko zmartwiony. Jego niewierność wobec żony i tak mocno zaciążyła mu na sumieniu, a teraz jeszcze to. Grzechy rodziców obciążły ich dzieci. Oboje jego dzieci, i Roderick, i ja, mieliśmy zapłacić za ten grzech wielką cenę.

Charlie był zrozpaczony, podobnie jak my.

Napisałam do pani Crimp, informując ją, że przyjeżdżam i zatrzymam się w domu, dopóki nie poczynię jakichś planów. Tylko jakich planów, nie wiedziałam.

Tamten czas był zupełnie nie do zniesienia. Nawet teraz staram się wymazać go z pamięci. Śmierć mojej ukochanej matki, w połączeniu z tą mroczną tragedią, która nastąpiła tak niedługo potem - wszystko to przygnębiło mnie bez reszty.

Pragnęłam tylko zamknąć się w swym dawnym pokoju i modlić się o siłę, wolę i moc, żebym zdołała jakoś zebrać w całość fragmenty mego roztrzaskanego życia, aby spróbować jeszcze coś z niego zbudować.

Ulicami, po których tyle razy wracałam razem z nią z teatru...

wracałam do domu... domu pełnego wspomnień. Na krótko uwierzyłam, że udało mi się uciec od natrętnej przeszłości... tylko po to, by doznać tragedii równie dotkliwej, jak ta pierwsza.

Wiedziałam, że nie powinnam pograżać się w rozpamiętywaniu własnego bólu. Litowanie się nad sobą nikomu jeszcze nie pomogło.

Należało wziąć się w garść i rozejrzeć się dookoła, zainteresować się czymś... czymkolwiek, co wyrwałoby mnie ze stanu przygnębienia i apatii, w który popadłam.

Pani Crimp powitała mnie serdecznie.

- Tak się cieszę, że panienkę widzę, panno Noelle. Pan Crimp też będzie zadowolony. Pokój panienki już jest przygotowany, a obiad podamy, kiedy tylko panienka zechce.

- Dziękuję, pani Crimp, nie chce mi się jeść.

- To może jakąś małą przekąskę? Czy przynieść coś panience do pokoju?

- To brzmi zachęcająco.

Na schodach pojawiła się Lisa Fennell. Podbiegła i uściskała mnie.

- Taka byłam przejęta, kiedy pani Crimp powiedziała mi, że przyjeżdżasz. Jak się masz? - spojrzała na mnie pytająco.

- W porządku, a ty? - odpowiedziałam.

- Świetnie! Chodźmy do ciebie. Pani Crimp mówiła, że pokój jest przygotowany.

Obserwowała mnie uważnie, a gdy byłyśmy już w pokoju, zapytała:

- Moja biedna Noelle. Coś okropnego musiało się wydarzyć, prawda? Czy to... chodzi o Charliego?

Potrząsnęłam głową.

- Jakieś kłopoty z lady Constance?

- Nie... nie.

Zawahałam się, a potem pomyślałam: I tak się dowie, lepiej będzie, jeśli powiem jej to teraz. Zaczęłam więc:

- Roderick i ja mieliśmy się pobrać.

Otworzyła szeroko oczy, a ja poczułam, że wargi zaczynają mi drżeć.

- Ale okazało się - mówiłam dalej - że on jest moim bratem, Liso.

Moim przyrodnim bratem. Charlie jest moim ojcem.

Dech jej zaparło ze zdumienia.

- Ach, moja biedna, nieszczęsna Noelle. Więc to dlatego wróciłaś.

Skinęłam głową.

- Rozumiem. Co za straszna rzecz! Chociaż pewnie można się było tego domyślić.

- Tak, pewnie tak. Myślałam, że byli tylko przyjaciółmi. To zapewne naiwność z mojej strony.

- Co zamierzasz teraz zrobić?

- Nie wiem. Na razie myślałam tylko o tym, żeby stamtąd wyjechać. Teraz muszę pomyśleć, dokąd mam udać się dalej.

- A... Roderick? - zapytała Lisa.

- Oboje byliśmy oszołomieni. Wszystko układało się już tak dobrze. Lady Constance pogodziła się z sytuacją. I wtedy wrócił

Charlie, powiedział nam to i szczęście prysło. Och, Liso, nie wiem, jak ja to wytrzymam. Najpierw moja matka... a teraz to.

Lisa kiwnęła głową, a łzy napłynęły jej do oczu.

- To było straszne - powiedziała.

- A teraz, kiedy myślałam, że znów będę szczęśliwa, taka historia.

- Musisz przestać się tym zadręczać, Noelle. Musisz się czymś zająć.

- Wiem. A powiedz mi, Liso, jak tam twoje sprawy?

- Pracuję i wydaje mi się, że Dolly uważa mnie już za aktorkę należącą do stałego zespołu. Któregoś wieczora nie było Lottie Langdon i miałam okazję zagrać główną rolę. Publiczność przyjęła mnie

całkiem dobrze. Znacznie łatwiej jest naśladować Lottie niż twoją matkę. Wydaje mi się, że nieźle dałam sobie z tym radę.

Wszystko to dobrze mi robi. Jestem pewna, że Dolly da mi rolę w następnej sztuce. „Łachmany i strzępy” pewnie już niedługo zejdą z afisza, a on już zastanawia się nad czymś innym. Cóż, Dolly zawsze się nad czymś zastanawia.

- Cieszę się, że dobrze ci się układa.

- Musisz przyjść i jeszcze raz zobaczyć przedstawienie. Teraz gramy lepiej niż wtedy, kiedy je widziałas. Ale myślę, że już niedługo to potrwa.

Wiedziałam, że słusznie postąpiłam, przyjeżdżając do Londynu.

Czułam, że wspomnienie mojej mamy i ta pierwsza tragedia przesłoniły tę ostatnią. Nauczyłam się już żyć bez mamy, umiałam też już być szczęśliwa. Teraz przyszło mi obywać się bez dwojga ludzi, których kochałam najmocniej na świecie.

Wszyscy bardzo mi pomagali. Przyjechał Dolly. Od Lisy usłyszał, co się stało, i szczerze mi współczuł. Był zadziwiająco łagodny.

Miałam dać mu znać, jeśli będę chciała pójść do teatru. Nawet gdybym chciała zobaczyć jakieś inne, nie jego, przedstawienie, gotów był zadbać o to, żebym miała dobre miejsce. Wśród ludzi teatru panowały bliskie, przyjacielskie stosunki i córka Desiree wszędzie mogła spotkać się z serdecznym przyjęciem.

Mijały dni. Jakoś żyłam. Inaczej nie mogę tego nazwać. Każdego ranka budziłam się ogarnięta depresją, a dni upływały mi w głuchej rozpacz.

Lisa była zdania, że powinnam zająć się jakąś pracą.

- W takich sytuacjach nie ma nic lepszego niż praca - mówiła.

Myślałam, czy nie zgłosić się do szpitala. Przypuszczałam, że tam znalazłoby się dla mnie jakieś zajęcie.

Lisa uznała, że to mogłoby być zbyt przygnębiające w moim obecnym stanie ducha. Może Dolly coś by wymyślił?

- Co za pożytek byłby ze mnie w teatrze? - zapytałam.

Odwiedziła mnie także Martha. Wiedziała już od Lisy, dlaczego wróciłam.

Była głęboko wstrząśnięta.

- Matka byłaby zrozpaczona, gdyby wiedziała, jakie nieszczęście na ciebie sprowadziła. Zawsze miałam wrażenie, że w jej związku z Charliem kryje się coś szczególnego. On też tak cię lubił. A dla

niej byłaś oczywiście oczkiem w głowie, zrobiłaby dla ciebie wszystko.

Cały czas o tobie myślała. Zawsze tylko: „Co będzie najlepsze dla Noelle?” Często jej powtarzałam: „Traktuj pani to dziecko jak bóstwo. Niech pani pomyśli o sobie”. No a teraz wszystko wyszło na odwrót, prawda? Cóż, jeśli tylko patrzy teraz na ciebie z nieba i widzi, co się stało, to na pewno oczy tam sobie wyplakuje. Jak sobie z tym dasz radę, kochanie? Bo chyba powinnaś coś teraz robić.

- Mogłabym od razu stąd wyjechać. Muszę coś robić, Martho. Co robią inne osoby, kiedy znajdują się w takiej sytuacji jak ja teraz? Już tyle razy powtarzałam, że mam przed sobą tylko dwie drogi. Mogę zostać guwernantką jakiegoś niesfornego dziecka albo damą do towarzystwa zrzędlivej starszej pani.

- Nie widzę cię w żadnej z tych ról, co do tego nie mam wątpliwości.

- Nie wiem. Może nie byłoby tak źle. Miałabym pewną niezależność finansową, co dawałoby mi lepszą pozycję niż większości tych ubogich osób zdanych na niskie pensje.

- Chyba nie myślisz o tym poważnie, prawda?

- Problem polega na tym, że nie myślę poważnie o niczym. Po prostu płynę z prądem.

Dokładnie tak właśnie było i pewnie trwałoby to nadal, gdyby nie przyjazd Roberta Bouchere.

Robert był mile zaskoczony, gdy zastał mnie w domu. Wnet jednak zrozumiał, jak bardzo jestem nieszczęśliwa, a wtedy ogarnął go smutek i współczucie.

- Musisz mi wszystko opowiedzieć - oświadczył. - Powiedz mi dokładnie, co się stało.

Opowiedziałam mu więc. Był głęboko wstrząśnięty.

- Nic o tym nie wiedziałaś? - zapytał.

- Nie. Nawet mi to nie przyszło do głowy.

- Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, co się stało z twoim ojcem?

- Tak.

- I pytałaś o to matkę?

- Zawsze odpowiadała wymijająco, kiedy o niego pytałam. Raz powiedziała mi tylko, że był dobrym człowiekiem. Cóż... Charlie jest dobrym człowiekiem.

- Ich przyjaźń trwała wiele lat.

- Tak, wiem. Może powinnam się była domyślić.

- Tak mu zależało, żeby wziąć cię do siebie.

- Teraz wiem dlaczego. Chyba byłam zbyt niewinna... i bardzo naiwna. Myślałam, że byli po prostu dobrymi przyjaciółmi. Wydaje mi się, że skoro tak dobrze go znałam i lubiłam, mogła mi o tym powiedzieć.

- Moja droga Noelle, miałaś dwa straszne przeżycia. Jesteś oszołomiona, zdezorientowana i najlepsze, co możesz teraz zrobić, to poczynić jakieś plany. Musisz coś robić. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej stąd wyjedziesz.

- Dokąd miałabym pojechać?

- Podobnie jak Charlie, ja też obiecałem twojej matce, że zaopiekuję się tobą, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wydaje mi się, że właśnie teraz jest taka sytuacja. Może pojedziesz ze mną do Francji i dopiero tam, w spokoju, podejmiesz jakieś decyzje co do swojej przyszłości? Znajdziesz się w nowym miejscu, wszystko tam będzie inaczej. Mogłabyś zacząć od nowa... rozpocząć nowe życie. Sądzę, że tutaj nie byłoby to takie łatwe. Zbyt wiele wspomnień łączy cię z tym miejscem. Ona tu wciąż jest... ten dom jest jej pełen. Czy czujesz jej obecność?

- Pozostawiłaś jej pokoje dokładnie w takim stanie, jak były -

powiedziała. - Więc jak mogło się tu coś zmienić? Wszystko tu mi ją przypomina... ty też.

- I dlatego właśnie powinnaś stąd wyjechać. Podsycasz jeszcze swój smutek, chere Noelle. To nie robi ci dobrze. Musisz wyjechać ...i zostawić to za sobą.

- Wyjechać, wyjechać natychmiast - odparłam spontanicznie. -

Nie opowiadałaś mi nigdy o swoim domu, Robercie.

- Może ciekawiej będzie, jak zobaczysz go na własne oczy?

- Czy... nie będę tam przeszkadzać?

- Komu? Mieszka tam moja siostra i jej wnuczka... no i od czasu do czasu odwiedza nas mój siostrzeniec.

- Myślałam, że masz żonę.

- Od ośmiu lat jestem wdowcem. Więc co powiesz na taki plan?

- Nie zamierzałam wyjeżdżać z kraju.

- Najlepiej jest wyjechać za granicę. Dzięki temu zupełnie zmieniasz otoczenie. We Francji wszystko będzie już inne, rozpoczniesz całkiem nowe życie. Kto wie? Może właśnie to najlepiej ci zrobi?

- Robercie, jesteś dla mnie taki dobry.

- Ale skąd. Przynależem jej to, a skoro nie ma pod ręką Charliego, ja, że tak się wyrażę, odegram

jego rolę.

- To bardzo miło z twojej strony, Robercie, że tak się o mnie troszczysz.

- Bardzo cię lubię, moja droga. I twoja matka była dla mnie kimś bliskim. Wiem, że twój los szczególnie leżał jej na sercu. Kazała mi przyrzec, ale nawet gdyby tak nie było, uważałbym to za swój obowiązek, nawet gdyby nie sprawiało mi to przyjemności, ale sama dobrze wiesz, że cieszyłbym się, mogąc ci pomóc. Więc, co ty na to?

- Muszę to przemyśleć. Zastanawiałam się, czy nie spróbuję poszukać jakiejś posady... na przykład w szpitalu... gdzie mogłabym przydać się na coś ludziom chorym.

Potrząsnął głową.

- To ty jesteś osobą, którą trzeba się zająć. Po prostu pojedź ze mną.

- Czy uznasz mnie za niewdzięczną, jeśli poproszę cię o czas do namysłu?

Machnął ręką.

- Daję ci jeden dzień... albo dwa... ale i tak musisz pojechać.

Tego ci właśnie trzeba. Przyrzekam ci, to będzie nowe życie... nowy kraj... nowi ludzie. Wspomnienia zatrą się i zbledną.

- Dziękuję, Robercie, dziękuję. Poważnie się nad tym zastanowię. Być może masz rację, ale muszę zebrać myśli. Proszę, daj mi trochę czasu.

- Dobrze - zgodził się z łagodnym uśmiechem.

Wahałam

się.

Propozycja

Roberta

wzbudziła

moje

zainteresowanie i udało mi się trochę otrząsnąć z przygnębienia.

Wiedziałam, że nie jest dobrze pograżać się w żalu, a tutaj właśnie tak się ze mną działo. Musiałam zrobić jakiś krok naprzód. Musiałam też przestać myśleć, co by było, gdyby, i pogodzić się z faktem, że nigdy już nie będę mogła dzielić życia z Roderickiem. Trzeba było jakoś żyć dalej; i oto Robert

rzucił mi linę ratunkową.

Był dla mnie w tych dniach bardzo dobry. Wiedziałam, że bardzo mu zależało, żebym z nim pojechała. Chciał spełnić swój obowiązek wobec mnie, ze względu na swe głębokie i serdeczne przywiązanie do mojej matki. Żył równie żarliwie pragnienie zaopiekowania się mną, jak przedtem Charlie.

Tym razem postanowiłam być ostrożniejsza. Musiałam dokładnie wiedzieć, co robię. Dobrze przynajmniej, że Robert nie miał żony, która czułaby się obrażona tym, że przyjaźnił się z moją mamą. Moje postanowienia były niepewne i chwiejne. Zadawałam sobie pytanie, czy nie byłoby jednak lepiej pozostać tutaj i poszukać jakiejś pracy.

- Robercie - zwróciłam się do niego - opowiedz mi o swoim domu.

- Mam mieszkanie w Paryżu - odparł. - Ale mój prawdziwy dom znajduje się około pięciu mil poza miastem.

- Na wsi? Kiwnął głową.

- To miła, stara siedziba. Jakimś cudem przetrwała rewolucję.

Moja rodzina mieszka tam już od stuleci.

- To okazała rezydencja, prawda?

- Cóż, to określenie dobrze pasuje do La Maison Grise.

- La Maison Grise? To znaczy Szary Dom.

- No właśnie. Zbudowany jest z szarego kamienia, odpornego na wiatry i deszcze.

- A twoja rodzina?

- Nie jest zbyt liczna. Mieszka tam moja siostra Angele, która zawsze tam mieszkała. Córki często zostają w domu, nawet po zamążpójściu. Kiedy Angele wyszła za mąż, mój szwagier Henri du Carron pomagał mi w prowadzeniu majątku. Wszystko układało się dobrze. Ja prowadziłem interesy w Paryżu, a on był na miejscu i zajmował się posiadłością.

- I umarł?

- Tak, całkiem młodo, na atak serca. To było bardzo smutne.

Gerard miał wtedy zaledwie siedemnaście lat.

- Gerard?

- To syn mojej siostry... mój siostrzeniec. Kiedy ja umrę, on odziedziczy La Maison Grise.

- Nie masz dzieci?

- Niestety nie.

- Nigdy nie wspominałeś o swojej żonie.

- Umarła osiem lat temu. Przez wiele lat była kaleką.

- A więc w La Maison Grise mieszka tylko twoja siostra i jej syn.

- Gerard bywa tam rzadko, ma pracownię w Paryżu. Jest artystą.

Angele prowadzi dom, no i jest jeszcze Marie - Christine.

- Wspominałeś o niej... to córka twego siostrzeńca, prawda?

- Tak, to wnuczka mojej siostry, córka Gerarda.

- A więc Gerard jest żonaty.

- Jest wdowcem. Przeżył tragedię, jego żona zmarła trzy lata temu. Marie - Christine ma teraz... chyba dwanaście lat, o ile się nie mylę.

- A więc domownicy to twoja siostra Angele, czyli madame du Carron, i jej wnuczka Marie - Christine? Czy ona mieszka tam, czy razem ze swym ojcem?

- Odwiedza go od czasu do czasu, ale tak naprawdę jej domem jest La Maison Grise. Oczywiście zajmuje się nią moja siostra.

- To małe gospodarstwo. Czy myślisz, że nie będą miały nic przeciwko mojej wizycie?

- Z pewnością będą zachwycone.

Poważnie rozmyślałam, czy tam pojechać. Nie wyglądało na to, aby istniały jakieś poważne przeszkody.

Zdecydowałam się więc odwiedzić La Maison Grise i z radością odkryłam, że ta decyzja od razu poprawiła mi samopoczucie.

Podróż morska przeszła nam gładko, a gdy przebyliśmy kanał La Manche, wsiedliśmy w pociąg do Paryża, gdzie czekała już na nas rodowa karetka. Był to pojazd nieco ciężkawy, ozdobiony z boku herbem rodziny Bouchere. Robert przedstawił mnie stangretowi, który nazywał się James, i po załadowaniu naszych bagaży wyruszyliśmy w drogę.

Rozmawialiśmy, jadąc przez Paryż, a Robert pokazywał mi co ciekawsze miejsca. Czułam się oszołomiona, po raz pierwszy widząc miasto, o którym tak wiele już słyszałam. Patrzyłam na szerokie bulwary, mosty i ogrody. Słuchałam, co mówił Robert, ale byłam chyba zbyt ciekawa tego,

co zastanę w La Maison Grise, by w pełni poddać się urokowi Paryża. To miałam odkrywać dopiero później.

- Przygotuj się na dość długą jazdę - powiedział Robert, kiedy miasto zostało już za nami. - Jedziemy na południe. Ta droga prowadzi do Nicei i do Cannes, są one oczywiście bardzo daleko.

Francja to duży kraj.

Siedziałam wygodnie oparta i przysłuchiwałam się stukotowi końskich kopyt.

- Wydaje się, jakby konie same знаły drogę - zauważyłam.

- Bo tak też jest. Przebywają ją już tyle razy, i zazwyczaj są to te same dwa konie. Kastor i Polluks - gwiazdne bliźnięta. Niestety, z przykrością muszę ci się przyznać, że tylko imiona mają takie niebiańskie, charaktery nie bardzo! W każdym razie można im zaufać, że dowiozą nas na miejsce. Zobaczysz, jak zaczną strzyc uszami i przyspieszą kroku, kiedy będziemy nie więcej niż o milę od domu.

Zastanawiałam się, czy Robert nie jest trochę zdenerwowany.

Wydawało mi się, że ta lekka rozmowa, którą cały czas starał się podtrzymywać, była nieco wymuszona.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, było już późne popołudnie.

Jechaliśmy aleją wysadzaną drzewami i po przebyciu pół mili naszym oczom ukazał się dom. Nazwę miał odpowiednią, jako że istotnie był

szary, ale nie sprawiał ponurego wrażenia, gdyż otoczony był zielenią.

Z obu stron miał typowe dla francuskiej architektury cylindryczne wieżyczki. Z frontu kamienne stopnie wiodły na taras, co dawało wrażenie przytulności i łagodziło surowość szarego kamienia, z którego zbudowany był dom.

Kareta zatrzymała się i pojawili się dwaj stajenni. Robert wyskoczył i pomógł mi wysiąść.

Jeden z chłopców zapytał, czy mieliśmy dobrą podróż.

- Tak, dziękuję - odparł Robert. - A to jest mademoiselle Tremaston. Musimy wybrać dla niej konia, na którym będzie mogła tu jeździć.

Stajenni mówili po francusku bardzo szybko.

- Mówi, że będzie ci służył pomocą przy wyborze konia. Jutro zabiorę cię do stajni i któregoś ci wybierzemy.

Nagle ogarnęło mnie poczucie okropnej straty, przypominałam sobie bowiem lekcje z Roderickiem.

Znów boleśnie zatęskniłam, żeby wrócić do Leverson. Wiedziałam, że nigdy nie uda mi się zapomnieć.

Jak w ogóle mogłam pomyśleć, że wystarczy, jeżeli wyjadę?

- Chciałbym pokazać ci niektóre nasze wioski - mówił Robert. -

Są zupełnie inne niż wsie w Anglii, myślę, że cię to zainteresuje.

- Bardzo ich jestem ciekawa.

Ujął mnie pod ramię i weszliśmy schodami na taras. Zauważyłam, że krzewy rosnące w białych donicach były bardzo dobrze utrzymane.

Tą obserwacją podzieliłam się z Robertem, a on odparł:

- To dzieło Angele. Powiedziała, że dom wzbudza na pierwszy rzut oka niezbyt zachęcające wrażenie i że rośliny to łagodzą. Może miała słuszość.

- Wydaje mi się, że tak.

Stanęliśmy przed drzwiami, które były ozdobione żelaznymi ćwiekami. Otworzyły się nagle i ukazał się w nich służący.

- Ach, dzień dobry, George - powiedział Robert. - Już jesteśmy.

A oto mademoiselle Tremaston.

George był drobnym mężczyzną, o błyszczących, bystrych oczach. Przyjrzał mi się i skłonił się. Wyczułam, że w tym domu panuje dość sztywna atmosfera.

Weszłam do holu. W głębi zobaczyłam schody, a u stóp schodów stała kobieta. Podeszła, aby mnie powitać, i od razu poznałam, że jest to madame du Carron, Angele. Była tak podobna do Roberta, że bez trudu mogłam się domyślić, że to jego siostra.

- Witamy, mademoiselle Tremaston. - Mówiła po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem. - Cieszę się, że pani przyjechała.

Wzięła mnie za rękę i natychmiast przeszło mi przez myśl, jak bardzo różni się ona od lady Constance. Zaraz zresztą sama się zganiłam; muszę przestać bezustannie wracać do przeszłości.

- To ja cieszę się, że przyjechałam - rzekłam.

- Czy podróż mieliście dobrą? - spoglądała to na mnie, to na Roberta. - Witajcie w La Maison Grise. Robercie, miło cię widzieć.

Męcząca jest taka podróż, prawda? Kanał La Manche potrafi być potworem.

- Tym razem był to całkiem łagodny potwór - podjęłam ze swadą. - Mieliśmy szczęście.

- Ale to długa droga. Więc, co teraz? Pokazać pani pokój? A może coś na pokrzepienie? Trochę kawy albo kieliszek wina?

Odpowiedziałam, że najpierw chciałabym iść do swego pokoju, umyć się i odświeżyć.

- Tak będzie najlepiej. Berthe! - zawołała.

Berthe musiała być gdzieś w pobliżu, bo pojawiła się natychmiast.

- To jest Berthe, ona się panią zajmie. Berthe, gorącej wody dla mademoiselle.

- Oczywiście, madame. - Berthe obdarzyła mnie szybkim uśmiechem, dygając jednocześnie.

- Proszę tędy - powiedziała Angele. - Kiedy będzie pani gotowa, wtedy sobie spokojnie porozmawiamy. Musimy się przecież poznać, prawda? To znaczy, jeśli moja angielszczyzna na to pozwoli. A może pani mówi po francusku?

- Trochę. Myślę, że bardziej można polegać na pani angielskim.

Roześmiała się i poczułam, że to dobry początek naszej znajomości.

Zaprowadzono mnie do pokoju, który wydawał się dość ciemny, do chwili kiedy Angele rozsunęła zasłony. Dopiero wtedy, w pełnym świetle zobaczyłam, jak jest w nim miło. Dywan i zasłony miały odcień bladoróżowy; meble były lekkie i delikatne i poczułam się tak, jakbym nagle cofnęła się o sto lat, w pokoju bowiem panowała atmosfera osiemnastowiecznej elegancji. Na jednej ze ścian wisiała prześliczna tkanina przedstawiająca „Dziewczynę na huśtawce”

według obrazu Fragonarda.

Na jej widok aż krzyknęłam z zachwytu.

- Podoba się pani? - zapytała Angele.

- Uważam, że jest zachwycająca.

- W takim razie cieszę się. Robert mówi, że to bardzo ważne, aby czuła się pani... Jak to się mówi? Comme chez vous?

- Jak w domu. Jest pani taka miła - rzekłam.

- Robert opowiadał mi o nieszczęściu, które panią spotkało.

Chcielibyśmy jakoś pomóc.

- Jestem bardzo wdzięczna.

- Proszę popatrzeć. - Przeszła przez pokój i odsłoniła zasłonę w kącie, za którą znajdowała się wnęka, a w niej duża szafa i stolik, na którym stał dzbanek i miska do mycia. Na podłodze zobaczyłam wanienkę do kąpieli. - Nazywamy to ruelle.

- To wielka wygoda. Dziękuję bardzo.

Wzięła mnie za rękę i uściśnięła. Po czym zaraz cofnęła swoją, jakby była zawstydzona takim okazywaniem uczuć.

- Berthe zaraz przyniesie gorącą wodę - powiedziała szybko. -

Bagaż już przyniesiono. Może zejdzie pani na dół, powiedzmy, za godzinę? Czy to nie za długo?

- Myślę, że to akurat, dziękuję.

W tej chwili wkroczyła Berthe, niosąc dzbanek z gorącą wodą.

- Czy pomóc pani się rozpakować?

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę.

- A więc za godzinę?

- Tak, dobrze. Zostałam sama.

Jakże inaczej powitano mnie tutaj niż w Leveson! Muszę przestać myśleć o Leveson; zostało gdzieś daleko... znikło z mojego życia. I tak musi być. Lepiej byłoby, gdybym nigdy się tam nie znalazła i gdybym nigdy nie spotkała Rodericka.

Próbowałam skupić myśli na miejscu, w którym byłam teraz.

Moje nowe otoczenie wydawało się niezmiernie interesujące.

Chciałam dowiedzieć się, jak wygląda tutaj życie Roberta, jego owdowiałej siostry, a także, oczywiście, jego przyszywanej wnuczki i jej ojca.

Powoli dochodziłam do wniosku, że dobrze zrobiłam, przyjeżdżając tutaj.

Rozpakowałam się, a kiedy się wykąpałam i przebrałam w niebieską jedwabną sukienkę, okazało się, że minęła już prawie godzina. Usiadłam przy oknie i patrzyłam na trawnik i rosnący za nim mały zagajnik. Widać było, że posiadłość jest rozległa.

Rozległo się pukanie do drzwi. To była Angele.

- Nie za wcześnie przyszłam?

- Nie, nie. Już jestem gotowa.

- Chodźmy więc, proszę.

Czekał na nas Robert, a z nim dziewczynka; domyśliłam się, że była to Marie - Christine.

- Mam nadzieję, że spodobał ci się twój pokój - powiedział

Robert.

- Jest uroczy - odparłam i popatrzyłam na dziewczynkę.

- To jest Marie - Christine - przedstawił ją Robert.

- Jak się pani ma? - zapytała mnie po angielsku, dygając lekko, co wydawało mi się pełne wdzięku.

- Miło mi cię poznać - powiedziałam. Przyglądała mi się uważnie.

- Zdaje mi się, że Marie - Christine specjalnie ćwiczyła się w angielskim, żeby móc powitać cię w twym ojczystym języku.

- Jak to ładnie z twojej strony.

Nie przestawała mi się przyglądać i przyznać muszę, że zaczynałam czuć się tym trochę zakłopotana.

- Obiad podany - ogłosił Robert. - Na pewno jesteś głodna, bo ja bardzo.

Co do mnie, to właściwie nie czułam głodu, tak byłam przejęta swym nowym otoczeniem.

- Dzisiaj będziemy jeść w małej jadalni - rzekła Angele. - Jest nas tylko czworo, więc tak będzie wygodniej.

Jadalnia ta okazała się wcale nie taka mała, umeblowana zaś była z tą samą elegancją, którą widziałam w innych częściach domu.

Robert zasiadł przy jednym końcu stołu, Angele przy drugim. Ja siedziałam koło Roberta z prawej strony, Marie - Christine z lewej.

Usługiwało nam dwoje służących - pokojówka, która podawała do stołu, i lokaj, który nad wszystkim czuwał. Robert uprzedzał mnie, że gospodarstwo mają małe i niewielu domowników, odnosiłam jednak wrażenie, że służby jest tu pod dostatkiem.

Przy jedzeniu Angele pytała mnie o nasz dom w Londynie.

Odparłam, że nie mam już domu, a wówczas Robert popatrzył na mnie z pewną naganą w oczach.

- Wiesz, że ten dom jest zawsze do twojej dyspozycji -

powiedział.

- Jesteś dla mnie taki miły, Robercie - rzekłam. I zwróciłam się do Angele: - Ostatnio mieszkałam u przyjaciół na wsi. Nie wiem naprawdę, co dalej ze sobą zrobić.

- Jest pani w żałobie, tak mi przykro - rzekła Angele.

Na chwilę zapadło milczenie. Przerwałam je, pytając Marie -

Christine:

- Czy masz guwernantkę?

- O, tak, mademoiselle Dupont. - Skrzywiła się lekko, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że mademoiselle Dupont jest trochę za surowa.

- Czy uczy cię angielskiego? - uśmiechnęłam się.

- Tak, ale ona nie mówi tak dobrze jak pani. Wszyscy się roześmieli.

- Cóż, może więc pouczysz się trochę ode mnie, dopóki tu będę?

- Och tak, tak. Bardzo proszę.

- Marie - Christine bardzo nie lubi, jeśli jest coś, czego ona nie wie - odezwała się pobłaźliwie Angele. - Chciałaby we wszystkim maczać palce. Prawda, Marie - Christine?

- Oczywiście.

- Cóż, to dobrze, jeśli chce się coś wiedzieć - zauważyłam.

- Czy lubi pani jeździć konno? - zapytała Marie - Christine.

- Tak, bardzo. Dopiero niedawno się nauczyłam. Mało miałam po temu okazji, kiedy mieszkałam w Londynie.

- Pojeździmy razem - obiecała. - Ja jestem bardzo doświadczonym jeźdźcem.

- Ależ, moje drogie dziecko - zaprotestowała Angele.

- No przecież dobrze jeżdżę. Jacques tak powiedział, więc mówię prawdę. Ze mną nic się pani nie stanie, mademoiselle Tremaston.

- Jestem o tym przekonana i już się cieszę na tę wspólną jazdę.

- A więc jutro - oświadczyła. - Tylko że niestety dopiero po południu. Rano mademoiselle Dupont mnie nie zwolni.

- Będę czekać z niecierpliwością.

Robert przyglądał się temu dobrotliwie. Niewątpliwie był

zadowolony, że nawiązałam dobry kontakt z jego rodziną. Ja też się uspokoiłam, gdyż wyglądało na to, że wszystkim zależy, aby mi tu było przyjemnie. Tego wieczoru, kiedy już byłam z powrotem w swym eleganckim, osiemnastowiecznym pokoju, byłam już pewna, że mądrze zrobiłam, przyjeżdżając tutaj.

Następnego ranka o wpół do ósmej rano pojawiła się u mnie Berthe z dzbankiem gorącej wody i zapowiedziała, że niedługo przyniesie mi petit dejeuner.

Domyśliłam się, że wszyscy tu jedzą śniadanie w swoich pokojach. Tutejsze śniadania nie przypominały w niczym śniadań, jakie znałam z domu, gdzie na kredensie stały najprzeróżniejsze przysmaki - jajka smażone na boczku, nerki przyprawione na ostro czy potrawka z ryżem.

Moja znajomość francuskiego była zupełnie wystarczająca, bym mogła porozumieć się z Berthe. Obiecywałam sobie jednak, że podczas pobytu we Francji trochę się podciągnę.

Po chwili Berthe pojawiła się znowu; tym razem przyniosła tacę z chrupiącym, jeszcze gorącym chlebem, dzbankiem z kawą i mniejszym dzbanuszką z gorącym mlekiem.

Zdumiało mnie, że nie tylko byłam w stanie zjeść to wszystko z apetytem, ale w dodatku z niecierpliwością wyczekiwałam, co mi ten dzień przyniesie.

Zbiegłam na dół do holu, a stamtąd wyszłam do ogrodu.

Powietrze było świeże i wokół mnie unosił się zapach kwiatów.

Skierowałam się w stronę stawu, położonego w centralnym punkcie trawnika. W środku stawu ustawiony był posązek dwóch nimf splecionych w uścisku. Odwróciwszy się, miałam stąd dobry widok na dom. Przyglądałam się wieżyczkom, szarym murom i zasłoniętym oknom. Gdzieś słońce wydobywało z szarego kamienia drobne odblaski. Dom szary, na swój sposób ponury... ale był przecież taras, gdzie w białych donicach rosły kwitnące krzewy, a po murze pięło się zielone pnącze, wczepione w szary kamień, jakby chciało go zmiękczyć.

- Dzień dobry! - usłyszałam głos Roberta.

Ależ on był dla mnie miły! Jak bardzo mu zależało, żeby mi było dobrze. Charlie był taki sam, a jego życzliwość sprowadziła na mnie to straszne nieszczęście. Jakże marzyłam o tym, aby powrócić do dawnych dni, które, jak wtedy sądziłam, miały trwać bez końca.

- Mam nadzieję, że spałaś dobrze - zagadnął.

- Dziękuję, świetnie. Mój pokój jest śliczny. Czuję się jak madame de Pompadour.

- Och, nie przesadzajmy! Ale chcielibyśmy, żeby ci tu było wygodnie.

- Zauważyłam. Nawet gdyby tak nie było, to na pewno nie z twojej winy ani twojej siostry.

Otoczył mnie ramieniem i powiedział:

- Droga Noelle, wiem przecież, jak to jest. Spróbujemy pomóc ci zapomnieć o tym wszystkim. To jedyna rada.

- Wiem. Tylko że łatwo to powiedzieć, a trudniej zrobić.

- Czas zrobi swoje. Angele mówiła, że dziś rano chciałyby oprowadzić cię po domu.

- Bardzo jestem ciekawa.

- Obiecałaś też Marie - Christine, że po południu pojeździsz z nią konno.

- Wygląda na bardzo miłą dziewczynkę.

- Wydaje mi się, że czasami bywają z nią kłopoty. Angele zawsze stara się ją usprawiedliwić. Straciła przecież matkę...

wychowuje się wśród starszych... a mademoiselle też chyba ostro trzyma ją w karchach. Tak czy inaczej, chodźmy do stajni. Chciałbym wybrać ci odpowiedniego wierzchowca.

- Teraz? - zapytałam.

- A czemu nie?

Przez ogród przeszliśmy do stajni, gdzie zastaliśmy Jacquesa.

Robert zapytał go o konia dla mnie. Jacques był na to przygotowany, pokazał nam małą klacz, kasztankę. Nazywała się, odpowiednio do swej maści, Marron (Marron (franc.) - kasztan (przyp. tłum.)). Jak twierdził Jacques, była łagodna i posłuszna, nieskora do żadnych niespodziewanych wyskoków.

Potrzebowała

spokojnego,

zrównoważonego jeźdźca i można jej było zaufać.

- Wygląda na to, że mamy już dla ciebie odpowiedniego konia, Noelle - stwierdził Robert. - Przynajmniej na początek.

Poleciał Jacquesowi, żeby przygotował Marron na popołudnie, bo będę już jeździć z mademoiselle Marie - Christine.

- O której godzinie? - zapytał Jacques.

- Dejeuner będzie o pierwszej, więc może o wpół do trzeciej? To z pewnością dobra pora -

zdecydował Robert.

Wyszliśmy ze stajni i natknęliśmy się na Angele, która właśnie mnie szukała.

- Chciałabym oprowadzić Noelle po domu. Mogę cię nazywać Noelle, prawda? - zapytała. - W tych starych domach to nigdy nic nie wiadomo. Można się zgubić... ale szybko się przyzwyczaisz. To tylko na początku jest trochę kłopotliwe.

Robert przekazał mnie Angele i rozpoczęliśmy wyprawę po domu. Opowiadała mi, że podobnie jak inne stare siedziby i on ulegał

wielokrotnym

remontom

i

przebudowom.

Pewne

części

dobudowywano, inne zaś rozbierano, co sprawiało, że dom zmieniał

swój charakter. Teraz na pewno wygląda zupełnie inaczej niż na początku.

- I to czyni go jeszcze ciekawszym - powiedziałam.

- Cóż... w pewnym sensie chyba tak. Na przykład, tu w samym środku holu było kiedyś palenisko. To nawet dobre miejsce, bo można było wokół niego usiąść.

- Ale to niebezpiecznie - rzekłam.

- Przypuszczam, że ogień zawsze wiąże się z pewnym zagrożeniem. Dym uchodził tu przez otwór w suficie. No, dach tyle razy był reperowany, że teraz już tego nie widać. Został tylko zarys na podłodze.

- Tak, widzę.

- No i mamy tu broń, kiedyś używaną w bitwach. To są pamiątki z wojny stuletniej; twój kraj walczył wtedy z moim. A tutaj masz broń z wojen napoleońskich, kiedy ponownie nasze kraje walczyły ze sobą.

- Mam nadzieję, że nigdy już do tego nie dojdzie.

- Miejmy nadzieję. Naszemu cesarzowi zależy na przyjaznych stosunkach z Anglią. Mamy różne

umowy handlowe i tak dalej. Poza tym łączy nas sprawa Kanału Sueskiego. Miejmy więc nadzieję, że już nigdy nie będziemy prowadzić ze sobą wojny.

- Zdaje mi się, że cesarz Napoleon III cieszy się tu we Francji dużą popularnością.

- O tak... ale ma też i wrogów. Który władca ich nie ma?

Cesarzowa Eugenia jest piękna i czarująca, mają syna i dziedzica; z pozoru wszystko wygląda więc znakomicie. Są wytworni i łaskawi i gdziekolwiek się pojawią, ludzie wiwatują na ich cześć. Robert i ja czasem jesteśmy proszeni o pełnienie pewnych funkcji u dworu i zawsze spotykamy się tam z wielką łaskawością.

- A więc wydaje się, że wszystko układa się dobrze.

- Kto może to wiedzieć na pewno? Pamiętamy, że jeszcze nie tak dawno szalała tu rewolucja. To jest coś, czego kraj tak łatwo nie zapomina.

- Teraz nie byłoby po temu przyczyny.

- Ludzie zawsze znajdują jakieś powody - odparła trzeźwo. - Ale cóż za ponury temat do rozmowy! To wszystko przez tę broń.

Poproszę Roberta, żeby ją stąd usunął, a na jej miejsce można byłoby powiesić gobeliny. Są znacznie ładniejsze. Więc to jest właśnie wielki hol i poza tym, że zlikwidowano palenisko, praktycznie nic tu się przez stulecia nie zmieniło.

- Naprawdę robi ogromne wrażenie.

- Dalej są już tylko kuchnie, możemy je sobie darować. Teraz kręci się tam służba.

Weszliśmy po schodach na górę, gdzie Angele pokazała mi kilka pokoi. Wszystkie umeblowane były w podobnym stylu jak pokój, w którym teraz mieszkałam. W większości z nich okna były zasłonięte.

Wspięliśmy się jeszcze po kilku schodach i znalazłam się w galerii, gdzie wisiały portrety. Zatrzymałyśmy się, aby im się przyjrzeć, a moja przewodniczka pokazywała mi podobizny różnych członków rodziny, wśród nich także portret swój i Roberta.

- To jest mój mąż - powiedziała. - A to Gerard. Zatrzymałam się.

Gerard wydawał mi się bardziej interesujący, bo żył i najprawdopodobniej miałam go poznać.

Na obrazie przedstawiony był w ciemnym płaszczu z białym fularem; przy jego jasnej cerze włosy robiły wrażenie prawie czarnych. Miał ciemnoniebieskie oczy i przypominał mi Marie -

Christine. Rzecz jasna, że musieli być do siebie podobni, przecież była jego córką. Oboje mieli w oczach ten sam niepokój. Jakby coś na nich ciążyło... prześladowało ich nawet.

- Widzę, że zainteresował cię mój syn Gerard.

- Tak. Wygląda na nieszczęśliwego.

- To był błąd, że właśnie wtedy go sportretowano. Ale wszystko już było ustalone, rozumiesz. Ten portret jest dziełem Aristida Longere. Znasz to nazwisko?

- Nie.

- To jeden z modnych obecnie malarzy. Tak, to był błąd, że Gerard dał się sportretować tak szybko po...

- Po...?

- Stracił swą młodą żonę. To był straszny okres.

- Rozumiem.

Odeszłyśmy dalej i Angele objaśniła mi znowu:

- To jest nasz ojciec, mój i Roberta.

Przez cały czas, gdy zwiedzałyśmy galerię, nie przestawałam myśleć o Gerardzie.

- Tędy idzie się na wieżę północną - powiedziała Angele, kiedy doszłyśmy do spiralnie wijących się schodów. - Tam rezyduje Gerard, kiedy przebywa w La Maison Grise. W tej wieży jest północne światło i on to lubi. Świetnie mu się przy nim pracuje.

- Możemy tam wejść?

- Ależ oczywiście.

Doszłyśmy do drzwi u szczytu schodów. Angele otworzyła je i znalazłyśmy się w dużym pomieszczeniu o wielu oknach. W głębi stały sztalugi, a pod ścianą ustawione były płótna.

- Gerard przeważnie pracuje w Paryżu, więc mało kiedy tu bywa.

Ale ta wieża jest jego; ma tu też sypialnię i inne pokoje, a to jest jego pracownia.

- Na pewno pani za nim tęskni, skoro tak dużo przebywa w Paryżu.

- Tak jest dla niego najlepiej - wzruszyła ramionami. - Jest tam wśród innych artystów, swoich przyjaciół. A tutaj wspomina...

- Jego żona musiała być bardzo młoda, kiedy umarła. Kiwnęła głową.

- Bardzo młodo się pobrali. Gerard ma teraz trzydzieści dwa lata, a ona umarła trzy lata temu. Marie - Christine miała wtedy dziewięć lat, więc Gerard musiał mieć dwadzieścia, kiedy się urodziła. Był

na to stanowczo za młody. Zarówno mój mąż Henri, jak i ja byliśmy temu przeciwni, ale...

Znów, w znany mi już sposób, wzruszyła ramionami.

- Teraz ma swoją pracę i jego życie związane jest z Paryżem. Tak jest lepiej. A tutaj, ach, tu właśnie wszystko się zdarzyło.

Kiwnęłam głową. Wiedziałam dobrze, czym są wspomnienia.

W tym momencie zauważyłam ten portret. Zanim zdążyłam zapytać, już wiedziałam, kogo przedstawiał. Kobieta była piękna, dziką, cygańską urodą. Włosy miała ciemnorude i brązowe oczy. Coś złośliwego było w jej wzroku, a usta zdradzały skłonność do uporu i samowoli. Była fascynująca.

- To Marianne - rzekła Angele.

- Marianne...?

- Żona Gerarda. Matka Marie - Christine.

- Jest bardzo piękna.

- Tak - potwierdziła cicho Angele.

Zastanawiałam się, w jakich okolicznościach umarła. Czułam, że jej śmierć otoczona jest jakąś tajemnicą i dlatego też nie powinienam o to pytać. Odnosiłam wrażenie, iż Angele żałuje, że zaprowadziła mnie do wieży północnej.

Kontynuowałyśmy zwiedzanie domu. W wieży zachodniej mieścił się pokój do nauki.

- Może nie będziemy przeszkadzać Marie - Christine w lekcjach -

powiedziała Angele - chociaż Marie - Christine z pewnością nie miałyby nic przeciwko temu.

Podczas zwiedzania jeszcze raz zdarzyło jej się wspomnieć Gerarda. Powiedziała:

- Przypuszczam, że pewnego dnia powróci tu na stałe. W

przyszłości odziedziczy tę posiadłość. Może się jeszcze ożeni; wciąż mam taką nadzieję.

Powiedziałam jej, że dom wydaje mi się niezwykle interesujący.

- Jakkolwiek - dodałam - nie umiałabym tu jeszcze sama nigdzie trafić.

- Z czasem się nauczysz - odpowiedziała, uśmiechając się.

Popołudniowa konna przejażdżka z Marie

-
Christine

zapoczątkowała naszą przyjaźń. Wydaje mi się, że budziłam w niej równie wielkie zainteresowanie, jak ona we mnie. Obydwie martwiłyśmy się swymi trudnościami językowymi, lecz z równą determinacją postanowiłyśmy je przezwyciężyć.

Udało mi się wydobyć od niej pewne informacje. Powiedziała mi, że jeździ konno od czasu, gdy miała dwa lata i dostała swego pierwszego kucyka.

Odpowiedziałam na to, że ja mieszkałam w Londynie i zaczęłam się uczyć dopiero, kiedy pojechałam na wieś, nie tak dawno temu. .

- Czy ktoś panią uczył?

Zaproponowałam, żeby mówiła mi po imieniu, to mogło znacznie ułatwić nam kontakt. Jej pytanie jednak na nowo obudziło we mnie dojmujący żal. Znowu przypomniałam sobie Rodericka, jak trzymał uzdę i zachęcał mnie do jazdy.

Marie - Christine natychmiast dostrzegła moją zmianę nastroju.

- A kto cię uczył? - zapytała.

- Przyjaciel, który tam mieszkał.

- Czy sprawiało ci to przyjemność? - Ach, tak... tak.

- I kiedy jesteś w Anglii, to z nim jeździsz?

- Nie... już nie.

Zamyśliła się, szukając właściwych słów.

- Jaki jest Londyn?

- To bardzo duże miasto.

- Jak Paryż.

- Wszystkie duże miasta są trochę do siebie podobne.

- Małe miasteczka są ładne. Niedaleko jest Villemere, może o milę stąd. Jest tam kawiarnia, gdzie sprzedają znakomite gateaux.

Siedzi się pod drzewami, pije kawę i zajada. Można też przyglądać się ludziom.

- Myślę, że by mi się to spodobało.

- Szkoda, że tak trudno nam ze sobą rozmawiać. Kiedy przez cały czas szuka się słów, trudno jest wyrazić to, o co chodzi. Wiem, co zrobimy, ja będę cię uczyć francuskiego, a ty mnie angielskiego, dobrze? Bo tak, idzie nam za wolno.

- To chyba dobry pomysł.

- W porządku, zrobmy tak.

- Możemy uczyć się, rozmawiając, możemy też razem czytać; to nam pomoże.

Oczy jej rozbliły.

- Świetnie, zacznijmy od dzisiaj.

- Najszybciej, jak się da.

- Nie znoszę czekania, zacznijmy od razu.

Resztę popołudnia spędziłyśmy więc, przepytując się nawzajem i w miarę potrzeby poprawiając błędy. Było to i pożyteczne, i zabawne.

Tak spędziłam jedną z najmilszych godzin od czasu, gdy Charlie wypowiedział słowa, które zburzyły moje szczęście.

Codziennie spędzałam trochę czasu z Marie - Christine. Uczyła się w zadziwiająco szybkim tempie, jeśli jej na tym zależało, i po tygodniu już całkiem nieźle dawała sobie radę z angielskim. Wydaje mi się, że ja wolniej robiłam postępy we francuskim. W każdym razie coraz łatwiej nam było się porozumieć.

Poznałam też mademoiselle Dupont. Była to osoba w średnim wieku, całkowicie oddana swojej pracy. Odnosiła się do mnie z szacunkiem i była zadowolona, że pomagam Marie - Christine doskonalić się w angielskim. Co więcej, i Robert, i Angele byli zachwyceni naszą przyjaźnią, a Robert, jak sądzę, gratulował sobie, że przywiózł mnie do Francji.

Rzeczywiście smutek jakby mnie trochę opuścił. Nie było dnia, żebym nie myślała o Rodericku i w głębi serca wiedziałam, że nigdy go nie zapomnę ani nie przestanę za nim tęsknić. Zdołałam jednak znaleźć choć drobne pocieszenie i wdzięczna byłam Robertowi za to, że mnie tu przywiózł, i Angele za wyrozumiałość, jaką mi okazywała, a chyba najbardziej Marie - Christine, która sprawiła, że mój pobyt tutaj nabrał celu i sensu.

Byłam zdumiona, jak szybko mijał mi czas. Marie - Christine postanowiła zostać moją, jak to określiła, patronne. Zabrała mnie do małego miasteczka Villemere; siedziałyśmy tam w ogródku przed kawiarnią i raczyłyśmy się kawą oraz znakomitymi gdteaux.

Przedstawiła mnie właścicielce tego lokalu, madame Lebrun -

potężnej, dosyć groźnej osobie, która siedziała przy kasie i z wyraźną zachłannością liczyła franki - i jej małemu, potulnemu mężowi, który zajmował się wypiekami ciastek, no i Lilie, kelnerce, której ukochany był marynarzem. Czwartek był w Villemere dniem targowym i kiedy włączyłyśmy się tam wśród straganów, odkryłam, że znowu potrafię się śmiać. Targowałam się, próbowałam coś kupić okazjnie i uważałam za wielki triumf, kiedy mi się to udawało. Marie - Christine знаła masę ludzi. Kiedy przechodziłyśmy, ciągle słychać było:

„Bonjour, mademoiselle". Marie - Christine powiedziała mi, że la mademoiselle anglaise, czyli ja, wzbudza ogólne zainteresowanie.

Byłam zaskoczona, że jestem w stanie zainteresować się życiem toczącym się dookoła, jednak na widok rozbawionych mężów i żon z powrotem popadałam w głębokie przygnębienie. Taki bliski związek był czymś, czego nigdy miałam już nie zaznać. Dobrze, że chociaż zdarzały się chwile, kiedy potrafiłam jeszcze odczuwać przyjemność...

nawet jeśli była ona tylko ulotna.

Zawdzięczałam to przede wszystkim Marie - Christine. Jej niewątpliwe zainteresowanie moją osobą, jak i to, że razem czytałyśmy i nasze wspólne wycieczki po okolicy, było najlepszą pomocą, jaką mogłam sobie wymarzyć.

Paplała bezustannie i ciągle zadawała mi pytania. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej o moim życiu i bardzo interesował ją teatr.

- Mademoiselle Dupont mówi, że bardzo mi się przyda, jeśli dowiem się czegoś o teatrze angielskim. Ona twierdzi, że ten wasz Szekspir to największy poeta, jaki kiedykolwiek istniał. Rzeczywiście musi być dobry, bo Dupont zwykle uważa, że Francuzi są lepsi od wszystkich innych. Ciekawe, że nie woli Racine'a, Moliera czy kogoś takiego.

- Świat teatru, w którym ja się obracałam, zapewne nie przypadłby do gustu mademoiselle Dupont.

- Opowiedz mi o tym.

Opowiadałam jej więc o „Hrabinie Maud" i o „Słodkiej Lawendzie", o piosenkach, tańcach i strojach, o premierach i o utarczkach z Dollym. Była oczarowana.

- Uwielbiam twoją matkę - wołała. - I właśnie ona umarła! - Tak.

- Była za młoda, żeby umrzeć, prawda?

- Och, tak.

- Dlaczego ludzie, którzy są piękni, muszą tak młodo umierać? -

Zamyśliła się na moment. - No, przypuszczam, że gdyby się zestarzeli, nie byłiby już piękni. I właśnie dlatego ludzie piękni umierają młodo.

Miałam fotografię matki, którą zawsze przy sobie nosiłam.

Pokazałam ją Marie - Christine.

- Jest śliczna - orzekła. - Ty jej wcale nie przypominasz.

- Dziękuję - roześmiałam się. - Jeśli chodzi o ścisłość, nikt nie mógłby być do niej podobny.

- Obydwie miałyśmy piękne matki, i ty, i ja. Nawet nie zwyczajnie piękne, tylko cudownie piękne.

Milczałam i myślałam o Desiree, ożywionej po premierze i rozpromienionej... o różnych scenicznych wpadkach, które mogły źle się skończyć... o mężczyźnie z pierwszego rzędu krzeseł, który czekał

przy wyjściu, podczas gdy Desiree wymyka się tylnymi drzwiami.

Wspomnienia... wspomnienia... nie było od nich ucieczki.

- Robi ci się smutno, jak myślisz o swojej mamie, prawda? -

zagadnęła Marie - Christine.

- Tak... ale jej już nie ma.

- Wiem, mojej też. Opowiedz mi, w jaki sposób umarła twoja matka. Przecież była młoda, prawda? No, nie była jeszcze stara. Moja też nie była stara.

- Chorowała, niby nie było to nic poważnego, zaszkoziło jej coś, co zjadła. Lekarze orzekli, że to jakaś roślina z naszego ogrodu.

- Trująca roślina!

- Tak. Nazywa się wilczomlec i rośnie dziko. Jeśli przypadkiem ubrudzisz dłonie jej sokiem i potem dotkniesz ust, może ci zaszkodzić.

- Co za okropność!

- To nic strasznego, tylko dość nieprzyjemne. Jest ci niedobrze i kręci ci się w głowie. No i właśnie moja matka tak się czuła; miała zawroty głowy i mdłości. Wstawała z łóżka i przewróciła się.

Uderzyła przy tym głową o jakiś mebel i to ją zabiło.

- Jakie to dziwne, bo moja matka... co prawda nie uderzyła się o żaden mebel, ale zginęła, spadając z konia. To trochę podobne, prawda? Obydwie nieszczęśliwie upadły, obydwie były młode i piękne. Może właśnie dlatego zaprzyjaźniłyśmy się ze sobą.

- Myślę, że chodzi tu o coś więcej, Marie - Christine.

- Ty nadal wiele myślisz o swojej matce, prawda? - Tak.

- Ja o swojej też. Często myślę o niej i o tym, w jaki sposób umarła.

- Marie - Christine, musimy spróbować zapomnieć.

- Jak można na siłę zapomnieć?

- Przypuszczam, że można, jeżeli człowiek bardziej zajmie się swoją przyszłością i stara się pozostawić przeszłość za sobą. Trzeba przestać o tym myśleć.

- Tak, tylko jak?

To było właściwe pytanie. Jak można zapomnieć?

Już cztery tygodnie przebywałam w La Maison Grise i wcale nie miałam ochoty stąd wyjeżdżać. W sprawie decyzji, co mam dalej zrobić ze swoim życiem, nie posunęłam się jednak ani o krok dalej.

Zaczęłam powtarzać sobie, że nie mogę przecież być wiecznym gościem, bez względu na to, jak gościnni byliby moi gospodarze.

Robert dość często jeździł do Paryża w różnych sprawach bankowych. Miał tam niewielki dom i za każdym razem spędzał w Paryżu po kilka dni. I on, i Angele stanowczo twierdzili, że muszę także pojechać do stolicy. Mogłam zrobić tam zakupy, coś zobaczyć i pozwiedzać.

Zapytałam Roberta, czy podczas swego pobytu w mieście będzie często widywał się z siostrzeńcem.

- Wątpię - odparł. - Wydaje mi się, że on cały czas pracuje i nie lubi, jak mu się przeszkadza. Wtedy nic poza pracą go nie obchodzi, więc poczekam raczej, żeby sam mnie do siebie zaprosił. Od czasu do czasu przyjeżdża tutaj na jakiś tydzień czy dwa. Odpoczywa wtedy od Paryża.

- I pracuje w wieży północnej? - Tak.

- Robercie, czy zdajesz sobie sprawę, że jestem tu już cały miesiąc?

- Więc?

- Nie mogę nadużywać waszej gościnności.

- Gniewa mnie to, co mówisz. Nie bierzesz nic, czego sami nie chcielibyśmy ci ofiarować. Jesteś tu bardzo mile widziana. Angele mówi, że Marie - Christine przepada za tobą, od czasu jak tu jesteś, jest z nią o wiele mniej problemów. Mademoiselle Dupont twierdzi, że dzięki tobie Marie - Christine poczyniła niezwykle postępy w angielskim, co pod jej kierunkiem na pewno nie byłoby możliwe.

Więc bardzo proszę, nie mów więcej w ten sposób. Lepiej się teraz czujesz, prawda?

- Tak, rzeczywiście. Zdarza się, że zapominam, ale potem znowu wszystko wraca. Czasem są takie chwile, kiedy czuję się szczęśliwa.

- To dobrze. Wiedziałem, że dobrze będzie, jak tu przyjedziesz i powinnaś była to zrobić od razu.

- Jesteś dla mnie taki dobry, Robercie. Wiem, jakie uczucia żywiłeś do mojej matki, ale to nie oznacza, że musisz nimi obejmować także i mnie.

- Błagam cię, Noelle, skończ już z tą bezsensowną gadaniną, bo mogę naprawdę się rozzłościć, a bardzo tego nie lubię. Opowiedz mi o Marie - Christine. Jak zdołałaś tak ją odmienić?

- Myślę, że zrobiliśmy dobry początek, starając się za wszelką cenę przełamać nasze trudności językowe.

- A teraz już codziennie jesteście razem, jeździcie konno, prawda?

- Sprawia jej przyjemność, że może zapoznawać mnie z życiem tutaj. A ja opowiadam jej o swoim dzieciństwie. - Przerwałam, a on kiwnął głową, zdając sobie sprawę, że nie wszystko nadaje się do opowiadania. - Bardzo ją to interesuje.

- Więc nie mów już o wyjeździe.

- Robercie, ja wcale nie chcę stąd wyjeżdżać.

- To najlepsza wiadomość, jaką mogłem usłyszeć. Ogarnęło mnie więc poczucie bezpieczeństwa. Nie musiałam na razie podejmować żadnych decyzji.

Zaczynałam pojmować, że znajomość z Marie - Christine może także nastrożać trudności. Miewała ona humory i potrafiła w jednej chwili być w doskonałym nastroju, a już za moment wpadała w przygnębienie. Ten rys jej charakteru był dla mnie dość intrygujący.

Już od początku naszej znajomości wyczuwałam, że trapi ją jakaś tajemnica.

Kiedyś zapytałam ją wprost:

- Marie - Christine, czy coś cię dręczy?

Udawała, że nie rozumie, o co mi chodzi; zwykle tak robiła, kiedy zadawałam jej pytanie, na które nie miała akurat ochoty odpowiedzieć.

- Dręczy? Co to znaczy „dręczy”? - zapytała.

- To znaczy, czy coś cię martwi, może masz jakiś kłopot.

- Kłopot? O tak, mademoiselle Dupont mówi, że z matematyki jestem okropna. - To ostatnie wymówiła z wyraźnym francuskim akcentem, jakby chciała to jeszcze podkreślić.

Zaczęłam się z niej śmiać.

- Sądzę, że chodzi o coś ważniejszego niż matematyka.

- Matematyka jest rzeczą najwyższej wagi, jak mówi mademoiselle Dupont.

- Marie - Christine, chodzi mi o to, czy masz jakieś zmartwienie... coś, o czym mogłybyśmy porozmawiać?

- Nie mam żadnego zmartwienia - zaprzeczyła zdecydowanie. -

A co do tej głupiej matematyki, to kto by się nią przejmował?

Nie czułam się przekonana, ale rozumiałam ją. Przecież sama miałam różne własne smutki, które wolałam zachować dla siebie i z nikim o nich nie rozmawiać.

Któregoś dnia Marie - Christine powiedziała:

- Chciałabym, żebyśmy pojechały do mojej cioci Candice, żebyś mogła ją poznać.

Zaskoczyło mnie to, bo ani Robert, ani Angele nigdy o kimś takim nie wspominali.

- To siostra mojej matki - powiedziała Marie - Christine, kiedy prowadziłyśmy konie ścieżką.

- Mieszka gdzieś w pobliżu?

- Niedaleko, jakieś pół godziny stąd. Moja mama i ona były bliźniaczkami.

- Niezbyt często bywa w La Maison Grise, prawda?

- Nie. Babcia Angele ją zapraszała, dziadzio Robert też.

Przynajmniej dawniej tak było, teraz już dali spokój. Ona nie chce tu przychodzić. Pewnie to przywołuje jej wspomnienia... a ona chce zapomnieć. W każdym razie, tutaj nie bywa.

- A ty często się z nią widzisz?

- Niezbyt. Ale chodzę tam... czasami. Wydaje mi się, że zanadto przypominam cioci Candice mamę, a ona stara się uciec od wspomnień.

- Nigdy jeszcze nie opowiadałaś mi o swojej cioci.

- No, nie mogę jeszcze... mówić ci wszystkiego. To wymaga czasu.

Jechałyśmy i wkrótce skierowałyśmy się w stronę, gdzie nigdy dotąd nie byłam.

Dotarłyśmy do strumienia.

- Młyn jest już niedaleko stąd - powiedziała Marie - Christine.

- Młyn?

- Moulin Carrefour (carrefour (franc.) - skrzyżowanie dróg (przyp. tłum.)). Tak nazywa się ten dom. Właściwie stoi on przy skrzyżowaniu dróg. Stąd też pochodzi jego nazwa. Teraz już jest nieczynny, ale mój pradziadek był młynarzem.

- Dostyc trudno mi się w tym wszystkim połapać. Może wytłumaczyłabyś mi trochę, co to za miejsce i ludzie, do których mnie prowadzisz?

- Już ci mówiłam, że jedziemy odwiedzić moją ciocię Candice, a ona mieszka w Moulin Carrefour, to znaczy we młynie stojącym u skrzyżowania dróg.

- To już zrozumiałam, ale...

- No więc, mój pradziadek był młynarzem, ale mój dziadek dorobił się wielkich pieniędzy na hazardzie czy czymś takim i powiedział, że nie chce spędzić całego życia jako młynarz. Zamknął

więc młyn i został szlachcicem. Zniesławił się jednak przez małżeństwo z Cyganką, którą wziął nie wiadomo skąd. Urodziła mu dwie córki, Candice i Marianne. Marianne była najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek istniała. Wyjechała stąd do Paryża i pozowała artystom jako modelka. Poślubiła mojego ojca i urodziła mnie... a kiedy miałam dziewięć lat, umarła. Ciocia Candice przez cały ten czas mieszka w Carrefour z Nounou.

- Z kim?

- Z ich starą nianią, oczywiście. Nounou nigdy nie opuściłaby Candice. Ona też tam teraz będzie.

- A Candice... nie wyszła za mąż?

- Nie. Ona i Nounou mieszkają razem. Myślę, że one nigdy nie zapomną Marianne.

- To dziwne, że nigdy was nie odwiedzają.

- Jeśli się je zna, nie widać w tym nic dziwnego. Candice nie była u nas już od trzech lat.

- Odkąd umarła jej siostra.

- Tak, właśnie. Jedźmy, pokażę ci miejsce, gdzie moja mama spadła z konia. Pechowe miejsce. Kogoś innego też koń zrzucił

dokładnie w tym miejscu, gdzie zginęła mama. Nazywa się to coin du Diable. Wiesz, co to znaczy?

- Diabelski Zakątek. Musi być jakiś powód, że takie wypadki się tu zdarzają.

- Podobno to dlatego, że ludzie galopują przez pola i zapominają o skrzyżowaniu dróg, a kiedy tam nagle wyjadą, to muszą gwałtownie zatrzymać konia. Spójrz, to właśnie tutaj.

Nagle się zatrzymała, ja zrobiłam to samo. Patrzyłyśmy na teren porośnięty trawą, za którym widać było skrzyżowanie dróg i strumień, będący zapewne odnogą jakiejś płynącej w pobliżu rzeki. Stał

tam też młyn. Młyn górował nad okolicą, a za nim widniały jakieś budynki, które wyglądały na stodoły.

Do domu prowadziła ścieżka, a na furtce widniały słowa:

„Moulin Carrefour”.

- Czy uprzedziłaś ciotkę o naszej wizycie?

- Ach, nie. Wstąpimy tak sobie, na chwilę.

- Może nie ma ochoty mnie poznać.

- Na pewno ma. A poza tym mnie chętnie zobaczy, Nounou też.

Zsiadłyśmy z koni. Przywiązałyśmy je do słupka przy bramie i zarośniętą ścieżką dotarłyśmy do domu.

Marie - Christine z głośnym brzękiem uderzyła kołatką o drzwi.

Odpowiedziała nam cisza. Poczułam się trochę niezręcznie, nikt nas tu nie oczekiwał. Co sprawiło, że Marie - Christine tak nagle zapragnęła odwiedzić ciotkę?

Właśnie myślałam z ulgą, że pewnie nikogo nie ma w domu, kiedy drzwi uchyliły się. Wyrzała zza nich starsza, siwowłosa kobieta, która musiała być już pewnie mocno po sześćdziesiątce.

- Ach, Nounou - powitała ją Marie - Christine. - Przyjechałam cię odwiedzić. A to jest mademoiselle Tremaston, która przyjechała z Anglii.

- Z Anglii?

Starsza kobieta przyglądała mi się podejrzliwie, a dziewczynka mówiła dalej:

- Dziadzio Robert był przyjacielem jej matki, bardzo sławnej aktorki.

Drzwi otworzyły się szerzej i weszłyśmy do mrocznego holu.

- Czy ciocia Candice jest w domu? - zapytała Marie - Christine.

- Nie, wyszła.

- A kiedy wróci?

- Nie wiem na pewno.

- No to porozmawiamy z tobą, Nounou. Jak się czujesz?

- Dokucza mi reumatyzm. Może lepiej będzie, jak pójdziemy na górę do mojego pokoju.

- Dobrze, chodźmy. Może tante Candice niedługo wróci.

Poszliśmy po schodach na górę, a potem korytarzem, aż Nounou otworzyła nam któreś drzwi. Weszliśmy do pokoju i Nounou gestem nakazała nam usiąść.

- No, Marie - Christine, już dawno u nas nie byłaś - powiedziała.

- Powinnaś nas częściej odwiedzać. Wiesz, że mademoiselle Candice nie chce chodzić do La Maison Grise.

- Gdyby chciała mnie zobaczyć, to by przyszła.

- Wie, że ty przyjdiesz tutaj, jeśli będziesz chciała się z nią widzieć. Czy jest pani wygodnie, mademoiselle...?

- Tremaston - odpowiedziała Marie - Christine. Odparłam, że dziękuję, bardzo mi wygodnie.

- Pokazuję mademoiselle Tremaston okolicę... ciekawe miejsca, ciekawych ludzi i tak dalej. Więc wstąpiłyśmy i do was.

- Jak się tu pani podoba, mademoiselle?

- Wszystko jest takie ciekawe.

- Z daleka pani przyjechała... aż z Anglii. A ja nie ruszałam się stąd, odkąd urodziły się Marianne i Candice. To już dobry kawałek czasu.

- Nounou zamieszkała tu, kiedy one się urodziły, prawda, Nounou?

- Ich matka, wie pani, zmarła przy porodzie i ktoś musiał się nimi zająć.

- Wychowałaś je, jakby to były twoje dzieci, prawda, Nounou?

- Tak, wychowałam je jak własne.

Siedziała, wpatrując się w przestrzeń, i wydawało mi się, że przywoływała z pamięci swój obraz, gdy wiele lat temu przyjechała do tego domu, aby zaopiekować się osieroconymi przez matkę bliźniaczkami.

Zauważyła, że jej się przyglądam, i powiedziała tonem nieomal przeprasającym:

- Człowiek przywiązuje się do dzieci, nawet do cudzych. Ich ojca też wychowywałam. Ten to był bystry, naprawdę. Uważałam go prawie za własnego syna. Jego matka mało się nim interesowała. A to był dobry chłopak, w jakiś czarodziejski sposób potrafił zdobywać pieniądze. Praca we młynie nie była dla niego. Zawsze o mnie dbał, miał zwyczaj mawiać: „Dopóki ja żyję, niczego ci nie zabraknie”. A potem ożenił się z tą Cyganką. I to on, taki zdolny chłopak... żeby coś takiego zrobił! No i został sam z dwoma niemowlętami. Ona nie powinna w ogóle mieć dzieci, niektóre kobiety się

do tego nie nadają.

Wtedy mnie poprosił: „Nounou, musisz wrócić”. No i tak to było.

- Myślę, że chętnie pani wróciła - odezwałam się. Marie -

Christine uśmiechała się słodko. Widziałam, że jest zadowolona, iż rozmowa przybiera taki właśnie obrót. Patrzyła na mnie z dumą, bo jak mi się wydawało, Nounou znalazła we mnie wdzięczną słuchaczkę.

- Wszystko było na mojej głowie - opowiadała staruszka. -

Pokochałam te dziewczynki. Marianne od samego początku była piękną, taka już się urodziła. Mówiłam sobie: „Może być z tego kłopot”. Wszyscy się za nią uganiali, jak tylko trochę podrosła. Gdyby ją panienka widziała, wiedziałyby panienka dlaczego. Mademoiselle Candice też jest ładna, ale w żadnym razie nie wytrzymałaby konkurencji z Marianne. No a potem... taka śmierć.

Na chwilę zamilkła i zauważyłam, że po policzkach spływają jej łzy.

- Po co ja w ogóle o tym mówię? - zapytała. - Napije się pani wina? Marie - Christine, wiesz, gdzie trzymam wino, nalej kieliszek dla mademoiselle. Co do ciebie to nie jestem pewna, może pół na pół z wodą.

- Z wodą nie chcę, Nounou. Wypiję takie, jak jest - rzekła Marie

- Christine z godnością.

Nalała wino do kieliszków i podała nam, trzeci zaś wzięła sobie.

Nounou uniosła kieliszek w moją stronę.

- Witamy we Francji, mademoiselle - powiedziała.

- Dziękuję.

- Mam nadzieję, że jeszcze nas pani odwiedzi. - Otarła oczy, wciąż jeszcze pełne łez. - Musi mi pani wybaczyć. Czasem tak się rozczulam. Tak smutno jest tracić tych, którzy tyle dla nas znaczyli.

- Wiem o tym - odparłam.

- Tego, co najważniejsze, nie sposób zapomnieć. Ta dziewczyna była całym moim życiem. Taka piękna... i pomyśleć, że już jej nie ma.

Czasem te myśli stają się zupełnie nie do zniesienia.

- Rozumiem, co pani czuje - rzekłam.

- No a teraz proszę mi opowiedzieć o sobie.

- Przyjechałam tu na jakiś czas.

- Marie - Christine mówiła mi, że monsieur Bouchere był

serdecznym przyjacielem pani matki.

- Tak - wtrąciła się Marie - Christine. - Po śmierci matki mademoiselle Tremaston przyjechała do nas, żeby oderwać się od miejsca, gdzie to się stało. Zastanawia się, co ma robić dalej.

- Mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży, moja droga. Czy smakuje pani wino? Sama je robię. Francja jest ojczyzną najlepszych win.

Nounou najwyraźniej żałowała swego przyływu szczerości.

Zdradziła się już jednak z uczuciami związanymi ze śmiercią Marianne i teraz usiłowała sprowadzić rozmowę na bardziej konwencjonalne

tory.

Gawędziłyśmy

właśnie

o

ludziach

mieszkających w sąsiedztwie i o różnicach pomiędzy życiem Anglików i Francuzów, gdy wróciła Candice.

Usłyszałyśmy, że nadchodzi, i Marie - Christine wykrzyknęła:

- Ciociu Candice, ciociu Candice, jestem tutaj, u Nounou!

Przyprowadziłam mademoiselle Tremaston, żeby cię poznała.

Do pokoju weszła Candice. Była przystojna, wysoka i szczupła, podobna nieco do swej siostry bliźniaczki, którą znałam już z portretu.

Miała podobną karnację jak tamta, lecz jej uroda była znacznie spokojniejsza, a oczy poważne i zupełnie pozbawione owego wyrazu złośliwości, który u jej siostry natychmiast przyciągał uwagę. Była jakby nikłym cieniem Marianne.

Robiła wrażenie bardzo powściągliwej i szybko ochłonęła z zaskoczenia, gdy nieoczekiwanie zobaczyła Marie - Christine w towarzystwie gościa.

Zostałam jej przedstawiona.

- Słyszałam o pani przyjeździe do La Maison Grise -

powiedziała. - Tu na wsi nic się nie ukryje. Widzę, że Marie -

Christine opiekuje się panią.

- Bardzo się zaprzyjaźniłyśmy - wyjaśniła Marie - Christine. -

Uczę mademoiselle Tremaston francuskiego, a ona mnie angielskiego.

- To pewnie bardzo korzystna sytuacja. Zapewne poznała pani monsieur Bouchere'a jeszcze w Londynie.

- Tak, był przyjacielem mojej matki.

- Jej matka była słynną aktorką - wtrąciła Marie - Christine.

- Słyszałam o tym - odparła Candice. - Proszę mi powiedzieć, jak się pani podoba we Francji? Przypuszczam, że jest tu całkiem inaczej.

- Tak, istotnie, ale mnie to cieszy.

- A La Maison Grise to ciekawy dom, prawda?

- Bardzo.

- Była już pani w Paryżu?

- Nie, jeszcze nie.

- Na pewno pani pojedzie.

- Mam nadzieję, że... wkrótce. Już rozmawialiśmy o tym.

Wyberzemy się na zakupy... i chciałabym zobaczyć pracownię ojca Marie - Christine.

Jej twarz nagle stężała. Natychmiast przeszło mi przez myśl, że musi odczuwać wobec niego silne emocje, skoro nie potrafi ich ukryć nawet na samą wzmiankę o nim.

- Paryż to bardzo interesujące miasto - rzekła.

- Z niecierpliwością czekam, kiedy tam pojedę.

- Czy długo zamierza pani pozostać we Francji?

- Ma zamiar być tu przez dłuższy czas - odpowiedziała za mnie Marie - Christine. - Dziadzio Robert

mówi, że Noelle ma uważać La Maison Grise za swój dom.

- Nie mam jeszcze żadnych określonych planów - wyjaśniłam.

- Bo jej matka, ta sławna aktorka, już nie żyje - dodała Marie -

Christine.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Candice. - Śmierć bywa taka...

niszcząca.

Pomyślałam, że wspomnienie Marianne jest tu wciąż żywe i nierozłącznie związane z tym miejscem. Candice nosi je w sobie, podobnie jak Nounou.

- Ten dom to dawny młyn - przerwała milczenie Candice. -

Muszę panią po nim oprowadzić, skoro nas pani odwiedziła. Mój ojciec zrobił z niego zwykły dom mieszkalny, ale wciąż zachowały się ślady świadczące o jego dawnej funkcji.

- Obejrzę go z wielką przyjemnością.

- No to chodźmy. Później jeszcze do ciebie wrócimy, Nounou.

Nounou kiwnęła na to głową i wyszłyśmy.

- To zawsze był mój dom - powiedziała Candice. - Do takich miejsc człowiek bardzo się przywiązuje. Oczywiście nie pamiętam już czasów, kiedy młyn był czynny.

Pokazała mi dom. W porównaniu z La Maison Grise wydawał się mały, w czym nie było nic dziwnego. Był za to przytulny i wygodny.

- Na górze mieszka rodzina Grillon - wyjaśniła. - Oni się wszystkim zajmują. Jean opiekuje się ogrodem, dba też o konie i o powóz. Jest tu naprawdę użyteczny. Louise gotuje i zajmuje się domem. My jesteśmy tylko dwie, więc tyle służby w zupełności wystarczy. Nounou też sporo pracowała, ale mocno się postarzała.

Obawiam się, że duchem bardziej już błądzi w przeszłości. Mam nadzieję, że nie znudziła pani zanadto.

- Opowiadała mademoiselle Tremaston o mojej mamie -

powiedziała Marie - Christine.

Zauważyłam, że na twarzy Candice odmalowało się niezadowolenie.

- No tak - rzekła. - U niej jest to już obsesja. Nigdy nie pogodziła się ze śmiercią mojej siostry.

Wciąż do tego wraca, nawet rozmawiając z osobami, których może to nie interesować. Nagła śmierć stanowi wielki wstrząs.

- Dobrze o tym wiem - odparłam. - Moja matka zmarła całkiem młodo i zupełnie nieoczekiwanie.

- A więc pani to rozumie i wybaczy biednej Nounou. Tu był nasz pokój dziecienny. Nounou sama tu wszystko sprząta i pucuje.

Właściwie to jej królestwo. Wydaje mi się, że często przesiaduje tu, wspominając różne drobne zdarzenia z przeszłości. Sama nie wiem, czy dobrze jej to robi, czy źle.

- Myślę, że czerpie z tego jakąś satysfakcję. Wspomnienia dają ludziom siłę.

Ujrzałam dwa łóżeczka... toaletkę... i okno wychodzące na strumień i na młyn.

- To bardzo malowniczy widok - powiedziałam. Candice wyprowadziła mnie z pokoju i poszłyśmy przez ogród nad strumień.

- Bawiłyśmy się w młynie, będąc dziećmi. Nounou była tym przerażona; zawsze się bała, że może zdarzyć się jakiś wypadek.

Przez ogród z powrotem wróciłyśmy do domu. Nounou czekała na nas w salonie. Podziękowałam im obu za gościnność i powiedziałam, że ta wizyta sprawiła mi wielką przyjemność.

- Musi pani nas znowu odwiedzić - zaprosiła mnie Candice.

Wsiadłyśmy na konie i ruszyłyśmy w drogę, a Marie - Christine uśmiechała się z zadowoleniem.

- No to poznałaś już ciocię Candice i Nounou.

- Bardzo ciekawa wizyta, a one obie są bardzo miłe.

- Dlaczego miałyby nie być?

- Zdarza się, że niespodziewani goście nie są mile widziani.

- Ciocia Candice to siostra mojej matki, a ja jestem jej siostrzenicą; Nounou była ich nianią. A to oznacza, że zawsze ucieszą się na mój widok.

- Wydaje mi się, że ona niezbyt chętnie widuje rodzinę, do której poprzez małżeństwo weszła jej siostra, a ty też należysz do tej rodziny.

- To dlatego, że ona wini mego ojca za śmierć mamy.

- Wini twego ojca! Myślałam, że to był wypadek.

- To nie szkodzi, ona i tak uważa, że to jego wina. Wiem, że tak jest. Właśnie dlatego nie odwiedza

La Maison Grise.

- Kto ci to mówił?

- Nikt. Po prostu wiem.

- Masz bujną wyobraźnię, Marie - Christine.

- Zawiodłam się na tobie. Mówisz zupełnie jak ta stara Dupont.

- Powiedz mi... - zaczęłam, ale Marie - Christine zacięła się już w uporze, wyprzedziła mnie i w milczeniu dojechałyśmy z powrotem do La Maison Grise.

To było ciekawe i niezwykle popołudnie.

Wspomniałam Angele o tej wizycie. Była dosyć zaskoczona.

- Więc Marie - Christine tam cię zabrała! Naprawdę potrafi być czasem samowolna. Właściwie nie utrzymujemy kontaktu z Candice i to z jej winy. Wydaje się, że ona nie chce się z nami widywać; może dlatego, że wspomnienia wciąż są dla niej zbyt bolesne. Nigdy zresztą nie byliśmy w szczególnie zażyłych stosunkach... chociaż Marianne ciągle bywała w młynie u siostry i tej starej niani.

- To musiał być straszny cios dla nich obu.

- Poznałaś tę nianię, prawda? Ona poza tymi dziewczynkami świata nie widziała. Według mnie, ten wstrząs był czymś ponad jej siły. Jedna z naszych służących przyjaźni się z Louise Grillon, więc siłą rzeczy docierają tu czasem jakieś plotki. Ta stara niania była szczególnie przywiązana do Marianne i po jej śmierci coś się z nią stało. Tak przynajmniej twierdzi Louise Grillon. Gerard był głupcem, że ożenił się z tą dziewczyną. Na pewno nie był to mariage de convenance. Wszyscy byliśmy zawiedzeni, ale on zupełnie oszalał na jej punkcie. Modelka artysty! No cóż, była wyjątkowo ładna.

- Nawet jej portret o tym świadczy.

- Pozowała wielu artystom. Kiedy ją zobaczyli, od razu chcieli ją malować. Te obrazy wiszą w różnych galeriach. Najsławniejszy z nich jest dziełem pewnego Norwega... a może Szweda... w każdym razie jakiegoś Skandynawa. Nazywał się Lars Petersen. Biedny Gerard, chyba było mu trochę przykro. Uważał oczywiście, że on jest bardziej powołany, by namalować taki obraz.

- Musiała być kimś niezwykłym, skoro wzbudzała aż takie zainteresowanie.

- Uważano ją za wyjątkową piękność.

- Pani z pewnością dobrze ją знаła.

- Nie mogę tego powiedzieć. Ona i Gerard większość czasu spędzali w Paryżu.

- A Marie - Christine była tutaj?

- Tak. Wydawało nam się, że tu jest najlepsze miejsce dla dziecka. Ja się nią zawsze zajmowałam. Marianne nie była dobrą matką. Zdarzało się, że czasami bywała aż nadmiernie czuła, a potem całkiem o dziecku zapominała.

- Rozumiem.

- Właściwie od samego początku to małżeństwo było nieudane.

Nawet kiedy Marianne tu była, to więcej czasu spędzała w młynie niż w domu. Była bardzo związana ze swą siostrą, no i niania zachęcała ją, żeby tam przychodziła. - Angele wzruszyła ramionami. - Cóż, wszystko to już minęło.

- A pani syn przez większość czasu przebywał w Paryżu.

- Zawsze tak było. Jego życie to sztuka. Nigdy nie było co do tego wątpliwości. Chcieliśmy, żeby żył w sposób nieco bardziej konwencjonalny; mógł przecież zająć się interesami bankowymi, jak Robert; albo prawem, jak jego ojciec... No a poza tym jest przecież ten majątek; niezbyt wielki, ale też trzeba poświęcać mu trochę czasu. Ale on już od dzieciństwa wiedział, że chce tylko malować. Marie -

Christine nie powinna była cię tam zabierać.

- Wydaje mi się, że przyszło jej to do głowy pod wpływem chwili.

- Wiele jej pomysłów tak się rodzi.

- Były dla nas bardzo uprzejme i zapraszały, żeby odwiedzić je znowu.

Angele w znany mi już sposób wzruszyła ramionami z rezygnacją. Wydaje mi się jednak, że nie była aż tak bardzo niezadowolona z naszej wizyty w młynie.

W kilka dni później zaproponowała, żebyśmy w końcu wybrały się do Paryża.

- Robert ma domek przy Rue des Merles - powiedziała mi. - W

suterenie mieszka tam konsjerż z żoną. Podczas długich nieobecności Roberta mają wszystko pod opieką i dbają o niego, kiedy przyjeżdża.

Byłam przejęta i podniecona i natychmiast rozpoczęłam przygotowania do wyjazdu.

Portret

Paryż mnie oczarował - jawił mi się jako miasto mostów i ogrodów, cienistych alei i szerokich bulwarów. Zdawało mi się, że jego burzliwa historia zastygła i trwa nadal w starych budynkach i pomnikach.

Wszystko chciałam zobaczyć i zarówno Robert, jak i Angele oprowadzali mnie po mieście z dumą i z radością.

Podziwem napełniła mnie majestatyczna katedra Notre Dame.

Czuło się tam tchnienie przeszłości. Robert opowiedział mi o tragicznych wydarzeniach z czasu rewolucji, kiedy to motłoch usiłował ją zniszczyć.

- Na szczęście do władzy doszedł Napoleon i zapobiegł

zburzeniu jej i rozgrabieniu - dodał z satysfakcją. - No i Ludwik Filip, zanim dwadzieścia lat temu abdykował, uczynił wiele, aby przywrócić jej dawną świetność.

Potrafiłam spędzać tam całe godziny; chłonełam atmosferę dawnych wieków, dumałam o przeszłości - o świętym Dionizym, pierwszym biskupie tej katedry, który został potem patronem Francji, lub o Piotrze Abelardzie i jego miłości do Heloizy.

Dużo spacerowaliśmy. Żeby poznać Paryż, trzeba spacerować.

Odwiedzaliśmy Luwr, przesiadywaliśmy w ogrodach Tuileries, wiele czasu spędzaliśmy w Halach. Przeszliśmy także przez Pont Neuf, najstarszy z paryskich mostów. Zafascynowały mnie zdobienia na balustradach, a groteskowe maski na zawsze wryły mi się w pamięć.

Robert żywo interesował się pracą Hausmanna, która według niego, zupełnie zmieniła w ostatnich latach oblicze Paryża. Jego działalność wydawała się wręcz konieczna po wandalizmie rewolucji.

Robert był niewątpliwie dumny ze swego miasta i oprowadzał mnie po nim z widoczną przyjemnością. Widziałam, jak cieszy go mój, zupełnie zresztą szczerzy, podziw. Zawsze interesowały mnie wielkie miasta; może dlatego, że urodziłam się i wychowałam w jednym z największych. Kochałam Londyn, ale uporczywe wspomnienia osłabiały we mnie pragnienie powrotu. Paryżem zaś mogłam się cieszyć bez żadnych ograniczeń, od Montmartre do Rue de Rivoli i od Montparnasse do Dzielnicy Łacińskiej.

Wracałam do domu we wspaniałym humorze.

- Wyglądasz, jakby zmęczenie w ogóle się ciebie nie imało -

zauważył Robert.

- To dlatego, że wszystko, co widzę, tak mnie pobudza.

- Wiedziałam, że powinnaś była przyjechać do Paryża -

powiedziała Angele. - Zbyt długo to odkładałyśmy.

Zwykle towarzyszyła mi Marie - Christine, w której przy okazji obudziło się nowe zainteresowanie tym miastem.

- Właściwie większość tych miejsc już widziałam, ale z tobą czuję się, jakbym odkrywała je na nowo - wyznała.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy odwiedziliśmy Gerarda.

Tak jak przypuszczałam, mieszkał w Dzielnicy Łacińskiej. Byłam bardzo przejęta, kiedy się tam wybieraliśmy. Już od jakiegoś czasu miałam nadzieję na tę wizytę i dziwiłam się, dlaczego już dwa razy była odkładana.

Byliśmy umówieni na trzecią po południu.

W zachowaniu Roberta i Angele zauważyłam pewne napięcie, Marie - Christine też była trochę nieswoja. Zastanawiało mnie, dlaczego perspektywa wizyty u Gerarda tak na nich wpływa.

Poszliśmy tam wzdłuż Bulwaru Saint Germain, mijając po drodze kościoł o tej samej nazwie. Wiedziałam już, że zbudowano go na miejscu opactwa benedyktyńskiego strasznie dawno, bo już w ósmym wieku; w swej pierwotnej formie nie przetrwał jednak do naszych czasów i ten, który stał tu teraz, pochodził z wieku trzynastego.

Pracownia mieściła się na samej górze wysokiego budynku.

Musieliśmy pokonać wiele schodów, żeby się tam dostać. Znalazłszy się wreszcie na najwyższej kondygnacji, stanęliśmy przed drzwiami, na których wisiała wizytówka „Gerard du Carron”.

Robert zastukał do drzwi i otworzył nam Gerard. Natychmiast rozpoznałam go z portretu, który widziałam w galerii.

- Moja matka, mój wuj i moja córka! - zakrzyknął. Po czym z uśmiechem zwrócił się do mnie, przechodząc przy tym na angielski: -

A pani jest z pewnością mademoiselle Tremaston. Witam w mojej skromnej pracowni.

Znaleźliśmy się w obszernym pomieszczeniu o wielu oknach i górnym świetle padającym ze świetlików w ukośnym dachu. W

pokoju znajdowała się kanapa, w nocy pełniąca pewnie funkcję łóżka, kilka krzeseł, stół, na którym zgromadzone były farby i pędzle. Z

boku stały dwie sztalugi i oparte o ścianę płótna. Był to prawdziwy pokój artysty. Szklane drzwi wychodziły na balkon, skąd można było podziwiać panoramę Paryża.

- Jak to miło, że mnie odwiedziliście - powiedział Gerard.

- Chcieliśmy zrobić to już wcześniej - odparła Angele - ale obawialiśmy się, że możesz być zajęty. Jak się masz, Gerardzie?

- Ja dobrze, a ciebie chyba nawet nie trzeba pytać. Wyglądasz kwitnąco. A jak się ma moja córka?

- Uczę się angielskiego - poinformowała go Marie - Christine. - I już bardzo dobrze mówię.

- To nadzwyczajnie.

- Noelle, czyli panna Tremaston, mnie uczy, a ja uczę ją francuskiego. Obydwie zrobiłyśmy już duże postępy.

-

To rzeczywiście dobra wiadomość. Dziękuję pani, mademoiselle Tremaston, że uczy pani moją córkę.

Uśmiechnęłam się.

- Korzyści są obustronne.

- Jak słyszę, pani też świetnie idzie nauka. Mówi pani po francusku z wielkim wdziękiem.

- I z niewątpliwym angielskim akcentem.

- Na tym też polega jego wdzięk. A teraz, kochana rodzino, myślę, że czas na jakiś poczęstunek. Zaraz podam kawę.

- To ja ją przyrządzę - rzekła Angele.

- Chere maman, naprawdę nie jestem aż tak beznadziejny, jak sobie wyobrażasz, ale może rzeczywiście nie powinienem opuszczać gości.

Angele poszła tam, gdzie jak przypuszczałam, mieściła się kuchnia. Robert i ja dostaliśmy krzesła, natomiast Marie - Christine rozsiadła się na kanapie.

- To jest prawdziwa pracownia artysty, w Paryżu jest takich mnóstwo - powiedziała mi Marie - Christine.

- Nie takie znowu mnóstwo, chere enfant - sprostował Gerard. -

Chociaż trochę jest, to prawda. Myślę, że miałem szczęście, że udało mi się tę zdobyć. - Po czym zwrócił się do mnie. - To naprawdę idealne miejsce. Jest tu doskonałe światło i czy nie wydaje się pani, że widok stąd też działa inspirująco, mademoiselle Tremaston?

- Niewątpliwie - zapewniłam go.
- Widać prawie cały Paryż. Musi pani wiedzieć, że jest w tym mieście wielu artystów, którzy wiele by dali, żeby mieć takie mieszkanie.
- Mieszkają tu też inni artyści - powiedziała mi Marie - Christine.
- Artyści w dużej obfitości - rzekł Gerard. - Tu jest Dzielnica Łacińska, a Paryż to, jak pani wie, centrum sztuki. Tę dzielnicę artyści szczególnie sobie upodobali. Zbierają się tu w kafejkach i spędzają całe dnie i noce, rozprawiając o wspaniałych dziełach, które mają zamiar stworzyć... niestety przeważnie tylko „mają zamiar”.
- Pewnego dnia zaczną opowiadać o wspaniałych dziełach, które już stworzyli - powiedziałam.
- Wtedy już będą zbyt wybitni, żeby tu mieszkać i odwiedzać tutejsze kafejki. Będą więc o tym opowiadać gdzie indziej. Więc rozumie pani, że tu zawsze jest tylko mowa o tym, co się ma zamiar zrobić.
- Gerardzie, nie mogę znaleźć filiżanek - dobiegł nas głos Angele.
- Pani wybaczy - uśmiechnął się do mnie i poszedł do kuchni.

Słyszałam stamtąd ich głosy.

- Chere maman, ty zawsze uważasz, że przymieram głodem.
- Ten kurczak jest przyrządzony i gotowy do zjedzenia, na trochę ci to wystarczy, i przyniosłam też gateau, żeby było do kawy.
- Rozpieszczasz mnie, mammo.
- Wiesz, że martwię się o ciebie i o to, jak żyjesz. Chciałabym, żebyś przyjechał do domu. Wieża północna jest do twojej dyspozycji i mógłbyś tam malować.
- Tak, ale to już nie to samo. Tutaj jestem wśród swoich. Dla zmagającego się z życiem artysty istnieje tylko jedno miejsce i jest nim Paryż. Gotowe? Ja zaniosę tacę, a ty weź może to wyśmienite gateau.

Ustawił tacę na stole, rozsuwając na boki tubki z farbami i pędzle.

Angele pokroiła ciasto i poczęstowała nas wszystkich.

- Moja matka uważa, że jestem na skraju śmierci głodowej - powiedział mi Gerard - ale w rzeczywistości całkiem nieźle mi się żyje.
- Nie jesteś w stanie wyżyć ze sztuki - odezwała się Angele.

- To, niestety, wydaje się być prawdą i nie wyobrażam sobie, aby ktoś mógł się z tobą nie zgodzić. Powiedzcie lepiej, co robicie w Paryżu.

Rozmawialiśmy o tym, co zdążyliśmy już zwiedzić.

- Dla Noelle wszystko tu jest całkiem nowe, to wielka radość oprowadzać ją po Paryżu - powiedział Robert.

- Czuję się tu cudownie - rzekłam.

- To gateau jest przepyszne - wtrąciła Marie - Christine.

- A pani na stałe mieszka w Londynie? - zapytał mnie Gerard. -

Tu, wśród nas, jest jeden Anglik. Rozumie pani, żyjemy jakby we wspólnocie. Wszyscy się znamy, spotykamy się w swoich pracowniach i w kafejkach. Prawie co wieczór gdzieś tam się bratamy.

- I rozmawiacie o wspaniałych obrazach, które macie zamiar namalować - dodała Marie - Christine.

- Skąd wiesz?

- Bo dopiero co nam o tym opowiadałeś. Wszyscy „macie zamiar” coś zrobić. I o tym właśnie rozmawiacie w tych kafejkach.

- To nas pobudza do pracy. Tak, wszyscy powinni przyjechać do Paryża.

- Mam nadzieję, że pokażesz Noelle jakieś swoje obrazy - rzekł

Robert. - Z pewnością chciałyby je zobaczyć.

- Naprawdę? - zapytał, patrząc na mnie.

- Ależ oczywiście, że bym chciała.

- Proszę nie spodziewać się czegoś nadzwyczajnego, w rodzaju Leonarda, Rembrandta, Reynoldsa, Fragonarda czy Bouchera.

- Przypuszczam, że ma pan własny styl.

- Dziękuję. A może to tylko właściwa pani uprzejmość sprawia, że chce pani obejrzeć moje prace? Nie chciałbym nadużywać pani cierpliwości, aby panią nudzić... a mogłoby się tak zdarzyć.

- Skąd mogę wiedzieć, dopóki nie zobaczę?

- Powiem pani, co zrobię. Pokażę pani kilka, a jeśli dostrzegę jakieś oznaki znudzenia, natychmiast przestanę. Co pani na to?

- To chyba dobry pomysł.

- Najpierw proszę mi powiedzieć, jak długo ma pani zamiar zostać we Francji?

- Nie jestem pewna.

- Mamy nadzieję, że długo - rzekła Angele.

- Ja będę ją zatrzymywać, żeby tu została - oświadczyła Marie -
Christine.

- To byłaby tragedia, gdyby przepadły twoje lekcje angielskiego.

- Czy ta madame Garnier nadal się tobą zajmuje?

- O, tak.

- Co ona tu robi? Podłogę w kuchni trzeba umyć.

- Ach, poczciwa stara Garnier. Ma taką wspaniałą twarz.

- Malujesz ją?

- Oczywiście.

- Wydaje mi się, że jest dość odstręczająca.

- Nie dostrzegasz jej wewnętrznej istoty.

- A więc ona ci pozuje zamiast sprzątać?

- Chciała pani zobaczyć jakieś moje obrazy - Gerard zwrócił się do mnie. - Zaczniemy więc od
madame Garnier.

Wziął jedno z płócien i ustawił je na sztaludze. Był to portret kobiety - pulchnej i wesołej, wyraz jej
twarzy zdradzał pewną przebiegłość, a w oczach dostrzec można było chciwość.

- Z pewnością jest w tym duże podobieństwo - stwierdziła Angele.

- To bardzo ciekawe - rzekłam. - Odnosi się wrażenie, że coś się o niej wie.

Gerard obserwował mnie uważnie.

- Proszę mi powiedzieć co - rzekł.

- Lubi dowcipy i często się śmieje. Wie, czego chce, i zamierza to osiągnąć. Jest w pewnym sensie
przebiegła i nie popuści, jak długo nie otrzyma więcej, niż sama daje.

Uśmiechnął się do mnie i kiwnął głową.

- Dziękuję - rzekł. - Powiedziała mi pani wielki komplement.

- Cóż - zauważyła Angele. - Nie wątpię, że madame Garnier dużo bardziej odpowiada siedzenie na fotelu z głupawym uśmiechem niż robienie tego, co do niej należy.

- Mnie też to odpowiada, maman.

- Ale obiecał pan pokazać nam więcej obrazów - przypomniałam mu.

- Jakoś łatwiej mi to przyjdzie po tym, kiedy usłyszałem pani opinię na temat tej pracy.

- Jestem pewna, że nie wątpi pan w wartość swojej twórczości -

powiedziałam. - Zawsze mi się zdawało, że artysta musi bardzo w siebie wierzyć. Jeśli on sam nie ma tej wiary, to jak mogą ją mieć inni?

- Cóż za głęboka mądrość! - rzekł z pewną kpina. - No więc tak.

Tutaj mamy konsjerża. A to jest modelka, która nam czasem pozuje.

Niespecjalnie oryginalne, prawda? A to „Madame la concierge”.

Zanadto nawykła do siedzenia... nie jest zbyt naturalna.

Jego obrazy wydały mi się bardzo ciekawe. Pokazywał nam też widoki Paryża; jeden z nich przedstawiał Luwr, inny ogrody Tuileries, jakąś scenkę uliczną. Był też obraz przed stawiający La Maison Grise wraz z trawnikiem i stojącym w stawie posągiem z nimfami. Byłam nieco zdziwiona, gdy przekładając kolejne płótna, wy dobył obraz z Le Moulin Carrefour.

- To ten młyn - powiedziałam.

- Tak, to jedna z moich starych prac, namalowałem go parę lat temu. Rozpoznała pani to miejsce?

- Byłam tam z Marie - Christine.

Oparł obraz o ścianę i pokazał mi następny, przedstawiający kobietę stojącą na targu za straganem. Sprzedawała ser.

- Siedzi pan na ulicy i maluje? - zapytałam.

- Nie, robię szkice i dopiero potem nad nimi pracuję. Nie jest to w pełni zadowalające, ale nie ma innego wyjścia.

- Specjalizuje się pan w portretach.

- Tak. Interesuje mnie ludzka twarz. Tak wiele w sobie zawiera...

jeśli tylko ktoś potrafi to dostrzec. Tylu ludzi usiłuje ukryć to, co w nich najciekawsze.

- Malując portret, stara się więc pan odkryć to, co ukryte?
- Trzeba wiedzieć coś o swym modelu, jeśli chce się go rzeczywiście dobrze namalować.
- I wszyscy, których pan portretuje, poddawani są... takiemu badaniu?
- To brzmi, jakbyś był detektywem - zauważył Robert. - Na pewno starasz się zdobyć masę informacji o ludziach, których malujesz.
- Nie aż tak - odparł Gerard ze śmiechem. - To czego się dowiaduję, jest tylko dla mnie i myślę o tym jedynie, kiedy maluję obraz. Chcę, aby to, co robię, było prawdziwe.
- Nie sądzi pan, że ludzie wolą być portretowani nie tyle takimi, jacy naprawdę są, ile raczej, jakimi chcieliby się widzieć? - zapytałam.
- Malarz, który tak postępuje, zwykle staje się modny. Ale ja nie jestem modnym malarzem.
- Czy jest w tym coś złego, jeśli obraz zawiera w sobie pewne pochlebstwo, które sprawia ludziom przyjemność?
- Nie ma w tym nic złego, tylko że ja nie chcę tego robić.
- Chciałabym, żeby mi pochlebiano - oświadczyła Marie -
Christine.
- Powiedziałabym, że większość ludzi to lubi - dodała Angele.
- Czy naprawdę myśli pan, że udaje się mu poznać sekrety, które ludzie starają się ukryć? - zapytałam.
- Od czasu do czasu może i tak. Ale portrecista obdarzony jest często bujną wyobraźnią i czego naprawdę nie odgadnie, to sobie wyobrazi.
- Co nie zawsze musi być zgodne z prawdą.
- Artysta musi mieć swoją własną prawdę.
- Lecz jeśli mija się w tym z rzeczywistością, może się zdawać, że jego wysiłki pójdą na marne.
- Takie doświadczenie samo w sobie ma wartość.
- Wydaje mi się - wtrącił Robert - że człowiek powinien dobrze się zastanowić, zanim się da sportretować, jeżeli przy tej okazji musi poddać się analizie własnego charakteru.
- Widzę, że dałem wam zupełnie błędne pojęcie na ten temat -
stwierdził beztrząsco Gerard. - Tak naprawdę chodziło mi tylko o to, że jest to pewne ćwiczenie,

które dla artysty stanowi przyjemność. A w dodatku zupełnie nieszkodliwe.

Na szklane drzwi prowadzące na balkon padł cień i zobaczyłam tam jakąś postać. Do pokoju zajrzał bardzo wysoki mężczyzna.

- Witam - powiedział z wyraźnym obcym akcentem.

- Wejdz - zaprosił go Gerard zupełnie niepotrzebnie, gdyż gość wkraczał już właśnie do pokoju.

- Och, widzę, że przeszkadzam - stwierdził, przyglądając się nam, po czym uśmiechnął się do wszystkich. Był to jasny blondyn, zbliżający się, jak sądziłam, do trzydziestki. Miał zadziwiająco błękitne oczy i coś takiego w sobie, co działało przytłaczająco. Nie chodziło tu nawet o jego wzrost. Jego silna osobowość natychmiast dawała o sobie znać.

- To mój przyjaciel, Lars Petersen - przedstawił go Gerard.

Słyszałam już przedtem to nazwisko. To on namalował portret Marianne.

Ja też zostałam przedstawiona, pozostałych gość najwyraźniej już znał.

- Jak cudownie wszystkich państwa tu widzieć - powiedział Lars Petersen. - Proszę wybaczyć, że pojawia się w taki sposób; chciałem pożyczyć trochę mleka do kawy. Masz mleko, Gerardzie? Gdybym wiedział, że masz gości, tobym ci nie przeszkadzał.

- Mamy tu kawę - rzekła Angele. - Chociaż może już trochę wystygła...

- I tak chętnie się napiję.

- Jest też mleko.

- Jaka pani jest dla mnie dobra.

- Proszę, niech pan usiądzie - powiedziała Angele i gość zajął

miejsce na kanapie, koło Marie - Christine.

- Pan jest malarzem, prawda? - zapytała go.

- Przynajmniej się staram.

- Mieszka pan w sąsiedniej pracowni... i przyszedł pan po dachu.

- Ach, nie jest to aż takie ryzykowne, jak mogłoby ci się wydawać. Po tym dachu można spacerować i mamy tam nawet ścieżkę z pracowni do pracowni. Moja jest dokładnie taka sama, jak ta. Identyczna.

Angele podała mu filiżankę z kawą, a on wylewnie jej za to dziękował.

Wydawało mi się, że Gerard jest lekko rozdrażniony i wolałby, żeby jego sąsiad się tu nie pojawił.

Ten potężny mężczyzna niewątpliwie robił wrażenie. Już po chwili on przejął prym w rozmowie, mówiąc zresztą przeważnie na swój temat: jak to Studiował w Oslo i nagle wpadł na pomysł, że musi zostać malarzem.

- To było tak jak ze świętym Pawłem na drodze do Damaszku -

powiedział nam. - Nagle ujrzał światło. Spakował bagaże i przyjechał

do Paryża... mekki artystów. Są tu tacy otwarci, przyjaźni ludzie; podobni do niego. I tak sobie mieszkamy, na poddaszach... biedni, ale szczęśliwi. Wszyscy artyści powinni być szczęśliwi. - Z pewną złośliwością spoglądał na Gerarda, który oczywiście, nie był tak naprawdę biedny, pochodząc z takiej rodziny. A czy był szczęśliwy?

Wydawało mi się, że nie i że w jakiś sposób łączyło się to ze śmiercią jego młodej żony.

- Rozkwit wielkiej sztuki jest podobno nierozłącznie związany z głodowaniem na poddaszu - ciągnął Lars Petersen. - Wszyscy więc żyjemy z dnia na dzień, ze świadomością, że jesteśmy na drodze do majątku i do sławy, a nasze dzisiejsze trudności są ceną, jaką płacimy za pełną chwały przyszłość. Nadejdzie dzień, kiedy nazwiska Larsa Petersena i Gerarda du Carron wymieniać się będzie tuż obok Leonarda da Vinci. Nigdy nie należy w to wątpić. My w każdym razie w to wierzymy i jest to wiara, która nas krzepi.

Opowiedział nam, jak przyjechał do Paryża. Przez kilka lat borykał się z trudnościami, wciąż zmieniając mieszkania. Potem sprzedał kilka obrazów; jeden z nich odniósł sukces, stało się na jego temat głośno.

Tego dnia wiele udało mi się spostrzec. Wyraz twarzy Gerarda, mimo że ulotny, zauważyłam natychmiast. Myślał o portrecie Marianne pędzla Larsa Petersena, o portrecie, który zyskał taki rozgłos.

- Kiedy osiągnie się już jakiś sukces, ludzie zaczynają się interesować - mówił dalej Lars Petersen. - Zacząłem sprzedawać obrazy. To był już krok naprzód. Każdemu jest to potrzebne. Teraz mam piękne mieszkanie... dokładnie takie jak to. Identyczne. Czy można by marzyć o czymś lepszym?

Mówił i mówił i muszę przyznać, że było to nawet zabawne.

Chociaż francuskim posługiwał się płynnie, często nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa, a wtedy potrząsał głową i strzelał palcami, jakby wzywał kogoś, aby mu w tym pomógł. I zwykle ktoś mu pomagał - na przykład Marie - Christine. Bardzo ją bawił i widziałam, że od chwili, gdy pojawił się Lars Petersen, wizyta zaczęła sprawiać jej większą przyjemność.

Opisywał nam swój kraj i wspaniałość fiordów.

- To piękna sceneria, bardzo malarska, a jednak... - tu wzruszył

ramionami i potrząsnął głową - ludzie wolą Luwr i Notre Dame niż dziki pejzaż Norwegii. Tak, tak, jeśli chce się osiągnąć sukces, terminować trzeba w Paryżu. Paryż to słowo magiczne. Nie ma

wielkości bez Paryża.

- Gerard także nas o tym zapewnia - powiedział Robert i spojrzał

na Angele. - Wydaje mi się, moja droga, że czas już na nas.

- Ale jest tak przyjemnie - wykrzyknęła Marie - Christine.

- Przecież nie mieszkacie aż tak daleko - zauważył Lars Petersen.

- To tylko kilka mil od Paryża, nieprawdaż?

- Tak - odparł Gerard - powinniście tu częściej przyjeżdżać.

- Będziemy! - zawołała Marie - Christine.

- Miło było cię zobaczyć, Gerardzie. Przyjedź niedługo do domu

- powiedziała Angele.

- Przyjadę.

Gerard ujął moją dłoń.

- Tak miło było mi panią poznać. Cieszę się, że przyjechała pani do Francji; chciałbym namalować pani portret.

Roześmiałam się.

- Po tym wszystkim, co nam pan opowiadał?

- Bywa, że się kogoś zobaczy i od razu chce się go namalować.

Mam takie uczucie, jeśli chodzi o panią.

- Cóż, pochlebia mi to, ale wolałabym być ostrożna, chyba to pana nie dziwi?

- Przrzekam, że będzie to proces bezbolesny.

- Pojutrze już wracamy.

- Jak już mówiliśmy, to nie jest tak daleko. Zgadza się pani?

Sprawiłoby mi to wielką przyjemność.

- Czy mogę się namyślić?

- Proszę bardzo.

- Przyjedzie pan do La Maison Grise?

- Wolałbym malować panią tutaj. Jest tu takie dobre światło i mam wszystko, czego potrzebuję do pracy.

- To by oznaczało, że muszę zostać w Paryżu.

- Na jakiś tydzień. Czemu nie? Już tu pani jest i mogłaby pani zostać w domu wuja. Stamtąd do mojej pracowni jest bardzo blisko.

Byłam bardzo przejęta, to popołudnie niewątpliwie dostarczyło mi silnych wrażeń.

Jeszcze tego dnia, nieco później, Angele przysłała do mnie do pokoju i powiedziała:

- Ciekawa jestem, co sądzisz o tej wizycie u Gerarda.

- Podobało mi się tam, było bardzo ciekawie.

- On mnie naprawdę martwi; chciałabym, żeby przyjechał do domu.

- Ale chodzi o jego malowanie, przecież pani wie.

- Mógłby malować w domu.

- To już nie byłoby to samo. Tam jest wśród artystów. Niech pani sobie tylko wyobrazi to całe towarzystwo w kawiarni - te rozmowy, ambicje i rywalizacje, wszystkich jego przyjaciół, z którymi ma wspólny język. To naturalne, że tam czuje się szczęśliwszy.

- To było co innego, kiedy żyła jego żona; wtedy miał kto się nim zajmować.

- Wydaje się, że madame Garnier w zupełności mu wystarcza.

Angele zrobiła pogardliwy gest.

- No i jest ten człowiek, który mieszka obok.

- Niewątpliwie jest to osobowość.

- Zapewne dobrze go pani zna.

- Już od dość dawna jest sąsiadem Gerarda. Ilekroć go widzę, jest zawsze bardzo gadatliwy i mówi przeważnie o sobie.

- Gerard chciałby mnie namalować.

- Wiem, słyszałam, jak cię prosił. Byłoby to miłe.

- Tak pani uważa?

- Jestem pewna.
- Powiedziałaś, że po tym wszystkim, co nam mówił, mam się teraz na baczności.
- Ach, to była taka czcza gadanina, a poza tym ty nie masz przecież żadnych mrocznych tajemnic.
- A jednak...
- Myślę, że mógłby zrobić ci dobry portret. Niektóre portrety jego pędzla są naprawdę piękne.
- Zapewne wielokrotnie malował swoją żonę.
- O tak, była jego najważniejszą modelką. Wiele z tych obrazów naprawdę mu się udało. Szkoda, że tyle było zamieszania wokół tego portretu, który namalował Lars Petersen. Uważam, że niektóre z tych, które malował Gerard, były wcale nie gorsze. Ale nigdy nie wiadomo, co akurat przypadnie do gustu krytykom.
- Nie pokazał nam żadnego z tych portretów.
- Nie, myślę, że on nie chce do tego wszystkiego wracać. To jeszcze zbyt świeże... nawet teraz. Ale powinnaś mu pozwolić, żeby cię namalował.
- Wydaje mi się, że byłoby to dość zabawne.
- Jakoś to urządzimy; musimy znowu przyjechać do Paryża.

Teraz nie mogę już na dłużej zostawić domu bez opieki, więc musimy wracać, ale za parę tygodni przyjedziemy znowu. Ja wybiorę się razem z tobą i codziennie będziesz mogła chodzić do pracowni.

Przypuszczam, że Gerard zechce pracować rano, wtedy jest najlepsze światło. Tak, oczywiście, zorganizujemy to; powiedzmy za jakieś trzy tygodnie.

Zaczynałam już być przejęta na myśl o tych planach. Życie cyganerii artystycznej bardzo mnie pociągało. Ciekawie też rozmawiało mi się z Gerardem i nie wątpiłam, że ma on wielu przyjaciół równie zabawnych, jak Lars Petersen.

Po powrocie do La Maison Grise zastałam tam zaadresowany do mnie list. Pochodził od Lisy Fennell.

Na widok jej charakteru pisma poczułam się nieswojo.

Uświadomiłam sobie, że pobyt w Paryżu pomógł mi oderwać się nieco od przeszłości. Niewątpliwie miałam wiele nowych wrażeń -

szczególnie dzięki temu, że poznałam Gerarda i zetknęłam się z jego artystycznym trybem życia.

Odczuwałam dla niego współczucie. Stracił swą młodą żonę, podobnie jak ja straciłam męża, zanim

jeszcze zdążył nim zostać, uważałam więc, że istnieje między nami swego rodzaju więź.

A teraz, nagłym szarpnięciem zawrócona zostałam do tamtego, innego świata, z którego tak niedawno udało mi się uciec.

Wzięłam list ze sobą do pokoju, żeby nikt nie przeszkadzał mi przy czytaniu.

Moja droga Noelle,

Bardzo dużo o Tobie myślę, właściwie cały czas, odkąd wyjechałaś. Co u ciebie? Nie wątpię, że czujesz się lepiej. Robert jest najsympatyczniejszym człowiekiem, jakiego znam, i dobrze zrobiłaś, korzystając z jego zaproszenia.

Przedstawienie zeszło już z afisza, a do następnej premiery zostało jeszcze parę tygodni. Dolly już mi obiecał miejsce w tej nowej sztuce. Niestety tylko w chórze.

Myślę, że główną rolę dostanie Lottie Langdon. Mam nadzieję, że ja będę jej dublerką. Na razie jednak odpoczywam.

I co ty na to ? Byłam w Levenson, chcę, żebyś o tym wiedziała.

Wiesz, w gazetach dużo pisali o odkryciu Świątyni Neptuna.

Okazało się, że jest to niezwykle ważne znalezisko, a to, że do odkrycia doprowadziło przypadkowe zapadnięcie się gruntu, uczyniło całą sprawę tym ciekawszą. Ja także bardzo się tym zainteresowałam i napisałam do Rodericka, że chciałabym to zobaczyć.

Roderick przyjechał do Londynu. Wtedy jeszcze pracowałam, a on przyszedł na przedstawienie. Potem poszliśmy razem na kolację.

Odniosłam wrażenie, że jest bardzo smutny. Nie chciał chyba mówić o tobie, rozmawialiśmy więc o świątyni i zaprosił mnie na weekend, żebym mogła ją zobaczyć. Pojechałam. To było fascynujące i wszystko mnie zachwycało. Poznałam tę Fionę Vance, pokazywała mi, na czym polega jej praca. Miałam wyjątkowo ciekawy weekend.

Lady Constance traktowała mnie bardzo ozięble. Najwyraźniej moja wizyta była nie po jej myśli. Już rozumiem, jak musiałaś się tu czuć.

Poza tym wszystko było świetnie. Zainteresowałam się pracą Fiony; pokazała mi, jak pędzelkiem omiata się naczynia z ziemi i innych zanieczyszczeń. Naprawdę żał mi było wyjeżdżać.

Fiona mówiła, że szkoda, że nie mieszkam bliżej. Charlie też tam był, on także był nieszczęśliwy. Jestem pewna, że nadal nie przestają o tobie myśleć.

I Charlie, i Roderick zapraszali mnie, żebym przyjechała znowu, ale lady Constance nie poparła ich zaproszenia!

Cóż, może jeszcze tam pojadę. Te rzymskie zabytki naprawdę wydają mi się fascynujące.

Wciąż mieszkam w Waszym domu. Proszę, powiedz Robertowi, że wstyd mi, że jeszcze się nie wyniosłam, ale jest mi tu tak wygodnie, a i Crimpowie starają się mnie zatrzymać. Jak mówią, nie podoba im się rola stróżów. Przywykli do gospodarstwa tętniącego życiem. Wiem, że moja obecność niewiele tu zmienia, ale Przynajmniej nie są sami i zawsze ich interesuje, co się dzieje w teatrze. No i tak wciąż tam tkwię.

Spróbuj wybadać Roberta, czy uważa, że powinnam się wyprowadzić, ale prawdę mówiąc, nie wydaje się to konieczne, a dla mnie wiele znaczy to, że mogę tu mieszkać.

Spodziewam się, że już wkrótce znów będę występować. Mam taką nadzieję. Wtedy mogę już się pożegnać z weekendami w Levenson.

No cóż, wydawało mi się, że powinnam dać Ci znać, że byłam tam i że ich widziałam. Może kiedyś uda mi się także zobaczyć z Tobą. Czy masz już jakieś plany?

Och, droga Noelle, mam nadzieję, że wszystko dobrze Ci się ułoży...

List wypadł mi z rąk.

Więc była tam. Widziała Rodericka, Charliego i lady Constance.

Pisze, że są smutni.

Kochany Roderick, o czym on teraz myśli? Czy przyjdzie czas, że o mnie zapomni? Wiedziałam, że ja nie zapomnę go nigdy.

Siedziałam w pracowni Gerarda du Carron, pozując mu do portretu i patrząc na rozciągające się w dole miasto. Dawało mi to uczucie spokoju i pewnego zadowolenia

Miałam wrażenie, że zdołałam już trochę oderwać się od przeszłości i od tragedii, jaka mnie dotknęła. Wydawało się, że ponownie otwierała się przede mną droga ucieczki.

Siedziałam na krześle w pełnym świetle, a Gerard stał przy sztalugach. Czasem rozmawiał ze mną, malując, kiedy indziej zapadał

w milczeniu.

Opowiadał mi o swym dzieciństwie w La Maison Grise i jak zawsze lubił przebywać w północnej wieży. Już od najmłodszych lat rysował, a obrazy budziły jego głębokie zainteresowanie.

- Z wielką uwagą oglądałem te, które wisały w naszej galerii obrazów. Potrafiłem spędzać tam całe godziny; zawsze wiadomo było, gdzie można mnie znaleźć. Uważano mnie za dziwne dziecko. A potem nagle zrozumiałem, że chcę malować.

- Życie było takie wygodne i gładkie. Mój ojciec był spokojnym, porządnym człowiekiem.

Zastanawiam się, co by było, gdyby żył do tej pory. Gdyby... wciąż powtarzamy gdyby. Czy pani też to mówi, Noelle?

- Bezustannie.

- Dlaczego jest pani taka smutna?

- Skąd pan wie, że jestem smutna?

- Usiłuje pani to ukryć, ale to widać.

- Słyszał pan o mojej matce?

- Tak. Słyszałem, że umarła nagle. Robert bardzo ją lubił i dzięki temu teraz jest pani tutaj. Obiecał jej, że się panią zajmie. To dlatego...

no i oczywiście dlatego, że panią też lubi. Czy mówienie o niej jest dla pani bolesne?

- Nie jestem pewna.

- No to proszę spróbować.

Zaczęłam więc mówić o swojej matce. Opowiedziałam mu o naszym życiu, o przedstawieniach i o scenach z Dollym. Wciąż przypominałam sobie nowe wydarzenia i okazało się, że z niektórych wciąż jeszcze potrafię się śmiać tak, jak kiedyś.

Gerard śmiał się razem ze mną.

- To była tragedia... straszna tragedia - powiedział.

Do pracowni przychodziła też madame Garnier i wtedy w kuchni zaczynały się rozlegać przeróżne hałasy. Odnosiłam wrażenie, że te hałasy mają dowieść nam, jak ciężko ona pracuje. Na początku traktowała mnie z pewną rezerwą, ale po paru dniach zrobiła się bardziej przyjacielska. Obydwie pozowałyśmy do portretu, a to stwarzało między nami jakąś więź.

Powiedziała mi, że jej portret ma być na wystawie. Ludzie będą przychodzić, oglądać i może ktoś go kupi.

- Ale kto tam zechce zawiesić moją podobiznę u siebie w salonie, mademoiselle?

- A kto zechce moją?

Miała zwyczaj trącać mnie łokciem, a potem się z tego zaśmiewać. Przynosiła chleb, mleko i inne produkty, za które, jak odkryłam, zdierała w bezczelny sposób. Spodziewałam się tego, bo już na portrecie dostrzegłam chciwość wyzierającą jej z oczu.

Poddałam ją próbie i okazało się, że miałam rację.

Któregoś dnia zagadnęłam Gerarda:

- Wie pan, że madame Garnier oszukuje na jedzeniu?

- Ależ oczywiście - odparł.

- I nic pan na to nie mówi?

- Och, to przecież nic wielkiego. Zależy mi na tym, żeby Przynosiła jedzenie, więc niech sobie ma te swoje małe sukcesy. To jej sprawia satysfakcję, czuje się wtedy taka sprytna.

Gdyby wiedziała, że ja wiem, straciłaby całą przyjemność. Zna pani powiedzenie: „Nie wywołuj wilka z lasu”, prawda?

Roześmiałam się.

Po rannym pozowaniu szłam zwykle do kuchni i przygotowywałam posiłek, który potem razem zjadaliśmy. Zdarzało się, że do pracowni wstępowała Angele i wracałam z nią do domu.

Robert musiał wracać do La Maison Grise w jakichś sprawach związanych z majątkiem, a ona została ze mną w Paryżu. Wiedziałam, że Marie - Christine jest urażona, bo nie wzięłyśmy jej ze sobą; z przyjemnością by nam towarzyszyła, ale mademoiselle Dupont nie zgodziła się na następną przerwę w lekcjach.

Czasami zostawałam w pracowni na popołudnie. Podczas lunchu często ktoś wpadał. Poznałam różnych przyjaciół Gerarda. Należał do nich Gaston du Pre, młody człowiek pochodzący z prowincji Dordogne. Był bardzo biedny i przeważnie żywili go przyjaciele.

Często pojawiał się w porze posiłku i jadł z nami to, co akurat było.

Przychodził też Richard Hart, syn właściciela ziemskiego z Staffordshire, dla którego malarstwo było życiową ambicją. Było jeszcze wielu innych, a wśród nich rej wodził Lars Petersen. Temu Norwegowi powodziło się najlepiej z nich wszystkich, odkąd zyskał

pewną sławę dzięki portretowi Marianne.

Przewodził towarzystwu przy wszystkich okazjach, po części ze względu na to, że zdążył osiągnąć większy sukces niż inni, po części zaś z powodu swej żywiołowej osobowości.

Wszyscy wiedli beztrudne życie i po kilku dniach poczułam, że zaczyna mnie ono wciągać. Każdego ranka z przyjemnością otwierałam oczy. Nie przypuszczałam, że potrafię jeszcze tak się cieszyć.

Z niecierpliwością wyczekiwałam swych drobnych utarczek z madame Garnier. Nie zgadzałam się, żeby nadal oszukiwała na zakupach, i wykazywałam jej rozbieżności w cenach. Przyglądała mi się, mrużąc chytre oczka, tak że wydawały się jeszcze mniejsze niż w rzeczywistości. Ale szanowała mnie. Wyznawała pewnie teorię, że jeśli ludzie są na tyle głupi, by dać się oszukiwać, to widocznie na to zasługują. Nie było w tym żadnej szczególnej złośliwości.

Lubiłam przyrządzać posiłki i często przynosiłam ze sobą jedzenie. Nie zgłaszała zastrzeżeń, zwłaszcza że nie miała już z tego żadnego zysku, a przy mnie mogła pracować mniej i wcześniej wychodzić. W rezultacie więc, mimo iż udaremniłam jej dochodowe przedsięwzięcia, jednocześnie ułatwiłam jej życie.

Gerard był bardzo rozbawiony, kiedy mu o tym powiedziałam, i długo jeszcze śmiał się z tego.

Największą przyjemność sprawiały mi jednak te poranki, kiedy pozowałam i rozmawialiśmy.

Nasza przyjaźń rozwijała się szybko i w głębi duszy obawiałam się, że kiedy portret będzie już ukończony, życie stanie się nudne.

Pewnego dnia podczas pracy zapytał:

- Jest jeszcze coś innego, co cię martwi.

Milczałam przez chwilę, a on stał i przyglądał mi się, nie wypuszczając pędzla z dłoni.

- Czy chodzi o... ukochanego? - zapytał.

Wciąż się wahałam. Nie byłam w stanie mówić o Rodericku.

Gerard szybko domyślił się, co czuję.

- Wybacz mi - powiedział. - Jestem wścibski, zapomnij, że o to pytałem.

Powrócił do swego płótna, ale po chwili rzekł:

- Jakoś mi dzisiaj nie idzie, zostawię to na razie. Wyjdźmy, to pokażę ci jeszcze trochę Dzielnicę Łacińską. Jestem pewien, że jeszcze nie wszystko widziałaś.

Zrozumiałam. Zmienił mi się nastrój, miałam wrażenie, że Roderick jest przy mnie. Straciłam swój dotychczasowy spokój i pogodę ducha.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, poddałam się atmosferze ruchu i zgiełku i poczułam się nieco lepiej. W powietrzu unosił się zapach świeżo upieczonego chleba, a z jakiegoś domu dobiegał dźwięk harmonijki.

Wstąpiliśmy do kościoła St. Sulpice, a potem spacerowaliśmy małymi uliczkami, mijając sklepiki z różańcami i wizerunkami świętych.

- Nazywamy to bazarem St. Sulpice - powiedział Gerard.

Pokazał mi dom, w którym umarł Racine. Potem zaprowadził

mnie na plac Furstenburg, przy którym miał pracownię Delacroix.

- Zmarł całkiem niedawno - wyjaśnił - ale to miejsce już stało się świątynią. Jak sądzisz, czy kiedyś ludzie zaczną odwiedzać także moją pracownię i będą mówić: „Tu mieszkał i tworzył Gerard du Carron”?

- Na pewno też stanie się świątynią, jeśli tak bardzo będzie ci na tym zależało.

- Myślisz więc, że jesteśmy zdolni uczynić z naszym życiem to, co chcemy?

- Istnieją trudności, z którymi musimy się zmagać, ale kto wie, co przyniesie jutro? Wierzę, że wszyscy mamy ukrytą moc, która pozwala przewycięzać przeciwności.

- Cieszę się, że tak uważasz. To wspaniałe credo... choć nie zawsze łatwo jest żyć z nim w zgodzie.

Doszliśmy do kawiarenki ze stolikami ustawionymi pod różnokolorowymi parasolami.

- Miałabyś ochotę coś zjeść albo czegoś się napić? - zapytał

Gerard. - Nawet jeśli nie, to i tak miło tu będzie usiąść. Zawsze odpoczywam tu, przyglądając się tłumom przechodniów.

Siedzieliśmy więc, pijąc kawę i obserwując ludzi, a Gerard zabawiał mnie, snując fantazje na ich temat.

Jakiś staruszek poruszał się z trudem, podpierając się laską.

- Ten człowiek wiódł wesołe życie - mówił Gerard - a teraz, gdy koniec jest bliski, zastanawia się, o co w tym wszystkim chodziło.

Och, albo ta matrona z torbą wypchaną różnymi zakupami; taka dumna z siebie, że udało jej się coś wytargować i u rzeźnika, i u piekarza, i u sprzedawcy lichtarzy. Nawet do głowy jej nie przyjdzie, że znając ją, wszyscy z góry podwyższyli ceny.

Po chwili dostrzeżliśmy dwie młode dziewczyny, które chichocząc, szły ramię w ramię.

- Marzą o swoich przyszłych kochankach - powiedział Gerard. -

A oto para kochanków. Bez nich nie byłaby to prawdziwa paryska ulica. Nic do nich nie dociera, widzą tylko siebie nawzajem. Albo ta młoda dziewczyna, która idzie z guwernantką i marzy o chwili, kiedy będzie wolna i wyrwie się spod jej kurateli. Guwernantka wie, że ta chwila już nadchodzi, i z ciężkim sercem myśli, co będzie dalej. Czy uda jej się znaleźć nową posadę?

- Już rozumiem, co to znaczy, że znasz swoich modeli. Czy chciałbyś namalować kogoś z tych ludzi?

- Nawet większość. Chociaż niektórzy aż za wyraźnie mają wypisane na twarzy, kim są. Szukam takich, którzy mają w sobie coś zagadkowego.

Kupiliśmy trochę pate i zabraliśmy ze sobą do pracowni. Gerard otworzył butelkę wina i

siedzieliśmy na kanapie, popijając wino i jedząc pate.

- Coś mi się zdaje - zauważył Gerard - że zaczyna ci się podobać la vie de boheme (la vie de boheme (franc.) - życie cyganerii (przyp.

tłum.)).

- Może jestem do niego stworzona.

- To całkiem możliwe. Dlatego cię ono pociąga. Dla mojej matki jest to wciąż szokujące, że tak właśnie żyję. Nie może zrozumieć, dlaczego nie chcę wrócić do La Maison Grise i pędzić tam, jak ona to nazywa, życia godnego dżentelmena osiadłego w swym majątku.

- To by ci w żadnym razie nie odpowiadało - stwierdziłam. Po krótkiej chwili rzekł:

- Jesteś teraz trochę mniej smutna.

- Rozweseliłeś mnie.

- Więc wystarczyła ci nasza mała przechadzka?

- Tak. I właściwie nie wiem, dlaczego miałabym ukrywać przed tobą prawdę.

- Oczywiście, że chciałbym ją znać.

- To było tak: twój wuj Robert i ktoś, kto nazywa się Charlie, byli dwoma najserdeczniejszymi przyjaciółmi mojej mamy. Zawsze była otoczona ludźmi; przychodzili i odchodzili. Ale ci trzej byli zawsze w pobliżu: Robert, Charlie i Dolly, producent teatralny. Kiedy mama umarła, Charlie nalegał, żebym pojechała do niego na wieś. Ma syna, Rodericka, którego poznałam już znacznie wcześniej; spotykaliśmy się w Londynie. Mama nic nie wiedziała o naszych spotkaniach. Właściwie nie była to tajemnica, ale po prostu jej o tym nie wspominałam. Charlie obiecał mamie, że zaopiekuje się mną, jeśli kiedykolwiek zajdzie taka potrzeba, i dlatego zabrał mnie do swego majątku. Roderick i ja zakochaliśmy się w sobie, mieliśmy się pobrać.

Wtedy Charlie powiedział mi, że jestem jego córką, czyli że ja i Roderick jesteśmy rodzeństwem.

Gerard patrzył na mnie z przerażeniem połączonym ze zdumieniem.

- No i tak się to skończyło... - rzekł. Kiwnęłam głową.

- I dlatego właśnie jestem smutna. Po wstrząsie, jakim była dla mnie śmierć mamy, chciałam zacząć nowe życie. I wiem, że byłabym szczęśliwa... z Roderickiem. Wiesz, byliśmy z mamą bardzo sobie bliskie, zawsze byliśmy razem. Nie potrafiłam wyobrazić sobie życia bez niej... a potem, z Roderickiem, sądziłam, że jednak mi się to uda.

Przysunął się do mnie bliżej i objął mnie ramieniem.

- Moja biedna, nieszczęśliwa Noelle, ileż ty wycierpiałaś!

- Rozmawialiśmy o tym, że musimy przyjmować ciosy, które zadaje nam życie... ale mamy dość siły, aby się po nich podnieść...

jeśli tylko możemy tę siłę w sobie znaleźć.

- Masz słuszość. Musimy i możemy. Jestem pewien, że możemy.

- Nie chciałam z nikim o tym rozmawiać.

- Ale dobrze, że powiedziałaś o tym mnie, ja cię rozumiem.

Wiesz przecież, że straciłem żonę.

Wstał nagle i podszedł do okna. Potem odwrócił się i rzekł:

- Światło jest wciąż dobre, mógłbym jeszcze popracować. Może chociaż trochę odrobimy te dzisiejsze wagary.

Nadszedł dzień, kiedy portret został skończony. Ze smutkiem myślałam, że pewien okres w moim życiu dobiegł końca. Nie będzie już więcej pozowania ani przyjacielskich rozmów, nie będę już miała pretekstu, żeby codziennie przychodzić do pracowni. Niewątpliwie było to dla mnie znaczące przeżycie.

Przyglądałam się portretowi, podczas gdy Gerard obserwował

mnie z pewnym niepokojem.

Wiedziałam, że obraz jest dobry. Nie byłam taką pięknością jak Marianne, ale ten portret miał w sobie wielką siłę wyrazu. Uchwycone zostało podobieństwo - i jeszcze coś. Była to twarz młodej kobiety, w pewnym sensie niewinnej i nieskażonej jeszcze przez życie, w jej oczach jednak czaiło się coś, co świadczyło o skrywanym smutku.

- Bardzo interesujące - powiedziałam.

- Ale czy ci się podoba?

- Wydaje mi się, że ten portret o czymś mówi.

- O czymś, co wolałabyś zachować dla siebie?

- Chyba tak.

- Ale to ty - rzekł. - Zawsze gdy na niego spojrzę, będę czuł, że tu jesteś.

- No cóż, pewnie portret powinien taki być. Nagle do pracowni wszedł Lars Petersen.

- Czekam w napięciu - powiedział. - Gdzie jest dzieło? Stał na wprost sztalugi. Zawsze kiedy tu był, zdawało się, że wypełnia sobą pokój.

- Dobrze - obwieścił. - Tym razem ci się udało, Gerardzie.

- Naprawdę?

- Popatrzmy. Jest w nim głębia, a jest to zarazem portret pięknej dziewczyny. Nie ma nic miłszego niż piękna dziewczyna.

- Nie jest wcale piękna, jest tylko interesująca - sprostowałam.

- Moja droga mademoiselle Tremaston, ośmielę się stwierdzić, że artysta wie najlepiej. Jest to portret pięknej dziewczyny i tyle. Gdzie jest szampan? Musimy wypić za sukces naszego geniusza. Proszę mi wybaczyć, wrócę za moment.

Wyszedł i zniknął na dachu.

- Podoba mu się - rzekł Gerard. - Widziałem, że mu się podoba.

Naprawdę uważa, że jest dobry.

Lars wrócił po chwili z butelką szampana.

- Kieliszki! - zakomenderował władczo. Przyniosłam kieliszki, a on otworzył butelkę.

- Dobry obraz... dobry - wykrzyknął. - Prawie tak dobry, jak ten, który mnie udało się stworzyć. Gerardzie... sukces! Wybijesz się dzięki Noelle, tak jak ja dzięki Marianne. Może nie aż tak, ale prawie.

Śmiał się. Zaniepokoiłam się, jak wzmianka o Marianne wpłynie na Gerarda, ale on tylko popijał szampana, a oczy mu błyszczały.

Reakcja Larsa przekonała go, że portret jest naprawdę dobry.

Angele i Robert przyłączyli się do tej opinii i zaczęło się mówić o wystawie. Gerard miał już wystarczającą liczbę obrazów, które uważał za wartościowe, i wciąż dyskutowaliśmy, jak najlepiej to zorganizować.

Nadal byliśmy w Paryżu i często przychodziłam do pracowni.

Pomagałam Gerardowi wybrać obrazy na wystawę. Pojawiał się też Lars Petersen i wydawał własne sądy. Wpadali też i inni, ale Lars był

najbliższym sąsiadem, więc bezustannie przychodził i wychodził.

Madame Garnier zaczęła się puszyć, bo i jej portret miał zostać wystawiony. Wybraliśmy parę

pejzaży i sporo widoków paryskich; jednak najmocniejszą stroną Gerarda były portrety i one zdecydowanie przeważały.

Robertowi i Angele też udzieliło się podniecenie związane z przygotowaniem do wystawy. Angele powiedziała jednak, że Marie -

Christine wciąż dopytuje się, kiedy wrócę.

- Na wystawę, oczywiście, przyjedziemy - dodała i zrozumiałam, że wkrótce będziemy musieli opuścić Paryż. Nie była to jednak ostatnia wizyta i wiedziałam, że będę ich wyczekiwać.

Otwarcie wystawy wyznaczono na wrzesień i wtedy uświadomiłam sobie, że od mojego przyjazdu do Francji minęło już prawie pół roku.

Wróciłam razem z Angele do La Maison Grise, gdzie powitała mnie obrażona Marie - Christine.

- Tak długo cię nie było! - powiedziała z wyrzutem. - Czy namalowanie portretu trwa aż tyle czasu? Moja angielszczyzna już całkiem zardzewiała, nauka języka wymaga ciągłych ćwiczeń. Założę się, że twoja francuszczyzna też nie jest lepsza.

- Ja miałam okazję mówić tam po francusku.

- A ja po angielsku nie. Okropnie, że tak długo tam byłaś. Dobrze ci się pozowało?

- To bardzo ciekawe.

- Mam nadzieję, że ja też kiedyś się doczekam portretu. Tak to już jest, kiedy ma się malarza w rodzinie. Trzeba mu pozować.

Pojedziesz na wystawę?

- Tak.

- Będiesz sławna.

- Ja? A co ja takiego zrobiłam?

- Kiedy namalowany został portret mojej matki, to wszyscy o niej mówili. Każdy wie, kim była Marianne.

- O mnie nie będą tyle mówić.

- Dlaczego nie?

- Twoja matka była bardzo piękna. Spojrzała na mnie krytycznie.

- Tak, była. Może rzeczywiście to dlatego.

Wydawało się, że ją to uspokoiło. Jeśli nie stanę się sławna, to może znów wszystko będzie jak przedtem, zostanę na wsi i nadal będę uczyć ją angielskiego.

W La Maison Grise czekała też na mnie korespondencja od Lisy.

Odpowiedziałam na jej pierwszy list; napisałam, że czuję się lepiej, a Robert i jego rodzina są dla mnie bardzo mili. Jego gościnność jest naturalna i łatwo ją przyjąć. Sama zresztą o tym wie.

Udało mi się oderwać od przeszłości, tutaj wszystko wygląda zupełnie inaczej. Dobrze zrobiłam, przyjeżdżając do Francji, ale oczywiście nie mogę przebywać tu w nieskończoność. Gospodarze jednak nie chcą nawet słyszeć o moim wyjeździe... więc na razie zostaję.

Otworzyłam kopertę.

Droga Noelle.

Mamy już za sobą bardzo udaną premierę nowego przedstawienia Dolly'ego - „Dojrzała wiśnia”. Wszyscy mówili, że Lottie była znakomita. To wymarzona rola dla niej... mniej tańca i mniej śpiewu niż zwykle, a wiesz przecież, że zawsze miała kłopoty przy najwyższych partiach.

W tym przedstawieniu używa się zapadni... W pierwszym akcie bohater wychodzi tamtędy na scenę. Udaje robotnika, ale jest oczywiście milionerem w przebraniu.

Dolly dał mi rolę dublerki, z czego się bardzo cieszę. Marzyłam o tym, żeby mieć okazję, by pokazać wszystkim, co umiem. Jestem co najmniej tak samo dobra, jak Lottie.

No i nadarzyła się okazja. Miałam wreszcie szansę! I akurat wtedy przydarzył mi się wypadek! Zapadnia otworzyła się, a ja wpadłam do środka. To był poważny upadek i stało mi się coś z plecami. Taniec mogę sobie na razie wybić z głowy. Muszę odpoczywać. Byłam już u dwóch doktorów, ale nie potrafią postawić diagnozy, co mi właściwie jest. Dolly jest wściekły. Umieram z nudów. Wiem, że ta „Wiśnia” była dla mnie prawdziwą szansą.

Spodziewam się, że grozi mi kilka tygodni przymusowego odpoczynku. No, ale dzięki temu mogę odrobić zaległości w korespondencji.

Wiele o Tobie myślę i ciekawa jestem, jak Ci się wiedzie. Już tyle czasu minęło, odkąd wyjechałaś.

Widziałam się z Robertem, kiedy przyjechał do Londynu. Ależ to dobry człowiek! Nalega, żebym dalej tu mieszkała, Crimpom też bardzo na tym zależy. Robert mówił, że pobyt we Francji dobrze Ci robi i że ma zamiar Cię tam zatrzymać. Powiedział, że jego cioteczna wnuczka za Tobą przepada! Pięknie to brzmi.

Aha, byłam jeszcze raz w Levenson. Zamieszanie wokół tej Świątyni Neptuna cały czas trwa.

Proszę, napisz i daj mi znać, co u Ciebie.

Ściskam Cię serdecznie

Lisa

Czas mijał szybko. Trwały przygotowania do wystawy. Znowu przyjechałam z Angele do Paryża i co dzień bywałam w pracowni.

Lubiłam przygotowywać tam posiłki, które potem razem jedliśmy.

Często przyłączali się do nas przyjaciele Gerarda i wtedy rozmawialiśmy głównie na temat sztuki.

Lars Petersen miał wówczas modelkę o imieniu Clothilde i przyszło mi na myśl, że być może są kochankami. Zapytałam o to Gerarda, a on roześmiał się i odparł, że Lars lubi romanse i są one nieodłącznym elementem jego życia.

Coraz bardziej pociągało mnie towarzystwo Gerarda i jego przyjaciół. Kiedy wracałam na wieś, brakowało mi tych spotkań w pracowni. A mimo to, nie umiałam wyzwolić się od tęsknoty za Roderickiem. Zastanawiałam się nawet nad tym, czy by do niego nie napisać, wiedziałam jednak, że to szaleństwo. Znaleźliśmy się w sytuacji, której żadne z nas nie mogło zmienić, lepiej więc było trzymać się od siebie z daleka. Spotkanie z nim tylko spotęgowałoby mój ból. Należało całkowicie wykreślić go ze swego życia; nie mogło już być między nami takich uczuć, jak między siostrą i bratem. Skoro nie mogliśmy być ze sobą jako kochankowie, powinniśmy pozostać rozdzielni.

Z radością odkryłam jednak, że pomimo wszystko, wciąż jeszcze potrafiłam interesować się innymi ludźmi. Powtarzałam sobie, że może czas wpłynie na zmianę mego stanu ducha.

Miałam dziwne uczucie, gdy patrzyłam na swój portret oprawny we wspaniałą, złoconą ramę. Niewątpliwie był to obraz, który przyciągał uwagę. Sprawiał to lekko tragiczny wyraz, jaki Gerard nadał twarzy skądinąd młodej i niewinnej. Zdołał tego dokonać z niezwykłym kunsztem. Zastanawiało mnie, czy właśnie tak wyglądam w rzeczywistości.

Oglądałam dalej. Niektóre widoki Paryża były zachwycające, ale największe zainteresowanie budziły portrety. Z ram obrazu patrzyła na mnie madame Garnier, widziałam po jej twarzy, że już sobie liczy, ile może zarobić na zakupach, i przypomniał mi się jej chytry uśmieszek, kiedy odkryłam te nadużycia, a potem spokój, kiedy musiała zrezygnować z nieuczciwych zysków. To była cała ona, ze wszystkimi swymi słabościami i zaletami. Doszłam do wniosku, że Gerard jest naprawdę wybitnym artystą.

To były dni pełne emocji. Często przychodziłam na wystawę, trudno było mi się przed tym powstrzymać. Gerard był uradowany moim entuzjazmem.

Wiele mówiono na temat mojego portretu, a w notatkach prasowych dotyczących wystawy sporo miejsca poświęcano mojej osobie.

„Noelle jest najlepsza”, „Noelle należy się palma pierwszeństwa”,

„Studium młodej dziewczyny, która ma jakąś tajemnicę. Porzucona przez kochanka?”, „Co Noelle usiłuje przed nami ukryć? To portret, obok którego nie da się przejść obojętnie”.

Mówiono też o madame Garnier.

„Udane studium”, „Portret pełen wyrazu”, „Gerard du Carron w ostatnich latach bardzo się rozwinął i powinien rozwijać się nadal”.

Miło mi było, kiedy ktoś chciał kupić mój portret, a Gerard nie chciał go sprzedać.

- Jest mój i na zawsze chcę go sobie zatrzymać - powiedział.

Po wystawie wróciliśmy do La Maison Grise. Napisałam do Lisy i opisałam jej swój pobyt w Paryżu. Nie odzywała się już od pewnego czasu, więc przypuszczałam, że wróciła do pracy i jest zajęta.

Po moim poprzednim powrocie z Paryża Marie - Christine odnosiła się do mnie z dużą rezerwą, ale wkrótce zrozumiałam, że czuła się zraniona tym, że tak długo mnie nie było.

Któregoś dnia, kiedy jechałyśmy konno wąską alejką, strzemień w strzemień, odezwała się:

- Wydaje mi się, że w Paryżu bardziej ci się podobało niż tutaj.

- Dobrze mi było w Paryżu - odpowiedziałam - ale tu też mi jest dobrze.

- Ale nie zostaniesz tu na zawsze, prawda? Wyjedziesz.

- Zdaję sobie sprawę, że wszyscy tak miło mnie tu przyjmujecie, ale w rzeczywistości jestem tylko gościem. To nie jest mój dom.

- Ja mam wrażenie, że jest.

- Co przez to rozumiesz?

- Mam uczucie, jakbyś była częścią mojego domu... bardziej niż ktokolwiek inny.

- Och... Marie - Christine!

- Nikogo takiego przedtem nie miałam. Jesteś dla mnie jak siostra, zawsze chciałam mieć siostrę.

- To piękne, co powiedziałaś - czułam się głęboko wzruszona.

- Bo to prawda. Grandmere jest dobra, ale ona jest stara i nigdy tak naprawdę nie lubiła mojej matki, a kiedy na mnie patrzy, to ją sobie przypomina. Moja matka tylko czasami mnie dostrzegała, ale zwykle o mnie zapominała. Ojciec też prawie nie pamiętał, że ma córkę. Matka zawsze wolała być w Paryżu, a ojciec spędzał tam cały czas. Wujek Robert jest miły, ale on też jest stary, uważa mnie za dziecko. Muszą o mnie dbać, chociaż właściwie wcale by nie chcieli; to ich obowiązek. Ja potrzebuję rodziny, ludzi, z którymi mogłabym śmiać się i kłócić. Takich, którym można wszystko powiedzieć... i wiesz, że są przy tobie, bez względu na to, jaka jesteś dla nich okropna... nie mogą cię opuścić, bo to twoi najbliżsi, rodzina.

- Nie miałam pojęcia, że tak to odczuwasz, Marie - Christine.

- I ty też. Wyjedziesz, wiem, że wyjedziesz. Tak jak pojechałaś do Paryża. To była taka frajda, kiedy uczyłyśmy się nawzajem angielskiego i francuskiego. Bardzo śmiesznie mówiłaś po francusku.

- Ty po angielsku też.

- Twój francuski był dużo śmieszniejszy niż mój angielski.

- Niemożliwe! Roześmiała się.

- Widzisz? Właśnie o to chodzi. Możemy być dla siebie niegrzeczne, a mimo to wciąż się lubić. Wreszcie mam to, czego chciałam, i wtedy ty wyjeżdżasz do Paryża. Pewnie niedługo znowu pojedziesz.

- No, jeśli nawet pojedę, to nie rozumiem, dlaczego nie miałabyś wybrać się razem ze mną. Przecież w domu jest dość miejsca.

- A mademoiselle Dupont?

- Mogłybyśmy ją też zabrać. Mogłabyś nie przerywać lekcji i uczyć się historii Paryża... tam na miejscu. - Ale ojciec nie chce mnie widywać.

- Ależ oczywiście, że chce. potrząsnęła głową przecząco.

- Przypominam mu moją matkę, a on woli, żeby mu jej nie przypominać.

Przez chwilę jechałyśmy w milczeniu. Dojechałyśmy do końca alejki i Marie - Christine przeszła w cwał. Pocwiałowałam za nią.

Byłam dość poruszona tą rozmową, która uzmysłowiła mi, jak silne są jej uczucia wobec mnie.

- Chcę ci coś pokazać - krzyknęła do mnie przez ramię. Nagle ostro wstrzymała konia. Dojechałyśmy do bramy cmentarnej. Marie -

Christine zeskoczyła z siodła i przywiązała konia do słupka przy bramie. Ja też zsiadłam z konia i przywiązałam go po drugiej stronie.

Marie - Christine otworzyła bramę i weszłyśmy.

Znalazłyśmy się na cmentarzu, a ona prowadziła mnie ścieżką dalej. Wszędzie dookoła były groby ozdobione kunsztownymi posągami i tonące w kwiatach.

Zatrzymała się przed jednym z nich. Wznosiła się nad nim figura Madonny z Dzieciątkiem.

Przeczytałam napis na kamieniu:

Marianne du Carron

Odeszła z tego świata 3 stycznia 1866 roku

Miała 27 lat

- Tutaj pochowana jest moja matka - wyjaśniła Marie - Christine.

- Grób jest bardzo zadbany.

- My nigdy tu nie przychodzimy.

- Kto więc o niego dba?

- Przeważnie Nounou. Może tante Candice. Ale Nounou przychodzi tu co tydzień, w niedzielę. Często widuję, jak klęczy i prosi Boga, by opiekował się jej dzieckiem. To moją matkę nazywa swoim dzieckiem. Stoję blisko i wszystko słyszę, ale chowam się tak, żeby mnie nie zobaczyła.

Ogarnęło mnie współczucie dla niej. Chciałam ją chronić i sprawić, żeby była szczęśliwa.

Ujęłam jej dłoń i uścisnęłam, przez chwilę stałyśmy w milczeniu.

Potem Marie - Christine powiedziała:

- No to chodźmy. Chciałam ci tylko pokazać to miejsce.

Niedługo po moim powrocie do La Maison Grise przyjechał

Gerard. Powiedział nam, że był bardzo zajęty. Po wystawie posypały się zamówienia.

- To dzięki twojemu portretowi - rzekł. - Wzbudził ogromne zainteresowanie. Chciałbym ci podziękować.

- To ty go namalowałaś, ja tylko pozowałam.

- Nie stworzyłbym go bez modelki. Mam teraz dużo pracy; przywiozłem ze sobą farby, pędzle i płótna. Mogę to równie dobrze robić tutaj jak w Paryżu, a zmiana otoczenia też mi się przyda.

Wiele czasu spędzał w wieży północnej. Angele była szczęśliwa, że ma go w domu; wiedziałam, że się o niego martwi. Zwierzyła mi się, że według niej taki nieorganizowany tryb życia jest dla niego szkodliwy. Była pewna, że odżywiał się nieregularnie i nie dojadał.

- No i nadal nie doszedł do siebie po wstrząsie, jakim była śmierć Marianne. Jestem przekonana, że to jest jedna z przyczyn, dla których woli być w Paryżu. Tu natychmiast odżywają wspomnienia.

- Tak, Marie - Christine pokazywała mi, gdzie to się stało.

- Tuż obok jej domu. To było straszne. Ta stara niania wyszła na dwór i znalazła ją leżącą na ziemi.

Przeżyła ogromny wstrząs, uwielbiała Marianne.

- To musiało być dla niej straszne.

- Cóż, na razie Gerard jest w domu i bardzo się z tego cieszę.

To samo mogłam powiedzieć o sobie.

Rozmawiałam z nim o jego pracy i o przyjaciółach, z których wielu zdążyłam już poznać. Bywały popołudnia, kiedy razem z Marie

- Christine i ze mną jeździł konno. Zauważyłam, że zawsze unikał

drogi prowadzącej do Carrefour.

Robert też był zadowolony, że Gerard jest w domu i że bywa nawet ożywiony. Przy posiłkach dyskutowali o polityce, a ja przy okazji zyskałam pewne pojęcie o sprawach, które dotąd były mi całkowicie obce.

Odkryłam, że Robert uwielbia cesarza Napoleona III, bratanka znakomitego Napoleona, męża czarującej cesarzowej Eugonii. Gerard wyrażał się o nim ze znacznie mniejszym entuzjazmem.

- On rozumie, czego ludziom potrzeba - upierał się Robert. -

Prześladuje go mania wielkości Francji. Chce władzy - nie ustępował

Gerard. - Jest taki sam jak jego stryj.

- Jego stryj sprawił, że Francja stała się potęgą - obstawał przy swoim Robert.

- No i w rezultacie wylądował na Elbie i na Wyspie Świętej Heleny.

- To był pech.

- Zawsze jest jakiś pech - odpowiedział Gerard.

- Musisz przyznać, że cesarz wiele zrobił dla dobra publicznego, wprowadził różne pozytywne zmiany. A poza tym obniżył cenę chleba.

- O tak, on dba o Francję. Nie chcę na ten temat dyskutować. - I Gerard zwrócił się do mnie. - Czy bardzo cię nudzimy tymi rozmowami o polityce?

- Skądże znowu - zapewniłam go. - Przekonuję się o swej ignorancji i jestem szczęśliwa, że mogę się czegoś dowiedzieć.

- Chodzi o to, że nie wszystkim odpowiada aktualny stan rzeczy.

Mnie na przykład nie podoba się to, co dzieje się w Prusach. Uważam, że cesarz nie docenia ich siły.

- Bzdura - zaperzył się Robert. - Małe niemieckie państewko!

Pomyśleć, że mogłoby wystąpić przeciwko Francji!

- Cesarz jest w pełni świadom wszystkich upokorzeń, jakich doświadczyliśmy po kongresie wiedeńskim - Gerard znów zwrócił się do mnie. - To było zaraz po klęsce Napoleona I. Byliśmy wtedy w stanie najgłębszego upadku.

- To prawda - przyznał Robert. - Ale cesarz chce teraz przywrócić Francji wielkość, chce zmienić układ sił w Europie.

- Był zadowolony, kiedy po wojnie krymskiej zawarł przymierze z twoim krajem - powiedział do mnie Gerard. - A potem rozpętała się wojna z Austrią, mająca na celu wyparcie Austriaków z Włoch.

- W bitwie pod Solferino dowiódł, że jest wybitnym dowódcą -

przypomniał Gerardowi Robert.

- Obawiam się, że sięga po zbyt wiele.

- Przywrócił naszemu krajowi prestiż - upierał się Robert. - Nie zapominaj, że Ludwik Filip upadł, ponieważ doprowadził do spadku znaczenia Francji w Europie.

- Nasz obecny Napoleon jest zdecydowany do tego nie dopuścić, ale obawiam się, że jego stosunek do Prus może ściągnąć na nas poważne kłopoty.

- Prusy! - powiedział pogardliwie Robert.

- Nie należy ich lekceważyć. Czyż nie usiłują osadzić Hohenzollerna na tronie hiszpańskim?

- Na to cesarz z pewnością nie pozwoli.

- Jeżeli zdoła - rzekł Gerard. - Cóż, miejmy nadzieję, że nic złego z tego nie wyniknie. Konflikty z Prusami zupełnie nam nie potrzeba.

Wuju Robercie, dobre jest to wino.

- Cieszę się, że ci smakuje. A jak z twoją pracą?

- Nieźle. Niedługo będę musiał wrócić do Paryża. A przy okazji, Noelle, Petersen poważnie myśli o namalowaniu twojego portretu.

- Czemu nie miałybyś się zgodzić? - zapytała Angele. -

Pozowanie Gerardowi sprawiało ci przyjemność. Ciekawe, jak jemu by to wyszło.

- On nie może znieść, że ten portret przyniósł mi rozgłos -

powiedział Gerard. - Chce pokazać, że on potrafi zrobić to lepiej.

- Daj mu szansę, by przekonał się, że jest w błędzie - rzekła Angele.

Powiedziałam więc, że się zgodzę.

- A może Marie - Christine pojechałaby do Paryża razem ze mną? Mademoiselle Dupont też mogłaby pojechać, aby Marie -

Christine nie przerywała lekcji. Była bardzo rozgoryczona, że ją tu zostawiamy.

- Niezwykle cię polubiła - stwierdziła Angele. - Bardzo się z tego cieszę. Myślę, że spokojnie może z tobą pojechać.

- Czekam na to z niecierpliwością - powiedziałam.

- A więc ustaliłyśmy - rzekła Angele. - Gerardzie, kiedy chcesz wyjechać?

- Myślę, że z początkiem przyszłego tygodnia. Czy to wam odpowiada?

- Oczywiście - zgodziłam się z uśmiechem.

Kiedy zobaczyłam Marie - Christine i powiedziałam jej, że w przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Paryża, natychmiast posmutniała.

Szybko więc dodałam:

- Chciałabyś pojechać ze mną? Mademoiselle oczywiście by nam towarzyszyła i jestem pewna, że nie będzie to ze szkodą dla twojej nauki, wręcz przeciwnie.

Rzuciła mi się na szyję.

- Już wystąpiłam z tą propozycją, a wszyscy przyznali, że to dobry pomysł - powiedziałam jej.

Lars Petersen był uszczęśliwiony, kiedy usłyszał, że zgodziłam się mu pozować.

- Od chwili, gdy cię pierwszy raz zobaczyłem, chciałem cię namalować - rzekł. - Tak to już jest, wiedziałem od razu.

- Cóż, to mi powinno pochlebiać.

- Wiesz przecież, że masz interesującą twarz.

- Nie wiedziałam, ale myślę, że ty to zauważyłeś po sukcesie, jaki odniósł Gerard.

Rzucił mi szelmowskie spojrzenie.

- Nie mogę pozwolić, żeby mnie zakasował, prawda? On namalował dobry obraz. No to ja muszę

namalować lepszy.

- Widzę, że jest między wami ostra rywalizacja.

- Ależ oczywiście. Rywalizacja w sztuce jest znacznie ważniejsza niż gdziekolwiek indziej. Rozglądamy się dookoła, oceniamy się nawzajem. Każdy z nas chce być wielkim artystą, który przejdzie do historii sztuki, a jego imię będzie na ustach wszystkich.

To jest wielkie osiągnięcie. Dlatego oczywiście, obserwujemy swych rywali.

Miał błyskotliwy i zabawny sposób prowadzenia rozmowy. Wiele dowiedziałam się od Larsa. Bez wątpienia był nadzwyczaj przystojnym mężczyzną i prowadził wesołe życie. Oprócz swej sztuki, niczego nie traktował poważnie. Był ogromnie ambitny i w pełni przekonany, że zdobędzie sławę i sukces, nie rezygnując przy tym z uroków życia. Trudno byłoby go nie lubić.

Obserwowałam, jak postępuje praca nad portretem. Był to niewątpliwie dobry obraz, ale brakowało mu tej subtelnej tajemnicy, którą nadał swej pracy Gerard. Widać było, że Lars nie miał ze mną tak serdecznego i bezpośredniego kontaktu.

Gerard przychodził zwykle pod koniec porannego pozowania i we trójkę coś razem jedliśmy. Potem wracałam do domu i resztę dnia spędzałam z Marie - Christine. Zwiedzałyśmy miasto w towarzystwie mademoiselle Dupont. Dowiedziałam się wiele o historii Francji, jako że mademoiselle Dupont miała zwyczaj zamieniać każdą naszą wycieczkę w lekcję historii. Ukradkiem wymieniałyśmy z Marie -

Christine

znaczące

spojrzenia

i

czasami

z

trudem

powstrzymywałyśmy się od śmiechu.

Często chodziłyśmy do pracowni Gerarda i wtedy zwykle udawało nam się wymknąć spod kontroli mademoiselle Dupont.

Gerard odwiedzał nas też w domu. W czasie tego pobytu widywaliśmy się więc dość często.

Tylko jedno niepokojące wydarzenie zakłóciło mój dobry nastrój.

Byłam właśnie w pracowni Larsa, kiedy okazało się, że brakuje mu jakiejś specjalnej farby. Poszedł więc do Gerarda, żeby ją pożyczyć. Zostałam więc w pracowni sama.

Siedziałam beczynnie, czekając na jego powrót. W pewnej chwili zauważyłam, że drzwi od szafy się nie domykają, bo wystaje z niej kawałek jakiejś szmaty. Pomyślałam, że to pewnie ścierka do kurzu. Przyzwyczaiałam się już do tego, że i u Larsa, i u Gerarda robiłam drobne porządki, obaj bowiem mało o to dbali. Wstałam więc i podeszłam do szafy, chcąc schować ścierkę do środka; przy okazji wypadły jednak upchane tam płótna. Właśnie wkładałam je z powrotem, kiedy dostrzegłam między nimi szkicownik. Podnosząc obrazy, ku swojemu zdumieniu zauważyłam, że jeden z nich przedstawia nagą kobietę, w pozie, którą określić by można jako prowokującą. Nie miałam wątpliwości, że była to Marianne.

Poczułam, że się rumienię. Zawartość szafy najwyraźniej nie była przeznaczona dla moich oczu. W pośpiechu odłożyłam to płótno razem z innymi. Szkicownik wciąż leżał na podłodze; podniosłam go i szybko przekartkowałam. Wypełniony był rysunkami - wszystkie przedstawiały mniej lub bardziej rozebraną Marianne.

Wrzuciłam szkicownik do szafy, zamknęłam ją i szybko wróciłam na swoje miejsce.

I obraz, i szkice były dziełem Larsa Petersena, musiała więc mu pozować.

Byłam głęboko wstrząśnięta, czułam bowiem, że coś się za tym kryje.

Tymczasem w pracowni pojawił się Lars.

- Wszystko w porządku, mam już to, czego potrzebowałem.

Z powrotem zabrał się do pracy, ale ja nie mogłam przestać myśleć o tych aktach. Marianne musiała pozować mu nago.

Była modelką. Czy właśnie tak miała zwyczaj pozować? Nie mogłam pozbyć się myśli, że między Marianne i Larsem istniał jakiś szczególny związek.

Marianne

W tydzień po powrocie z Paryża otrzymałam kolejny list od Lisy.

Po przeczytaniu go byłam tak głęboko wstrząśnięta, że musiałam czytać jeszcze kilkakrotnie, zanim byłam w stanie uwierzyć, że to prawda.

List pisany był w Levenson Manor.

Moja droga Noelle,

Mam Ci tyle do powiedzenia i chcę, żebyś dowiedziała się tego ode mnie. Nie zniósłabym, gdyby ta wiadomość dotarła do Ciebie z jakiegokolwiek innego źródła.

Pisałam Ci o moim wypadku. Początkowo myślałam, że to nic poważnego, ale jakżeż się myliłam! Po trzech tygodniach odpoczynku usłyszałam od doktora coś, co było dla mnie potwornym szokiem.

Stwierdził on, że doznałam trwałego urazu pleców i że mój stan nie tylko się nie poprawia, lecz ulega dalszemu pogorszeniu. Wyobraź

sobie, co wtedy czułam! Tamtego wieczoru występowałam, chcąc udowodnić wszystkim, że nie jestem ani odrobinę gorsza niż Lottie Langdon i na pewno by mi się to udało. To naprawdę była dla mnie szansa. I właśnie wtedy - zdarzyło się coś takiego.

Dolly był na swój sposób miły, ale w rzeczywistości myśli on tylko o przedstawieniu. Wiedziałam, że nie mam co liczyć na to, że przyjmą mnie gdzie indziej. Byłam skończona.

Czułam się strasznie, chciałam już tylko umrzeć. Z mojego życia

- z wszystkich moich ambicji - zostało zero.

Wtedy do Londynu przyjechał Roderick i przyszedł mnie odwiedzić. Był przerażony zmianą, jaka we mnie zaszła. Och, był dla mnie taki dobry, Noelle. Wiesz sama, że on to potrafi. Zawsze był

dobry i uczynny dla nieszczęśliwych ludzi. Jak nikt inny, zrozumiał

stan mojego ducha. Ja naprawdę odchodziłam od zmysłów. Zupełnie nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić, skoro nie jestem już zdolna do pracy.

Roderick zabrał mnie do Levenson. Lady Constance zdecydowanie nie była z tego zadowolona, za to Fiona okazywała mi wielką serdeczność. Na tyle zainteresowała mnie swoją pracą, że zaprzagnęłam jej pomagać, to bowiem byłam w stanie robić. Fiona wychodzi za mąż za młodego człowieka, którego poznała dzięki swojej pracy. Przyjechał tu, do Levenson, w związku ze Świątynią Neptuna. Teraz pomaga Fionie i po ślubie zamieszkają w domu jej babci, jako że pani Carling wciąż przebywa w szpitalu.

Nie wiem, dlaczego Ci o tym wszystkim piszę; pewnie dlatego, że trudno mi przejść do właściwego tematu mego listu.

Zupełnie nie wiem, jak to przyjmiesz po wszystkim, co wydarzyło się między Wami dwojgiem. Byłam zupełnie załamana i zrozpaczona.

Myślałam o odebraniu sobie życia i może nawet bym to zrobiła, gdyby nie Roderick. Wiedział, co mi chodzi po głowie; nikt nie rozumiał mnie tak dobrze, jak on. Straciłam przecież nie tylko pracę, która tak wiele dla mnie znaczyła, ale także środki do życia. Możesz sobie wyobrazić, jak się czułam.

Cóż, oboje byliśmy w sytuacji, kiedy trzeba zrobić coś ze swym życiem, i wtedy nagle Roderick oświadczył, że się mną zaopiekuje. Że się ze mną ożeni.

I to się właśnie stało, Noelle.

Czuję się teraz całkiem odmieniona. Charlie jest dla mnie bardzo dobry. To taki dobry, szlachetny człowiek i Roderick jest taki sam.

Lady Constance jest bardzo rozgniewana. Ty zresztą wiesz, jaka ona potrafi być spokojna i chłodna... jednocześnie dając ci do zrozumienia, jak bardzo cię nie znosi.

Przestało mnie to obchodzić. Mam już po co żyć.

Wybacz mi, Noelle. Wiem, co musisz w tej chwili przeżywać, ale przecież to, czego Ty pragnęłaś, nie mogło się spełnić, prawda?

Roderick mówi, że musimy nadać sens swojemu życiu i to właśnie staramy się robić.

Mam nadzieję, że Tobie też zdarzy się coś pięknego, tak jak zdarzyło się mnie. Nie zawsze można mieć w życiu to, co się chce, prawda? Trzeba po prostu brać to, co życie przyniesie.

Myślę o Tobie z wielką serdecznością.

Niech Cię Bóg błogosławi i ześle Ci nadzieję na szczęście - takie, jakie mnie z Roderickiem udało się odnaleźć.

Lisa

Byłam jak ogłuszona. Roderick i Lisa... pobrali się! Powracały do mnie wspomnienia z przeszłości. Tamto pierwsze spotkanie w parku; wieczór, gdy zastępowała moją matkę; Roderick był tam wtedy, zaprosiła go, żeby przyszedł zobaczyć przedstawienie. Teraz zrozumiałam, że od samego początku była w nim zakochana.

Dotąd jakby nieświadomie żywiłam nadzieję, że stanie się cud i wszystko się zmieni. Jakże byłam głupia! Jak mogło się zmienić? A teraz... to był już koniec. Roderick ożenił się z Lisą.

Musiałam zapomnieć; musiałam przestać o nim myśleć.

Odłożyłam list do szuflady, ale nie mogłam o nim zapomnieć.

Raz po raz wyjmowałam go i czytałam od nowa.

Opowiedziałam o tym Robertowi; był bardzo poruszony.

- Robercie - rzekłam. - Czuję się... jakbym dryfowała unoszona przez fale, nie widząc przed sobą żadnego celu. Płynę tam, gdzie prąd mnie poniesie. Teraz widzę to wszystko jasno. Lisę... zagubioną jak ja teraz... i jej zrujnowaną karierę. Wiem, że Roderick mnie kochał, ale doskonale rozumiał także położenie Lisy. Taki był zawsze pełen zrozumienia i współczucia dla innych. Była bezradna, pewnie na granicy samobójstwa, a on uznał to za jedyny sposób, żeby jej pomóc; dał jej dom, poczucie bezpieczeństwa i wsparcie.

- To straszna tragedia, Noelle. Chciałbym być bardziej pomocny.

Myślę, że tutaj jesteś szczęśliwsza, niż mogłabyś być gdziekolwiek indziej.

- Nie mogę gościć u was w nieskończoność, Robercie.

- A czemużby nie? Uważaj ten dom za swój.

- Ale to nie jest mój dom. Nic nie robię ze swoim życiem.

- Robisz bardzo dużo. Odkąd przyjechałaś, Marie - Christine stała się zupełnie innym dzieckiem. Zawsze się o nią martwiliśmy.

Biedna mała, nie zaznała w życiu wiele dobrego. A my tak cię lubimy, i Angele, i ja. Gerard także. Nie myśl więc nawet, proszę, o wyjeździe.

- Nie chcę stąd wyjeżdżać - powiedziałam. - Nie wiem nawet, co mogłabym gdzie indziej robić.

- Zostań więc. Powinnaś częściej jeździć do Paryża. No i zostałam.

Tygodnie mijały jeden za drugim. Upłynęły już prawie dwa miesiące, odkąd otrzymałam list Lisy. Odpisałam krótko, dziękując za wiadomość i życząc jej i Roderickowi szczęśliwej przyszłości. Od tej pory panowało milczenie; tak chyba było lepiej.

Lars Petersen miał wystawę, w którą i ja byłam w pewnym sensie zaangażowana. Zaprezentował także mój portret i kupiono go do jakiegoś muzeum. Był zachwycony. Gerard natomiast zatrzymał sobie mój portret i powiesił go u siebie w pracowni.

- Lubię na niego patrzeć - powiedział. - Nieustannie mnie inspiruje.

Marie - Christine i ja, razem z nieodłączną, wszędobylską mademoiselle Dupont, częściej bywałyśmy teraz w Paryżu niż na wsi.

W czasie, gdy one miały lekcje, ja odwiedzałam Gerarda. Lubiłam robić zakupy na targu, ponieważ

zawsze poprawiało mi to humor.

Przynosiłam więc zwykle coś smacznego na dejeuner. Z czasem stało się to moim zwyczajem. Siadywaliśmy do stołu z Gerardem, a często przyłączał się do nas Lars Petersen albo inni ubodzy artyści, poszukujący darmowego posiłku.

Robert miał rację, mówiąc, że życie wśród cyganerii dobrze mi robi.

Gerard dostrzegł zmianę, jaka we mnie zaszła, i któregoś dnia, gdy byliśmy sami, zapytał mnie, co się stało.

Nie mogłam się powstrzymać przed zwierzeniami.

- Roderick się ożenił - rzekłam. - Nie powinnam się tym przejmować, a jednak się przejmuję. To oczywiście najlepsze, co mógł zrobić. Poślubił Lisę Fennell, która była dublerką mojej matki.

Miała wypadek, który położył kres jej karierze scenicznej. Taniec był

jej żywiołem, to robiła najlepiej. Sądzę, że Roderickowi było jej żal, a poza tym lubił ją. Zawsze interesował się jej pracą. Czasem odczuwałam nawet ukłucia zazdrości z tego powodu. A teraz... jest jego żoną. Spędzi życie u jego boku, chociaż miało to być moim udziałem.

- Moja biedna Noelle. Życie jest okrutne. Kłopoty nie nachodzą nas pojedynczo, lecz nadciągają zwartym szykiem. Czy to nie Szekspir powiedział coś takiego?

- Możliwe, że powiedział, ale w moim wypadku to szczerą prawdą.

- Ale przecież to nie będzie trwać zawsze. Nastąpi zmiana i wszystko się ułoży. Takie jest prawo natury.

- Nigdy nie zapomnę o Rodericku.

- Wiem.

- Zawsze będzie mi towarzyszył i zawsze towarzyszyć mi będzie świadomość, co straciłam.

- Rozumiem.

- Z powodu Marianne...

- Nigdy nie zdołam zapomnieć Marianne - powiedział.

Na drzwi od strony dachu padł cień. Do środka zajrzał Lars Petersen.

- Coś tu ładnie pachnie - stwierdził. - Czy znajdzie się trochę dla biednego, głodnego człowieka?

Wydawało mi się, że Marianne ciągle mi towarzyszy. Wiedziałam dokładnie, jak wyglądała. Nie

mogłam zapomnieć o tych szkicach, które odkryłam w szafie Larsa Petersena.

Pytałam o nią Marie - Christine, próbowałam rozmawiać o niej z Angele, ale jedyne, co od nich usłyszałam, to: „Była bardzo piękna”.

- Najpiękniejsza kobieta na świecie - powiedziała Marie -

Christine.

- Miała ten typ urody, którego nie sposób nie zauważyć - rzekła Angele. - Życie na wsi było dla niej zbyt nudne. Miała na pewno nie więcej niż piętnaście lat, kiedy zobaczył ją jeden z artystów, który przyjechał do Gerarda. Zapraśnił ją namalować i tak rozpoczęła się jej kariera modelki. Wyjechała do Paryża, ale często tu przyjeżdżała, żeby odwiedzić siostrę i nianię.

To wszystko właściwie już wiedziałam, a jednak nie przestawałam o niej myśleć.

Zaproponowałam Marie - Christine, żebyśmy znowu odwiedziły jej ciotkę.

- Wydaje mi się, że ucieszyły się z twojej poprzedniej wizyty -

dodałam.

- W porządku, chociaż przypuszczam, że im jest raczej wszystko jedno, czy mnie zobaczą, czy nie - odparła Marie - Christine.

- No, jesteś przecież córką Marianne.

Pojechałyśmy więc i spotkałyśmy się z dość miłym przyjęciem.

Pytano mnie uprzejmie o wrażenia z mego pobytu we Francji.

- Jest już pani prawie jedną z nas - rzekła Candice.

- Niewątpliwie jestem tu już dosyć długo.

- I nie chce pani nas opuścić?

- Jest mi tu tak dobrze, że na razie nie poczyniłam jeszcze żadnych planów co do wyjazdu.

- Nie pozwolimy jej stąd wyjechać - rzekła Marie - Christine. -

Kiedy tylko wspomina o wyjeździe, mówimy, że nie wolno jej nas zostawić.

- Rozumiem - powiedziała z uśmiechem Candice. Chciała pokazać nam ogród i kiedy tam spacerowałyśmy, nadarzyła się okazja, bym mogła porozmawiać w cztery oczy z Nounou.

- Chciałabym porozmawiać z panią o... Marianne. Twarz jej się rozjaśniła.

- Chciałabym dowiedzieć się o niej czegoś więcej - ciągnęłam. -

Musiała być niezwykle ciekawą osobą, a pani, jak sędzę, wie o niej więcej niż ktokolwiek inny.

- Ciekawą osobą! Przy niej nie można się było nudzić! Candice niewiele o niej mówi, szczególnie w obecności Marie - Christine.

- Na pewno ma pani wiele jej zdjęć.

- Wciąż je oglądam, to mi ją przypomina. Chciałabym pani pokazać, ale...

- Szkoda, bardzo chciałabym je zobaczyć.

- A może któregoś dnia przyjedzie tu pani... sama? Powiedzmy, rano. Candice wtedy nie będzie. Rano wybiera się zwykle dwukółką na zakupy do Villemere. Wstępuje tam też do znajomych. Proszę przyjechać... rano.

- To byłoby bardzo ciekawe.

- Pokażę pani wtedy jej zdjęcia i będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Candice tymczasem mówiła:

- Właśnie pokazywałam Marie - Christine krzak ostrokrzewu; ma już mnóstwo małych jagódek. To podobno zwiastuje ciężką zimę.

Taki był początek moich wizyt u Nounou.

Bez trudu mogłam odwiedzać ją rankiem, kiedy Marie - -

Christine miała lekcje, a Candice nie było w domu. Nasze spotkania otaczała atmosfera pewnej konspiracji, co odpowiadało zarówno mnie, jak i Nounou. Zajmowało to trochę moją uwagę, wciąż bowiem obsesyjnie powracałam myślą do majątku Leverson i tego, co się tam działo. Wyobrażałam sobie, jak Roderick i Lisa jeżdżą na miejsce wykopalisk, przyglądają się trwającym tam pracom, piją kawę z Fiona, a może i z jej nowo poślubionym mężem - miła, dobrana czwórka. Zadręczałam się tymi fantazjami, a wyprawy do Moulin Carrefour i pogawędki z Nounou przynosiły mi pewną ulgę.

Zastanawiałam się, co powiem, jeśli nieoczekiwanie wróci Candice lub gdy niespodziewanie zastanę ją w domu. - Ach, właśnie przejeżdżałam tędy, więc pozwoliłam sobie wstąpić. - Sądziłam, że może uznać to za wystarczające wytłumaczenie, nie byłam jednak całkiem pewna.

Nounou przepadała za tymi spotkaniami. Nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż rozmowy o jej ukochanej Marianne.

Pokazywała mi jej zdjęcia. Była tam Marianne jako dziecko, już wtedy miała zadatki na wielką piękność, i jako młoda kobieta, kiedy widać było, że zapowiedź ta się spełniła.

- Była czarodziejką - mówiła Nounou. - Wszyscy mężczyźni jej pragnęli. Nie mogła tu sobie znaleźć miejsca; tu było dla niej za spokojnie. Candice była poważniejsza, usiłowała trochę ją poskramiać. Chciała, żeby dobrze wyszła za mąż i żeby się ustatkowała.

- Candice nigdy nie wyszła za mąż.

- Cóż, żyła zawsze w cieniu swej siostry. Marianne była tą, która pierwsza rzucała się ludziom w oczy. Gdyby nie było przy niej siostry, mogłaby uchodzić za całkiem ładną dziewczynę. Powinna była wyjść za mąż za jakiegoś porządnego młodego człowieka. Ale zawsze obok niej była Marianne. A potem pojawił się ten artysta, który przyjechał z wizytą do monsieur Gerarda, raz na nią spojrzął i zapragnął ją namalować. Tak to się zaczęło, a kiedy Marianne czegoś chciała, to nic nie było w stanie jej powstrzymać. Wyjechała więc do Paryża.

Najpierw jeden ją malował, potem drugi. Stała się sławna. Wszyscy mówili o Marianne. No a potem wyszła za mąż za monsieur Gerarda.

- Czy pani była z tego zadowolona?

- Zrobiła oczywiście dobrą partię. Rodzina Bouchere to byli ludzie bogaci i ogólnie szanowani. No i stało się tak... jak można się było spodziewać. Ciągłe ją malował.

- A więc małżeństwo to okazało się szczęśliwe?

- Monsieur Gerard był z niej niezwykle dumny. Cóż, to była jego wygrana, prawda?

- I mieszkali przeważnie w Paryżu?

- Ach, od czasu do czasu bywali i tutaj. Marianne zawsze nas odwiedzała; nie mogła przecież porzucić swojej starej Nounou.

Zawsze była moją ulubienicą, wszystko mi opowiadała.

- A więc wiedziała pani wiele o jej życiu? Nounou z powagą kiwnęła głową.

- Widziałam, że coś się z nią dzieje, ale nie mówiła mi wszystkiego. Och, była naprawdę szalona. Ale żeby tak to się skończyło! Żeby leżała martwa u moich stóp! Myślałam, że umrę, kiedy ją tam zobaczyłam. Żałowałam, że nie umarłam wcześniej.

Nawet teraz nie jestem w stanie o tym myśleć.

Milczałyśmy przez chwilę. Słyszałam, jak zegar stojący nad kominkiem odmierzał sekundy, przypominając mi, że czas mija.

Musiałam wyjść, zanim wróci Candice i zanim Marie - Christine skończy lekcje.

- Przychodź, kiedy tylko masz ochotę - zapraszała mnie Nounou.

- Lubię z tobą rozmawiać, mimo że wtedy wspomnienia powracają. A jednak wtedy czuję się, jakby ona była blisko... tak jak dawniej.

Obiecałam, że niebawem ją odwiedzę.

Znów przyjechaliśmy do Paryża. Marie - Christine zawsze była przejęta tymi wyjazdami, a Robert i Angele uważali, że dobrze nam one robią. A skoro dom w Paryżu stał pusty, czemu nie miałybyśmy z niego korzystać?

Po przyjeździe do Paryża zawsze ogarniał mnie dobry na strój.

Kiedy byłam na wsi, tęskniłam za swobodnym i beztroskim życiem, jakie wiedli Gerard i jego przyjaciele. Pracownia stała się częścią mojego życia i zdawało mi się, że tam łatwiej mi jest uwolnić się od myśli o Rodericku.

Wyczekiwałam naszych wspólnych posiłków, szczególnie tych, kiedy nikt nam nie przeszkadzał. Gerard stał się jednym z moich najlepszych przyjaciół. Istniała między nami więź: ja straciłam Rodericka, on zaś stracił Marianne. Dzięki temu rozumieliśmy się nawzajem jak z nikim innym.

Rozmawiałam z nim o Rodericku. Opowiedziałam mu o znaleziskach z czasów rzymskich i o strasznej przygodzie, jaką przeżyliśmy razem z lady Constance, kiedy to omal nie zostałyśmy żywcem pogrzebane, bo pani Carling zabrała kartkę z ostrzeżeniem.

Słuchał tego głęboko poruszony.

- Bardzo wiele przeszłaś - powiedział. - Wygląda na to, że wszystko zaczęło się wraz ze śmiercią twojej matki. Moja biedna Noelle, ileż ty wycierpiałaś!

- Ty też - odpowiedziałam.

- W inny sposób. Czy myślisz, że kiedykolwiek zdołasz zapomnieć Rodericka?

- Chyba zawsze będę go pamiętać. Milczał przez chwilę, po czym ja zapytałam:

- A ty... a twoje małżeństwo?

- Ja nigdy nie zapomnę Marianne - odparł.

- Rozumiem. Była taka piękna. I niezwykła. Nikt nie mógłby zająć jej miejsca. Kochałeś ją... nad życie. Rozumiem to, Gerardzie.

- Noelle - zaczął powoli. - Już parę razy byłem bliski, aby ci powiedzieć. Muszę z kimś o tym porozmawiać, bo ciąży to na mnie jak straszne brzemie. Nienawidziłem Marianne, to ja ją zabiłem.

Aż dech mi zaparło. Nie wierzyłam własnym uszom.

- Ty... ją zabiłeś? - Tak.

- Przecież spadła z konia!

- Nie bezpośrednio, ale to ja ją zabiłem. Do końca życia nie da mi to spokoju. Wiem w głębi serca, że to ja jestem odpowiedzialny za jej śmierć. Zabiłem ją.

- Jak? Niania opowiadała mi, że znalazła ją na polu, przy Carrefour. Koń ją zrzucił, złamała kark.

- To prawda. Wytlumaczę ci. Szybko zrozumiałem, jakim byłem głupcem. Nigdy jej na mnie nie zależało, pochodziłem jednak z zamożnej rodziny. Pragnęła podziwu, uwielbienia i pieniędzy. Tych dwu pierwszych miała pod dostatkiem.

- Jak możesz mówić, że ją zabiłeś?

- Byliśmy wtedy w La Maison Grise. Kłóciliśmy się, w czym nie było nic dziwnego. Szydliła ze mnie; powtarzała, że nigdy jej nie obchodziłem. Wyszła za mnie za męża, ponieważ byłem świetną partią dla modelki. Mówiła, że mnie nienawidzi. Wyśmiewała mnie...

wykpiwała na wszelkie możliwe sposoby. Zacząłem wtedy krzyczeć:

„Wynoś się z tego domu! Wynoś się z mego życia! Nigdy więcej nie chcę cię widzieć!” Była zaskoczona. Myślała, że wzbudza takie pożądanie, iż bez względu na to, co zrobi, i tak nie można jej się oprzeć. Natychmiast zmieniła ton. Przepraszała, mówiła, że nie chce się ze mną rozstawać; że jesteśmy małżeństwem i powinniśmy być razem; że powinniśmy brać z życia to, co najlepsze. A ja krzyczałem:

„Idź! Idź! Wynoś się z mego życia! Nie chcę cię więcej widzieć!”

Zacząła płakać. „Nie mówisz tego poważnie”, rzekła, a potem prosiła, żebym jej wybaczył i że się zmieni. Upadła na kolana i uczepliła się mnie. Nie wierzyłem jej łzom. Chciała ze mną zostać, bo dzięki temu jej życie było łatwe i wygodne... a jednocześnie chciała robić to, co jej się podobało. Ja miałem już dość, więcej nie byłem w stanie znieść.

Jej uroda wydawała mi się uosobieniem zła. Wiedziałem, że pozbycie się jej jest moją jedyną szansą, by żyć w spokoju. Chciałem zapomnieć, że się z nią w ogóle ożeniłem. Twarz wykrzywił mu grymas bólu i cierpienia. Zaczerpnął powietrza i mówił dalej:

- Powiedziałem: „Zabieraj się stąd. Idź, gdziekolwiek chcesz, ale trzymaj się ode mnie z daleka”. Zapytała: „Dokąd mam iść?” „Nic mnie to nie obchodzi”, odpowiedziałem. „Ale wynoś się stąd, zanim zrobię ci jakąś krzywdę”. Płakała i błagała mnie, abym jej wybaczył.

A potem nagle wybiegła; popędziła do stajni. Wskoczyła na swego konia i już jej nie było. Wkrótce dowiedziałem się, że nie żyje.

- Miała wypadek.

- Miała wypadek, ponieważ była w stanie całkowitej desperacji.

Galopowała jak szalona i nagle wypadła na skrzyżowanie dróg. Tak była zrozpaczona, że nie dbała o to, gdzie jedzie. To ja doprowadziłem ją do takiego stanu... ja ją wypędziłem... to przeze mnie spadła z konia. Widzisz więc, że to ja ją zabiłem. Dręczy mnie to i wiem, że nie uwolnię się od tego do końca życia.

- A więc... nie kochałeś Marianne.

- Nienawidziłem jej, ale jestem odpowiedzialny za jej śmierć.

- To nieprawda, Gerardzie. Nie chciałeś jej zabić.

- Kazałem jej się wynosić z mojego życia, a ona była tym tak zrozpaczona, że postradała własne.

- Niesłusznie obarczasz się winą.

- Jestem winny, Noelle. Nie powinienem być dla niej tak surowy.

Należało wtedy dać jej szansę. Przecież była moją żoną, ślubowałem jej miłość i wierność. Wygnałem Marianne, bo byłem już nią zmęczony. Doprowadziłem ją do takiego stanu ducha, że zginęła. Nic mnie nie przekona, że to nie ja winien jestem jej śmierci.

- Gerardzie - rzekłam. - Musisz o tym zapomnieć. Przestań się już zadręczać.

- Może nie powinienem był ci o tym mówić.

- Dobrze, że mi powiedziałaś. Teraz lepiej wszystko rozumiem.

To nie była twoja wina, musisz zdać sobie z tego sprawę. Tyle ludzi się ze sobą kłóci. Opowiedziałeś mi całą historię i muszę przyznać, jako osoba postronna, że naprawdę nie ma sensu, byś się o to winił.

- Nie, Noelle, pamiętam tę scenę. Mam jeszcze w oczach wyraz zaskoczenia na jej twarzy. Wiem, że była powierzchowna i bez serca, ale własna pozycja była dla niej wszystkim. Lubiła poczucie bezpieczeństwa. A kiedy groziło jej, że to straci, wypadła z domu... i popędziła konno na oślep. Mogły jej się zdarzać przyływy wściekłości, potrafiła zachowywać się nierozsądnie i ze złością, ale zginęła dlatego, że tak ją wtedy potraktowałem. To było morderstwo, równie oczywiste jak to, kiedy zabija się kogoś strzałem z pistoletu.

- To nie to samo. Przede wszystkim, to nie było zamierzone.

- Nigdy mnie o tym nie przekonasz, Noelle.

- Gerardzie - odparłam. - Zdecydowałam, że to właśnie mam zamiar zrobić.

Uśmiechnął się do mnie.

- Naprawdę cieszę się, że mi zaufałeś - powiedziałam.

Tajemnica, którą wyjawiał mi Gerard, była zdumiewająca. Nie przypuszczałam, że bezgraniczny smutek, jaki dostrzegałam czasem w jego oczach, nie był wyrazem tęsknoty za Marianne, lecz wynikał z poczucia winy.

Dwa dni po tym wyznaniu rzekł do mnie:

- Całkiem inaczej się czuję, odkąd ci powiedziałem. Czuję się, jakbym zrzucił z siebie część tego brzemienia. Jesteś jedyną osobą, która o tym wie. Nie potrafiłem zdobyć się, by porozmawiać o tym z kimkolwiek innym, ale z tobą wydawało mi się to naturalne.

- Dobrze, że mi powiedziałaś, Gerardzie. Myślę, że zdołam cię przekonać, że nie jesteś winny.

- To niemożliwe, nigdy się od tego nie uwolnię. Wtedy, gdy wybiegła, była tak zrozpaczona. Wcale nie dlatego, że zależało jej na mnie, ale czuła, że wygodne, bezpieczne życie wymyka jej się z rąk.

Mogła oczywiście schronić się w Carrefour, ale stamtąd przecież uciekła i było to ostatnie miejsce, gdzie chciałyby wrócić. Mogła też wrócić do Paryża i pracować tam regularnie jako modelka. Na to jednak była zbyt szalona i chwilami zbyt leniwa. To, że zapagnęła czuć się bezpieczna poprzez małżeństwo, stanowiło dość nietypowy rys jej charakteru.

- Gerardzie - powiedziałam. - To już minęło. Ona nie żyje.

Musisz o niej zapomnieć i przestać się obwiniać. Staraj się o niej nie myśleć.

- Tak jak ty o Rodericku. Milczałam, a on odezwał się:

- Widzisz, łatwo jest radzić innym, co powinni robić.

- Wiem. Zawsze wydaje się, że cudze problemy można jakoś rozwiązać. Tylko swoich własnych się nie da.

- Muszę zapomnieć Marianne. Ty musisz zapomnieć Rodericka.

Noelle, czy nie moglibyśmy zrobić tego razem?

Patrzyłam na niego w zdumieniu.

- Razem? - wymamrotałam.

- Tak. Bardzo cię polubiłem. Dni, które spędzamy razem, są dla mnie cudowne. Dlaczego nie mielibyśmy być razem?

- To znaczy, że...?

- To znaczy, że może wyjdiesz za mnie za męża? Jestem innym człowiekiem, odkąd tu przyjechałaś... wszystko wygląda inaczej.

Wiem, że nadal będziesz myśleć o Rodericku, ale on należy już do przeszłości, która nie wróci. Nie możesz do końca życia być pogrążona w żałobie, musisz zacząć od nowa. Oboje teraz mamy taką szansę.

Patrzył na mnie błagalnie. To prawda, że byliśmy w przyjaźni i dobrze się rozumieliśmy. W jego obecności mogłam uciec od wspomnień i czułam wtedy pewną ulgę.

Był jednak tylko jeden mężczyzna, którego chciałam poślubić, a to, że nie mogłam wyjść za niego za mąż, nie oznaczało wcale, że tak łatwo zamienię go na kogo innego.

Jednocześnie bardzo lubiłam Gerarda. Najmilsze chwile, jakie spędziłam od utraty Rodericka, to były chwile spędzone właśnie z nim.

Czułam się oszołomiona i on zdawał sobie z tego sprawę.

Ujął moją dłoń i pocałował ją.

- Wahasz się - rzekł. - Ale przynajmniej nie mówisz zdecydowanie: nie. A więc sam pomysł nie jest czymś, przed czym byś się wzdragała.

- Nie. Oczywiście, że nie. Bardzo cię lubię, Gerardzie. Zawsze z niecierpliwością czekam, kiedy znów przyjdę do ciebie do pracowni, a jednak mam wątpliwości. Myślę, że wobec ciebie nie byłoby to w porządku. Wiesz, że kochałam Rodericka. I nadal go kocham.

- On jednak zrozumiał, że musi żyć dalej. Ożenił się.

- Myślę, że zrobił to z litości. Po prostu żal mu było Lisy.

- Wszystko jedno z jakiego powodu, ale się ożenił. Pomyśl o tym, co ci powiedziałem. Może dojdiesz do wniosku, że to będzie najlepsze... dla nas obojga. Zastanów się nad tym, dobrze?

- Tak, Gerardzie - odpowiedziałam. - Zastanowię się.

I rzeczywiście się nad tym zastanawiałam. Na dobrą sprawę nie przestawałam o tym myśleć. Bardzo lubiłam Gerarda i pociągał mnie jego artystyczny tryb życia. Z wielką przyjemnością przyrządzałam mu posiłki; teraz zaś ogarnęło mnie pragnienie, by móc dbać o niego i jakoś go pocieszyć. Chciałam usunąć z jego umysłu przekonanie, że jest odpowiedzialny za śmierć Marianne.

W pewnym sensie kochałam go. Może gdybym nie znała nigdy Rodericka, to by wystarczyło. A jednak Roderick istniał i wspomnienie o nim miało mnie nigdy nie opuścić. Wiedziałam, że będę marzyć o nim do końca życia.

Mimo wszystko lubiłam Gerarda.

I tak w myślach wciąż wracałam do tego samego punktu.

W pracowni bywałam jak zwykle. Ciągle ktoś tam przychodził

albo wychodził, jak zawsze toczyły się ożywione rozmowy.

Jednak zanosilo się na coś nowego. Od pewnego czasu zaczęło się odczuwać stopniową zmianę w atmosferze miasta.

Wyczuwałam powszechny niepokój, panowały różnice poglądów, a młodzi mężczyźni toczyli ze sobą gorące dysputy.

- Dokąd prowadzi nas cesarz? - zapytał któregoś dnia Roger Lamont. - Wydaje mu się, że jest swoim stryjem. Jeśli nie będzie ostrożny, to skończy na Wyspie Świętej Heleny.

Roger Lamont był zagorzałym antyrojalistą. Był młody, dogmatyczny i zapalczywie bronił swoich poglądów.

- Gdyby sprawy potoczyły się po twojej myśli, byłbyś winien następnej rewolucji - stwierdził Gerard.

- Uwolniłbym Francję od tego Bonapartego - odciął się Roger.

- I wyniósłbyś do władzy nowego Dantona, nowego Robespierre'a?

- Mianowałbym dowódców.

- To już mieliśmy, pamiętasz? I zobacz, co z tego wyszło.

- Cesarz jest chorym człowiekiem, który ma manię wielkości.

- Och, wszystko będzie dobrze - odezwał się Lars Petersen. - Wy, Francuzi, za bardzo się tym przejmujecie. To ich interes, więc niech robią, co do nich należy, a my róbmy swoje.

- Niestety - przypomniał mu Gerard - nas to także dotyczy, a ich interes jest także i nasz. Żyjemy w tym kraju i jego losy to zarazem losy nas wszystkich. Mamy kłopoty finansowe. Nie ma wolności prasy. I osobiście uważam, że cesarz powinien powstrzymać się od konfliktów z Prusakami.

Spory takie ciągnęły się czasem całymi godzinami. Lars Petersen był tym wyraźnie mało zainteresowany. Przerywał im, żeby porozmawiać o madame de Vermont, która zamówiła sobie u niego portret.

- Ta pani obraca się w kręgach dworskich. Idę o zakład, że już wkrótce pozować mi będzie sama cesarzowa.

Roger Lamont zaśmiał się drwiąco, a Lars zwrócił się do mnie.

- Madame de Vermont zobaczyła twój portret i zapytała o nazwisko artysty. Natychmiast mnie zaangażowała, bym ją sportretował. Widzisz więc, moja droga Noelle, że to tobie zawdzięczam swój sukces.

Powiedziałam, że jestem szczęśliwa, iż mogłam mu się do czegoś przydać. Bardzo lubiłam siedzieć z nimi i przysłuchiwać się ich rozmowom. Czułam się niemal jedną z nich.

Był to bardzo przyjemny tryb życia i ja też mogłabym tak żyć.

Bywały chwile, że w to wierzyłam, a wtedy powracały wspomnienia.

Śnił mi się Roderick i w snach przestrzegał mnie, abym nie wychodziła za nikogo innego. Kiedy się budziłam, te sny wydawały mi się rzeczywistością.

A przecież on ożenił się z Lisą Fennell. Uczynił krok ostateczny, tym samym uznając nasz los za nieodwracalny. Może ja muszę zrobić to samo?

To było niemożliwe. Powtarzałam sobie, że nie mogę tego zrobić.

Potem szłam na targ na zakupy, kupowałam jakiś smakołyk, zносиłam to do pracowni i gotowałam. A wtedy mówiłam sobie: Tak mogłoby wyglądać moje życie. Ale za chwilę znów ogarniały mnie wątpliwości.

Drogi Gerard! Tak bardzo chciałam, żeby był szczęśliwy. Wiele myślałam o Marianne. Nie mogłam uwierzyć, żeby taka dziewczyna, jak ona, pędziła konno na złamanie karku, tylko dlatego, że była zrozpaczona. Sądziłam, że była zbyt powierzchowna, aby cokolwiek przeżywać aż tak mocno.

Pragnęłam wyzwolić Gerarda z tego strasznego poczucia winy.

Może udałoby mi się dowiedzieć jeszcze czegoś od Nounou.

Sprawa Marianne stała się już moją obsesją i kiedy nasz pobyt w Paryżu dobiegał końca, nie mogłam się już prawie doczekać powrotu do La Maison Grise. Wierzyłam, że wyciągnę od Nounou jakieś istotne informacje.

Żegnając się ze mną, Gerard prosił, żebym niedługo wróciła, a ja obiecałam, że wkrótce przyjadę.

- Wiem, że nie o tym marzyłaś - powiedział. - Ale czasami w życiu trzeba przystać na kompromis... i może to przynieść dobry skutek. Noelle, ja wszystko zrozumieć. Nie będę czynił ci wyrzutów za to, że go wspominasz. Jestem gotów przyjąć wszystko, co zechcesz mi ofiarować. Przeszłość ciąży na mnie tak samo, jak na tobie. Nie możemy oczekiwać, że zdołamy zupełnie od niej uciec. Ale mogliśmy być dobrzy dla siebie nawzajem; bierzmy to, co życie nam przynosi.

- Przypuszczam, że masz rację, Gerardzie, ale nie jestem jeszcze tego pewna.

- Przyjedź do mnie, kiedy już będziesz miała tę pewność...

przyjedź natychmiast. Nie zwlekaj.

Obiecałam mu, że przyjadę.

Po powrocie do La Maison Grise niezwłocznie odwiedziłam Nounou.

Była bardzo zadowolona, że mnie widzi.

- Brak mi było twoich wizyt - powiedziała. - Widzę, że Paryż zafascynował cię tak samo jak Marianne. Takie to już miasto, prawda?

Przyznałam jej rację.

Nie wiedziałam, jak w okrężny sposób dowiedzieć się tego, na czym mi zależało. Kiedy byłam w Paryżu, wydawało mi się, że nie będzie to trudne.

Jak zawsze rozmawialiśmy o Marianne; Nounou znalazła jeszcze zdjęcia, których nie widziałam. Opowiadała o całych chmarach jej wielbicieli.

- Mogła zrobić najlepszą partię w kraju.

- Może zrozumiała to dopiero, kiedy poślubiła już monsieur Gerarda i zaczęła żałować tego małżeństwa.

- Ach, to była zawsze bardzo szanowana rodzina. Marianne dobrze się urządziła; nikt nie mógłby temu zaprzeczyć.

- A pomijając pozycję związaną z tym małżeństwem, czy znalazła w nim szczęście?

- Była zupełnie zadowolona. Ona była pazerna, ta moja dziewczynka. Jeszcze jako dziecko wyciągała rączki i wołała „chcę to”, jeśli tylko zobaczyła coś, na co miała ochotę. Śmiałam się z niej i nazywałam ją „Mademoiselle Chcę To”. Właśnie wybieram się, żeby zanieść kwiaty na jej grób. Nie zechciałabyś przejść się ze mną na cmentarz?

Zastanawiałam się, co mam powiedzieć Nounou. W myśli układałam sobie różne zdania. - Co czułaby i jak mogłaby się zachowywać, gdyby pokłóciła się z mężem, a on wyrzuciłby ją z domu? - Zapytałaby mnie wtedy, skąd coś takiego przyszło mi do głowy. Nie mogłam zdradzić jej tego, co powiedział mi Gerard.

Przyglądałam jej się, jak porządkowała grób. Potem uklękła i modliła się przez chwilę. Podczas gdy patrzyłam na nagrobek z wyrytym imieniem, nazwiskiem i datą jej śmierci, wyobrażałam sobie piękną twarz Marianne, która ze mnie drwiła.

Umarłam, leżę w grobie. Do końca życia będę straszyć go i nawiedzać.

Nie, pomyślałam, nie będziesz. Znajdę sposób, aby go od ciebie uwolnić.

Zabrzmiało to, jakbym podjęła decyzję, że go poślubię. Później jednak znowu czułam, że nie mogę wyjść za mąż. Roderick zniknął z mego życia, zabierając ze sobą wszystkie moje nadzieje na szczęśliwe małżeństwo.

Robert wyjechał do Paryża. Przed wyjazdem powiedział, że sytuacja zaczyna się robić dość ponura. Cesarz traci już cierpliwość do Bismarcka; uważa, że jest wrogo nastawiony wobec jego planów przywrócenia wielkości Francji.

- To dobrze - stwierdził Robert - że Prusy są tylko małym państwkiem. Bismarck nie będzie chciał konfliktu z Francją, mimo iż w Prusach jest on równie butny i pełen ambicji, jak cesarz u nas.

Sądził, że przez pewien czas pobędzie w Paryżu.

- Jeśli tylko będziesz miała ochotę przyjechać, to bardzo proszę.

Gerard też będzie uszczęśliwiony.

Obiecałam sobie, że pojedę. Przedtem jednak chciałam odbyć jeszcze parę rozmów z Nounou.

Zanim do tego doszło, otrzymaliśmy druzgocącą wiadomość.

Pamiętam ten upalny, lipcowy dzień. Byłam właśnie w ogrodzie z Marie - Christine, kiedy niespodziewanie wrócił z Paryża Robert. Był

bardzo wzburzony.

Zauważyliśmy, jak wchodził do domu, i pospieszyliśmy za nim.

W holu zastałyśmy Angele.

- Francja wypowiedziała wojnę Prusom! - oznajmił Robert.

Wszystkie osłupiałyśmy. Słuchałam dyskusji politycznych, jakie toczyły się w pracowni, ale nie traktowałam ich zbyt poważnie. Tak, tego właśnie można się było obawiać.

- Co to oznacza? - zapytała Angele.

- Można mieć tylko nadzieję, że to nie potrwa długo - rzekł

Robert. - Takie małe państwko jak Prusy przeciwko takiej Potędze jak Francja. Cesarz nigdy nie wdałby się w coś takiego, gdyby nie był

pewien szybkiego zwycięstwa.

Przy obiedzie Robert powiedział nam, że niemal natychmiast wraca do Paryża. Musi podjąć pewne środki ostrożności na wypadek, gdyby wojna nie skończyła się w ciągu kilku tygodni. Przypuszczał, że może go to na jakiś czas zatrzymać w mieście.

- Wy zostańcie na wsi, dopóki sytuacja się nie wyjaśni - polecił. -

W Paryżu panuje chaos. Cesarz, jak wiecie, od pewnego czasu tracił

popularność wśród ludu.

Następnego dnia Robert pojechał do Paryża. Towarzyszyła mu Angele, która chciała dopilnować, by Gerard należycie dbał o siebie.

Ciekawiło mnie, co dzieje się teraz w pracowni. Byliśmy złażnieni wiadomości.

Minęło kilka tygodni. Na początku sierpnia rozeszła się wieść, że Prusacy zostali wyparci z Saarbrucken, i nastąpiła ogólna radość.

Wszyscy mówili, że to będzie nauczka dla Niemców. A jednak już po paru dniach wiadomości stały się mniej optymistyczne. Okazało się, że to tylko niewielki oddział wyparty został z Saarbrucken, a Francuzi nie potrafili wykorzystać swego drobnego sukcesu. Zostali rozgromieni i w popłochu wycofywali się w Wogezy.

Na twarzach ludzi malowało się przygnębienie, odzywały się pomruki wrogie cesarzowi. Pod błahym pretekstem wpędził Francję w stan wojny, gdyż chciał pokazać światu, że nie ustępuje w niczym swemu stryjowi. Ale naród francuski nie potrzebował podbojów ani zwycięstw dla próżnej chwały. Naród chciał pokoju. Tymczasem Francja nie tylko nie odniosła zwycięstwa, lecz poniosła sromotną klęskę. To było upokarzające.

W te upalne dni sierpnia z niepokojem wyczekiwaliśmy wieści z placu boju. Niewiele ich do nas docierało i domyślałam się, że to zły znak.

Z krótką wizytą do domu przyjechał Robert. Radził nam jednak pozostać na wsi, mimo iż on musiał wracać. Życie w Paryżu robiło się bardzo trudne. Panował niepokój; studenci gromadzili się na ulicach.

W kawiarniach i restauracjach tłoczno było od ludzi, którzy starali się innych zagrzewać do czynu.

Dni rewolucji nie były jeszcze na tyle odległe, by można było o nich całkiem zapomnieć.

Od czasu do czasu odwiedzałam Nounou. Nie okazywała szczególnego zainteresowania rozwojem sytuacji wojennej. Wciąż jeszcze nie miałam okazji porozmawiać z nią o tym, co nie dawało mi spokoju. Wiele myślałam o Gerardzie. Jako człowiek poważnie myślący, na pewno był głęboko zaniepokojony wojną.

Okazja nadarzyła się niespodziewanie. Któregoś dnia byłam u Nounou i rozmawiałyśmy o Marianne. Dowiedziałam się, że znalazła fotografię, o której istnieniu całkiem już zapomniała; nie oglądała jej od lat.

- Była na samym końcu jednego z albumów, wciśnięta pod jakąś inną. To pewnie Marianne sama ją tak schowała, to zdjęcie nigdy jej się nie podobało.

- Mogę je zobaczyć? - zapytałam.

- Chodźmy na górę - powiedziała Nounou.

Zaprowadziła mnie do pokoju, który był chyba pokojem Marianne. Kilka jej zdjęć wisiało na ścianie, a na stole leżały te albumy, które dla Nounou stanowiły zapis życia jej ulubienicy. . .

Pokazała mi to zdjęcie.

- Minę ma tu trochę szelmowską, prawda? Widać, że potrafi spłatać niezłego figła. Cóż, taka była - ale tutaj szczególnie wyraźnie to widać.

- I wołała to zdjęcie schować?

- Powiedziała, że zanadto ją demaskuje, że ludzie będą mieć się przed nią na baczności.

Przyjrzałam się fotografii uważnie. Pomyślałam, że rzeczywiście, coś w tym jest... jakieś niemal namacalne zło.

- Cieszę się, że mam te zdjęcia - powiedziała Nounou. - Za czasów mojej młodości niczego takiego jeszcze nie było. To ten monsieur Daguerre je wprowadził. Nie wiem, co bym bez nich zrobiła.

- Jeśli nie lubiła tego zdjęcia, to dziwię się, że go nie zniszczyła.

- Ach nie, nigdy nie niszczyła żadnych swoich zdjęć. Oglądała je równie często jak ja.

- To tak, jakby była w sobie zakochana.

- Cóż, dlaczego miałyby nie być? Wszyscy przecież się w niej kochali.

- Była szczęśliwa w małżeństwie, prawda? Na chwilę zapadło milczenie.

- Cóż, on był w niej do szaleństwa zakochany.

- Aż tak?

- O tak. Wszyscy za nią szaleli, a on był zazdrosny. - Zaśmiała się. - Można to było zrozumieć; każdy mężczyzna jej pragnął.

- Czy zdarzało jej się kłócić z mężem? Nounou zamyśliła się, a usta wykrzywiły jej się w uśmiechu. - To była sprytna dziewczyna, lubiła, aby wszystko toczyło się po jej myśli.

- Większość ludzi to lubi, prawda?

- Tak, to prawda, ale ona uważała, że jej się to należy, ponieważ jest taka piękna. Jeśli ktoś próbował postępować inaczej, wymuszała na nim to, czego chciała.

- To musiało być niełatwe dla tych, którzy ją otaczali.

- Tak, ona była nieokiełznana. Wiedziałam o tym dobrze.

Zdarzało się, że i mnie potrafiła doprowadzić do szału. Ale to ani o jotę nie zmieniało moich uczuć

do niej. Była moja i drugiej takiej nie dałoby się znaleźć. Zawsze przy niej byłam - stara Nounou - i pomagałam rozwiązywać jej problemy. Mówiła mi o sobie wszystko albo prawie wszystko.

- Czy opowiadała pani o kłótniach, jakie miewała ze swym mężem?

- Niewiele było spraw, które przede mną ukrywała. Skorzystałam z okazji i rzekłam:

- Nie jestem pewna, czy mąż był nią aż tak oczarowany, jak pani sądzi.

- Dlaczego to mówisz?

Uznałam, że jestem o krok od odkrycia i dla dobra Gerarda miałam zamiar zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby tylko dowiedzieć się tego, na czym mi tak zależało. Nawet jeśli oznaczało to, że muszę nieco rozminąć się z prawdą.

- Tego dnia, kiedy zginęła... - zaczęłam.

- Tak? - podchwyciła skwapliwie Nounou.

- Słyszała ich jedna ze służących. Kłócili się. On kazał jej odejść; miał już jej dość. Nie wygląda więc na to, żeby był w niej do szaleństwa zakochany.

Milczała przez moment i powoli na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- To prawda - rzekła. - Tylko że tego ona właśnie chciała Proszę -

wstała i podeszła do szafy - popatrz na to.

Otworzyła drzwi szafy i wskazała na torbę podróżną.

- To jest jej torba - wyjaśniła. - Domyślasz się, co w niej jest? Jej biżuteria, jakieś lepsze ubrania. Mówiłam ci, że była sprytna.

Wypędził ją, ale o to jej właśnie chodziło. Sama do tego doprowadziła.

- Dlaczego więc była taka zrozpaczona?

- Zrozpaczona? Wcale nie była zrozpaczona. Wszystko sobie zaplanowała. Ja o tym wiedziałam, bo dopuściła mnie do tajemnicy.

Tańczył tak, jak mu zagrała; mówił to, co chciała, żeby powiedział.

Sama go do tego sprowokowała. Akcja potoczyła się zgodnie z planem. Myślisz, że mnie to zaskoczyło? Wszystko mi powiedziała, wiedziałam, co jej chodziło po głowie. - Dlaczego chciała, aby kazał

jej odejść? - Dlatego, że to ona chciała go opuścić. Pragnęła być wolna... ale wolała, żeby to wyszło

od niego. Przynosiła mi tu swoje rzeczy na przechowanie. Chodziło jej o to, żeby wyrzucił ją z domu.

Nie chciała, żeby mówiono, że to ona zostawiła go dla innego mężczyzny; chociaż, prawdę mówiąc, to właśnie miała zamiar zrobić.

Widzę ją teraz jak żywą. Oczy błyszczały jej złośliwie. „Nounou, chcę doprowadzić do tego, żeby mnie wypędził”, powiedziała. „Na pewno mi się to uda; a wtedy pojedę do Larsa. Lars chciał, żeby tak się to odbyło; wolał nie wkraczać bezpośrednio pomiędzy nas. To on wymyślił, żeby stworzyć pozory, że związałam się z nim dopiero potem, jak Gerard mnie wypędził. Lars nie chce niepotrzebnych problemów. I tak to wygląda”. Widziałam tego Larsa, wysoki, postawny mężczyzna; bardziej w jej typie niż monsieur Gerard.

Oczywiście monsieur Gerard miał rodzinę i pozycję, ale był zbyt poważny dla takiej dziewczyny jak ona. Lepiej by jej było z Larsem.

W każdym razie przyjmij do wiadomości, że to było przez nią ukartowane. Chciała, żeby monsieur Gerard wypędził ją z domu i przypuszczam, że jej się to udało. Ona i Lars przedtem już to ze sobą uzgodnili; Lars mógłby wtedy powiedzieć. „No cóż, pozwoliłeś jej odejść... więc teraz nie możesz mieć pretensji”. Zrozum, oni byli bliskimi przyjaciółmi, mieszkali tuż obok siebie. Och, to by się udało... gdyby nie ten wypadek.

- A więc ta kłótnia była przez nią zaplanowana - podsumowałam.

- Jestem tego pewna. Przecież mi o tym mówiła. Podejrzewam, że on potem nie mógł sobie darować tego, co wtedy powiedział. Ale ona była demonem, umiała sprawić, że każdy tak tańczył, jak mu zagrała.

- I miała odejść do kochanka?

- Wszystkie rzeczy, które chciała zatrzymać, były tutaj i na nią czekały. Za dzień lub dwa miał przyjechać i zabrać ją stąd. - Ale...

umarła. Pędziła jak szalona, wcale nie z rozpaczy, że mąż ją wypędził. - Na pewno nie, ona nie była zmartwiona, lecz rozradowana. Mogę ją sobie wyobrazić, jak śmieje się i głośno śpiewa... galopując przed siebie. Przynajmniej zginęła z poczuciem triumfu.

- A więc była tak przejęta na myśl o tym, co ją czeka, że zapomniała o ostrożności? Myślała o swym kochanku i o tym, że szczęśliwie udało jej się uciec od męża...

- Nie ma co do tego wątpliwości! Znałam ją przecież. Potrafiła być nieobliczalna. A wtedy musiała szaleć z radości, że sprawy potoczyły się po jej myśli. Wiem, Któż może to wiedzieć lepiej ode mnie? Wydawało jej się, że ma przed sobą życie jak w bajce.

Spełniało się to, czego zapragnęła... i oto, można by powiedzieć, znajdowała się u progu szczęścia. Ten Lars zawsze jej się podobał. No i właśnie wtedy, kiedy otwierała się przed nią przyszłość, o której od dawna marzyła, przyszła śmierć. - Po policzkach Nounou spływały łzy. - Nigdy jej nie zapomnę, mojej pięknej i sprytnej córuchny.

Zrobiło mi się lekko na duszy. Pomyślałam, że nazajutrz pojedę do Gerarda. Powiem mu, że się mylił. Marianne zamierzała opuścić go dla Larsa Petersena, już od pewnego czasu byli kochankami.

Opowiem mu o obrazie i o szkicach, które widziałam u Larsa w pracowni.

Teraz już na pewno zdołam wyperswadować mu poczucie winy.

Nie pojechałam jednak do Paryża, gdyż nazajutrz dotarły do nas nowe wiadomości. Cesarz wraz z armią poddał się wrogowi pod Sedanem i był teraz u Prusaków w niewoli.

Następne dni przypominały teraz mglisty sen, mieliśmy bowiem tylko niejasne wyobrażenie o tym, co się dzieje. Od czasu do czasu docierały do nas strzępy wiadomości, na ogół jednak gubiliśmy się w domysłach.

Przed końcem miesiąca poddał się Strasburg, z którym Francuzi wiązali swe ostatnie nadzieje. Dochodziły nas słuchy, że Paryż jest pełen niemieckich wojsk, i wiedzieliśmy, że prędzej czy później dojdzie tam do walki. Martwiliśmy się o Gerarda, Roberta i Angele.

Niemcy posuwali się naprzód przez Francję, niszcząc po drodze istniejące jeszcze punkty oporu. Zajęli już całą północną Francję i oblegali Paryż. Co dzień oczekiwaliśmy, że siły napastnika mogą pojawić się i u nas.

Mademoiselle Dupont obawiała się o los swej matki, mieszkającej w Champigny, i pojechała, by być z nią razem. Czekaliśmy z drżeniem, co przyniesie każdy kolejny dzień.

W tym okresie jeszcze bardziej się do siebie zbliżyliśmy z Marie

- Christine. Ona miała już czternaście lat i była bardzo dojrzała jak na swój wiek. Ja starałam się, abyśmy nadal żyły w miarę możliwości normalnie i codziennie odbywałam z nią parę lekcji. Dzięki temu nie myślałyśmy ciągle o tym, co dzieje się w Paryżu i kiedy wojna dosięgnie także i nas. Czasem z daleka słyszałyśmy odgłosy strzałów i rzadko się ze sobą rozstawałyśmy.

W ciągu tych miesięcy uświadomiłam sobie, jak wiele znaczy dla mnie życie tutaj.

Po sto razy na dzień przyrzekałam sobie, że jeśli uda nam się wyjść z tego z życiem, to poślubię Gerarda. Przekonam go, że w żadnym razie nie jest odpowiedzialny za śmierć Marianne. Nounou wystarczająco jasno przedstawiła mi tę sprawę. Spróbuję zapomnieć o Rodericku i zacząć nowe życie. Marie - Christine stała mi się bardzo bliska. Byłam pewna, że cieszyłaby się, gdybym wyszła za mąż za jej ojca.

Straszliwa katastrofa, która dotknęła Francję, wskazała mi, jaką drogę mam wybrać.

Co dzień zastanawiałam się, ile czasu taka sytuacja może jeszcze potrwać. Słyszeliśmy, że Paryż został zbombardowany, nie przestawałam więc myśleć o pracowni i o tym, co się tam dzieje. Czy przyjaciele Gerarda nadal się zbierają? Teraz na pewno nie dyskutują o sztuce, lecz o wojnie. Myślą o jedzeniu, gdyż, jak słyszeliśmy, w Paryżu panował głód.

Mieliśmy szczęście, że wojna nas nie dosięgła. Byliśmy okrążeni przez oddziały pruskie, wiedzieliśmy, gdzie stacjonują, ale nie widzieliśmy ich. Nie mogliśmy zanadto oddalać się od domu i sytuacja była bardzo niepewna, a jednak udało nam się przeżyć.

Potem nadeszła wiadomość, że Prusacy są w Wersalu. W

styczniu, pod groźbą głodu, Paryż skapitulował.

W ponury, szary dzień dotarliśmy z Marie - Christine do stolicy.

Zawiózł nas jeden ze stangretów. Miał tam córkę i zależało mu na tym, żeby ją odnaleźć.

Ten dzień przyniósł nam dotkliwy smutek.

Najpierw pojechaliśmy do domu Roberta, ale dom już nie istniał.

Została po nim tylko sterta gruzu. Na ulicy było mało ludzi; nikt nie potrafił nam powiedzieć, co stało się z mieszkańcami tego domu.

Wyglądało na to, że nic tu nie ma wyjątkowego, domów w podobnym stanie było wiele.

- Chodźmy do pracowni - powiedziałam.

Z wielką ulgą zobaczyłam, że budynek nadal stoi, byłam już bowiem przerażona, że i on uległ zniszczeniu.

Weszłam na samą górę i zapukałam do drzwi. Nie było odpowiedzi. Poszłam więc naprzeciwko, gdzie ku mojej bezgranicznej uldze, drzwi otworzył Lars Petersen.

- Noelle! - wykrzyknął. - Marie - Christine!

- Przyjechaliśmy najszybciej, jak było można - powiedziałam. -

Co się stało? Domu już nie ma. Gdzie jest Gerard?

Nigdy jeszcze nie widziałam go tak poważnym. Wydawał mi się inną osobą.

- Wejdźcie - rzekł.

Wprowadził nas do pracowni, którą dobrze znałam. Wszędzie stały i leżały płótna oraz tubki z farbami, a w szafie z pewnością nadal był portret i szkice Marianne.

- Nie ma tu Gerarda? - zapytałam. Nie odpowiedział.

- Lars! - zawołałam. - Proszę, powiedz mi.

- Gdyby tu został, wszystko byłoby w porządku. Wpatrywałam się w niego bez wyrazu.

- Ale nigdzie w Paryżu nie było bezpiecznie. To był po prostu pech.

- Co? - wyjąkałam. - Gdzie?

- Był u swojego wuja, martwił się o niego i o matkę. Chciał, żeby jakimś sposobem wrócili na wieś, ale to było niemożliwe. Zresztą nigdzie we Francji nie było bezpiecznie. Wojna jest straszna, niszczy wszystko. Tak dobrze się żyło... i właśnie wtedy cesarz pokłócił się z Bismarckiem. Co to ma wspólnego z takimi ludźmi, jak my? -

zakończył z gniewem.

- Opowiedz mi o Gerardzie.

- Poszedł tam i już nie wrócił. Dom został zniszczony i wszyscy, którzy w nim byli, zginęli.

- Nie żyją? - wyszeptałam. Lars odwrócił wzrok.

- Kiedy przez dwa dni nie wracał, poszedłem tam. I dowiedziałem się, że wszyscy, którzy byli w środku, zostali zabici. Podobno było tam dziewięć osób.

- Gerard, Robert, Angele, cała służba. To niemożliwe.

- Takie rzeczy działy się tu wszędzie. Zginęły całe rodziny... to jest wojna.

Odwróciłam się do Marie - Christine, patrzyła na mnie martwym wzrokiem. Pomyślałam, że to dziecko straciło całą rodzinę. Wzięłam ją w ramiona i mocno przytuliłyśmy się do siebie.

- Powinnyście wracać - powiedział Lars. - Nie zostawajcie tutaj.

Na razie jest spokojnie, ale lepiej teraz nie mieszkać w Paryżu.

Niewiele pamiętam z naszej drogi powrotnej do La Maison Grise.

Stangret, który po nas przyjechał, był rozradowany. Udało mu się bowiem znaleźć córkę i jej rodzinę; wszyscy przetrwali bombardowanie Paryża. Kiedy jednak usłyszał, co się stało, jego radość zamieniła się w przerażenie.

Co do mnie, to myślałam jedynie, że już nigdy nie zobaczę Gerarda ani moich serdecznych przyjaciół: Roberta i Angele... którzy odeszli na zawsze.

Przepelniona goryczą myślałam o losie, który zsyłał na mnie jeden cios za drugim. Moje dzieciństwo wypełnione było radością i śmiechem, ale jakże szybko postawiona zostałam twarzą w twarz z tragedią i to nie raz, ale trzy razy. Wszyscy, których kochałam, zostali mi odebrani.

Czułam się rozpaczliwie samotna, lecz kiedy myślałam o Marie -

Christine, robiłam sobie z tego powodu wyrzuty. To ona została pozbawiona rodziny; była teraz sama

na świecie, o którym ze względu na młody wiek, tak mało jeszcze wiedziała.

W pewnym sensie jej obecność okazała się dla mnie zbawienna -

podobnie chyba, jak moja dla niej. Byłyśmy sobie nawzajem potrzebne.

Zapytała mnie:

- Nigdy mnie nie zostawisz, prawda? Zawsze będziemy razem.

- Będziemy razem, jak długo tylko będziesz chciała - odparłam.

- Chcę - rzekła. - I będę tego chciała zawsze. I tak mijały tygodnie.

W marcu zawarto pokój w Bordeaux, podpisano go jednak na bardzo surowych warunkach. Francja została dotkliwie upokorzona, dominowały nastroje niezadowolenia i urazy. Alzacja i część Lotaryngii miały zostać włączone do Cesarstwa Niemieckiego. Na Francję nałożono odszkodowania wojenne w wysokości pięciu miliardów franków, a okupacja niemiecka miała trwać, dopóki pieniądze te nie zostaną wypłacone. Cesarz został uwolniony, lecz ponieważ nie było już dla niego miejsca we Francji, przyłączył się do cesarzowej, przebywającej na wygnaniu w Anglii.

We Francji panował chaos. W kwietniu wybuchło komunistyczne powstanie w Paryżu i zanim zostało w maju stłumione, miasto doznało poważnych zniszczeń.

Potem sytuacja zaczęła się stabilizować.

Dowiedziałyśmy się, że kuzyn Roberta odziedziczył dom i całą posiadłość. Nie stały się one własnością Marie - Christine, ponieważ w rodzinach szlacheckich obowiązywało stare prawo, zgodnie z którym kobiety nie mogły dziedziczyć.

Marie - Christine była jednak dobrze zabezpieczona finansowo.

Mnie Robert zostawił pewną sumę pieniędzy i dom w Londynie, który zawsze zamierzał mi zwrócić.

Odwiedził nas Lars Petersen.

Bardzo się zmienił; spoważniał i stracił swą dawną żywiołość.

Powiedział nam, że wraca do domu, Paryż stracił dla niego swój wdzięk. Nie było to już beztrudne miasto i raj dla artystów. Miał już dość Paryża, wspomnienia nie dawały mu tu spokoju.

Marie - Christine i ja też miałyśmy wyjechać. La Maison Grise przechodził w ręce nowego właściciela, a w Londynie czekał na nas, pozostawiony mi przez Roberta, mój dawny dom.

- Kto by pomyślał, że sprawy właśnie tak się potoczą? -

westchnął Lars. - Gerard... dobry, stary Gerard. Wiesz, bardzo go lubiłem.

Potrząsną głową ze smutkiem. Sądziłam, że może czuje się trochę winny i ma wyrzuty sumienia, że chciał kiedyś odebrać Gerardowi żonę.

Obie z Marie - Christine z żalem patrzyłyśmy, jak odjeżdżał.

Kilka dni później do La Maison Grise przyjechał kuzyn Roberta.

Był bardzo miły i zachwycony domem, który tak niespodziewanie stał się jego własnością.

Wytłumaczyłam mu, że czynimy przygotowania, by wkrótce wyjechać do Londynu, na co odparł z galanterią, że nie mamy powodu się spieszyć. przenocował, a kiedy już wyjechał, powiedziałam do Marie - Christine:

- Los tak zdecydował. Ciekawa jestem, jak spodoba ci się Londyn.

- Spodoba mi się, jeżeli tylko będziemy razem - odparła Marie -

Christine. - Tam będzie inaczej, prawda?

- Tak, będzie inaczej.

Powracałam myślami do ludzi mieszkających tam, w domu...

domu moich wspomnień. Przypomniałam sobie pokój mojej matki.

Widziałam ją, jak leży w łóżku, a jej piękne włosy rozrzucone są na poduszce; jak spiera się z Dollym... przede wszystkim jednak nie mogłam zapomnieć koszmarnej chwili, kiedy ujrzałam ją leżącą na podłodze, martwą.

Francuski rozdział w moim życiu dobiegł końca. Mogłam zadawać sobie pytania: Czy gdyby Gerard nie zginął, to wyszłabym za niego za męża? Czy potrafiłabym zbudować sobie nowe życie... życie, w którym wspomnienia przestałyby być tak bolesne?

Już nigdy nie miałam się tego dowiedzieć.

KORNWALIA

Tańczące Panny

Zamieszkałyśmy w naszym dawnym domu. Crimpowie powitali nas serdecznie. Najwyraźniej byli zachwyceni, nie tylko tym, że przyjechałyśmy, ale i tym, że dom jest teraz mój.

W parę dni po naszym przyjeździe pani Crimp powiedziała mi, że wreszcie jest tak, jak być powinno. Mesje Rabusia uważała za sympatycznego dżentelmena, ale cała ta sytuacja była raczej sztuczna, gdyby się kto pytał. A teraz wszystko wróciło na swoje miejsce.

- I pani też, panno Noelle - dodała z zadowoleniem. Pani Crimp objaśniała mi wszystko z wielką gorliwością.

W domu były teraz tylko dwie pokojówki, Jane i Carrie. Więcej służby nie było trzeba, ona i mąż pełnili funkcję gospodarzy, a poza tym nikt tu nie mieszkał.

- Pani może będzie chciała coś zmienić, panno Noelle.

Powiedziałam, że muszę się zastanowić.

- A ta panna du Carron, pewnie trzeba mówić na nią mademoiselle. Czy będzie tu mieszkać?

- Tak. Mój dom będzie teraz także jej domem. Straciła całą rodzinę. To cioteczna wnuczka monsieur Roberta. On, jej ojciec i babcia zginęli podczas bombardowania Paryża. Wszyscy byli razem w domu, kiedy Niemcy usiłowali zdobyć miasto. Pocisk zburzył

budynek, a oni zostali pogrzebani pod gruzami.

- Podłe dranie... i biedna ta dziecina.

- Musimy jej pomóc, pani Crimp. Przeżyła straszną tragedię.

Pani Crimp kiwnęła głową i od razu wiedziałam, że będzie szczególnie dobra dla Marie - Christine.

Odnosiłam wrażenie, że sama Marie - Christine zaczynała dochodzić do siebie po wstrząsie, jakim była utrata najbliższych.

Dobrze, że całkowicie zmieniła otoczenie. Interesował ją Londyn, więc oprowadzałam ją po mieście. Spacerowałyśmy po parkach, zwiedziłyśmy Tower, przyglądałyśmy się zabytkowym budynkom i teatrom, w których pracowała moja mama. Wszystko ją zachwycało.

Niedługo po naszym przyjeździe odwiedził mnie Dolly.

- Słyszałem, że wróciłaś do Londynu - powiedział. - Miło cię widzieć. Jak się masz, moja droga? - spojrzał na mnie badawczo.

- W porządku, Dolly, dziękuję.

- Słyszałem o Robercie. Co za tragedia, przez tę głupią wojnę. A ty przywiozłaś tu ze sobą jego siostrzenicę.

- Jego cioteczną wnuczkę. Straciła rodzinę - ojca, babcię i Roberta. To straszne, Dolly.

- Rozumiem to, ale chyba cię lubi. To dobrze, że może być z tobą.

- Mnie też to dobrze robi, Dolly. - Tak.

- Czy wiesz coś o Lisie Fennell?

- Ach, o tej dziewczynie. Miała wypadek, którego skutki okazały się gorsze, niż przypuszczaliśmy. Wyszła za męża, za syna Charliego, jeśli idzie o ścisłość.

- Tak, pisała mi o tym.

- Charlie rzadko przyjeżdża teraz do Londynu. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio go widziałem.

Weszła Marie - Christine, więc mu ją przedstawiłam.

- Znałem dobrze twojego wujka - rzekł Dolly. - Musisz przyjść kiedyś i zobaczyć jakieś moje przedstawienie.

Wyglądało na to, że ten plan przypadł jej do gustu.

- Teraz gramy „Szczęśliwą Lucy” - ciągnął. - Idzie przy pełnej widowni... jak dotąd. Lottie Langdon jest dobra.

- Gra oczywiście szczęśliwą Lucy? - zapytałam.

- Oczywiście. Musicie przyjść, dopilnuję, żebyście miały najlepsze miejsca. Cieszę się, że wróciłaś do Londynu, Noelle.

Dobrze, że tu przyjechałyśmy. Marie - Christine dochodziła trochę do siebie, a myślę, że było to łatwiejsze z dala od miejsca katastrofy. Była młoda i pełna życia, a z rodziną nie miała nigdy szczególnie bliskiej więzi. Wydaje mi się, że nawet zanim wydarzyła się ta tragedia, ja znałam dla niej więcej niż oni.

Szybko doroślała. Przypuszczałam, że jest to nieunikniony skutek jej dramatycznych przeżyć.

„Szczęśliwa Lucy” wprawiła ją w zachwyt, co obserwowałam z wielką radością. Dolly przyszedł do nas podczas przerwy, a po przedstawieniu zabrał nas za kulisy. Marie - Christine przedstawiona została Lottie Langdon. Ta, w całej swej scenicznej krasie, rozpromieniona i triumfująca po owacji, jaką zgotowała jej zachwycona publiczność, potraktowała Marie - Christine łaskawie, a mnie nawet serdecznie.

Marie - Christine była w dobrym nastroju, ale we mnie ten wieczór obudził zbyt wiele wspomnień. Nie mogłam spać tej nocy.

Wiedziona nagłym impulsem, zapragnęłam pójść do pokoju mojej matki. Chciałam, żeby znów było tak, jak w tamte ranki, kiedy ona spała do późna, a ja przychodziłam do niej na pogaduszki.

Zeszłam na dół do jej pokoju; położyłam się na łóżku i myślałam o niej.

Tej nocy była pełnia i światło księżyca kładło na wszystkim srebrzysty blask. Czułam, że mama jest blisko mnie.

Nie wiem, jak długo tak leżałam, pogrążona we wspomnieniach.

Wtem zauważyłam ze zdumieniem, że drzwi z wolna się otwierają. Do pokoju weszła Marie - Christine.

- Noelle, co ty tu robisz? - zapytała.

- Nie mogłam zasnąć.

- To przez ten teatr - powiedziała. - Zaczęło ci się przypominać.

- Tak, chyba rzeczywiście.

- To musiało być cudowne życie.

- Takie było.

- A ona była taka piękna, jak Lottie?

- Znacznie piękniejsza.

- Obydwie miałyśmy piękne matki.

- Marie - Christine, dlaczego o tej porze nie jesteś w łóżku? -

zapytałam.

- Słyszałam, jak wychodziłaś z pokoju. Zerknęłam, żeby zobaczyć, gdzie idziesz. Wcale nie miałam zamiaru za tobą iść, ale tak długo cię nie było, że postanowiłam sprawdzić, co się z tobą dzieje.

- Opiekujesz się mną, Marie - Christine.

- Przecież musimy dbać o siebie nawzajem, prawda?

- Tak. Tak długo, jak będzie to konieczne. Przyszła do łóżka i położyła się koło mnie.

- Myślałam, że wyjdiesz za mąż za mojego ojca - powiedziała. -

Bardzo bym się z tego cieszyła. Wtedy byłabyś moją macochą.

- Nie mogłabyś być mi bliższa niż jesteś, nawet gdybyś była moją pasierbicą.

- Myślę, że i dla ciebie byłoby to dobre. Bardzo go lubiłaś, prawda?

- Tak.

- Więc gdyby nie umarł...

- Nie jestem pewna.
- Ale gdyby cię poprosił...
- Prosił mnie. Powiedziałam mu wtedy, że na razie nie umiem mu dać odpowiedzi. Potrzebowałam czasu do namysłu.
- Dlaczego?
- To długa historia.
- Czy kochałaś jeszcze kogoś innego?
- Tak, był ktoś taki.
- I on cię nie kochał?
- Kochał mnie także, ale okazało się, że jesteśmy rodzeństwem.
- Jak to?
- To zbyt skomplikowane, aby dało się opowiedzieć w paru słowach. Poznaliśmy się i zakochaliśmy się w sobie, a dopiero później dowiedzieliśmy się o swoim pokrewieństwie.
- Nie rozumiem, jak to się stało... i dlaczego o tym nie wiedziałaś.
- Jego ojca znałam od dawna. Sądziłam, że był po prostu jednym z przyjaciół mojej matki, miała wielu przyjaciół. A tymczasem oni byli kochankami i ja urodziłam się z tego związku. Mieszkał na wsi, razem ze swą żoną i synem. Takie rzeczy się zdarzają.
- Może zdarzają się takim ludziom, jak twoja matka.
- Ona nie żyła według praw ogólnie przyjętych w społeczeństwie.
- Jakie to straszne dla ciebie!

-

Gdyby mama żyła, wszystko wyglądałoby inaczej.

Zorientowałyby się, co się dzieje, i w porę zapobiegłaby nieszczęściu.

Ona jednak umarła... no i tak się stało.

- Nic dziwnego, że czasem jesteś smutna.

- Byłam bardzo nieszczęśliwa. Ciężko to zapomnieć, Marie -

Christine.

- Dla wszystkich nas byłoby dobrze, gdybyś wyszła za mąż za mojego ojca.

- Może. Nigdy się tego nie dowiemy.

- A teraz z powrotem jesteś w domu, w którym mieszkałaś razem z matką. Co się stało z... twoim bratem?

- Ożenił się.

- A więc on jakoś się pocieszył.

- Mam nadzieję.

- Noelle, ty też powinnaś znaleźć pocieszenie. Z moim ojcem mogło ci się to udać. Po śmierci matki był nieszczęśliwy, ale kiedy przyjechałaś, zrobił się weselszy. Mogliście sobie nawzajem pomóc.

- Widocznie nie było nam to pisane, Marie - Christine.

- Cóż, musimy zacząć od początku. Wróciłyśmy tutaj. To twój dom i jej dom. Wszystko ci ją tu przypomina. Ten pokój wygląda tak jak wtedy, kiedy ona tu mieszkała. Tak być nie powinno, Noelle.

Teraz to jest nasz dom, twój i mój, mamy w nim mieszkać. Musi tu być inaczej, nie można wciąż wracać do wspomnień. Zaczniemy od tego pokoju, wiem, że tego życzyłaby sobie twoja mama.

- Co masz na myśli? Chcesz tu coś zmienić?

- Chcę pozbyć się tych wszystkich ubrań, które wiszą w szafie.

Zamówimy nowe zasłony i nowy dywan. Ściany będą teraz białe, a nie bladozielone. Powynosimy te meble na strych albo nawet część z nich sprzedamy. Wszystko będzie nowe, a jak już skończymy, to ten pokój będzie mój, a nie jej. Wtedy przestaniesz wspominać i nie będziesz taka smutna. Ona odejdzie, bo nie będzie tych rzeczy, które ci ją przypominają. Co ty na to?

- Ja... muszę się zastanowić.

- Nie mów tak. Powiedz: „Tak, myślę, że to dobry pomysł”. Bo tak jest. W tym pokoju... mam uczucie, że to ona podpowiada mi, co trzeba zrobić. Mówi: „Zaopiekuj się Noelle. Spraw, żeby przestała myśleć o przeszłości. Powiedz jej, że wolę, aby o mnie zapomniała, skoro wspomnienia napełniają ją smutkiem”. To właśnie mi mówi.

- Och, Marie - Christine! - zawołałam i padłyśmy sobie w ramiona.

- To może być nawet ciekawe - powiedziała. - Myślę, że kupimy żółte zasłony, bo żółty to taki słoneczny kolor, usuniemy te ciężkie story i wpuścimy tu dużo światła i słońca. Dywan będzie niebieski albo niebiesko - żółty. Niebieski jak niebo i żółty jak słońce. Och, zróbmy tak, Noelle!

- Może masz rację... - zaczęłam niepewnie.

- Wiem, że mam rację. Od jutra zaczynamy.

- To Marie - Christine znalazła te listy.

Z całym zapalem rzuciła się do pracy przy przemeblowywaniu i zmianie wystroju w pokoju mojej matki. Wybrała materiał na zasłony i właśnie oddaliśmy go do szwaczki. Podjęła też decyzję co do wyboru dywanu, a następnie zajęła się meblami.

Bez wątpienia to zajęcie sprawiało jej wiele przyjemności, a mnie wzruszało, że starała się tak bardzo, mając na uwadze moje dobro.

Teraz była znacznie szczęśliwsza niż wkrótce po stracie rodziny.

Miała słusność - nie należy wznosić zmarłym wieczystych świątyń.

W ten sposób podsycy się tylko swój żal.

Wpadła do mego pokoju jak bomba, a oczy jej błyszczały.

Wymachiwała jakimiś papierami, które trzymała w ręku.

- Pamiętasz to biurczko? - zapytała. - Właśnie je opróżniałam; pomyślałam, że można by je razem z innymi rzeczami wynieść na strych. W głębi za jedną z szuflad była druga, mniejsza szufladka. Nie wiedząc o tym, można jej było nie zauważyć. Ja tylko wsadziłam głęboko rękę, żeby sprawdzić, czy nic tam nie zostało... no i ją znalazłam. W środku były listy. Myślę, że mogą być ważne.

- Jakie listy? - zapytałam. - Listy mojej mamy?

- Były chyba do niej pisane i zachowała je. Nazywała się Daisy.

prawda? Wszystkie zaczynają się od: „Moja najdroższa Daisy”.

- Czytałaś je?

- Oczywiście, że czytałam; uważam, że to ważne odkrycie.

- Jej prywatne listy!

Marie - Christine wyglądała na zirytowaną.

- Mówię ci, że one mogą coś znaczyć. Proszę bardzo, przeczytaj.

Ułożone były po kolei. Nie ma na nich dat, ale znalazłam je tak poukładane.

Podawała mi listy.

Przeczytałam pierwszy z nich.

Meningarth,

koło Bodmin

Moja najdroższa Daisy,

Byłem zaskoczony, otrzymawszy tę wiadomość. Jednocześnie czuję się bardzo dumny. Nie przypuszczam, aby to było możliwe, ale może, skoro tak się stało, chciałabyś tu wrócić? Oczywiście rozumiem kochanie, co czujesz. Wiem, że nienawidzisz tego miejsca, i pamiętam, przez co tu przesłaś. Przypominam sobie Twoje słowa, że tych okolic nie chcesz już widzieć na oczy. Mam jednak pewną, nikłą nadzieję, że może obecna sytuacja coś tu zmienia. Czy nie będzie Ci tam za trudno?

Wiesz, że jestem gotów zrobić wszystko, abyś tylko była szczęśliwa. A teraz dziecko jest w drodze.

Zawsze tak samo kochający Cię

Ennis

Marie - Christine przyglądała mi się w napięciu. - Przeczytaj pozostałe - rzekła.

Meningarth,

koło Bodmin

Moja najdroższa Daisy,

Wiedziałem, co mi odpowiesz. Znam Twoje marzenia o sławie i majątku; nie możesz z nich zrezygnować, szczególnie teraz, kiedy jest szansa, że się spełnią. Powrót tutaj stanowiłby kres Twoich marzeń.

A więc masz tam dobrych przyjaciół, którzy zrobią dla Ciebie wszystko... o wiele więcej, niż ja byłbym w stanie. To ludzie bogaci, którzy potrafią Cię docenić. Ja bym Ci tylko zawadzał i masz rację, mówiąc, że byłby to koniec Twoich marzeń... a dziecku dać trzeba wszelką możliwą szansę. Nie mogłabyś przywieźć jej tutaj; kiedy uciekałaś stąd, to uciekałaś na zawsze.

Myślałem, że tam mogłoby Ci być trudno, ale najwyraźniej udaje Ci się pokonywać te trudności. Myślałem też, że mogłabyś wrócić do mnie ze względu na dziecko, ale Ty twierdzisz, że właśnie ze względu na dziecko powinnaś tam zostać. Spróbuję się z tym pogodzić.

Zawsze kochający Cię, Ennis I następny list: Meningarth, koło Bodmin Moja najdroższa Daisy, Tak mi miło słyszeć o Twoich osiągnięciach. Więc stałaś się sławna, kochanie. Zawsze wiedziałem, że zdobędziesz to, czego pragniesz. I dziecku jest dobrze. Ma wszystko, czego jej potrzeba, więcej, niż kiedykolwiek mogłaby mieć tutaj, i postanowiłaś, że ona nigdy nie dowie się, przez co Ty w życiu przesłaś.

Przed Tobą sukcesy jeszcze większe. Zawsze w końcu osiągasz to, na czym Ci zależy.

Jak zawsze kochający, Ciebie i dziecko,

Ennis

Kiedy tylko skończyłam czytać, Marie - Christine zapytała:

- No i co o tym myślisz? Ty jesteś tym dzieckiem, o którym on pisze. Dlaczego on pisze w ten sposób? Dlaczego tak się tobą interesuje?

- Prosi ją, żeby wróciła i wyszła za niego za mąż.

- Noelle, to dziecko, o którym on pisze, jest jego.

- Nie pisze tego wyraźnie.

- No tak... ale przynajmniej istnieje taka możliwość. Dowiemy się tego, Noelle, musimy. Pojedziemy tam, do... - wyrwała mi listy z ręki. - Meningarth, koło Bodmin. Znajdziemy tego Ennisa, musimy.

Tylko pomyśl, że może...

- To mój ojciec?

- A jeśli nim jest...

- Już za późno, Marie - Christine.

- Musimy się dowiedzieć. Nie chcesz mieć pewności, kto jest twoim ojcem?

- Jedyne, co mamy, to te listy.

- To już coś jest na początek. Meningarth na pewno nie jest duże, inaczej nie pisałby: „koło Bodmin”. A Ennis to nie jest John ani Henry. Niemożliwe, żeby było tam wielu Ennisów. Była podniecona.

- Znajdziemy go i dowiemy się prawdy!

- To jest wdzieranie się w przeszłość mojej mamy, odgrzebywanie spraw, których najwyraźniej nie chciała ujawniać.

- Tu chodzi o twoje życie, musisz znać prawdę. Gdyby wiedziała, co z tego wszystkiego wyniknie, na pewno nie ukrywałaby prawdy przed tobą, chciałyby, żebyś ją знаła. Sama zobaczysz. Noelle, pojedziemy do Meningarth, odnajdziemy Ennisa i dowiemy się prawdy.

Od momentu gdy podjęliśmy decyzję o wyjeździe do Kornwalii, Marie - Christine żyła w stanie najwyższego podniecenia i mnie także udzielił się jej nastrój. Postanowiłyśmy więc czym prędzej wcielić ów plan w życie.

Nie minęło parę dni od odkrycia listów, a my byliśmy już w drodze do Bodmin.

Aż do Taunton pociąg był prawie pełen. Potem ludzie zaczęli wysiadać i przez pewien czas w naszym wagonie było pusto, dopiero w Exeter dosiadły się do nas dwie panie w średnim wieku.

Podczas gdy pociąg nabierał szybkości, Marie - Christine, stojąc w oknie, wciąż przywoływała mnie, żeby mi coś pokazać. Zachwycił

ją widok morza i szybko dostrzegła też czerwoną, żyzną ziemię hrabstwa Devon.

Obie panie przysłuchiwały się temu z wyraźnym rozbawieniem.

Jedna z nich odezwała się:

- Z pewnością po raz pierwszy jesteście na zachodzie kraju.

- Tak, to prawda - przyznałam.

- I pani, i ta młoda francuska dama?

- Obydwie jesteśmy tu pierwszy raz.

- Jedziecie na wakacje? - zapytała druga.

- W pewnym sensie - odparła Marie - Christine. - Będziemy zwiedzać i poznawać okolicę.

- Nie ma drugiego takiego miejsca jak Kornwalia, prawda, Mario? - zwróciła się jedna z pań do drugiej.

- Rzeczywiście - przytaknęła Maria. - Kornwalia ma w sobie coś takiego, czego nie da się znaleźć nigdzie indziej. Zawsze to powtarzam, przyznasz, Caroline?

- Tak, istotnie. Mieszkamy tu całe życie i rzadko gdzieś wyjeżdżamy, najwyżej do naszej zamężnej siostry, która mieszka w Exeter.

- Czy mieszkają panie w okolicy Bodmin? - zapytałam.

- Tak.

- Czy znają panie miejscowość, która nazywa się Meningarth? -

zapytała skwapliwie Marie - Christine.

- Meningarth, powiadasz? Nie, nigdy o czymś takim nie słyszałam.

- Gdzie macie zamiar się zatrzymać? - zapytała pani o imieniu Caroline.

- Jeszcze nie wiemy. Sądziłyśmy, że najlepiej będzie na pierwszą noc zatrzymać się w jakimś hotelu,

i jeśli nam się spodoba, to tam zostaniemy. Jeżeli nie, to rozejrzemy się za czymś innym.

- Powinny zamieszkać „Pod Tańczącymi Pannami”, prawda, Mario?

- Ach, oczywiście że „Pod Tańczącymi Pannami”, nic lepszego tutaj nie znajdą. Jeżeli tylko nie będzie im przeszkadzało, że to kawałek drogi za miastem.

- Wcale nie będzie nam to przeszkadzać - rzekłam.

- Na stacji jest dorożka, która może was tam zawieźć. To tylko parę mil od Bodmin, można nawet dojść tam na piechotę. Mają tylko kilka pokoi, ale wszyscy ten zajazd chwalą. Zaopiekują się tam wami.

Nasi znajomi też tam kiedyś mieszkali. Powołajcie się tylko na panny Tregorran, a gospodarze przyjmą was z otwartymi ramionami.

- „Pod Tańczącymi Pannami” to bardzo wesoła nazwa -

zauważyła Marie - Christine.

- Pochodzi od tutejszych głazów, które kształtem przypominają tańczące panny. Z zajazdu będzie je widać. Stoją tam od setek lat.

- Udamy się tam, jak tylko dojedziemy do Bodmin -

powiedziałam. - Są panie tak uprzejme, służąc nam pomocą.

- A przy okazji, nazywamy się Tregorran, Maria i Caroline.

- Ja jestem Noelle Tremaston, a to jest Marie - Christine du Carron.

- Tremaston! To stare, dobre kornwalijskie nazwisko. Naprawdę dobre. Musi być pani spokrewniona z tymi Tremastonami.

- Kim są „ci Tremastonowie”?

- Kim są ci Tremastonowie! - Caroline popatrzyła na Marię i obie wybuchnęły śmiechem. - To rodzina zamieszkała w Wielkim Domu.

Sir Nigel i lady Tremaston. To pół mili od miasta, Tremastonowie mieszkają tu od setek lat.

Spojrzenie Marie - Christine było jednoznaczne: A mówiłam ci, że musimy tu przyjechać. Z każdą chwilą sprawa staje się bardziej emocjonująca.

Widziałam, że według niej już na pewno są to moi nieznani dotąd krewni.

Panny Tregorran zaczęły rozprawiać na temat Tremastonów.

Organizowali przyjęcia w ogrodzie na rzecz kościoła. Jeśli padało, zapraszano wszystkich do domu. To było niezwykle. Niemal wszyscy mieli nadzieję, że w dniu przyjęcia będzie padał deszcz - tak pięknie było tam wewnątrz... jak w pałacu czy w zamku.

Rozmawialiśmy do samego Bodmin. W zamieszaniu i podnieceniu wysiadliśmy z pociągu. Panny Tregorran wcale nas jednak od razu nie opuściły.

Zaprowadziły nas do dorożki.

- O, więc jesteś, Jemmy - powitała woźnicę panna Caroline Tregorran.

- Czy podróż się udała, proszę pani? A jak ma się panna Sarah i dzieci?

- Dziękuję, wszystko dobrze, Jemmy. A teraz musisz zawieźć te dwie młode damy do „Tańczących Panien”.

- Dobrze, proszę pani.

- Przyjechały aż z Londynu. - Uśmiechnęła się znacząco, jakby dawała tym samym do zrozumienia, że ze względu na to należy nam się szczególna opieka. - Jeżeli „Pod Tańczącymi Pannami” nie będzie miejsca, musisz przywieźć je z powrotem do Bodmin i spróbować

„Pod Bycznym Łbem”, a gdyby i tam się nie udało, jedź do „Wesołego Władcy”. One podróżują same i jeszcze nigdy nie były w Kornwalii.

- Zrobię wszystko, co należy, proszę pani - obiecał Jemmy.

Potem, kiedy wsiadałyśmy do dorożki, zwróciła się do nas:

- Powiedzcie w zajeździe, że przysłały was panny Tregorran. Od razu się tam wami zajmą.

- Są panie dla nas bardzo miłe - powiedziałam z wdzięcznością. -

Miałyśmy naprawdę wielkie szczęście, że spotkałyśmy panie w pociągu.

Pożegnaliśmy się i panny Tregorran odeszły, a my pojechaliśmy w stronę „Tańczących Panien”.

Właściciel zajazdu „Pod Tańczącymi Pannami” miał oczywiście pokój dla znajomych panien Tregorran. Powiedział nam, że zajmował

się już wieloma przyjaciółmi tych pań i obie strony zawsze były zadowolone.

Zajazd zbudowany był z szarego kornwalijskiego kamienia, a nad wejściem wisiał znak przedstawiający trzy kamienne figury, które przy pewnym wysiłku wyobraźni można było uznać za tańczące.

Domyśliłam się, że budynek pochodzi z siedemnastego wieku.

Pokoje miał dość przestronne, lecz o niskim sklepieniu i z małutkimi oknami. Wszystko tu tchnęło atmosferą przeszłości, co mnie i Marie -

Christine wydawało się bardzo interesujące.

Gospodarz zaprowadził nas do pokoju, w którym miałyśmy mieszkać. Stały tam dwa pojedyncze łóżka, szafa, umywalka z miską i dzbankiem na wodę, dwa krzesła i stolik.

Byłyśmy przyjemnie zaskoczone, że dzięki pannom Tregorran tak szybko udało nam się tu urządzić.

Gospodarz powiedział, że za pół godziny w jadalni będzie już na nas czekał posiłek. Odparłam, że to bardzo miło.

Podczas gdy rozmawiałyśmy, przyniesiono gorącą wodę, a gdy zostałyśmy same w pokoju, zaczęłyśmy się śmiać.

- To wszystko jest takie niezwykle - stwierdziła Marie -

Christine. - Tak się cieszę, że tu przyjechałyśmy!

Podeszła do okna.

- To miejsce ma w sobie coś tajemniczego - oświadczyła. - Mogą się tu dziać dziwne rzeczy.

Stanęłam obok niej. Patrzyłyśmy przez okno na wrzosowisko.

Łagodny wietrzyk szeleścił w trawach, a gdzieniegdzie z ziemi sterczały spore głazy. W pewnej odległości zobaczyłam kamienie zdradzające niejaki podobieństwo do znaku wiszącego nad drzwiami do zajazdu, co pozwalało się domyślać, że są to Tańczące Panny.

Pokazałam je Marie - Christine, a ona przyglądała im się z czią i lękiem.

- Co to właściwie znaczy? Czy one zostały zamienione w kamień* Może dlatego, że tańczyły... kiedy nie powinny?

- Cóż za straszna kara za tak drobne przewinienie!

- W dawnych czasach tak bywało. Przypomnij sobie Greków, oni zawsze zamieniali ludzi w różne rzeczy... w kwiaty, łabędzie i tak dalej.

Roześmiałyśmy się. To był śmiech pełen oczekiwania. Bez względu na to, jakie ważne sprawy miałyśmy tu odkryć, poszukiwania zapowiadały się ciekawie.

- Rusz się - powiedziałam - musimy się pośpieszyć. Za pół

godziny będzie jedzenie.

Podano nam gorącą zupę, pieczeń wołową na zimno i kartofle w mundurkach. Na deser było ciasto polane syropem.

- Na pewno nie będziemy tutaj głodować - stwierdziłam.

Obsługiwała nas pulchna dziewczyna o imieniu Sally. Jak się okazało, była rozmowna, co bardzo nam odpowiadało.

Odnosiła się do mnie niemal ze czcią i wkrótce odkryłam dlaczego.

- Panienska nazywa się Tremaston - powiedziała. - Panienska musi być z Wielkiego Domu.

Odparłam, że do dzisiaj nic nie wiedziałam o istnieniu Wielkiego Domu, nie mówiąc już o tym, że nigdy nie miałam zaszczytu tam bywać.

- Ale! W tych okolicach wszyscy znają Tremastonów i nie słyszałam jeszcze, żeby ktoś tak się nazywał i nie należał do rodziny.

- Ja zawsze mieszkałam w Londynie, poza okresem, który spędziłam we Francji.

Sally popatrzyła na Marie - Christine i kiwnęła głową. A Marie -

Christine zapytała:

- Czy słyszałaś o miejscowości, która nazywa się Meningarth?

- Meningarth? - powtórzyła Sally z zastanowieniem. - A gdzie to mniej więcej może być?

- To jest w pobliżu Bodmin - powiedziałam.

- Jak to w pobliżu Bodmin? Jak żyję, nie słyszałam o czymś takim.

- Jesteś tego pewna? - zapytała Marie - Christine prosząco.

- Naprawdę, nie znam takiej miejscowości. Kiedy odeszła, Marie

- Christine powiedziała:

- To dziwne, że panny Tregorran nic nie wiedzą; no i teraz ta Sally...

Byłyśmy zbite z tropu. Zastanawiałam się, dokąd powinnyśmy się udać. Celem naszego przyjazdu do Kornwalii było znalezienie Ennisa, nie znałyśmy jednak jego nazwiska, a teraz okazało się, że nikt nie słyszał o wiosce, w której on mieszka.

- Musimy pomyśleć, co robić - oświadczyła Marie - Christine. -

Trzeba będzie się popytać. Ktoś przecież musi coś wiedzieć o tej wiosce.

Po posiłku wybrałyśmy się na mały spacer. Przez wrzosowisko doszłyśmy do Tańczących Panien.

Marie - Christine miała rację. To wrzosowisko kryło w sobie jakąś tajemnicę. Przystanęłyśmy obok panien. Miały wysokość człowieka, a gdy się podeszło bliżej, można było wyobrazić sobie, że zaraz ożyją.

Marie - Christine odniosła podobne wrażenie.

- Jestem pewna, że one umiałyby nam powiedzieć, gdzie jest Meningarth - stwierdziła.

Wybuchnęłyśmy śmiechem, a potem pożegnałyśmy się z kamiennymi pannami i wróciłyśmy do zajazdu.

- Ale przecież nie możemy oczekiwać, że dowiemy się wszystkiego od razu - powiedziała Marie - Christine.

Więcej szczęścia miałyśmy rano, kiedy spotkałyśmy żonę gospodarza.

Powitała nas życzliwie, kiedy pojawiłyśmy się na dole.

Smakowity zapach kawy i smażonego boczku unosił się w całym zajęździe.

- Dzień dobry, panienom - powiedziała. - To pewnikiem panna Tremaston, znajoma panien Tregorran. Miło nam panie gościć „Pod Tańczącymi Pannami”.

- Panny Tregorran poznałyśmy w pociągu - wyjaśniłam. - Były dla nas bardzo uprzejme.

- Tak, to miłe panie. Zaraz przygotuję śniadanie. Co panienki sobie życzą?

Wybrałyśmy jajecznicę na chrupkim, przysmażonym boczku, co smakowało równie dobrze, jak pachniało.

Gospodyni była osobą dość rozmowną, wkrótce więc dowiedziałyśmy się, że wychowała się w tym zajęździe, który dawniej należał do jej ojca.

- A potem Jim, mój mąż, przejął interes, więc pozostałam we własnym domu - opowiadała. - Przez całe życie mieszkam „Pod Tańczącymi Pannami”.

- A więc zna pani okolicę lepiej niż ktokolwiek - zauważyła Marie - Christine. - Może mogłaby nam pani powiedzieć, gdzie jest Meningarth?

Patrzyłyśmy na nią w napięciu i widząc na jej twarzy wyraz zdziwienia,

poczułyśmy,

że

ogarnia

nas

rozczarowanie.

Nieoczekiwanie jednak powiedziała:

- Ach, myślicie o miejscu, gdzie mieszka pan Masterman. Tak, na pewno o to chodzi. To jest Garth. Trzeba wam wiedzieć, że kiedyś nazywało się to Meningarth, ale nazwa ta wyszła z użytku już dziesięć lat temu albo i więcej.

Marie - Christine cała się rozpromieniła.

- A więc teraz nazywa się to Garth! - podjęła z entuzjazmem.

-

Tak jest, teraz już pamiętam. To było podczas październikowych sztormów. Żebyście słyszały, jak wichur zawodzi tu na wrzosowiskach. Powiadają, że gwizdże jak diabeł wzywający grzeszników z ich grobów. To musiało być właśnie dziesięć lat temu.

Wtedy sztorm był wyjątkowo silny. Nasz zajazd też doznał zniszczeń, ale w Meningarth było gorzej, tam jest miejsce bardziej odsłonięte.

Wicher zerwał dach, wyłamał bramę i poniósł ją aż ćwierć mili stamtąd. Miesiące całe trwało, zanim to wszystko udało się zreperować. Brama stanęła znów na swoim miejscu, ale trzeba było zrobić nową, a kiedy już ją ustawiono, okazało się, że nie ma na niej, jak poprzednio, napisu: Meningarth. Ktoś przez pomyłkę napisał samo Garth i tak już zostało. Z czasem ludzie przyzwyczaili się do nowej nazwy i zapomnieli o starej. Zostało więc Garth.

- Ktoś z naszych przyjaciół znał kogoś stamtąd - powiedziała bez zająknięcia Marie - Christine.

- Ach, jego. On mieszka całkiem sam, tylko z psem. Lubi muzykę, chyba gra na skrzypcach.

- To na pewno Ennis - zaczęła Marie - Christine.

- Tak, to Ennis Masterman.

- Chciałybyśmy go odwiedzić - powiedziałam. - Jak można się tam dostać?

- To jest kawałek drogi stąd; ze dwie mile, jak na mój gust. Czy panienki jeżdżą konno?

- Tak - odpowiedziałyśmy skwapliwie.

- Cóż, często się zdarza, że mamy tu gości, którzy chcą jeździć konno, trzymamy więc parę koni. Najczęściej wypożyczamy je na cały dzień. Myślę, że panienki byłyby z nich zadowolone. Mamy

dwie ładne klacze, niezbyt narowiste. Poza tym znają wrzosowiska, a tam zdarzają się niespodzianki.

- Myślę, że pani może wskazać nam drogę do Garth -

powiedziałam.

- Oczywiście, że tak. Swoją drogą, to ciekawe. Kto by pomyślał, że do Ennisa Mastermana przyjadą z wizytą młode damy aż z Londynu.

Skończyłyśmy śniadanie i niezwłocznie udałyśmy się do stajni.

Zobaczyłyśmy tam klacze, o których mówiła gospodyni.

Stwierdziłyśmy, że nadają się dla nas znakomicie, i wkrótce, otrzymawszy od gospodyni wskazówki, jak dojechać do Garth, wyruszyłyśmy w drogę.

- Co za sukces! - zawołała Marie - Christine. - Jak opowiadała nam o tej zniszczonej bramie, to o mało jej nie uściskałam. To tłumaczy, dlaczego wszyscy ci ludzie nie znają nazwy Meningarth.

Noelle, jesteśmy na dobrym tropie.

Ja byłam bardziej przygaszona. Marie - Christine nie mogła oczywiście podzielać moich uczuć. Przypuścimy, że nasze domysły okażą się słuszne i spotkam swego ojca, którego nigdy przedtem nie widziałam? Albo przeciwnie, jeżeli się mylimy, to czy mamy prawo ingerować w czyjeś prywatne sprawy?

Kłębili się we mnie najprzeróżniejsze uczucia.

Wskazówki gospodyni były dość przejrzyste. Minęłyśmy małą wioskę, o której wspominała. Był tam tylko rząd domów, jeden sklepik i kościół. Należało ściśle stosować się do jej rad; teraz już widziałam, że rzeczywiście na wrzosowiskach łatwo jest się zgubić.

- Jeśli tylko dobrze jedziemy, to Garth powinno być gdzieś za tamtym pagórkiem.

Objechałyśmy wzniesienie i rzeczywiście naszym oczom ukazał

się długi budynek z szarego kamienia; wyglądał na opuszczony.

Podjechałyśmy do bramy i obie na głos przeczytałyśmy napis:

- Garth.

Byłyśmy na miejscu.

Zsiadłyśmy z koni i przywiązałyśmy je do słupka przy bramie.

Następnie weszłyśmy na teren przed domem, który z trudem można by uznać za ogród. Kwiatów tam

nie było, rosło tylko kilka zdziczałych, rozłożystych krzewów.

- Czy nie jesteś przejęta? - zapytała Marie - Christine, drżąc lekko.

Na drzwiach była kołatka; podniosłam ją i opuściłam. W ciszy, która nas otaczała, jej odgłos zabrzmiał szczególnie donośnie.

Czekałyśmy z zapartym tchem, ale odpowiedzi nie było.

Po chwili spróbowałam znowu.

- Nikogo nie ma - stwierdziłam.

- Wyszedł z domu, ale tu mieszka. To nie ulega wątpliwości.

Prędzej czy później przyjdzie.

- Poczekamy chwilę i zobaczymy - rzekłam.

Ścieżką wyszliśmy za bramę i usiadliśmy na wielkim kamieniu, który tam leżał.

- A może wyjechał na kilka dni... albo tygodni - podsunęłam.

- Och, nie - wykrzyknęła Marie - Christine. - Nie zniosłabym tego. Na pewno pojechał tylko do tej wioski, którą mijałyśmy; przecież musi czasem zrobić zakupy, prawda? Znajdziemy go. To jest tylko małe utrudnienie, nic więcej.

Czekałyśmy tak przez godzinę i właśnie kiedy miałam zaproponować, żebyśmy wracały, wrócił gospodarz tego domu.

Jechał dwukółką zaprzęzoną w kucyka i Marie - Christine miała rację, mówiąc, że pojechał po zakupy do wsi.

Ujrawszy, że siedzimy na kamieniu przed jego bramą, ze zdumieniem zatrzymał kucyka i wyskoczył z dwukółki. Był wysoki i smukły. Twarz miał może nie tyle urodziwą, ile sympatyczną.

Była w nim jakaś delikatność, którą wyczuwało się już od pierwszej chwili.

Podeszliśmy do niego, a ja odezwałam się:

- Mam nadzieję, że nie gniewa się pan za tę wizytę. Nazywam się Noelle Tremaston.

Moje słowa momentalnie odniosły skutek. Wbił we mnie wzrok i z trudem usiłował zapanować nad sobą. Potem zaczerwienił się na twarzy i powiedział powoli:

- Jest pani córką Daisy, cieszę się, że pani przyjechała.

- Tak - odpowiedziałam. - Jestem córką Daisy, a to jest mademoiselle du Carron. Mieszka ze mną,

odkąd straciła rodzinę podczas oblężenia Paryża.

Zwrócił się do Marie - Christine, mówiąc, że miło mu ją poznać.

- Znalazłyśmy pański adres w biurku mojej matki - wyjaśniłam.

- Tylko że tam była mowa o Meningarth - wtrąciła Marie -
Christine.

- Tak się to nazywało dawno temu, potem nazwa została zmieniona.

- Kiedy dowiedziałyśmy się, że był pan przyjacielem mojej matki, pomyślałyśmy, że dobrze byłoby z panem porozmawiać -

powiedziałam.

- Oczywiście. Ale, ale, o czym ja myślę? Wejdźcie, proszę, a ja zajmę się dwukólką.

- Czy możemy w czymś pomóc? - zapytałam. Wyglądał na oszołomionego.

- To miło z waszej strony. Muszę to wszystko wypakować.

Otworzył drzwi i przeszło mi przez myśl, że w dość dziwny sposób zaczyna się moja znajomość z człowiekiem, który może okazać się moim ojcem; wносиłam mu właśnie do kuchni worek mąki.

Szybko uświadomiłam sobie, jak prymitywny jest ten domek. Na tyłach zapuszczonego ogrodu zauważyłam studnię. W kuchni podłoga wyłożona była kamieniami, stał tam prosty, drewniany stół, kredens, kilka krzeseł i piecyk naftowy, służący mu zapewne do gotowania.

Kiedy już zakupy zostały przyniesione, wprowadził nas do pokoju, który zapewne pełnił funkcję salonu, jakkolwiek umeblowany był nader skromnie. Najwyraźniej nikt nie usiłował nawet nic tu dekorować; wszystkie przedmioty miały wartość wyłącznie użytkową.

Zaprosił nas, abyśmy usiadły, i zauważyłam wtedy, że trudno jest mu oderwać ode mnie wzrok.

- Nie wiem, jak zacząć - odezwałam się. - Chciałabym porozmawiać z panem o mojej matce. Pan ją znał...

- Tak, znałem ją.

- Musiało to być już dawno temu. Skinął głową.

- Czy ona tu mieszkała?

- Niedaleko stąd, w wiosce. Musiałyście tamtędy przejeżdżać.

Carrenforth, to około pół mili stąd.

- Przypuszczam, że była wtedy bardzo młoda.

- Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, miała czternaście lat.

Przyjechałem tu po skończeniu uniwersytetu i nie wiedziałem jeszcze, co będę w życiu robić. Postanowiłem wtedy odbyć wycieczkę po wrzosowiskach. Mój dom rodzinny był dość daleko stąd, po drugiej stronie hrabstwa. Zawsze miałem skłonność do prostego i skromnego trybu życia. Kocham muzykę, ale czułem, że nie mam dość talentu, żeby traktować ją jako zawód. Pragnąłem też zostać rzeźbiarzem. Co nieco udało mi się w tej dziedzinie zrobić, ale miałem zbyt mało pewności siebie.

Wyczułam, że Marie - Christine zaczyna tracić cierpliwość.

Przerwała mu:

- Znalazłyśmy w biurku pańskie listy. Spojrzał na nią bez wyrazu.

- Te listy pochodziły od pana.

- A więc zachowała je - powiedział z uśmiechem.

- Były trzy - wyjaśniłam. - Przepraszam, przeczytałyśmy je.

- Opróżniałyśmy pokój - wtrąciła Marie - Christine. - Schowane były w sekretnej szufladce biurka.

- A więc zachowała moje listy - powtórzył.

- Wyglądało na to, że te listy są raczej ważne. Była w nich mowa o dziecku - powiedziałam. - Sądzę, że chodzi o mnie. Chcę wiedzieć to na pewno.

- To bardzo ważne - dodała Marie - Christine. Zamyślił się przez chwilę, po czym powiedział:

- Może najlepiej będzie, jeśli zacznę od samego początku. To znaczy, chciałbym opowiedzieć wam całą tę historię.

- Dobrze, będziemy wdzięczne, jeśli pan nam to opowie.

- Tyle mi pisała o swojej córeczce, Noelle. Obawiam się, że wciąż jestem jeszcze dość oszołomiony. Tak nagle się to stało; to spotkanie z wami, takie nieoczekiwane. Ale zawsze tego chciałem...

myślę jednak, że lepiej zrozumiecie, jeśli opowiem wam od początku, tak jak to pamiętam.

- Dziękujemy. Prosimy bardzo.

- Urodziłem się w Kornwalii, kawałek drogi stąd, właściwie tuż przy granicy, po kornwalijskiej stronie rzeki Tamar.

Mój ojciec był pastorem. Miałem pięcioro rodzeństwa, cztery siostry i brata. Z pieniędzmi było

krucho, ale mojemu ojcu szczególnie zależało, aby jego dzieci otrzymały jak najlepsze wykształcenie i jakoś udało mi się dostać na uniwersytet. Byłem w miarę dobrym studentem, ale z upływem lat przyniosłem rozczarowanie rodzinie. Nie wiedziałem, co chcę w życiu robić.

Miałem rozmaite pasje, ale nie były to zajęcia, które przynosiłyby dochód, i nie mogłem wynagrodzić moim bliskim tych wyrzeczeń, jakie dla mnie ponieśli.

Kochałem muzykę; na skrzypcach grałem nawet znośnie, ale nie wyobrażałem sobie, abym mógł w ten sposób zarabiać na życie.

Bardzo interesowała mnie rzeźba. Byłem rozdarty pomiędzy obowiązkiem a zamiłowaniem.

Wybrałem się więc na pieszą wędrowkę. Chciałem pobyc trochę w ciszy i w samotności, uciec od wszystkich i od wszystkiego i poczynić jakieś plany. Zatrzymałem się „Pod Tańczącymi Pannami”; miałem zamiar zostać tam przez dwie czy trzy noce.

Chciałem przyjrzeć się kamiennym pannom, więc wybrałem się tam któregoś popołudnia. Był to dziwny, posępny dzień. Nie wiał

nawet najlżejszy wietrzyk, a niebo zasnute było chmurami. Kiedy podszedłem bliżej głazów, zobaczyłem młodą dziewczynę. Ponieważ wychowałem się w Duchy, wiedziałem co nieco o folklorze Kornwalii. Byłem pewnie pod jego wpływem, a poza tym byłem dość przesądny, dlatego gdy podszedłem bliżej, pomyślałem, że to chyba jedna z kamiennych panien ożyła i tańczy. Była tak piękna i pełna wdzięku, że sprawiała wrażenie, iż unosi się w powietrzu.

Pomyślałem, że nigdy jeszcze nie widziałem nic równie czarującego.

Stałem i przyglądałem się jej pełen podziwu. Nagle ona zdała sobie sprawę z mojej obecności. Odwróciła się do mnie i wybuchnęła śmiechem. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Daisy. Nikt nie śmieje się tak, jak ona.

- Nie - rzekłam. - Nikt się tak nigdy nie śmiał.

Wykrzyknęła wtedy:

„Myślał pan, że to jedna z kamiennych panien, która ożyła, prawda? Niech się pan przyzna”.

„Przez moment... tak” - odpowiedziałem.

„Pan nie stąd?” - zapytała.

„Nie, wybrałem się na wycieczkę” - powiedziałem jej.

Zapytała mnie, czy często tu bywam, a ja odparłem, że jestem tu po raz pierwszy, przyjechałem tego ranka i usiłuję podjąć pewne decyzje.

„Jakie?” - zapytała.

„Co do mego zawodu; jaką pracą chciałbym się zająć”.

„A ja wiem, co chcę robić” - powiedziała na to. - „Będę tańczyć.

Stanę się sławna. Nie mam zamiaru pozostać nikim i żyć w biedzie.

Chcę występować na scenie”.

Świetnie pamiętam tamtą rozmowę. Zostałem dłużej „Pod Tańczącymi Pannami”, ponieważ chciałem znowu ją spotkać.

Zafascynowała mnie. W jednej chwili wydawała się dzieckiem, a w innej kobietą. Nigdy nie widziałem takiego połączenia niewinności i światowości, jak u Daisy. Miała wtedy czternaście lat, ja zaś o jakieś dziesięć lat więcej. Była promienna. Nigdy jeszcze nie spotkałem tak pięknej istoty. Całe to piękno... jeszcze w pączku, jakby czekało, aby rozkwitnąć.

Codziennie spotykaliśmy się przy głazach. Właściwie nie umawialiśmy się, ale i tak każde z nas wiedziało, że drugie tam będzie. Lubiła ze mną rozmawiać, pewnie dlatego, że ja lubiłem słuchać. Nasze rozmowy obracały się zawsze wokół ucieczki. Chciała wytańczyć sobie i wyśpiewać drogę do sławy. Uderzyło mnie wówczas, że stanowiła jakby moje przeciwieństwo. Ja chciałem uciec od życia, ona zaś chciała je dogonić. Wkrótce dowiedziałem się, od czego chciała uciec; poznałem trochę życie, jakie tu wiodła. Było okropne. Dlatego też chciała wyjechać i nigdy już tu nie wracać.

Mieszkała z dziadkami, których nienawidziła. Mówiła, że zabili jej matkę i że gdyby tylko mogli, zabiliby i ją.

W końcu opowiedziała mi swoją historię, która nie była zresztą taka niezwykła. Bez trudu potrafiłem wyobrazić sobie dziadka purytanina, surowego i bezlitosnego. Pacierze trzy razy dziennie, brak śmiechu, miłości i czułości. Daisy i jej matka uważane były w domu za grzesznice. Jej matka dlatego, że złamała prawo boże, a Daisy ze względu na winy rodziców, które według jej dziadka spadały na potomstwo. Dziecko zrodzone z grzechu musiało również być grzeszne. Rozumiałem jej zapalczywość i determinację. Nienawidziła ich zawzięcie. Odrzucała wszystko, co wyznawał i głosił jej dziadek, całą tę teorię, że nieszczęście jest cnotą, a śmiech i radość życia niewątpliwie stanowią grzech.

Powiedziała mi, że czeka i cały czas czyni przygotowania.

Wiedziała, że na razie jest za młoda, ale już wkrótce dorośnie. Musi zaplanować wszystko dokładnie, nie może się śpieszyć ani postępować lekkomyślnie. Musi czekać na odpowiednią okazję i być gotowa, kiedy ta nadejdzie.

Historia była dość typowa. Jej matka została uwiedziona i opuszczona przez kochanka. Owocem tego związku była Daisy. Dla grzesznicy nie było współczucia.

„Wygnałoby ją z domu” - powiedziała Daisy - „ale mój dziadek, stary hipokryta, doszedł do przekonania, że więcej będzie miał

uciechy, dręcząc ją. Jednocześnie zaś udawał wielkodusznego ojca, który wybaczył grzesznicy. Zabili moją matkę. Nienawidzę ich i nigdy im tego nie daruję".

Daisy miała pięć lat, kiedy umarła jej matka. Opowiadała mi o tym:

„Już dłużej nie mogła tego wytrzymać; często chorowała.

Przerażał mnie jej kaszel. I któregoś wieczoru, podczas śnieżnej zimy, poszła na wrzosowiska i była tam prawie przez całą noc, ubrana tylko w lekką bluzkę i spódnicę. Wróciła do domu bardzo chora i po kilku dniach zmarła. Wycierpiała więcej, niż była w stanie znieść".

Daisy aż kipiała oburzeniem, mówiła, że ich nienawidzi.

Postanowiła, że nigdy nie będzie biedna.

„Będę sławna i bogata i przejdę przez życie ze śmiechem. Wyjadę stąd i nigdy, nigdy już ich nie zobaczę".

- Rzadko opowiadała mi o swoim dzieciństwie - powiedziałam. -

Wyczuwałam, że nie chce o tym mówić. Teraz rozumiem dlaczego; musiała być bardzo nieszczęśliwa.

- Rzeczywiście, można by się spodziewać, że dziewczyna znajdująca się w takiej sytuacji była nieszczęśliwa, ale nie Daisy. Ona promieniowała radością życia, której nic nie było w stanie przygasić.

Byłem nią zafascynowany i to zadecydowało o mojej przyszłości.

Wiedziałem już, co mam zrobić. Meningarth było wystawione na sprzedaż i to bardzo tanio. Akurat na tyle było mnie stać.

Postanowiłem tu zamieszkać, żeby być blisko niej. Często przychodziła. Zdarzało się, że wracałem do domu, a ona już zdążyła rozpalić ogień na kominku i leżała przy nim skulona. Zdawałem sobie sprawę, że jestem dla niej kimś ważnym. To do mnie przychodziła, kiedy chciała z kimś porozmawiać. Znałem jej plany i marzenia, które były niezmiennie. Zawsze chciała stąd uciec i już nigdy nie wrócić. Ja nie przyjmowałem do wiadomości faktu, że ona kiedyś wyjedzie.

Myślałem, że będzie tak trwało zawsze, a w swoim czasie Daisy zamieszka razem ze mną w Meningarth. Sądziłem, że podobnie jak ja jest tylko marzycielką. Daisy jednak żyła w świecie, w którym marzenia stają się rzeczywistością. Postanowiła, że będzie nazywać się Daisy Ray; naprawdę nazywała się Daisy Raynor, tak brzmiało zniechęcone nazwisko jej dziadków. Mówiła, że Daisy Ray wydaje się brzmieć odpowiednio dla aktorki.

Często snuła domysły na temat swojego ojca. Według niej musiał

on być dżentelmenem, kimś równie zamożnym jak Tremastonowie.

„Był młody i bał się swojej rodziny” - mówiła.

Stworzyła sobie jego obraz. Opowiadała, że chciał ożenić się z jej matką i nie wiedział, że spodziewała się dziecka. Rodzina wysłała go gdzieś daleko, za granicę, a kiedy wrócił, było już za późno.

- Jakże musiała być nieszczęśliwa - powiedziałam.

- Już mówiłem, że Daisy nie umiała być nieszczęśliwa. Nie była do tego zdolna, zawsze miała w sobie tyle wiary i niezwykłą wprost wesołość. Zawsze tańczyła, nazywałem ją Tańczącą Panną. Czasem mówiłem, że wierzę, iż jest taką kamienną panną, która ożyła. Bawiło ją to.

„Oto twoja tańcząca panna” - mówiła o sobie.

Rozmawialiśmy też o tym, co ja zamierzam robić. Chciałem być wielkim muzykiem... rzeźbiarzem. Wyrzeźbiłem ją i nazwałem tę rzeźbę Tańczącą Panną, jest piękna. Pokażę ją wam. To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Uchwyciłem pewne podobieństwo, zachowując jednocześnie tę szczególną tajemniczość kamienia.

Proponowano mi za tę rzeźbę pokaźne sumy pieniędzy, ale nie mogłem się z nią rozstać. Tyle dla mnie znaczyła, szczególnie odkąd dotarło do mnie, że Daisy naprawdę wyjedzie. Miałem poczucie, że w tej figurce zostanie ze mną jakaś jej część. Było to w pewnym sensie symboliczne; mógł być to początek mojej kariery. Daisy mówiła, że jestem głupi, nic jednak nie mogłem na to poradzić, taki po prostu byłem. Nie potrafiłem rozstać się z Tańczącą Panną.

- Rozumiem - powiedziałam. - Bardzo dobrze to rozumiem.

- Dzięki niej poznałem sam siebie. Im dłużej z nią byłem, tym lepiej dostrzegałem, czego mi brakuje. Nie chciałem bywać w świecie ani z nikim rywalizować. Wolałem skromne życie, jakie prowadziłem tutaj. Daisy o tym wiedziała.

Miała piętnaście lat, kiedy powiedziała mi, że jest już prawie gotowa. Oświadczyła, że czas nadszedł i nie może już dłużej zwlekać.

Możecie sobie wyobrazić moje przerażenie. W skrytości ducha bowiem uważałem jej pragnienia za mrzonki, mimo że ona uparcie wciąż trwała przy swoim. Sądziłem ją według siebie, co było wielkim błędem. Ufała mi bardziej niż komukolwiek innemu, staliśmy się już naprawdę bliskimi przyjaciółmi, nasze spotkania były ważne dla nas obojga. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że mógłbym ją stracić.

Poprosiłem ją, aby wyszła za mnie za mąż.

„Jakżebyś mogła?” - odpowiedziała. - „Pozostałabym tutaj już do końca życia. Mieszkalibyśmy tutaj, w biedzie, a oni tuż obok! Chcę tańczyć. Chcę występować na scenie”.

W pewnej chwili pomyślałem nawet, że z nią pojedę. Potrząsnęła wtedy głową przecząco. Powiedziała mi, że moja przyjaźń wiele dla niej znaczy, ale jesteśmy przecież dwojgiem zupełnie

różnych ludzi.

Rzeczywiście ja nie miałem tak określonych planów, jak ona i właściwie pod tym względem nie pasowaliśmy do siebie. Wiedziałem, że miała rację, ale nie chciałem się z tym zgodzić. Pytałem ją, czy sądzi, że jest jedyną wiejską dziewczyną, której zdarzyło się marzyć o karierze scenicznej? Odparła, że skądże znowu. Czy pomyślała o tych wszystkich, które skończyły w bardzo nędznych okolicznościach, w warunkach znacznie gorszych niż te, z których wyszły?

„A ja zamierzam osiągnąć to, o czym marzę!” - powiedziała.

Wierzyła w to, a ja patrząc na nią, też zaczynałem w to wierzyć.

Dzień jej wyjazdu był najgorszym dniem... jaki przeżyłem do tamtej pory. Pożegnałem się z nią i poprosiłem ją, by przyrzekła, że jeśli jej się tam nie powiedzie, to wróci do mnie. Ona jednak nie dopuszczała nawet myśli, że mogłoby jej się nie udać. Powiedziała, że cudownie było mnie znać, że mnie kocha, ale że jesteśmy zupełnie inni. Nie miałbym z niej żadnego pożytku, gdyby została tutaj, doglądała drobiu i jeździła dwukółką do wsi po zakupy. Podobnie ona w swej karierze nie miałaby żadnego pożytku ze mnie.

„Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Nie pasujemy do siebie, ale na zawsze pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi” - powiedziała.

Nazwała się Daisy Tremaston od nazwiska tutejszej bogatej rodziny i zaczęła używać pseudonimu scenicznego Daisy Ray. Potem ktoś jej poradził, żeby zmieniła go na Desiree. Desiree - powtórzył. -

Realizowała to, co sobie zamierzyła. Miała w sobie ogień wewnętrzny, determinację i talent. I udało jej się.

Przerwał i przyłożył dłoń do czoła. Wiedziałam, że kiedy opowiadał, przeżywał wszystko od początku. Ja, która tak dobrze ją znałam, wyraźnie wyobrażałam sobie to, o czym mówił. Rozumiałam jej bunt przeciw purytanizmowi dziadków, pogardę dla konwenansów i determinację, by pójść w życiu własną drogą.

Marie - Christine słuchała tego w oszołomieniu, ale widziałam, że czeka z niecierpliwością, kiedy dojdziemy do sedna sprawy. Czy ten człowiek jest moim ojcem?

Nagle Ennis powiedział:

- Zwykle o tej porze pijam kawę. Mogę was poczęstować?

O mało nie odpowiedziałyśmy, że wolimy jeszcze porozmawiać, ale rozumiałam, że chciał odpocząć, gdyż wspomnianie przeszłości obudziło w nim nadmiar uczuć.

Zaproponowałam, że pójde do kuchni i pomogę mu zaparzyć kawę. Marie - Christine też już miała się podnieść, ale gestem nakazałam jej, aby została na swoim miejscu.

Kiedy byliśmy w kuchni, powiedział:

- Często myślałem, że może pani tu przyjedzie.

- To znaczy, z nią? Skinął głową.

- Nigdy mi o panu nie mówiła.

- Nie, oczywiście że nie. Ona miała inne plany.

- Jest coś, co chciałabym wiedzieć.

- Tak... - zawahał się, a potem ciągnął dalej. - Od czasu do czasu pisywała do mnie, wiedziałem o jej sukcesach. To było cudowne. I wiem, dlaczego pani tu przyjechała. Znalazłyście moje listy i one wzbudziły w pani pewne domysły. Czy mam słuszość?

- Tak.

- Ja też zachowałem jej listy. Nie pisała często, ale wspaniałe były dni, kiedy je otrzymywałem. Dzięki nim mogłem przeżywać też jej triumf, mimo że nie brałem w nim udziału. Wiedziałem, że nie ma nadziei, aby tu wróciła. Szczególnie po pani urodzeniu. Dam pani listy, które pisała do mnie w tamtym okresie. Proszę wziąć je ze sobą do zajazdu i tam je przeczytać, ale nikomu ich nie pokazywać. Po przeczytaniu proszę mi je odnieść, są dla mnie bardzo ważne, nie mógłbym się z nimi rozstać. Często je czytam.

- Przeczytam je i jutro panu oddam - powiedziałam.

- Myślę, że w nich znajdzie pani odpowiedź na swoje pytanie.

Zanieśliśmy kawę do saloniku, gdzie Marie - Christine czekała z nieukrywaną niecierpliwością.

Rozmawialiśmy trochę na temat życia, jakie tu prowadził.

Powiedział, że jakoś wiąże koniec z końcem. W Bodmin jest galeria, która wystawia niektóre jego rzeźby. Raz na jakiś czas udaje się tam coś sprzedać, zwykle są to figurki Tańczących Panien. Przyjezdni lubią mieć pamiątkę z miejsc, które odwiedzili. Owoce i warzywa ma z własnego ogrodu, hoduje krowę i kury, głód więc mu nie grozi.

Takie życie sobie wybrał. Wyjął listy i podał mi je.

Powtórzyłam swą obietnicę, że zwrócę je następnego dnia.

- Gdy pani je przeczyta - powiedział - łatwiej nam będzie rozmawiać... jeśli pani zechce. Może poczujemy, że już lepiej się znamy. To dla mnie cudowny dzień, często powtarzałem sobie, że niemożliwe, aby coś takiego się zdarzyło. Kiedy umarła, pomyślałem, że to już koniec. No cóż, do zobaczenia jutro.

Zależało mi na tym, żeby już iść, bo nie mogłam się doczekać, kiedy przeczytam te listy.

- Co za śmieszne życie! - odezwała się Marie - Christine, kiedy wracałyśmy z powrotem. - I ten człowiek taki dziwny! Ciekawe to, co opowiadał o Desiree. Daisy Ray. Sprytne, prawda? A co z tymi listami? Nie mogę już wytrzymać, żeby je zobaczyć.

- On nie chciał, aby ktokolwiek poza mną je widział, Marie -

Christine. To osobiste listy mojej matki.

Rozczarowanie odmalowało się na jej twarzy.

- Marie - Christine, zrozum - prosiłam ją. - Jest w tym coś świętego i nietykalnego. A poza tym przyrzekłam.

- Ale opowiesz mi, o czym one są?

- Oczywiście.

Gdy tylko wróciłyśmy do „Tańczących Panien”, natychmiast pobiegłam do naszego pokoju. Marie - Christine z podziwu godnym wyczuciem powiedziała, że idzie na spacer i wróci mniej więcej za godzinę. Doceniałam to, wiedziałam bowiem, jak bardzo pożera ją ciekawość.

Listy nie były datowane, zauważyłam jednak, że ułożone są w porządku chronologicznym.

Mój drogi, drogi Ennisie

Jak cudownie! Nareszcie ktoś wyciągnie cię z Twojej kryjówki. W

końcu Twój talent zostanie doceniony. A więc jakiś londyński znawca sztuki, zobaczywszy twoją Tańczącą Pannę, zainteresował się tym, co robisz. To już jest jakiś początek. Czy Cię to cieszy? Z pewnością.

Mnie też. Ale Ty powiesz: „To nic pewnego; poczekamy, zobaczymy”. Znam Cię, Ennisie. Mój drogi, już zbyt wiele czasu spędziłeś w życiu, czekając. To doprawdy cudownie! Zawsze uważałam, że te Twoje figurki przedstawiające kamienne panny są świetne. A rzeźba wyobrażająca Twoją własną Tańczącą Pannę to dzieło geniusza!

Ale najważniejsze, że przyjeżdżasz do Londynu. Dopilnuję, żebyś mieszkał w odpowiednim hotelu... gdzieś blisko mnie. Wtedy będziemy mogli być razem, kiedy tylko nie będziesz zajęty ze swym ważnym kontrahentem. Na razie nie mam prób. Jego lordowska mość, Donald Dollington - dla nas Dolly - przeżywa właśnie różne rozterki i wahania, zanim zajmie się na dobre pracą nad nowym przedstawieniem. W tej chwili jest cały w nerwach i błaga Wszechmocnego, by nie pozwolił mu zwariować i przerwał męki, jakie musi znosić od tych, którzy sprzysięgli się, aby mu utrudniać. To jest rodzaj gry, która się regularnie powtarza. Jeśli więc przyjedziesz w przyszłym tygodniu, to próby jeszcze się nie zaczną. Będziemy rozmawiać i rozmawiać, jak za dawnych, dobrych czasów.

Z największą radością oczekuję Twojego przyjazdu.

Twoja własna Tańcząca Panna,

Daisy

Wzięłam następny list.

Mój drogi, drogi Ennisie,

Co za cudowny tydzień! Błogosławię tego pośrednika w handlu sztuką, mimo że okazał się takim starym patalachem i kiedy nie chciałeś mu sprzedać swej Tańczącej Panny, to stracił zainteresowanie dla twych prac w ogóle. To tak miło z Twojej strony, że postanowiłeś ją zatrzymać... ale nie powinieneś był tego robić. Rozstań się z nią, Ennisie! To może oznaczać dla Ciebie nowe zamówienia. Ty stary idioto! Cudownie było znów z Tobą pobyc... i porozmawiać, tak jak dawniej. Czy przypomniały Ci się dawne czasy? Z nikim nie potrafię tak rozmawiać, jak z Tobą. Czułam się, jakbym była z powrotem w Meningarth, tylko że teraz jestem już jakby w połowie swej podróży, a wtedy dopiero myślałam o jej rozpoczęciu. Spróbuj zrozumieć, Ennisie, ten mój wewnętrzny przymus, aby dotrzeć na sam szczyt.

Tak smutno było się rozstawać. Ale przecież przyjedziesz tu znowu. Wiem, co na to odpowiesz... ale nic z tego nie będzie. Z kolei Ty nie wytrzymałbyś tutaj. Nie zdajesz sobie sprawy, jak to jest przed premierą - a później nie ma już nic, nic tylko przedstawienie. I tak musi być, a Ty wkrótce byś to znienawidził. Na pewno.

Mam tu wielu dobrych przyjaciół; oni mnie rozumieją. Takie życie mi odpowiada i nie umiałabym z niego zrezygnować.

Dlatego wszystko musi pozostać tak jak było, ale zawsze będziemy pamiętać ten nasz cudowny, naprawdę cudowny tydzień.

Kochająca Cię, jak zawsze Daisy - Twoja Tańcząca Panna Z następnego listu dowiedziałam się znacznie więcej.

Ennis, kochanie,

Muszę powiedzieć Ci o czymś, co zdarzyło się w czasie tego cudownego tygodnia. Na początku nic jeszcze nie wiedziałam. Teraz ogarnął mnie szal radości, bo wiem, że spełnia się coś, czego zawsze pragnęłam. Do tej pory myślałam jeszcze, że może się mylę, ale chyba nie. Jakaś część Ciebie na zawsze już będzie ze mną.

Pewnie już wiesz, co mam na myśli. Wydaje mi się, że będę miała dziecko, mam taką nadzieję. Napiszę znowu, jak tylko nabiorę całkowitej pewności.

Kochająca Cię Daisy - T.P.

I czwarty list: . -

Najdroższy mój Ennisie,

Nie. To absolutnie wykluczone. Jak Ci już tyle razy powtarzałam, nic by z tego nie wyszło. Musiałabym zrezygnować ze wszystkiego, do czego dążyłam, a tego nie byłabym w stanie zrobić. Błagam, nie prosz mnie o to, co jest niemożliwe. Nie zniosłabym, gdyby nasz związek popsuł się, a tak by było. Teraz jestem taka szczęśliwa.

Bądźmy zadowoleni z tego, co mamy, Ennisie. Uwierz mi, że tak jest najlepiej dla nas obojga.

Kochająca Cię jak zawsze Daisy - T.P.

Wzięłam do ręki kolejne listy.

Ennis, kochanie,

Śpiewam z radości.

Więc to jednak prawda, będę miała dziecko. Jestem taka szczęśliwa. Za to Dolly jest wściekły. Myśli już o nowej sztuce i widzi, że nie ma sensu dawać mi głównej roli. Mówi, że już niedługo będę tańczyć z gracją słonia. Powiedziałam na to, że takie słonie jak ja nie tańczą, tylko skaczą z radości. Wtedy wrzasnął: „Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jaki to będzie miało wpływ na twoją dalszą karierę? I czyje jest to dziecko? Pewnie Charliego Claverhama. A może Roberta Bouchere? Żeby zrobić mi coś takiego akurat wtedy, kiedy zaczynam przygotowania do nowego przedstawienia!" Po czym jak zwykle zaczął przyzywać Pana Boga na ratunek. Trudno się z niego nie śmiać.

Nic jednak - naprawdę nic - nie jest w stanie przyćmić mojej radości.

Jak zawsze kochająca D. - T.P.

Najdroższy Ennisie,

U mnie wszystko dobrze. Tak, dam Ci znać.

Chcę zapewnić mojemu dziecku wszystko, co najlepsze, i nie dbam o to, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka. Po prostu chcę mieć dziecko. Charlie Claverham jest zabawny, myśli, że to jego.

Wybacz mi, Ennisie, Charlie zawsze był dla mnie taki dobry. On mógłby zapewnić dziecku wszystko, co potrzeba, dosłownie wszystko. Dobry człowiek z tego Charliego, jeden z najlepszych, jakich znam. Jest prawy, uczciwy - i bardzo bogaty. Podobnie zresztą, jak Robert Bouchere, ale to cudzoziemiec, więc wolałabym Charliego.

No, chyba się zagalopowałam. Myślałam, co by się stało w razie mojej nagłej śmierci. Nigdy nic nie wiadomo. Przedtem nawet nie przychodziło mi to na myśl, ale kiedy chodzi o dziecko, sytuacja wygląda całkiem inaczej.

Nie potrafię myśleć o niczym, prócz mojego maleństwa.

Nie martw się i naprawdę nie musisz nic mi przysyłać. Doskonale dam sobie radę. Świetnie mi się powodzi, a już Charlie, oczywiście, dba, aby nie zabrakło mi nawet ptasiego mleka.

Jestem zdrowa i silna. I nie jestem stara. Byłam u lekarza, który stwierdził, że według niego po dwóch miesiącach wszystko będzie dobrze... i będę mogła znowu tańczyć.

Ach, Ennisie, nie mogę się już doczekać. Wiem, że wszystko pójdzie znakomicie.

Ucałowania, T.P.

Następny list napisany został niewątpliwie już w pewien czas później.

Drogi Ennisie,

A więc mam córeczkę, urodziła się w Boże Narodzenie, dlatego nazwałam ją Noelle. Jest przepiękna. Wszystko jest w najlepszym porządku i kocham ją bardziej niż cokolwiek na świecie. Nigdy jej nie opuszczę. Dolly marudzi i skarży się, że ma związane ręce. Chce, żebym grała w jego następnym przedstawieniu, ale mam sobie nie wyobrazać, że będzie czekał w nieskończoność, podczas gdy ja w najlepsze gram rolę Dobrej Mamy. Odpowiedziałam mu, że rola mamy jest najlepszą z ról, jakie dotąd grałam, i że mam zamiar grać ją nadal, na co on odparł, że jestem sentymentalną idiotką i czy długo jeszcze mam zamiar zajmować się wyłącznie wrzeszczącym bachorem? To mnie już rozgniewało. „Żebyś się nie ważył nazywać mojej córuchy bachorem!” - powiedziałam. Na co on odparł

ironicznie: „O, tak, ona oczywiście będzie zupełnie inna niż cała reszta bachorów. Zanim skończy rok, będzie już śpiewać »Traviatę«”.

Pocziwy Dolly; on nie jest wcale taki zły i wydaje mi się, że ją lubi.

Nie wyobrażam sobie, jak ktoś mógłby jej nie kochać. Mnie, oczywiście, już poznaje. Martha udaje, że to tylko kłopot, ale widziałam ją przy kołysce, kiedy myślała, że nikt nie patrzy. Któregoś dnia słyszałam, jak mówiła: „Dzidziulki chcą do mamy”. Dzidziulki! I to Martha! Tylko sobie wyobraź! Ale Ty jej przecież nie znasz.

Martha jest ostatnią osobą, którą można by posądzać o to, że chociaż spojrzy na dziecko. Bo na co w teatrze potrzebne niemowlęta? Ale moja Noelle nawet ją jest w stanie oczarować. Co do służących, to wszystkie się cieszą i konkurują ze sobą, która będzie się nią zajmować. Życie jest wspaniałe.

Całuję, T.P.

I ostatni list:

Najdroższy Ennisie,

U nas wszystko dobrze. Noelle pięknieje z każdym dniem. To najlepszy prezent gwiazdkowy, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się dostać. Mówiłam to już tysiąc razy i pewnie jeszcze tysiąc razy powtórzę.

Ennisie, musisz mi to wybaczyć. Chcę, żeby Charlie wierzył, że to jego dziecko. Nie czuj się tym zraniony, to się na dobre obróci.

Musimy myśleć o niej, żeby miała wszystko. Nie potrafiłabym być szczęśliwa, wiedząc, że mogę umrzeć i ją opuścić. Nie pozwolę, żeby moje dziecko zaznało w życiu takiej biedy, jak ja. Nie dopuszczę, aby dostała się w ręce kogoś nieczułego i niekochającego. Wiem, że Ty byś ją kochał, ale nie byłbyś w stanie zapewnić jej wszystkiego, czego będzie potrzebować, a Charlie może jej to dać i da. Właściwie nawet już obiecał. Kocha ją, szczególnie, że sądzi, iż to jego dziecko. Uwierz mi, Ennisie, tak będzie najlepiej. Oczywiście, że i tak by się nią zajął, gdybym go o to poprosiła, ale bliższa więź bardziej go do tego zobowiąże. Być może się mylę, ale granica między tym, co właściwe bądź niewłaściwe, zawsze była dla mnie dosyć mglista. Chcę dla mojego dziecka tego, co najlepsze, i wszystko mi jedno, czy ktoś uzna, że postępuję słusznie, czy nie.

Jest pewien problem z zarejestrowaniem jej narodzin i tymi wszystkimi formalnościami. Być może wyjdzie nowe prawo, że trzeba to zgłaszać w Somerset House. Ja tego nie zrobię, Ennisie. Nie złożę pisemnego oświadczenia, że moja córka pochodzi z nieprawego łoża.

Znaleźliby się tacy, którzy szydziłoby z niej z tego powodu, a nie pozwolę, aby ktokolwiek szydził z mojego dziecka. Wiem coś o tym z własnego doświadczenia.

Chcę być zupełnie pewna, że moja córka dostanie w życiu to, co najlepsze. Więc cóż mogłabym powiedzieć? Na pewno nie prawdę, że to Ty jesteś jej ojcem. Ennisie. Ty naprawdę nie byłbyś w stanie się nią zaopiekować, przynajmniej nie tak, jak ja bym tego chciała.

Charlie się nią zajmie, jeśli kiedykolwiek zaszłaby taka potrzeba.

Będzie miała nianie, służące i czego tylko dusza zapragnie. Dlatego też nie będę wypełniać żadnych urzędowych papierów i załatwiać formalności. To jest moje dziecko i załatwię to po swojemu.

Może się mylę, ale uważam, że trzeba zrobić jak najwięcej dla tych, których się kocha, a ja najbardziej na świecie kocham moją córuchnę. Myślę, że miłość jest ważniejsza niż różne zasady moralne.

Nie chcę, żeby wyrosła na świętą, lecz żeby szła przez życie z radością i śmiechem. A przede wszystkim pragnę, aby czuła, że jest kochana. Wiem, że ludzie uznaliby mnie za starą grzesznicę, ale według mnie miłość jest najlepszą rzeczą w życiu - miłość do siebie nawzajem, a także miłość do życia w ogóle. Kaznodzieje orzekliby, że błędę i że dobry jest ten, kto jest nieszczęśliwy. Coś mi jednak mówi, że dla Boga wystarczy być dobrym i kochającym, a w Dniu Sądu przymknie on oko na całą resztę.

Moja córeczka liczy się dla mnie przede wszystkim i stworzę jej takie warunki, żeby była szczęśliwa. Obojętnie, jakim sposobem będę musiała to osiągnąć.

Czułam się, jakbym słyszała jej głos, jakby nagle ożyła i była tuż obok. Tak bardzo się o mnie troszczyła. I jakimś złośliwym zrzędzeniem losu przez całą swą miłość do mnie zrujnowała mi życie.

Łzy spływały mi po policzkach. Te listy przypomniały mi ją tak żywo, że ze wzmożoną siłą odżył we mnie żal i tęsknota za mamą.

Jednocześnie lektura listów dała mi już niedwuznaczną odpowiedź na pytanie, z którym tu przyjechałam.

Wróciła Marie - Christine i zastała mnie siedzącą z listami w ręku.

Usiadła cichutko, bacznie mi się przyglądając.

- Noelle - odezwała się po dłuższej chwili. - Jesteś smutna.

- Te listy... - zaczęłam. - To tak jakby ona mówiła. Wszystko już wiem. Nie ma cienia wątpliwości, że moim ojcem jest Ennis Masterman.

- A więc Roderick nie jest twoim bratem. Potrząsnęłam głową.

Podeszła i przygarnęła mnie do siebie.

- To cudownie. Tego właśnie chcieliśmy się dowiedzieć.

Spojrzałam na nią bez wyrazu.

- Marie - Christine - rzekłam powoli. - To nie ma znaczenia, teraz jest już za późno.

Następnego dnia odwiedziłam Ennisa Mastermana.

- Sama do niego pojedę - powiedziałam Marie - Christine. -

Widzisz, to jest mój ojciec, rozumiesz to, prawda?

- Tak - zgodziła się. - Rozumiem.

Czekał już na mnie. Staliśmy i patrzyliśmy na siebie, jakby w zakłopotaniu.

Potem on powiedział:

- Wyobrażasz sobie, co to dla mnie znaczy.

- Tak, dla mnie też.

- Odkąd się urodziłaś, zawsze marzyłem, żeby cię zobaczyć.

- To tak dziwnie, kiedy nagle poznaje się swego ojca.

- Ja przynajmniej wiedziałem o twoim istnieniu.

- A ja mogłabym nigdy ciebie nie poznać. Tylko przez przypadek...

- Wejdź do środka - poprosił. - Chciałbym, żebyśmy porozmawiali o niej. Opowiedz mi o waszym wspólnym życiu.

Podczas gdy rozmawialiśmy, poczułam ku swemu zaskoczeniu pewną ulgę w bólu, którego doświadczałam po przeczytaniu tych listów. Opowiadałam mu, jak matka pomagała Lisie Fennell, o tym, jak nagle umarła, i całej niedoli, jaka nastąpiła potem. Opowiadałam mu o przedstawieniach, o jej pełnej zapału pracy i o sukcesach.

- Miała słuszość - powiedział. - Musiała robić to, co pragnęła robić... a ze mnie nie miałyby przy tym żadnego pożytku. Pisany jej był sukces i zdołała go osiągnąć.

Potem opowiadałam mu o sobie; o moim pobycie w majątku Levenson, o mojej miłości do Rodericka i co z tego wynikło. Był głęboko wstrząśnięty.

- Moje drogie dziecko, cóż za tragedia! - zawołał. - Coś takiego nigdy nie powinno się było zdarzyć. Mogliście się pobrać i być szczęśliwi. A wszystko przez to, co ona zrobiła. Byłaby zrozpaczona, gdyby o tym wiedziała. Przecież ponad wszystko pragnęła twojego szczęścia i żebyś miała w życiu lepiej niż ona.

- Teraz już za późno. Roderick ożenił się z inną, z tą Lisą Fennell, o której ci opowiadałam.

- Życie bywa złośliwe. Czemuż nie pojechałem za nią do Londynu? Dlaczego sam przynajmniej nie próbowałem stać się kimś?

Mogłem być z nią w Londynie, byłbym tam szczęśliwy. Nie potrafiłem jednak się na to zdobyć, jakoś nie mogłem stąd wyjechać.

Nie miałem dość wiary w siebie, wciąż nachodziły mnie wątpliwości.

Byłem słaby, a ona była silna. Nie miałem w sobie tej wewnętrznej pewności, jaką miała ona. Kochaliśmy się, ale tak jak powiedziała, nie pasowaliśmy do siebie. Ja cofałem się przed trudnościami, podczas gdy ona z ufnością pokonywała je, wciąż idąc naprzód tanecznym krokiem.

Opowiedziałam mu o swoim pobycie we Francji, o Robercie, jego siostrze i o Gerardzie, za którego mogłam wyjść za mąż.

- Czasami wydawało mi się, że może we Francji ułożę sobie jakoś życie, ale wtedy znów zaczynałam wspominać Rodericka. Cóż, los zdecydował za mnie.

Zamyślił się, po czym rzekł:

- Noelle, dam ci te listy. Będą ci potrzebne jako dowód. Może czasem przyjedziesz mnie odwiedzić.

- Przyjadę - obiecałam. - Na pewno.

- Jakże gorąco żałuję, że nie przyjechałaś tu wcześniej, że nie poznałem cię, zanim jeszcze było za późno.

- Tak, ja też. Ale teraz nic już nie da się zrobić.

- Nie przebolełaby tego, gdyby wiedziała, do czego doprowadziła.

Było już późne popołudnie, kiedy wróciłam do „Tańczących Panien” i wciąż byłam oszołomiona.

Odnalazłam ojca i potwierdziły się moje przypuszczenia. Nigdy nie powinnam była stracić mężczyzny, którego kochałam.

KENT

Powrót do Levenson

Przyjechałyśmy z powrotem do Londynu. Powodzenie naszego przedsięwzięcia bardziej mnie jednak zasmuciło, niż napełniło ulgą.

Marie - Christine była dla mnie wielkim oparciem. Wydawała się nad wiek dojrzała, rozumiała, co czuję, i starała się mnie pocieszyć.

Udawało jej się to w dużym stopniu, a ja utwierdzałam się w przekonaniu, że mam szczęście, iż zdołałam zaskarbić sobie jej uczucia.

Przyszłość rysowała się mgliście, zastanawiałam się, co mi jeszcze przyniesie. W tym czasie często myślałam, że mogłam ułożyć sobie życie w kręgach paryskiej bohemy. Byłaby to jednak namiastka.

Gdy poznałam bliżej Gerarda i na swój sposób przywiązałam się do niego, zrozumiałam zarazem, że nikt i nigdy nie zastąpi mi Rodericka.

Ach, dlaczego nie znalazłam tych listów zaraz po śmierci mojej matki? Czemu nie powiedziałam jej o mojej rodzącej się przyjaźni z Roderickiem? Jakże inaczej mogłoby potoczyć się moje życie. Marie -

Christine znowu z zapalem rzuciła się do pracy przy zmianie wystroju w pokoju mojej matki, przerwanej na czas wyjazdu do Kornwalii. Nic jednak nie było w stanie zatrzeć wspomnienia o niej. Dzięki memu spotkaniu z ojcem wszystko odżyło ze zdwojoną siłą. Nieustannie powracały do mnie słowa i zdania, które napisała. Ileż miłości dla mnie odczytać można było z tych listów! Ona nie tyle łamała ogólnie przyjęte zasady, ile je ignorowała. Jakże często Dolly wykrzykiwał

zdesperowany: „Jesteś szalona, szalona, szalona!” Ona jednak z beztróską trzymała się własnej Unii postępowania, co innym wydawać się mogło oburzające, dla niej jednak było logiczne i naturalne.

Wszystko potoczyło się według jej planu. Charlie uwierzył, że jestem jego córką. Czy mogła przewidzieć konsekwencje tego drobnego kłamstwa?

Przez kilka tygodni życie toczyło się raczej jednostajnie, bez żadnych szczególnych wydarzeń, aż któregoś dnia pojawił się u nas Charlie.

Na jego widok bardzo się ucieszyłam. Nie wiedziałam, czy powiedzieć mu o swym ostatnim

odkryciu. Pomyślałam jednak, że skoro tak mocno jest w to uwikłany, powinien znać prawdę.

Zastanawiałam się, czy wie już o śmierci Roberta. To była kolejna sprawa, o której powinnam mu powiedzieć, bo jakoś nie potrafiłam się przemóc, żeby napisać o tym w liście. I oto sam się pojawił.

Wszedł do salonu i ujął mnie za rękę.

- Właśnie dowiedziałem się, co się stało - oznajmił. - Ktoś w City mi o tym powiedział. Aż strach pomyśleć, że Robert... nie żyje. Już od dłuższego czasu zastanawiałem się, co się z wami dzieje. Nie wiedziałem, że jesteś w Londynie, wpadłem tylko, żeby sprawdzić, czy nie ma od was jakichś wiadomości. Planowałem nawet wybrać się do was z wizytą do Paryża, ale niełatwo jest podróżować, gdyż Francja nadal pogrążona jest w chaosie. Jakże się cieszę, że widzę cię tu całą i zdrową.

- Robert został zabity razem ze swą siostrą i synem, zdarzyło się to w ich paryskim domu. Ja i cioteczna wnuczka Roberta byliśmy w tym czasie na wsi.

- Dzięki Bogu za to! Biedny Robert! Taki porządny człowiek, znaliśmy się od tylu lat. Ale ty, Noelle...

- Jest ze mną cioteczna wnuczka Roberta, Marie - Christine.

Rozumiesz, ona straciła rodzinę... wszystkich swoich bliskich.

- Biedne dziecko.

- Charlie - rzekłam. - Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia. Zastanawiałam się, czy mam ci o tym napisać, ale nie byłam pewna. To się stało bardzo niedawno. Odnalazłam mego ojca, mego prawdziwego ojca. To nie ty nim jesteś, Charlie.

- Moje drogie dziecko, co ty mówisz? Skąd możesz to wiedzieć?

Opowiedziałam mu o odnalezieniu listów i o wizycie w Kornwalii.

- Mam na to dowód - odparłam. - Ennis Masterman dał mi listy, które do niego pisała, a tam stwierdza ona całkiem jasno, że to on jest moim ojcem.

- Więc dlaczego...?

- Zrobiła to dla mnie. Obawiała się, że może umrzeć i pozostawić mnie bez tego wszystkiego, co według niej powinnam była mieć.

Ennis Masterman był biedny. Żyje teraz niemal jak pustelnik w małym domku na wrzosowiskach, niedaleko wioski, w której kiedyś mieszkała mama i gdzie w dzieciństwie zaznała takiej biedy. Nie chciała, aby i mnie spotkał podobny los. To było dla niej coś w rodzaju obsesji. Ty wiesz, Charlie, że ona miała różne obsesje. Na przykład to jej uparte dążenie do sukcesu... albo plany związane ze mną. Ciebie bardzo lubiła i ufała ci bardziej niż komukolwiek.

Wydaje mi się, że powinieneś zobaczyć te listy. Pisane są do innego mężczyzny, więc myślę, że ta lektura może sprawić ci przykrość, powinieneś jednak znać prawdę. Miała w sobie tyle miłości, że potrafiła nią obdarzyć i ciebie, i Roberta, i mojego ojca. Mnie jednak kochała najbardziej. Dla mnie gotowa była kłamać, jeśli powstała taka potrzeba... ale robiła to dla mnie.

Głos mi się załamał, a on rzekł:

- Moja droga Noelle, zawsze to wiedziałem, nie zdołała mnie zwieść. Ci z nas, którzy ją kochali, wiedzieli. Wdzięczni byliśmy jej za to, co miała nam do zaoferowania. Nigdy nie było drugiej takiej, jak ona.

- Czy będziesz w stanie przeczytać te listy? - zapytałam. - One dowiodą tego w niezbity sposób.

Powiedział, że przeczyta, więc je przyniosłam. Gdy czytał, widać było, jak bardzo to przeżywa.

Kiedy skończył, jego twarz znów przybrała normalny wyraz.

- Tak, teraz wszystko jest jasne. Gdybyśmy wiedzieli to wcześniej...

- Jak się ma Roderick? - zapytałam.

- Zmienił się, skrył się pod maską. Rzadko go widuję, podobnie jak my wszyscy. Dużo czasu spędza poza domem, zajmując się sprawami majątku, pracuje bez umiaru.

- A Lisa? Zmarszczył brwi.

- Biedna dziewczyna, jej stan się pogarsza. Wiesz, ten uraz kręgosłupa okazał się trwały. Już nigdy nie będzie czuła się lepiej.

Przeważnie przebywa w swoim pokoju. Czasem znoszą ją na dół i leży tam na kanapie. Dość często ma ataki bólu. Lekarze przepisują jej różne środki uśmierzające, ale nie zawsze są one skuteczne.

- Jakież to dla niej straszne.

- Na początku wydawało się, że to tylko niewielki uraz, ale wkrótce okazało się, że tak nie jest. To, że musiała skończyć z karierą sceniczną, stało się jej wielką tragedią. Była zrozpaczona, właściwie załamana. Pewnie nie miała już żadnych nadziei na przyszłość. Ale on w żadnym razie nie powinien był się z nią ożenić, Noelle. Przecież w inny sposób można było się nią zaopiekować, a on to zrobił z litości.

Zawsze taki był, już od dziecka. Łatwo wzruszało go cudze nieszczęście i jak tylko mógł, tak starał się pomóc. Tym razem swe współczucie posunął za daleko, naprawdę za daleko. Czuł się rozbity, kiedy cię stracił. Wydaje mi się, że działał pod wpływem chwilowego impulsu. Widział tę cierpiącą dziewczynę, której marzenia o sławie i majątku przysły na zawsze. A ciebie stracił... Pomyślał, jak sądzę, że się nią zaopiekuje, przyjdzie jej z pomocą w nieszczęściu. To był

wielki błąd. Można było przecież zapewnić jej opiekę, ale małżeństwo...

Bez trudu mogłam sobie to wyobrazić - ich dom pogrążony w milczeniu i smutku.

- A lady Constance?

- Jest tym gorzko rozczarowana i nie kryje swych uczuć. Unika Lisy, ale zdarzają się sytuacje, kiedy muszą się ze sobą stykać.

Wymarzyła sobie dla Rodericka coś, co ona uważa za odpowiednie małżeństwo. Uwielbia go i zawsze tak było. Właściwie mnie też, chociaż ja na to nie zasługuję. Nie apróbuję małżeństwa Rodericka po pierwsze ze względu na pochodzenie tej dziewczyny, które uważa za nieodpowiednie, a poza tym, co może ważniejsze, chciałyby doczekać się wnuków. To dziwne, Noelle, ale wydaje mi się, że ona chciała, żebyś ty wyszła za Rodericka. Wiem, że kiedy przyjechałaś do nas po raz pierwszy, to powitała cię niezbyt entuzjastycznie, ale potem cię polubiła. Było dla niej ciosem to, że musiałaś wyjechać.

- To miało coś wspólnego z tym, że razem byliśmy w niebezpieczeństwie. Myślę, że wtedy otworzyłyśmy się przed sobą.

- Tak, to było potem. Niewątpliwie ta sytuacja miała na nią wpływ. Mówiła o tobie parę razy, była dla ciebie pewna podziwu.

Strasznie nią wstrząsnęło, kiedy się dowiedziała, że jesteś moją córką... rodzoną, a nie tylko przybraną. Wiedziała przecież o moim uczuciu dla twojej matki i przywiązaniu, które trwało tyle lat.

Pomyślałam o brulionie, który widziałam w jej pokoju. Jakież męki zazdrości musiała cierpieć przez te wszystkie lata! I tym bardziej cudowne wydawało się, że mimo to, łączyć nas może przyjaźń.

- Tak - powiedział w zamyśleniu Charlie. - Byłaby szczęśliwa, gdybyś wyszła za Rodericka.

Jakie to miało teraz znaczenie? Nasze uczucia zostały zaprzepaszczone, a wszystkie te odkrycia przyszły zbyt późno.

- A ty nie myślałaś o małżeństwie? - zapytał Charlie.

Opowiedziałam mu o Gerardzie du Carron.

- To ten, który zginął? - Tak.

- A gdyby się to nie stało?

- Nie wiem. Nie mogłam zapomnieć Rodericka.

- Tak jak on nie może zapomnieć ciebie. Cóż za tragedia!

- I to nie tylko dla nas. Biedna Lisa! Żal mi jej. Była taka ambitna i wiedziałam, że kocha Rodericka.

- W naszym domu nie ma szczęścia, czuje się to, kiedy tylko się tam wejdzie. Roderick zastanawia

się, czy by na jakiś czas nie wyjechać.

- Dokąd?

- W Szkocji mamy rodzinną posiadłość. Mógłby przebywać tam okresowo, nie na stałe. Nie mogę pozbyć się myśli, że traktuje on to jako swego rodzaju ucieczkę, pretekst, żeby od czasu do czasu wyrwać się z tego domu.

- A Lisa?

- Ona nie mogłaby opuścić Levenson. Nie czuje się na tyle dobrze, aby podróżować. Będę musiał podzielić się z Roderickiem tą nowiną, chcę też powiedzieć o tym mojej żonie.

- Myślisz, że to cokolwiek pomoże? Wzruszył ramionami.

- No, a co do nas, Noelle... to nie zmienia moich uczuć wobec ciebie. Zawsze bardzo cię lubiłem; musimy być w kontakcie. Jeślibyś tylko czegoś potrzebowała, daj mi znać. I pamiętaj: moje uczucia dla ciebie nie uległy zmianie.

- Moje dla ciebie też nie.

- Jeśli będziesz potrzebowała pieniędzy...

- Nie potrzebuję. Robert zostawił mi ten dom i pieniądze też.

Mieszka ze mną wnuczka jego siostry, Marie - Christine, i myślę, że tak już pozostanie. Po stracie rodziny miała tylko mnie. Ona także jest dobrze zabezpieczona finansowo. Całe szczęście, że już wtedy byliśmy serdecznymi przyjaciółkami.

- Cieszę się, że ona jest z tobą, ale jak już mówiłem, jeśli tylko będziesz czegoś potrzebowała... kiedykolwiek...

- Nie potrzebujemy pomocy tego rodzaju, Charlie, ale dziękuję.

Jesteś cudowny... jak zawsze.

- Tak miło cię znowu widzieć, Noelle. A tu, w tym domu...

- Jest tyle wspomnień - podsunęłam.

- Czy to dobrze dla ciebie, że tu jesteś?

- Naprawdę nie wiem już, co jest dla mnie dobre. Mam nadzieję, że odkryję w końcu, co powinnam zrobić ze swoim życiem.

- Jakże chciałbym, och, jakże chciałbym...

- Ja też, Charlie.

Do pokoju weszła Marie - Christine, więc przedstawiłam ich sobie. Wiedziała, kim on jest, i domyśliłam się, że rozważa, jaki skutek może przynieść ta wizyta.

Miała w sobie tę młodzieńczą wiarę, że wszystko może się zdarzyć, a ja jak zwykle wzruszona byłam jej zdecydowaną postawą, by nie godzić się z istniejącym stanem rzeczy.

Wierzyła, że zdarzy się jakiś cud, i w pewnym sensie ta jej wiara i mnie podtrzymywała na duchu.

Minęły trzy dni. Byłam właśnie w swoim pokoju, kiedy pojawiła się Jane z wiadomością, że przyszedł pan Claverham i czeka w salonie.

Zdziwiłam się, co sprowadza tu Charliego tak szybko z powrotem i popędziłam na dół. W salonie zastałam Rodericka.

- Noelle! - wykrzyknął.

Podbiegłam do niego. Chwycił mnie w objęcia i mocno uściskał.

- Musiałem tu przyjechać - powiedział. - Dowiedziałem się wszystkiego od ojca.

- Tak.

- To było okrutne. Co na litość boską...?

- Nie wiń jej, Rodericku. Zrobiła to z miłości i troski o mnie.

Dowiedzieliśmy się o tym zupełnie przypadkowo. Czasami myślę, że lepiej byłoby może, gdyby się to nie stało. Teraz jest mi jeszcze trudniej.

- Tęskniłem za tobą - powiedział.

Nie mogłam znieść smutku, jaki dostrzegłam w jego oczach, i odwróciłam wzrok.

- Co możemy na to poradzić? Ożeniłeś się...

- To nie jest prawdziwe małżeństwo. Dlaczego to zrobiłem? Ona była w tak rozpaczliwym stanie. Jej kariera przepadła, życie zdawało się złamane. Bałem się o nią i w nagłym przypiływie współczucia...

kiedy tylko wypowiedziałem to na głos, wiedziałem już, że popełniam straszliwy błąd. Mogłem jej pomagać, mogłem się nią opiekować, ale przecież nie...

- Rozumiem, Rodericku. Rozstaliśmy się, oboje wiedzieliśmy, że musimy to zrobić. A tymczasem te listy leżały w skrytce jej biurka.

Nie mogę znieść myśli, że wszystko mogło potoczyć się inaczej.

- Musi się znaleźć jakieś rozwiązanie - stwierdził Roderick.

- Nie powinniśmy się widywać - odparłam.

- Chcę być z tobą, chcę móc z tobą rozmawiać. Ta bariera nie do pokonania przestała istnieć. Daje mi to pewne poczucie wolności. Nie mogę oprzeć się myśli, że skoro już jej nie ma, musi znaleźć się dla nas jakaś nadzieja.

- Ale jest Lisa - przypomniałam mu. - Ona istnieje.

- Musimy dojść do jakiegoś porozumienia.

- Jest poważnie chora, na pewno bardzo cierpi. Przez chwilę nie odpowiadał, potem zaś rzekł:

- Noelle, musimy porozmawiać.

- Wyjdźmy stąd - odparłam. - Posiedzimy w parku, tak jak dawniej. Chcę wyjść na dwór, Rodericku; tu w każdej chwili ktoś może nam przeszkodzić. Przyjdzie Marie - Christine, która ze mną mieszka; będzie chciała cię poznać. Chciałabym, żebyśmy mogli pobyć gdzieś sami.

- Chciałbym z tobą porozmawiać... gdziekolwiek.

- Poczekaj, tylko wezmę płaszcz.

Miałam poczucie, że poza domem jest bezpieczniej. W salonie pokusa, aby być ze sobą blisko, mogłaby okazać się zbyt silna. Nie mogłam przecież ani na chwilę zapomnieć, że jest on mężem Lisy.

Poszliśmy do Green Parku, gdzie dawniej często bywaliśmy razem. Wciąż myślałam o tym, jak to Lisa przyłączała się tu do nas.

Siedzieliśmy na tej samej ławce, na której siadywaliśmy w minionych, szczęśliwszych czasach.

- Opowiedz mi, co się z tobą działo, Noelle - poprosił. - Co działo się ze mną, to już wiesz. Ożeniłem się. Gdybym tylko trochę poczekał! Jak mogłem to zrobić?

Odpowiedziałam mu:

- Wyjechałam do Francji z Robertem Bouchere. Tam poznałam jego siostrzeńca. Marie - Christine jest jego córką. Jej ojciec, babcia i Robert, wszyscy zginęli pod gruzami domu podczas oblężenia Paryża.

Marie - Christine została więc ze mną i odtąd jesteśmy już razem.

- Ojciec coś mi o tym opowiadał. Wiedzieliśmy, że jesteś we Francji, i strasznie się o ciebie martwiliśmy.

- Ja też mogłam być razem z nimi w Paryżu, ale tak się zdarzyło, że akurat razem z Marie - Christine

przebywałam na wsi.

Ujął moją dłoń i uścisnął ją.

- Nie mogę znieść myśli, że byłeś o krok od takiego niebezpieczeństwa.

- Przez cały czas myślałam o tobie - powiedziałam mu.

- Musisz zrozumieć tę historię z Lisą.

- Rozumiem, byłeś pełen współczucia dla niej. Myślałeś, że utraciliśmy się już nawzajem bezpowrotnie i przez to małżeństwo chciałeś chociaż jej pomóc.

- Straciłem ciebie, a myślałem, że dla niej to będzie najlepsze rozwiązanie. Ja zaś miałbym się kim zajmować i o kogo troszczyć.

- Oboje staraliśmy się rozpocząć jakieś nowe życie. Ojciec Marie

- Christine chciał, żebym została jego żoną.

- I zrobiłabyś to, gdyby nie zginął?

- Nie wiem, coś mnie powstrzymywało, nie potrafiłam się zdecydować. On był artystą, dobrym artystą. Myślę, że gdybym była w stanie cię zapomnieć, to z Gerardem mogłabym być zupełnie szczęśliwa.

- Ale nie potrafiłaś mnie zapomnieć?

- Nie, Rodericku, nie potrafiłam... i nigdy mi się to nie uda.

- Musimy coś wymyślić. - Co?

- Poproszę Lisę, żeby zwróciła mi wolność.

- Poślubiłeś ją z litości, więc jak teraz możesz ją opuścić?

- Ona musi to zrozumieć.

- Rodericku, nie sędzę, abyś mógł ją o to prosić.

- Zostałaby zabezpieczona na resztę życia.

- Nie zgodziłaby się, ona chce, żebyś ty z nią był.

- Bardzo rzadko z nią jestem, staram się być poza domem, kiedy tylko mogę. Zanim przyjechałem tutaj, chciałem jechać do Szkocji; to przynajmniej na pewien czas oderwałoby mnie od domu.

- Na jak długo chciałbyś tam pojechać? Wzruszył ramionami.

- Po prostu od czasu do czasu muszę wyrwać się z Leverson i to właśnie miałem w planie. Nasz kuzyn zarządza tamtym majątkiem i ostatnio miał jakieś trudności. Przyszło mi do głowy, żeby się tam wybrać i pomóc mu je rozwikłać. Ale to tylko wymówka, chciałem po prostu uciec. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka u nas jest teraz sytuacja.

- Chyba sobie wyobrażam.

- Moja matka nie znosi Lisy i wcale się z tym nie kryje. Wydaje mi się nawet, że się nawzajem nienawidzą. Ona trwa w przekonaniu, że Lisa jest karierowiczką i za pomocą intryg doprowadziła do tego małżeństwa. Wie oczywiście, że twoja matka jej pomagała i że Lisa pełniła funkcję jej dublerki. Uważa, że Lisa przynosi nieszczęście i że ma w sobie ukryte zło. Powiadam ci, że u nas w domu panuje teraz zupełnie przygnębiająca atmosfera. Dlatego od czasu do czasu odczuwam wielką potrzebę, żeby się stamtąd wyrwać, i to właśnie miałem w planie. No, ale kiedy ta sprawa wyszła na jaw, poczułem, że musimy coś na to poradzić.

- Ona nie pozwoli ci odejść, Rodericku.

- Porozmawiam z nią... i z moimi rodzicami. Powiem jej, że istnieje pewne rozwiązanie, o ile tylko pozwoli mi odejść. Możemy się rozwieść. Lisa musi zrozumieć, że to będzie najlepsze dla nas wszystkich, i tak nie jest szczęśliwa, wiem, że nie jest. Zrozumie, że to jest najlepsze wyjście.

Nie byłem tego pewna.

Siedzieliśmy i rozmawialiśmy przez dłuższy czas. Nie mogliśmy oprzeć się marzeniom o wspólnej przyszłości. Mieliśmy iskrę nadziei, że zdołamy pokonać piętrzące się trudności. Siedzieliśmy więc i snuliśmy

plany.

Odsuwaliśmy

od

siebie

wątpliwości.

Potrzebowaliśmy pocieszenia i znajdывaliśmy je w rozmowie.

Zaczęliśmy znów widzieć przed sobą przyszłość, choć zdawało się, że utraciliśmy ją już na zawsze.

Nie było możliwe, aby przyjazd Rodericka utrzymać w tajemnicy przed Marie - Christine. Dowiedziała się, że odwiedził nas pan Claverham - młody pan Claverham - wyczekiwała więc mojego powrotu.

Od razu się na mnie rzuciła.

- Jesteś jakaś inna - zawołała. - Coś się stało. Co? Co? Roderick wrócił!

- Tak - odparłam. - Był tutaj. - I gdzie jest teraz?

- Odjechał.

- Odjechał? Ale dlaczego? Co mówił? On już wie, że nie jest twoim bratem. Czy to nie cudowne? Meningarth i tak dalej. Gdybym nie znalazła tych listów...

- Tak, byłaś wspaniała, Marie - Christine - odparłam.

- No więc, co teraz będzie?

- Marie - Christine, on jest żonaty.

- Więc co zamierzacie zrobić?

- Nie wiem.

- Wiesz. Widzę po tobie, że wiesz. Powiedz mi. Brałam w tym udział, prawda? To ja znalazłam te listy.

- Tak, ty. I jesteś moją dobrą przyjaciółką. Ale wiesz przecież, że nie możemy się teraz pobrać; on jest mężem Lisy.

- Tej, co wpadła pod powóz twojej matki? - Tak.

- Ona wam zawadza. I co on ma zamiar z tym zrobić? Widzę, że coś planowaliście.

- Chce ją poprosić, żeby zwróciła mu wolność.

- To znaczy chce się z nią rozwieść? Ach, Noelle, to coś niezwykłego!

- Wydaje mi się, że to raczej smutne.

- Jaka szkoda, że tak się pospieszył z tym ślubem. Czy powiedział ci, że cię kocha i nigdy nie przestanie? Przypuszczam, że ona się zgodzi i wtedy wszystko się ułoży.

- Nie wiem, Marie - Christine. Nie sądzę, żeby to było aż takie łatwe.

Myślałam o tym przez wszystkie następne dni. Właściwie to nie myślałam o niczym innym.

A potem znowu przyjechał Roderick. W pierwszej chwili nie umiałam zgadnąć, jakie wieści przynosi, płonęłam jednak z niecierpliwości, żeby je usłyszeć.

- Kiedy jej to wszystko wytłumaczyłem, była głęboko wstrząśnięta - powiedział. - Leżała na łóżku, jak jej się to często zdarza, kiedy czuje się nie najlepiej. Powiedziałem jej, jak bardzo mi przykro. Opowiedziałem jej o nas, jak to między nami było i jak na zawsze pozostanie. Wiedziała oczywiście,

że w czasie gdy proponowałem jej małżeństwo, myślałem, że moje małżeństwo z tobą jest wykluczone. Opowiedziałem jej o odnalezieniu twojego prawdziwego ojca i o dowodzie, jaki na to posiadasz.

- Na to ona powiedziała: „A więc teraz mógłbyś poślubić Noelle, gdybyś nie był już moim mężem”. Odparłem, że jeśli zwróci mi wolność, to przyszłość już na zawsze będzie miała zabezpieczoną.

Otrzyma jak najlepszą opiekę, będzie żyć w luksusie i niczego jej nie zabraknie. Uśmiechnęła się na to ze smutkiem i dodała: „Oprócz ciebie”. Powiedziałem, że może wszyscy bylibyśmy przyjaciółmi, przecież mogłoby tak się stać. Wszelkie formalności zostałyby załatwione i nie byłoby już problemów. Słuchała tego z zamkniętymi oczami, jakby cierpiała z bólu.

Po chwili rzekła: „Zaskoczyłeś mnie. Muszę to przemyśleć i potrzebuję czasu. Proszę, poczekaj trochę. Jedziesz do Szkocji, jedź

więc, a kiedy wrócisz, dam ci odpowiedź. Będę już wtedy wiedziała, czy jestem w stanie przyjąć to, co proponujesz.

- A więc nie odmówiła.

- Nie. Zdaję sobie sprawę, że był to dla niej wstrząs.

Przypuszczam, że to normalne, że nie potrafi od razu podjąć decyzji.

Cóż, jest to więc kwestia czasu. Musimy zdobyć zgodę Lisy, a jeśli to się uda, całą resztę da się załatwić bez większych trudności. Jestem pewien, że zrozumie, iż jest to najlepsze rozwiązanie dla nas wszystkich.

- Rodericku, wydajesz się nie mieć wątpliwości.

- Bo nie mam. Lisa przecież cię lubi, ilekroć o tobie mówiła, to zawsze z sympatią. Wiele razy powtarzała, że tyle zawdzięcza twojej matce i nigdy o tym nie zapomni. Wie, że nigdy już nie odzyska pełnej władzy w nogach i że jej stan może jedynie ulec pogorszeniu.

Nasze małżeństwo to nie jest pełny, prawdziwy związek. Jestem pewien, że zrozumie, że pozostało jej tylko jedno wyjście. Nie będzie chciała stać nam na przeszkodzie, nie jest przecież taką złą kobietą, za jaką uważa ją moja matka.

- A twoi rodzice - czy oni o tym wiedzą?

- Mówiłem im. Mój ojciec uważa, że jest to jakieś rozwiązanie.

Potrzebna jest tylko zgoda Lisy.

- A co na to twoja matka?

- Jest bardzo zadowolona. Przedtem, kiedy postanowiliśmy się pobrać, spotkało się to z jej aprobatą,

pomimo że na początku miała do ciebie raczej niechętny stosunek. Byłem tym zdumiony, mój ojciec także, ale ona darzy cię dużym szacunkiem i z radością przyjąłaby cię do rodziny.

- Wydajesz się być pełen nadziei.

- Muszę być. Inaczej byłoby to nie do wytrzymania... szczególnie teraz, kiedy wiemy, że taka sytuacja w ogóle nie powinna była zaistnieć.

- A więc pozostaje nam tylko czekać. Ujął moją dłoń i pocałował

ją.

- Wszystko będzie w porządku, Noelle, jestem o tym przekonany

- powiedział. - Nie może być inaczej.

Nie potrafiłam myśleć o niczym innym, tylko o tym, co dzieje się w Levenson. Roderick wyjechał do Szkocji. Lisa pewnie boryka się z decyzją, przyjąć czy odrzucić jego propozycję. Lady Constance ma pewnie nadzieję, że uda jej się pozbyć synowej, której z wielu przyczyn nienawidzi. Może wraca też myślą do chwil, które spędziłyśmy razem w Świątyni Neptuna. Gdyby Lisa wyraziła zgodę na rozwód, można by to załatwić dyskretnie i rozpoczęlibyśmy nowe życie.

Ku mojemu zdumieniu, otrzymałam list od Lisy. Pisała: Moja droga Noelle,

Chciałabym Cię zobaczyć i porozmawiać z Tobą. Roderick wszystko mi opowiedział. Był to dla mnie wielki wstrząs, kiedy dowiedziałam się, że nie jesteś jednak córką Charliego i że masz na to dowód, w związku z czym znikła przeszkoda, uniemożliwiająca Ci poślubienie Rodericka.

Mój stan zdrowia pozostawia wiele do życzenia. Praktycznie cały czas odczuwam swą dolegliwość, nie mogę długo pozostawać w tej samej pozycji. Roderick zrobił wszystko, żeby mi tu było wygodnie, ale to nie jest łatwe. Levenson to wspaniałe miejsce. Odkryłam w sobie wielkie zainteresowanie rzymskimi zabytkami i bardzo zaprzyjaźniłam się z Fioną i jej mężem. Codziennie któreś z nich do mnie zagląda. Gdybym wyjechała, musiałabym z tego wszystkiego zrezygnować.

Cóż, wiele mam Ci do powiedzenia, chciałabym, żebyś to zrozumiała. Czy możesz tu przyjechać, nie tylko na weekend, ale na trochę dłużej? Chciałabym rozmawiać z Tobą... i rozmawiać.

Wspominam dawne czasy i wszystko, co doprowadziło do obecnej sytuacji.

Noelle, mam kłopoty. Proszę Cię, przyjedź.

List ten poruszył mnie głęboko. Zastanawiałam się, co ona może mieć mi do powiedzenia; musiała podjąć decyzję. Potrafiłam zrozumieć, że przywiązała się do Levenson. Dwór był stary i piękny, a poza tym zaprzyjaźniła się z Fioną. Wiedziałam, że Fiona na pewno jej współczuje, a jeśli ona zainteresowała się archeologią, która jest pasją Fiony, to istnieje już między nimi silna więź. Lisa myśli pewnie o wyjeździe w jakieś odludne miejsce... z dala od Rodericka, którego jak mi się wydawało, zawsze kochała. To naprawdę byłoby z jej strony wielkie poświęcenie.

Ale jechać do Levenson! Ten pomysł podniecał mnie i przerażał

jednocześnie.

Odpisałam jej:

Droga Liso,

Dziękuję Ci za list. Przykro mi słyszeć o tym, jak cierpisz. Wiem, o co prosił Cię Roderick, i zdaję sobie sprawę, że trudno Ci od razu podjąć decyzję.

Chciałabym z Tobą porozmawiać, ale waham się przed przyjazdem do Levenson bez zaproszenia lady Constance. Poza tym mieszka teraz ze mną młoda dziewczyna, Marie - Christine du Carron.

Byłam u niej we Francji. Jest to przyszywana wnuczka Roberta, która straciła rodzinę w czasie oblężenia Paryża. Nie mogę zostawić jej samej.

Z całą serdecznością i wyrazami współczucia, Noelle

W odpowiedzi otrzymałam następny list. Ten z kolei pochodził

od lady Constance.

Moja droga Noelle,

Odkąd nas opuściłaś, myśleliśmy o Tobie bardzo często. Było mi bardzo przykro, że wyjechałaś w takich okolicznościach.

Lisa mówiła mi, że chce z Tobą porozmawiać i że jest to dla niej bardzo ważne. Myślę, że dobrze byłoby, gdyby tak się stało. Ona mówi, że przed przyjazdem powstrzymuje Cię brak zaproszenia ode mnie.

Moja droga, byłabym uszczęśliwiona, widząc Cię tutaj. Ani ja, ani mój mąż nie uważamy, aby Twój przyjazd miał w jakikolwiek sposób zaszkodzić istniejącej sytuacji.

Być może nawet uda Ci się nakłonić Lisę, aby zrobiła to, co dla nas wszystkich wydaje się najlepsze.

Proszę więc, przyjedź i przywieź ze sobą Marie - Christine. Obie będziecie bardzo mile widziane.

Łączę serdeczności,

Constance Claverham

Powóz czekał na nas na stacji.

Myślałam, że już nigdy w życiu nie zobaczę Levenson i dlatego dziwnie się czułam, jadąc znowu drogami Kentu.

Skręciliśmy w aleję dojazdową i przez bramę wjechaliśmy na dziedziniec.

Marie - Christine miała oczy okrągłe ze zdumienia.

- Co za wspaniałe miejsce - wykrzyknęła. - Wygląda jak zamek.

Ucieszyłam się, że posiadłość przypadła jej do gustu, miałam bowiem poczucie, że tu właśnie jest moje miejsce. Optymizm Rodericka sprawił, iż byłam w stanie uwierzyć, że pewnego dnia będzie to mój dom.

Kiedy przechodziłyśmy przez hol, gdzie wisiały pistolety i rusznice, przypomniałam sobie, z jaką czcią na nie patrzyłam, kiedy po raz pierwszy Charlie mnie tu wprowadził.

- Lady Constance kazała powiedzieć, że oczekuje panienek w salonie, kiedy tylko panienki przyjadą - powiedziano nam.

Zaprowadziła nas tam pokojówka, mimo że ja dobrze znałam drogę.

W salonie zastałyśmy już lady Constance, był tam też z nią Charlie.

- Moja droga Noelle - wymamrotał, ujął moją dłoń i pocałował

mnie w policzek.

Lady Constance wystąpiła naprzód i ona także mnie pocałowała.

- Moja droga - odezwała się. - Tak się cieszę, że cię widzę. A to jest Marie - Christine?

Marie - Christine, co jej się rzadko zdarzało, była nieco onieśmielona osobowością lady Constance.

- Będziesz miała ten sam pokój, co dawniej - powiedziała lady Constance do mnie. - A Marie - Christine zamieszka w pokoju obok.

Spodziewałam się, że będziecie chciały być blisko. - Potem zwróciła się do Marie - Christine. - Ten dom jest dosyć duży i zdarza się, że ludzie gubią się w nim na początku.

- Jest piękny! - wykrzyknęła Marie - Christine. - I wspaniały.

Lady Constance uśmiechnęła się z sympatią.

- Nie mogę się doczekać, kiedy mi wszystko opowiesz -

powiedziała do mnie - ale teraz na pewno jesteście zmęczone po podróży. Szkoda, że pociąg przyjeżdża tak późno. Zdażycie jednak przebrać się przed obiadem. Czy chcecie pójść teraz do swoich pokoi?

Odparłam, że tak pewnie będzie najlepiej.

- Mam nadzieję, że będzie wam tam wygodnie - rzekła lady Constance.

Zadzwoiła i pojawiła się pokojówka.

- Zaprowadź panienki do ich pokoi i sprawdź, czy mają wszystko, czego im potrzeba - zwróciła się do niej lady Constance. - I, Noelle, moja droga... spotkajmy się, powiedzmy, za pół godziny?

Wtedy zostanie nam trochę czasu, zanim podadzą obiad.

- Dziękujemy bardzo.

Wszystko to przebiegało normalnie, z zachowaniem wszelkich przyjętych form. Nikt nie domyśliłby się, jaki dramat krył w sobie mój przyjazd tutaj. To było typowe dla lady Constance. Poczułam, że odzyskuję ducha. Powitanie z jej strony było tak serdeczne...

najserdeczniejsze, na jakie ją było stać. Przypomniało mi się, jak zostałam przyjęta, kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy.

Marie - Christine była w stanie najwyższego podniecenia.

Uwielbiała wszelkie, jak to nazywała, przygody, a to z pewnością można było zaliczyć do tej kategorii, podobnie jak naszą wyprawę do Kornwalii.

Pokój wyglądał dokładnie tak, jak wówczas, gdy w nim mieszkałam. Poszłam zobaczyć, jak jest u Marie - Christine. Była zachwycona i w podnieceniach czekała, co się będzie działo dalej.

Umyłam się i przebrałam, po czym razem z Marie - Christine zeszyliśmy na dół. Lady Constance już na nas czekała. Obecność dziewczynki uniemożliwiała nam rozmowę na tematy bardziej osobiste i dopiero po obiedzie, kiedy Charlie zabrał Marie - Christine, żeby oprowadzić ją po domu, pozostałam sama z lady Constance.

- Bardzo się cieszę, że tu jesteś - powiedziała. - Smutno mi było, kiedy wyjechałaś. Wielka szkoda, że Roderick się ożenił, ja byłam temu bardzo przeciwna.

- No a co z Lisą? - zapytałam. - Czy jej dolegliwość jest nieuleczalna? Czy nie ma już dla niej nadziei?

- Żadnej. Doznała trwałego urazu kręgosłupa. Roderick sprowadził tutaj najlepszych specjalistów w kraju. Ich opinia jest zawsze taka sama; Lisa pozostanie kaleką i bardzo możliwe, że jej stan będzie się pogarszał.

- Cóż to dla niej za okropna perspektywa!

- Dla Rodericka też. Miejmy jednak nadzieję, że znajdzie się rozwiązanie.

- To dla niej naprawdę tragedia - powiedziałam. - Jest taka ambitna i miała zadatki na dobrą aktorkę.

- Tego nie wiem, tutaj jest... jako żona Rodericka. Miałam nadzieję... Stosunki między mną a tobą na pewno ułożyłyby się dobrze.

- Jestem pewna, że tak.

- Mam nadzieję można zaryzykować twierdzenie, że tak się właśnie stanie. Musimy jej przemówić do rozsądku, Noelle.

- Ale to, co nam się wydaje rozsądne, wcale nie musi być rozsądne dla niej. Oczekujemy od niej naprawdę wielkiej ofiary.

- Ona musi się zgodzić. Dołożymy wszelkich wysiłków, aby ją przekonać.

- Kiedy będę mogła się z nią zobaczyć?

- Jutro. Dzisiaj miała zły dzień, często tak się zdarza. Wtedy bardzo cierpi. Lekarz przepisał jej specjalne pigułki, które są dość skuteczne. Ma je zawsze pod ręką, ale oczywiście nie może wziąć zbyt wielu naraz. Wydaje mi się, że dziennie nie powinna brać więcej niż sześć. Powinna być ostrożna i korzystać z nich tylko wtedy, kiedy są naprawdę potrzebne. Kiedy ból bardzo jej dokucza, może wziąć dwie. Podobno dziś po południu wzięła cztery.

- Strasznie to brzmi.

- Rzeczywiście wzbudza to litość.

Charlie przyprowadził Marie - Christine z powrotem; oczy miała okrągłe ze zdumienia i podziwu.

- To zupełnie niezwykły dom! - wołała. - Jest bardzo stary, prawda, panie Claverham?

- Są w Anglii jeszcze starsze - stwierdził Charlie.

- Nie uwierzę, że istnieje równie niezwykły dom, jak ten. Na twarzy lady Constance pojawił się wyraz zadowolenia i rozbawienia.

Przypomniało mi się, że zawsze sprawiało jej przyjemność, kiedy ktoś z podziwem wyrażał się na temat tego domu. Ucieszyłam się, że Marie - Christine wywarła dobre wrażenie.

Kiedy już miałyśmy iść spać, zajrzałam do Marie - Christine, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Cieszę się, że mieszkam obok ciebie - powiedziała. -

Podejrzewam, że w takim starym domu są duchy.

- No, jeśli któryś cię będzie straszył, wystarczy, że zapukasz w ścianę, a ja przyjdę i dotrzymam wam towarzystwa.

Zachichotała wesoło. Miło mi było widzieć, że jest szczęśliwa i zadowolona.

Poszłam do siebie i już po chwili usłyszałam delikatne pukanie do drzwi. Ku mojej radości była to Gertie, pokojówka, która zajmowała się mną, kiedy tu ostatnio mieszkałam.

- Przyszłam sprawdzić, czy ma panienka wszystko, co panience potrzeba - powiedziała.

- Gertie! Tak się cieszę, że cię widzę. Jak się masz?

- Nieźle, panienko. A panienka? Tym razem przyjechała pani z tą młodą damą.

- Tak - odparłam. - Marie - Christine straciła całą rodzinę we Francji podczas wojny i mieszka teraz ze mną.

Wydawało mi się, że nią to wstrząsnęło.

- Było mi tak smutno, kiedy panienka stąd wyjechała - rzekła. -

Wszyscy się martwili.

- Tak, to było bardzo smutne. Czy często widzisz panią Claverham?

- O tak, panienko. W pewnym sensie zajmuję się nią. Ona - hmm

- chyba nie bardzo tu pasuje, taka aktorka, o której nikt nigdy nie słyszał... nie to co Desiree, i do tego kaleka. Czasami bywa zbyt drażliwa. Pozmieniało się tutaj.

- A lady Constance, czy ona... jest teraz dla ciebie dobra?

- Nie zwraca na mnie specjalnej uwagi i nie czepia się mnie.

Nigdy nie zapomnę tej historii z popiersiem. Myślę, że straciłabym tu pracę natychmiast, gdyby panienka nie wzięła winy na siebie. Często myślę o tym, ile panience zawdzięczam.

- To nie było nic wielkiego, Gertie.

- Dla mnie było. Jest tu teraz nowa służąca, nazywa się Mabel.

Dziewczyna do wszystkiego, przyucza się do służby i robi to, czego nie chcą robić inni. Pięciu groszy bym za nią nie dała.

- Chcesz powiedzieć, że jest niezbyt mądra?

- Tak. Niezbyt mądra to za mało powiedziane. Muszę mieć na nią oko. Czy na długo panienka przyjechała?

- Chyba nie, raczej na krótko. Właściwie przyjechałam zobaczyć się z panią Claverham.

- Przeważnie jest cierpiąca, nigdy nie wiadomo, jak się będzie czuła. No cóż, jak to z kaleką. Może panienska zdoła ją jakoś rozweselić.

- Mam nadzieję - rzekłam.

- Proszę zadzwonić, jeśli tylko będzie panienska czegoś potrzebowała. Pójdę już, dobranoc. Niech panienska śpi dobrze.

Miałam wątpliwości, czy mi się to uda. Zbyt wielki zamęt miałam w głowie.

Następnego dnia odwiedziłam Lisę. Leżała w łóżku, podparta poduszkami. Bardzo się zmieniła i przeraził mnie jej wygląd.

- Ach, Noelle - rzekła. - Jak dobrze, że przyjechałaś. Tyle się wydarzyło od czasu, kiedy się ostatnio widziałyśmy. Ty mało się zmieniłaś, bo ja to zdaję sobie sprawę, że tak.

- Biedna Lisa! Przeraziła mnie wiadomość o twoim wypadku.

- Wszystkie moje nadzieje... wszystkie moje marzenia o wielkości... przysły; i to przez tę nieszczęsną zapadnię. Z wysokości siedmiu stóp spadłam na betonową podłogę. Mogłam skrócić kark i może lepiej byłoby, gdyby się tak stało. Byłby koniec ze mną, a nie tylko z moją karierą - głos jej się załamał.

Usiadłam przy jej łóżku i położyłam dłoń na jej dłoni.

- Chciałaś się ze mną widzieć.

- O, tak, chciałam. Chciałam już od dłuższego czasu... a teraz jeszcze to. Ciebie też to dotyczy. Tak naprawdę, nasze losy są ze sobą splecione, odkąd się poznałyśmy. To przeznaczenie. Roderick powiedział mi, że zawsze cię kochał. To okropne, że musieliście się rozstać... i nie wiedzieliście, że to nieprawda. Dlaczego ona ci to zrobiła?

- Jej listy wszystko wyjaśniają. Chciała się upewnić, że będzie miał kto się mną zaopiekować, gdyby jej coś się stało. Wiele wycierpiała w dzieciństwie i postanowiła, że zrobi wszystko, abym tylko ja nie znalazła się w podobnych warunkach. Charlie był bogaty, a mój prawdziwy ojciec był biedny. Uważała, że nie byłby w stanie zapewnić mi tego wszystkiego, co ona sobie dla mnie wymarzyła.

- Rozumiem. Była wspaniała, nigdy nie pozwoliła, aby życie decydowało za nią. Kierowała nim tak, jak sama chciała. Tym razem jednak ją to zwiódło.

- Dlatego, że zmarła tak nagle. Gdyby wiedziała, że spotykam się z Roderickiem, gdyby domyśliła się, że coś może z tego wyniknąć -

na pewno wszystko by mi powiedziała. Ale zmarła tak niespodziewanie...

- Była dla mnie najwspanialszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam.

- Nie tylko ty tak uważałaś.

- I kiedy tak nagle umarła... - twarz jej się ściągnęła, a głos zadrżał z przejęcia. - Kiedy usłyszałam, co się stało, był to najbardziej przerażający moment mojego życia. Zawdzięczam jej wszystko, nikt inny nigdy nie był dla mnie tak dobry.

Milczaliśmy przez chwilę.

- A teraz - mówiła dalej - prosi się mnie o to, abym zrezygnowała ze swego męża i domu. Och, Noelle, jestem tu szczęśliwsza, niż mogłabym być gdziekolwiek indziej. Roderick jest dla mnie taki dobry. Czuję się tu bezpieczna i zabezpieczona na resztę życia.

- On chciał ci pomóc.

- Kiedy to się stało, byłam zupełnie załamana... straciłam wszelką nadzieję. Nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Miałam trochę oszczędności, ale na długo by one nie starczyły, nie miałam pojęcia, co będzie ze mną dalej. Byłam skończona i zrozpaczona.

Czułam, że pozostało mi już tylko umrzeć, i zastanawiałam się, czy nie odebrać by sobie życia. On o tym wiedział. Jest bardzo wrażliwy.

To dobry i prawy człowiek, który troszczy się o innych. Próbował

mnie pocieszyć... i nagle poprosił, abym wyszła za niego za męża.

Początkowo nie mogłam w to uwierzyć, ale on naprawdę miał to na myśli.

- Rozumiał, co się z tobą dzieje.

- Tak jak nikt inny. Nie mogłam w to uwierzyć, wydawało mi się to najwspanialszym uśmiechem losu. Było to nagle przejście od rozpacz do szczęścia. Może zachowałam się wtedy lekkomyślnie, wiedziałam przecież, że nadal jest w tobie zakochany. Ale pomyślałam: „Nie mogą się pobrać. Za jakiś czas Noelle poślubi kogoś innego. Muszą zapomnieć o sobie nawzajem. Sprawię, że mnie pokocha”. Powtarzałam sobie wciąż: „Brat i siostra nie mogą się pobrać. To wbrew prawu i wbrew naturze. Nie ma powodu, żebym za niego nie wyszła”. Za nic na świecie nie chciałabym cię zranić, Noelle. Nigdy nie zapomnę, co ty i twoja matka zrobiłyście dla mnie.

Ale wtedy to nie miało znaczenia, przecież nie mogłaś za niego wyjść, prawda? Wtedy w każdym razie, nie mogłaś.

- Nie rób sobie wyrzutów, proszę cię. Oparła się na poduszkach i zamknęła oczy.

- Zadręczasz się, Liso. Nie wolno ci tego robić - dodałam.

- Czasem czuję się taka zmęczona. Jestem wyczerpana bólem i nie wiem, jak powinnam postąpić. Jeszcze nie wyjeżdżasz, prawda?

- Nie. Przez jakiś czas tu pobędę.

- Przyjdź do mnie znowu... kiedy będę czuła się lepiej. Będziemy mogli wtedy więcej porozmawiać. Wczoraj miałam zły dzień, trochę to potrwa, zanim dojdę do siebie. Jestem taka zmęczona.

- Odpocznij - powiedziałam. - Niedługo przyjdę do ciebie znowu, a porozmawiamy, jak poczujesz się lepiej.

Marie - Christine nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy miejsce wykopalisk, więc po południu się tam wybrałyśmy. Przy wykopach panował spory ruch. Wciąż jeszcze trwały prace wykopaliskowe i kręciło się paru przyjezdnych.

Fiona powitała nas serdecznie. Przedstawiła nas młodemu człowiekowi, który z nią pracował - był to jej mąż, Jack Blackstock.

Był bardzo miły i jak natychmiast zauważyłam, równie zaangażowany w pracę jak ona.

- Trochę się tu ostatnio zmieniło - rzekła Fiona. - Odkrycie świątyni wzbudziło spore zainteresowanie.

Marie - Christine pytała o wiele rzeczy, a pamiętałam z przeszłości, że nic nie cieszy Fiony bardziej niż to, kiedy ktoś okazuje zainteresowanie jej pracą. Tę samą cechę miał jej mąż.

Z entuzjazmem pokazywali Marie - Christine niektóre wykopaliska, tłumacząc, w jaki sposób usiłują je odrestaurować. Po chwili Fiona zaproponowała, że pokaże nam świątynię.

Kiedy schodziliśmy z łagodnego wzniesienia, odżyły we mnie wspomnienia. By ułatwić zejście, wykopano kilka stopni i po chwili staliśmy już na kamiennej posadzce, na której kiedyś siedziałam razem z lady Constance, zastanawiając się, czy to już nasze ostatnie chwile.

Posadzka była miejscami pokryta mozaiką i miała przepiękne kolory. Fiona wyjaśniła nam, że właśnie trwają tu prace renowacyjne i spodziewa się, że efekt może być fantastyczny. Stałyśmy przed wielkim posągiem, który był na tyle dobrze zachowany, że mogłyśmy rozpoznać w nim Neptuna. Charakterystyczny trójząb był prawie nietknięty, a brodata twarz tylko trochę uszkodzona. Miał odłamaną jedną nogę, ale Fiona stwierdziła, że bez trudu można się domyślić, jak to kiedyś wyglądało.

Marie - Christine bardzo zależało na tym, aby zobaczyć łaźnie, i Fiona zaproponowała, żeby Jack ją tam zaprowadził, podczas gdy my miałyśmy pójść do domu i pogawędzić sobie o dawnych czasach, dopóki oni nie wrócą.

Pomysł ten bardzo mi przypadł do gustu, miałam bowiem nadzieję, że dowiem się od niej czegoś na temat sytuacji we dworze.

- Jak wrócicie, to dostaniecie kawę - obiecała Fiona Jackowi i Marie - Christine.

Marie - Christine była szczęśliwa, a ja z kolei cieszyłam się tym, że tak ją tu wszystko interesuje.

Po drodze wytłumaczyłam Fionie, dlaczego Marie - Christine mi towarzyszy, i opowiedziałam jej trochę o swoim pobycie we Francji.

Słuchała z wielkim zainteresowaniem i wyraziła swój wielki żal i współczucie, co było niewątpliwie szczere.

- A co się działo z tobą, Fiono, odkąd ja wyjechałam?

- No cóż, przede wszystkim wyszłam za męża. - I jesteś szczęśliwa?

-

Nadzwyczaj. Oboje tak jesteśmy zaangażowani w wykopaliska... a przedtem całymi latami żyłam w niepokojach z powodu mojej babci.

- Czy ona ciągle przebywa w domu opieki?

- Tak. Jest jej tam zupełnie dobrze. Żyje w swoim własnym świecie. Cieszy się wielką popularnością wśród pensjonariuszy, bo przepowiada im przyszłość. Powiedziałabym, że urozmaica im to trochę życie.

- Nie przeszkadza jej, że tam jest?

- Myślę, że nie bardzo ma poczucie rzeczywistości. Lubi być otoczona ludźmi, nad którymi w pewien sposób panuje, a udaje jej się to osiągnąć dzięki swym „mocom”.

- Czy pamięta jeszcze, jak wtedy usunęła znak ostrzegawczy?

- Och, cóż to była za okropna sprawa! I ty, i lady Constance mogłyście zginąć. Ona już tego nie pamięta. Pochłaniają ją sprawy współpacjentów. Czasem sprawia wrażenie, że nie pamięta, kim ja jestem. To, że tam znajduje się pod dobrą opieką, uwolniło mnie od wielkiego napięcia. A odkąd jestem razem z Jackiem, wszystko zupełnie się zmieniło. Naprawdę mam szczęście. To, że zabrała ten znak ostrzegawczy, oczywiście przebrało miarę. Wtedy zrozumiałam, że trzeba ją odizolować.

To dziwne, że coś tak groźnego może przynieść jednak dobry skutek.

Pomyślałam o godzinach, które spędziłam z lady Constance pod ziemią, o tym, jak znikły dzielące nas dotąd bariery, i jak zaczęłyśmy się nawzajem rozumieć.

- Odkrycie świątyni - mówiła Fiona. - Cóż to za wspaniałe wydarzenie! Dzięki temu pojawił się tu Jack, no i sprawy potoczyły się jak widać.

- Cieszę się, że przyniosło ci to zmiany na lepsze.

- A pomyśleć tylko, że skutki mogły być zupełnie inne!

- Ale nasz wypadek pomógł w odkryciu świątyni - powiedziałam z uśmiechem. - A to sprowadziło tu

Jacka. Historia ze znakiem ostrzegawczym dowiodła też niezłomie, że twoja babcia powinna znaleźć się pod opieką i dozorem lekarzy. A jak wygląda teraz sytuacja we dworze, Fiono? Bywasz tam, prawda?

- Tak, od czasu do czasu odwiedzam tę biedną Lisę. Cóż za straszna tragedia ją spotkała!

- Wypadek przekreślił jej karierę, ale dzięki temu wyszła za mąż za Rodericka.

Fiona potrząsnęła głową.

- U nich w domu panuje smutek - powiedziała i spojrzała na mnie znacząco.

- Też mi się tak wydaje.

- Wyjechałaś tak nagle. Sądziłam, że ty i Roderick...

- Więc nikt ci nic nie powiedział?

- Słyszy się różne plotki, ale nigdy nie wiadomo, czy to prawda.

Lady Constance nigdy mnie nie lubiła, ale teraz traktuje mnie nawet życzliwie. Myślała, że poluję na Rodericka, ponieważ łączyło nas zainteresowanie wykopaliskami. To jej się nie podobało. -

Uśmiechnęła się. - Cóż, teraz sprawa jest jasna. Chodzę tam odwiedzać Lisę. Ona bywała u mnie od czasu do czasu, dopóki jej się tak nie pogorszyło. Zawsze bardzo interesowała się moją pracą.

Czasem zabieram ze sobą coś, żeby jej pokazać. Wydaje mi się, że ona czeka na te wizyty.

- Wiesz, dlaczego tak nagle wyjechałam?

- Cóż, słyszałam, że jesteś córką Charliego Claverhama z nieprawego łoża; ty i Roderick mieliście się pobrać, ale okazało się, że jesteście rodzeństwem.

- I dlatego wyjechałam, Fiono.

- A więc to prawda?

- Nie. Wtedy tak myśleliśmy i dlatego stąd wyjechałam.

Zdobyłam jednak dowód na to, że nie Charlie jest moim ojcem.

- A więc... wróciłaś do Levenson.

- Lisa mnie o to prosiła. Nie wiem, co teraz będzie.

- Rozumiem. Widzę, że Roderick nie jest szczęśliwy i Lisa też nie. Ona niewiele mi opowiada, wspominała jednak, że Roderick był

dla niej cudowny i pełen współczucia i kiedy nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić, to zupełnie jak w bajce Roderick poprosił ją o rękę. Po czym umieścił ją wśród zbytku, w majątku Leverson.

- Nie przyjechałam tu na długo - powiedziałam. - Chciałam tylko spełnić prośbę Lisy. Powitano mnie tu bardzo serdecznie.

- Przypadłaś do serca lady Constance, to się rzadko zdarza. Ona tak niewiele osób darzy sympatią.

- Przeżyliśmy razem niebezpieczną przygodę.

- I co teraz będzie, Noelle?

- Nie wiem.

- Biedna Lisa, ona naprawdę cierpi; często o niej myślę.

Opowiadała mi, że marzyła o sławie i wielkości. Wielokrotnie wspominała twoją matkę, to już dla niej prawie obsesja. Nieraz mówiła o swym pragnieniu, by zostać drugą Desiree. Twierdzi, że mogło jej się to udać, gdyby tylko los nie okazał się dla niej tak okrutny. Teraz przynajmniej nie musi się martwić o swą przyszłość, jest zabezpieczona, a to wiele dla niej znaczy.

- Biedna, biedna Lisa.

- Ty i Roderick też.

- Będę musiała wyjechać - rzekłam.

- Co masz zamiar robić?

- Nie robiłam dotąd żadnych planów.

- Powinnaś. Koniecznie zajmij się jakąś pracą.

- Tak jak ty - powiedziałam.

- To najlepsze lekarstwo, Noelle. Czasem w życiu trzeba poruszać się jak o lasce.

Usłyszałam odgłos kroków przed domem, to wrócił Jack z Marie

- Christine.

Rzymskie wykopaliska spotkały się z wielkim zainteresowaniem Marie - Christine i obudziły tak typowy dla niej, niepowstrzymany entuzjazm.

Zarazem jednak niepokoiła ją sprawa mojej przyszłości.

Chciała, żeby cały czas coś się działo. Przypuszczałam, że to odciąga jej uwagę od straty, którą sama poniosła. Nie chodziło o to, że z kimś z rodziny była szczególnie blisko związana, ale stanowili oni

część jej życia, z którego tak nagle i brutalnie została wyrwana.

W pewnym momencie zaczęłam się zastanawiać, czy rozsądne było z mojej strony, że dopuściłam ją do tyłu swoich sekretów; teraz jednak musiałam być konsekwentna, gdyż rzeczywiście brała ona udział w moim życiu. Mimo młodego wieku Marie - Christine wykazywała jednak pewnego rodzaju obycie w świecie, co łączyło się u niej z niewinnością i brakiem doświadczenia, od czasu do czasu dającymi o sobie znać.

Chciała, żeby coś się działo i to szybko. Była dumna, że cel naszej wyprawy do Kornwalii został osiągnięty, rozradowała ją ta przygoda. Teraz oczekiwała, że nastąpią jakieś dalsze wydarzenia.

- Czy Lisa się z nim rozwiedzie? - zapytała mnie. - Mam nadzieję, że tak. Wtedy my będziemy mogły tu zamieszkać. Strasznie mi się podoba ten dom, jest taki niezwykły. Czasem, co prawda, trochę się boję, szczególnie kiedy pomyślę o tych duchach. Ale podoba mi się to, bo jest jeszcze ciekawiej. No a teraz jeszcze te rzymskie wykopaliska, i Fiona, i Jack. Marzę o tym, żeby tu mieszkać.

Zauważyłam, że ignoruje wszelkie przeszkody, co było dla niej typowe. Już widziała, jak Lisa spokojnie się wycofuje, a my wprowadzamy się do dworu i mieszkamy w tym fascynującym miejscu, które tak bardzo pobudzało jej żywą wyobraźnię.

- Trochę zanadto się rozpędziłaś, Marie - Christine -

powiedziałam. - Jeszcze nie wiemy, co się zdarzy.

- Przecież się z nią widziałaś i rozmawiałyście. Powiedziałaś jej, że znalazłyśmy te listy i teraz możesz już wyjść za Rodericka.

- To nie jest takie proste. Musimy...

- Wiem - odparła, zerkając na mnie szelmowsko. - Poczekamy i zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Tak, zapamiętaj to sobie.

- Ale wszystko będzie dobrze. Ten dom jest taki piękny. A ja lubię Rodericka i Fionę, i Jacka.

- Cieszę się, że ich lubisz, ale to w niczym nie zmienia sprawy -

odpowiedziałam.

- A więc znów wracamy do tego samego: „poczekamy, zobaczymy”. Jack obiecał, że pokaże mi starą łyżkę, którą wykopali. Z

jednej strony jest łyżka, a z drugiej szpikulec. Rzymianie używali tego przy spożywaniu ryb, wygarniając mięso spod grubej skóry, co świadczy o tym, że smakowały im ryby, które łowili u wybrzeży dawnej Brytanii.

- Zaczynasz być świetnie zorientowana.

- Uważam, że to jest fascynujące, właśnie tam teraz idę, powiedzieli, że mogę. Pójdiesz ze mną?

- Przyjdę do ciebie później.

Marie - Christine wyszła, a zaraz potem zjawiła się u mnie pokojówka z wiadomością, że lady Constance pragnie mnie widzieć.

Bez zwłoki udałam się do jej pokoju.

- Ach, proszę wejść, Noelle - powiedziała. - Chciałam porozmawiać z tobą na osobności, a widziałam, że dziewczynka właśnie wyszła. To urocze stworzenie, ale bardzo ciekawskie.

- Tak, rzeczywiście.

- To bardzo dla ciebie charakterystyczne, że się nią zaopiekowałam.

- Wcale by się z tym nie zgodziła, gdyby usłyszała. Uważa, że to ona się mną opiekuje.

- Noelle, obecny stan rzeczy... nie może się przeciągać. Wiesz dobrze, że chciałabym widzieć cię tutaj... na stałe.

- Lady Constance...

- Wiem, wiem. W istniejącej sytuacji nie możesz tutaj zostać. To byłaby przesada, rozumiem. Nie możesz jednak jeszcze wyjechać.

- Ma pani rację, nie wiem, jak mogłabym tu zostać...

- Czy pamiętasz, jak razem byliśmy tam pod ziemią?

- Nigdy tego nie zapomnę.

- Nie myślę o lęku przed śmiercią, ale o tym, co sobie wtedy powiedziałyśmy.

- Często o tym myślę.

- Zostałyśmy przyjaciółkami, co było czymś w rodzaju cudu.

Wystarczył tak krótki czas, abyśmy się nawzajem poznały.

- Okoliczności to sprawiły. Kiedy ludzie znajdują się w obliczu śmierci, zdarza się, że padają dzielące ich bariery.

- I tak się wtedy stało. Padły bariery, które latami wokół siebie wznosiłam. Lepiej się poczułam na duszy, ujrzałam bowiem samą siebie i głupie błędy, które popełniałam w życiu.

- Wszyscy popełniamy głupie błędy.

- Ja zrobiłam ich tak wiele. Wydaje mi się, że w pewnym sensie, przez nie straciłam męża, który zwrócił swe zainteresowanie ku innym.
- Ma pani na myśli moją mamę. Może powinna pani pamiętać, że to była wyjątkowa kobieta. Wielu ludzi ją kochało.
- Mogła ci zniszczyć życie.
- Nieświadomie. Jakże byłaby nieszczęśliwa, gdyby wiedziała, do czego doprowadziła... ależ byłaby na siebie zła! Pragnęła przecież mojego dobra.
- To była silna kobieta. Żeby tak Charliego oszukać! Oczywiście był w sytuacji, kiedy nie przedstawiało to specjalnych trudności.

Wiesz, jak bardzo dręczyłam się tym przez te wszystkie lata.

- Wiem i jest mi bardzo przykro.
- To była głupota z mojej strony. Charlie ma w gruncie rzeczy dobre serce. Starał się być dobrym mężem i pod innymi względami był. Kiedy siedzieliśmy razem w tej jamie i rozmawialiśmy, wreszcie z całą jasnością ujrzałam pewne sprawy i zrozumiałam, że często to, co nas spotyka, dzieje się z naszej własnej winy. „Nie jest to zapisane w gwiazdach, lecz w nas samych” - jak mówi Szekspir.
- Myślę, że jest w tym dużo prawdy, i mam nadzieję, że będzie pani teraz szczęśliwsza.
- Mogłabym być... gdybym wiedziała, że Roderick jest szczęśliwy. Teraz jednak daleko mu do tego - dodała. - Gdyby tamtej już tu nie było, gdybyś ty wróciła... mogłybyśmy razem, Noelle, uczynić ten dom szczęśliwszym, niż był kiedykolwiek.
- Gdyby... - powiedziałam. - Wiele musiałoby się zdarzyć, żeby to mogło nastąpić.
- Kochasz go, prawda? Kochasz Rodericka? - Tak.
- Wiedziałam o tym... już przedtem. Uważałam, że są sprawy ważniejsze od miłości, ale teraz widzę, jaka byłam głupia. Tak jak twoja matka chciała dla ciebie wszystkiego, co najlepsze, tak ja chcę tego, co najlepsze, dla mojego syna.
- Wiem, że pragnęła pani dla niego dobrego małżeństwa w wyższych sferach. Proszę nie robić sobie z tego powodu wyrzutów, to naturalne.
- Teraz chcę tylko, aby był szczęśliwy w małżeństwie, a ponieważ kochasz go, a on kocha ciebie, tylko ty możesz dać mu szczęście.
- Tak, ale...
- Ona będzie musiała odejść, Noelle. Będzie musiała. Nie może tu zostać, łamiąc życie tylu osób. -

Przemawiała przez nią teraz nieugięta lady Constance. Łagodność, której przed chwilą byłam świadkiem, gdzie się ulotniła. - Jest w niej coś złego - mówiła dalej. -

Ona manipuluje ludźmi. Dzięki czemu miała okazję spróbować swych sił na scenie? Charlie mi opowiadał. Dzięki temu, że wpadła pod powóz twojej matki. W jaki sposób dostała się do tego domu?

Wykorzystując fakt, że Roderick ma wrażliwe i współczujące serce.

- Ona naprawdę wpadła pod powóz, byłam przy tym -

powiedziałam.

- Musiała to zaplanować, podobnie jak zaplanowała, że złapie w swe sidła Rodericka. Postanowiłam, że ona musi odejść. Chciała się z tobą zobaczyć i porozmawiać. Sądziłam, że to dobry znak. Noelle, ona musi zrezygnować z Rodericka. Będzie pod dobrą opieką, otrzyma pewną sumę pieniędzy, nie będzie musiała martwić się o przyszłość...

jeżeli tylko wyniesie się z tego domu.

- Może odmówić.

- Nie wolno jej na to pozwolić. Porozmawiaj z nią, Noelle. Ze mną raz rozmawiałaś, prawda? I widzisz, jaki to odniosło skutek!

- Roderick z nią rozmawiał i powiedziała, że wkrótce podejmie decyzję. Jest to sprawa, o której nie można decydować w pośpiechu.

- Pomów z nią. Czuję, że ty możesz ją przekonać. Musi się zgodzić.

- Porozmawiam z nią, ale jeśli chodzi o ścisłość, przyjechałam tu, bo to ona miała mi coś do powiedzenia.

- Mam do ciebie zaufanie, Noelle. Ach, jaka będę szczęśliwa, kiedy uporamy się już z tym problemem. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo już nie mogę się tego doczekać. Chcę, żebyś tu była. Chcę, aby mój syn mógł być szczęśliwy. Chcę mieć wnuki i żebyś ty była ich matką. Tego chciałabym bardziej niż czegokolwiek na świecie. Chcę mieć spokojną i radosną starość. Moja droga Noelle, zawsze będę ci wdzięczna za to, że uświadomiłaś mi moje własne szaleństwo.

- Przypisuje mi pani cnoty, których nie mam.

- Moja droga, bardzo cię lubię. Nic mnie nie zadowoli, póki nie znajdziesz się tu... gdzie twoje miejsce.

Poruszyły mnie jej słowa. Nawet teraz byłam zdumiona, kiedy mówiła w ten sposób.

Pocałowała mnie ze łzami w oczach.

Minęły trzy dni. Marie - Christine często odwiedzała pracownię Fiony. Zapytałam, czy im nie przeszkadza.

- Ależ skąd - odparła Fiona. - Jackowi sprawia to przyjemność.

Dajemy jej różne drobne zajęcia i mam wrażenie, że ją to cieszy.

Wiele czasu spędzałam w towarzystwie lady Constance, spacerowałyśmy razem po ogrodzie. Z satysfakcją pokazywała mi, co tu zrobiła, a co jeszcze miała w planie - tak jakby już był to mój dom.

Nigdy jednak nie opuszczał nas tak całkiem temat Lisy. Lady Constance była przekonana, że, jak to określała, Lisa okaże się rozsądna.

Nie miałam takiej pewności. Widywałam Lisę codziennie, była rozdrażniona i zdenerwowana. Zastanawiałam się, dlaczego upierała się, że musi mnie zobaczyć, skoro wyglądało na to, że nic szczególnego nie ma mi do powiedzenia. A jednak zdarzało się, że jakby się sama powstrzymywała; zaczynała mówić szczerze i otwarcie, przerywając potem nagle, niemal w pół słowa. Próbowалам na nią wpłynąć, żeby mówiła dalej, ale bez skutku. To jednak przekonywało mnie tylko, że wezwwała mnie tu z jakiejś konkretnej przyczyny, którą miałam poznać, kiedy przyjdzie na to czas.

Mówiła o tym, gdzie pojedzie, kiedy już zwróci Roderickowi wolność. Wielokrotnie do tej sprawy powracała.

Któregoś popołudnia byłam u niej, podczas gdy lady Constance odpoczywała, a Marie - Christine poszła do Fiony. O tej porze w domu panował spokój i cisza.

Nagle Lisa powiedziała:

- Kocham ten dom; takie miejsca zawsze napełniały mnie podziwem. Kiedy byłam dzieckiem, marzyłam, żeby kiedyś zamieszkać w takim domu. Duży Dom! Często stawałam i wpatrywałam się w Duży Dom w naszej wiosce. Widać było tylko mury i wieżę z zegarem. W całej wsi było słychać, jak wybijał

godziny. Mawiałam wtedy, że kiedy dorosnę, to właśnie w takim domu będę mieszkać. I tak się też stało, teraz mieszkam nawet w jeszcze wspanialszym. Kto by w to uwierzył? A teraz żądają, żebym stąd odeszła. Roderick chce tego, a lady Constance zawsze tego chciała. Nienawidzi mnie od chwili, kiedy mnie ujrzała. - Zaśmiała się histerycznie. - Żeby jej syn... ożenił się z byłą aktorką!

- Sama się zadręczasz, Liso - powiedziałam.

- Mówię prawdę. Dlaczego miałabym stąd wyjechać? Żebyś ty zajęła moje miejsce? Ty miałaś wszystko: cudowne dzieciństwo, Desiree za matkę. Życie jest niesprawiedliwe!

- Nigdy nie było.

- Dlaczego niektórzy zgarniają w życiu wszystko, co najlepsze?

Dlaczego inni muszą usuwać się na bok i chwytać, co się da? Zbierać okruchy, które spadają ze stołu bogacza!

- Nie wiem, Liso.

- O, Boże. Przypuszczam, że powinnam zamieszkać gdzieś tam, gdzie oni chcieliby mnie wysłać... gdzie jest wiele osób takich, jak ja... chociaż w różnym stopniu rozkładu.

- Nie mów tak, Liso. Wiem, że wiele wycierpiałas i nadal cierpisz. Ale przecież zdarzają się okresy, kiedy czujesz się lepiej.

- A co ty o tym wiesz? Czy miło by ci było, gdybyś czuła, że cię nie chcą? Że miałaś w życiu szansę i kiedy byłaś już na dobrej drodze, stało się coś takiego? Mogłam zostać drugą Desiree, wiem, że mogłam. Tylko że wtedy to się stało.

- Rozumiem, Liso. To było straszne.

- A jednak spadło to na mnie i wszystko się urwało, właśnie kiedy miałam przed sobą taką szansę.

Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się gdzieś w przestrzeń i widziałam, że łzy spływają jej po policzkach. Bardzo chciałam ją pocieszyć.

- Albo twoja matka - mówiła dalej. - Miała sławę i majątek i nagle... jej życie urwało się. Bez żadnego uprzedzenia.

Opadła na poduszki i zamknęła oczy.

- Noelle - wyszeptała. - Pigułki.

Przy jej łóżku stał nocny stolik, na którym stała szklanka i dzbanek z wodą.

- Pigułki w szufladzie - powiedziała słabym głosem. - Dwie.

Trzeba rozpuścić w wodzie.

Pośpiesznie nalałam wody do szklanki i wyjęłam z szufladki fiolkę z pigułkami. Dwie wrzuciłam do wody. Obserwowała, co robię.

- Zaraz się rozpuszczą - rzekła.

Po paru sekundach pigułki były już niewidoczne; podałam jej szklankę, a ona wypila łąpczywie. Potem wzięłam szklankę i postawiłam ją z powrotem obok dzbanka.

Uśmiechnęła się do mnie słabo.

- Działają dość szybko i są bardzo skuteczne - powiedziała. -

Zaraz mi będzie lepiej.

Uścisnęłam jej dłoń.

- Nie powinnam była tego mówić - odezwała się. - Zasługiwałaś na to, co miałaś. Ona była taka piękna. Co za tragedia! Nigdy się z tym nie pogodziłam.

- Nic nie mów - rzekłam. - Odpocznij.

- Przyjdź niedługo znowu. Muszę z tobą porozmawiać.

- Czy mniej cię boli?

- Coraz mniej. Te pigułki są naprawdę mocne. Widziałam, że rysy jej trochę łagodnieją. Wciąż jednak ścisnęła moją rękę.

- Przepraszam, Noelle.

- Ja to rozumiem, naprawdę. Uśmiechnęła się.

Siedziałam przy niej, póki nie usnęła. Potem cichutko wysunęłam się z pokoju.

Pod koniec tygodnia powrócili Roderick i Charlie.

Nigdy nie zapomnę tamtego piątku, był to początek koszmaru, który trwał przez weekend.

Wrócili dopiero wieczorem, a po południu poszłam do Lisy.

Kiedy tylko na nią spojrzałam, zauważyłam, że coś się w niej zmieniło. Miała wypieki na policzkach, a oczy nienaturalnie jej błyszczały. Zastanawiałam się, czy nie ma gorączki.

Powiedziała:

- Cieszę się, że przyszłaś, Noelle. Chcę ci coś powiedzieć; usiłuję to zrobić już od dłuższego czasu. Nawet teraz jeszcze się waham. Nie wiem, czy powinnam ci to powiedzieć. Czasami wydaje mi się, że tak; kiedy indziej zaś myślę, że głupia będę, jeśli to zrobię.

- Co takiego chcesz mi powiedzieć, Liso? Wiem, że już wiele razy byłaś o krok od tego.

- Chodzi o twoją matkę. Chciałabym ci coś wyjaśnić. Przypomnij sobie dzień, w którym się poznałyśmy.

- Pamiętam to bardzo dobrze.

- Sama tak urządziłam, specjalnie dostałam się pod powóz.

Wiedziałam, co mam zrobić, żeby upozorować wypadek. Wiedziałam, jak mam upaść, byłam przecież tancerką. Byłam zwinna, a poza tym wszystko starannie zaplanowałam. Chciałam, żeby

twoja matka zwróciła na mnie uwagę. Nie wydajesz się być tym specjalnie zaskoczona.

- Cóż, muszę przyznać, że czasami zastanawiałam się nad tym, ale nie miałam pewności. Mógł to być wypadek... albo świadome działanie

- Ty nie wiesz, jak to jest, kiedy nie ma się szansy, kiedy widzi się, jak inni dochodzą do czegoś tylko dlatego, że mają odpowiednich przyjaciół, nie zaś większy talent. Musiałam wywalczyć sobie szansę.

Wiedziałam, że twoja matka jest wielkoduszna i że mnie zrozumie.

Wiedziałam też, że ma opinię osoby pomagającej nieszczęśliwym.

Była cudowna. Miałam więc na to nadzieję, a może i na więcej.

- No i udało się - powiedziałam. - Zdobyłaś swoją szansę.

- Wiedziałam, że sobie poradzę, jeśli tylko będę miała okazję.

Spojrzałam na nią poważnie i zapytałam: . - Wilczomlec?

- Ja... ja znałam się trochę na ziołach. Na wsi ludzie wiedzą takie rzeczy, jeśli się tym interesują. Szczodrzeniec, różne odmiany ciemiernika, piołun, masę tego jest. Wilczomlec nie mógłby bardzo zaszkodzić. W owocach i właściwie w całej tej roślinie jest mleczko, które w zetknięciu ze skórą powoduje jej podrażnienie, a ponadto stanowi ostry środek przeczyszczający. Szybko jednak dochodzi się po tym do siebie.

Musiała dostrzec w mej twarzy przerażenie, bo odwróciła się i szybko powiedziała:

- Któregoś dnia siedziałam w ogrodzie na tym wyplatany krześle i myślałam o tym, że pewnie nigdy nie będę miała okazji, by się wybić. I wtedy zobaczyłam ten krzew tuż obok siebie. Pamiętałam tę roślinę. Przeszło mi na myśl, że swą szansę muszę zdobyć teraz...

kiedy jestem młoda i mogę z niej skorzystać. Teraz albo nigdy -

powtarzałam sobie w duchu.

- Sprawiałaś, że zachorowała, żebyś mogła ją zastąpić! To miała być twoja szansa! Ona ci pomogła... a ty w taki sposób nadużyłaś jej zaufania!

- Wiem. Tak się tym martwię; gdybym tylko mogła przewidzieć, co się zdarzy. Ale to była okazja, pomyślałam, że z niej skorzystam, nie robiąc przy tym nikomu żadnej krzywdy. Przecież nic by się nie stało, gdyby opuściła jedno czy dwa przedstawienia. Naprawdę nie miałam na myśli nic złego. Nie tknęłabym nawet tego ziela, gdybym przypuszczała, że coś może się stać. Wszystko wydawało się takie łatwe, wiedziałam, co mam zrobić z tym mleczkiem. Zawsze wieczorem, po powrocie do domu albo ja, albo Martha zanosiliśmy jej coś do picia. Tym razem poszłam ja i przyniosłam jej szklankę gorącego mleka. Po przedstawieniu była zazwyczaj bardzo ożywiona, nie przestawała mówić i wcale nie patrzyła, co pije. Robiła wrażenie nieobecnej, wciąż jeszcze duchem była na scenie. Ona i

Martha mogły jeszcze długo, długo rozprawiać na ten temat. Noelle, to miało wywołać u niej tylko lekką niedyspozycję, tak na jeden wieczór.

Tylko tyle, abym mogła ją zastąpić.

- To ją zabiło - rzekłam.

- Nie zabiłam jej, za nic nie sprawiłabym jej bólu. Kochałam ją, naprawdę. Nikt nigdy nie był dla mnie tak dobry jak ona. To miała być dla mnie szansa...

- Ona umarła!

- Skąd miałam wiedzieć, że wstanie z łóżka i zakręci jej się w głowie?

- Ale dlatego tak się stało, że była osłabiona po specyfiku, który jej podałaś.

- Zabiło ją to, że upadła, a nie to, co ja jej dałam.

- Ale upadła dlatego, że jej to dałaś.

- Myślałam, że będziesz się starała mnie pocieszyć. Cały czas mnie to dręczy. Ona wciąż mi się śni. A przecież nie chciałam zrobić jej krzywdy. To miała być tylko lekka dolegliwość, wystarczająca, bym mogła ją zastąpić... żebym miała okazję pokazać, co umiem.

- Żałuję z całego serca, że pojawiłaś się w ogóle w naszym domu

- rzekłam.

- Obwiniasz mnie o jej śmierć.

- Oczywiście, że cię obwiniam! Gdyby nie przyjęła cię do naszego domu, gdyby nie umieściła cię w chórze, gdyby nie zgodziła się, byś została jej dublerką, żyłaby do dziś dnia.

- Żałuję, że ci powiedziałam. Nie mogłam już dłużej tego w sobie dusić, zanadto mi to ciąży. Miałam nadzieję, że mnie zrozumiesz i pomożesz.

- Rozumiem ciebie i twoją podłą ambicję.

- Ona też była ambitna. Kłamała na temat Charliego.

Zapragnęłam jak najszybciej stamtąd wyjść, podniosłam się z miejsca.

Zatrzymała mnie:

- Poczekaj. Tyle już przeszłam i nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak bardzo sama się obwiniam. Ona była dla mnie dobra, nikt przedtem nie był dla mnie taki dobry i nikt nie zrobił dla mnie tyle, co ona. Upadła dlatego, że była osłabiona. Skąd mogłam wiedzieć, że upadnie? Gdybym wiedziała, co się

stanie, nigdy nie zrobiłabym tego, co zrobiłam. Chciałam tylko, żeby raz... czy dwa razy nie mogła wystąpić w przedstawieniu. Ja miałabym jeszcze jedną szansę, a jej by to nie zaszkodziło. Nie zabiłam jej. Sumienie mnie męczy, ona ciągle mi się śni. To jest straszne. Myślałam, że mi pomożesz i że zrozumiesz.

Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Myślałam tylko o Desiree i zateśniłam za nią tak mocno, że kobieta, która mi ją odebrała, budziła we mnie jedynie nienawiść. Nawet jeśli nie uczyniła tego z premedytacją.

Powinnam była starać się ją zrozumieć. Powinnam była pojąć, jak rozpaczliwie pragnęła sukcesu i myślała, że zdoła go osiągnąć, jeśli spowoduje u mojej matki lekką niedyspozycję. Może mówiła sobie, że w jej sytuacji matka postąpiłaby tak samo. Desiree pewnie by to zrozumiała i może nawet uznałaby za żart. Widziałam mękę Lisy i kiedy opowiadała, jakim cierpieniem przypłaciła tragiczny splot wydarzeń, wiedziałam, że mówi prawdę.

Rysy jej stwardniały, starała się zapanować nad swymi uczuciami.

- Wiele przeszłam - powiedziała. - I więcej już nie chcę.

Zapłaciłam za to, co zrobiłam twojej matce. Miałam szansę i nie byłam w stanie z niej skorzystać. To niebezpieczna sprawa, kiedy igra się z losem i próbuje się samemu nadać życiu kierunek, aby tylko osiągnąć sukces. Ja tak właśnie igrałam. Mogłam mieć złudzenie, że to moja szansa... a teraz spójrz tylko na mnie. Twoja matka zrobiła to samo... i dlatego utraciłaś Rodericka. Życie zakpiło z nas, ty to rozumiesz, Noelle. Zbyt wiele już wycierpiałam i więcej nie będę. Nie opuszczę tego domu, zostanę tutaj. Nigdy, dopóki żyję, nie ustąpię ci miejsca. Roderick ożenił się ze mną, zrobił to z własnej woli, nikt go do tego nie zmuszał. Nie wyrzeknę się go i nie zamieszkać w jakimś przytułku jak biedna pani Carling, tylko dlatego, że wam zawadzam.

Tu jest mój dom i tutaj zostanę.

Więcej nie byłam w stanie znieść.

Zostawiłam ją i poszłam do siebie.

Byłam tak strasznie wstrząśnięta po rozmowie z Lisą, że nie mogłam spać tej nocy.

Nazajutrz przybył do Lisy doktor Doughty, z normalną wizytą kontrolną. Lady Constance poprosiła mnie, abym poszła z nim na górę, ponieważ zwykle chciał, żeby ktoś mu towarzyszył.

Lisa leżała w łóżku, podparta poduszkami. Odwróciła wzrok, kiedy weszłam do pokoju.

- Przyszedł doktor Doughty - powiedziałam.

- Tylko zwykłe badanie kontrolne, pani Claverham - zwrócił się do niej doktor. - Jak się pani dzisiaj czuje?

- Niezbyt dobrze.

- Ten sam ból, co przedtem i w tym samym miejscu? Kiwnęła głową, a on przez jakiś czas badał jej plecy. Odchrząknął. Lisa znowu opadła na poduszki, a on oznajmił:

- Zaczynam być optymistą... prawdziwym optymistą. Nastąpił

pewien przełom w leczeniu urazów kręgosłupa. Robi się operację, po niej zaś jest dalsze, specjalne leczenie. Liczę, że w ciągu kilku miesięcy metoda ta zostanie sprawdzona i udoskonalona. A wtedy, droga pani Claverham, postaramy się jakoś pani pomóc.

- Co to oznacza? - podjęła skwapliwie Lisa.

- Cóż, nie mogę obiecać, że będzie pani tańczyć z wymachem, czy jak wy to nazywacie, ale będzie pani mogła bez trudu chodzić, a ten przeklęty ból zelżeje.

- To brzmi cudownie.

- Może cud się stanie. Jeszcze się trochę pomęczymy, co? I może za jakieś sześć miesięcy...

- Nie mieści mi się to w głowie! Myślałam, że tak już będzie zawsze.

- Nil desperandum, droga pani. Myślę, że ma pani dużą szansę.

Lisa spojrzała na mnie, oczy jej lśniły.

- Czyż to nie wspaniała wiadomość, Noelle?

- Istotnie, wspaniała.

W tym momencie przypominała mi dziewczynę, która leżała w łóżku, bezpośrednio po wypadku z powozem.

- Może powinienem zamienić słówko z lady Constance -

powiedział doktor Doughty.

Wziął Lisę za rękę.

- Niech pani będzie spokojna - rzekł na pożegnanie. - Dowiem się wszystkich szczegółów na ten temat i jak będę już coś wiedział, to się pojawię. Jestem pewien, że ta wiadomość będzie dla pani najlepszym lekarstwem. A przy okazji, czy ma pani pod dostatkiem środków przeciwbólowych?

Spojrzała na nocny stolik, a on wyjął z szuflady fiolkę i otworzył

ją.

- Na parę dni wystarczy. Proszę pamiętać, że nie wolno pani brać więcej niż dwie pigułki naraz. W przyszłym tygodniu przyślę pani więcej. Do tego czasu wystarczy tych, które tu pani ma. Skuteczne,

prawda? Cóż, miejmy nadzieję, że już niedługo nie będzie ich pani potrzebować.

Pożegnał się, a ja zaprowadziłam go do lady Constance i odeszłam.

Po jego odjeździe poszłam do lady Constance.

- Doktor już mi powiedział - rzekła. - Jest zdania, że można to wyleczyć, przynajmniej częściowo.

- Tak, nam też to mówił.

- Zastanawiam się, co to może oznaczać.

- Myślę, że tym bardziej nie będzie chciała zrezygnować.

Powiedziała mi wczoraj, że nigdy tego nie zrobi.

- Musimy ją przekonać.

- Nie sądzę, aby komukolwiek się to udało.

- Nie może tak być, żeby jedna osoba niszczyła życie tylu innym.

- Ona jest przywiązana do Rodericka i do tego domu. Bez nich nie wyobraża sobie życia.

- Stawka jest duża.

- Tak samo dla niej, jak i dla nas.

- Moja droga Noelle, pomyśl, co to oznacza.

- Nie myślę prawie o niczym innym.

- Ona musi to zrozumieć.

- Lisa wiele wycierpiała - odpowiedziałam. I w tej chwili moja nienawiść do niej za to wszystko, co uczyniła mojej matce, zaczęła się ulatniać. Ogarnęła mnie litość dla tej niekochanej, zbłąkanej dziewczyny.

Trochę później tego dnia wrócili Roderick i Charlie. Roderick niezwłocznie udał się do Lisy. Kiedy stamtąd wyszedł, wyraźnie było widać, że jest przygnębiony. Domyślałam się dlaczego - Lisa dała mu swą odpowiedź.

Siedziałam razem z lady Constance i Charliem, a za jakiś czas Roderick się do nas przyłączył.

- Jest przekonana, że wyzdrowieje - powiedział. - Doktor stwierdził, że może mieć taką nadzieję.

- To prawda - potwierdziła lady Constance. - Powiedział nam, że w niedługim czasie prawdopodobnie będzie to możliwe. Zapewne nie zostanie całkowicie wyleczona, ale jej stan może

ulec zdecydowanej poprawie.

- To dla Lisy dobra wiadomość - rzekł Roderick. - Oby tylko okazało się to prawdą. To by jej bardzo pomogło. Sama ta perspektywa w sposób naturalny przynosi jej ulgę. Ale jednocześnie postanowiła, że nie zwróci mi wolności i znam ją już na tyle dobrze, by rozumieć, że zamierza tego postanowienia dotrzymać. Nie wiem, czy to wpłynęło na jej decyzję.

- Już przed wizytą doktora mówiła mi, że podjęła decyzję -

powiedziałam.

- Trzeba ją przekonać, żeby tę decyzję zmieniła - rzekła lady Constance.

- Nie sądzę, aby to było możliwe - odparł Roderick.

- Wydaje mi się, że powinnam wrócić do Londynu - wtrąciłam.

- Och, nie! - wykrzyknął Roderick.

- Muszę. Nie mogę tu zostać. Nie powinnam była przyjeżdżać.

Przyjechałam jednak dlatego, że ona mnie o to prosiła. Czują wewnętrzny przymus, aby wyznać prawdę. Biedna Lisa! Była równie nieszczęśliwa, jak my wszyscy. A teraz postanowiła, że nie wyrzeknie się tego, co posiada. Nie miała zamiaru ustąpić i wyraźnie to okazała.

Wiedziałam w głębi serca, że żadne moje argumenty nie wpłyną na nią, aby zmieniła zdanie.

- Cóż za katastrofę spowodowaliśmy - wymamrotał Charlie. -

Czy nie ma na to sposobu?

- Musimy spojrzeć na to z jej punktu widzenia - powiedziałam ku własnemu zaskoczeniu, szczególnie że przypominałam sobie falę nienawiści, jaka zalała mnie, kiedy Lisa wyznała, że jest odpowiedzialna za śmierć mojej matki. Rozumiałam dobrze jej obsesję kariery. Czyż moja matka nie stanowiła podobnego przykładu? Lisa myślała, że uda jej się wydostać coś spośród zgliszczy i być szczęśliwą. A potem... to się stało. Byłam przekonana, że nie wyrzeknie się tego, co udało jej się zdobyć.

- Muszę wyjechać - rzekłam. - Tak będzie dla wszystkich najlepiej.

- Dokąd pojedziesz, Noelle? - zapytał Charlie.

- Z powrotem do Londynu... na razie. Zastanowię się, co robić dalej. Jest ze mną Marie - Christine, może razem postanowimy coś na temat przyszłości.

- Nie potrafię pozbyć się nadziei - rzekł Roderick.

- Ja też nie - dodała lady Constance.

Tej nocy Marie - Christine przyszła do mego pokoju.

- Dlaczego wszyscy są tacy ponurzy? - zapytała.

- Wracamy do Londynu.

- Kiedy?

- W poniedziałek. Nie możemy jechać jutro, bo pociągi nie kursują w niedzielę, w przeciwnym razie...

- Wracać do Londynu! W takim pośpiechu i w ogóle! Ja tak nie mogę. Jack ma mi pokazać, jak czyści się ceramikę.

- Marie - Christine, musimy jechać.

- Dlaczego?

- Mniejsza o to, dlaczego. Musimy jechać.

- Kiedy tu wrócimy?

- Myślę, że już nie wrócimy.

- Co to znaczy?

- Wiesz przecież, że coś się dzieje.

- Chodzi ci o tę sprawę z tobą, Roderickiem i Lisą?

- Lisa postanowiła tu zostać.

- Jako żona Rodericka?

- Jesteś za młoda, żeby to zrozumieć.

- Wiesz, że nic mnie bardziej nie złości, niż kiedy tak mówisz.

Szczególnie, że rozumiem to doskonale.

- Ale to prawda, Marie - Christine. Lisa jest żoną Rodericka i małżeństwo ich wiąże.

- Wcale nie zawsze tak jest, czasem ludzie się rozstają.

- Tak, lecz w tym wypadku Lisa chce tu zostać, a Roderick zostanie razem z nią. To zaś oznacza, że my musimy wyjechać. Nie ma tu dla nas miejsca.

- Nie może tak być! Wyjdiesz za Rodericka i zamieszkamy tutaj! Przecież tego właśnie chcemy.

- Nie zawsze otrzymuje się to, czego się chce, Marie - Christine.

- Nie potrafię stąd wyjechać. Uwielbiam to miejsce. Przepadam za Fioną i Jackiem... a poza tym jest tu tak ciekawie. Strasznie mnie interesują te rzymskie wykopaliska, chciałabym się o nich więcej dowiedzieć. Wszystko to jest cudowne. Ja nie chcę stąd wyjeżdżać, Noelle.

- Przykro mi, Marie - Christine. Nic z tego nie będzie. Jest bardzo prawdopodobne, że Lisa zostanie wyleczona. Ona i Roderick są małżeństwem.

Twarzyczka Marie - Christine skrzywiła się z żalu.

- Nie może się tak stać - zaprotestowała porywczo. - Nie może.

Musi być jakiś sposób, żeby to naprawić.

- Nie zawsze można sprawić, aby życie potoczyło się tak, jak my tego chcemy. Zrozumiesz to, gdy będziesz starsza.

- Nie wierzę w to. Musimy coś zrobić.

Biedna Marie - Christine. Wiele jeszcze miała się w życiu nauczyć.

Było popołudnie, zjedliśmy właśnie lunch, który upłynął w ponurym nastroju. Następnego dnia miałyśmy wyjechać, a teraz wraz z Marie - Christine wybierałyśmy się z wizytą do Fiony i Jacka, aby powiedzieć im o naszym zbliżającym się wyjeździe.

Byłam w swoim pokoju, przebierając się w strój do konnej jazdy, kiedy weszła lady Constance.

Wyglądała na wstrząśniętą.

- Stało się coś strasznego - powiedziała. - Lisa nie żyje.

Werdykt

Dni, które nastąpiły potem, miały w sobie coś nierzeczywistego.

Ciągle ktoś przychodził albo wychodził, wszędzie słychać było szepty. Doktor Doughty nie miał wątpliwości, że Lisę zabiło przedawkowanie pigułek, które jej zapisał. Uprzedzał Lisę wielokrotnie, że są bardzo mocne. Potrzebowała takiego remedium, bo często naprawdę cierpiała z bólu, mówił jej jednak wyraźnie, że nie może brać więcej niż dwie pigułki naraz. W wyjątkowych okolicznościach pozwalał jej wziąć sześć dziennie - o ile nie zdarzałoby się to często - i to tylko pod warunkiem, że dawka ta rozłożona byłaby na całą dobę.

Sekcja zwłok wykazała, że doktor Doughty miał rację. Ilość leku znaleziona w jej organizmie wskazywała na to, że Lisa musiała wziąć co najmniej sześć pigułek naraz, co stanowiło dawkę śmiertelną.

Dom pogrążył się w milczeniu. Służba poruszała się po cichu, jakby połączona jakąś tajemną zмовą. Zastanawiałam się, jak wiele oni mogli wiedzieć? Wiedzieli na pewno, że kiedyś byłam zaręczona z Roderickiem, potem zaś nagle wyjechałam, a zaręczyny zostały zerwane. Czy zdawali sobie sprawę, że Roderick starał się odzyskać wolność po to, aby mógł się ze mną ożenić? Czy wiedzieli, że Lisa nie wyraziła na to zgody?

Czy ktokolwiek zadał sobie pytanie: A może to było morderstwo?

Kiedy śmierć następuje nagle i zachodzi możliwość morderstwa, na ogół zaczyna się szukać motywów.

Motywy bez wątpienia istniały. Roderick chciał pozbyć się swojej żony; był to jeden z najczęstszych powodów zbrodni.

W chwili śmierci Lisy był obecny w domu. Ja także. I sprawa ta dotyczyła mnie w równym stopniu, jak jego.

To były koszmarne dni, a domysły mnożyły się w nieskończoność. Mogłam tylko starać się nie poddać gonitwie myśli, które dudniły mi w głowie.

Teraz nie mogłam stąd wyjechać. Byłam tu obecna w czasie, gdy Lisa umarła, i musiałam wziąć udział w śledztwie.

Nie wiem, jak zdołałam przeżyć okres oczekiwania. Śledztwo, zbliżające się nieuchronnie, napełniało mnie przerażeniem, a jednocześnie chciałam mieć to już za sobą i znać prawdę, choćby najgorszą. Pamiętałam, co działo się po śmierci mojej matki; dopiero kiedy się to wszystko skończyło, zapanował spokój. A jaki werdykt będzie teraz?

Marie - Christine trzymała się teraz na uboczu i nie mogłam odgadnąć jej myśli. Lady Constance zamknęła się w swoim pokoju i nie chciała z nikim rozmawiać. Charlie był jak ogłuszony. Myślę, że Roderick czuł się podobnie jak ja. Chcieliśmy znaleźć się razem i porozmawiać o tym, o czym przez

cały czas teraz myśleliśmy. Coś nas jednak powstrzymywało, wyczuwałam, że znajdowaliśmy się pod nieustanną obserwacją.

Któregoś dnia, pod wpływem nagłego impulsu, zapragnęłam trochę pojeździć konno. Czułam, że może z dala od domu zdołam spojrzeć na sprawę z pewnego dystansu.

Roderick musiał zobaczyć, że wyjeżdżam, i pojechał za mną.

Byłam pewna, że tak samo jak mnie, zależało mu na tym, by wyrwać się z domu.

Dogonił mnie, kiedy już pewnie o milę oddaliłam się od domu.

- Noelle - powiedział. - Musimy porozmawiać. Musimy wypowiedzieć na głos to, co nie daje nam spokoju. Jak to się mogło stać?

- Musiała sama je wziąć.

- Myślała przecież, że wyzdrowieje.

- Wiem, ale i tak nie była szczęśliwa.

- Chyba nie myślisz, że ja...?

- Rodericku! Ach nie, nie!

- Prosiłem ją, żeby dała mi wolność, a ona odmówiła.

- Wiem, że chcieliśmy się od niej uwolnić, Rodericku. Ale nie w taki sposób.

- Gdyby to wyszło na jaw, wyglądałoby...

- To prawda, że chcieliśmy, żeby zwróciła ci wolność, abyśmy mogli się pobrać i być razem, ale przecież nie tak.

- Dla mnie ważne jest to, żebyś ty ani przez chwilę nie myślała, że ja...

- Nigdy bym w to nie uwierzyła. Pamiętaj, że chciałam twej wolności, tak samo jak ty. Mogłam przecież być w jej pokoju. A ty nie pomyślałbyś, że ja...?

- Nigdy.

- Zbyt dobrze się znamy, a gdyby coś takiego tkwiło pomiędzy nami, nigdy nie bylibyśmy szczęśliwi.

- Ja myślę tak samo, ale wątpliwości...

- Nie ma żadnych wątpliwości.

- To właśnie musiałem wiedzieć.

- A więc, nie będzie to nas dzielić, cokolwiek by się stało.

Siedziałam razem z Roderickiem i Charliem w pokoju, gdzie miał

odbyć się sąd. Obok mnie, po drugiej stronie siedziały lady Constance i Marie - Christine.

Pierwszymi świadkami byli eksperci, którym zadawano całą masę pytań. Analityk stwierdził, że bez żadnych wątpliwości Lisa Claverham zmarła na skutek znacznego przedawkowania pigułek przepisanych przez jej lekarza.

Doktor Doughty złożył bardzo szczegółowe zeznanie. Wyjaśnił, że pani Claverham doznała urazu kręgosłupa, zanim jeszcze znalazła się pod jego opieką. Posługując się terminologią medyczną, przedstawił dokładnie naturę tego urazu i dodał, że powodowało to u pacjentki fale dotkliwego bólu. Dlatego też dostarczył jej środek przeciwbólowy o bardzo silnym działaniu, podkreślając jednak wielokrotnie, że należy go stosować z wielką ostrożnością.

Kiedy po południu przyjechał do dworu, zastał panią Claverham martwą. Domyślił się, że jej śmierć spowodowana została przedawkowaniem leku, który jej przepisał.

Zapytano go, czy pani Claverham cierpiała na depresje. Odparł, że zdarzało mu się zastawać ją w stanie depresji. Następowало to na ogół wtedy, kiedy ból się u niej wzmacniał i choroba dotkliwiej dawała o sobie znać. W tych okolicznościach uważał to za naturalne.

- Jak się czuła, kiedy widział ją po raz ostatni?

- Była w dobrym nastroju. Powiedziałem jej wówczas, że poznano pewne fakty dotyczące jej choroby, co może dawać nadzieję na jej częściowe wyleczenie.

Wśród prowadzących dochodzenie zapadła głęboka cisza.

- Usłyszawszy tę wiadomość, pani Claverham była niewątpliwie zadowolona.

- Była zachwycona.

- I odniósł pan wrażenie, że z niecierpliwością wyczekuje tej kuracji.

- Istotnie tak było.

Kiedy doktor Doughty kończył zeznawać, zdawało się niemożliwe, aby Lisa sama odebrała sobie życie. Powstało więc pytanie, w jaki sposób umarła?

Przesłuchiwano wiele osób spośród służby. Była wśród nich Gertie, ponieważ to ona pierwsza znalazła Lisę martwą.

Powiedziała, że o tej porze miała zwyczaj zaglądać do pani Claverham, żeby sprawdzić, czy niczego nie potrzebuje.

- Czy twoja pani rozmawiała z tobą kiedykolwiek o sobie? -

zapytano ją.

- O tak, proszę pana. Zawsze opowiadała, jak bardzo pragnęła stać się wielką aktorką i że z pewnością by to osiągnęła, gdyby nie ten wypadek.

- Czy według ciebie była nieszczęśliwa?

- O tak, proszę pana.

- Dlaczego tak uważasz?

- Zawsze skarżyła się, że nie jest wielką aktorką i że gdyby nie uszkodziła sobie kręgosłupa, to stałaby się drugą Desiree. A może nawet by ją przewyższyła, gdyby tylko miała okazję pokazać, na co ją stać, proszę pana.

- Dziękuję. Możesz odejść. Wezwano Rodericka.

- Czy pańska żona kiedykolwiek wspominała o samobójstwie?

- Nigdy.

- Czy w ciągu ostatniego tygodnia zauważył pan w niej jakąś zmianę?

Roderick odparł, że przez ostatnich parę tygodni przebywał poza domem i wrócił dopiero w przeddzień śmierci żony.

- Jak zareagowała na pański powrót?

- Była w dobrym nastroju, ponieważ dowiedziała się o kuracji, która może przywrócić jej zdrowie.

- Czy ma pan jakieś przypuszczenia, w jaki sposób te sześć tabletek mogło zostać rozpuszczonych w wodzie, którą wypła pańska żona?

- Nie.

- Chyba że ktoś wrzucił je do szklanki.

- Oczywiście ktoś mógł to zrobić.

- A jeśli to pańska żona je tam wrzuciła i wypła roztwór leku, to nasuwa się wniosek, że chciała odebrać sobie życie?

- Mogła wziąć jedną dawkę i zapomnieć, a potem wziąć następną.

- Chce pan powiedzieć, że mogła rozpuścić dwie tabletki w wodzie i wypić, a w chwilę później dwie następne i potem znowu dwie?

- Po zażyciu tych pigułek szybko stawała się senna. Mogła zapomnieć, że już je wzięła.

Na tym zakończyło się zeznanie Rodericka.

Potem wezwano lokaja i gospodynię. Mieli bardzo niewiele do dodania i po nich, ku memu zdumieniu, zaczęto przesłuchiwać Mabel.

Widywałam ją tu od czasu do czasu i zdarzało mi się zamienić z nią parę słów. Była to nerwowa dziewczyna, która nie miała więcej niż piętnaście lat. Zawsze robiła na mnie wrażenie zastraszonej.

Zastanawiałam się, jak udawało jej się wypełniać swe obowiązki i przypominałam sobie, co mówiła o niej Gertie.

Co ona mogła mieć do powiedzenia?

Wkrótce się tego dowiedziałam.

- Nic się nie bój - powiedziano jej. - Musisz tylko odpowiadać na pytania.

- Tak, proszę pana.

- Wiesz, że pani Claverham umarła?

- Tak, proszę pana.

- Powiedziałaś tu jednej ze swych koleżanek, że wiesz, dlaczego umarła. Czy możesz to nam powtórzyć?

- On ją zamordował!

Wśród zebranych zapadła śmiertelna cisza.

- Czy mogłabyś powiedzieć, kto ją zamordował?

- Pan Roderick.

- Skąd to wiesz?

- Wiem.

- Czy widziałaś, jak ją mordował?

Wyglądała na zaskoczoną.

- Musisz odpowiedzieć na pytanie. Potrząsnęła głową.

- Czy to ma oznaczać, że go nie widziałaś?

- Tak, proszę pana.
- Więc skąd wiesz?
- Chciał się jej pozbyć.
- Skąd to wiesz?
- Słyszałam... może nie?
- Co słyszałaś?
- Ona krzyczała. Wołała: „Nie wyjadę. To jest mój dom i zamierzam tu zostać! Nie pozbędziesz się mnie”.
- Kiedy to słyszałaś?
- Kiedy on wrócił.
- Na dzień przed jej śmiercią? - Tak.
- Czy mówiłaś o tym komuś? Kiwnęła głową.
- Komu powiedziałaś?
- Gertie... i kilku z nich.
- To już wszystko.

Poczułam się chora ze strachu. Wydawało mi cudem, że do tej pory nikt nie wspomniał, że Roderick był ze mną zaręczony i oto ja powróciłam do Levenson. Powtarzałam sobie, że pod żadnym pozorem nie powinnam była tu wracać. Ale jakież mogło to mieć teraz znaczenie? Odkryją, co się stało, i orzekną, że to Roderick ją zabił.

Ponownie wezwano Gertie.

- Ostatni świadek zeznał, że rozmawiał z tobą na temat śmierci pani Claverham. Czy to prawda?
- Wspominała coś o pani Claverham, ale nie zwracam większej uwagi na to, co mówi Mabel.
- Nawet kiedy oskarża kogoś z gospodarzy o morderstwo?
- Nawet wtedy, proszę pana.
- Nie wydawało się to być dość poważnym oskarżeniem?
- Gdyby powiedział to ktokolwiek inny, ale nie Mabel. Mabel nie można traktować poważnie, proszę pana.

- Czy mogłabyś to wyjaśnić?

- Cóż, ona jest niespełna rozumu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Gertie spojrzała na niego pobłażliwie, zdziwiona, że sędzia może być aż tak niepojętny.

- Ona niezupełnie chodzi po ziemi - wyjaśniła cierpliwie. - Różne rzeczy jej się przywidują.

- Chcesz powiedzieć, że nie należy wierzyć w to, co powiedziała?

- No, a jak można w to wierzyć? Ona potrafi wymyślić zupełnie zwariowane historie. Nikt tu nie zwraca uwagi na to, co ona mówi.

- Jak więc zareagowałaś, gdy usłyszałaś od niej, że twój pan zamordował swą żonę?

- Wydaje mi się, że powiedziałam. „Tak, naprawdę?”

- I na tym się skończyło?

- Z Mabel zawsze tak było. Nie zwracało się uwagi na to, co mówi. Opowiadała nam, że jest damą... a jej ojciec jest jakimś lordem.

Następnego dnia był już królem, którego strącono z tronu. Nic z tego nie miało sensu.

- Rozumiem. A więc nie uwierzyłaś, że pani Claverham mogła wypowiedzieć te słowa?

- Nie, proszę pana. Wiedziałam, że to nieprawda. Jeszcze nie zwariowałam. Wszyscy mówili, że pani Claverham przedawkowała lekarstwo... a ona od razu zaczęła fantazjować.

- Możesz odejść.

Z drzeniem oczekiwałam, co nastąpi dalej. Dochodzenie było ostre. Spojrzałam na Rodericka, bardzo pobladł. Lady Constance w wielkim napięciu zaciskała i rozwierała dłonie.

Ponownie wprowadzono Mabel.

- Mabel. Kiedy słyszałaś, jak pani Claverham mówiła, że nie wyjedzie?

Mabel zmarszczyła brwi.

- Spróbuj pomyśleć. Czy to było tego dnia, kiedy umarła... czy dzień przedtem... a może jeszcze kiedyś indziej?

Mabel była wyraźnie zmartwiona.

- Czy to było na dzień... dwa dni... trzy dni... czy może na pięć dni, zanim umarła?

Mabel wyjąkała z wahaniem:

- To było na pięć dni, zanim...
- Co, pięć dni?
- Tak - powiedziała Mabel. - Właśnie, pięć.
- Rozmawiała z panem Claverhamem, prawda?
- Tak, chciał się jej pozbyć, żeby...
- Ale pan Claverham był w Szkocji na pięć dni przed jej śmiercią. Nie mogła więc wtedy z nim rozmawiać, prawda?
- Mogła. Słyszałam, jak rozmawiała.
- Powiedz nam: kim jest twój ojciec? Twarz jej rozpromienił uśmiech.
- Mój ojciec to ksiązę - rzekła.
- A więc ty jesteś księżniczką?
- O tak, proszę pana.
- Nazywasz się Mabel.
- Tak mnie nazwali, kiedy zostałam porwana.
- Kto cię porwał?
- Bandyci, oni mnie uprowadzili.
- A ty byłaś księżniczką... i mieszkałaś w pałacu Buckingham?

Wśród zebranych dał się słyszeć lekki chichot. Zaczęłam oddychać swobodniej. Mabel sama dowiodła, że jest pomyłona.

- Tak, to prawda - odpowiedziała.
- A ty byłaś księżniczką Wiktoria... Louisą... czy Beatrice?
- Tak, właśnie tak.

Biedna Mabel! I gdyby nie Gertie, potraktowano by ją poważnie.

Teraz nikt nie miał już wątpliwości, że jej zeznania są bez znaczenia.

Następna była lady Constance.

- Czy zauważyła pani u swej synowej jakiegokolwiek skłonności samobójcze?

- Kiedy miała ostre ataki bólu, sądzę, że mogła mieć pokusę, aby z tym skończyć - rzekła lady Constance. - Nie widzę w tym nic niezwykłego. Naprawdę bardzo cierpiała.

- Czy zdarzało się, że rozmawiała z panią o odebraniu sobie życia?

- Ach, nie. Nigdy ze mną o tym nie rozmawiała.

- W owym czasie czuła się lepiej. Odzyskała nadzieję, że zostanie wyleczona.

- Tak, była pełna nadziei.

- Wydaje się mało prawdopodobne, aby właśnie w takim momencie odebrała sobie życie.

- Istotnie, mało prawdopodobne - zgodziła się lady Constance.

- Zanim jednak się o tym dowiedziała, wydawało się pani, że mogła mieć taką pokusę?

- Mogła... mając przed sobą w perspektywie całe lata bólu i cierpienia. W jej sytuacji każdy rozważałby taką możliwość.

- Ale w okolicznościach, kiedy wyłoniła się pewna nadzieja, większość ludzi gotowa byłaby jeszcze przez jakiś czas to wytrzymać.

- Sądzę, że tak.

- Mieszkałyście pod tym samym dachem, była pani synową. Na pewno dobrze ją pani знаła.

- Znałam ją.

- Czy uznałaby ją pani za osobę, która może popełnić samobójstwo?

- Nie, chyba że...

- Proszę mówić dalej.

- Chyba że zaszła pomyłka.

- Jakiego rodzaju pomyłka?

- Byłam u niej któregoś razu, może jakieś trzy miesiące temu.

Miała właśnie atak bólu i zażyła dwie tabletki. Wypiła wodę, w której były rozpuszczone, i

odstawiła szklankę na nocny stolik. Potem opadła na poduszki. Postanowiłam, że zostanę z nią, aż ból zelżeje, a ona uśnie, jak zwykle bywało, kiedy brała te leki. Tym razem ból wydawał się szczególnie ostry i parę minut trwało, zanim pigułki zaczęły działać. Wtedy Lisa odwróciła się w stronę nocnego stolika, nalała wody do szklanki i wrzuciła do niej następne dwie pigułki.

Dopiero wtedy zorientowałam się, że zamierza to wypić.

Wykrzyknęłam: „Dopiero co wzięłaś dwie!” Gdybym jej wtedy nie powstrzymała, pewnie by to wypila i nie żyłaby już wtedy. Myślę, że coś takiego mogło się powtórzyć w dniu, kiedy umarła.

Nie ulegało wątpliwości, że zeznanie lady Constance wywarło głębokie wrażenie na sędziach.

- Czy wspominała pani komuś o tym wydarzeniu?

- Nie. Obawiałam się, że mogłoby to zmartwić mojego syna i mojego męża.

- Czy nie uważała pani za niebezpieczne, że pani Claverham ma tak łatwy dostęp do tych pigułek?

- Zastanawiałam się nad tym, ale ponieważ potrzebowała ich zwykle natychmiast, a zdarzało się, że nie była w stanie zadzwonić na służącą, która by je podała, albo też w kuchni mogło akurat nie być nikogo, kto by usłyszał dzwonek, pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli zostanie tak, jak było.

- Zdecydowała więc pani nic tu nie zmieniać, pigułki były w nocnym stoliku i dzbanek z wodą zawsze pod ręką?

- Może źle postąpiłam. Sądziłam jednak, że to dla niej bardzo ważne, aby mogła zażyć pigułki natychmiast, kiedy tylko zaczynała odczuwać ból. Wiedziałam, że gdyby nie miała ich w pobliżu, mogłaby wpaść w panikę, a to jeszcze pogorszyłoby sprawę.

- Dziękuję, lady Constance. Ponownie wezwano doktora Doughty.

- Jak dużo czasu trzeba, żeby pigułki rozpuściły się? - zapytano go.

- Jest to kwestia paru sekund.

- Po jakim czasie widać już ich skutek?

- Z tym bywa różnie.

- Czy zależy to od tego, jak wielki ból pacjent odczuwa?

- Od tego, ale i od innych rzeczy. Od aktualnego stanu zdrowia pacjenta i od jego stanu ducha...

- Czy pigułki te powodują senność... lub zaburzenia pamięci?

- Istotnie, tak bywa.

- A więc mogło się zdarzyć, że pani Claverham zażyła dwie pigułki, a potem, powiedzmy po pięciu minutach, następne dwie?

- Jest to możliwe.

- I przez nieuwagę mogła wpuścić do wody więcej niż dwie tabletki?

- To także jest prawdopodobne.

- Dziękuję, doktorze Doughty.

Czekaliśmy z drżeniem serca. Marie - Christine wzięła mnie za rękę i trzymała ją kurczowo. Wiedziałam, że wszyscy myślimy o tym samym. Jaki będzie werdykt? Czy ktoś uznany zostanie za mordercę, czy morderca pozostanie nieznanym? Czy wina spadnie na Rodericka?

A może na mnie?

Jaką wagę przywiązywano do zeznań Mabel?

Została skompromitowana, ale może jej słowa pozostawiły po sobie jakiś ślad? Zeznanie lady Constance wywarło wielkie wrażenie, wypowiadała się bowiem precyzyjnie, konkretnie, a zarazem autorytatywnie - w przeciwieństwie do Mabel.

Podczas gdy mówiła, wyczułam wyraźną zmianę nastawienia wśród prowadzących śledztwo. Drętwiałam na samą myśl, co nas może czekać. Przypominałam sobie wszystkie podchwytliwe pytania i odpowiedzi, które mogły wywołać katastrofalny skutek. Myślałam o niebezpieczeństwie, w jakim znalazł się Roderick i my wszyscy.

Natrętnie powracało mi na myśl wspomnienie dnia, kiedy to Lisa Fennell wpadła pod powóz mojej matki i podstępnie wdarła się w nasze życie. A teraz nie żyła i mimo to wciąż straszyla nas spoza grobu.

A potem ogarnęło nas przemożne uczucie ulgi. Zeznanie lady Constance okazało się mieć wielką wagę. Zeznanie Mabel odrzucono jako bezwartościowe.

Sąd śledczy wydał werdykt, iż śmierć nastąpiła w drodze nieszczęśliwego wypadku.

Wyznanie

Mija już sześć lat od tamtego dnia, gdy w Levenson odbywał się sąd, a jednak wciąż na samą myśl o tym drzę ze strachu. Ostatnie lata przyniosły nam wiele szczęścia, a jednak trudno byłoby uznać je za niczym niezmacone.

Na nas wszystkich i na Levenson legł cień wątpliwości. Zdarzało się, że budziłam się nagle w nocy i miałam wrażenie, że przeszłość ożyła. Płakałam wtedy głośno, a Roderick starał się mnie pocieszyć.

Nie musiał nawet pytać, co za strachy mnie prześladują. Mówił tylko:

„Już po wszystkim, kochanie, to minęło. Musimy o tym zapomnieć”.

Wciąż dręczyło mnie pytanie, jak to się stało. W jaki sposób ona umarła? Kto wrzucił te pigułki do szklanki? Czy to naprawdę sama Lisa? Tego nie byłam w stanie przyjąć do wiadomości, bez względu na to, jak bardzo bym się starała.

Całą sobą przyłgnęłam do Rodericka. Jest blisko... tuż przy mnie... bezpieczny. Pociesza mnie to, a jednak nie mogę powstrzymać myśli.

Powtarzam sobie: To na pewno zrobiła Lisa... oczywiście nieświadomie. Musiało się tak stać, jak sugerowała podczas przesłuchania lady Constance.

Werdykt sądu był błogosławieństwem dla nas wszystkich, znajdowaliśmy się bowiem w kręgu podejrzanych. Na tym sprawa się zakończyła... a jednak mieliśmy się przekonać, że wcale nie. Nie było już, co prawda, kłopotliwych pytań i dochodzenia. W pewnym sensie zapanował spokój, zakłócany jednak przez nasze wyrzuty sumienia.

Chcieliśmy, żeby odeszła... i tak się stało.

Opuściliśmy wtedy pokój sądowy, pijani ulgą i radością.

Wątpliwości jednak pozostały i nie opuściły nas przez te wszystkie sześć lat, które zdążyły upłynąć.

W rok po werdykcie sądu Roderick i ja pobraliśmy się. To co się stało, wywarło wpływ na nas wszystkich. Marie - Christine była radosna, a jednak od czasu do czasu popadała w zadumę i wtedy w jej oczach kryła się jakaś tajemnica. Przestała już być dzieckiem. Nad nią, podobnie jak nad nami wszystkimi, zawisł cień.

Mamy z Roderickiem syna i córkę. Roger ma teraz cztery lata, a Catherine prawie trzy. To piękne dzieci i kiedy patrzę, jak bawią się w ogrodzie albo jeżdżą na kucykach dookoła wybiegu, jestem wtedy prawie szczęśliwa.

A potem idę do domu i przechodzę obok pokoju, który kiedyś należał do Lisy. Nie ma już żadnych widocznych śladów jej obecności... a jednak coś po niej pozostało.

Od czasu do czasu odwiedza nas mój ojciec. Jest bardzo dumny ze swych wnuków i często powtarza, jak szczęśliwy był dla niego ten dzień, w którym przyjechałam, chcąc go odnaleźć. Stosunki z Charliem układają mu się bardzo dobrze i wydaje mi się, że wiele rozmawiają o mojej matce.

Byłam głęboko wzruszona, kiedy podarował mi swą figurkę Tańczącej Panny. Powiedział, że chce, abym właśnie ja ją miała. Była to najcenniejsza rzecz, jaką posiadał. Musiało to być dla niego wyrzeczenie, przyjął ją jednak, bo nalegał.

- Przywykłem do myśli, że dzięki tej figurce ona jest ze mną -

powiedział mi. - Było to dla mnie wielkie pocieszenie. Odnalazłem jednak córkę i mam wnuki. Teraz miejsce tej figurki jest u ciebie.

Stoi więc ona u mnie w pokoju. Kiedy na nią patrzę, widzę moją matkę. Uchwycone zostało pewne podobieństwo, coś nieuchwytnego, a związanego z jej osobą. Kiedy się jej przyglądam, wydaje mi się, że jest blisko i uśmiecha się uradowana, że zdołałam przebrnąć przez wszystkie trudności, że mam męża, którego kocham... i dzieci.

Lady Constance i ja jesteśmy teraz najlepszymi przyjaciółkami.

Wnuki są jej wielką radością. Oczywiście nie jest z natury wylewna, jednak jej głębokiego uczucia do mnie nie można nie zauważyć, a jej miłość do dzieci nie pozostawia wątpliwości.

Kiedy dwór Levenson na dobre stał się naszym domem, Marie -

Christine była z tego bardzo zadowolona.

Jej zainteresowanie archeologią przerodziło się w pasję. Ostatnio zaprzyjaźniła się bardzo z pewnym młodym archeologiem, którego poznała przez Fionę i Jacka. Wydaje mi się, że wkrótce mogą się zaręczyć.

Ale pamięć o Lisie wciąż trwa, nie opuszcza nawet Marie -

Christine. Zastanawiam się, czy już zawsze tak będzie. Wszyscy w domu mają tego świadomość, wiem o tym od Gertie.

Nie tak dawno odbyłam z nią rozmowę, która ujawniła mi sprawy dotąd nieznanne.

- Zmartwiłam się, kiedy ta głupia Mabel zaczęła gadać do tych wszystkich ludzi - rzekła Gertie.

Poczułam, że ogarnia mnie przerażenie, ale nie dałam tego po sobie poznać.

- Wkrótce udowodniono, że nie można jej traktować poważnie.

- Cóż, mogła się trochę zagalopować, nawet o mało się to nie stało.

- Ty zeznałaś, że jest ona niezrównoważona psychicznie, a kiedy ponownie ją wezwano, sama dała

tego najlepszy dowód.

- Musiała słyszeć rozmowy prowadzone przez służbę.

- Jakie rozmowy...?

- No przecież wszyscy wiedzieli, że pani była zaręczona przedtem z panem Roderickiem i zaręczyny zostały zerwane, ponieważ myśleliście, że jesteście rodzeństwem. Potem on się ożenił i wtedy okazało się, że jednak to nieprawda i powinniście byli się pobrać.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Służba zawsze wszystko wie. Tu podchwycą trochę, tam podchwycą trochę, a później składają sobie to w całość. Lubią panią.

Chcieli, żebyście się pobrali z panem Roderickiem, a jej nigdy nie uznali za swoją. Przez te wszystkie lata musieli jakoś wytrzymać z lady Constance, a kiedy opowiedziałam im, jak to panienka wzięła na siebie winę za to nadtłuczone popiersie, uważali, że to naprawdę pięknie z panienki strony. Cóż, lady Constance jest wielką damą... ale można mieć już tego dość. Za to pani Claverham za mało była damą.

Nam potrzeba było czegoś pośredniego.

- Chcesz powiedzieć... że oni o wszystkim wiedzieli, a mimo to nie zdradzili tajemnicy?

- Cóż, odpowiadali na pytania. Nie mieli zamiaru mówić więcej niż to, o co ich pytano.

- Z wyjątkiem Mabel.

- Eee, ona i tak niewiele wiedziała. Coś tam jej wpadło w ucho, i tak jej się wszystko pomieszało.

- Gertie - rzekłam. - Twoje zeznanie bardzo wpłynęło na tok śledztwa.

- O to mi chodziło. Tak jak i reszta służby nie chciałam już więcej kłopotów. Nie chcieliśmy, żeby w domu źle się działo. Może zamieszkaliby tu inni ludzie... i co wtedy by się z nami wszystkimi stało? A poza tym nie zapomniałam tamtej historii z popiersiem.

Gdyby nie pani, lady Constance wyrzuciłaby mnie ze służby.

- A co oni naprawdę myśleli na temat śmierci pani Claverham? -

zapytałam.

- Och, uważają, że sama odebrała sobie życie, przez pomyłkę.

Myślą, że zapomniała i wzięła te pigułki jeszcze raz. Przecież wszyscy tak uważają, prawda?

Zrozumiałam. Chcieli, żeby prawda tak właśnie wyglądała. A co rzeczywiście uważali za prawdę? I jak często się nad tym zastanawiali?

Cień wątpliwości zaległ nad całym domostwem.

Był piękny wiosenny dzień. Siedziałam właśnie w ogrodzie z lady Constance. Dzieci bawiły się na trawniku i zauważyłam, że ona śledzi je wzrokiem.

- To piękne dzieci - powiedziała. - Widzę w nich i ciebie, i Rodericka.

- Naprawdę? Ja na próżno usiłowałam dopatrzeć się w nich jakiegoś podobieństwa.

- Ależ oczywiście, że jest. Dziękuję ci, kochanie. Tak się cieszę, że tu przyjechałaś. Często wracam myślą do tego czasu, który spędziłyśmy razem w tej ciemnej czeluści. Teraz zwiedzający chodzą po tej posadzce i podziwiają ją jako cenny zabytek, my zaś siedziałyśmy tam i myślałyśmy, że może zbliża się już nasz koniec.

Wydaje mi się, że to był przełomowy moment w moim życiu.

- To był początek naszej przyjaźni, którą tak sobie cenię.

- Dla mnie to było objawienie.

Catherine przydreptała do nas na chwiejnych nóżkach, żeby pokazać nam stokrotkę, którą właśnie zerwała.

- Czy to dla mnie? - zapytała lady Constance. Catherine potrząsnęła główką i podała kwiatek mnie.

- Ja też znalazłem stokrotkę, babciu. Ta jest dla ciebie -

powiedział Roger, który właśnie do nas podbiegł.

Byłam wzruszona, widząc jej radość.

Przeszło mi przez myśl, że nasze szczęście mogłoby być pełne.

Spojrzałam przez ramię na okno pokoju, należącego kiedyś do Lisy.

Widziałam ją tam oczami wyobraźni, często tak bywało. Minęło już sześć lat, odkąd się to zdarzyło, powiedziałam sobie. Czy to się nigdy nie skończy?

Dzieci odbiegły.

- Dobrze, że wszystko w końcu się ułożyło - powiedziała lady Constance.

- I jesteśmy szczęśliwi - odparłam.

- Tak jak nigdy nie bylibyśmy, gdyby... Musimy zapomnieć o tamtym, Noelle. Tamten czas coraz

bardziej odchodzi w przeszłość.

Ale ja wiem, że ty nie możesz zapomnieć... tak całkiem.

- A pani może? Potrząsnęła głową.

- Są chwile, że mi się to przypomina. Wspomnienia powracają i wtedy mówię im: Odejdźcie, dość kłopotów sprawiłyście już w swoim czasie. Jestem zadowolona... jestem zadowolona, że ona umarła, Noelle. To było najlepsze i dla niej, i dla nas wszystkich.

- Mogła zostać wyleczona.

- Nigdy nie odzyskałaby zdrowia całkowicie. A ja nie umiałabym żyć bez wnuków. Teraz jestem spokojna, że ród Claverhamów nie zaginie i po nas przyjdą następne pokolenia. Przyszłość jest tym, co się liczy, ja jednak pamiętam i będę pamiętać.

Oparła się w fotelu i zamilkła. Przez pewien czas panowało milczenie i kiedy na nią spojrzałam, zobaczyłam, że oczy ma zamknięte.

Pomyślałam, że śpi, ale po chwili ogarnęło mnie przerażenie.

Przemówiłam do niej łagodnie, nie było jednak odpowiedzi.

Położyłam jej dłoń na ramieniu, ani drgnęła.

Zaczęłam wzywać pomocy. Przenieśliśmy ją do łóżka i sprowadziliśmy doktora.

Okazało się, że lady Constance miała atak serca, ale po kilku dniach poczuła się lepiej. Wciąż była jednak bardzo słaba i doktor Doughty zalecił jej odpoczynek.

Przeprowadził z nami poważną rozmowę.

- Będzie musiała zachować dużą ostrożność - rzekł. - Ma zbyt wiele zajęć. Namówcie ją, żeby odpoczywała. Wiem, że niełatwo nakłonić lady Constance do czegoś, czego nie chce robić, uważam jednak, że to konieczne i powinniście okazać stanowczość.

- Czy sądzi pan, że wyzdrowieje?

- Serce jest ważnym organem, to oczywiste. Po śmierci pierwszej pani Claverham przeżyła duży wstrząs. Wiem, że robiła wrażenie, iż najgorsze ma już za sobą, ale zauważyłem, że pozostawiło to na niej ślad. Dopilnujcie, żeby chodziła bardzo powoli i dajcie mi znać natychmiast, gdyby tylko były oznaki jakiegokolwiek pogorszenia.

Bez wątplenia była bardzo słaba. Wiele przebywała w swoim pokoju. Codziennie po południu zabierałam dzieci i szłam z nimi ją odwiedzić. To było dla niej teraz główne urozmaicenie dnia.

Był wieczór. Dzieci przyszły powiedzieć jej dobranoc, a potem niania miała zabrać je do łóżek.

Poprosiła mnie wtedy:

- Zostań ze mną, Noelle.

Opadła na poduszki. Dzieci zmęczyły ją, choć nie przyznałyby się do tego. Wyglądała tak bezbrannie... mimo iż nigdy dotąd nie sądziłabym, że to określenie mogłoby się do niej odnosić.

- Chcę z tobą porozmawiać - rzekła. - Z Roderickiem też. Chcę porozmawiać z wami obojgiem.

- Roderick niedługo wróci - odpowiedziałam. Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

Czekałam, kiedy Roderick wróci do domu. Objęliśmy się i uściskaliśmy, jak zwykle, po krótkim nawet rozstaniu. Wciąż odczuwamy radość z tego, że jesteśmy razem. Cięży jeszcze na nas niepewność, jakiej doświadczyliśmy w przeszłości.

- Coś musiało się stać - powiedziałam. - Twoja matka koniecznie chce z nami porozmawiać.

- Czy gorzej się czuje? - zapytał z niepokojem.

- Zachowuje się jakoś inaczej. Myślę, że powinniśmy iść do niej natychmiast.

Twarz jej się rozjaśniła, gdy weszliśmy. Usiadłam po jednej stronie łóżka, Roderick po drugiej.

- Chciałam porozmawiać z wami obojgiem - rzekła. - Mam przeczucie, że pozostało mi już niewiele czasu, a jest coś, co muszę wam powiedzieć.

- Nie męcz się, mamó - chciał ją powstrzymać Roderick.

Uśmiechnęła się do niego, lekko rozdrażniona.

- Teraz zawsze jestem zmęczona, Rodericku. Pobraliście się i jesteście teraz bardzo szczęśliwi. Wiedziałam, że to jest słuszne i że tak musi być. Wiele czasu minęło, odkąd to się stało, a jednak nie wszystko jest tak, jak być powinno... nie całkiem, prawda? Czasem wydaje się, jakby ona wciąż tu była. Nie mogę jej zapomnieć. Wy też nie. Ona nigdy by stąd nie odeszła, postanowiła zostać. Była intrygantką z natury. Gotowa była zrujnować życie wam, mnie, każdemu, jeżeli tylko sama mogła dostać to, na czym jej zależało.

- Miała różne ciężkie przeżycia - powiedziałam. - Musiała siłą torować sobie drogę w życiu. Jej żywiołem była scena.

- „Cały świat jest sceną” - zacytowała lady Constance sennie. -

„A wszyscy mężczyźni i kobiety są jedynie aktorami, którzy grają swe role. I każdy ma w życiu wiele ról do odegrania”. My wszyscy też graliśmy swoje role. Ja odegrałam swoją. Chciałam dla ciebie tego, co najlepsze, mój synu. Ty byłeś dla mnie zawsze najważniejszy. Nigdy nie było mi łatwo okazać całą głębię swych uczuć. Nie potrafiłam się na to zdobyć, mimo że czasem próbowałam. Myślę, że było mi trochę łatwiej, odkąd razem z Noelle znalazłyśmy się twarzą w twarz ze śmiercią

w tej ciemnej jamie. Kiedy stwierdziłam, że między mną a twoim ojcem nie układa się najlepiej - ty stałeś się dla mnie wszystkim. Gotowa byłam za ciebie umrzeć. Chciałam, żebyś zawarł

odpowiednie małżeństwo; chciałam widzieć, jak wzrastają twoje dzieci. Spotkało mnie to szczęście i teraz mam też ciebie, moja droga Noelle, za córkę. Można by więc sądzić, że mam już wszystko, czego pragnęłam, moje marzenia się spełniły. A jednak ta kobieta wciąż mnie prześladowuje, nie daje mi spokoju. Powiedziałam, Rodericku, że gotowa byłam za ciebie umrzeć. Gotowa byłam także dla ciebie zabić.

Na moment zapadła cisza. Widziałam, że Roderick jest przerażony.

Ona zaś po chwili mówiła dalej:

- Tak, to ja ją zabiłam. Tamtego dnia poszłam do niej i rozmawiałam z nią. Błagałam ją, aby dała Roderickowi wolność; usiłowałam przemówić jej do rozsądku. Odparła, że nigdy, przenigdy się na to nie zgodzi. Zdecydowała, że tu zostanie. Zaczęła krzyczeć.

Możliwe, że to właśnie usłyszała ta mała służąca i pomyślała, że ona krzyczy na ciebie, Rodericku. Wiedziała, że jej nienawidzę; powiedziała nawet, że ona też mnie nienawidzi. Potem nagle, w przyływie gniewu, wykonała gwałtowny ruch. Zauważyłam, że twarz jej wykrzywia się w bólu, nie miałam wątpliwości, że strasznie cierpi.

- „Proszę... moje pigułki” - wyjęczała. Jakiś głos wewnętrzny powiedział mi wtedy: Teraz jest właściwy moment; nadarzyła się okazja. Możesz wszystko odmienić, drugiej takiej szansy pewnie już nie będzie. Nalałam wodę do szklanki, wyjęłam fiolkę z pigułkami i wsypałam je do wody... pięć... sześć... a może nawet siedem. Chwilę potrwało, zanim się rozpuściły. Ona wciąż jęczała z bólu. Podałam jej to... i wypić. Potem zabrałam szklankę i postawiłam z powrotem na nocnym stoliku. Obserwowałam ją przez kilka sekund; leżała, z trudem chwytając powietrze. Widziałam, jak uspokaja się i cichnie.

Wtedy wyszłam. Potem... przyszła tam Gertie i znalazła ją martwą.

Widziałam, że Roderick jest równie wstrząśnięty jak ja.

Milczeliśmy oboje, a lady Constance patrzyła przed siebie, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Wiedziałam, że przeżywa to wszystko jeszcze raz.

Chwyciła mnie za rękę.

- A więc powiedziałam wam. Czuję się, jakby spadł mi z serca wielki ciężar.

- Zrobiłaś to dla nas - powiedział Roderick.

- Dla siebie też. Ach, jakże szczęśliwe byłyby te ostatnie lata, gdybym nie musiała przedtem zabić.

Opadła na poduszki. Wyznanie to wyczerpało ją i oddychała teraz z trudem.

- To już minęło - rzekł Roderick. - I nic tego już nie zmieni.

Spróbuj odpocząć. - Po czym zwrócił się do mnie: - Myślę, że powinniśmy wezwać doktora Doughty.

- Nie - odezwała się lady Constance. - Czuję się lepiej... jest mi lżej. Nie powiedziałam wam jeszcze wszystkiego. Napisałam do Urzędu Koronera. Nie wiem, czy to właściwy adres, ale z pewnością wystarczy. Moje pismo trafi we właściwe ręce. Minęło tyle czasu, odkąd to się stało. Czy myślicie, że będą pamiętać? Rozumiecie, to wisi nad naszym domem. Muszę oczyścić ten dom od... podejrzeń...

niepewności... wątpliwości. Możliwe, że są tacy, którzy podejrzewają ciebie, Rodericku... czy ciebie, Noelle. To bardzo mnie martwiło.

Kiedy opuszczaliśmy pokój, gdzie odbywał się sąd, nie posiadałam się z radości. Nie wybiegałam myślą w przyszłość. Uwolniliśmy się, było po wszystkim, triumfowałam. W pewnym sensie rzeczywiście miałam uczucie triumfu, ale wszystko nie było tak proste, jak mi się przedtem wydawało. A potem, kiedy miałam ten atak, pomyślałam, że w każdej chwili mogę umrzeć. Wiedziałam, że muszę wam powiedzieć, w przeciwnym razie zabiorę tajemnicę ze sobą do grobu, a wy do końca życia będziecie trwać w niepewności. Należało to powiedzieć. Teraz znacie prawdę i inni też muszą ją poznać. Nie wystarczy, że powiem to tylko wam. Właściwie nie żałuję tego, co zrobiłam, w niej tkwiło jakieś zło. Nigdy by stąd nie odeszła, widziałam to w jej oczach.

Chodziło jej tylko o własną korzyść. Musiałam to zrobić. Czasem mówię sobie: popełniłam morderstwo, ale na dobre się to obróciło.

Umarła w trzy dni później. Pogrążyło nas to w smutku, była tak ważną częścią naszego życia.

- Teraz musimy pozostawić przeszłość za sobą i zapomnieć -

powiedział Roderick.

- Tak - odparłam. - Może przyjdzie czas, że zapomnimy. To prawda, że Lisa uczyniła nam w życiu wiele złego. Była odpowiedzialna za śmierć mojej matki, a jednak znajdowałam dla niej usprawiedliwienie. Myślę, że jakieś usprawiedliwienie istnieje dla każdego z nas. Lisa już nie żyje, a nam pozostało wypełnić wolę lady Constance. Odnaleźliśmy szczęście i musimy zapomnieć, jak mroczną drogę przebyliśmy, by je osiągnąć.